

Bestseller z Johnem Clarkiem, bohaterem powieści Bez skrępowań



# TOM CLANCY



## TECZA SZEŚĆ

**Tom Clancy**

Tęcza Sześć

Tom pierwszy

Przekład: Krzysztof Sokołowski i Andrzej Zieliński

Data wydania: 1998

Data wydania oryginalnego: 1998

Tytuł oryginału: Rainbow Six

Dla Aleksandry Marii

*Lux mea mundi*

*Nie ma przyjaźni między lwami i ludźmi,  
a harmonia obca jest wilkom i jagniętom*

Homer

**Spis treści**

**Przeprosiny**

**Prolog. Przygotowania**

**1 Memorandum**

# **2 Wsiadany**

**3 Gnomy i broń**

**4 Odprawa po akcji**

**5 Konsekwencje**

**6 Prawdziwi wierni**

**7 Finanse**

**8 Media**

# **9 Zwiad**

**10 Śledztwo**

**11 Infrastruktura**

**12 Dzikie karty**

# **13 Rozrywka**

**14 Miecz legionów**

**15 Białe kapelusze**

**16 Odkrycie**

**17 Poszukiwania**

**18 Pozory**

# 19 Kuracja

## Przeprosiny

W pierwszym wydaniu „Bez skrupułów” znalazł się fragment wiersza, który trafił do mnie przypadkiem, i którego tytułu ani nazwiska autora nie byłem w stanie ustalić. Wiersz ten wydał mi się idealny jako epitafium dla mojego przyjaciela Kyle’a Haydocka, który zmarł na raka w wieku 8 lat i 26 dni — dla mnie zawsze będzie z nami.

Później dowiedziałem się, że tytuł tego wiersza brzmi „Ascension”, a autorką tych wspaniałych strof jest Colleen Hitchcock, niezwykle utalentowana poetka z Minnesoty.

Chciałbym skorzystać z okazji i polecić jej wiersz wszystkim studentom literatury. Mam nadzieję, że jej poezja wywrze na nich równie wielkie wrażenie, tak jak to się stało w moim przypadku.

# Prolog. Przygotowania

John Clark spędził w samolotach więcej czasu niż większość licencjonowanych pilotów i choć równie dobrze jak oni znał statystykę, pomysł przelatywania nad oceanem na pokładzie maszyny z dwoma silnikami nie podobał mu się ani trochę. Powinny być cztery silniki, pomyślał, ponieważ utrata jednego oznaczała utratę tylko 25 procent mocy, podczas gdy na pokładzie tego *Boeinga 777* linii United było to już 50 procent. Może obecność żony, córki i zięcia sprawiała, że czuł się trochę bardziej nieswojo niż zwykle? Nie, to nie tak. Wcale nie czuł się nieswojo, a już na pewno nie z powodu latania. Ale gdzieś w podświadomości... Obok niego, w fotelu przy oknie, siedziała Sandy, pogrążona w powieści kryminalnej, którą zaczęła czytać poprzedniego dnia, podczas gdy on próbował się skoncentrować na najnowszym numerze tygodnika „The Economist” i zastanawiał się, co sprawia, że czuje mrowienie na karku. Zaczął się rozglądać po kabinie w poszukiwaniu oznak zagrożenia, ale natychmiast się powstrzymał. Wszystko wydawało się absolutnie w porządku, więc nie chciał na stewardesach sprawiać wrażenia nerwowego pasażera. Pociągnął łyk białego wina z kieliszka, wzruszył ramionami i wrócił do artykułu, traktującego o tym, jak pokojowy jest ten nowy świat.

Akurat, skrzywił się. Jasne, sprawy miały się teraz o niebo lepiej niż w przeszłości, niemal przez całe jego życie. Koniec z wycieczkami z okrętu podwodnego, żeby zabrać kogoś z wybrzeża Rosji, koniec z lataniem do Teheranu, żeby zrobić coś, co niezbyt się podobało Irańczykom, koniec z zanurzaniem się w którejs z cuchnących rzek w Wietnamie Północnym, żeby uratować zestrzelonego pilota. Może Bob Holtzman zdoła go kiedyś namówić, żeby napisał

książkę o swoich przeżyciach? Był jednak problem: kto by w to wszystko uwierzył? I czy CIA kiedykolwiek zezwoliłaby mu na opowiedzenie tych historii? Chyba tylko na łożu śmierci. Wcale mu się do tego nie śpieszyło, nie teraz, kiedy w drodze był wnuk. Jasny gwint. Skrzywił się, nie chcąc na razie o tym myśleć. Patsy musiała zająć w ciążę podczas nocy poślubnej i Ding aż promieniał z tego powodu, nawet bardziej niż ona. John obejrzał się za siebie, do kabiny klasy biznes — zasłona w przejściu jeszcze nie była zaciągnięta — i zobaczył ich oboje, trzymających się za ręce, podczas gdy stewardesa informowała pasażerów o zasadach bezpieczeństwa. — Jeśli samolot uderzy o powierzchnię wody, należy sięgnąć po kamizelkę ratunkową, znajdującą się pod fotelem i nadmuchać ją, pociągając... — Już to kiedyś słyszał. Jaskrawożółte kamizelki ułatwiłyby nieco wysłanemu na poszukiwania samolotowi odnalezienie miejsca katastrofy i w zasadzie do niczego więcej się nie nadawały.

Rozejrzał się po kabinie. Wciąż czuł to mrowienie na karku. Dlaczego? Stewardesa zabrała jego kieliszek po winie, podczas gdy samolot kołował na koniec pasa startowego. W

ostatnim rzędzie po lewej stronie kabiny pierwszej klasy siedział Alistair. Clark spojrzął na niego, a Brytyjczyk odpowiedział skoncentrowanym spojrzeniem, stawiając oparcie fotela do pozycji

panionowej. On też coś wyczuwa? Żadnego z nich dwóch nikt nigdy nie oskarżał o nerwowość.

Alistair Stanley, zanim oddelegowano go na stałe do SIS[1], był majorem elitarnej jednostki brytyjskich komandosów SAS. Jego pozycja była podobna do pozycji Johna —

wzywało się go, kiedy twardziele w wydziale operacyjnym zaczęli trząść portkami. Al i John od razu przypadli sobie do gustu podczas operacji w Rumunii osiem lat temu i Amerykanin był

zadowolony, że teraz ich współpraca przybrała bardziej regularny charakter, nawet jeśli obaj byli już za starzy na to, co sprawiało im największą frajdę. Administracja nie była tym, czemu John chciałby się poświęcić, ale musiał przyznać, że nie ma już dwudziestu lat... ani trzydziestu... ani nawet czterdziestu. Cóż, był już trochę za stary na uganianie się po ciemnych uliczkach i przeskakiwanie przez mury.

Ding powiedział mu to zaledwie przed tygodniem, w biurze Johna w Langley, z większym niż zwykle szacunkiem, bo próbował logicznie argumentować w rozmowie z przyszłym dziadkiem swego pierwszego dziecka. Do diabła, pomyślał Clark, to i tak nie byle co, że wciąż jeszcze żyje i może rozmyślać nad tym, że jest stary — nie, nie stary, w średnim wieku.

Nie mówiąc o tym, że piastuje obecnie szacowne stanowisko dyrektora nowej agencji. Dyrektor.

Uprzejmy termin na określenie wycofania z czynnej służby. Ale przecież nie odmawia się prezydentowi, zwłaszcza jeśli jest on twoim przyjacielem.

Huk silników stał się głośniejszy. Samolot ruszył. Pojawiło się dobrze znane uczucie wpierania w oparcie fotela, trochę jak w sportowym samochodzie, przyspieszającym gwałtownie, żeby zdążyć przed zmianą światła na czerwone, ale znacznie mocniejsze. Sandy, która prawie nie podróżowała, nawet nie oderwała wzroku od książki. To musiała być całkiem niezła książka, chociaż John nigdy nie zawracał sobie głowy czytaniem kryminałów. Nigdy nie potrafił

odgadnąć, kto zabił i czuł się przez to głupio, mimo że w swej karierze zawodowej rozwiązał

niejedną prawdziwą zagadkę kryminalną. Teraz, pomyślał i podłoga uniosła mu się pod nogami.

Samolot oderwał się od pasa, podwozie zaczęło się chować i lot się rozpoczął. Wszyscy dookoła niego natychmiast opuścili oparcia foteli, żeby przespać się w drodze na londyńskie lotnisko Heathrow. John także opuścił oparcie swego fotela, ale nie do końca. Chciał najpierw coś zjeść.

— No to lecimy, kochanie — powiedziała Sandy, odrywając się na chwilę od książki.

— Mam nadzieję, że nie będziesz się nudzić.

— Mam jeszcze trzy książki kucharskie, kiedy już skończę ten kryminał.

John uśmiechnął się.

— No i? Kto zabił?



— Jeszcze nie jestem pewna, ale chyba żona.

— Taak, rozwód kosztuje masę pieniędzy.

Sandy zachichotała i wróciła do lektury, podczas gdy stewardesy zaczęły znów roznosić drinki. Clark skończył „Economista” i zajął się „Sports Illustrated”. Cholera, będzie mu brakować zakończenia sezonu futbolowego. Zawsze starał się śledzić rozgrywki, nawet jeśli wypadła mu akurat jakaś operacja. Jego drużyna — Niedźwiedzie — znów wygrywała. Kiedy dorastał, jego idolem był „Tata Niedźwiedź” George Halas i Potwory z Midway. Często zastanawiał się, czy sprawdziłby się jako zawodowy futbolista. W szkole średniej był całkiem niezłym obrońcą i zainteresował się nim uniwersytet stanowy w Indianie (także z racji umiejętności pływackich).

Potem postanowił jednak machnąć ręką na koledż i zaciągnąć się do Marynarki, tak jak kiedyś jego ojciec, chociaż Clark został komandosem SEAL, a nie marynarzem na jakiejś blaszance...

— Panie Clark? — Stewardesa podała mu menu. — Pani Clark?

Przyjemny aspekt podróży w pierwszej klasie: stewardesy znały nazwiska pasażerów. John automatycznie dostał miejsca w pierwszej klasie z racji ogromnej liczby wylatanych już kilometrów. Wiedział, że teraz będzie latał głównie liniami British Airways, z racji ich szczególnego układu z rządem brytyjskim.

Wybór dań był całkiem niezły, jak zwykle podczas lotów międzynarodowych, podobnie jak i lista win... ale postanowił zamówić butelkę wody mineralnej. Mruknął coś pod nosem, usiadł wygodniej i podwinął rękawy koszuli. W tych przeklętych samolotach zawsze jest za gorąco.

Potem włączył się kapitan, przerywając pasażerom oglądanie filmów na monitorach.

Lecieli trasą południową, żeby wykorzystać prąd strumieniowy (pas silnych wiatrów równoleżnikowych na wysokościach substratosferycznych). Dzięki temu, wyjaśnił kapitan Will Garnet, czas lotu skróci się o czterdzieści pięć minut. Nie dodał, że prąd strumieniowy będzie również oznaczać trochę turbulencji. Linie lotnicze starały się oszczędzać paliwo i skrócenie czasu lotu o czterdzieści pięć minut będzie warte złotej gwiazdki w książce lotów kapitana... no, może tylko srebrnej gwiazdki...

Dobrze znane uczucie. Samolot zakołysał się i przechylił w prawo, kiedy nadlecieli nad ocean na wysokości Seal Isle City w New Jersey. Do następnego lądu mieli teraz trzy tysiące mil.

Za około pięć i pół godziny powinni się znaleźć gdzieś nad wybrzeżem Irlandii. Część tego czasu musi wykorzystać na sen. Dobrze przynajmniej, że kapitan nie zwracał im głowy zwyczajową gadaniną w stylu przewodnika wycieczki: „Znajdujemy się na wysokości dwunastu kilometrów i gdyby nagle odpadły skrzydła...”

Zaczęto podawać obiad. To samo robiono w tylnej części samolotu, w klasie turystycznej.

Wózki z drinkami i potrawami blokowały przejścia.

Zaczął się po lewej stronie samolotu. Facet był odpowiednio ubrany, miał na sobie marynarkę — właśnie to zwróciło uwagę Johna. Większość pasażerów zdejmowała marynarki zaraz po zajęciu miejsc...

Clark spostrzegł Browninga, matowoczarny pistolet, zupełnie jak wersja wojskowa; niecałą sekundę później broń zobaczył również Alistair Stanley. Po chwili w prawym przejściu pojawili się jeszcze dwaj mężczyźni, przechodząc tuż obok fotela Clarka.

— O, cholera — powiedział tak cicho, że tylko Sandy go usłyszała. Podniosła wzrok, ale zanim zdążyła cokolwiek zrobić lub powiedzieć, złapał ją za rękę. To wystarczyło, żeby zamknąć jej usta, ale nie wystarczyło, żeby powstrzymać od krzyku kobietę po drugiej stronie przejścia.

No, może nie całkiem krzyku, bo kobieta stłumiła go, zakrywając usta dłonią. Stewardesa patrzyła na dwóch stojących przed nią mężczyzn, nie wierząc własnym oczom. Coś takiego nie wydarzyło się od lat. Jak mogło się wydarzyć teraz?

Clark zadawał sobie dokładnie to samo pytanie, i jeszcze jedno: dlaczego, do diabła, schował swoją broń do torby podręcznej, którą umieścił w schowku pod sufitem? Idioto, po cholere ci broń na pokładzie samolotu, jeśli nie możesz po nią sięgnąć? Co za idiotyczny błąd!

Jak żółtodziób! Wystarczyło spojrzeć w lewo, żeby zobaczyć ten sam wyraz na twarzy Alistaira.

Dwaj najbardziej doświadczeni zawodowcy w branży, z bronią nie dalej niż metr, a równie niedostępna, jakby znajdowała się w luku bagażowym...

— John...

— Nie denerwuj się, Sandy — odpowiedział po cichu, dobrze wiedząc, że łatwiej to powiedzieć, niż zrobić.

Wcisnął się w oparcie fotela i siedział nieruchomo, z głową odwróconą od okna, wodząc oczami po kabinie. Było ich trzech. Jeden, prawdopodobnie przywódca, poprowadził stewardesę do przodu, gdzie otworzyła drzwi do kabiny pilotów. Oboje weszli do środka i zamknęli drzwi za sobą. W porządku, kapitan William Garnet zostanie zorientowany w sytuacji. Cała nadzieja w tym, że okaże się profesjonalistą i że nauczono go nie sprzeciwiać się nikomu, kto ma broń.

Byłoby najlepiej, gdyby kapitan miał za sobą szkolenie w Siłach Powietrznych lub w Marynarce, wtedy wiedziałby, że tylko durnie udają w takiej chwili bohatera. Jego zadaniem było wylądowanie gdzieś, obojętne gdzie, bo o wiele trudniej jest zabić trzystu ludzi na pokładzie, kiedy samolot stoi na pasie.

Trzech jest w kabinie pilotów, w tym jeden na przedzie. Zostanie tam, żeby mieć na nich oko i żeby skorzystać z radia, porozmawiać, z kim będzie chciał, i przekazać swoje żądania.

Dwaj w pierwszej klasie stoją z przodu, tak, aby widzieć oba przejścia.

— Panie i panowie, tu mówi kapitan. Włączyłem napis „zapiąć pasy”. Mamy trochę turbulencji. Proszę, aby państwo pozostali na razie w swoich fotelach. Zgłoszę się ponownie za kilka minut. Dziękuję.

W porządku, pomyślał John, zerkając na Alistaira. Kapitan wydawał się spokojny, a porywacze nie wymachiwali bronią — na razie. Pasażerowie prawdopodobnie nie zorientowali się, że coś jest nie tak — na razie. Też dobrze. Ludzie mogliby wpaść w panikę... no, niekoniecznie, ale dobrze się składa, że nikt nie wie, iż w ogóle istnieje powód do paniki.

Trzech. Tylko trzech? A może mają kogoś w odwodzie, kogoś, kto udaje zwykłego pasażera? To on miałby pod kontrolą bombę, o ile była bomba. Bomba, to najgorsza ze wszystkich ewentualności. Kula z pistoletu mogłaby przebić pokrycie kadłuba samolotu, zmuszając pilota do gwałtownego zmniejszenia wysokości, kilku pasażerów dostałoby torsji, kilku narobiłoby w majtki, ale nikogo by to nie zabiło. Bomba zabiłaby wszystkich na pokładzie, ocenił Clark, który dożył swojego wieku, bo nie ryzykował, jeśli absolutnie nie musiał. Może po prostu pozwolić, żeby samolot leciał, dokąd tylko ci trzej faceci chcą, i niech się złączą negocjacje? Wtedy będzie już wiadomo, że na pokładzie są inni trzej bardzo specjalni faceci.

Wieści już się rozchodzą. Porywacze łączą się przez radio z liniami lotniczymi i przekazują wiadomość dnia, a zastępca dyrektora United Airlines, odpowiedzialny za sprawy bezpieczeństwa — Clark go znał, Pete Fleming, były wicedyrektor FBI — telefonuje do swojej byłej agencji, uruchamiając całą procedurę, łącznie z powiadomieniem CIA i Departamentu Stanu, Zespołu Odbijania Zakładników FBI w Quantico i oddziału Delta w Fort Bragg, dowodzonego przez „Małego Willie’ego” Byrona. Pete przekazuje też pewnie listę pasażerów, z trzema nazwiskami zakreślonymi na czerwono; to już trochę denerwuje Willie’ego, a ludzie w Langley i Mglistym Bagienku[2] zaczynają się zastanawiać, gdzie był przeciek... John poniechał

tych rozważań. Mieli do czynienia z przypadkowym wydarzeniem, które po prostu wywoła ożywioną aktywność w pomieszczeniu operacyjnym budynku starej centrali w Langley. Być może.

Czas się trochę ruszyć. Clark bardzo powoli odwrócił głowę w kierunku Domingo Chavez, od którego dzieliło go zaledwie jakieś siedem metrów. Kiedy już nawiązali kontakt wzrokowy, dotknął palcem czubka nosa; wyglądało to, jakby się podrapał. Ding Chavez zrobił to samo... i wciąż miał na sobie marynarkę. Jest przyzwyczajony do cieplejszego klimatu, pomyślał

John, i prawdopodobnie w samolocie było mu chłodno. Dobrze. Więc ma swojego *H&K USP*...

Prawdopodobnie... Ding najchętniej nosił go w kaburze na plecach, ale nie było to najlepszym rozwiązaniem dla faceta przypiętego pasem bezpieczeństwa do fotela w samolocie. Tak, czy inaczej, Chavez orientował się w sytuacji i miał dość zdrowego rozsądku, żeby niczego nie robić... na razie. Jaka może być reakcja Dinga, mającego obok ciężarną żonę? Domingo był

bystry i nie tracił nerwów pod presją, ale był też Latynosem i łatwo wpadał w gniew. Nawet John Clark, mimo swego całego doświadczenia, dostrzegał u innych skazy, które w wypadku jego samego wydawały mu się czymś zupełnie naturalnym. Jego żona też siedziała obok i była wystraszona, a przecież nie powinna się obawiać o swoje bezpieczeństwo... Jej mąż sam wybrał

sobie zawód, mający zagwarantować, że...

Jeden z porywaczy wodził wzrokiem po liście pasażerów. W porządku, przynajmniej się okaże, czy był jakiś przeciek, pomyślał John. Ale jeśli tak, to nie mógł na to nic poradzić. Jeszcze nie teraz. Najpierw musi się dowiedzieć, o co tu chodzi. Czasem trzeba po prostu siedzieć, czekać i...

Facet z lewego przejścia przeszedł kilka kroków i spojrzał na kobietę, siedzącą przy oknie, obok Alistaira.

— Kim jesteś? — spytał po hiszpańsku.

Kobieta podała nazwisko, którego John nie dosłyszał. Było to jakieś hiszpańskie nazwisko, ale z odległości siedmiu metrów głos docierał nie dość wyraźnie, głównie dlatego, że kobieta odpowiedziała cicho, grzecznie... z klasą, pomyślał. Żona dyplomaty? Alistair, wciśnięty w oparcie fotela, patrzył szeroko otwartymi, niebieskimi oczami na faceta z bronią, przesadzając trochę z próbą okazywania strachu.

— Pistolet! To pistolet! — rozległ się okrzyk jakiegoś mężczyzny w tylnej części samolotu.

Niech to diabli. Teraz już wszyscy wiedzą. Facet z prawego przejścia zastukał do drzwi kabiny pilotów i wsadził głowę do środka, żeby przekazać tę dobrą wiadomość.

— Panie i panowie... tu kapitan Garnet... Zostałem, hm, poinstruowany, żeby powiedzieć państwu, iż zbaczamy z planowej trasy lotu... Mamy na pokładzie kilku, hm, gości, którzy powiedzieli mi, że mam lecieć do Lajes na Azorach. Powiedzieli, że nie chcą nikogo skrzywdzić, ale są uzbrojeni, więc zamierzamy zrobić dokładnie to, czego chcą. Zachowajcie państwo spokój, pozostańcie na swoich miejscach i starajcie się nie tracić nerwów. Zgłoszę się później. — To była dobra wiadomość: kapitan musiał przejść przeszkolenie wojskowe; głos miał zupełnie opanowany, bez cienia emocji. Dobrze.

Lajes na Azorach, zastanawiał się Clark. Kiedyś była tam baza Marynarki USA... wciąż czynna? Może tylko jako baza paliwowa dla samolotów, wykonujących długie loty nad oceanem? Facet po lewej stronie mówił po hiszpańsku i otrzymał odpowiedź również po hiszpańsku. Czyli cała ta trójka raczej nie pochodzi z Bliskiego Wschodu. Język hiszpański.

Baskowie? Hiszpania wciąż borykała się z tym problemem. Ta kobieta. Kim mogła być? Clark spojrzał w jej stronę. Wszyscy rozglądali się dookoła, więc i on mógł to zrobić, nie zwracając na siebie uwagi. Musiała niedawno przekroczyć pięćdziesiątkę. Dobrze utrzymana. Żona ambasadora Hiszpanii w Waszyngtonie?

Facet z lewej przesunął wzrok na następny rząd. — Kim jesteś?

— Alistair Stanley — padła odpowiedź. Clark wiedział, że zatajanie prawdziwego nazwiska nie miało sensu. Podróżowali jawnie. Nikt nie wiedział o ich agencji. Jeszcze jej nawet nie uruchomili. Niech to cholera, pomyślał Clark.

— Jestem Brytyjczykiem — dodał Stanley drżącym głosem. — Mój paszport jest w torbie na górze...

— Uniósł rękę i dostał po niej lufą pistoletu.

Nieźle, pomyślał John, nawet jeśli się nie udało. Alistair liczył, że zdejmie torbę, pokaże paszport i już będzie miał broń w garści.

Szkoda, że tamten uwierzył mu na słowo. Cóż, ten brytyjski akcent... Tak, czy inaczej, Alistair nie stracił głowy. Trzy wilki nie zdawały sobie sprawy, że w stadzie owiec były trzy psy.

Cholernie groźne psy.

Willie pewnie właśnie telefonuje. Delta cały czas trzymała w pogotowiu grupę szybkiego reagowania, która teraz powinna się przygotowywać do akcji. Pułkownik Byron z pewnością jest z nimi. „Mały Willie” był właśnie takim żołnierzem. Jego oficer operacyjny i sztab śledzili rozwój wydarzeń, podczas gdy on sam dowodził w pierwszej linii. Kręciło się już mnóstwo trybów maszyny. Tak naprawdę, John i jego przyjaciele musieli tylko siedzieć spokojnie... dopóki porywacze zachowywali spokój.

Znów hiszpański po lewej stronie. — Gdzie jest twój mąż? — spytał groźnie jeden z tamtych. Był wyraźnie wściekły. Pasuje, pomyślał John. Ambasadorowie są dobrym celem. Ale ich żony również. Ta kobieta wyglądała zbyt dobrze, żeby być żoną jakiegoś podrzędnego dyplomaty. A więc ktoś znaczny, prawdopodobnie arystokrata. Hiszpanie wciąż jeszcze mieli swoją arystokrację. Prestiżowy cel stanowił skuteczny środek nacisku na władze hiszpańskie.

Spieprzyli sprawę, przemknęło mu następnie przez głowę. Chcieli dostać ambasadora, a nie jego żonę i teraz będą bardzo niezadowoleni. Złe rozpoznanie, chłopcy, pomyślał Clark, widząc gniew na ich twarzach. Nawet mnie się to czasem przytrafia. Tak, ciągnął tę myśl, mniej więcej co drugi raz, jeśli trafi się dobry rok. Dwaj, których widział, rozmawiali ze sobą... bardzo cicho, ale gestykulacja i mimika mówiły wszystko. Byli wkurzeni. A więc miał do czynienia z trzema (czy więcej?) wkurzonymi terrorystami z bronią na pokładzie dwusilnikowego samolotu nocą nad Północnym Atlantykiem. Mogło być gorzej, powiedział sobie. Jasne, mogli na przykład mieć marynarki uszyte z semtexu i wykończone lamówką z lontu.

Mają po dwadzieścia kilka lat, pomyślał Clark. W tym wieku mogą już być technicznie sprawni, ale nadal wymagają nadzoru kogoś starszego. Małe doświadczenie operacyjne, niedostateczna zdolność oceny sytuacji. Myślą, że pozjadali wszystkie rozumy, że są naprawdę sprytni. To był problem ze śmiercią. Wyszkoleni żołnierze wiedzieli o niej więcej niż terroryści.

Ci trzej cholernie chcieli odnieść sukces i tak naprawdę nie brali pod uwagę żadnej alternatywy.

Może to samowolna operacja? Separatyści baskijscy nigdy nie atakowali cudzoziemców, czyż nie tak? Na pewno nie Amerykanów, a to był przecież amerykański samolot. To oznaczało poważne naruszenie niepisanej umowy. Samowolna operacja? Zapewne. Niedobrze.

W sytuacjach takich jak ta, mile widziana była jakaś przewidywalność. Nawet terroryzm kieruje się

pewnymi zasadami. To niemal jak liturgia: kolejne kroki, które wszyscy muszą poczynić, zanim stanie się coś naprawdę złego. Ludzie z oddziału antyterrorystycznego mają dzięki temu szansę porozmawiania z terrorystami. Ściągnąć negocjatora, nawiązać kontakt, na początek negocjować w drobnych sprawach: — Bądźcie ludźmi, wypuście kobiety i dzieci, dobrze? Nic was to nie kosztuje, a w tej chwili całe wasze ugrupowanie jawi się w niekorzystnym świetle. Pomyślcie o telewizji. — Doprowadzić do tego, żeby zaczęli iść na ustępstwa. Potem ludzie w podeszłym wieku — kto chciałby rozwalić dziadka czy babcię? Potem żywność, może zaprawiona Valium, podczas gdy grupa rozpoznawcza zespołu antyterrorystycznego zaczyna szpikować samolot mikrofonami i miniaturowymi kamerami umieszczonymi na końcach kabli światłowodowych.

Idioci, pomyślał Clark. Stoją na przegranych pozycjach. To prawie równie głupie, jak porywanie dzieci dla okupu. Gliny aż za dobrze potrafiły odnajdywać takich gnojków, a „Mały Willie” z pewnością wsiada w tej chwili do samolotu transportowego Sił Powietrznych USA w bazie lotniczej Pope. Gdyby rzeczywiście mieli lądować w Lajes, cały ten western powinien się rozpocząć już bardzo niedługo i jedyną niewiadomą było to, ilu facetów w białych kapeluszach dostanie w łeb, zanim wykończeni zostaną faceci w czarnych kapeluszach. Clark pracował już z chłopakami pułkownika Byrona. Jeśli wejdą na pokład samolotu, co najmniej trzech ludzi nie ujdzie z życiem. Pytanie, jak liczne będą mieli towarzystwo w tej ostatniej drodze? Szturm na samolot pasażerski to tak, jak strzelanina w szkole podstawowej, tyle że wewnątrz jest bardziej zatłoczone.

Znów rozmawiali na przedzie, prawie nie zwracając uwagi na to, co działo się na pokładzie. Niby słusznie — kabina pilotów była najważniejsza, ale przecież zawsze powinno się mieć na oku całą resztę. Nigdy nie wiadomo, kto może się znajdować na pokładzie. Uzbrojona ochrona samolotów należała już dawno do przeszłości, ale przecież gliniarze też podróżują samolotami, a niektórzy mają przy sobie broń... No, może nie podczas lotów międzynarodowych, ale w świecie terroryzmu głupota była gwarancją, że się nie dożyje emerytury. Dość kłopotów z przetrwaniem mieli nawet ci bystrzy. Amatorzy. Samowolna operacja. Złe rozpoznanie. Gniew i frustracja. Sprawy miały się coraz gorzej. Jeden z nich zacisnął lewą dłoń w pięść i pogroził nią całemu nieprzyjaznemu światu, jaki zastali na pokładzie.

Pięknie, pomyślał John. Odwrócił się w fotelu, ponownie napotkał wzrok Dinga i delikatnie pokręcił głową. Odpowiedzią była uniesiona brew.

Atmosfera zmieniła się, i to nie na lepsze. Numer 2 znów poszedł do przodu, do kabiny pilotów i pozostał tam przez kilka minut, podczas gdy John i Alistair obserwowali tego po lewej stronie, stojącego ze wzrokiem utkwionym w przejściu. Po dwóch minutach tej obserwacji facet, wyraźnie sfrustrowany, odwrócił się gwałtownie i patrzył teraz na tył samolotu, wyciągnąwszy szyję, jakby chciał skrócić dystans. Na twarzy malował mu się na przemian wyraz władzy i bezradności. Potem, równie gwałtownie, ruszył w kierunku ogona, zatrzymując się tylko na chwilę, żeby odwrócić głowę i obrzucić drzwi kabiny pilotów gniewnym spojrzeniem.

Jest ich tylko trzech, powiedział do siebie John w chwili, kiedy Numer 2 powrócił z kabiny pilotów. Numer 3 był zbyt podekscytowany. Tylko ci trzej? — zastanawiał się. Przemyśl to, powiedział sobie. Jeśli tak, to nie ulega kwestii, że są amatorami. Jako uczestnicy jakiegoś teleturnieju byłiby może zabawni, ale nie na wysokości dwunastu kilometrów nad Atlantykiem, przy prędkości 900 kilometrów na godzinę. Gdyby zdołali zachować spokój i pozwolili pilotowi posadzić tę

dwusilnikową bestię na ziemi, może górę wzięłyby zdrowy rozsądek. Ale trudno po nich oczekiwać spokoju, prawda?

Zamiast zająć pozycję, umożliwiającą kontrolowanie prawego przejścia, Numer 2 wrócił do Numeru 3 i zaczęli rozmawiać ochryplym szeptem. Clark nie rozumiał treści, ale kontekst był dla niego jasny. A kiedy Numer 2 wskazał ręką drzwi kabiny pilotów, John zdał sobie sprawę, że sytuacja jest najgorsza z możliwych...

W rzeczywistości nikt nimi nie dowodzi, uznał Clark. Wprost cudownie: trzech odszczepieńców z bronią w tym pieprzonym samolocie. Nadszedł czas, żeby zacząć się bać.

Clark wiedział, co to strach. Aż nazbyt często bywał w opałach, ale dotychczas zawsze dysponował jakimś elementem umożliwiającym kontrolowanie sytuacji, a jeśli nie, to przynajmniej mógł coś zrobić, na przykład uciec. Nigdy dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak pocieszająca jest świadomość, że ma się dokąd uciec. Przymknął oczy i odetchnął głęboko.

Numer 2 poszedł na tył, żeby przyjrzeć się kobiecie siedzącej koło Alistaira. Stał tam przez kilka sekund, gapiąc się na nią, a potem spojrzął na Alistaira, który odpowiedział

przygaszonym spojrzeniem.

— Tak? — spytał wreszcie Brytyjczyk swym jakże kulturalnym akcentem.

— Kim jesteś? — warknął Numer 2.

— Powiedziałem już pańskiemu przyjacielowi. Alistair Stanley. Mam paszport w torbie podręcznej, więc jeśli chciałby pan go zobaczyć... — Głos drżał mu trochę, potęgując wrażenie przestraszonego człowieka, który za wszelką cenę usiłuje opanować strach.

— Pokaż go!

— Oczywiście, proszę pana. — Były major SAS powoli odpiął pas bezpieczeństwa, wstał, otworzył schowek nad głową i wyjął czarną podręczną torbę. — Pozwoli pan? — spytał.

Numer 2 odpowiedział skinieniem głowy. Alistair odsunął zamek błyskawiczny bocznej kieszeni, wyjął paszport i podał go tamtemu, po czym usiadł z powrotem, oparłszy torbę na kolanach i przytrzymując ją drżącymi rękoma.

Numer 2 obejrzał paszport i rzucił go Brytyjczykowi na kolana. John bacznie wszystko obserwował. Porywacz zwrócił się po hiszpańsku do kobiety w fotelu 4A. — Gdzie jest twój mąż? — czy coś w tym rodzaju. Kobieta odpowiedziała tym samym kulturalnym tonem co kilka minut wcześniej i Numer 2 pobiegł, żeby znów porozmawiać z Numerem 3. Alistair odetchnął

głęboko i rozejrzał się po kabinie, jakby sprawdzając, czy wszystko w porządku, aż w końcu napotkał wzrok Johna. Ręce trzymał nieruchomo, twarz miał kamienną, ale John i tak wiedział, co Brytyjczyk myśli. Alowi też nie podobała się ta sytuacja. Co więcej, widział Numer 2 i Numer 3 z bliska, patrzył im prosto w oczy. John musiał to uwzględnić w swoim procesie myślowym.

Alistair Stanley też był zaniepokojony. Anglik uniósł rękę, jakby chciał odsunąć sobie włosy z czoła i jednym z palców stuknął się dwukrotnie w czaszkę nad uchem. John pomyślał, że sprawy stoją może nawet gorzej niż przypuszczał.

Clark wysunął rękę tak, żeby nie widzieli jej ci dwaj na przedzie kabiny i uniósł trzy palce. Al nieznacznie skinął głową i odwrócił wzrok na kilka sekund, dając Johnowi czas na zastanowienie. Zgadzał się, że tamtych było tylko trzech. John skinieniem głowy podziękował

mu za potwierdzenie.

O wiele lepiej byłoby mieć do czynienia z inteligentnymi terrorystami, ale ci inteligentni nie podejmowali już takich akcji. Szansę powodzenia były po prostu za małe — Izraelczycy udowodnili to w Ugandzie, a Niemcy w Somalii. Terrorysty byli bezpieczni tylko do czasu, kiedy samolot znajdował się w powietrzu, a przecież nie mógł latać w nieskończoność. Kiedy wylądował, siły bezpieczeństwa rzucały się na nich z prędkością błyskawicy i potęgą tornada z Kansas. Problem w tym, że wcale nie tak wielu ludzi naprawdę chciało zginąć przed ukończeniem trzydziestki. A ci, którzy tego chcieli, używali bomb. Ci inteligentni postępowali więc inaczej. Czyniło to z nich bardziej niebezpiecznych przeciwników, ale też byli przewidywalni. Nie zabijali ludzi dla przyjemności i nie wpadali we wściekłość od samego początku, ponieważ fachowo planowali swe operacje.

Ci trzej byli zaś idiotami. Działali na podstawie błędnych informacji, nie dysponowali ekipą wywiadowczą, która przeprowadziłaby ostateczną kontrolę przed operacją i powiadomiłaby ich, że cel ich ataku nie dotarł do samolotu. Stali więc teraz jak głupcy, ich operacja okazała się fiaskiem, zdawali sobie sprawę, że niczego nie osiągną, a czeka ich śmierć lub dożywotnie więzienie. Jediną pociechą, jeśli można to tak nazwać, było to, że pójdą do więzienia w Stanach Zjednoczonych.

Nie chcieli spędzić reszty życia w stalowej klatce, tak samo jak nie chcieli zginąć, ale wkrótce musieli sobie zdać sprawę, że innej ewentualności nie ma. I że władzę dawała im tylko broń, którą trzymali w rękach, więc równie dobrze mogą zacząć jej używać, żeby postawić na swoim...

...a John Clark musiał zdecydować, czy czekać, aż się to zacznie...

Nie. Nie mógł tak po prostu siedzieć i czekać, aż zaczną zabijać ludzi.

W porządku. Obserwował tamtych dwóch jeszcze przez dłuższą chwilę, widział, jak spoglądają na siebie, próbując kontrolować oba przejścia i zastanawiał się, jak ma to zrobić.

Najprostsze plany były zwykle najlepsze, obojętne, czy przeciwnik był inteligentny, czy głupi.

Minęło jeszcze pięć minut, zanim Numer 2 postanowił znów porozmawiać z Numerem 3.

Kiedy już zaczęli szeptać, John odwrócił się na tyle, żeby spojrzeć na Dinga i przesunął palcem po



górną wardze, jakby wygładzał wąsy, których zresztą nigdy nie nosił. Chavez uniósł głowę, jakby pytając, czy Clark jest pewny, ale znak zrozumiał. Rozluźnił pas bezpieczeństwa i sięgnął

lewą ręką za siebie, wyciągając pistolet na oczach swej przerażonej żony, którą poślubił zaledwie przed sześcioma tygodniami. Domingo dotknął jej prawej ręki, żeby ją uspokoić, przykrył broń serwetką, po czym przybrał obojętny wyraz twarzy i czekał, aż *señor* rodziny da sygnał do działania.

— Hej, ty! — zawołał Numer 2 z przedniej części kabiny.

— Tak? — odparł Clark, ostentacyjnie patrząc przed siebie.

— Siedź spokojnie! — Angielski tego faceta nie był zły. Cóż, w hiszpańskich szkołach nauka angielskiego stoi podobno na dobrym poziomie.

— Hm, widzisz, wypłem kilka drinków i... sam wiesz, jak to jest. Mógłbym, *por favor*?

— zapytał John z głupkowskim wyrazem twarzy.

— Nie! Masz zostać na swoim miejscu!

— Hej, co chcesz zrobić? Zastrzelić faceta, który musi się odlać? Proszę.

Numer 2 i Numer 3 wymienili spojrzenia, zdające się mówić: o kurwa, tego nam jeszcze brakowało! — po raz kolejny potwierdzając w ten sposób swój status amatorów. Dwie stewardesy, przypięte pasami do swoich foteli w przedniej części kabiny, sprawiały wrażenie przerażonych, ale nic nie mówiły. John nie dawał za wygraną — odpiął swój pas i zaczął

wstawać.

Numer 2 podbiegł do niego z bronią w ręku, ale nie przystawił jej Johnowi do piersi.

Sandy miała oczy szeroko otwarte. Nigdy nie widziała swego męża, robiącego coś choć trochę niebezpiecznego, ale wiedziała, że w tej chwili to nie ten sam facet, który spał obok niej przez ostatnie dwadzieścia pięć lat. A skoro tak, to jest to ten inny Clark, ten, o którego istnieniu wiedziała, ale którego nigdy nie widziała.

— Słuchaj, pójdę, odleję się i wrócę, dobrze? Co, do diabła, chcesz popatrzeć? —

powiedział, a jego głos brzmiał teraz trochę niewyraźnie, jakby zaczęło działać wino, którego pół kieliszka wypił przed startem. — Nie ma sprawy, ale proszę, nie każ mi robić w portki, dobrze?

Ostatecznie zdecydowała postura Clarka — prawie metr dziewięćdziesiąt, umięśnione przedramiona, widoczne z podwiniętych rękawów. Numer 3 był niższy o dobre dziesięć centymetrów i lżejszy o kilkanaście kilo, ale miał broń, a ludziom jego pokroju przyjemność sprawiało narzucanie swojej woli większym od siebie. Numer 2 złapał Johna za lewą rękę, odwrócił go i popchnął na tył kabiny, w kierunku prawej toalety. John skulił się i ruszył, trzymając ręce nad głową.

— *Gracias amigo* — powiedział, otwierając drzwi. Głupi jak but Numer 2 pozwolił mu te drzwi zamknąć. Ze swej strony, John zrobił to, na co otrzymał pozwolenie, potem umył ręce i spojrział w lustro.

Hej, Wężu, potrafisz to jeszcze? — spytał się w myślach.

Zaraz się przekonamy.

Odryglował zamek i otworzył drzwi z wyrazem ogromnej ulgi i wdzięczności na twarzy.

— Hej, wielkie dzięki.

— Z powrotem na miejsce!

— Chwileczkę, wezmę sobie tylko filiżankę kawy, dobrze? — John zrobił krok do tyłu, a Numer 2 bezmyślnie poszedł zanim, żeby go pilnować, a potem złapał Clarka za ramię i odwrócił do siebie.

— *Buenas noches* — powiedział cicho Ding, mierząc Numerowi 2 w skroń z odległości niespełna trzech metrów. Tamten spostrzegł kawałek metalu, który musiał być bronią, i na chwilę odwrócił uwagę od Johna, któremu to zupełnie wystarczyło. Clark zamachnął się prawą ręką i pięścią uderzył terrorystę w prawą skroń. Cios był wystarczająco silny, żeby tamtego ogłuszyć.

— Jaką masz amunicję?

— Poddźwiękową — odpowiedział szeptem Ding. — Jesteśmy na pokładzie samolotu, *mano* — przypomniał swemu dyrektorowi.

— Bądź gotów — rozkazał po cichu John. Odpowiedzią było skinienie głową.

— Miguel! — zawołał głośno Numer 3.

Clark przesunął się w lewo, przystanął, żeby nalać sobie kawy z ekspresu do jednej z ustawionych tam filiżanek na spodeczkach, wziął też łyżeczkę, pojawił się z powrotem w lewym przejściu i ruszył naprzód.

— Kazał to panu przynieść. Dziękuję, że pozwoliliście mi skorzystać z toalety —

powiedział John trzęsącym się, ale pełnym wdzięczności głosem. — Proszę, to pańska kawa, sir.

— Miguel! — wrzasnął jeszcze raz Numer 3.

— Wyszedł tamtędy. Proszę, pańska kawa. Mam wrócić na swoje miejsce, tak? — John zrobił kilka kroków naprzód i zatrzymał się, mając nadzieję, że Numer 3 nie przestanie zachowywać się jak amator.

Nie przestał. Ruszył w kierunku Clarka. John skulił się trochę, a spodeczek i filiżanka zaczęły mu się trząść w ręku. Dokładnie w chwili, kiedy Numer 3 podszedł do niego, patrząc na prawa stronę samolotu w poszukiwaniu kolegi, Clark upuścił spodek i filiżankę na podłogę i pochylił się, żeby je podnieść. Znajdował się pół kroku za siedzeniem Alistaira.

Numer 3 machinalnie też się pochylił. Był to jego ostatni błąd tego wieczoru.

John chwycił rękami jego pistolet, przekręcił na bok i w górę, aż lufa zagłębiła się w brzuchu terrorysty. Broń może by i wystrzeliła, ale Alistair zdzielił porywacza swoim *Browningiem Hi-Power* w kark, tuż poniżej podstawy czaszki i Numer 3 osunął się bezwładnie jak szmaciana lalka.

— Strasznie z ciebie niecierpliwy facet — mruknął Stanley. — Ale świetnie się spisales.

— Odwrócił się, wyciągnął rękę w kierunku najbliższej stewardesy i pstryknął palcami.

Wystrzeliła ze swego fotela jak z procy i podbiegła do nich. — Lina, sznur, cokolwiek, żeby ich związać! Szybko!

John podniósł pistolet terrorysty, natychmiast wyjął magazynek i odciągnął zamek, żeby wyrzucić nabój z komory. W ciągu dwóch następnych sekund fachowo rozłożył broń i cisnął

części pod nogi towarzyszki podróży Alistaira, której brązowe oczy były szeroko otwarte ze strachu.

— Ochrona lotu, proszę pani. Proszę się nie niepokoić — wyjaśnił Clark.

Kilka sekund później pojawił się Ding, ciągnąc za sobą Numer 2. Stewardesa wróciła z kłębkim sznurka.

— Ding, kabina pilotów — rozkazał John.

— Zrozumiałem, panie C. — Chavez ruszył, trzymając *USP* w obu rękach. Zatrzymał się przy drzwiach kabiny. Na podłodze Clark zajęty był wiązaniem. Jego ręce pamiętały jeszcze węzły żeglarskie sprzed trzydziestu lat. Ciekawe, pomyślał, zaciągając je tak ciasno, jak tylko mógł. Jeśli tamtym ręce szernieją, to trudno.

— Jeszcze jeden, John — szepnął Stanley.

— Miej na oku naszych obu przyjaciół.

— Z przyjemnością. Bądź ostrożny. Tu wszędzie dookoła pełno urządzeń elektronicznych.

— Mnie to mówisz?

John ruszył naprzód, nadal bez broni. Chavez pozostał przy drzwiach. Pistolet trzymał w obu rękach, z lufą skierowaną do góry i wpatrywał się w drzwi.

— No i jak, Domingo?

— Myślałem właśnie o sałatce i cielęcinnie, lista win też nie jest zła. John, to nie jest dobre miejsce na strzelaninę. Ściągnijmy go na tył samolotu.

Z taktycznego punktu widzenia było to rozsądne. Wychodząc z kabiny pilotów, Numer 1 będzie stał twarzą w kierunku ogona i, jeśli strzeli, pocisk najprawdopodobniej nie uszkodzi samolotu. Co prawda ludziom z pierwszego rzędu może się to nie spodobać. John pobiegł na tył

samolotu, po spodek i filiżankę.

Clark przywołał gestem stewardesę. — Proszę zadzwonić do kabiny pilotów. Niech pilot powie naszemu przyjacielowi, że Miguel go potrzebuje. Potem niech się pani nie rusza z miejsca.

Kiedy drzwi się otworzą, a on by panią o coś spytał, proszę tylko wskazać mnie ręką, dobrze?

Miała około czterdziestu lat, była elegancka i całkiem opanowana. Sięgnęła po telefon i przekazała wszystko dokładnie tak, jak prosił.

Kilka sekund później drzwi się otworzyły i Numer 1 wyrzwał z kabiny. W pierwszej chwili jedyną osobą, którą widział, była stewardesa, która wskazała ręką na Johna.

— Kawy?

Tamten, zupełnie dezorientowany, zrobił krok w kierunku wielkiego mężczyzny z filiżanką. Lufa jego pistoletu była skierowana na podłogę.

— Cześć — powiedział Ding z lewej strony, przystawiając mu pistolet do głowy.

Znów chwila dezorientacji. Numer 1 zawahał się i jeszcze nie zaczął unosić ręki.

— Rzuć broń! — powiedział Chavez.

— Będzie lepiej, jeśli zrobisz, co ci każe — dodał John swą nienaganną hiszpańszczyzną.

— Albo mój przyjaciel cię zabije.

Tamten rozglądał się gorączkowo po kabinie w poszukiwaniu kolegów, ale nigdzie nie było ich widać. Wyraz dezorientacji ostro malował się na jego twarzy. John zrobił krok w jego kierunku, sięgnął po broń i bez oporu wyjął ją z ręki. Wsadził ją sobie za pasek, po czym przewrócił terrorystę na podłogę, żeby go obszukać — w tym czasie Ding nie odrywał lufy pistoletu od karku terrorysty. Z tyłu Alistair rewidował pozostałych dwóch.

— Dwa magazynki... nic więcej. — John pomachał na stewardesę, która podała mu sznurek.

— Durnie — prychnął Chavez po hiszpańsku, po czym spojrział na swego szefa. — John, nie uważasz, że to było trochę zbyt ryzykowne?

— Nie — odparł Clark, wstał i wszedł do kabiny pilotów. — Kapitanie...

— Kim pan, do diabła, jest? — Piloci nie mieli pojęcia, co się stało.

— Jakie jest najbliższe lotnisko wojskowe?

— Gander — odpowiedział natychmiast drugi pilot.

— Więc lecimy tam. Kapitanie, samolot jest znów w pańskich rękach. Związaliśmy wszystkich trzech.

— Kim pan jest? — spytał ponownie kapitan Will Garnet, dość ostrym tonem. Napięcie jeszcze go nie opuściło.

— Po prostu facetem, który chciał pomóc — odpowiedział John beznamiętnie i kapitan zrozumiał. Garnet był kiedyś pilotem wojskowym. — Czy mogę skorzystać z pańskiego radia, sir?

Kapitan wskazał gestem składane krzeselko i pokazał mu, jak korzystać z radiostacji.

— Tu United, rejs Dziewięć-Dwa-Zero — powiedział Clark. — Z kim mówię? Odbiór.

— Tu agent specjalny FBI, Carney. Kim pan jest?

— Carney, zadzwoń do dyrektora i powiedz mu, że Tęcza Sześć jest na linii. Sytuacja opanowana. Bez ofiar. Lecimy do Gander, potrzebna nam będzie pomoc Mounties[3]. Odbiór.

— Tęcza?

— Dokładnie tak, agencie Carney. Powtarzam, sytuacja opanowana. Trzej porywacze ujęci. Zaczekam, żeby porozmawiać z dyrektorem.

— Tak, proszę pana — odpowiedział bardzo zdziwiony głos. Clark spojrział na swoje ręce. Trzęsły się trochę, teraz, kiedy już było po wszystkim. Cóż, raz, czy dwa już mu się to kiedyś przydarzyło. Samolot skręcał w lewo. Pilot rozmawiał przez radio, prawdopodobnie z Gander.

— Dziewięć-Dwa-Zero, Dziewięć-Dwa-Zero, to znów agent Carney.

— Carney, tu Tęcza. — Clark zrobił przerwę. — Kapitanie, czy to połączenie radiowe jest bezpieczne?

— Transmisja jest kodowana.

John omal się sam nie skłął za naruszenie zasad korespondencji radiowej. — W porządku, Carney, co się dzieje?

— Proszę zaczekać, łączę z dyrektorem. — Rozległ się trzask i trochę szumów. — John?

— spytał nowy głos.

— To ja, Dan.

— Co się dzieje?

— Trzech. Hiszpańskojęzyczni. Niezbyt rozgarnięci. Wzięliśmy ich.

— Żywych?

— Zgadza się — potwierdził Clark. — Powiedziałem pilotowi, żeby leciał do Gander.

Będziemy tam za...

— Dziewięć-zero minut — podpowiedział drugi pilot.

— Półtorej godziny — ciągnął John. — Niech Mounties już czekają, żeby zabrać tych trzech. I zadzwoń do Andrews, potrzebny będzie nam transport do Londynu.

Nie musiał wyjaśniać, dlaczego. To miał być zwykły, rejsowy lot, ale teraz trzech oficerowie — w tym dwaj z żonami — już nie podróżowali incognito. Pozostawanie na pokładzie nie miało sensu. Po co pasażerowie mieli sobie dokładnie zapamiętać ich twarze? Większość chciałaby im pewnie postawić drinka, ale to też nie był dobry pomysł. Wszelkie starania, jakich dołożono, żeby Tęcza była równie skuteczna, co tajna, wzięły w łeb przez trzech głupkowatych Hiszpanów, czy kim tam byli. Kanadyjska policja ustali to, zanim przekaże porywaczy amerykańskiej FBI.

— W porządku, John. Zaraz się tym zajmę. Zadzwonię po René, niech wszystko zorganizuje. Potrzeba ci jeszcze czegoś?

— Tak, wyślij mi kilka godzin snu, dobrze?

— Czego tylko sobie życzysz, stary — odpowiedział dyrektor FBI ze śmiechem i rozłączył się. Clark zdjął słuchawki i odwiesił je na miejsce.

— Kim pan, do diabła, jest? — domagał się odpowiedzi kapitan. Wyjaśnienia, jakie dotąd otrzymał, zupełnie go nie satysfakcjonowały.

— Moi przyjaciele i ja należymy do służby ochrony lotów; przypadkiem byliśmy na pokładzie. Czy to jasne, sir?

— Chyba tak — odparł Garnet. — Jestem szczęśliwy, że się wam udało. Ten, który był

tu, w kabinie, wyglądał na trochę nienormalnego, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Przez chwilę cholernie się niepokoiiliśmy.

Clark uśmiechnął się i pokiwał głową ze zrozumieniem. — Ja też.

Robili to już od jakiegoś czasu. Niebieskie mikrobusy — było ich cztery — krążyły po Nowym Jorku, zbierając bezdomnych i dostarczając ich do schronisk, prowadzonych przez korporację. Lokalna telewizja już rok temu informowała o tej jakże pożytecznej, dobrze zorganizowanej operacji. Korporacja otrzymała dziesiątki ciepłych listów, a potem wszyscy zapomnieli, jak to zwykle bywa. Dochodziła północ, jesień była tego roku dość chłodna.

Mikrobusy były w drodze, zbierając bezdomnych ze środkowego i dolnego Manhattanu. Robiono to zupełnie inaczej niż kiedyś policja. Ludzie, którym pomagano, nie byli do niczego zmuszani.

Ochotnicy z korporacji pytali grzecznie, czy delikwent nie chciałby spędzić nocy w łóżku z czystą pościelą, bezpłatnie i bez żadnych komplikacji religijnych, typowych dla większości

„misji”, jak nazywano tego rodzaju placówki. Tym, którzy odmawiali, zostawiano koce, ofiarowane przez pracowników korporacji, śpiących teraz we własnych łóżkach lub oglądających telewizję — także dla personelu udział w tym programie był dobrowolny. Niektórzy bezdomni woleli nie korzystać z pomocy; może czuli się w ten sposób wolni. Większość korzystała —

nawet nałogowi pijacy lubią łóżka i prysznice. W tej chwili było ich w mikrobusie dziesięciu i dla kolejnych brakowało już miejsca. Wszystkim ochotnicy pomogli wejść do samochodu i zapiąć pasy ze względów bezpieczeństwa.

Żaden nie wiedział, że był to PIĄTY z czterech mikrobusów operujących na dolnym Manhattanie, chociaż kiedy ruszyli, wydało im się, że tym razem coś się zmieniło. Ochotnik siedzący obok kierowcy odwrócił się i rozdał butelki czerwonego wina kalifornijskiego, niedrogiego, ale i tak lepszego niż to, które zwykle pili. Do tego wina dodano czegoś...

Kiedy dotarli na miejsce, wszyscy spali albo przynajmniej sprawiali wrażenie zupełnie otepiałych. Tym, którzy jeszcze mogli się ruszać, pracownicy pomogli wyjść z mikrobusu i przesiąść się do innego, gdzie przypasano ich do niewielkich prycz i pozwolono spać. Resztę po prostu przeniesiono na prycze. Pierwszy mikrobus odjechał do myjni — używano pary pod ciśnieniem, żeby wewnątrz pojazdu oczyścić i wysterylizować. Drugi mikrobus ruszył do miasta autostradą West Side, wjechał ślimakiem na most Jerzego Waszyngtona i wkrótce był już na drugim brzegu rzeki Hudson. Stamtąd skierował się na północ, przez północno-wschodni kraniec stanu New Jersey, a potem z powrotem do stanu Nowy Jork.

Okazało się, że pułkownik Byron był już w powietrzu na pokładzie *KC-10* Sił

Powietrznych USA, lecącego tym samym kursem, co godzinę wcześniej 777 linii United.

Również *KC-10* skręcił na północ, kierując się do Gander. W byłej bazie samolotów zwiadowczych *E-3 Sentry* trzeba było obudzić personel, żeby zająć się przybywającymi samolotami, ale to był

najmniejszy problem.

Trzem niedoszłym porywaczom zasłonięte oczy, związano ich i położono na podłodze tuż przed pierwszym rzędem foteli w kabinie pierwszej klasy, którą zaanektowali John, Ding i Alistair. Podano kawę. Pozostali pasażerowie trzymali się z daleka od tej części samolotu.

— Podoba mi się sposób, w jaki do takich sytuacji podchodzą Etiopczycy — zauważył

Stanley, sącząc herbatę.

— A co to za sposób? — spytał Chavez zmęczonym głosem.

— Kilka lat temu była próba porwania samolotu ich narodowych linii lotniczych. Na pokładzie byli przypadkiem faceci ze służby bezpieczeństwa, którzy opanowali sytuację. Potem przypasali porywaczy do foteli w pierwszej klasie, owinęli im głowy ręcznikami, żeby nie pobrudziło się obicie i poderżnęli im gardła, jeszcze zanim samolot wylądował. I wyobraźcie sobie...

— Już wiem — powiedział Ding. — Od tego czasu nikt nie naraził się tym liniom lotniczym. Proste, ale skuteczne.

— Rzeczywiście. — Odstawił filiżankę. — Mam nadzieję, że tego rodzaju rzeczy nie zdarzają się zbyt często.

Trzej oficerowie wyglądali przez okna, za którymi widać już było światła pasa startowego. Chwilę później 777 wylądował w bazie Kanadyjskich Królewskich Sił Powietrznych Gander. Z tyłu samolotu dobiegły przytłumione okrzyki radości i oklaski. Samolot zwolnił, podkołował do hangarów i stanął. Przednie drzwi się otworzyły. Ostrożnie podjechał do nich ciągnik z hydrauliczną platformą.

John, Ding i Alistair odpięli pasy i ruszyli do drzwi, nie spuszczając jednak porywaczy z oka. Jako pierwszy wszedł na pokład oficer kanadyjskich sił powietrznych, z pasem i białą koalicijką, a za nim trzech cywilów, niewątpliwie gliniarzy.

— Pan Clark? — spytał oficer.

— To ja — zgłosił się John. — Tutaj są ci trzej, hm, podejrzani, myślę, że to odpowiednie określenie. — Uśmiechnął się. Policjanci przystąpili do dzieła.

— Alternatywny środek transportu jest już w drodze. Będzie tu mniej więcej za godzinę

— powiedział kanadyjski oficer.

— Dziękuję — odparł Clark. Wszyscy trzej poszli po swój bagaż podręczny, a w dwóch wypadkach także po żony. Patsy spała i trzeba ją było obudzić. Sandy wróciła do swojego kryminału. Dwie minuty później cała piątka była już na ziemi, a samolot kołował do cywilnego terminalu, żeby pasażerowie mogli wysiąść i rozprostować nogi w czasie, kiedy w 777



uzupełniano paliwo.

— Jak się dostaniemy do Anglii? — spytał Ding, który właśnie ulokował swoją żonę w łóżku, stojącym w jednym z nie używanych pomieszczeń.

— Wasze Siły Powietrzne wysyłają *VC- 20*. Na Heathrow będzie ktoś, kto zajmie się waszymi bagażami. Po trzech zatrzymanych leci tu niejaki pułkownik Byron — wyjaśnił najstarszy stopniem policjant.

— Tu jest ich broń. — Stanley podał trzy papierowe torby z rozłożonymi na części pistoletami. — *Browningi M-1935*, wersja wojskowa, żadnych materiałów wybuchowych. Byli absolutnymi amatorami. Sądzę, że to Baskowie. Wydaje się, że polowali na ambasadora Hiszpanii w Waszyngtonie. Jego żona siedziała koło mnie. *Señora* Constanza de Monterosa.

Winnice z tradycjami. Robią najwspanialsze clarety i madery. Naszym zdaniem była to nieautoryzowana operacja.

— A wy kim właściwie jesteście? — spytał gliniarz. Tą kwestią zajął się Clark.

— Nie możemy odpowiedzieć na to pytanie. Odsyłacie porywaczy natychmiast?

— Ottawa poinstruowała nas, żeby właśnie tak postąpić, na mocy traktatu o zwalczaniu piractwa powietrznego. Ale przecież muszę coś powiedzieć prasie.

— Niech pan powie, że trzech amerykańscy funkcjonariusze sił porządkowych byli przypadkiem na pokładzie i pomogli obezwładnić tych idiotów — poradził mu John.

— Tak, to nawet dość bliskie stanu faktycznego — zgodził się Chavez, wykrzywiając twarz w uśmiechu. — Moje pierwsze aresztowanie w życiu, John. Cholera, zapomniałem poinformować ich o przysługujących im prawach — dodał. Był tak zmęczony, że wydawało mu się to strasznie zabawne.

Powiedzieć, że przybysze byli brudni, to za mało. Dla tych, którzy musieli się nimi teraz zająć, nie było to niespodzianką, podobnie jak fakt, że śmierdzieli tak, że skunks dostałby od tego mdłości. Bezdomych przeniesiono na noszach z mikrobusu do budynku, znajdującego się kilkanaście kilometrów na zachód od Binghampton, wśród wzgórz w środkowej części stanu Nowy Jork. W łaźni wszystkim spryskano twarze substancją z pojemnika, przypominającego plastikową butelkę z płynem do mycia okien. Robiono to po kolei z każdym z nich, a następnie połowa dostała jeszcze zastrzyk w ramię. Każdy z dwóch pięcioosobowych grup otrzymał

stalową bransoletkę z numerem, od 1 do 10. Zastrzyki dostali ci z parzystymi numerami. Numery nieparzyste tworzyły grupę kontrolną. W końcu wszystkich dziesięciu bezdomych zaniesiono do sypialni, pozwalając im się wyspać po winie i narkotykach. Mikrobus, który ich przywiózł, już odjechał, zmierzając na zachód, do Illinois, żeby powrócić do normalnej działalności. Kierowca nie wiedział, w jakiej operacji uczestniczył; on tylko prowadził.



# Memorandum

Na pokładzie VC- 20B warunki były nieco spartańskie. Do jedzenia były kanapki, wino smakowało przeciętnie, ale siedzenia okazały się wygodne, a lot spokojny, więc wszyscy spali aż do chwili, kiedy pilot wysunął klapy i wypuścił podwozie, podchodząc do lądowania na Northolt, lotnisku wojskowym na zachód od Londynu. Kiedy kołowali do rampy, John zwrócił uwagę na zaawansowany wiek budynków.

— To baza Spitfire'ów z okresu Bitwy o Anglię — wyjaśnił Stanley, przeciągając się w swym fotelu. — Pozwalamy z niej korzystać także samolotom firm prywatnych.

— A więc będziemy tu częstymi gośćmi — domyślił się zaraz Ding, przecierając oczy i rozglądając za kawą. — Która godzina?

— Parę minut po ósmej czasu miejscowego, to znaczy również czasu Greenwich, prawda?

— Zgadza się — mruknął sennie Alistair.

W tym momencie zaczął padać deszcz, zapewniając właściwe przyjęcie na ziemi brytyjskiej. W odległym o sto metrów budynku recepcyjnym urzędnik brytyjski podstemplował

im paszporty i oficjalnie powitał w swoim kraju, po czym wrócił do herbaty i porannej gazety.

Na zewnątrz czekały trzy samochody, czarne limuzyny Daimlera. Wyjechali z bazy i skierowali się na zachód, a potem na południe, do Hereford. Oto dowód, że jestem cywilnym biurokratą, powiedział sobie Clark w pierwszym samochodzie. Gdyby było inaczej, polecilibyśmy śmigłowcem. Ale Brytania nie była jednak wyzbyta wszelkich zdobyczy cywilizacji. Po drodze zatrzymali się u McDonalda na kawę i jajecznicę z ciepłymi bułeczkami.

Sandy kręciła nosem na zawartość cholesterolu. Od miesięcy upominała Johna, żeby uważał.

Potem przypomniała sobie, co zaszło w samolocie.

— John?

— Tak, kochanie?

— Kim oni byli?

— Kto, ci faceci w samolocie? — Sandy skinęła głową. — Nie jestem pewien, ale prawdopodobnie separatyści baskijscy. Chyba chcieli dostać w swoje ręce ambasadora Hiszpanii, ale sknócili wszystko koncertowo. Ambasadora nie było na pokładzie; leciała tylko jego żona.

— Chcieli porwać samolot?

— Aha.

— Czy to nie straszne?

John pokiwał głową w zamyśleniu. — Tak, a byłoby jeszcze straszniejsze, gdyby byli kompetentni. Na szczęście nie byli. — Uśmiechnął się w duchu. Rety, ależ sobie wybrali lot!

Głośno nie mógł się z tego roześmiać, nie teraz, kiedy obok siedziała żona, a samochód jechał po złej stronie szosy, co sprawiało, że Clark rozglądał się nieswojo. Jak można jechać lewą stroną z prędkością... stu trzydziestu kilometrów na godzinę? Cholera! Nie obowiązywały tu ograniczenia prędkości?

— Co się z nimi stanie? — pytała dalej Sandy.

— Reguluje to traktat międzynarodowy. Kanadyjczycy odstawią ich do Stanów na proces przed sądem federalnym. Zostaną osądzeni, skazani i wsadzeni do więzienia za piractwo powietrzne. Posiedzą za kratkami przez dłuższy czas. — Nie dodał, że i tak mieli szczęście. W

Hiszpanii prawdopodobnie nie potraktowano by ich tak łagodnie.

— Coś takiego wydarzyło się po raz pierwszy od dłuższego czasu.

— Zgadza się — potwierdził Clark. Trzeba być zupełnym idiotą, żeby porywać samoloty, ale cóż, idioci najwyraźniej nie byli jeszcze gatunkiem zagrożonym wyginięciem. To dlatego właśnie został szefem organizacji nazwanej Tęcza. W wewnętrznym żargonie jego pozycję określało się jako Tęcza Sześć.

„Są dobre i złe wiadomości” — tak zaczynało się memorandum, które napisał. Jak zwykle, nie sformułował go w języku biurowym; nigdy nie opanował tego języka, mimo trzydziestu lat w CIA.

Po upadku Związku Radzieckiego i innych reżimów, których polityka była sprzeczna z interesami amerykańskimi i zachodnimi, prawdopodobieństwo wielkiej konfrontacji międzynarodowej jest mniejsze niż kiedykolwiek. To niewątpliwie najlepsza z dobrych wiadomości.

Równocześnie trzeba sobie jednak zdawać sprawę, że na świecie pozostało wielu doświadczonych, wyszkolonych terrorystów międzynarodowych, i że niektórzy z nich utrzymują kontakty z agencjami wywiadowczymi różnych krajów. Ponadto jest też faktem, że niektóre kraje, choć nie pragną bezpośredniej konfrontacji z Ameryką, czy innymi państwami zachodnimi, mogą jednak zdecydować się na wykorzystanie pozostałych na wolności terrorystów do osiągnięcia wąsko pojętych celów politycznych. Jest bardzo prawdopodobne, że problem ten będzie narastać, jako że w przeszłości duże kraje nakładały surowe ograniczenia na działalność terrorystyczną i egzekwowały je, kontrolując dostęp do broni, funduszy, szkoleń i bezpiecznych kryjówek. Wydaje się prawdopodobne, że w obecnej sytuacji światowej może się to zmienić.

Pozyskanie wsparcia, broni, szkolenia i kryjówek może się stać istotą działalności terrorystycznej, w odróżnieniu od czystości ideologicznej, której poprzednio wymagały kraje sponsorujące terrorystów.

Rozwiązanie tego — prawdopodobnie — narastającego problemu samo się narzuca: nowa, wielonarodowa grupa antyterrorystyczna. Proponuję dla niej oznaczenie kodowe Tęcza.

Proponuję też, żeby organizacja ta miała bazę w Zjednoczonym Królestwie. Powody są proste:

— Zjednoczone Królestwo posiada Special Air Service, najlepszą na świecie, to znaczy najbardziej doświadczoną, jednostkę operacji specjalnych.

— Londyn jest najłatwiej osiągalnym na świecie miejscem dla lotnictwa cywilnego, a ponadto SAS utrzymuje szczególnie przyjazne stosunki z British Airways.

— Sytuacja prawna jest szczególnie korzystna z uwagi na restrykcje wobec prasy, możliwe w ramach prawa brytyjskiego, ale nie amerykańskiego.

— Tradycyjne „specjalne stosunki” między amerykańskimi i brytyjskimi agendami rządowymi,

Z tych wszystkich powodów, proponowana grupa do zadań specjalnych, składająca się z Amerykanów, Brytyjczyków i wybranego personelu NATO, korzystająca z pełnego wsparcia narodowych służb wywiadowczych, koordynowana...

Kupili ten pomysł, powiedział do siebie Clark, uśmiechając się nieznacznie. Pomocne okazało się poparcie Eda i Mary Pat Foleyów w Gabinetcie Ovalnym, a także poparcie, jakiego udzielił generał Mickey Moore i kilku innych. Nowa agencja — Tęcza — była supertajna.

Amerykańskie fundusze na jej działalność Kapitol przekazywał za pośrednictwem Departamentu Spraw Wewnętrznych, a następnie Biura Projektów Specjalnych Pentagonu, bez żadnych powiązań z wywiadem. O istnieniu Tęczy wiedziało w Waszyngtonie mniej niż stu ludzi. O wiele mniejsza liczba byłaby, oczywiście, lepsza, ale okazało się to niewykonalne.

Droga służbowa przybrała nieco barokowy charakter. Nie dało się tego uniknąć. Wpływy brytyjskie były znaczne — aż połowę personelu operacyjnego stanowili Brytyjczycy, podobnie jak w wypadku personelu wywiadowczego — ale Clark był szefem. John wiedział, że gospodarze poszli w tym wypadku na wielkie ustępstwo. Alistair Stanley został jego zastępcą i John nie miał

nic przeciwko temu. Stanley był twardy i — co miało jeszcze większe znaczenie — był jednym z najinteligentniejszych facetów od operacji specjalnych, jakiego Clark kiedykolwiek spotkał.

Dokładnie wiedział, co, kiedy i jak trzeba robić.

W nowej pracy Clarkowi nie podobało się tylko jedno: nie był już agentem terenowym, a co gorsza, jego nowa pozycja wymagała noszenia garnituru. Biuro z dwiema sekretarkami zamiast czynnego udziału w akcjach. Cóż, zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później musiało to nastąpić.

Cholera. Nie będzie już wyruszał na akcje, ale przecież postara się być bardzo blisko swoich ludzi. Musi im koniecznie pokazać, że jest wart tego, by nimi dowodzić. Będzie pułkownikiem, a nie generałem — obiecał sobie, postanawiając, że będzie spędzał ze swymi ludźmi tyle czasu, ile tylko

będzie mógł, będzie z nimi biegał, strzelał, rozmawiał...

W następnym samochodzie Ding pomyślał właśnie, rozglądając się z zainteresowaniem po okolicy, że jego pozycji odpowiada stopień kapitana. Nigdy nie był w Wielkiej Brytanii, jeśli nie liczyć krótkich postojów na Heathrow lub Gatwick. Było tu zielono, jak na irlandzkiej poczcie. Ding miał podlegać Johnowi, panu C, dowodząc jednym z zespołów uderzeniowych, co było równoznaczne z rangą kapitana. Dawno już doszedł do wniosku, że to chyba najlepszy stopień w armii, dostatecznie wysoki, żeby podoficerowie szanowali człowieka jako zasługującego na dowodzenie, a jednocześnie na tyle niski, że zamiast wygniatać krzesła w sztabie, było się razem z żołnierzami. Spostrzegł, że siedząca obok Patsy zdrzemnęła się. Cięża dawała się jej we znaki, i to na przeróżne sposoby. Czasami jego żona wprost tryskała energią, ale zdarzało się, że była zupełnie wyprana z sił. Cóż, nosiła w łonie małego Chaveza, więc wszystko było w porządku. W jak najlepszym porządku. Cud. Prawie tak samo wielki, jak to, że znów będzie mógł robić to, czego go kiedyś nauczono — być żołnierzem. Co więcej — został

kimś w rodzaju wolnego strzelca. Szkoda tylko, że podlegał więcej niż jednemu rządowi —

facetom w garniturach, mówiącym różnymi językami — ale na to nic nie można było poradzić.

Zgłosił się na ochotnika, chcąc pozostać z Clarkiem. Ktoś musiał pilnować szefa.

W samolocie przeżył nie lada niespodziankę. John nie miał broni pod ręką. Co to znaczy, do diabła? — zastanowił się. Facet zadaje sobie trud uzyskania zezwolenia na noszenie broni na pokładzie samolotu pasażerskiego (dokument chyba najtrudniejszy na świecie do uzyskania), a potem chowa tę broń tak, że nie ma do niej dostępu? Santa Maria! Wygląda na to, że nawet John Clark się starzeje. To musiał być pierwszy błąd taktyczny, jaki przydarzył mu się od dłuższego czasu; potem próbował zatrzeć niekorzystne wrażenie, brawurowo zdejmując porywaczy. Cóż, rzeczywiście spisał się świetnie. Precyzja i opanowanie. Ale działał pochopnie, pomyślał Ding, zbyt pochopnie. Wziął Patsy za rękę. Ostatnio bardzo dużo spała. Mały pozbawiał ją sił. Ding pochylił się, żeby pocałować ją w policzek, tak delikatnie, że nawet się nie poruszyła. Spostrzegł, że kierowca przygląda mu się w lusterku wstecznym i odpowiedział spojrzeniem bez wyrazu.

Tylko kierowca, czy członek zespołu? Wkrótce się dowie.

Środki bezpieczeństwa były ostrzejsze niż Ding oczekiwał. Centrala Tęczy znajdowała się na razie w Hereford, w siedzibie 22. pułku SAS armii brytyjskiej. W rzeczywistości, środki bezpieczeństwa były nawet ostrzejsze niż na to wyglądały; człowiek z bronią wyglądał po prostu na człowieka z bronią i z pewnej odległości nie dało się określić, czy jest to zwykły wartownik, czy prawdziwy ekspert w swoim fachu. Przyjrząwszy się jednemu z nich bliżej Ding uznał, że ci faceci to zawodowcy. Można to było poznać po oczach. Chavez kiwnął głową w zamyśleniu, kiedy strażnik zajrzał do jego samochodu. Tamten również skinął głową, dając kierowcy znać, że może jechać dalej. Baza w zasadzie nie różniła się od innych baz; może tylko znaki drogowe były inne, podobnie jak pisownia niektórych słów, ale przed budynkami rozciągały się dokładnie skoszone trawniki i w ogóle wszystko wyglądało porządniej niż na obszarach cywilnych. Jego samochód zatrzymał się w rejonie kwater oficerskich, przed skromnym, ale przyzwoicie wyglądającym domem, z wydzielonym miejscem na parkowanie samochodu, którego zresztą Ding i Patsy jeszcze nie mieli. Zauważył, że

samochód Johna pojechał dalej, w kierunku większego domu — racja, pułkownicy mieszkają lepiej niż kapitanowie, a poza tym oficerowie muszą przecież płacić czynsz. Ding otworzył drzwi, wysiadł z samochodu i podszedł do bagażnika, żeby zabrać walizki. I właśnie wtedy przeżył pierwszą wielką niespodziankę tego dnia.

— Major Chavez? — zapytał jakiś głos.

— Hm, tak — powiedział Ding, odwracając się. Major?

— Kapral Weldon. Jestem pańskim ordynansem. — Zwalisty kapral był znacznie wyższy od Dinga, który miał metr siedemdziesiąt wzrostu. Przeszedł obok oficera, do którego go przydzielono i wyciągnął walizki z bagażnika. Chavezowi pozostało tylko powiedzieć „Dziękuję, kapralu”.

— Proszę za mną, sir. — Ding i Patsy posłusznie poszli za ordynansem.

Trzysta metrów dalej niemal dokładnie to samo przytrafiło się Johnowi i Sandy, tyle że ich personel składał się z sierżanta i kaprała, przy czym kapral okazał się ładną blondynką, z typową dla Angielek bladą karnacją skóry. Zastraszony do kuchni, Sandy pomyślała, że brytyjskie lodówki są maleńkie, i że przygotowywanie tutaj posiłków będzie swego rodzaju ćwiczeniem akrobatycznym. Nie uzmysłowiła sobie jeszcze — co zapewne było spowodowane zmęczeniem podróżą — że dotknięcie czegokolwiek w tym pomieszczeniu byłoby afrontem wobec kaprała Anne Fairway. Dom nie był tak duży, jak ten, w którym mieszkali w Wirginii, ale miejsca było dosyć.

— Gdzie jest miejscowy szpital?

— Około sześciu kilometrów stąd, proszę pani. — Fairway nie została jeszcze poinformowana, że Sandy Clark była wysoko wykwalifikowaną pielęgniarką, i że ma pracować w szpitalu.

John zajrzał do swojego gabinetu. Wśród mebli największe wrażenie robił barek, dobrze zaopatrzony w szkocką whisky i gin. Pomyślał, że musi się postarać o przyzwoitego bourbona.

Komputer był na swoim miejscu, z pewnością dobrze zabezpieczony, żeby nikt, kto zaparkowałby kilkaset metrów dalej, nie mógł odczytać tego, co John będzie pisał. Oczywiście, nie byłoby łatwo podejść tak blisko. Warty sprawiły na Johnie wrażenie bardzo kompetentnych.

Podczas gdy para ordynansów rozkładała w szafach jego ubranie, John wszedł pod prysznic.

Czekał go pracowity dzień. Dwadzieścia minut później, w granatowym garniturze w jodełkę, białej koszuli i krawacie w paski, pojawił się przed domem, gdzie czekał już samochód, żeby zawieźć go do budynku centrali.

— Baw się dobrze, kochanie — powiedziała Sandy i posłała mu całusa.

— Jasne.

— Dzień dobry, sir — powitał go kierowca. Clark uścisnął mu rękę i dowiedział się, że tamten nazywa się Ivor Rogers i jest sierżantem. Wybrzuszenie na prawym boku oznaczało zapewne, że

Rogers służył w żandarmerii. Cholera, pomyślał John, ci Brytyjczycy naprawdę poważnie traktują kwestię bezpieczeństwa. Z drugiej strony, była to przecież baza SAS, jednostki, która z pewnością nie cieszyła się sympatią terrorystów, ani w Zjednoczonym Królestwie, ani poza jego granicami. A prawdziwi profesjonaliści, ci naprawdę niebezpieczni, byli ostrożnymi, dokładnymi ludźmi. Takimi jak ja, powiedział John Clark do siebie.

— Musimy być ostrożni. Maksymalnie ostrożni na każdym etapie — powiedział. Dla pozostałych raczej nie było to zaskoczeniem. Doskonale rozumieli potrzebę ostrożności.

Większość była naukowcami i wielu z nich rutynowo miało do czynienia z niebezpiecznymi substancjami, poziom 3 i wyżej, więc ostrożność była częścią ich sposobu patrzenia na świat. To dobrze. Dobrze też, że rozumieli, naprawdę rozumieli znaczenie zadania, w którego realizacji uczestniczyli. Nikt nie miał wątpliwości, że ich sprawa jest słuszna i wielka. W końcu zajmowali się życiem ludzkim, ściślej mówiąc odbieraniem życia, a przecież inni nie rozumieli tej wielkiej sprawy i nigdy nie rozumieją. Cóż, należało się tego spodziewać, ponieważ to oni mieli stracić życie. Szkoda, ale nie było innego wyjścia.

Na tym spotkanie się zakończyło, później niż zwykle. Ludzie wychodzili na parking, skąd niektórzy — głupcy, pomyślał — pojedą do domów na rowerach, prześpią się kilka godzin, a potem popędzą z powrotem do biura. Cóż, byli to przynajmniej Prawdziwi Wierni, choć niezbyt praktyczni, a poza tym, do diabła, czyż nie korzystali z samolotów wybierając się w dalekie podróże? Ale w Projekcie było miejsce dla ludzi o różnych poglądach. Poszedł do swojego pojazdu, bardzo praktycznego *Hummera*, cywilnej wersji ukochanego przez wojsko terenowego wozu *HMMWV*. Włączył radio, usłyszał „Sosny Rzymu” Respighiego i uświadomił

sobie, że będzie mu brakować radia nadającego muzykę klasyczną. Cóż, pewne rzeczy były nieuniknione.

Wykąpany, ogolony, ubrany w garnitur od Braci Brooks i kupiony dwa dni wcześniej krawat od Armaniego, Clark opuścił swą służbową rezydencję i skierował się do swego służbowego samochodu, którego kierowca uprzejmie otworzył drzwi. Brytyjczycy naprawdę przywiązywali wagę do zewnętrznych oznak statusu; John zastanawiał się, jak szybko to polubi.

Okazało się, że jego biuro znajdowało się niecałe trzy kilometry od domu, w dwupiętrowym budynku z cegły, otoczonym w tej chwili przez zastępy robotników. Przed drzwiami stał żołnierz z pistoletem w białej parcianej kaburze. Stał na baczność i zaszalutował, kiedy Clark zbliżył się na odległość trzech metrów.

— Dzień dobry, sir!

John był na tyle zaskoczony, że oddał salut, zupełnie jakby wchodził na pokład okrętu. —

Dzień dobry — odpowiedział, z niezbyt inteligentnym wyrazem twarzy. Pomyślał, że będzie się musiał dowiedzieć imienia tego chłopaka. Drzwi udało mu się otworzyć samodzielnie, a w środku zastał Stanleya, który uśmiechnął się, unosząc głowę znad jakiegoś dokumentu.



— Prace remontowe w budynku potrważą jeszcze tydzień lub dwa, John. Nie był używany od kilku lat, a obawiam się, że jest już dość stary. Remontują go dopiero od sześciu tygodni.

Chodź, pokażę ci twój gabinet.

I znów Clark szedł za kimś, trochę ogłupiały. Skręcili w prawo i skierowali się do pokoju na końcu korytarza. Okazało się, że remont tej części został już zakończony.

— Dom zbudowano w 1947 roku — powiedział Alistair, otwierając drzwi. W środku John zobaczył dwie sekretarki — obie pod czterdziestkę i prawdopodobnie z wyższą kategorią dopuszczenia tajemnic, niż on sam miał. Nazywały się Alice Foorgate i Helen Montgomery.

Wstały, kiedy wszedł ich nowy szef i przedstawiły się z miłym, czarującym uśmiechem. Gabinet Stanleya sąsiadował z gabinetem Clarka, wyposażonym w wielkie biurko, wygodne krzesło i taki sam komputer, na jakim John pracował w CIA, tak samo zabezpieczonym, żeby nie można go było monitorować środkami elektronicznymi. Był tam nawet barek w rogu po prawej stronie —

widać należało to do brytyjskich zwyczajów.

John zaczerpnął głęboko powietrza i postanowił zdjąć marynarkę przed wypróbowaniem obrotowego krzesła. Jakoś nigdy nie polubił siadania na krzesła w marynarce. To było coś dla facetów, służbowo noszących garnitury; jemu absolutnie to nie odpowiadało. Wskazał

Alistairowi krzesło po przeciwnej stronie biurka.

— Na jakim etapie jesteśmy?

— Dwa zespoły są w pełni sformowane. Chavez dostanie jeden z nich, drugim będzie dowodził Peter Covington; właśnie został majorem. Kilka lat temu jego ojciec był pułkownikiem w 22. pułku, odszedł na emeryturę jako generał brygady. Świetny chłopak. Dziesięciu ludzi w każdym z zespołów, zgodnie z ustaleniami. Kompletowanie wyposażenia przebiega bardzo sprawnie. Zajmuje się tym ten facet z Izraela, David Peled. Sam się dziwię, że go nam dali. Jest absolutnie genialny, jeśli chodzi o elektronikę i systemy rozpoznania...

— I codziennie będzie składał raporty Awiemu ben Jakobowi.

— Naturalnie — powiedział Alistair z uśmiechem. Nikt nie miał żadnych złudzeń co do tego, wobec kogo będą ostatecznie lojalni ludzie przydzieleni do Tęczy. Ale przecież, gdyby nie było ich stać na taką lojalność, jaki byłby z nich pożytek? — Od dziesięciu lat David sporadycznie współpracuje z SAS. Jest niesamowity. Ma kontakty ze wszystkimi firmami elektronicznymi od San Jose po Tajwan.

— A strzelcy?

— Sama śmietanka, John. Najlepsi, z jakimi kiedykolwiek pracowałem. — To już było coś.

— Wywiad?

— Wszyscy świetni. Szefem tej sekcji jest Bill Tawney, w Szóstce[4] przez trzydzieści lat.

Pomaga mu doktor Paul Bellow z Temple University w Filadelfii. Był tam profesorem, dopóki nie zwerbowała go FBI. Niesamowicie inteligentny facet. Ma się wrażenie, że potrafi czytać w myślach. Zjeździł już chyba cały świat. Wypożyczyliście go Włochom w sprawie Moro, ale rok później odmówił przyjęcia roboty w Argentynie. Facet z zasadami, a przynajmniej takie robi wrażenie. Przylatuje jutro.

Pani Foorgate weszła z tacą. Herbata dla Stanleya, kawa dla Clarka. — Posiedzenie sztabu rozpoczyna się za dziesięć minut, sir — powiedziała Johnowi.

— Dziękuję, Alice. — Sir, pomyślał. Nie był przyzwyczajony, by zwracano się do niego w ten sposób. Jeszcze jedna oznaka, że znalazł się w gronie „ludzi w garniturach”. Cholera.

Zaczekał, aż zamknęły się ciężkie dźwiękoszczelne drzwi, zanim zadał następne pytanie. — Al, jaki ja mam stopień?

— Generał. Co najmniej generał brygady, a może i dwugwiazdkowy. Ja jestem kimś w rodzaju pułkownika, szefem sztabu — powiedział Stanley, popijając herbatę. — John, zdajesz sobie sprawę, że protokół jest konieczny — dodał.

— Al, wiesz przecież, kim jestem naprawdę... to znaczy byłem.

— O ile dobrze pamiętam, byłeś bosmanem w Marynarce USA. Odznaczenia: Krzyż Marynarki, Srebrna Gwiazda z okuciem za powtórne nadanie, Brązowa Gwiazda z literą V za zasługi bojowe, trzykrotnie i trzy Fioletowe Serca za rany. Wszystko to, zanim zgarnęła cię Firma, gdzie potem dostałeś aż cztery Gwiazdy Wywiadu. — Stanley wyliczył to wszystko z pamięci. — Generał brygady to doprawdy minimum tego, co mogliśmy zrobić. Uratowanie Kogi i załatwienie Daryeiego to były wspaniałe operacje. To tak na wypadek, gdybym ci już o tym nie mówił. Naprawdę wiemy trochę o tobie i o twoim młodym Chavezie; ten chłopak ma ogromne możliwości, jeśli jest tak dobry, jak mi mówiono. Oczywiście, będzie ich wszystkich potrzebował. W jego zespole jest kilka prawdziwych gwiazd.

— Hej, Ding! — zawołał znajomy głos. Chavez obejrzał się w lewo, szczerze zaskoczony.

— Oso, ty sukinsynu! Co ty tu, u diabła, robisz? — Mężczyźni uściskali się serdecznie.

— U Rangersów zrobiło się nudno, więc poprosiłem o przeniesienie do Delty w Fort Bragg, a potem pojawiło się to tutaj i postanowiłem spróbować. Jesteś szefem Drugiego Zespołu?

— spytał sierżant z grupą uposażeniową E-8, Julio Vega.

— Coś w tym rodzaju — odpowiedział Ding, ściskając rękę staremu przyjacielowi i towarzyszowi broni. — Nie schudłeś ani trochę, stary. Jezu Chryste, Oso, musisz tyle jeść?

— Trzeba utrzymywać formę, sir — odpowiedział człowiek, który po stu pompkach z rana nie miał na czole nawet kropelki potu. Na bluzie jego munduru były insygnia piechoty i

„lody w wafle”, jak potocznie określano srebrną odznakę skoczka spadochronowego. — Dobrze wyglądasz, stary. Wciąż biegasz, co?

— Zdolność ucieczki jest sprawnością, którą chcę zachować, jeśli wiesz, co mam na myśli.

— Jasne — roześmiał się Vega. — Chodź, przedstawię cię chłopakom. Mamy paru świetnych żołnierzy, Ding.

Drugi Zespół miał swój własny budynek — parterowy, z cegły i całkiem przestronny, z biurkiem dla każdego i wspólną sekretarką, nazwiskiem Katherine Moony — młodą i, jak zauważył Ding, wystarczająco ładną, żeby ściągnąć na siebie uwagę wszystkich nieżonatych członków jego zespołu. W skład Drugiego Zespołu wchodził wyłącznie podoficerowie —

czterech Amerykanów, czterech Brytyjczyków, Niemiec i Francuz. Wystarczył mu jeden rzut oka, żeby się przekonać, w jak niesamowicie dobrej formie są wszyscy. Ding od razu zaczął się obawiać o kondycję. Miał nimi dowodzić, a to oznaczało, że musiał być równie dobry lub lepszy we wszystkich dziedzinach.

Najbliżej stał sierżant Louis Loïselle. Niski, ciemnowłosy, był członek francuskich wojsk spadochronowych, kilka lat temu przeniesiony do DGSE. Loïselle nie miał konkretnej specjalności — był wszechstronny i, tak jak wszyscy pozostali, świetnie znał się na broni. Z jego akt wynikało, że doskonale strzela, zarówno z pistoletu, jak i z karabinu. Za łagodnym uśmiechem kryła się spora doza pewności siebie.

Następny był *Feldwebel* Dieter Weber, również spadochroniarz, a także absolwent szkoły przewodników górskich, prowadzonej przez armię niemiecką. Wymagania kondycyjne, jakie tam stawiano, należały do największych ze wszystkich armii świata. Po Weberze było to widać. Miał

włosy blond i jasną karnację skóry; sześćdziesiąt lat wcześniej mógłby być chłopcem z plakatu werbunkowego SS. Ding od razu przekonał się, że Niemiec mówi po angielsku lepiej od niego.

Śmiało mógł uchodzić za Amerykanina — albo za Anglika. Weber przyszedł do Tęczy z niemieckiej formacji GSG-9, sił antyterrorystycznych Republiki Federalnej Niemiec, które wchodziły w skład Straży Granicznej.

— Majorze, wiele o panu słyszeliśmy — powiedział Weber z wysokości swego metra dziewięćdziesiąt. Dość wysoki, pomyślał Ding. Stanowi za duży cel. Podał mu rękę, jak to mają w zwyczaju Niemcy — szybki chwyt, ruch pionowo w dół i w górę, połączony z mocnym uściskiem i po wszystkim. Jego błękitne oczy były interesujące — zimne jak lód i przewiercające Dinga na wylot. Weber był jednym z dwóch snajperów w zespole.

Drugim był starszy sierżant Homer Johnston. Góral z Idaho, swoją pierwszą sarnę zastrzelił w wieku dziewięciu lat. Po przyjacielsku rywalizował z Weberem. Wyglądał pod każdym względem

przeciętnie, ze swymi 183 centymetrami wzrostu i siedemdziesięcioma dwoma kilogramami wagi był zdecydowanie typem biegacza, a nie kulturysty. Zaczynał w 101.

Dywizji Powietrznodesantowej w Fort Campbell w Kentucky i szybko znalazł dla siebie miejsce w świecie wojskowych operacji specjalnych. — Majorze, miło pana poznać, sir. — Służył kiedyś w Zielonych Beretach i w Delcie, podobnie jak przyjaciel Chaveza, Oso Vega.

Strzelcami, jak Ding nazywał tych, którzy wchodzili do budynków, żeby wykonać swe zadania, byli Amerykanie i Brytyjczycy. Steve Lincoln, Paddy Connolly, Scotty McTyler i Eddie Price byli z SAS. Wszyscy znali się na robocie; doświadczenia zdobywali w Irlandii Północnej, Gibraltarze i kilku innych miejscach. Mike Pierce, Hank Patterson i George Tomlinson nie mogli tego o sobie powiedzieć, ponieważ amerykańskie siły szybkiego reagowania Delta nie miały takiego doświadczenia jak SAS. Ding pamiętał jednak, że Delta, SAS, GSG-9 i inne tego rodzaju grupy uderzeniowe trenowały wspólnie tak intensywnie, że ich członkowie znali się jak łyse konie. Każdy z Drugiego Zespołu był wyższy od „majora” Chaveza. Każdy był twardy. Każdy był inteligentny. Uświadomiwszy to sobie, Ding poczuł się trochę nieswojo — wiedział, że mimo całego swojego doświadczenia polowego, będzie sobie musiał zasłużyć na ich szacunek, i to szybko.

— Kto tu jest najstarszy stopniem?

— Ja, sir — powiedział Eddie Price. Miał 41 lat i był najstarszy wiekiem w zespole. Z

sierzanta w 22. pułku SAS awansował od razu na starszego sierżanta sztabowego. Podobnie jak pozostali, ubrany był w mundur polowy bez jakichkolwiek dystynkcji.

— Okej, Price, czy dzisiejszy trening już się odbył?

— Nie, majorze, czekaliśmy, żeby pan nas poprowadził — odparł starszy sierżant sztabowy Price z uśmiechem, na który składało się dziesięć procent dobrych manier i dziewięćdziesiąt procent wyzwania.

Chavez też się uśmiechnął.

— Cóż, jestem trochę sztywny po locie, ale może zdołacie mnie rozruszać. Gdzie mogę się przebrać?

— spytał Ding, mając nadzieję, że osiem kilometrów, które biegał codziennie przez ostatnie dwa tygodnie, okaże się wystarczające. Naprawdę był trochę zmęczony lotem.

— Proszę za mną, sir.

— Nazywam się Clark i, o ile mi wiadomo, jestem tu szefem — powiedział John zza stołu konferencyjnego. — Wszyscy znacie założenia naszej działalności i wszyscy zgłosiliście się do Tęczy. Są pytania?

John spostrzegł, że trochę ich to zaskoczyło. Dobrze. Niektórzy cały czas wpatrywali się w niego. Większość opuściła wzrok na notatniki, które mieli przed sobą.

— Okej, najpierw kilka informacji o charakterze ogólnym. Nasza doktryna operacyjna powinna być

nico inna niż w organizacjach, z których przyszłicie. Dopracujemy to sobie podczas treningu, który rozpocznie się od jutra. Oczekuje się od nas zdolności operacyjnej już teraz — ostrzegł ich John. — To znaczy, że jeśli za chwilę zadzwoni telefon, będziemy musieli zareagować. Stać nas na to?

— Nie — odpowiedział Alistair Stanley w imieniu całego sztabu. — To nierealistyczne, John. Moim zdaniem, potrzeba nam trzech tygodni.

— Rozumiem to, ale rzeczywistość może nie być tak wyrozumiała. Są rzeczy do zrobienia, więc róbmy je, i to szybko. W najbliższy poniedziałek rozpoczniemy symulacje.

Panowie, ze mną nie jest trudno pracować. Byłem już w niejednej akcji i wiem, na czym to polega. Nie oczekuję doskonałości, natomiast oczekuję, że cały czas będziemy do niej dążyć.

Jeśli spieprzymy jakąś operację, ludzie, którzy zasługują na to, żeby żyć — zginą. Nie unikniemy tego. Wy to wiecie. Ja to wiem. Ale będziemy się starali unikać błędów, na ile tylko będzie to możliwe, a z każdego, który popełnimy, będziemy wyciągać właściwe wnioski. Zwalczanie terroryzmu to czysty darwinizm. Głupcy już nie żyją. Ci, którymi musimy się martwić, to ludzie, którzy niejednego się już nauczyli. My też potrafimy wiele i prawdopodobnie, z taktycznego punktu widzenia, mamy nad tamtymi przewagę, ale musimy ciężko pracować, żeby ją utrzymać.

Będziemy ciężko pracować.

— No dobrze — ciągnął po chwili przerwy. — Przejdźmy do wywiadu. Co jest już gotowe, a co nie?

John ocenił, że Bill Tawney był mniej więcej w jego wieku, może starszy o rok lub dwa.

Brazowe włosy rzedły mu wyraźnie, a w ustach trzymał nie zapaloną fajkę. Człowiek z Szóstki.

Szpieg, który powrócił po dziesięciu latach operowania za Żelazną Kurtyną. — Łączność gotowa. Mamy personel łącznikowy do kontaktów ze wszystkimi zaprzyjaźnionymi służbami, tutaj i za granicą.

— Ile są warci?

— Sporo — wydusił z siebie Tawney. John zastanawiał się, ile było w tym typowej dla Brytyjczyków powściągliwości w ocenie. Jednym z jego najważniejszych, a zarazem najdelikatniejszych zadań będzie zorientowanie się, co każdy z członków jego sztabu ma na myśli, kiedy się wypowiada. Różnice językowe i kulturowe nie ułatwiały tego zadania. Na pierwszy rzut oka Tawney sprawiał wrażenie prawdziwego zawodowca, spojrzenie jego brązowych oczu było spokojne i rzeczowe. Z jego akt wynikało, że współpracował bezpośrednio z SAS przez ostatnie pięć lat. Rezultaty SAS wskazywały, że nieczęsto — jeśli w ogóle —

Tawneyowi zdarzało się przekazywać nieprawdziwe czy niepełne informacje. Dobrze.

— David — powiedział następnie. David Peled, izraelski szef komórki technicznej, wyglądał zupełnie jakby szedł z obrazu El Greco: wysoki, chudy, z zapadniętymi policzkami, ciemnymi,

krótkimi włosami i ogniem w oczach. Przez długie lata pracował dla Awiego ben Jakoba, którego Clark znał, może niezbyt dobrze, ale wystarczająco. Peled był tutaj z dwóch powodów: żeby pełnić służbę jako wysoki rangą funkcjonariusz Tęczy, pozyskując w ten sposób sojuszników i prestiż dla swej macierzystej służby wywiadowczej, izraelskiego Mossadu, a także żeby uczyć się jak najwięcej i przekazywać wszystko swemu szefowi.

— Kompletuję dobry zespół — powiedział David, odstawiając filiżankę z herbatą. —

Potrzebuję trzech do pięciu tygodni na zmontowanie całego potrzebnego wyposażenia.

— Za długo — zaprotestował natychmiast Clark.

David pokręcił głową. — Niemożliwe. Wprawdzie wiele urządzeń elektronicznych możemy kupić w zwykłych sklepach, ale niektóre muszą zostać wykonane na zamówienie.

Wszystkie zamówienia zostały już złożone — zapewnił swego szefa — i mają być traktowane priorytetowo. Zwróciliśmy się z tym do takich firm, jak TRW, IDI, Marconi. Zna je pan. Ale nie mogą dokonać cudów, nawet dla nas. Trzy do pięciu tygodni w wypadku niektórych absolutnie niezbędnych urządzeń.

— SAS jest gotów wypożyczyć nam wszystko, co potrzebne — zapewnił Clarka Stanley ze swojego końca stołu.

— Do celów treningowych? — spytał Clark, zły na siebie, że sam się tego nie domyślił.

— Nie tylko.

Pięć kilometrów przebiegli w dwadzieścia minut. Niezły czas, pomyślał Ding, trochę zziębnięty, ale zadowolenie przeszło mu natychmiast, kiedy odwrócił się i zobaczył swoich dziesięciu ludzi równie świeżych jak na początku; niektórzy zerkali porozumiewawczo na kolegów, podśmiewając się ukradkiem ze swego mazgajowego dowódcy.

Cholera.

Bieg zakończył się na strzelnicy, gdzie broń i cele były już przygotowane. W kwestii broni Chavez narzucił zespołowi własne zdanie. Przywiązany był od dawna do *Beretty*, ale tym razem postanowił, że bronią krótką jego ludzie będzie najnowszy *H&K USP*, a ponadto pistolet maszynowy *Heckler & Koch MP-10*, nowa wersja znanego od lat *MP-5*, na naboje 10 mm Auto Winchestera, opracowane w latach osiemdziesiątych dla FBI. Ding wziął bez słowa pistolet, nałożył ochraniacze na uszy i przymierzył się do tarcz sylwetkowych, rozstawionych co pięć metrów. Nieźle, pomyślał, widząc wszystkie osiem przestrzelin w głowie. Jednak stojący obok Dieter Weber zrobił swoimi pociskami tylko jedną dziurę o nieregularnych brzegach, podobnie jak Paddy Connolly, tyle że jego dziura, o średnicy dwóch centymetrów, wydawała się mniej nieregularna, a w dodatku znajdowała się dokładnie między oczami celu — przy czym żaden pocisk nie tknął samych oczu. Jak większość strzelców amerykańskich, Chavez był przekonany, że Europejczycy nie mają pojęcia o strzelaniu z broni krótkiej. Cóż, trening najwyraźniej potrafił

to zmienić.

Następnie sięgnęli po swoje *MP- 10*, z których dzięki wspaniałemu celownikowi optycznemu właściwie każdy mógł dobrze strzelać. Ding szedł wzdłuż szeregu swoich ludzi, patrząc, jak strzelają do stalowych płyt, wielkością i kształtem przypominających ludzką głowę.

Widział, jak płyty, stawiane przez sprężone powietrze, trafiane pociskami natychmiast znów się kładą z metalicznym dźwiękiem. Ding zatrzymał się za sierżantem Vega, który opróżnił

magazynek i odwrócił się.

— Mówiłem ci, że są dobrzy, Ding.

— Jak długo tu ćwiczą?

— Coś koło tygodnia. Poza tym przyzwyczailiśmy się do biegania na dystansie ośmiu kilometrów, sir

— dodał Julio z uśmiechem. — Pamiętasz ten letni obóz treningowy w Kolorado?

Ding wiedział, że najważniejsza ze wszystkiego jest pewna ręka mimo wyczerpującego biegu, mającego symulować stres prawdziwej sytuacji bojowej. Każdy z tych sukinsynów miał

ręce równie spokojne, jak spiżowy pomnik. Jako dowódca plutonu w 7. Dywizji Piechoty Lekkiej był kiedyś jednym z najtwardszych, najbardziej wytrzymałych i skutecznych żołnierzy w mundurach swojego kraju — to właśnie dlatego John zaoferował mu pracę w CIA — i z powodzeniem wykonał kilka naprawdę trudnych operacji. Od bardzo dawna nie zdarzyło się, by Domingo Chavez sądził, że może się do czegoś nie nadawać. Teraz jednak poczuł się trochę nieswojo.

— Który z nich jest najtwardszy? — spytał Vegę.

— Weber. Słyszałem trochę o tej niemieckiej szkole przewodników górskich i najwidoczniej były to prawdziwe opowieści, *mano*. Dieter nie jest chyba do końca człowiekiem.

Dobry w walce wręcz, dobrze strzela z pistoletu, cholernie dobrze z karabinu i sądzę, że dogoniłby jelenia, gdyby musiał, a potem rozerwałby go gołymi rękami. — Chavez wiedział, że w ustach absolwenta szkoły Rangersonów i szkoły operacji specjalnych w Fort Bragg ocena

„dobry” znaczy o wiele więcej, niż gdyby wydał ją jakiś przypadkowy facet w barze. Julio był

jednym z najtwardszych żołnierzy, jakich Ding kiedykolwiek spotkał.

— A najinteligentniejszy?

— Connolly. Wszyscy ci faceci z SAS są świetni. My, Amerykanie musimy trochę popracować, żeby im dorównać. Ale dorównamy — zapewnił go Vega. — Nie martw się, Ding.

Jeszcze tydzień i dotrzymasz nam kroku. Tak jak wtedy w Kolorado.

Chavez niezbyt chętnie to wspominał. Stracił zbyt wielu przyjaciół w górach Kolumbii, wykonując zadanie, do którego Stany Zjednoczone nigdy się oficjalnie nie przyznały. Pomyślał, że wiele dowiedział się o swoich ludziach, obserwując ich teraz na strzelnicy. Jeśli któryś z nich choć raz nie trafił w cel, umknęło to jego uwadze. Każdy wystrzelił dokładnie sto pocisków.

Pięćset tygodniowo, standardowa porcja w ramach rutynowego treningu, w odróżnieniu od ćwiczeń specjalnych, które miały się rozpocząć następnego dnia.

— W porządku — powiedział John na zakończenie. — Codziennie o ósmej piętnaście rano narada sztabu poświęcona rutynowym sprawom i bardziej formalna narada w każdy piątek po południu. Moje drzwi są zawsze otwarte, także w domu. Jeśli ktoś mnie potrzebuje, to mam telefon nawet koło prysznic. A teraz chciałbym stąd wyjść i zobaczyć się z żołnierzami.

Zapomnieliśmy o czymś? Nie? To dobrze. Przerwa. — Wszyscy wstali i ruszyli do drzwi.

Pozostał tylko Stanley.

— Dobrze poszło — zauważył Alistair, nalewając sobie następną filiżankę herbaty. —

Zwłaszcza jak na kogoś, kto nie miał okazji oswoić się z biurokracją.

— To widać, co? — zapytał Clark, uśmiechając się krzywo.

— John, wszystkiego można się nauczyć.

— Mam nadzieję.

— O której zaczyna się tu poranny trening?

— Szósta czterdzieści pięć. Zamierzasz biegać z chłopakami?

— Zamierzam spróbować — odpowiedział Clark.

— Jesteś na to za stary, John. Niektórzy z tych facetów biegają maraton dla przyjemności, a tobie niedługo stuknie sześćdziesiątka.

— Al, sam wiesz, że muszę spróbować, jeśli mam dowodzić tymi ludźmi.

— Chyba masz rację — przyznał Stanley.

Obudzili się późno, jeden po drugim. Trwało to jakąś godzinę. Większość wciąż leżała w łóżkach. Kilku poczłapało do łazienki, gdzie znaleźli między innymi aspirynę i Tylenol na ból głowy, który dokuczał wszystkim. Połowa zdecydowała się wziąć prysznic, druga połowa uznała, że nie warto. W



śasiadnim pomieszczeniu przygotowano śniadanie, które było dla nich zaskoczeniem — patelnie pełne jajecznicy, bułki, parówki i bekon. Ludzie obserwujący ich na monitorach w specjalnym pomieszczeniu zauważyli, że niektórzy pamiętali nawet, do czego służą serwetki.

Kiedy się już najedli, spotkali się z tym, który ich tu ściągnął. Zaproponował wszystkim czyste ubrania, kiedy już się wykąpią.

— Gdzie my jesteśmy? — spytał jeden z nich, znany personelowi wyłącznie jako Obiekt M4. To miejsce w niczym nie przypominało mu żadnej z misji przy ulicy Bowery na dolnym Manhattanie.

— Moja firma prowadzi pewne badania — powiedział ich gospodarz z za ciasno dopasowanej chirurgicznej maski. — Panowie weźmiecie w tych badaniach udział. Zostaniecie tu przez jakiś czas. Dopóki tu będziecie, macie zapewnione czystą pościel, czyste ubrania, dobre jedzenie, opiekę lekarską i — przesunął drzwi szafy w ścianie — co tylko chcecie do picia. — W

szafie, której goście jakoś dotąd nie zauważyli, znajdowały się trzy półki, pełne wszelkiego rodzaju win, piw i mocniejszych napojów dostępnych w miejscowym sklepie monopolowym.

Były też szklanki, kieliszki, woda i lód.

— To znaczy, że nie możemy stąd odejść? — spytał Obiekt M7.

— Wolelibyśmy, żebyście zostali — powiedział gospodarz trochę wymijająco. W oczach zamigotały mu wesołe iskierki, kiedy wskazał gestem butelki na półkach. — Może ktoś chciałby strzelić sobie jednego na dzień dobry?

Okazało się, że dla żadnego z nich nie była to zbyt wczesna pora. Na pierwszy ogień poszły drogie bourbony i żytnia. Narkotyk, który dodano do alkoholu, był zupełnie bez smaku.

Wkrótce wszyscy goście powrócili do swoich łóżek. Koło każdego łóżka stał telewizor. Dwóch zdecydowało się jednak skorzystać z prysznica. Trzech się nawet ogoliło i kiedy wyszli z łazienki, wyglądali całkiem po ludzku. Na razie.

W pomieszczeniu kontrolnym, które znajdowało się w innej części budynku, dr Archer manipulowała różnymi kamerami telewizyjnymi, żeby z bliska przyjrzeć się każdemu z „gości”.

— Wszyscy tacy sami — zauważyła. — Obraz krwi okaże się pewnie katastrofalny.

— O, tak, Barb — zgodził się dr Killgore. — Szczególnie niedobrze wygląda Obiekt M3.

Nie sądzisz, że powinniśmy go trochę postawić na nogi, zanim...

— Myślę, że powinniśmy spróbować — odpowiedziała doktor nauk medycznych Barbara Archer. — Z uwagi na kryteria testu.

— Tak, a poza tym na pozostałych mogłoby źle wpłynąć, gdybyśmy jednemu z nich pozwolili umrzeć zbyt wcześnie — ciągnął Killgore.

— Człowiek, cóż za wspaniała istota — mruknęła Archer z przekąsem.

— Nie każdy, Barb. — Zachichotał. — Jestem zaskoczony, że nie znaleźli ani jednej kobiety.

— A ja nie — odparła feministka Archer ku rozbawieniu bardziej cynicznego Killgore'a.

Ale nie było o co kruszyć kopii. Odwrócił się od monitorów i sięgnął po notatkę z centrali firmy.

Gości należało traktować jak — gości. Karmić ich, zapewnić czyste ubranie i podawać tyle alkoholu, ile tylko zdołają wypić. Epidemiologa martwił trochę fakt, że wszyscy goście — króliki doświadczalne — byli ulicznymi pijakami, poważnie upośledzonymi przez nałóg. Zaletą wykorzystania właśnie ich było, oczywiście to, że nikt nie zauważy ich nieobecności, nawet kumple z ulicy. Niewielu miało rodziny, które wiedziałyby, gdzie ich szukać. Było też bardzo mało prawdopodobne, że ktokolwiek zdziwiłby się, nie mogąc ich znaleźć. I żaden z nich nie miał nikogo — Killgore był o tym przekonany — kto zgłosiłby odpowiednim władzom jego zaginięcie. A gdyby nawet, czy nowojorska policja zawracałaby tym sobie głowę? Mało prawdopodobne.

Nie, wszystkich „gości” społeczeństwo dawno spisało na straty, mniej brutalnie, ale równie ostatecznie jak Hitler spisał na straty Żydów, przy czym w wypadku „gości” było to nieco bardziej uzasadnione — uważali Archer i Killgore. Człowiek cudem natury? Te egzemplarze gatunku, który sam mianował się podobieństwem Boga, były warte mniej niż zwierzęta doświadczalne, których miejsce właśnie zajmowały. Archer traktowała je o wiele obojętniej niż króliki, czy nawet szczury, wobec których żywiła jakieś uczucia. Killgore uważał, że to zabawne.

Zwierzętami też się specjalnie nie przejmował, a już na pewno nie doszukiwał się w nich cech indywidualnych. Liczył się przecież tylko gatunek jako taki. A jeśli chodzi o „gości” — cóż, nie byli nawet dobrymi egzemplarzami podludzi, których gatunek ludzki i tak nie potrzebował.

Natomiast siebie Killgore uważał za wartościowego przedstawiciela gatunku ludzkiego. Także Archer, mimo jej durnych poglądów polityczno-seksualnych. Rozstrzygnąwszy tę kwestię, Killgore powrócił do robienia notatek i do całej papierkowej roboty. Na następny dzień zaplanowane były badania lekarskie. Był pewien, że będą mieli dobrą zabawę.

# Wsiadany

Pierwsze dwa tygodnie okazały się dość przyjemne. Chavez biegał teraz osiem kilometrów bez żadnego kłopotu, robił ze swym zespołem przepisową liczbę pompek, podciągnął

się w strzelaniu, był równie dobry jak połowa jego ludzi, choć nie tak dobry jak Connolly i Amerykanin, Hank Patterson. Tym dwóm musiano chyba włożyć pistolety do kołysek, albo coś w tym rodzaju — uznał Ding, który wystrzeliwał po trzysta nabożów dziennie, próbując im dorównać. Może zbrojmistrz mógłby coś poprawić w jego *USP*. SAS miał tu swojego zbrojmistrza, podobno tak dobrego, jakby pracował z Samem Coltem. Może trochę mniejszy opór języka spustowego? Wiedział jednak, że przemawia przez niego urażona duma. Pistolety nie były ich główną bronią. A z *MP -10* każdy potrafił błyskawicznie oddać trzy strzały w głowę z odległości pięćdziesięciu metrów. Ci ludzie byli najlepszymi żołnierzami jakich kiedykolwiek spotkał, o jakich w ogóle słyszał, przyznał Ding sam przed sobą, siadając za biurkiem, żeby zabrać się do znieawidzonej papierkowej roboty. Czy był na świecie ktoś, kto lubiłby papierkową robotę?

Jego ludzie spędzali zaskakująco dużo czasu za biurkiem, na lekturze. Czytali głównie informacje wywiadowcze — gdzie który terrorysta aktualnie przebywał — zdaniem którejś z agencji wywiadowczych, policji czy chciwego na pieniądze informatora. Wszystkie te informacje, które ich zalewały, były prawie bezużyteczne, ale ponieważ lepszymi nie dysponowali, zagłębiali się w nie mimo wszystko, traktując to jako okazję do przerwania rutyny.

Do informacji tekstowych dołączone były zdjęcia terrorystów z całego świata. Wielkim zainteresowaniem cieszyły się zdjęcia Carlosa — osławionego Szakala, który przekroczył już pięćdziesiątkę i spędzał czas we francuskim więzieniu, pilnowany jak nikt inny. Wcześniejsze zdjęcia Szakala komputer zmodyfikował tak, aby dostosować je do obecnego wieku terrorysty; porównywali je z rzeczywistymi fotografiami, otrzymanymi od Francuzów. Członkowie zespołu nie szczydzili czasu na zapamiętywanie wszystkich fotografii, bo przecież jakiejś ciemnej nocy, w jakimś nieznanym miejscu, błysk światła mógł ujawnić jedną z tych twarzy, i będzie się miało ułamek sekundy na podjęcie decyzji, czy wpakować w twarz dwa pociski, czy nie. A jeśli trafiłaby się okazja schwytania następnego Carlosa Iljicza Ramireza, należało z niej skorzystać, bo wtedy - ciągnął tę myśl Ding — człowiek stałby się tak sławny, że już nigdy nie miałby szansy zapłacenia za swoje piwo w żadnym barze odwiedzanym przez policjantów czy członków sił specjalnych. Spojrzał wrogo na stertę papierów na swoim biurku i przyznał, choć niechętnie, że w rzeczywistości nie była to wcale sterta śmieci. Jeśli kiedykolwiek schwytany zostanie następny Carlos, to dzięki temu, że jakiś miejscowy glina w Sao Paulo, Brasilii, Bośni, albo diabli wiedzą gdzie, usłyszy coś od jakiegoś informatora, uda się w odpowiednie miejsce, żeby sprawdzić otrzymaną informację, a potem skojarzy coś sobie z jedną z tych wszystkich ulotek, których pełno we wszystkich posterunkach policji na całym świecie. Taki gliniarz musi potem ocenić, czy jest w stanie aresztować sukinsyna od razu, czy też — gdyby sytuacja wydała mu się zbyt trudna — złożyć meldunek swemu porucznikowi. A wtedy, być może, jakaś grupa do zadań specjalnych, taka jak Drugi Zespół Dinga, wkroczy do akcji i zdejmie zasrańca, delikatnie albo przemocą, może na oczach żony i dzieci, nie mających pojęcia o dodatkowych zajęciach tatusia...

a potem CNN puści to na cały świat...

Praca za biurkiem miała to do siebie, że człowiek zaczynał błędzić myślami, marzyć na jawie. Chavez, niby-major, spojrzął na zegarek, wstał i ruszył do sali ogólnej, gdzie oddał swą stertę papierów pannie Moony. O mało nie spytał, czy wszyscy skończyli, ale przecież musieli już skończyć, skoro jedyny człowiek, któremu mógłby zadać to pytanie, był w połowie drogi do wyjścia. Idąc za nim, Ding zabrał swój pas i pistolet. Następnym przystankiem była szatnia, gdzie czekały czarne kombinezony z kamizelkami kuloodpornymi.

Wszyscy członkowie Drugiego Zespołu już tam byli. Większość zdążyła się nawet przebrać, chociaż do zaplanowanych na ten dzień ćwiczeń pozostało jeszcze parę minut.

Wszyscy byli odprężeni. Uśmiechali się i żartowali przyciszonym głosem. Kiedy już wszyscy przebrali się, poszli do zbrojowni po swoje pistolety maszynowe. Każdy zawiesił sobie broń na szyi, sprawdził, czy magazynek jest pełny, wsunął go w gniazdo, przesunął dźwignię bezpiecznika, a potem zważył pistolet w rękę, upewniając się, że to jego broń. Każdy strzelec miał pistolet maszynowy dostosowany do swoich indywidualnych wymagań i przyzwyczajień.

Przez minione dwa tygodnie ćwiczyli niemal bez przerwy. Przerabiali sześć podstawowych scenariuszy, z których każdy można było rozgrywać w różnych warunkach.

Najbardziej nielubianym była akcja na pokładzie samolotu pasażerskiego. Miała tylko jedną dobrą stronę: terroryści nie mogli uciec. Cała reszta była wprost fatalna. Mnóstwo cywilów na linii ognia, sporo miejsc, w których przeciwnicy mogli się ukryć, a jeśli któryś z nich miał przy sobie bombę (niemal zawsze grozili, że mają) wystarczyło, że pociągnął za sznurek albo nacisnął

guzik i — jeśli sukinsyn nie był skończonym idiotą — wszyscy na pokładzie ginęli. Na szczęście niewielu ludzi wybierało taką śmierć. Dla Dinga i jego zespołu była to jednak niewielka pociecha. Często terroryści bardziej niż śmierci obawiali się schwytania, więc trzeba było strzelać szybko i absolutnie celnie; zespół musiał zaatakować samolot jak huragan o północy.

Szczególnie ważne były granaty obezwładniające, żeby sukinsynów na moment sparaliżowało, pozbawiło zdolności do walki. Można było wtedy pakować po dwa pociski w nieruchome głowy i pokładać w Bogu nadzieję, że cywile, których próbowało się ratować, nie wstaną z miejsc i nie zablokują strzelnicy, w jaką nagle zmienił się pokład *Boeinga* czy *Airbusa*.

— Drugi Zespół, gotowi? — spytał Chavez.

— Tak jest! — rozległa się chóralna odpowiedź.

Ding wyprowadził ich na zewnątrz. Biegiem pokonali kilometr, dzielący ich od strzelnicy, przy czym był to szybki bieg, nie jakiś poranny jogging. Johnston i Weber byli już na miejscu, po przeciwległych stronach kwadratowego budynku.

— Dowódca do snajpera Dwa-Dwa — powiedział Ding do mikrofonu w swoim hełmie.

— Dzieje się coś?

— Nic, Dwa-Sześć. Zupełnie nic — zameldował Weber.

— Snajper Dwa-Jeden?

— Sześć — zgłosił się Johnston. — Widziałem, jak poruszyła się franka, ale nic więcej.

Mikrofony wykazują cztery do sześciu głosów wewnątrz. Mówią po angielsku. Nic więcej do zameldowania.

— Przyjąłem — potwierdził Ding. Reszta zespołu była ukryta za ciężarówką. Po raz ostatni spojrzął na plan budynku. Byli w pełni przygotowani do akcji. Strzelcy znali rozkład wewnątrz na pamięć, mogli go sobie wyobrazić z zamkniętymi oczyma. Świadom tego, Ding dał im ręką znak, żeby ruszali.

Jako pierwszy do drzwi popędził Paddy Connolly. Kiedy tylko się tam znalazł, wypuścił z rąk swojego *H&K*, pozwalając, by broń zawisała na pasku i wyciągnął materiał wybuchowy z worka, przytroczonego do kamizelki kuloodpornej. Przymocował ładunek do framugi drzwi i w górny prawy róg wcisnął detonator. Sekundę później przesunął się o trzy metry w prawo, trzymając w lewej ręce zdalny detonator, podczas gdy prawą chwycił rękojeść pistoletu maszynowego, unosząc lufę do góry.

Okej, pomyślał Ding. Już czas. — Ruszamy! — krzyknął do swoich ludzi.

Kiedy pierwszy z nich wyskoczył zza ciężarówki, Connolly wcisnął guzik i framuga rozpadła się, a drzwi wleciały do środka. Pierwszy strzelec, sierżant Mike Pierce, wbiegł do budynku w niecałą sekundę później, znikając w kłębach dymu. Chavez był tuż za nim.

Wewnątrz było ciemno, światło wpadało jedynie przez wyrwane wybuchem drzwi. Pierce błyskawicznie rozejrzał się po pomieszczeniu, stwierdził, że jest puste i zajął pozycję przy drzwiach do następnego pokoju. Ding wbiegł tam pierwszy, prowadząc swój zespół...

Byli tam. Cztery cele i czterej zakładnicy...

Chavez uniósł swego *MP-10* z tłumikiem i strzelił dwukrotnie w głowę celu po lewej stronie. Zobaczył, że pociski trafiły w sam środek twarzy, tuż poniżej pomalowanych na niebiesko oczu. Przeniósł wzrok na prawo i spostrzegł, że Steve Lincoln również załatwił

swojego, zgodnie z planem. Chwilę później pod sufitem zapaliły się światła. Było po wszystkim.

Od zdetonowania ładunku wybuchowego minęło siedem sekund. Program tego ćwiczenia przewidywał osiem sekund. Ding zabezpieczył broń.

— Jasna cholera, John! — powiedział do dowódcy Tęczy.

Clark stał, patrząc z uśmiechem na cel po swojej lewej stronie, odległy zaledwie o pół

metra. Dwie dziury po pociskach gwarantowały natychmiastową śmierć. John nie miał na sobie kamizelki kuloodpornej. Nie miał jej też Stanley, który na drugim końcu pokoju również próbował nadrabiać miną. W kamizelki ubrane były natomiast panie Foorgate i Montgomery, siedzące pośrodku na krzesłach. Obecność kobiet zaskoczyła Chaveza, ale uzmysłowił sobie, że obie należały do Tęczy

i zapewne bardzo chciały pokazać, że ich miejsce jest razem z chłopcami.

Pomyślał z podziwem o ich harcie ducha, ale nie o zdrowym rozsądku.

— Siedem sekund. Sądzę, że wystarczy, chociaż lepsze byłoby pięć sekund — zauważył

John, ale wiedział, że rozmiary budynku ograniczały prędkość, z jaką mógł się poruszać zespół.

Przeszedł przez pokój, sprawdzając wszystkie cele. W tym, do którego strzelał McTyler, była tylko jedna dziura, ale jej nieregularny kształt świadczył wyraźnie, że przeszły tamtędy oba pociski. Każdy z tych ludzi miałby zapewnione miejsce w Trzeciej Grupie Operacji Specjalnych i każdy był równie dobry jak kiedyś on sam, pomyślał John Clark. Cóż, metody treningu znacznie się poprawiły od czasu, kiedy służył w Wietnamie. Pomógł wstać Helen Montgomery. Wydawała się trochę roztrzęsiona. Nic dziwnego. Sekretarkom nie płacono zwykle za przebywanie tam, gdzie koło głowy świszczą pociski.

— Nic pani nie jest? — spytał John.

— Nie, wszystko w porządku, dziękuję. To było dość ekscytujące. Wie pan, to mój pierwszy raz.

— Mój trzeci — powiedziała Alice Foorgate, wstając z krzesła. — Tak samo ekscytujące za każdym razem — dodała z uśmiechem.

Dla mnie też, pomyślał Clark. Mimo całego zaufania, jakim darzył Dinga i jego zespół, kurczył się trochę, patrząc w lufę pistoletu maszynowego i widząc płomienie wylotowe.

Rezygnacja z hełmu z osłoną na twarz nie była zbyt rozsądnym posunięciem, ale usprawiedliwił

się, mówiąc sobie, że przecież nie mógł ograniczać swego pola widzenia, jeśli miał wyłapać ewentualne błędy. Zresztą, żadnych poważniejszych błędów nie dostrzegł. Ci ludzie byli cholernie dobrzy.

— Doskonale — powiedział Stanley ze swojego końca podium. — Nazwisko? — spytał, wskazując na jednego z ludzi Chavez.

— Patterson, sir — odpowiedział sierżant. — Potknąłem się o coś, biegnąc tutaj. —

Odwrócił się i spojrzał na kawał framugi, który po wybuchu przeleciał przez wejście do pokoju z zakładnikami, i o który omal się nie wywrócił.

— Ale poradziście sobie zupełnie dobrze, sierżancie Patterson. Widzę, że nie miało to żadnego wpływu na celność waszych strzałów.

— Nie, sir — przyznał Hank Patterson, powściągając uśmiech. Chavez podszedł do Clarka, zabezpieczając po drodze broń.

— Panie C, melduję pełną gotowość operacyjną — powiedział z uśmiechem. — Powiedz

terrorystom, żeby mieli się na baczości. Jak sobie poradził Pierwszy Zespól?

— Dwie dziesiąte sekundy szybciej — odpowiedział John, obserwując z zadowoleniem, że drobny dowódca Drugiego Zespołu traci trochę pewności siebie. — I dziękuję.

— Za co?

— Za to, że nie rozwaliłeś swojego teścia. — John poklepał go po ramieniu i wyszedł z pokoju.

— W porządku, panowie — powiedział Ding do swoich ludzi — posprzątajmy tu i idziemy na odprawę. — Aż sześć kamer telewizyjnych rejestrowało całą operację. Chavez wiedział, że Stanley przeanalizuje cały materiał filmowy, klatka po klatce. Potem przyjdzie czas na parę piw w klubie podoficerskim 22. pułku. Przez ostatnie dwa tygodnie Ding przekonał się, że Brytyjczycy traktują swoje piwo poważnie, i że Scotty McTyler rzuca strzałkami równie celnie, jak Homer Johnson strzela ze swojego karabinu. Fakt, że Ding — obecnie w randze majora — pił piwo ze swoimi ludźmi, którzy byli sierżantami, stanowił zapewne naruszenie protokołu. Machnął na to ręką, mówiąc sobie, że przecież był tylko skromnym dowódcą plutonu w stopniu sierżanta sztabowego, zanim zniknął, przechodząc do Centralnej Agencji Wywiadowczej. Raczył swoich ludzi opowieściami z życia nindzów, jak ich nazywano w Forcie Bragg. Słuchali z mieszanką podziwu i rozbawienia. 7. Dywizja Piechoty Lekkiej była dobra, ale przecież nie tak dobra. Nawet Domingo przyznawał to po kilku piwach.

— No więc, Al? Co o tym sądzisz? — spytał John. Barek w jego biurze był otwarty, szkocka dla Stanleya, podczas gdy Clark pociągał swojego bourbona Wild Turkey.

Alistair wzruszył ramionami. — Od strony technicznej chłopcy są nad wyraz kompetentni. Umiejętności strzeleckie w porządku, sprawność fizyczna też. Dobrze reagują na przeszkody i nieprzewidziane wydarzenia, no i nie zabili nas dzisiaj, prawda?

— Ale? — spytał Clark, patrząc na niego spod oka.

— Ale tak naprawdę, to niczego nie można powiedzieć, dopóki coś się nie wydarzy naprawdę. Oczywiście, są równie dobrzy jak SAS, ale przecież najlepsi z nich byli przedtem w SAS...

Pesymizm Starego Świata, pomyślał John Clark. To był problem z Europejczykami.

Żadnego optymizmu. Zbyt często łamali sobie głowę nad tym, co może się nie udać.

— Chavez?

— Świetny chłopak — przyznał Stanley. — Prawie tak dobry jak Peter Covington.

— Zgadzam się — potwierdził Clark, mimo że ocena wypadła trochę niekorzystnie dla jego zięcia. Ale przecież Covington był w Hereford od siedmiu lat. Jeszcze parę miesięcy i Ding w niczym nie będzie mu ustępował. Już teraz bardzo niewiele mu do tego brakowało. O tym, który był akurat lepszy, decydowały już takie czynniki, jak liczba godzin przespanych poprzedniej nocy, a niedługo znaczenie będzie mieć to, co jeden i drugi zjedli na śniadanie. John pomyślał, że w sumie ma

właściwych ludzi, wyszkolonych najlepiej, jak można. Teraz musiał

tylko utrzymać ich na tym poziomie. Trening, trening i jeszcze raz trening.

Nikt z nich nie wiedział, że już się zaczęło.

— No więc, Dmitrij? — zwrócił się do niego tamten.

— Tak? — Dmitrij Arkadijewicz Popow obracał w palcach szklaneczkę z wódką.

— Gdzie i jak zaczynamy? — zapytał tamten.

Spotkali się przypadkiem i obaj sądzili, chociaż każdy z innego powodu, że był to szczęśliwy zbieg okoliczności. To było w Paryżu, w jakimś kawiarnianym ogródku. Siedzieli przy sąsiednich stolikach, tamten zorientował się, że Dmitrij jest Rosjaninem i zadał kilka prostych pytań na temat sytuacji w Rosji. Popow, były oficer KGB, zwolniony w ramach redukcji etatów, rozglądał się właśnie za okazją wkroczenia w świat kapitalizmu i szybko doszedł do wniosku, że ten Amerykanin musi mieć mnóstwo pieniędzy, więc warto się mu przyjrzeć bliżej.

Na zadawane pytania odpowiadał jasno i szczerze, pozwalając Amerykaninowi szybko domyślić się jego byłej profesji — nie ukrywał znajomości języków (mówił płynnie po angielsku, francusku i czesku), ani znajomości Waszyngtonu. Od początku było jasne, że Popow nie jest dyplomatą — zbyt otwarcie i bezpośrednio wyrażał swoje opinie, co zresztą w byłym radzieckim KGB zatrzymało jego karierę na stopniu pułkownika. Nadal uważał, że wart jest generalskich gwiazdek. Jak to często bywa, jedno doprowadziło do drugiego, wymienili wizytówki, potem Popow poleciał do Ameryki — w pierwszej klasie linii Air France, jako doradca do spraw bezpieczeństwa — a potem seria spotkań, zmierzających subtelnie w kierunku, który bardziej zaskoczył Rosjanina niż Amerykanina. Na Amerykaninie duże wrażenie zrobiła wiedza Popowa o problemach bezpieczeństwa na ulicach różnych wielkich miast. Później zaczęli rozmawiać na tematy związane z zupełnie innymi doświadczeniami.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — spytał Amerykanin w swym nowojorskim biurze.

Popow, który zdążył już wypić trzy podwójne wódki, uśmiechnął się szeroko. —

Oczywiście, że znam tych ludzi. Przecież zdajesz sobie sprawę, co robiłem, zanim odszedłem ze służby dla mojego kraju.

— Naprawdę pracowałeś z terrorystami? — spytał tamten ze zdziwieniem, zastanawiając się nad tą informacją.

Popow uznał, że musi mu to wyjaśnić we właściwym kontekście ideologicznym. —

Musisz pamiętać, że dla nas w żadnym wypadku nie byli to terroryści. Byli naszymi towarzyszami, współwyznawcami teorii pokoju światowego i marksizmu-leninizmu, towarzyszami broni w walce o wolność człowieka, a także, co tu kryć, użytecznymi głupkami, aż nazbyt chętnymi poświęcić życie w zamian za takie, czy inne wsparcie, zresztą niewielkie.



— Doprawdy? — spytał zaskoczony Amerykanin. — Myślałem, że kierowali się jakimiś ważnymi motywami...

— Ależ oczywiście — zapewnił go Popow — ale idealisci to głupcy, czyż nie tak?

— Niektórzy — przyznał jego gospodarz, dając mu znak, żeby kontynuował.

— Wierzą w całą tę retorykę, we wszystkie obietnice. Nie rozumiesz? Ja też byłem członkiem partii. Mówiłem, co trzeba, wypełniałem ankiety, chodziłem na zebrania, płaciłem składki partyjne. Robiłem wszystko, co musiałem, ale naprawdę liczyło się to, że pracowałem w KGB. Wyjeżdżałem za granicę. Widziałem na własne oczy, jak wygląda życie na Zachodzie. O

wiele bardziej wolałem wyjeżdżać, hm, „służbowo” za granicę, niż pracować na Łubiance.

Lepsze jedzenie, lepsze ubrania, wszystko lepsze. W odróżnieniu od tych durnych młodzików, ja znałem prawdę — zakończył, unosząc opróżnioną do połowy szklaneczkę.

— A co oni robią teraz?

— Ukrywają się — odpowiedział Popow. — Większość się ukrywa. Niektórzy znaleźli może jakąś robotę, raczej proste zajęcia, mimo że prawie każdy z nich ma wyższe wykształcenie.

— Zastanawiam się... — Amerykanin spojrział na niego mętnym wzrokiem. Popow zastanawiał się, czy tamten jest naprawdę wstawiony, czy bardzo umiejętnie udaje.

— Nad czym się zastanawiasz?

— Czy można by się jeszcze z nimi skontaktować...

— Z pewnością, gdyby był jakiś powód. Moje kontakty... — Postukał palcem w skroń. —

Wiesz, tego się nie zapomina. — Do czego to zmierza?

— Wiesz, Dmitrij, nawet z agresywnych psów jest jakiś pożytek i czasem... hm, no, wiesz... — tamten uśmiechnął się z zakłopotaniem.

Popow zastanawiał się, czy to możliwe, że wszystkie filmy z tego gatunku były oparte na autentycznych wydarzeniach. Czy amerykańscy menedżerowie naprawdę planowali mordowanie konkurentów i tak dalej? Przecież to zupełne szaleństwo... Ale może te filmy nie były pełną fikcją?

— Powiedz mi — ciągnął Amerykanin — czy naprawdę pracowałeś z tymi ludźmi, to znaczy planowałeś niektóre z ich operacji?

— Planowanie? Nie — odpowiedział Rosjanin, kręcąc głową. — Udzielałem wsparcia, pod kierunkiem mojego rządu. Najczęściej byłem kimś w rodzaju kuriera. — Nie należało to do jego

ulubionych zadań. W praktyce był listonoszem, mającym przekazywać specjalne informacje tym zepsutym dzieciakom, ale wybrano go do tej roboty z racji doskonałych kwalifikacji jako agenta, a także dlatego, że potrafił rozmawiać prawie z każdym i niemal na każdy temat. A tamtych nie było łatwo przekonać, jeśli raz wbili sobie coś do głowy. Popow był kimś, kogo w potocznym języku określa się jako szpiega, naprawdę świetnym oficerem wywiadu, którego nigdy — o ile wiedział — nie zdemaskowała żadna z zachodnich służb kontrwywiadowczych.

Gdyby było inaczej, na lotnisku Kennedy'ego nie potraktowano by go jak zwyczajnego cudzoziemca, przybywającego do Ameryki.

— Więc naprawdę wiesz, jak można się skontaktować z tymi ludźmi?

— Tak, wiem — zapewnił Popow swego gospodarza.

— Ciekawe. — Amerykanin wstał. — Co byś powiedział na kolację? Pod koniec kolacji Popow był już specjalnym doradcą, z pensją 100.000 dolarów rocznie. Zastanawiał się, dokąd zaprowadzi go ta nowa praca, ale tak naprawdę było mu to obojętne. Sto tysięcy dolarów to kupa forsy dla kogoś, kto odznaczał się dość wyrafinowanym gustem i potrzebował odpowiedniego zabezpieczenia materialnego.

Od tamtej pory minęło dziesięć miesięcy. Wódka w szklaneczce z dwiema kostkami lodu smakowała równie dobrze, jak wtedy. — Gdzie i jak...? — szepnął Popow, rozmyślając nad tym, jak dziwne i niespodziewane są koleje losu. Jeszcze kilka godzin temu był w Paryżu, zabijając czas w oczekiwaniu na spotkanie z byłym „kolegą” z DGSE[5]. — To znaczy, że termin został już ustalony?

— Tak, Dmitrij, jest już data.

— Wiem z kim się zobaczyć i do kogo zatelefonować, żeby zaaranżować spotkanie.

— Musisz spotykać się z nimi osobiście? — spytał Amerykanin, zdaniem Popowa, dość głupio.

Rosjanin uśmiechnął się pobłaźliwie. — Tak, przyjacielu, osobiście. Takich spraw nie uzgadnia się faksem.

— To ryzyko.

— Bardzo małe. Spotkanie odbędzie się w bezpiecznym miejscu. Nikt mnie nie sfotografuje, a znają mnie tylko z hasła i pseudonimu, no i, oczywiście, z pieniędzy.

— Ile?

Popow wzruszył ramionami. — Powiedzmy, że pięćset tysięcy dolarów, dobrze?

Oczywiście gotówką, dolary amerykańskie, marki niemieckie, franki szwajcarskie, to będzie zależało od preferencji naszych... przyjaciół — dodał, żeby wszystko było jasne.

Gospodarz napisał coś na kawałku papieru i podał mu go przez stół. — To wszystko, czego

potrzebujesz, żeby dostać te pieniądze.

I tak się zaczęło. Moralność zawsze była pojęciem względnym, w zależności od kultury, doświadczenia i zasad poszczególnych mężczyzn i kobiet. Dmitrij przestrzegał kilku żelaznych zasad, z których najważniejsza mówiła, że trzeba jakoś zarabiać na życie.

— Zdajesz sobie sprawę, że dla mnie wiąże się z tym pewne ryzyko, a jak wiesz, moje uposażenie...

— Twoje uposażenie wzrosło właśnie dwukrotnie, Dmitrij. Uśmiech. — Doskonale. —

Dobry początek. Nawet w rosyjskiej mafii nie awansowało się tak szybko.

Trzy razy w tygodniu ćwiczyli zjeżdżanie na linie z platformy, umieszczonej dwadzieścia metrów nad ziemią. Raz w tygodniu robili to ze śmigłowca, wypożyczonego przez armię brytyjską. Chavez niezbyt to lubił. Była to jedna z kilku rzeczy, których jakoś uniknął podczas służby w Armii. Przeszedł szkolenie Rangersów jako kapral, ale z jakiegoś powodu nigdy nie trafił do Fort Benning.

W zależności od tego, jak się do tego podchodziło, było to coś wspaniałego lub koszmarnego. Oparł stopy na płozie, podczas gdy śmigłowiec zbliżał się do miejsca akcji. Ręce w rękawiczkach trzymały trzydziestometrową linę na wypadek, gdyby pilot trochę się przeliczył.

Nikt za bardzo nie ufał pilotom, chociaż właśnie od nich zależało życie; ten pilot wydawał się jednak całkiem niezły. Trochę brawurował — ostatni odcinek pokonali między koronami drzew i górne gałęzie otarły się o mundur Dinga, wprowadzicie bardzo delikatnie, ale w tym momencie było to zdecydowanie nieprzyjemne. Potem nos maszyny uniósł się w ramach manewru zwanego hamowaniem dynamicznym. Kiedy nos śmigłowca znów opadł, Chavez zeskoczył z płozy i zaczął zjeżdżać po linie. Trudność polegała na tym, żeby zatrzymać się tuż nad ziemią, zjechawszy dostatecznie szybko, by wisząc na linie nie stać się celem... Teraz... Dotknął stopami ziemi, odrzucił linę, złapał w obie ręce *H&K* i ruszył biegiem, przeżywszy swój piętnasty zjazd na linie, w tym trzeci ze śmigłowca.

W tej robocie jest coś bliskiego euforii, pomyślał, biegnąc. Znów był żołnierzem, robił

coś, co zawsze kochał, a czego niemal zupełnie pozbawiły go obowiązki w CIA. Chavez lubił się spocić, lubił wysiłek fizyczny związany z żołnierskim rzemiosłem, a przede wszystkim uwielbiał

być z ludźmi, którzy dzielali jego upodobania. Nie było łatwo. Na każdym kroku czyhały niebezpieczeństwa; w minionym miesiącu każdy z jego ludzi doznał jakiejś drobnej kontuzji — z wyjątkiem Webera, który wydawał się człowiekiem ze stali — a statystyka mówiła, że prędzej, czy później któryś dozna poważnych obrażeń, najprawdopodobniej złamie nogę podczas zjazdu na linie. Z powodu wypadków i kontuzji podczas treningu, Delta w Fort Bragg rzadko dysponowała zespołem w stanie pełnej gotowości operacyjnej. Ale im więcej potu podczas treningu, tym mniej krwi w boju. Takie było motto każdej profesjonalnej armii. Przesada, ale wcale nie taka wielka. Spojrzawszy za siebie z miejsca, w którym się ukrył, Chavez zobaczył, że cały Drugi Zespół był już na ziemi i w akcji, nawet Vega, co było godne uwagi. Chavez zawsze martwił się, że potężnie zbudowany Oso może mieć kłopoty z kostkami podczas zjazdów na linie. Weber i Johnson biegli na z góry upatrzone

pozycje strzeleckie; każdy z nich dźwigał

wykonany na specjalne zamówienie karabin wyborowy z celownikiem optycznym. Radia wbudowane w hełmy działały; słycać było charakterystyczny szum, powodowany przez cyfrowy system kodowania łączności, gwarantujący, że nikt nie podsłucha tego, co mówią członkowie zespołu... Ding znów się odwrócił i zobaczył, że wszyscy znaleźli się już na zaplanowanych pozycjach, gotowi wykonać jego następny rozkaz...

Centrala łączności znajdowała się na drugim piętrze budynku, którego renowację właśnie ukończono. Znajdowały się tam tradycyjne teleksy z serwisami różnych agencji informacyjnych, a także odbiorniki telewizyjne, na których odbierano CNN, Sky News i kilka innych programów.

Informacje z tych źródeł monitorowali ludzie zwani przez Brytyjczyków „mózgowcami”, pod nadzorem doświadczonego oficera wywiadu. Oficerem, który pełnił właśnie tę służbę był

Amerikanin z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, major Sił Powietrznych, ubierający się zwykle po cywilnemu, choć wcale nie ukrywało to jego narodowości ani rodzaju jego wykształcenia.

Major Sam Bennett bez trudu zaaklimatyzował się w nowych warunkach. Jego żona i synowie nie byli wprawdzie zachwyceni tutejszą telewizją, ale klimat im odpowiadał, a w okolicy znalazło się kilka całkiem przyzwoitych pól golfowych. Major biegał codziennie pięć kilometrów, chcąc pokazać miejscowym, że nie jest takim zupełnym nedorajdą. Cieszył się już na myśl, że za kilka tygodni wybierze się zapolować na dzikie ptactwo. Służba nie była zbyt skomplikowana. Generał Clark — chyba już wszyscy tak o nim myśleli — wydawał się całkiem przyzwoitym szefem. Lubił szybkość i precyzję, co Bennettowi bardzo odpowiadało. Nigdy nie wrzeszczał na ludzi. Podczas swych dwunastu lat w mundurze Bennett pracował już z paroma krzykaczami. A Bill Tawney, Brytyjczyk, szef sekcji wywiadu, był chyba najlepszy, jakiego Bennett kiedykolwiek spotkał — cichy, rozważny i inteligentny. W ostatnich tygodniach Bennett napił się z nim parę razy piwa w klubie oficerskim w Hereford i pogadali sobie o robocie.

Z drugiej strony ta służba prawie cały czas była nudna. Pracował przedtem w Centrum Obserwacyjnym Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, w wielkim, ale niskim pomieszczeniu w podziemiach, z miniaturowymi odbiornikami telewizyjnymi i drukarkami komputerowymi, których nieprzerwany szum mógł sprawić, że człowiek wariował podczas długich nocy, śledząc, co dzieje się na całym pieprzonym świecie. Całe szczęście, że przynajmniej Brytyjczycy nie widzieli sensu w zamykaniu wszystkich pracowników w klatkach. Mógł bez trudu wstać i przespacerować się. Personel był tu młody. Tylko Tawney przekroczył pięćdziesiątkę i Bennettowi taka sytuacja bardzo odpowiadała.

— Majorze! — zawołał jeden z ludzi siedzących przy drukarkach z serwisami agencji informacyjnych. — Zakładnicy w Szwajcarii.

— Która agencja? — spytał Bennett, idąc do drukarki.

— Agence France Presse. To jakiś cholerny bank — zameldował kapral. Bennett był już tak blisko, że bez trudu sam mógł przeczytać tekst depechy — gdyby znał francuski. Kapral znał i natychmiast

przetłumaczył. Bennett sięgnął po telefon.

— Panie Tawney, incydent w Bernie, nieznana liczba napastników zajęła centralę Berneńskiego Banku Komercyjnego. W środku są cywile, nie wiadomo, ilu.

— Co jeszcze, majorze?

— W tej chwili to wszystko. Najwyraźniej policja jest już na miejscu.

— Dziękuję panu, majorze. — Tawney rozłączył się i otworzył szufladę biurka, wyjmując i otwierając bardzo szczególną książkę. Świetnie, tego akurat znał osobiście. Wybrał numer ambasady brytyjskiej w Genewie. — Z panem Gordonem proszę — powiedział telefonistce.

— Gordon — dobiegł głos ze słuchawki kilka sekund później.

— Dennis, tu Bill Tawney.

— Bill, dawno cię nie słyszałem. W czym mogę ci pomóc?

— Centrala Berneńskiego Banku Komercyjnego. Zdaje się, że wzięto tam zakładników.

Chcę, żebyś ocenił sytuację i złożył mi raport.

— A dlaczego nas to interesuje, Bill? — spytał tamten.

— Mamy... coś w rodzaju porozumienia z rządem szwajcarskim. Gdyby ich policja nie mogła sobie z tym poradzić, być może będziemy mogli udzielić pomocy technicznej. Kto w ambasadzie jest w kontakcie z miejscową policją?

— Tony Armitage, był kiedyś w Scotland Yardzie. Zajmuje się głównie przestępstwami finansowymi.

— Weź go ze sobą — polecił Tawney. — Zgłoś się bezpośrednio do mnie, kiedy tylko czegoś się dowiesz. — Tawney dał mu swój numer telefonu.

— Świetnie. — W Genewie i tak nic się tego popołudnia nie działo.

— To potrwa kilka godzin.

I prawdopodobnie nic z tego nie wyjdzie, pomyśleli obaj. — Będę czekał. Dzięki, Dennis.

— Tawney odłożył słuchawkę i wyszedł z biura, udając się na górę, do centrum operacyjnego.

Na tyłach budynku, w którym mieściła się kwatera główna Tęczy, znajdowały się cztery wielkie anteny satelitarne, nastawione na satelity komunikacyjne na orbicie stacjonarnej nad równikiem. Bez

trudu sprawdzili, który satelita i w jakim paśmie jest wykorzystywany przez telewizję szwajcarskie. W wypadku prawie wszystkich krajów łatwiej było przechwytywać transmisję satelitarną niż podłączać się do sieci naziemnych. Po chwili oglądali już program, przekazywany spod banku do lokalnej stacji telewizyjnej. Na razie była tam tylko jedna kamera.

Widać było fronton budynku — Szwajcarzy mieli skłonność do nadawania swym bankom formy pałaców miejskich, choć z wyraźnie germańskimi cechami, mającymi sprawiać, że wydawały się potężne i niedostępne. Z głośników dobiegał głos reportera, mówiącego coś do studia, a nie do widzów. Tłumacz przekładał na bieżąco.

— „Nie, nie mam pojęcia. Policja jeszcze nic nam nie powiedziała” — mówił tłumacz monotonnym głosem. — W tym momencie odezwał się ktoś inny. Kamerzysta — powiedział

tłumacz. — Chyba kamerzysta. Coś się dzieje...

Kamera zrobiła zbliżenie. Na ekranie pojawiła się sylwetka człowieka, który miał coś na głowie, jakąś maskę...

— Co to za broń? — spytał Bennett.

— Czeski *Vzor 58* — powiedział natychmiast Tawney. — Tak mi się przynajmniej wydaje. Świetny fachowiec z tego kamerzysty.

— „Co powiedział?” To był reporter ze studia — ciągnął tłumacz, prawie nie patrząc na ekran telewizora. — „Nie wiem, nie dosłyszałem. Straszny tu hałas. Coś krzyknął, ale nie zrozumiałem. O, dobrze. Ilu ludzi? Nie jestem pewien, *Wachtmeister* mówi, że ponad dwudziestu, klienci i pracownicy banku. Tu na zewnątrz jestem tylko ja z kamerzystą. Widzę około piętnastu policjantów. Reszta pewnie w drodze”. To była odpowiedź ze studia. — Przeszli rozmawiać. Kamera została wyłączona. Dźwięki z głośników wskazywały, że kamerzysta zmienia pozycję; potwierdzenie nadeszło minutę później, kiedy znów pojawił się obraz, ale z zupełnie innego miejsca.

— Co tu mamy, Bill? — Tawney i Bennett odwrócili się, słysząc za plecami Clarka. —

Wpadłem, żeby z tobą porozmawiać, ale sekretarka powiedziała mi, że coś się szykuje.

— Być może — powiedział szef sekcji wywiadu Tęczy. — Poleciałem Szóstce w Genewie wysłać dwóch ludzi, żeby ocenili sytuację. Podpisaliśmy porozumienie z rządem szwajcarskim i może zdecydują się z niego skorzystać. Bennett, czy prywatne stacje telewizyjne już to mają?

Bennett pokręcił głową. — Nie, sir. Na razie cisza.

To dobrze, pomyślał Tawney. — Który zespół jest teraz w stanie gotowości, John?

— Drugi. Chavez i Price. Kończą w tej chwili trening. Jak sądzisz, kiedy ogłosić pogotowie?

— Moglibyśmy rozpocząć zaraz — odpowiedział Bill, chociaż przypuszczał, że prawdopodobnie nie chodziło tu o nic więcej niż o sfuszerowany napad na bank. Zdarza się i w Szwajcarii.

Clark wyjął z kieszeni miniaturowy radiotelefon i włączył go. — Chavez, tu Clark. Zgłoś się zaraz w centrali łączności razem z Price'em.

— Już biegniemy, szefie — padła odpowiedź.

— Ciekawe, o co chodzi — powiedział Ding do swojego starszego sierżanta sztabowego.

Przez ostatnie trzy tygodnie mógł się przekonać, że Eddie Price był chyba najlepszym żołnierzem, jakiego kiedykolwiek miał okazję spotkać: opanowany, inteligentny i bardzo doświadczony.

— Myślę, że zaraz się dowiemy, sir — odpowiedział Price. Wiedział, że oficerowie często odczuwają potrzebę rozmawiania. Potwierdzenie nadeszło natychmiast.

— Jak długo już to robisz, Eddie?

— Prawie trzydzieści lat, sir. Zaciągnąłem się jako chłopiec. Miałem wtedy piętnaście lat.

Spadochroniarze — ciągnął, chcąc uprzedzić następne pytanie. — Przeszedłem do SAS w wieku dwudziestu czterech lat i już zostałem.

— Cóż, sierżancie, cieszę się, że mam tu was ze sobą — powiedział Chavez, wsiadając do samochodu. Ruszyli do budynku kwatery głównej.

— Dziękuję, sir — odpowiedział starszy sierżant. Pomyślał, że Chavez to przyzwoity facet, a może nawet dobry dowódca, ale to się dopiero okaże. Sam też mógłby zadać parę pytań, ale nie, raczej nie wypadało. Price niewiele wiedział jeszcze o zwyczajach panujących w wojsku po drugiej stronie Atlantyku.

Powinieneś być oficerem, Eddie. Ding nie powiedział tego. W Ameryce takiego faceta siłą zabrano by z jednostki, choćby zapierał się ze wszystkich sił, i wysłano do szkoły oficerskiej, po drodze finansując zapewne jeszcze ukończenie jakiegoś koledżu. Co kraj, to obyczaj, powiedział sobie Chavez. Cóż, w ten sposób zyskiwał przynajmniej świetnego sierżanta.

Dziesięć minut później zaparkował na tyłach budynku i wszedł do środka, kierując się znakami, pokazującymi drogę do centrali łączności.

— Witam, panie C, co się dzieje?

— Domingo, być może będzie robota dla ciebie i twojego zespołu. Berno, Szwajcaria.

Sfuszerowany napad na bank, zakładnicy. Na razie nic więcej nie wiemy. — Clark wyciągnął rękę w kierunku ekranów telewizyjnych. Chavez i Price podsunęli sobie bliżej obrotowe krzesła.

Nawet gdyby miało się okazać, że nie mają w Szwajcarii nic do roboty, taki ćwiczebny alarm z pewnością się przyda. Machina poszła już w ruch. Na pierwszym piętrze załatwiano bilety lotnicze, rezerwując miejsca aż w czterech samolotach z Gatwick do Szwajcarii. W drodze do Hereford były

dwa śmigłowce, mające zabrać na lotnisko jego ludzi i sprzęt. Powiadomiono British Airways o planowanym transporcie zabezpieczonych pojemników — kontrola ich zawartości przed lotem międzynarodowym wywołałaby tylko niepotrzebną panikę. Jeśli stan pogotowia zostanie zaostrożony, członkowie Drugiego Zespołu przebiorą się w cywilne ubrania, łącznie z marynarkami i krawatami. Clark pomyślał, że trochę w tym przesady. Niełatwo jest przebrać żołnierzy, żeby wyglądali na bankierów.

— Niewiele się w tej chwili dzieje — powiedział Tawney. — Sam, mógłbyś puścić taśmy z wcześniejszymi nagraniami?

— Tak jest. — Major Bennett wsunął kasetę do magnetowidu i nacisnął klawisz PLAY na pilocie.

— Czeski *Vzor 58* — powiedział natychmiast Price. — Twarzy nie widać?

— Nie, niczego więcej nie mamy — odpowiedział Bennett.

— Dziwna broń, jeśli chce się napaść na bank — zauważył starszy sierżant. Chavez spojrział na niego. To była jedna z tych charakterystycznych dla Europy rzeczy, których musiał

się dopiero nauczyć. W porządku, więc tutejsi bandyci nie używają karabinów.

— To samo pomyślałem — powiedział Tawney.

— Broń terrorystów? — spytał Chavez swego sierżanta.

— Tak jest, sir. Czesi rozprowadzili mnóstwo tych karabinów. To niezbyt duża broń, jak pan widzi. Tylko sześćdziesiąt trzy i pół centymetra długości ze złożoną kolbą, produkowany w zakładach w Uherskim Brodzie. Radziecka amunicja 7,62x39. Samoczynny, z przełącznikiem rodzaju ognia. Zupełnie nietypowa broń w rękach szwajcarskiego bandyty — powtórzył Price z naciskiem.

— Dlaczego? — spytał Clark.

— Sir, w Szwajcarii produkuje się znacznie lepszą broń, którą praktycznie wszyscy obywatele trzymają na co dzień w domach. Skombinowanie kilku sztuk nie powinno nastęrczać większych trudności.

Budynek zadrżał — w pobliżu lądowały śmigłowce. Clark spojrział na zegarek i skinął głową z aprobatą.

— Co wiemy o okolicy? — spytał Chavez.

— Pracujemy nad tym, chłopie — odpowiedział Tawney. — Na razie dysponujemy tylko tym, co pokazuje telewizja.

Na ekranie widać było zwyczajną ulicę, na której nie było w tej chwili żadnego ruchu, ponieważ policja kierowała samochody i autobusy na trasę objazdową.



Chavez spojrział na Price'a, który wpatrywał się z uwagą w obrazy, przychodzące ze Szwajcarii. Mieli je teraz na dwóch ekranach, ponieważ na miejsce dotarła ekipa jeszcze jednej telewizji szwajcarskiej i obie transmisje ściągali z satelity. Tłumacz w dalszym ciągu przekładał

wszystko, co reporterzy i kamerzyści mówili do swoich studiów. Mówili zresztą bardzo niewiele, z czego połowę stanowiły w dodatku zwyczajne pogawędki między kolegami. Czasem któraś z kamer uchwyciła jakiś ruch zasłony w oknie, ale nic więcej.

— Policja próbuje prawdopodobnie skontaktować się z naszymi przyjaciółmi przez telefon, porozmawiać z nimi, przemówić do rozsądku, jak zwykle w takich sytuacjach —

powiedział Price, uzmysłowiwszy sobie, że ma w tego rodzaju sprawach więcej praktycznego doświadczenia niż ktokolwiek z obecnych. Pozostali znali teorię, ale teoria nie zawsze okazywała się wystarczająca. — Za pół godziny będziemy wiedzieć, czy mamy coś tam do roboty.

— Ci szwajcarscy gliniarze są dobrzy? — spytał Chavez Price'a.

— Bardzo dobrzy, sir, ale nie mają zbyt wiele doświadczenia w trudnych sytuacjach z zakładnikami...

— To właśnie dlatego zawarliśmy z nimi porozumienie — wtrącił Tawney.

— Tak jest, sir. — Price odchylił się na krześle, sięgnął do kieszeni i wyjął fajkę. — Ma ktoś coś przeciw?

Clark pokręcił głową — Nie jesteśmy fanatykami zdrowego trybu życia, sierżancie. Co pan ma na myśli, mówiąc o „trudnych sytuacjach z zakładnikami”?

— Zdecydowani na wszystko przestępcy, terroryści. — Price wzruszył ramionami. —

Faceci na tyle głupi, żeby ryzykować życiem. Tacy, którzy zabijają zakładników, żeby pokazać, że są zdecydowani na wszystko. — Tacy, przeciwko którym ruszamy do akcji i których zabijamy, tego już nie musiał dodawać.

Clark rozejrzał się dookoła i doszedł do wniosku, że to marnotrawstwo, żeby tacy ludzie siedzieli bezczynnie, zwłaszcza Bill Tawney. Ale trudno ogłaszać encykliki, jeśli nie dysponuje się informacjami. Wszystkie oczy były wbite w ekrany telewizyjne, na których jednak niewiele było widać. Clark zatęsknił przez chwilę za bezsensowną paplaniną, jakiej oczekuje się od reporterów telewizyjnych, kiedy ciszę trzeba wypełnić pustymi słowami. Jediną interesującą rzeczą, jakiej się dowiedział, było to, że reporterzy próbują rozmawiać z policjantami, a ci mówią tylko, że usiłują nawiązać kontakt z przestępcami, jak dotąd bezskutecznie. Z pewnością było to kłamstwo, ale w takich sytuacjach policja powinna oszukiwać media i opinię publiczną, ponieważ każdy choć trochę kompetentny terrorysta wiedział, że trzeba oglądać telewizję. A z telewizji można się dowiedzieć mnóstwa rzeczy; gdyby tak nie było, Clark i jego ludzie nie zawracaliby tym sobie teraz głowy.

Sprawy proceduralne były zarazem proste i skomplikowane. Tęcza miała porozumienie z rządem szwajcarskim. Jeśli lokalna policja nie mogła sobie z czymś poradzić, przekazywała sprawę w gestię

władz kantonalnych, które decydowały następnie, czy przekazać ją szczebel wyżej, do rządu centralnego, którego ministrowie mogli ewentualnie skontaktować się z Tęczą.

Całą tę procedurę ustanowiono przed miesiącami, jako część mandatu agencji, którą Clark obecnie kierował. Jeśli prośba o pomoc nadejdzie, to za pośrednictwem Foreign Office, brytyjskiego MSZ, w Whitehall, nad brzegiem Tamizy w centrum Londynu. Johnowi wydawało się to straszliwą biurokracją, ale nie można było tego uniknąć. I tak czuł wdzięczność, że nie przewidziano jeszcze jakiegoś szczebla czy dwóch więcej. Kiedy już prośba o pomoc nadejdzie, wszystko stanie się łatwiejsze, przynajmniej z administracyjnego punktu widzenia. Do tego czasu jednak Szwajcarzy nic im nie powiedzą.

Po godzinie czuwania przed telewizorem Chavez wyszedł, żeby postawić Drugi Zespół w stan gotowości. Zobaczył, że jego ludzie zachowują spokój, przygotowując sprzęt do transportu.

Nie było tego zresztą zbyt wiele. Transmisję telewizyjną przełączono na ich indywidualne odbiorniki telewizyjne na biurkach. Siedzieli na swych obrotowych krzesłach, patrząc w milczeniu, podczas gdy ich szef wrócił do centrali łączności. Przed budynkiem Drugiego Zespołu śmigłowce czekały na lądowisku. Pierwszy Zespół również przeszedł w stan gotowości, na wypadek gdyby rozbiły się śmigłowce transportujące ich kolegów do Gatwick. Johnowi przebiegło przez głowę, że wszystkie te procedury są dogłębnie przemyślane, tyle że nie przez terrorystów.

Na ekranie telewizora widać było policjantów. Niektórzy mierzyli z broni we fronton banku, ale większość po prostu stała i przyglądała się. Byli wprawdzie dobrze wyszkoleni, ale ich szkolenie praktycznie nie obejmowało tego rodzaju sytuacji. Chociaż Szwajcarzy brali pod uwagę, że coś takiego może się wydarzyć — zresztą podobnie jak wszyscy inni w cywilizowanym świecie — nie traktowali tego bardziej serio niż, powiedzmy, gliniarze w Boulder w stanie Kolorado. Nigdy dotąd nic takiego nie wydarzyło się w Bernie, więc dla tamtejszej policji napad na bank musiał okazać się zupełnym zaskoczeniem. Clark aż za dobrze o tym wiedział, podobnie jak i jego ludzie. Policja niemiecka — jedna z najbardziej kompetentnych na świecie — zupełnie spaprała akcję uwalniania zakładników w Furstfeldbruck, nie dlatego, że miała słabych ludzi, lecz dlatego, że był to ich pierwszy raz. W rezultacie niektórzy sportowcy izraelscy nie wrócili z olimpiady w Monachium w 1972 roku. Cały świat wyciągnął z tego naukę, ale czy była to skuteczna lekcja? Clark zastanawiał się nad tym, podobnie jak pozostali.

Przez następne pół godziny na ekranach telewizorów widać było niewiele oprócz pustej ulicy, ale potem pojawił się oficer policji z telefonem komórkowym. Na początku sprawiał

wrażenie spokojnego i opanowanego, ale wkrótce zaczęło się to zmieniać. Przycisnął telefon mocno do ucha, gestykulując wolną ręką, jakby rozmawiał z kimś twarzą w twarz.

— Coś jest nie w porządku — zauważył doktor Paul Bellow. Dla pozostałych nie było to zaskoczeniem, zwłaszcza dla Eddie'ego Price'a, który siedział spięty, ale tylko pykał fajkę, nie odzywając się ani słowem. Negocjowanie z ludźmi takimi jak ci, którzy opanowali berneński bank, było sztuką samą w sobie, i była to sztuka, której widoczny na ekranie nadinspektor policji

— czy jaki tam miał stopień — najwyraźniej nie opanował. Starszy sierżant Price pomyślał, że to zła

wiadomość dla jednego lub nawet dla kilku klientów banku.

— „Czy to był strzał?” — powiedział tłumacz, przekazując słowa jednego z reporterów.

— O, cholera — zaklął cicho Chavez. Właśnie nastąpiła eskalacja. Niespełna minutę później otworzyły się jedne ze szklanych drzwi banku i mężczyzna w cywilnym ubraniu zaczął

wyciągać na chodnik bezwładne ciało. Wydawało się, że to zwłoki mężczyzny, ale głowa — co zobaczyli, kiedy obie kamery zrobiły zbliżenie — była już tylko czerwoną miazgą. Cywil wyciągnął zwłoki na zewnątrz i jakby zastygł w miejscu.

W prawo, uciekaj w prawo, poganiał go w myślach Chavez. W jakiś sposób ta myśl pokonała dzielący ich dystans, bo człowiek w szarej marynarce, który dotąd stał nieruchomo ze spuszczonym wzrokiem, ruszył w prawo, przypuszczając zresztą, że jego chwile są policzone.

— „Ktoś krzyczy z wnętrza banku” — odezwał się tłumacz.

Nie wiedzieli, kto i co krzyczał, ale dla cywila ten krzyk stał się bodźcem. Rzucił się w prawo, oddalając się od podwójnych szklanych drzwi. Znajdował się teraz na chodniku, pod oknami banku, od których poziomu dzielił go prawie metr granitowego muru. Był niewidoczny dla tych wewnątrz budynku.

— Dobrze, stary — powiedział cicho Tawney. — A teraz zobaczymy, czy policja zdoła cię stamtąd zabrać.

Jedna z kamer przeniosła się na wysokiego rangą policjanta, który wyszedł na środek ulicy ze swym telefonem komórkowym i machał teraz gwałtownie rękami do cywila, dając mu znać, żeby się położył. Nie wiedzieli, czy była to brawura, czy głupota, ale gliniarz podszedł

następnie wolnym krokiem do miejsca, gdzie stały samochody policyjne i — o dziwo — nikt do niego nie strzelił. Obiektywy kamer skierowały się z powrotem na cywila, któremu udało się uciec. Zza węgła budynku banku policjanci dawali mu znaki, żeby się do nich przyczołgał.

Umundurowani gliniarze trzymali w rękach pistolety maszynowe. Widać było, że są spięci i sfrustrowani. Kamera uchwyciła moment, kiedy jeden z policjantów spojrzał na zwłoki, leżące na chodniku. Ludzie w Hereford bez trudu mogli odczytać jego myśli.

— Panie Tawney, telefon do pana. Czwarta linia — rozległ się głos z interkomu. Szef wywiadu Tęczy podszedł do aparatu telefonicznego i wcisnął odpowiedni guzik.

— Tawney... Ach tak, Dennis...

— Tamci właśnie zamordowali człowieka.

— Widzieliśmy. Przechwytyjemy transmisję telewizyjną. — To oznaczało, że podróż Gordona do

Berna była stratą czasu... Chociaż, nie, na pewno nie. — Jest z tobą ten Armitage?

— Tak, Bill, idzie właśnie pogadać z policjantami.

— Doskonale. Zaczekam na niego na linii.

Jak na zamówienie, kamera pokazała w tym momencie mężczyznę w cywilnym ubraniu, podchodzącego do najwyższego stopniem policjanta. Cywil wyciągnął jakąś legitymację, rozmawiał przez chwilę z policjantem, po czym odszedł, znikając za rogiem.

— Tu Tony Armitage, z kim mówię?

— Bill Tawney.

— Skoro pan zna Dennisa, to przypuszczam, że jest pan z Szóstki. Co mogę dla pana zrobić, sir?

— Co panu powiedział ten policjant? — Tawney włączył głośnik aparatu telefonicznego.

— Sytuacja zdecydowanie go przerasta. Powiedział, że zwróci się do władz kantonu po instrukcje.

— Panie C? — powiedział Chavez ze swojego krzesła.

— Niech śmigłowce uruchamiają silniki. Ding, lecicie na Gatwick. Czekać tam na dalsze instrukcje.

— Rozumiem, panie C. Drugi Zespół startuje.

Chavez ruszył ku schodom, Price za nim. Podbiegli do samochodu, który w niecałe trzy minuty zawiózł ich do budynku Drugiego Zespołu.

— Chłopaki, jeśli oglądaliście telewizję, to wiecie, co się dzieje. Zbierajcie się, śmigłowiec podrzuci nas na Gatwick. Wychodzili właśnie z budynku, kiedy jeden z dzielnych gliniarzy w Bernie zdołał odprowadzić cywila w bezpieczne miejsce. Telewizja pokazała go wsiadającego do samochodu, który natychmiast odjechał. Sceneria przed bankiem zmieniła się: policjanci, którzy przedtem stali w raczej niedbałych pozach, teraz skulili się pod osłoną samochodów, ściskając w rękach broń. Widać było po nich napięcie, ale najwyraźniej wciąż nie wiedzieli, co mają robić.

— Telewizja zaczyna transmisję na żywo — zameldował Bennett. — Sky News będzie to dawać za parę minut.

— Gdzie jest Stanley? — zapytał Clark.

— Na Gatwick — odpowiedział Tawney. Clark skinął głową. Stanley poleci z Drugim Zespołem. Doktora Paula Bellowa też już nie było. Poleciał z Chavezem i Stanleyem, żeby po drodze poinformować ich o psychologicznych aspektach sytuacji w Bernie. Nie mając w tej chwili nic więcej do roboty, Clark zamówił kawę i coś do zjedzenia, podsunął sobie krzesło i usiadł przed telewizorem.

## Gnomy i broń

Lot śmigłowcem trwał dokładnie dwadzieścia pięć minut. W międzynarodowym porcie lotniczym Gatwick czekały już dwie ciężarówki. Chavez obserwował swoich ludzi, ładujących sprzęt na jedną z nich, która zaraz odjechała do terminalu British Airways. Tam kilku policjantów, którzy również już czekali, nadzorowało przeniesienie ładunku do kontenera bagażowego, który miał zostać wyładowany w pierwszej kolejności, kiedy samolot przyleci do Berna.

Na razie musieli jednak czekać na rozkaz wyruszenia do akcji. Chavez sięgnął po telefon komórkowy, rozłożył go i wybrał pierwszą pozycję z numerów zapisanych w pamięci aparatu.

— Clark — usłyszał, kiedy włączył się program kodujący.

— John, tu Ding. Telefonowali już z Whitehall?

— Wciąż czekamy, Domingo. Powinni zadzwonić w każdej chwili. Kanton przekazał sprawę wyżej. Teraz rozważa ją ich minister sprawiedliwości.

— Cóż, powiedz temu szanownemu panu, że samolot rozpocznie kołowanie do startu za dwadzieścia minut, i że następny będzie za dziewięćdziesiąt minut, chyba że chcesz, żebyśmy polecieeli maszyną Swiss Air. Jedna startuje za czterdzieści minut, druga za godzinę i piętnaście minut.

— Zrozumiałem, Ding. Musimy czekać.

Chavez zaklął po hiszpańsku. Sam wiedział, że trzeba czekać, ale nie musiało mu się to podobać. — Zrozumiałem, Tęcza Sześć. Drugi Zespół czeka na rampie na Gatwick.

— Zrozumiałem, Zespół Dwa, Tęcza Sześć bez odbioru.

Chavez zamknął telefon i wsunął go do kieszeni koszuli. — Panowie — zawołał do swoich ludzi, przekrzykując wycie silników odrzutowych — czekamy tu na zielone światło.

Pokiwali głowami. Rwali się do akcji tak samo jak ich dowódca, ale, podobnie jak on, nic nie mogli w tej chwili zrobić. Dla Brytyjczyków z Drugiego Zespołu nie było to niczym nowym i znosili czekanie lepiej niż ich koledzy ze Stanów i z innych krajów.

— Bill, zawiadom Whitehall, że mogą wystartować za dwadzieścia minut albo dopiero za ponad godzinę.

Tawney skinął głową i poszedł do telefonu w rogu, żeby zadzwonić do swojego człowieka w MSZ. Whitehall przekazał sprawę ambasadorowi brytyjskiemu w Genewie, mówiąc mu, że SAS oferuje specjalną pomoc natury technicznej. Sytuacja była dość dziwna —

szwajcarski minister spraw zagranicznych wiedział więcej niż człowiek, przedstawiający tę propozycję. A jednak odpowiedź nadeszła w zadziwiająco krótkim czasie, bo zaledwie po piętnastu minutach: — Ja.

— Mamy zgodę, John — zameldował Tawney, wielce zaskoczony.

— W porządku. — Clark sięgnął po swój telefon komórkowy i w opcji szybkiego wybierania numerów z pamięci nacisnął #2.

— Chavez — usłyszał przez spory hałas w tle.

— Mamy zgodę na operację — powiedział Clark. — Potwierdź.

— Drugi Zespół potwierdza zgodę na operację. Drugi Zespół rusza.

— Potwierdzam. Powodzenia, Domingo.

— Dziękuję, panie C.

Chavez odwrócił się do swoich ludzi i machnął kilka razy ręką w górę i w dół, w geście znanym wszystkim armiom na świecie, a wzywającym do pośpiechu. Wsiedli do czekającej ciężarówki, żeby przejechać na drugą stronę pasa startowego. Samochód zatrzymał się przy drzwiach, za którymi przygotowane były bagaże na ich lot. Chavez gestem przywołał policjanta i zlecił Eddie'emu Price'owi przekazanie, że ich bagaż specjalny ma zostać załadowany do *Boeinga 757*. Potem ciężarówka podjechała pięćdziesiąt metrów i zatrzymała się przy schodach na zewnątrz terminalu. Drugi Zespół ruszył schodami na górę, gdzie w otwartych drzwiach czekał inny policjant i skąd poszli już normalną drogą na pokład samolotu. Podali bilety stewardesie, która wskazała im fotele w pierwszej klasie.

Jako ostatni wszedł na pokład Tim Noonan, odpowiadający za wyposażenie techniczne zespołu. Nie był typem, który poza swoją techniką nie widział świata. Grał kiedyś jako obrońca w drużynie futbolowej w Stanford, zanim wstąpił do FBI. Ćwiczył strzelanie z Drugim Zespołem, chcąc się zintegrować. Ze swoim metrem osiemdziesiąt trzy wzrostu i trochę ponad czterdzieściami kilogramami wagi, był masywniejszy niż większość strzelców Dinga, choć

— co sam przyznawał — nie tak twardy. Niemniej jednak, z pistoletu i *MP-10* strzelał lepiej niż przeciętnie, i coraz lepiej znajdował wspólny język z pozostałymi. Doktor Bellow usadowił się w swym fotelu przy oknie z książką, którą wyjął z podręcznej torby. Było to studium na temat socjopatii, autorstwa pewnego profesora z Harvardu, u którego praktykował kilka lat temu.

Pozostali członkowie zespołu przeglądali czasopisma. Chavez rozejrzał się i skonstatował, że po jego ludziach nie widać żadnego napięcia. Pomyślał, że to wspaniale, a jednocześnie poczuł się trochę zawstydzony własnym podekscytowaniem. Kapitan wygłosił zwyczajową zapowiedź i *Boeing*

odsunął się od terminalu, a potem pokołował na pas startowy. Pięć minut później byli już w powietrzu. Drugi Zespół udawał się na swą pierwszą operację.

— Odlecieli — zameldował Tawney. — British Airways oczekują, że lot będzie spokojny, i że maszyna wyląduje o czasie. Za godzinę i piętnaście minut.

— Świetnie — powiedział Clark i odwrócił się do monitorów. Obie szwajcarskie stacje telewizyjne, które miały na miejscu swoich reporterów i kamerzystów, relacjonowały teraz na żywo incydent w Bernie. Było to równie przydatne, jak dyskusje w studio przed rozpoczęciem rozgrywek ligi futbolowej, chociaż z prasą rozmawiał w tej chwili rzecznik policji. Nie, nie wiadomo, kto jest w środku. Tak, policja z nimi rozmawiała. Tak, negocjacje trwają. Nie, na razie nic więcej nie można powiedzieć. Tak, prasa będzie informowana o rozwoju wydarzeń.

Akurat, pomyślał John. Tę samą relację nadała telewizja Sky News, a wkrótce potem sieci CNN i Fox zamieściły krótkie informacje na ten temat, uwzględniając, oczywiście, pierwszą ofiarę i ucieczkę mężczyzny, który wyciągnął zwłoki na zewnątrz.

— Paskudna sprawa, John — powiedział Tawney znad swej herbaty. Clark skinął głową.

— Zawsze tak jest, Bill.

— Masz rację.

Wszedł Peter Covington. Podsunął sobie krzesło i usiadł obok obu szefów. Sprawiał

wrażenie opanowanego, chociaż musiał być wściekły, że to nie jego zespół jest w drodze. Nic jednak nie mógł poradzić — rotacja stanu gotowości była żelazną zasadą, od której nie było wyjątków.

— Co o rym myślisz, Peter? — spytał Clark.

— Nie są zbyt mądrzy. Zabili tamtego biedaka w bardzo wczesnym stadium.

— Mów dalej — zachęcił go John, przypominając w ten sposób wszystkim, że on sam był

nowicjuszem w tym biznesie.

— Sir, zabicie zakładnika to przekroczenie bardzo ważnej granicy, zza której nie jest już łatwo wrócić.

— Więc próbuje się tego unikać?

— Ja bym tak postępował. W przeciwnym razie drugiej stronie utrudnia się pójście na ustępstwa, a przecież ustępstwa są konieczne, jeśli chce się uciec — chyba że wie się coś, czego nie wie przeciwnik. W tej sytuacji to mało prawdopodobne.

— Będą chcieli, żeby umożliwić im ucieczkę... śmigłowcem?

— Prawdopodobnie. — Covington skinął głową. — Na jakieś lotnisko, na którym będzie już czekał samolot pasażerski. Tylko dokąd będą chcieli lecieć? Może do Libii, ale czy Libia ich wpuści? Dokąd jeszcze mogliby się udać? Rosja? Nie sądzę. Pozostaje dolina Bekaa w Libanie, ale duże samoloty nie mogą tam lądować. Chyba jedyną rozsądną rzeczą, jaką dotąd zrobili, było ukrycie swej tożsamości przed policją. Chcecie się założyć, że zakładnik, który uciekł, nie widział ich twarzy?

— Ale to nie są amatorzy — sprzeciwił się Clark. — Ich broń wskazuje, że musieli przejść jakiś trening, i że w jakimś stopniu są profesjonalistami.

Covington skinął głową. — To prawda, sir, ale nie są zbyt bystry. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że ukradli trochę pieniędzy, jak zwykli złodzieje. Może i są wyszkolonymi terrorystami, ale nie są dobrzy.

A co to znaczy „dobry terrorysta”? — zastanawiał się John. Z pewnością był to jeden z tych terminów, które dopiero musiał opanować.

Samolot British Airways wylądował dwie minuty przed czasem i pokołował do terminalu.

Podczas lotu Ding rozmawiał z doktorem Bellowem. Nie miał pojęcia o psychologicznych aspektach tej branży i wiedział, że musi to szybko nadrobić. W wojsku było inaczej, tam stroną psychologiczną prawie zawsze zajmowała się generalicja, starając się przewidzieć, co druga strona zrobi ze swymi batalionami. Tutaj chodzi o zadania bojowe na szczepku plutonu, za to z najróżniejszymi nowymi i interesującymi elementami, pomyślał Ding, odpinając pas bezpieczeństwa zanim jeszcze samolot stanął. Z drugiej strony wspólny mianownik był wciąż ten sam: trafić w cel.

Chavez wstał, przeciągnął się i ruszył do wyjścia, zachowując kamienną twarz. Szedł

rękawem między dwoma cywilami, którzy z racji garnituru i krawata prawdopodobnie brali go za biznesmena. Wychodząc pomyślał, że może sprawi sobie w Londynie bardziej elegancki garnitur. Dla niego i jego ludzi taki ubiór był niezbędnym przebraniem na czas podróży. W hali czekał jakiś facet sprawiający wrażenie szofera, trzymając w ręku kartkę z umówionym nazwiskiem. Chavez podszedł do niego.

— Czeka pan na nas?

— Tak, proszę za mną.

Drugi Zespół poszedł za nim, nie wiedząc, dokąd. Weszli do pomieszczenia, które wyglądało na salę konferencyjną. Były tam jeszcze jedne drzwi, w których stał umundurowany policjant, wyższy rangą, sądząc po sznurze, jaki zdobił jego granatowy mundur.

— Pan jest...?



— Chavez. — Ding podał mu rękę. — Domingo Chavez.

— Hiszpan? — spytał policjant, wyraźnie zaskoczony.

— Amerykanin. A kim pan jest?

— Roebing, Marius — odpowiedział policjant, kiedy wszyscy weszli już do środka i zamknęli drzwi. — Proszę za mną. — Roebing otworzył drugie drzwi i wyprowadził ich na jakieś schody. Chwilę później siedzieli już w mikrobusie, który, minawszy zaparkowane samoloty, ruszył w kierunku autostrady. Ding obejrzał się i zobaczył jadącą za nimi ciężarówkę, która niewątpliwie wiozła ich sprzęt.

— Okej, co może mi pan powiedzieć?

— Nic nowego od czasu morderstwa. Rozmawiamy z nimi przez telefon. Nie wiemy, kim są, żadnych nazwisk. Żądają transportu na lotnisko i samolotu, którym polecą za granicę; nie powiedzieli nam jeszcze, dokąd chcą lecieć.

— Rozumiem. A co powiedział wam ten facet, któremu udało się uciec?

— Jest ich czterech, mówią po niemiecku, przypuszcza, że to ich język ojczysty, wie pan, zwroty idiomatyczne, wymowa i tak dalej. Mają czeską broń i, jak mogliśmy się przekonać, są gotowi jej użyć.

— Za ile tam będziemy i czy moi ludzie będą się mogli gdzieś przebrać?

Roebing skinął głową. — Oczywiście, majorze Chavez.

— Dziękuję panu.

— Mogę porozmawiać z tym człowiekiem, który uciekł? — spytał dr Bellow.

— Otrzymałem rozkaz zapewnienia wam wszelkiej pomocy, oczywiście w granicach zdrowego rozsądku.

Chavez zaczął zastanawiać się, jakie są w tym przypadku granice zdrowego rozsądku, ale uznał, że dowie się we właściwym czasie. Dobrze rozumiał, że Szwajcar nie jest zbyt szczęśliwy na myśl, iż grupa cudzoziemców przybywa do jego kraju z zadaniem przywracania porządku. Ale cóż, ci cudzoziemcy przybyli na mocy oficjalnego porozumienia. Polecenia, które policjant dostał od władz swojego kraju, były jednoznaczne. Ding pomyślał, że reputacja Tęczy spoczywa teraz w jego rękach. Zadrzał na myśl, że mógłby skompromitować swego teścia, swój zespół i swój kraj. Rozejrzał się po mikrobusie. Eddie Price jakby czytał w jego myślach, bo dyskretnie uniósł kciuk. Cóż, pomyślał Chavez, przynajmniej jeden z nas uważa, że jesteśmy gotowi.

Wiedział, że w rzeczywistości wszystko wygląda inaczej niż na treningu. Przekonał się o tym przed

laty w dżungli i w górach Kolumbii. Różnice stawały się większe, im bliżej było do linii ognia. Tu nie było systemów laserowych, zawiadamiających, kto został zabity. Ogłaszała to prawdziwa, czerwona krew. Ale jego ludzie byli przecież wyszkoleni i doświadczeni, zwłaszcza starszy sierżant sztabowy Edward Price. Ding miał ich tylko poprowadzić do walki.

Koło banku, jedną przecznicę dalej, mieściła się szkoła średnia. Mikrobus i ciężarówka zajęły tam i ludzie z Drugiego Zespołu przeszli do sali gimnastycznej, obstawionej przez mniej więcej dziesięciu umundurowanych policjantów. Przebrali się w szatni i wrócili do sali gimnastycznej, gdzie Roebing czekał na nich z dodatkowymi elementami ubioru. Były to plakietki na rzepach, tak samo czarne jak ich kombinezony. Widniał na nich napis POLIZEI, tyle, że wykonany złotymi literami, a nie jaskrawożółtymi, jak zwykle. Szwajcarskie upodobania? —

pomyślał Chavez, ale bez uśmiechu, jaki powinno było wywołać takie spostrzeżenie.

— Dzięki — powiedział Chavez, doceniając przydatność napisów. Zabrali swój sprzęt i ponownie wsiedli do mikrobusu. Podjechali w pobliże banku, zatrzymując się za rogiem, tak, że nie widzieli ich ani terroryści, ani kamery telewizyjne. Strzelców wyborowych: Johnstona i Webera, zaprowadzono na wybrane wcześniej stanowiska, jedno na tyłach banku, a drugie od frontu. Obaj rozstawili dwójnogi swych karabinów i rozpoczęli obserwację budynku.

Ich karabiny były równie unikatowe, jak sami strzelcy. Weber używał *Walthera WA2000*, strzelającego nabojami *.300 Winchester Magnum*. Broń Johnstona została wykonana na indywidualne zamówienie i strzelała nabojami 7 mm *Remington Magnum*, mniejszego kalibru, ale za to o większej prędkości pocisku. Obaj snajperzy przede wszystkim określili odległość do celu i nastavili odpowiednio celowniki optyczne, po czym położyli się na piankowych matach, które przynieśli ze sobą. W tej chwili ich zadaniem było obserwowanie, zbieranie informacji i przekazywanie ich dalej.

Dr Bellow czuł się bardzo nieswojo w czarnym kombinezonie z kamizelką kuloodporną i plakietkami z napisem POLIZEI, ale wiedział, że taki strój zapobiegnie rozpoznaniu go przez któregoś z kolegów po fachu, oglądających być może relacje telewizyjne z Berna. Noonan, ubrany podobnie, włączył swój komputer — laptop Apple Powerbook — i zaczął wertować plany budynku, zamierzając je wprowadzić do swojego systemu. Miejskowa policja okazała się niezwykle pomocna. W ciągu pół godziny dysponował już kompletnym komputerowym planem banku. Uśmiechnął się na myśl, że ma chyba wszystko z wyjątkiem szyfru do zamka skarbcza.

Wysunął antenę i przesłał plany budynku do trzech innych komputerów, które Drugi Zespół zabrał ze sobą.

Chavez, Price i Bellow podeszli do najstarszego stopniem policjanta szwajcarskiego.

Wymieniono uściski dłoni. Price załadował do swojego komputera CD-ROM z fotografiami wszystkich znanych terrorystów, jakich kiedykolwiek udało się sfotografować.

Człowiek, który wyciągnął z banku zwłoki zamordowanego zakładnika, nazywał się Hans Richter.

Był Niemcem, pochodził z Bonn, w berneńskim banku załatwiał tego dnia sprawy swej firmy handlowej, która miała filię w Szwajcarii.

— Widział pan ich twarze? — spytał Price.

— Tak. — Hans Richter skinął głową, wyraźnie wstrząśnięty niedawnymi przeżyciami.

Price wybrał zestaw znanych terrorystów niemieckich i zaczął wywoływać na ekran kolejne fotografie.

— Ja, ja, to ten, to ich przywódca.

— Jest pan pewien?

— Tak, jestem pewien.

— Ernst Model, swego czasu w grupie Baader-Meinhoff, zniknął w 1989 roku, miejsce pobytu nieznane. — Price przewinął tekst na ekranie. — Podejrzany o przeprowadzenie dotychczas czterech operacji. Trzy skończyły się pełnym fiaskiem. Omal nie został pojmany w Hamburgu w 1987 roku, uciekając zabił dwóch policjantów. Wyszkolony przez komunistów. Po raz ostatni widziano go podobno w Libanie, ale ta informacja jest niepewna, chyba nawet bardzo niepewna. Jego specjalnością były porwania. Dobrze, poszukajmy innych. — Price wywołał na ekran następne fotografie.

— Ten... może...

— Erwin Guttenach, też z Baader-Meinhoff, po raz ostatni widziany w 1992 roku w Kolonii. Obrabował bank, ma na swoim koncie porwania i morderstwa... To on porwał i zabił członka zarządu BMW w 1986 roku. Zatrzymał okup... cztery miliony marek niemieckich.

Chciwy bydlak — dodał Price.

Bellow spojrzał mu przez ramię, myśląc gorączkowo. — Co do pana powiedział przez telefon?

— Nagraliśmy rozmowę — odparł policjant.

— Doskonale! Ale będzie mi potrzebny tłumacz.

— Doktorze, portret psychologiczny Ernsta Modela, jak najszybciej — powiedział

Chavez i odwrócił się do Noonana. — Możemy się jakoś zorientować, co się dzieje w banku?

— Żaden problem — odpowiedział specjalista od techniki.

— Roebing?

— Tak, panie majorze?

— Możemy liczyć na współpracę ekip telewizyjnych? Musimy przyjąć, że ci w środku oglądają telewizję.

— Telewizja będzie współpracować — odparł z przekonaniem szwajcarski policjant.

Noonan otworzył swoją torbę z zabawkami. Bellow poszedł za róg z Herr Richterm i szwajcarskim policjantem, który miał tłumaczyć. Chavez i Price zostali sami.

— Zapomniałem o czymś, Eddie?

— Nie, majorze — odpowiedział starszy sierżant sztabowy Price.

— Dobra, po pierwsze, mam na imię Ding. Po drugie, masz w tych sprawach więcej doświadczenia niż ja. Jeśli masz coś do powiedzenia, to chcę to usłyszeć teraz, rozumiesz? Nie jesteśmy w żadnym pieprzonym klubie oficerskim. Potrzebuję twojej opinii, Eddie.

— Rozumiem, sir... hm, Ding. — Na twarzy Price'a pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

Jego dowódca okazywał się całkiem równym gościem. — Jak dotąd, wszystko w porządku.

Tamci nie mają dokąd uciec, teren jest dobrze zabezpieczony. Potrzebne nam są plany budynku i informacje o tym, co dzieje się w środku. To robota dla Noonana i mam wrażenie, że facet zna się na tym. Musimy też wyrobić sobie opinię o tym, co zamierzają tamci. To zadanie dla doktora Bellowa; jest w tym świetny. Co robimy, gdyby tamci zaczęli się ostrzeliwać?

— Powiedz Louisowi, żeby rzucił dwa granaty obezwładniające przed drzwi frontowe, potem cztery do środka i wpadamy jak burza.

— Nasze kamizelki kuloodporne...

— Nie powstrzymają rosyjskich pocisków kalibru 7,62 mm, wiem o tym — zgodził się Chavez. — Nikt nigdy nie mówił, że to bezpieczne zajęcie, Eddie. Kiedy będziemy wiedzieli trochę więcej, opracujemy przyzwoity plan ataku. — Chavez poklepał go po ramieniu. — Ruszaj, Eddie.

— Tak jest, sir. — Price dołączył do pozostałych.

Popow nie wiedział, że policja szwajcarska ma tak dobrze wyszkolony oddział

antyterrorystyczny. Obserwował ich dowódcę, skulonego za rogiem budynku banku i jednego z ludzi, zapewne zastępcę, zmierzającego w kierunku pozostałych. Rozmawiali z zakładnikiem, któremu udało się uciec; ktoś odprowadził go na bok i w tej chwili Popow go nie widział. Tak, szwajcarscy policjanci byli dobrze wyszkoleni i dobrze wyposażeni. Mieli chyba pistolety maszynowe *H&K*. Normalna broń na tego rodzaju akcje. Dmitrij Arkadijewicz Popow stał w tłumie gapiów. Pomyślał, że potwierdziło się pierwsze wrażenie, jakie zrobił na nim Model i jego trzyosobowa grupa. Iloraz inteligencji niemieckiego terrorysty był na poziomie temperatury pokojowej; chciał nawet

dyskutować ze swym gościem na temat marksizmu-leninizmu! Dureń.

W dodatku nawet nie młody dureń. Model przekroczył czterdziestkę; w tym wieku fiksacji ideologicznej nie można już było usprawiedliwiać młodzieńczym entuzjazmem. Nie był jednak zupełnie wyzbyty zmysłu praktycznego. Ernst chciał zobaczyć pieniądze, równowartość 600

tysięcy dolarów w markach niemieckich. Popow uśmiechnął się na myśl, gdzie były schowane te pieniądze. Mało prawdopodobne, by Ernst kiedykolwiek znów je zobaczył. Zabić zakładnika w tak wczesnym stadium — głupota, chociaż można się tego było spodziewać. Był typem palącym się do demonstrowania determinacji i czystości ideologicznej, jakby dziś kogokolwiek to jeszcze obchodziło! Popow mruknął coś pod nosem i zapalił cygaro, opierając się wygodniej o ścianę innego banku — tych tu nie brakowało — i obserwował rozwój wydarzeń. Kapelusz ściągnął na oczy, postawił też kołnierz, jakby chciał się osłonić przed chłodnym wieczornym powietrzem, a przy okazji zasłonił twarz. Ostrożności nigdy za wiele; Ernst Model i jego trzech kamraci najwyraźniej o tym zapomnieli.

Doktor Bellows zakończył przesłuchiwanie taśm z rozmowami telefonicznymi i przegląd informacji o Ernście Johannesie Modelu. Ten człowiek był socjopatą z wyraźną skłonnością do używania przemocy. Podejrzany o popełnienie siedmiu morderstw własnoręcznie i kilku dalszych w towarzystwie innych terrorystów. Guttenach, mniej błyskotliwe indywiduum tego samego gatunku i dwóch innych, których nazwisk nie znali. Richter, ten, któremu udało się uciec, powiedział, że Model osobiście zabił pierwszego zakładnika, strzelając mu z bliska w potylicę, po czym kazał mu wyciągnąć zwłoki na zewnątrz. Dla Bellowa nie było to zaskoczeniem.

Zamordowanie zakładnika w taki sposób, w połączeniu z zademonstrowaniem policji, do czego jest zdolny... Nie świadczyło to o błyskotliwości terrorysty, a zarazem pasowało do bardzo groźnego portretu psychologicznego. Bellow włączył swoje radio.

— Bellow do Chavez.

— Tu Ding, doktorze, słucham.

— Mam wstępny portret psychologiczny.

— Proszę mówić... Zespół, słuchacie? — W słuchawce zawrzało od potwierdzeń.

— W porządku, proszę, doktorze — polecił Chavez.

— Po pierwsze, nie jest to dobrze zaplanowana operacja. Pasuje to do psychologicznego portretu przywódcy, którym, jak podejrzewamy, jest Ernst Model, Niemiec, czterdzieści jeden lat, kiedyś członek organizacji Baader-Meinhoff. Jest porywczy, łatwo ucieka się do przemocy w sytuacjach zagrożenia lub niepewności. Jeśli grozi, że kogoś zabije, to nie żartuje. W obecnym stanie umysłu jest bardzo, powtarzam bardzo niebezpieczny. Wie, że stoi na straconej pozycji.

Wie, że ma minimalne szansę na powodzenie akcji. Zakładnicy są jego jedyną kartą przetargową i nie zawaha się jej użyć. W tym wypadku nie ma co liczyć na syndrom sztokholmski[6]. Model jest na to

zbyt wielkim socjopata. Nie oczekiwałbym też, że negocjacje dadzą jakieś rezultaty.

Sądzę, że trzeba będzie wziąć bank szturmem, dziś w nocy lub jutro.

— Ma pan coś jeszcze? — spytał Chavez.

— Na razie nie — odpowiedział dr Bellow. — Będę obserwował rozwój wydarzeń wspólnie z miejscową policją.

Noonan bez pośpiechu wybrał odpowiedni sprzęt i teraz czołgał się wzdłuż ściany budynku, pod oknami banku. Przy każdym z okien unosił ostrożnie głowę, żeby sprawdzić, czy mimo zasłon można zajrzeć do środka. Przez drugie okno było coś widać, więc przymocował do niego swój system obserwacyjny. Był to obiektyw o średnicy zaledwie kilku milimetrów, kształtem przypominający nieco głowę kobry, połączony kablem światłowodowym z kamerą telewizyjną w czarnej torbie, którą Noonan pozostawił za rogiem. Drugi taki obiektyw umieścił

w dolnym rogu szklanych drzwi banku i ruszył z powrotem, czołgając się tyłem, powoli i mozolnie. Znalazłszy się poza zasięgiem wzroku ludzi wewnątrz banku wstał i obszedł budynek dookoła, powtarzając całą procedurę z drugiej strony. Tym razem zdołał umieścić trzy obiektywy, jeden w drzwiach, a dwa w oknach, w których zasłony były nieco krótsze niż powinny. Zamocował też mikrofony, żeby wychwycić ewentualne dźwięki. Pomyślał, że wielkie tafle szklane powinny stanowić niezły rezonator, tyle że reagujący w takim samym stopniu na odgłosy ulicy, jak na dźwięki dochodzące z wnętrza banku.

Reporterzy telewizji szwajcarskiej rozmawiali w tym czasie z najstarszym stopniem policjantem, który obszernie rozwodził się nad tym, że terroryści w banku nie żartują — dr Bellow poinstruował go, że należy się o nich wyrażać z szacunkiem. Prawdopodobnie oglądali telewizję — podbechtywanie ich ego leżało w tej chwili w interesie Drugiego Zespołu, a przynajmniej odwracało uwagę terrorystów od tego, co na zewnątrz robił Tim Noonan.

— Gotowe — powiedział Noonan ze swego miejsca w bocznej uliczce i włączył

monitory. Widać było na nich niewiele. Rozmiary obiektywów nie gwarantowały dobrej jakości obrazu, mimo programu wspomagającego, zainstalowanego w jego komputerze. — Tu mamy jednego... jest jeszcze jeden. — Dwaj terroryści znajdowali się w odległości około dziesięciu metrów od frontu. Reszta widocznych ludzi siedziała na białej marmurowej posadzce, na środku sali, żeby łatwiej ich było pilnować. — Tamten facet mówił o czterech, prawda?

— Tak — odpowiedział Chavez. — Ale nie wiemy, ilu jest zakładników, w każdym razie nie dokładnie.

— Dobra, ten tutaj, przy kasach, to jeden z terrorystów... Hm, wygląda, jakby szukał gotówki... Tu widzę jakąś torbę. Myślicie, że zajrzeli do skarbca?

— Eddie? — Chavez zwrócił się do Price'a.

— Chciwość — zgodził się Price. — Cóż, przecież to w końcu bank.

— Dalej. — Noonan zmienił obraz na ekranie swego komputera.

— Tutaj mam plany budynku.

— Pomieszczenia kasowe, skarbiec, toalety. — Price wodził palcem po ekranie. — Tylne wyjście. Sprawa wydaje się dość prosta. Dostęp na wyższe piętra?

— Tutaj — powiedział Noonan. — Właściwie już poza pomieszczeniami banku, ale do piwnicy mogą zejść tymi schodami, a stamtąd mają osobne wyjście na uliczkę od tyłu.

— Konstrukcja stropu? — spytał Chavez.

— Żelazobeton, gruby na czterdzieści centymetrów. Twardy jak diabli. Tak samo ściany i podłoga. To naprawdę solidny budynek.

— A więc nie ma mowy o użyciu materiałów wybuchowych do zrobienia otworów w ścianach, suficie czy podłodze.

— Możemy się tam dostać tylko przednimi albo tylnymi drzwiami. A tu widać, że czwarty z terrorystów jest przy tylnych drzwiach. — Chavez włączył swoje radio. — Chavez do snajpera Dwa-Dwa.

— Weber.

— Dieter, są tam z tyłu jakieś okna, albo może wizjer w drzwiach, czy coś takiego?

— Nie. To ciężkie stalowe drzwi. Nie widzę żadnego wizjera — powiedział snajper, jeszcze raz spoglądając przez celownik optyczny. Widać było tylko pomalowaną stal.

— Dobrze. Eddie, wysadzimy tylne drzwi i tamtędy wejdzie trzech naszych. Sekundę później wysadzimy szklane drzwi frontowe, wrzucimy granaty obezwładniające i wpadniemy do środka, kiedy będą patrzeć w inną stronę. Od frontu wejdzie nas czterech. Ty i ja kierujemy się na lewo, Louis i George na prawo.

— Czy terroryści mają na sobie kamizelki kuloodporne? — spytał Price.

— Herr Richter niczego takiego nie zauważył — odpowiedział Noonan. — Tu też nic nie widać. Poza tym, nie mają przecież hełmów, prawda? — Strzelać będą z odległości nie większej niż dziesięć metrów, drobnostka, kiedy ma się w ręku *H&K*.

— Prawda — przyznał Price. — Kto poprowadzi trójkę, wchodzącą od tyłu?

— Myślę, że Scotty. Paddy zajmie się wysadzeniem drzwi. — Obaj wiedzieli, że Connolly był pod

tym względem najlepszy w zespole. Chavez zanotował sobie w pamięci, że trzeba będzie koniecznie sformować stałe pary. Dotąd było inaczej, ale zamierzał to zmienić, kiedy tylko wróca do Hereford.

— Vega?

— Oso zapewni nam wsparcie, ale nie sądzę, żeby tym razem był nam potrzebny. — Julio Vega obsługiwał karabin maszynowy *M-60* z celownikiem laserowym, na amunicję 7,62 mm NATO, ale teraz taka broń nie była potrzebna, chyba że sytuacja rozwinie się w zupełnie nieprzewidzianym kierunku.

— Noonan, wyślij to zdjęcie Scotty'emu.

— Już. — Spec od techniki przesunął kursor, kliknął myszą i przesłał plik do innych komputerów.

— Teraz pytanie, kiedy zaczynamy. — Ding spojrział na zegarek. — Wracamy do doktora.

— Tak jest, sir.

Bellow spędził sporo czasu z Richterem, którego znacznie uspokoiły trzy kieliszki Schnapsa. Nawet jego angielski zdecydowanie się poprawił. Bellow omawiał z nim właśnie niedawne wydarzenia po raz szósty, kiedy ponownie pojawili się Chavez i Price.

— Jego oczy: błękitne i zimne, jak lód. Jak lód — powtórzył Richter. — Nie jest taki, jak inni ludzie. Powinien siedzieć w klatce, ze zwierzętami w zoo. — Biznesmenem wstrząsnął dreszcz.

— Czy mówi z jakimś akcentem? — spytał Price.

— Mieszanym. Trochę z Hamburga, ale trochę także z Bawarii. Wszyscy pozostali mają akcent bawarski.

— To bardzo pożyteczna informacja dla Bundeskriminalamt, Ding — zauważył Price.

Bundeskriminalamt, w skrócie BKA, był niemieckim odpowiednikiem amerykańskiego FBI. —

A może by tak miejscowa policja rozejrzała się po okolicy za samochodem z niemieckimi numerami rejestracyjnymi, z Bawarii? Może jest w nim kierowca?

— Dobra myśl. — Chavez podbiegł do szwajcarskich policjantów, których szef natychmiast sięgnął po radio. Pewnie nic z tego nie wyjdzie, pomyślał Chavez, ale przecież trzeba spróbować. Terrorysty jakoś musieli się tu dostać. Zanotował w myślach, że takie rzeczy należy sprawdzać za każdym razem.

Podszedł Roebing ze swym telefonem komórkowym. — Czas na następną rozmowę — powiedział.



— Hej, Tim — powiedział Chavez przez swoje radio. — Chodź na zbiórkę.

Noonan dołączył do nich po niecałej minucie. Chavez wskazał mu telefon Roebinga.

Noonan wziął go, zdjął tylną osłonę i zamocował niewielki, zielony układ scalony, z którego zwisał cienki przewód. Następnie wyjął z kieszeni kombinezonu inny telefon komórkowy i podał

go Chavezowi. — Proszę. Będzie pan słyszał całą rozmowę.

— Dzieje się coś w środku?

— Chodzą trochę w tę i z powrotem, może są zdenerwowani. Dwóch z nich rozmawiało ze sobą parę minut temu. Sądząc po gestykulacji, nie są zbyt zadowoleni.

— Dobrze. Wszyscy zapoznali się z rozkładem wnętrza?

— A mikrofony coś dały?

Noonan pokręcił głową. — Za dużo hałasów w tle. Ten budynek ma hałaśliwy system grzewczy. Chyba piec na olej opałowy, zapewniający ciepłą wodę. Za głośny dla naszych mikrofonów przy oknach.

— Dobra, informuj nas na bieżąco.

— Jasne. — Noonan wrócił do swojego sprzętu.

— Eddie?

— Gdybym miał się założyć, to powiedziałbym, że będziemy musieli wziąć to miejsce szturmem, i to przed świtem. Nasz przyjaciel zacznie wkrótce tracić panowanie nad sobą.

— Doktorze? — spytał Chavez.

— To prawdopodobne — powiedział Bellow, kiwając głową. Price miał niewątpliwie duże doświadczenie.

Chavez zmarszczył brwi. Mimo swojego całego treningu, wcale nie palił się aż tak bardzo do szturm na ten bank. Widział zdjęcia z wnętrza. Musiało tam być dwudziestu, a może i trzydziestu zakładników. Trzej terroryści, stojący tuż obok, trzymali w rękach broń maszynową.

Jeśli jeden z nich uzna, że wszystko stracone i zacznie strzelać ze swojego czeskiego karabinu, wielu zakładników nie wróci do domu, do rodzin. Na nim, jako dowódcy, spoczywała odpowiedzialność i choć Chavez był w takiej sytuacji nie po raz pierwszy, wiedział, że ten ciężar nigdy nie robi się lżejszy — ponieważ cena błędu za każdym razem była równie wysoka.

— Chavez! — To był doktor Bellow.

— Tak, doktorze? — Ding ruszył w jego kierunku razem z Price'em.

— Model robi się agresywny. Mówi, że zabije następnego zakładnika za trzydzieści minut, jeśli nie podstawimy mu samochodu, którym chce pojechać na lądowisko śmigłowców niedaleko stąd i polecieć na lotnisko. Mówi, że potem będzie zabijał jednego zakładnika co piętnaście minut. Ma ich dość, żeby wystarczyło na kilka godzin. Czyta właśnie listę z nazwiskami tych ważniejszych. Jest tam chirurg, profesor miejscowej akademii medycznej, policjant, jakiś znany prawnik... On nie żartuje, Ding. Mamy trzydzieści minut. Zabije następnego zakładnika o ósmej trzydzieści.

— Co mu odpowiada policja?

— To, co im powiedziałem. Że zaaranżowanie tego wszystkiego wymaga czasu, że powinien zwolnić jednego, czy dwóch zakładników, żeby okazać dobrą wolę, ale właśnie pod wpływem tych słów zagroził zabiciem kogoś o ósmej trzydzieści. Ernst zaczyna gonić w piętę.

— Te groźby należy traktować poważnie? — spytał Chavez, chcąc się upewnić, że dobrze zrozumiał.

— Cholernie poważnie. Model zaczyna tracić panowanie nad sytuacją i przestaje myśleć racjonalnie. Nie żartuje, mówiąc, że kogoś zabije. Ding, on jest jak rozwydrzony dzieciak, który w Wigilię nie znalazł zabawek pod choinką. Nie ma tam żadnego oparcia. Czuje się bardzo osamotniony.

— Po prostu wspaniale — mruknął Ding, sięgając po radio. Jak można się tego było spodziewać, ostatecznie decyzję podjął ktoś inny. — Zespół, tu Chavez. Przygotować się.

Powtarzam, przygotować się.

Wiedział, że nie ma wyboru. Teoretycznie rzecz biorąc, można by podstawić samochód

— oczywiście za mały, by zmieścili się w nim wszyscy zakładnicy — a potem, kiedy terroryści wyjdą na zewnątrz, zdjęć ich z karabinów wyborowych. Miał jednak do dyspozycji tylko dwóch snajperów, a pociski z ich karabinów miałyby po przejściu przez głowy terrorystów dość energii, żeby zabić jeszcze kilku zakładników. Także ostrzał z pistoletów maszynowych lub z broni krótkiej niósł ze sobą takie ryzyko. Terrorystów było czterech — za dużo, żeby decydować się na takie rozwiązanie. Nie, musi wprowadzić swoich ludzi do środka, kiedy zakładnicy będą jeszcze siedzieć na podłodze, poniżej linii ognia. Szkoda, że te skurwysyny nie zażądały żywności, którą mógłby odpowiednio doprawić; może jednak byli dość cwani, by zdawać sobie sprawę, że pizza byłaby przyprawiona Valium.

Zajął im to kilka minut. Chavez i Price podczołgali się do drzwi z lewej strony, a Louis Loiselle i George Tomlinson z prawej. Z tyłu Paddy Connolly umocował ładunek wybuchowy na framudze drzwi, wsunął detonator i odszedł na bok, w pobliże Scotty McTylera i Hanka Pattersona.

— Tylna grupa na pozycji — zameldował Chavezowi Scotty McTyler.

— Zrozumiałem. Przednia grupa na pozycji — odpowiedział po cichu Chavez przez radio.

— Ding — dobiegł głos Noonana — kamera numer jeden pokazuje faceta z karabinem, przechadzającego się dookoła zakładników na podłodze. Gdyby szło o zakład, powiedziałbym, że to nasz przyjaciel Ernst. Jeden z terrorystów jest w tej chwili za nim, a trzeci po prawej stronie, przy drugim biurku. Zaczekaj, rozmawia właśnie przez telefon... W porządku, mówi właśnie policjantom, że zaraz wybierze zakładnika do rozwalenia. Powiedział, że najpierw poda jego nazwisko. Miło z jego strony — zakończył Noonan.

— W porządku. Panowie, zrobimy to tak, jak na ćwiczeniach — powiedział Ding swoim ludziom. — Macie zgodę na użycie broni. Bądźcie w pogotowiu. — Kątem oka zobaczył, że Loïselle i Tomlinson wymienili porozumiewawcze spojrzenia i gesty. Louis będzie prowadził, George pójdzie za nim. Drugą dwójkę poprowadzi Price, a Chavez będzie tuż za nim.

— Ding, tamten wybrał zakładnika, stawia go na nogi. Sięga po telefon. Chcą zastrzelić lekarza. Profesor Mario Follini. Mam obraz z kamery numer dwa. Zakładnik stoi. Myślę, że już czas — powiedział Noonan.

— Jesteśmy gotowi? Tylina grupa, zgłóście się.

— Gotowi — odpowiedział Connolly przez radio. Chavez spojrzał na Loïselle i Tomlinsona. Obaj skinęli głową i poprawili chwyt na swoich *MP-10*.

— Chavez do zespołu, jesteśmy gotowi. Uwaga, uwaga. Paddy, zaczynaj! — rozkazał głośnie Ding, po czym skulił się w oczekiwaniu eksplozji.

Następna sekunda wydawała się wiecznością, a potem była jeszcze na drodze bryła budynku, ale i tak usłyszeli wybuch, głośnie, metaliczny huk, który wstrząsnął okolicą. Price i Loïselle umieścili granaty obezwładniające pod oprawnymi w mosiądz drzwiami i odpalili je, kiedy tylko usłyszeli pierwszy wybuch. W jednej chwili szklane drzwi rozleciały się na tysiące kawałków, z których większość poleciała do wykładanej granitem i marmurem sali bankowej.

Oślepiający błysk białego światła i piekielny huk. Price, który stał już przy drzwiach, wpadł do środka, mając tuż za sobą Chaveza i kierując się w lewo.

Właśnie tam stał Ernst Model, przystawiając lufę do głowy doktora Folliniego. Obejrzał

się za siebie, kiedy rozległa się pierwsza eksplozja. Druga, której towarzyszył oślepiający błysk magnezji, zdezorientowała go, jak się tego spodziewali ludzie z Tęczy. Lekarz też zareagował, odsuwając się na bok z rękami nad głową, szczęśliwie schodząc z linii ognia. Price uniósł swego *MP-10*, wycelował i ściągnął spust, oddając trzy szybkie strzały prosto w twarz Ernsta Modela.

Chavez, znajdujący się tuż za nim, spostrzegł innego terrorystę, który stał oszołomiony, potrząsając głową. Był odwrócony, ale wciąż trzymał broń w rękach, a reguły były w takim wypadku jednoznaczne. Wpakował mu trzy kule w głowę. W porównaniu z hukami granatów, odgłos strzałów z wyposażonych w integralne tłumiki pistoletów maszynowych był prawie niesłyszalny. Chavez

przesunął broń w prawo, ale zobaczył, że trzeci terrorysta leży już na podłodze w kałuży krwi, tryskającej z czegoś, co jeszcze dwie sekundy temu było jego głową.

— Czysto! — krzyknął Chavez.

— Czysto! Czysto! Czysto! — zgodzili się pozostali. Loïselle popędził do tylnego wyjścia, Tomlinson za nim. Zanim się tam jednak dostali, wyłoniły się ubrane na czarno sylwetki McTylera i Pattersona, którzy natychmiast skierowali broń w sufit. — Czysto!

Chavez przeszedł dalej na lewo, w kierunku okienek kasowych i przeskoczył przez barierkę, żeby sprawdzić, czy kogoś tam nie ma. Nikogo. — Tu też czysto! Zabezpieczyć teren!

Jeden z zakładników zaczął się podnosić, ale George Tomlinson natychmiast popchnął go z powrotem na podłogę. Członkowie zespołu rewidowali ich po kolei, ubezpieczani przez kolegów; w tej chwili nie mieli jeszcze pewności, czy wśród owieczek nie ukrył się jakiś wilk.

Do banku wbiegło kilku policjantów szwajcarskich. Zakładników, którzy zostali już zrewidowani, popchnięto w ich kierunku. Była to grupka zaszokowanych i oszołomionych cywilów, którzy wciąż jeszcze nie bardzo zdawali sobie sprawę z tego, co się stało. Niektórzy krwawili z uszu lub ze skaleczeń na twarzach — efekt granatów obezwładniających i odłamków szkła.

Loïselle i Tomlinson podnieśli broń, która wypadła z rąk ich ofiar, rozładowali ją i przewiesili sobie przez ramię. Dopiero wtedy, i to powoli, zaczęli się odprężać.

— Co z tylnymi drzwiami? — spytał Ding Connolly'ego.

— Chodź popatrzeć — zaproponował były komandos SAS, prowadząc Dinga na zaplecze. Paskudna sprawa. Terrorysta prawdopodobnie stał z głową opartą o framugę.

Wydawało się to logicznym wyjaśnieniem faktu, że teraz głowy nigdzie nie było widać. Zwłoki, które wybuch odrzucił na ściankę działową, nie miały też jednej ręki, ale druga wciąż ścisnęła czeski karabin *Vzor 58*. Materiału wybuchowego było chyba trochę za dużo — ale Ding nie mógł

mu mieć tego za złe. W końcu drzwi i framugę wykonano z grubej stali.

— W porządku, Paddy, dobra robota.

— Dziękuję, sir. — Na twarzy profesjonalisty pojawił się uśmiech, ponieważ wiedział, że świetnie wypełnił postawione przed nim zadanie.

Kiedy zakładnicy wyszli z banku, na ulicy rozległy się okrzyki radości. Popow pomyślał, że terroryści, których zwerbował, są już martwymi głupcami. Nie było to dla niego zaskoczeniem. Szwajcarski oddział antyterrorystyczny dobrze się sprawił, czego zresztą można się było po szwajcarskich policjantach spodziewać. Jeden z nich wyszedł właśnie i zapalał fajkę.

Jakież to szwajcarskie! — pomyślał Popow. Facet prawdopodobnie uprawia dla przyjemności wspinaczkę wysokogórską. Może to on był dowódcą. Podeszedł do niego jeden z zakładników.

— *Danke schön, danke schön!* — powiedział dyrektor banku do Eddie'ego Price'a.

— *Bitte sehr, Herr Direktor* — odpowiedział Brytyjczyk, wyczerpując na tym całą swoją znajomość niemieckiego. Gestem dał dyrektorowi znać, by poszedł tam, gdzie policja berneńska zgromadziła pozostałych zakładników. Pomyślał, że bardziej niż cokolwiek innego przydałaby im się teraz ubikacja.

Z banku wyszedł Chavez. — No i jak, Eddie?

— Myślę, że nieźle. — Pyknął z fajki. — Nic trudnego, naprawdę. Kompletni kretyni.

Wybrać sobie taki bank... — Pokręcił głową i znów pyknął z fajki. IRA była o niebo lepsza.

— Clark.

— Chavez. Widział pan to w telewizji, panie C?

— Właśnie odtwarzamy taśmę, Domingo.

— Dostaliśmy ich wszystkich czterech. Nie żyją. Żadnemu z zakładników nic się nie stało, oczywiście oprócz tego, którego zabili na początku. Żadnych strat własnych. Co teraz robimy, szefie?

— Lećcie do domu na odprawę, chłopcy. Tęcza Sześć, bez odbioru.

— Cholernie dobra robota — powiedział major Peter Covington. Przez następne pół

godziny na ekranie telewizora widać było ludzi z Drugiego Zespołu, zbierających swój ekwipunek. Potem zniknęli za rogiem. — Ten pański Chavez wydaje się znać na robocie. Dobrze się złożyło, że jego pierwsza próba nie była trudna. Nabierze pewności siebie.

Patrzyli na wygenerowany przez komputer obraz, który Noonan przesłał im przez swój telefon komórkowy. Covington dokładnie przewidział, w jaki sposób zostanie przeprowadzona ta akcja.

— Czy z pomyślnym zakończeniem akcji wiąże się jakaś tradycja, o której powinienem wiedzieć? — spytał John, siadając wreszcie z poczuciem ogromnej ulgi, że obeszło się bez żadnych dodatkowych ofiar.

— Zabierzemy ich, oczywiście, do klubu na parę piw. — Covington był zaskoczony, że Clark tego nie wiedział.

Popow prowadził samochód ulicami Berna, starając się odjechać, zanim wozy policyjne zatarasują drogę. Tutaj w lewo, prosto przez dwa skrzyżowania ze światłami, w prawo, przez plac... Doskonale! Znalazł nawet miejsce na zaparkowanie. Zostawił swe wynajęte Audi na ulicy, dokładnie naprzeciwko domu, w którym Model miał swoją kryjówkę. Z zamkiem w drzwiach uporał się z dziecinną łatwością. Ruszył schodami na górę. Następny zamek również nie sprawił

mu najmniejszych trudności.

— *Wer sind Sie?* — spytał jakiś głos.

— Dmitrij — odpowiedział Popow zgodnie z prawdą, trzymając rękę w kieszeni. —

Oglądałeś telewizję?

— Tak. Co tam się stało? — zapytał tamten po niemiecku, pełnym przygnębienia głosem.

— Teraz to już bez znaczenia. Czas stąd zniknąć, mój młody przyjacielu.

— Ale moi przyjaciele...

— Nie żyją i nic już nie możesz dla nich zrobić. — Chłopak, który wyłonił się z ciemności, może miał dwadzieścia lat. Był wiernym przyjacielem tego głupca Modela. Związek homoseksualny? Ułatwiłoby to sprawę Popowowi, który nie darzył sympatią mężczyzn o tej orientacji seksualnej. — Zabierz swoje rzeczy. Musimy stąd zniknąć, i to szybko. — Jest. Czarna skórzana walizeczka z markami niemieckimi w środku. Chłopak — zaraz, jak on się nazywał?

Fabian Jakiśtam — odwrócił się i poszedł po swoją kurtkę. Popow uniósł pistolet z tłumikiem i strzelił raz, a potem drugi, zresztą zupełnie niepotrzebnie, bo dzieliły ich zaledwie trzy metry.

Upewnił się, że chłopak nie żyje, podniósł walizeczkę, otworzył ją, sprawdził zawartość i wyszedł z mieszkania. Po chwili jechał już samochodem do hotelu. Lot do Nowego Jorku miał

następnego dnia w południe. Przedtem musi jeszcze otworzyć konto w banku, ale w tym mieście nie przedstawiało to najmniejszego problemu.

Wracali w milczeniu. Udało im się złapać ostatni tego dnia samolot do Anglii, ale na Heathrow, nie na Gatwick. Chavez, który znów siedział obok doktora Bellowa, pozwolił sobie na kieliszek białego wina. Bellow zamówił to samo.

— No i jak, doktorze?

— Wolałbym usłyszeć, co u pana, panie Chavez — odparł Bellow.

— Jeśli chodzi o mnie, to stres zaczyna opadać. Tym razem żadnego drżenia rąk —

odpowiedział Ding, zaskoczony, że ręce miał zupełnie spokojne.

— Drżenie rąk, dreszcze, to coś zupełnie normalnego, objaw uwalniania energii, jaką niesie ze sobą stres. Organizmowi nie tak łatwo jest powrócić do normalnego stanu. Ale trening w tym pomaga, podobnie jak odrobina alkoholu — zauważył lekarz, pociągając łyk doskonałego francuskiego chablis.

— Powinniśmy byli zrobić coś inaczej?

— Nie sądzę. Może gdyby włączono nas w to wcześniej, moglibyśmy zapobiec zamordowaniu

pierwszego zakładnika albo przynajmniej trochę to opóźnić, ale w praktyce nigdy nie mamy tego pod kontrolą. — Bellow wzruszył ramionami. — Nie, zastanawiam się nad czymś innym. Ciekaw jestem, jakimi motywami kierowali się ci faceci.

— Jak to?

— Zachowywali się, jakby przyświecała im jakaś ideologia, ale ich żądania nie miały natury ideologicznej. Jak rozumiem, chcieli obrabować bank.

— Zgadza się. Chavez i Loïselle mieli okazję zajrzeć do płóciennej torby na podłodze banku. Była wypchana pieniędzmi. Banknoty musiały ważyć ponad dziesięć kilo. — Chavez pomyślał, że to dziwaczny sposób liczenia pieniędzy, ale innej możliwości nie było. Szwajcarska policja policzy pewnie dokładnie. Kiedy Drugi Zespół wykonał już swoje zadanie, ciąg dalszy miał charakter wywiadowczy. Bill Tawney będzie to nadzorował. — Więc... byli po prostu złodziejami?

— Nie jestem pewien. — Bellow dopił wino i uniósł kieliszek, dając stewardesie znać, że może go ponownie napełnić. — W tej chwili wydaje się to pozbawione sensu, ale historia zna już takie przypadki. Model nie był wybitnym terrorystą. Za dużo hucpy, za mało inteligencji. Jego akcja była źle zaplanowana i źle przeprowadzona.

— Podły drań — zauważył Chavez.

— Osobowość socjopatyczna, bardziej zwykły przestępca niż terrorysta. Prawdziwi terroryści, mam na myśli tych naprawdę dobrych, są zwykle rozsądniejsi.

— Co, u diabła, znaczy „dobry terrorysta”?

— To biznesmen, którego działalność obejmuje zabijanie ludzi w celu przedstawienia swoich racji politycznych... to prawie tak, jak reklama. Służy wielkiej sprawie, a przynajmniej tak uważa. W coś wierzy, ale nie tak, jak dziecko na lekcji religii, raczej jak dorosły, który poświęcił się studiowaniu Biblii. Zdaję sobie sprawę, że to niewiele, ale w tej chwili trudno mi powiedzieć coś więcej. To był długi dzień, panie Chavez — zakończył doktor Bellow, podczas gdy stewardesa napełniała mu kieliszek.

Ding spojrział na zegarek. — Jasne, doktorze. — Bellow nie musiał mu mówić, że warto by się trochę przespać. Chavez opuścił oparcie fotela i po dwóch minutach był już w objęciach Morfeusza.

# Odprawa po akcji

Chavez, podobnie jak większość ludzi z Drugiego Zespołu, obudził się, kiedy samolot dotknął pasa na Heathrow. Kołowanie do terminalu zdawało się trwać godzinami, ale potem czekali już na nich policjanci, którzy eskortowali ich do lądowiska śmigłowców, skąd mieli odlecieć do Hereford. Idąc przez terminal, Chavez zauważył wielki tytuł w jednej z wieczornych gazet, informujący, że szwajcarska policja skutecznie rozprawiła się z terrorystami, którzy próbowali obrabować Berneński Bank Komercyjny. Trochę szkoda, pomyślał, że to inni zbierają laury za jego operację. Uzmysłowił sobie jednak, że na tym polegała istota Tęczy, i że zapewne otrzymają od rządu szwajcarskiego przyjemne pismo z podziękowaniami, które skończy swój żywot w szafie archiwum. Dwa śmigłowce wojskowe wylądowały i Drugi Zespół pojechał

ciężarówkami do swojej siedziby. Było już po jedenastej wieczorem i wszyscy byli zmęczeni tym dniem, który rozpoczął się jak zwykle od treningu, a skończył prawdziwą, stresującą operacją.

Ale nie nadszedł jeszcze czas na odpoczynek. Kiedy weszli do budynku, zobaczyli ustawione w krąg krzesła i wielki telewizor z boku. Clark, Stanley i Covington już tam byli. Czas na odprawę po akcji.

— Zaczynamy — powiedział Clark, kiedy tylko usiedli. — Dobra robota. Wszyscy bandyci unieszkodliwieni. Akcja nie spowodowała żadnych ofiar po naszej stronie, ani wśród zakładników. Dalej. Co zrobiliśmy nie tak, jak trzeba?

Pierwszy wstał Paddy Connolly. — Użyłem za dużo materiału wybuchowego na tylne drzwi. Gdyby w pobliżu był któryś z zakładników, zginąłby na miejscu — przyznał uczciwie. —

Framuga drzwi nie była tak mocna, jak myślałem. — Wzruszył ramionami. — Nie wiem, jak czemuś takiemu zapobiec w przyszłości.

John zastanowił się nad tym. Connolly przechodził właśnie atak przesadnie skrupulatnej uczciwości. Nieomylny znak, że jest przyzwoitym człowiekiem. Skinął głową, postanawiając nie drażnić tej kwestii. — Ja też nie wiem. Co jeszcze?

Następny, nie wstając z krzesła, zabrał głos Tomlinson: — Sir, musimy znaleźć lepszy sposób na oswojenie się z granatami obezwładniającymi. Byłem nieźle oszołomiony, kiedy przeszedłem przez drzwi. Dobrze, że Louis pierwszy wbiegł do środka i strzelił. Nie jestem pewien, czy sam bym sobie poradził.

— A jak było w środku?

— Granaty były całkiem skuteczne — powiedział Tomlinson. — Terrorysta, którego zobaczyłem, był niezdolny do działania.

— Można go było wziąć żywego? — Clark musiał zadać to pytanie.



— Nie, *mon general* — powiedział z naciskiem sierżant Louis Loiseau. — Trzymał w ręku karabin, zwrócony w kierunku zakładników. — O wytrącaniu terrorystom broni z ręki, oczywiście, nie było mowy. Zakładało się, że każdy terrorysta ma więcej niż jedną sztukę broni

— rezerwą często były granaty. Pakując trzy pociski w głowę terrorysty, Loiseau postąpił dokładnie tak, jak tego wymagały reguły Tęczy.

— Zgadzasz się. Louis, jak ty sobie poradziłeś z granatami obezwładniającymi? Byłeś przecież bliżej niż George.

— Mam żonę — odpowiedział Francuz z uśmiechem. — Drze się na mnie bez przerwy.

— Zaczekał, aż chichot ucichnie. — Jedno ucho zasłoniłem sobie dłonią, a drugie przycisnąłem do ramienia i zamknąłem oczy. Poza tym, to ja rzuciłem te granaty — dodał. W odróżnieniu od Tomlinsona i reszty, mógł się nastawić na huk i błysk, co dawało mu może niewielką, ale decydującą przewagę.

— Inne problemy? — spytał John.

— To, co zwykle — powiedział Price. — Mnóstwo szkła na podłodze, odłamki utrudniają zachowanie równowagi. Może pomogłyby podeszwy z bardziej miękkiego materiału? Odgłos naszych kroków też byłby cichszy.

Clark skinął głową i zauważył, że Stanley coś zanotował.

— Jakies problemy ze strzelaniem?

— Nie — odpowiedział Chavez. — Wnętrze było oświetlone, więc nie potrzebowaliśmy gogli noktowizyjnych. Faceci ustawili się jak na strzelnicy. Łatwizna. — Price i Loiseau skinęli głową na potwierdzenie.

— Strzelcy wyborowi? — spytał Clark.

— Niczego nie widziałem ze swojego miejsca — powiedział Johnston.

— Ze mną było to samo — odezwał się Weber. Jego angielski był niesamowicie perfekcyjny.

— Ding, puściłeś Price'a przodem. Dlaczego? — To był Stanley.

— Eddie strzela lepiej ode mnie i ma większe doświadczenie. Mam do niego trochę większe zaufanie niż do siebie samego. Na razie — powiedział Chavez. — Cała operacja wydawała się prosta. Każdy dysponował rozkładem wnętrza i nie był to skomplikowany rozkład.

Podzieliłem zadanie na trzy obszary odpowiedzialności. Dwa z nich widziałem osobiście. W trzecim był tylko jeden terrorysta. W pewnym sensie mogłem się tego tylko domyślać, ale

przemawiały za tym wszystkie informacje, jakimi dysponowaliśmy. Musieliśmy dostać się do środka szybko, ponieważ Model zamierzał właśnie zabić kolejnego zakładnika. Nie mogłem mu na to pozwolić — zakończył Chavez.

— Czy ktoś ma coś do dodania? — spytał John.

— Może się zdarzyć, że trzeba będzie pozwolić terrorystyce zabić zakładnika —

powiedział doktor Bellow poważnym głosem. — To nie będzie przyjemne, ale czasem może się okazać konieczne.

— Rozumiem, doktorze. Jakież spostrzeżenia?

— John, musimy się zapoznać z wynikami policyjnego śledztwa w sprawie tych czterech.

Kim byli naprawdę? Terrorystami czy rabusiami? Nie wiemy tego, a sędzę, że powinniśmy się dowiedzieć. Nie mieliśmy możliwości prowadzenia negocjacji. W tym wypadku było to prawdopodobnie bez znaczenia, ale w przyszłości może być inaczej. Potrzebujemy więcej tłumaczy. Moje umiejętności lingwistyczne są niewystarczające. Potrzebuję tłumaczy, którzy doskonale mówią moim językiem, wiesz, niuanse, idiomy i tak dalej. — Clark zauważył, że Stanley znów coś sobie zapisał. Spojrzał na zegarek.

— Na dziś wystarczy. Kasety wideo obejrzymy jutro rano. Dobra robota, panowie.

Rozejść się.

Drugi Zespół wyszedł na zewnątrz. Noc była ciemna, zaczynała się podnosić mgła. Kilku spojrzło w kierunku klubu oficerskiego, ale żaden nie poszedł w tamtą stronę. Chavez ruszył do swojego domu.

— Cześć, kochanie — powiedział do żony.

— Nic ci się nie stało?

Chavez przywołał na twarz uśmiech, uniósł ręce i obrócił się. — Żadnych dziur ani zadrapań.

— To ty byłeś w telewizji, w Szwajcarii?

— Wiesz, że nie powinienem na to odpowiadać.

— Ding, wiedziałam, czym się zajmował ojciec, od kiedy skończyłam dwanaście lat —

powiedziała doktor Patricia Chavez. — Wiesz, tajny agent, tak jak ty.

Wiedział, że ukrywanie tego przed nią nie ma sensu. — Tak, Patsy, to byłem ja i moi ludzie.

— Kim byli tamci... no, tamci przestępcy?

— Może terroryści, a może zwykli rabusie. Nie mamy pewności — powiedział Chavez, ściągnając koszulę w drodze do sypialni.

Patsy weszła za nim do środka. — W telewizji powiedzieli, że wszyscy zostali zabici.

Chavez zdjął spodnie i powiesił w szafie. — Nie było wyboru. Mieli właśnie zabić zakładnika, kiedy wkroczyliśmy. Musieliśmy ich powstrzymać.

— Nie jestem pewna, czy mi się to podoba.

Spojrzał na żonę. — Ja jestem pewien. W żadnym wypadku mi się to nie podoba.

Pamiętasz tamtego faceta, kiedy byłaś w akademii medycznej? Trzeba mu było amputować nogę, a ty asystowałaś przy operacji. Nie podobało ci się, prawda?

— Nie, wcale. — Był to wypadek samochodowy i noga okazała się zbyt poraniona, żeby można ją było uratować.

— Takie jest życie, Patsy. Nie zawsze można robić tylko to, co nam się podoba. —

Chavez usiadł na łóżku, ściągnął skarpetki i wrzucił je do kosza na brudną bieliznę. Tajny agent, pomyślał. Oczekuje się po nim, że napije się teraz martini, wstrząśniętego, nie zamieszanego. Na filmach z tego gatunku nigdy nie pokazuje się bohatera, idącego do łóżka, żeby się przespać. Ale kto ma w głowie seks zaraz po tym, kiedy kogoś zabije? Zaśmiał się ironicznie i położył na kołdrze. Bond, James Bond. Akurat. Kiedy tylko zamknął oczy, znów znalazł się w banku, unosząc swego *MP-10*, celując do tamtego... cholera, jak on się nazywał? Aha, chyba Guttenach.

Uświadomił sobie, że nie sprawdził tego. Widział głowę w celowniku i siebie ściągnającego spust, równie beznamiętnie, jakby zapinał suwak rozporka po wizycie w toalecie. Paf, paf, paf. Tak szybko, tak cicho dzięki tłumikowi i tamten padł trupem na miejscu. Ani on, ani jego trzech kompani nie mieli większych szans... Tak naprawdę, to nie mieli żadnych szans.

Ale zakładnik, którego tamci zamordowali wcześniej, też nie miał żadnych szans, uprzytomnił sobie Chavez. Pechowiec, który przypadkiem był akurat w banku, wpłacając pieniądze, rozmawiając o kredycie albo może rozmieniając po prostu większy banknot przed pójściem do fryzjera. Zachowaj swoje współczucie dla niego, powiedział sobie Ding. A lekarz, którego Model był gotów zabić, był teraz we własnym domu, zapewne z żoną i z dziećmi.

Pewnie nieźle się zalał, a może zażył środki uspokajające. Prawdopodobnie jest teraz strasznie roztrzęsiony i może zastanawia się nad pójściem do przyjaciela-psychiatry, który pomógłby mu się wydobyć z tego psychicznego dołka, w jakim się znalazł. Pewnie czuje się fatalnie. Ale trzeba żyć, żeby czuć cokolwiek, więc lepiej tak, niż gdyby żona i dzieciaki siedzieli teraz w salonie ich domu pod Bernem, wypłakując oczy i pytając, dlaczego tatusia już z nimi nie ma.

Tak, odebrał komuś życie, ale uratował je innym. Myślami wrócił do banku. Przypomniwał

sobie teraz, jak jego pierwszy pocisk trafił tamtego dupka tuż koło ucha. Wiedział, że tamten nie żyje, jeszcze zanim drugi i trzeci pocisk trafiły w cel, nie dalej niż pięć centymetrów od pierwszego, rozwalając terroryście czaszkę, z której mózg poleciał na trzy metry. Ciało upadło jak worek z kartoflami. Broń wypadła z bezwładnej ręki na posadzkę, lufą do góry i szczęśliwie nie wystrzeliła, więc nikt nie został ranny. Strzały w głowę nie powodują skurczu palców, więc tamten nie ściągnął spustu zza grobu. Domingo wiedział z doświadczenia, że takie niebezpieczeństwo istnieje. Mimo wszystko nie było to zadowalające. Lepiej byłoby brać ich żywcem i zmusić do mówienia, dowiedzieć się, dlaczego postępowali tak, jak postępowali. W ten sposób można by się nauczyć czegoś, co dałoby się wykorzystać następnym razem albo może poszukać tego skurwysyna, który wydawał rozkazy, i napompować mu dupę dziesięciomilimetrowymi pociskami z wydrążonym wierzchołkiem.

Operacja nie przebiegła idealnie, Chavez musiał to przyznać sam przed sobą, ale, wezwany do ratowania życia, uratował to życie. Chwilę później poczuł, że żona kładzie się koło niego. Wziął ją za rękę, a ona natychmiast położyła sobie jego dłoń na brzuchu. A więc mały Chavez znów kopał. To zasługuje na pocałunek, uznał Ding i odwrócił się do żony.

Popow również siedział na łóżku. Wypił już cztery duże wódki, oglądając lokalne wiadomości telewizyjne, po których nadano jeszcze redakcyjny panegiryk na temat sprawności miejscowej policji. Nie podano dotychczas, kim byli ci, którzy napadli na bank — właśnie w ten sposób o nich mówiono; Popow był tym trochę rozczarowany, chociaż właściwie nie wiedział, dlaczego. Pokazał swemu pracodawcy, ile jest wart, a przy okazji zainkasował znaczną sumę pieniędzy. Jeszcze parę takich numerów i będzie mógł żyć w Rosji jak król albo jak księżę w wielu innych krajach. Mógł sobie teraz pozwolić na luksusy, które często widział i których zazdrościł, kiedy był oficerem KGB. Nie raz zachodził wtedy w głowę, jak, u diabła, jego kraj mógł kiedykolwiek pokonać państwa, w których wydawano miliardy na rozrywki i miliardy na uzbrojenie, pod każdym względem lepsze od wszystkiego, co produkowano w jego ojczyźnie?

Gdyby było inaczej, to po co tak często powierzano by mu wykradanie tamtym ich tajemnic technicznych? Na tym właśnie polegała jego praca w ostatnich latach zimnej wojny i już wtedy wiedział, kto wygra, a kto przegra.

Nigdy jednak nie brał pod uwagę możliwości przejścia na drugą stronę. Co za sens miałyby sprzedawanie własnego kraju w zamian za niewielkie stypendium albo jakąś przeciętną posadę na Zachodzie? Wolność? Zachód wciąż udawał, że stawia ją na piedestale. Ale jaki sens miała swoboda przemieszczania się z miejsca na miejsce, jeśli nie miało się w tym celu przyzwoitego samochodu? Albo jeśli kogoś nie stać na dobry hotel, żeby się przespać po dotarciu na miejsce? Albo jeśli brakuje pieniędzy na zakup jedzenia i picia, bez czego trudno cieszyć się życiem? Jako „nielegalny” funkcjonariusz wywiadu, to znaczy bez paszportu dyplomatycznego, po raz pierwszy poleciał do Londynu, gdzie spędził sporo czasu na liczeniu kosztownych samochodów i tak wygodnych czarnych taksówek, do których wsiadało się, kiedy komuś nie chciało się iść piechotą. Dla niego samego ważnym środkiem transportu było wtedy metro: wygodne, anonimowe i tanie. Ale tanie rzeczy mało go pociągały. Nie, zaletą kapitalizmu było to, że wynagradzał ludzi, którzy wybrali sobie odpowiednich rodziców albo mieli szczęście w interesach. Wynagradzał ich luksusem i wygodą, o jakich nie mogli marzyć nawet carowie. I właśnie tego Popow zaczął od razu pożądać.

Nawet teraz zastanawiał się, jak to zdobyć. Dobry, drogi samochód — zawsze pragnął mieć Mercedesa — i odpowiednio duże mieszkanie z dobrymi restauracjami w pobliżu, i jeszcze pieniądze na podróżowanie tam, gdzie piasek przez cały rok jest ciepły, a niebo niebieskie, gdzie łatwo o kobiety. Był pewien, że tak właśnie postępował kiedyś Henry Ford. Jaki sens miało posiadanie tak ogromnego bogactwa, jeśli się z niego nie korzystało?

Popow doszedł do wniosku, że jest bliższy osiągnięcia tego celu niż kiedykolwiek.

Wszystko, co musiał zrobić, to zorganizować jeszcze parę takich numerów jak w Bernie. Skoro jego pracodawca gotów był tak dużo płacić za głupców — cóż, drogi głupca i jego pieniędzy prędko się rozchodzą, jak powiadał zachodni aforyzm. Popow uznał, że aforyzm jest cudownie trafny. A on, Dmitrij Arkadijewicz, nie był głupcem. Usatysfakcjonowany tą myślą, sięgnął po pilota i wyłączył telewizor. Jutrzejszy dzień miał już zaplanowany: śniadanie, złożenie pieniędzy w banku, a potem taksówką na lotnisko i samolotem linii Swissair do Nowego Jorku. Oczywiście pierwszą klasą.

— I co o tym sądzisz, Al? — zapytał Clark znad szklanki ciemnego brytyjskiego piwa.

Siedzieli w niszy z tyłu sali.

— Wszystko, co mówili o tym twoim Chavezie, to prawda. Inteligentnie postąpił, pozwalając Price'owi prowadzić. Nie ma fałszywego poczucia dumy. To rzadkość u młodego oficera. Moment szturmowy wybrał właściwy. Zadania podzielił prawidłowo, nie chybił ani razu.

Będzie z niego pożytek. Z jego zespołu też. Dobrze, że na pierwszy raz trafiło im się coś łatwego.

Ten Model z pewnością nie wymyśliłby prochu.

— Podły drań.

Stanley skinął głową. — Rzeczywiście. Wielu niemieckich terrorystów takich było. Od BKA też powinniśmy dostać pismo z podziękowaniami.

— Wnioski na przyszłość?

— Z najważniejszym wystąpił doktor Bellow. Potrzebujemy więcej i lepszych tłumaczy, jeśli mamy się włączać ich w negocjacje. Od jutra się do tego zabiorę. W Century House powinni mieć ludzi, jakich nam potrzeba. Aha, no i jeszcze ten Noonan...

— Przyszedł do nas najpóźniej. Był specem od techniki w FBI. Zajmował się sprzętem ZOZ. Zaprzysiężony agent, potrafi strzelać, ma trochę doświadczenia w zakresie prowadzenia śledztwa — wyjaśnił Clark. — Wszechstronny facet. Przyda się nam.

— Umieszczenie tych obiektywów, to była dobra robota. Oglądałem już kasety wideo.

Nie są takie złe. W sumie, John, najwyższa ocena dla Drugiego Zespołu. — Stanley uniósł swoją

szklanę z piwem.

— Dobrze, kiedy wszystko działa, jak trzeba.

— Do następnego razu.

Głęboki oddech. — Racja. — Clark wiedział, że sukces zawdzięczali głównie Brytyjczykom. Wykorzystali ich systemy wsparcia, ich ludzie stanowili dwie trzecie grupy, która wzięła bank szturmem. Z drugiej strony Louis Loiseau okazał się rzeczywiście tak dobry, jak zapewniali Francuzi. Skurczybyk potrafił strzelać jak Davy Crockett i był przy tym nieporuszony jak skała. Cóż, Francuzi zebrali swoje własne doświadczenia z terroryzmem. Kiedyś, dawno temu, Clark był z nimi na akcji. A więc obecna operacja zostanie odnotowana jako sukces. Tęcza potwierdziła swą przydatność. Clark wiedział, że oznacza to również potwierdzenie jego przydatności.

Do Stowarzyszenia Cincinnati należał wielki budynek przy Massachusetts Avenue, w którym często odbywały się półoficjalne kolacje, tak ważne w życiu towarzyskim Waszyngtonu.

Ważni ludzie mieli się tam okazję spotykać i potwierdzać swój status przy drinkach czy podczas grzecznościowych rozmów. Oczywiście, nowy prezydent trochę komplikował sprawy swym...

hmm, ekscentrycznym podejściem do rządzenia, ale w tym mieście żaden człowiek nie był w stanie aż tyle pozmieniać, a nowicjusze w Kongresie musieli się przecież dowiedzieć Jak Naprawdę Funkcjonuje Waszyngton. Oczywiście, wszędzie w Ameryce było tak samo i dla wielu z nich spotkania w tej byłej rezydencji kogoś bogatego i ważnego były tylko nową wersją kolacji klubowych, podczas których poznawali reguły, jakimi rządzi się władza w cywilizowanym społeczeństwie.

Jednym z ważnych nowych ludzi była Carol Brightling. Rozwiedziona ponad dziesięć lat temu, nie wyszła powtórnie za mąż. Miała aż trzy doktoraty, z Harvardu, CalTech i University of Illinois, obstawiwszy w ten sposób oba wybrzeża i trzy ważne stany, co było na tyle istotnym osiągnięciem w tym mieście, że zapewniło jej natychmiast zainteresowanie, jeśli nie odruchową sympatię, sześciu senatorów i wielu kongresmanów, którzy mieli coś do powiedzenia w komisjach na Kapitolu.

— Widziała pani wiadomości? — spytał ją młody senator z Illinois przy lampce białego wina.

— Co pan ma na myśli?

— Szwajcaria. Akt terroryzmu albo napad na bank. Szwajcarscy gliniarze nieźle sobie poradzili.

— Chłopcy, i te ich zabawy w policjantów i złodziei — pogardliwie powiedziała Brightling.

— W telewizji dobrze to wypadło.

— Futbol też dobrze wypada w telewizji — zauważyła Brightling z ironicznym uśmiechem.

— Prawda. Dlaczego prezydent nie popiera pani w sprawie zapobiegania ociepleniu klimatu? — zadał senator następne pytanie, zastanawiając się, w jaki sposób przedrzeć się przez tę barierę wyniosłości.

— Nie, nie jest tak, że mnie nie popiera. Prezydent uważa, że potrzeba nam dodatkowych informacji naukowych na ten temat.

— Ale pani tak nie uważa?

— Szczerze mówiąc, nie. Myślę, że dysponujemy wszystkimi informacjami, jakie są nam potrzebne. Obraz jest całkiem jasny. Ale prezydent nie jest o tym osobiście przekonany i czułby się nieswojo, podejmując decyzje dotyczące gospodarki, zanim sam nie nabierze pewności, że są słuszne. — Muszę jeszcze nad nim popracować — tego już nie powiedziała głośno.

— Akceptuje to pani?

— Rozumiem jego stanowisko — odpowiedziała Brightling, doradca prezydenta USA do spraw nauki, zaskakując senatora z Kraju Lincoln. Aha, pomyślał, więc nikt, kto pracuje w Białym Domu, nie wysuwa się przed prezydenta. Powołanie Carol Brightling w skład personelu Białego Domu było zaskoczeniem, ponieważ — choć w społeczności naukowej była szanowana za swe poglądy na środowisko naturalne — jej poglądy polityczne bardzo różniły się od poglądów prezydenta. Było to zřejme posunięcie polityczne, prawdopodobnie zaaranżowane przez szefa personelu Białego Domu, Arnolda van Damma, niewątpliwie najbardziej wytrawnego gracza w tym mieście manewrów politycznych. Zapewniło prezydentowi poparcie (choć ograniczone) ruchu obrońców środowiska, który w Waszyngtonie stał się poważną siłą polityczną.

— Nie przeszkadza pani, że prezydent morduje w tej chwili gęsi w Południowej Dakocie?

— spytał senator rozbawionym głosem, podczas gdy kelner przyniósł mu następnego drinka.

— Homo sapiens jest drapieżcą — odpowiedziała Brightling, rozglądając się po sali.

— Ale tylko samce?

Uśmiech. — Tak, my, kobiety, jesteśmy nastawione bardziej pokojowo.

— O, tam, w rogu, to chyba pani były mąż, prawda? — spytał senator. Zaskoczyła go zmiana, jaka zaszła na jej twarzy, kiedy to powiedział.

— Tak. — Głos miała neutralny, wyprany z emocji. Odwróciła twarz w inną stronę.

Spostrzegła go i na tym koniec. Oboje znali reguły. Nie zbliżać się do siebie bliżej niż dziesięć metrów, żadnego dłuższego kontaktu wzrokowego, z całą pewnością żadnych słów.

— Dwa lata temu mogłem zainwestować pieniądze w Horizon Corporation. Do dziś nie mogę sobie darować, że nie skorzystałem z tej okazji.

— Tak, John zarobił mnóstwo pieniędzy.

Ale dawno po rozwodzie, więc nie zobaczyła z tego ani centa. Senator doszedł do wniosku, że to chyba nie jest dobry temat do rozmowy. Był jeszcze nowicjuszem i uprzejma konwersacja nie była jego najmocniejszą stroną.

— Dobrze sobie poradził, naginając naukę do swoich celów.

— Pani tego nie aprobeuje?

— Modyfikacji kodu genetycznego roślin i zwierząt? Nie. Natura ewoluowała bez naszej pomocy od co najmniej dwóch miliardów lat. Wątpię, żeby taka pomoc była jej potrzebna teraz.

— Są więc rzeczy, których człowiek nigdy nie powinien poznać? — spytał kpiąco senator. Zajmował się kiedyś budownictwem, kopaniem wielkich dołów w ziemi i stawianiem czegoś, czego natura wcale tam nie chciała. Doktor Brightling pomyślała, że jego zainteresowanie sprawami środowiska ma podłoże w upodobaniu do Waszyngtonu i pragnieniu pozostania tutaj u władzy. Nazywano to „gorączką znad Potomacu”; tę chorobę łatwo było złapać, ale znacznie trudniej się z niej wyleczyć.

— Problem polega na tym, senatorze Hawking, że natura jest zarazem skomplikowana i delikatna. Dokonując zmian, trudno przewidzieć, jakie będą ich skutki. To Prawo Niezamierzonych Konsekwencji. Sądzę, że Kongresowi nie jest ono obce.

— Chce pani powiedzieć...

— Chcę powiedzieć, że o wiele łatwiej jest coś popsuć, niż potem naprawić i właśnie dlatego mamy ustawę federalną, nakazującą uwzględnianie wpływu, jaki działalność człowieka wywiera na środowisko naturalne. W wypadku rekombinacji DNA, łatwiej jest zmienić kod genetyczny niż przewidzieć, jakie skutki przyniesie to za sto lat. Jest to umiejętność z rodzaju tych, z których powinno się korzystać z jak największą ostrożnością. Proste, ale chyba nie wszyscy to pojmują.

Senator musiał łaskawie przyznać, że trudno z tym polemizować. W przyszłym tygodniu Brightling poruszy ten temat na forum jego komisji. Czy to był powód, dla którego rozpadło się małżeństwo Johna i Carol Brightlingów? Jakież to smutne. Senator przeprosił i podszedł do swojej żony.

— W tym poglądzie nie ma nic nowego. — John Brightling zrobił doktorat z biologii molekularnej na Uniwersytecie Wirginia, podobnie jak i doktorat z medycyny. — Zaczęło się kilka wieków temu od faceta, który nazywał się Ned Ludd. Bał się on, że rewolucja przemysłowa położy kres manufakturom, które stanowiły wówczas podstawę gospodarki angielskiej. I miał

rację. Tamten model ekonomiczny był skazany na zagładę. Ale został zastąpiony czymś, co było lepsze dla konsumentów i dlatego nazywamy to postępem! — John Brightling, zbliżający się do swojego drugiego miliarda dolarów, nie pierwszy raz brylował przed tłumkiem swych wielbicieli.

— Ale złożony charakter... — Jedna z pań zaczęła zgłaszać obiekcje.

— Wszystko jest złożone. Także to, nad czym próbujemy zapanować. Na przykład rak.



Proszę mi powiedzieć, czy chciałaby nas pani zmusić do przerywania prac, jeśli oznaczałoby to, że nie będzie lekarstwa przeciw rakowi piersi? Ta choroba atakuje pięć procent populacji na całym świecie. Rak jest chorobą uwarunkowaną genetycznie. Kluczem do skutecznej terapii jest ludzki genom. I moja firma zamierza znaleźć ten klucz! Tak samo jest z procesem starzenia. Zespół

Salka w La Jolla już ponad piętnaście lat temu odkrył gen odpowiedzialny za to, że się starzejemy. Jeśli znajdziemy sposób, aby go unieszkodliwić, nieśmiertelność stanie się możliwa.

Niech pani powie, czy nie pociąga pani perspektywa wiecznego życia w ciele dwudziestopięciolatki?

— Ale co z przeludnieniem? — Tym razem kongresmanka mówiła jakby trochę ciszej.

To, o czym mówił Brightling, było zbyt fascynujące i zbyt nieoczekiwane, żeby od razu polemizować.

— Po kolei, proszę państwa. Wynalezienie DDT oznaczało zagładę mnóstwa owadów, roznoszących najróżniejsze choroby. W rezultacie znacznie wzrosła liczba ludności na świecie, prawda? Zgoda, świat jest teraz trochę bardziej zatłoczony, ale czy ktoś pragnie powrotu moskitów? Czy malaria jest rozsądną metodą kontrolowania liczby ludności? Nikt z obecnych na pewno nie chce też powrotu wojen, czyż nie mam racji? Wojny też służyły do kontrolowania populacji, ale wyrosliśmy już z tego, prawda? Do diabła, zapobieganie przeludnieniu wcale nie jest takie trudne. Nazywa się to kontrola urodzeń i kraje rozwinięte nauczyły się już, jak to robić.

Kraje zacofane też mogą się tego nauczyć, jeśli będą miały dobrą motywację. Może to trochę potrwać, na przykład długość życia jednego pokolenia — powiedział John Brightling z wyrazem zamyślenia na twarzy — ale czy jest tu ktoś, kto nie pragnąłby mieć znów dwadzieścia pięć lat, zachowując, oczywiście, wszystko, czego się dotychczas nauczył i dorobił? Mnie się to cholernie podoba! — ciągnął z uśmiechem. Oferując ogromne zarobki i opcje zakupu akcji, jego firma zgromadziła niewiarygodny zespół talentów, powierzając mu zadanie zajęcia się tym konkretnym genem. Zyski, jakie przyniosłoby jego opanowanie, wręcz trudno było sobie wyobrazić, a patent był w Stanach Zjednoczonych ważny przez siedemnaście lat! Nieśmiertelność, nowy Święty Graal w rękach społeczności lekarskiej — i po raz pierwszy był to temat poważnych badań, a nie podrzędnych powieści z gatunku science-fiction.

— Sądzi pan, że potrafcie tego dokonać? — spytała inna kongresmanka, tym razem z San Francisco. Ten człowiek pociągał kobiety. Miał wszystko, czego pragnęły: pieniądze, władzę, elegancki wygląd i dobre maniery.

John Brightling uśmiechnął się szeroko. — Proszę mnie spytać za pięć lat. Znamy ten gen. Musimy się tylko dowiedzieć, jak go zneutralizować. Wymaga to mnóstwa badań podstawowych, a po drodze mamy nadzieję odkryć mnóstwo innych pożytecznych rzeczy. To tak, jakby się wyruszało w podróż z Magellanem. Nie jesteśmy pewni, co odkryjemy, ale wiemy, że będzie to interesujące. — Nikt nie zwrócił uwagi, że Magellan nie wrócił ze swej podróży.

— I przyniesie duże pieniądze? — spytał nowo wybrany senator z Wyoming.

— Przecież tak właśnie funkcjonuje nasze społeczeństwo. Płaci się ludziom za robienie rzeczy pożytecznych. Czy to, o czym mówimy, jest pożyteczne?

— Jeśli się panu uda, to chyba tak. — Senator był z zawodu lekarzem rodzinnym, miał

podstawową wiedzę medyczną, ale problemy o charakterze naukowym zdecydowanie go przerastały. Cel, jaki stawiała sobie Horizon Corporation, wydawał się fantastyczny, ale senator nie zaryzykowałby twierdzenia, że to tylko mrzonka. Mieli wspaniałe osiągnięcia w pracach nad lekami onkologicznymi i syntetycznymi antybiotykami, a także byli czołową firmą prywatną w globalnym projekcie Ludzki Genom, zmierzającym do odszyfrowania podstaw życia ludzkiego.

John Brightling sam był geniuszem i z łatwością pozyskiwał podobnych do siebie ludzi dla swej firmy. Miał więcej charyzmy niż stu polityków, a w dodatku, co senator musiał przyznać, różnił

się od nich tym, że jego charyzmę wspierały prawdziwe osiągnięcia. Mówiło się kiedyś na takich, że są „dobrym materiałem” na pilotów. Doktor John Brightling niewątpliwie miał w sobie coś —

wyglądał jak gwiazdor filmowy, chętnie się uśmiechał, potrafił słuchać i dysponował wspaniałym analitycznym umysłem. Potrafił sprawić, by każdy, z kim rozmawiał, czuł się ważny i interesujący. A ponadto, sukinsyn potrafił uczyć, wyklądać w sposób niemal dla każdego zrozumiały. Do ludzi prostych mówił prostym językiem, natomiast w kontaktach ze specjalistami w swej dziedzinie, w której królował niepodzielnie, wznosił się na wyżyny fachowości. Miał, oczywiście, kilku równych sobie. Pat Reily z Harvardu, Aaron Bernstein z Uniwersytetu im.

Johna Hopkinsa, Jacques Elise z Instytutu im. Pasteura, może jeszcze Paul Ging z Berkeley, ale na tym koniec. Jakimż świetnym klinicystą mógłby zostać John Brightling, pomyślał senator-lekarz, ale nie, szkoda go dla ludzi z najnowszą odmianą wirusa grypy.

Małżeństwo było chyba jedyną rzeczą, która mu się nie udała. Cóż, Carol Brightling również była bardzo inteligentna, ale stanowiła raczej typ polityka niż naukowca i zapewne jej indywidualność — wielka, o czym wiedzieli wszyscy w tym mieście — przygasała w konfrontacji z intelektem jej męża. To miasto jest za małe dla nich obojga, pomyślał doktor z Wyoming, uśmiechając się w duchu. Zdarzało się to i w życiu, a nie tylko w starych filmach.

Wydawało się, że John radzi sobie lepiej niż Carol. Był teraz w towarzystwie ślicznego rudzielca i widać było, że dziewczyna spija mu z ust każde słowo. Carol przyszła sama i sama wróci do swojego mieszkania w Georgetown. Cóż, pomyślał senator-lekarz, takie jest życie.

Nieśmiertelność. Cholera, można by w nieskończoność polować na antylopy, pomyślał

doktor z Cody, idąc do swojej żony. Kolacja miała się zaraz rozpocząć. Kurczaki kończyły właśnie proces wulkanizacji.

Valium pomagało. Killgore wiedział, że właściwie nie było to Valium. Przyjęło się określać tą nazwą różne łagodne środki uspokajające. Ten akurat, opracowany przez firmę SmithKline, miał zupełnie inną nazwę handlową oraz tę korzystną właściwość, że można go było podawać z

alkoholem. Jak na bezdomnych, którzy często byli kłótniwi i agresywni, niczym bezpańskie psy, ta dziesięcioosobowa grupa zachowywała się wyjątkowo spokojnie.

Niewątpliwie przyczyniły się do tego znaczne ilości dobrego alkoholu. Największym powodzeniem cieszyły się markowe bourbony. Pili je z lodem, z tanich szklaneczek. Ku zaskoczeniu Killgore'a, większość wolała bourbona rozcieńczonego.

Badania przeszły pomyślnie. Wszyscy ci ludzie sprawiali wrażenie zdrowych, ale każdy miał jakieś problemy, od cukrzycy po niewydolność wątroby. Jeden z pewnością cierpiał na raka prostaty — jego wskaźnik PSA znacznie wykraczał ponad normę — ale przecież w tym wypadku nie miało to większego znaczenia. Inny był nosicielem wirusa HIV, ale jeszcze bez objawów.

Prawdopodobnie zaraził się skażoną igłą, wstrzykując sobie narkotyki, ale, o dziwo, tutaj zupełnie wystarczał mu alkohol. Interesujące.

Killgore wcale nie musiał tu przychodzić, a im dłużej im się przyglądał, tym bardziej ruszało go sumienie, ale przecież byli jego zwierzętami doświadczalnymi i oczekiwano od niego, że będzie ich miał na oku. Patrzył więc przez półprzeźroczyste lustro, odwalając papierkową robotę i słuchając Bacha z przenośnego odtwarzacza płyt kompaktowych. Trzej byli — tak przynajmniej twierdzili — weteranami wojny wietnamskiej. To znaczy, że każdy z nich zabił

swoją porcję Azjatów — „żółtków”, jak się o nich wyrażali — zanim się stoczył i stał się ulicznym pijakiem. W towarzystwie nazywało się ich teraz „ludźmi bezdomnymi”, co brzmiało rzeczywiście bardziej godnie niż „lumpy” — Killgore pamiętał jak przez mgłę, że takim określeniem posługiwała się jego matka. Nie byli najlepszymi egzemplarzami homo sapiens. W

ramach Projektu zdołano jednak trochę ich zmienić. Wszyscy regularnie się teraz kąpali, mieli czyste ubrania i oglądali telewizję. Niektórzy sięgali nawet czasem po książkę; Killgore uważał, że organizowanie im biblioteki, chociaż nie kosztowało wiele, było oburzająco bezsensownym marnowaniem czasu i pieniędzy. Pili wszyscy, więc żaden nie był w pełni przytomny dłużej niż sześć godzin na dobę. Valium dodatkowo ich uspokajało, więc rzadko dochodziło do awantur, które wymagałyby interwencji. W sąsiednim pokoju cały czas czuwało dwóch strażników, którzy również obserwowali tę grupę. Ukryte w suficie mikrofony umożliwiały słuchanie bełkotliwych rozmów. Jeden z tych dziesięciu był czymś w rodzaju autorytetu w sprawach baseballu i cały czas opowiadał o Mantle'u i Marisie każdemu, kto zechciał słuchać. Mówili też o seksie, wystarczająco dużo, by Killgore zaczął się zastanawiać nad złapaniem kilku „bezdomnych” płci żeńskiej na potrzeby eksperymentu. Postanowił powiedzieć o tym Barbarze Archer. W końcu musieli przecież ustalić, czy płeć ma jakieś znaczenie dla ich doświadczenia. Pomyślał, że Barbara będzie się musiała na to zgodzić i że nie będzie mowy o żadnej „siostrzanej”

solidarności. To w ogóle nie wchodziło w grę, nawet w wypadku tej wojującej feministki, która wraz z nim prowadziła eksperyment. Jej ideologia była ponad to. Killgore odwrócił się, słysząc pukanie do drzwi.

— Dzień dobry, doktorze. — To był Benny, jeden ze strażników.

— Cześć, jak leci?

— Zасыpiają — odpowiedział Benjamin Farmer. — Te dzieciaki bardzo grzecznie się zachowują.

— Tak, rzeczywiście. — To było takie proste. Większość z nich trzeba było trochę popchnąć, żeby codziennie po południu wyszli na godzinę na podwórko, pospacerować. Ale należało utrzymywać ich w formie, to znaczy zapewnić jakieś ćwiczenia odpowiadające ich codzienności na Manhattanie, gdzie włóczyli się w pijanym widzie po brudnych ulicach.

— Jasna cholera, doktorze, nigdy bym nie pomyślał, że można tyle chlać! Musiałem dziś przynieść nową skrzynkę bourbona Grand-Dad, a teraz zostały już tylko dwie butelki.

— To ich ulubiony trunek? — spytał Killgore, nie przywiązując zresztą do tego większej wagi.

— Chyba tak, sir. Mnie najbardziej smakuje Jack Daniel's, ale piję najwyżej dwie szklaneczki wieczorem, a i to tylko w poniedziałki, kiedy w telewizji są dobre mecze futbolowe.

Piję mniej wody niż ci faceci bourbona. — Benny, były żołnierz piechoty morskiej, który miał

dziś nocną służbę, zachichotał rozbawiony. Dobry człowiek z tego Farmera. W schronisku, prowadzonym przez firmę, troskliwie opiekował się poranionymi zwierzętami. To właśnie on zaczął nazywać „dzieciakami” bezdomnych uczestniczących w eksperymencie. Określenie przyjęło się najpierw wśród strażników, a potem wśród reszty personelu. Killgore uśmiechnął się.

Jakoś trzeba ich było nazywać, a określenie „króliki doświadczalne” nie brzmiało dostatecznie godnie. W końcu były to istoty ludzkie, w pewnym sensie, a więc bardzo wartościowe z uwagi na charakter eksperymentu. Spojrzał na monitor. Jeden z nich, Obiekt M6, nalał sobie drinka, wrócił

do łóżka i usiłował oglądać telewizję, ale zaraz zasnął. Killgore zastanawiał się, o czym ten biedny sukinsyn może śnić. Niektórzy mówili głośno przez sen. Może zainteresowałoby to psychiatrę albo kogoś, kto prowadzi badania nad snem. Wszyscy chrapali, do tego stopnia, że kiedy się już pospali, z sali dochodziły dźwięki przypominające hałas w tartaku.

Killgore spojrział na swoje papiery. Jeszcze dziesięć minut i będzie mógł pójść do domu.

Za późno, żeby ułożyć dzieci do snu. Szkoda. No, ale pewnego dnia, kiedy się obudzą, będzie już na nie czekać nie tylko nowy dzień, ale i nowy świat. Czyż to nie będzie dla nich cudownym upominkiem, nawet jeśli trzeba za niego zapłacić monstrualną cenę? Killgore pomyślał, że i jemu przydałby się drink.

— Przyszłość nigdy nie rysowała się w jaśniejszych barwach — powiedział John Brightling swojej publiczności, zachowując się jeszcze bardziej ujmująco niż zwykle, na co miały wpływ dwa kieliszki świętego kalifornijskiego chardonnay. — Biologia przekracza granice, których istnienia nie podejrzewaliśmy jeszcze piętnaście lat temu. Sto lat badań podstawowych zaczyna przynosić owoce, nawet w tej chwili, kiedy tu rozmawiamy.

Kontynuujemy dzieło Pasteura, Ehrlicha, Salka, Sabina i tak wielu innych. Możemy dziś wybiegać wzrokiem tak daleko w przyszłość, ponieważ stoimy na ramionach gigantów.

— Cóż — kontynuował John Brightling — wspinaczka jest trudna, ale widać już szczyt i zdobędziemy go w ciągu najbliższych kilku lat.

— Ładnie mówi — zauważyła Liz Murray, odwracając się do swego męża.

— Bardzo — szepnął w odpowiedzi Dan Murray, dyrektor FBI. — Inteligentny też jest.

Jimmy Hicks mówi, że ten facet nie ma sobie równych na świecie.

— Co on właściwie chce osiągnąć?

— Chce tylko zostać Bogiem, sądząc po tym, co mówił parę minut temu.

— Będzie musiał zapuścić brodę.

Dyrektor Murray z trudem powstrzymał wybuch śmiechu; uratowało go wibrowanie telefonu komórkowego. Dyskretnie wstał i przeszedł do wielkiego marmurowego holu. Otworzył

telefon i czekał pięć sekund, zanim układ kodujący zsynchronizował się ze stacją, z której do niego telefonowano. Znaczyło to, że dzwonią z centrali FBI.

— Murray.

— Dyrektorze, tu Gordon Sinclair z Ośrodka Obserwacyjnego. Szwajcarzy nie zdołali dotąd zidentyfikować dwóch pozostałych terrorystów. Wysłali odciski palców do BKA. — Nie na wiele się to zda, jeśli tamtym nigdy nie pobrano odcisków palców. Zidentyfikowanie tych dwóch koleżków Modela może trochę potrwać.

— Żadnych innych ofiar podczas akcji?

— Nie, sir, tylko tamtych czterech. Wszystkich zakładników bezpiecznie ewakuowano.

Powinni już być w domu. Aha, Tim Noonan brał udział w tej operacji, zajmuje się elektroniką na potrzeby jednego z ich zespołów.

— A więc Tęcza sprawdziła się, co?

— Tym razem tak, dyrektorze — ocenił Sinclair.

— Dopilnuj, żeby przysłali nam dokładny opis całej operacji.

— Tak jest, wysłałem już do nich w tej sprawie pismo pocztą internetową. — Mniej niż trzydziestu ludzi w Biurze wiedziało o Tęczy, ale z pewnością wielu zacznie się czegoś domyślać. Zwłaszcza ludzie z Zespołu Odbijania Zakładników, którzy zauważyli, że Tim Noonan, agent FBI, podobnie jak

jego ojciec i dziadek, jakby zniknął z powierzchni ziemi. — Jak tam kolacja?

— Wolałbym hamburgera. Więcej w nim podstawowych artykułów spożywczych. Coś jeszcze?

— Billy Betz mówi, że ta sprawa w Nowym Orleanie jest bliska finału. Jeszcze trzy, może cztery dni. Poza tym, nic ważnego się nie dzieje.

— Dzięki, Gordy. — Murray wcisnął guzik z czerwoną słuchawką na swym telefonie i schował aparat, po czym wrócił na salę, machnąwszy po drodze ręką swoim dwóm ochroniarzom. Trzydzieści sekund później opadł na krzesło. Kabura z pistoletem *Smith & Wesson* stuknęła o drewno, ale niezbyt głośno.

— Coś ważnego? — spytała Liz.

Pokręcił głową. — Rutyna.

Towarzystwo zaczęło się rozchodzić niecałe czterdzieści minut po tym, jak Brightling skończył przemówienie i odebrał swą nagrodę. Nadal otoczony przez grupkę wielbicieli, przesuwiał się w stronę drzwi, za którymi czekał na niego samochód. Od Białego Domu do hotelu

„Hay Adams” było tylko pięć minut drogi, przez park Lafayette. Wynajmował tam narożny apartament na najwyższym piętrze. Służba hotelowa zadbała o pozostawienie koło łóżka butelki białego wina w kubku z lodem — to dobrze, bo jego towarzyszka przyjechała z nim do hotelu.

Jakież to smutne, pomyślał doktor Brightling, otwierając butelkę. Będzie mu tego brakować, naprawdę brakować. Ale zdecydował się już dawno temu, nawet nie mając wtedy pewności, że to, co zaplanował, naprawdę może się udać. Teraz sądził, że powinno się udać i wiedział, że ostatecznie zyska znacznie więcej niż straci. A teraz dostanę coś innego, coś bardzo ładnego, pomyślał, patrząc na bladą karnację i fantastyczne kształty Jessiki.

Z doktor Carol Brightling było inaczej. Mimo że pracowała w Białym Domu, do swego mieszkania na Wisconsin Avenue w Georgetown pojechała własnym samochodem i bez ochroniarza. W domu czekał na nią tylko cętkowany kot imieniem Jiggs, który przynajmniej podszedł do drzwi, żeby ją powitać, pomrukując z zadowolenia. Poszedł za nią do sypialni i patrzył swym kocim wzrokiem, jak jego pani się przebiera. Wiedział, czego może się spodziewać. Ubrana tylko w kusy szlafrok, Carol Brightling poszła do kuchni, otworzyła szafkę, wyjęła kocie przysmaki i podała je Jiggsowi z ręki. Potem naląła sobie szklankę wody z butelki, którą trzymała w lodówce i popiła nią dwie aspiryny. To wszystko było jej pomysłem. Wiedziała o tym aż za dobrze. Ale choć minęło już tyle lat, nadal było jej z tym równie ciężko jak na początku. Jej wyrzeczenia były o wiele większe. Zdobyła posadę, na której jej tak zależało; obrót spraw trochę ją zaskoczył, ale miała biuro we właściwym budynku i uczestniczyła teraz w kształtowaniu polityki w dziedzinach, które były dla niej ważne. Ważna polityka, ważne sprawy.

Warto było?

Tak! Musiała tak myśleć i naprawdę w to wierzyła, ale przychodziło jej za to płacić ogromną cenę.

Schyliła się, wzięła na ręce Jiggsa i przytuliła go jak dziecko, którego nigdy nie miała. Poszła z powrotem do sypialni, którą dzieliła tylko z kotem. Cóż, kot był wierniejszy niż jakikolwiek mężczyzna. Przekonała się o tym z biegiem lat. Kilka sekund później szlafrok leżał

na krześle koło łóżka, a ona pod kołdrą. Jiggs ułożył się na kołdrze, między jej nogami. Miała nadzieję, że tej nocy sen przyjdzie szybciej niż zwykle. Wiedziała jednak, że będzie inaczej, że nie przestanie myśleć o tym, co działo się w innym łóżku, kilka kilometrów dalej.

# Konsekwencje

Codzienny trening rozpoczął się o 6.30 i zakończył ośmiokilometrowym biegiem, na który przewidziano dokładnie czterdzieści minut. Tego ranka pokonali ten dystans w trzydzieści osiem minut i Chavez zastanawiał się, czy to udana akcja przydała elastyczności krokom jego samego i jego ludzi. A jeśli tak, to czy to dobrze, czy źle? Człowiek nie powinien czuć się dobrze, zabijając innych ludzi. Cóż za głęboka myśl w ten mglisty angielski poranek.

Pod koniec biegu wszyscy byli solidnie spoceni; każdemu przyda się gorący prysznic.

Higiena osobista była dla jego ludzi trochę bardziej skomplikowana niż dla zwykłych żołnierzy.

Prawie wszyscy mieli dłuższe włosy, niż dopuszczały to regulaminy w armiach ich krajów.

Chodziło o to, żeby można ich było wziąć za biznesmenów, kiedy, w marynarkach i pod krawatem, wsiadali do liniowych samolotów i zajmowali miejsca w pierwszej klasie. Ding miał

najkrótsze włosy z nich wszystkich; w CIA starał się zachować taką samą fryzurę jak w czasie, kiedy był sierżantem. Potrzeba było jeszcze co najmniej miesiąca, żeby jego włosy odzyskały

„cywilną” długość. Mruknął coś pod nosem i wyszedł spod prysznica. Jako dowódca Drugiego Zespołu miał do dyspozycji osobną łazienkę i teraz, nie śpiesząc się, oglądał w lustrze swe ciało, z którego zawsze był bardzo dumny. Tak, trening, który solidnie dał mu w kość w pierwszym tygodniu, opłacił się sownie. Nie był o wiele cięższy niż u Rangersów w Fort Benning, a przecież Domingo miał wtedy, ile? Dwadzieścia jeden lat, zaledwie kapral i był jednym z najniższych w swoim plutonie. Trochę mu przeszkadzało, że Patsy, postawna jak jej matka, była od niego o dobry centymetr wyższa. Ale Patsy nosiła wyłącznie buty na płaskim obcasie, więc różnica wzrostu mieściła się w granicach przyzwoitości, a poza tym, z Domingo nikt nie zadzierał. Podobnie jak jego szef, wyglądał na faceta, którego lepiej jest traktować poważnie.

Zwłaszcza dziś rano, pomyślał, wycierając się ręcznikiem. Minionej nocy wykończył faceta tak sprawnie i rutynowo, jakby zapinał sobie rozporek. Pech, panie Guttenach.

Patsy już w domu przebrała się w zielony fartuch. W ramach rotacji była obecnie na ginekologii i dziś rano miała wykonać cesarskie cięcie — no, asystować przy tej operacji.

Odbывała w tutejszym szpitalu coś, co w Ameryce byłoby roczną praktyką podyplomową.

Następnym etapem miała być pediatria, co obojgu wydało się ze wszech miar słuszne. Na Dinga czekały już na stole jajka na bekonie; angielskie jajka wydawały się mieć jaśniejsze żółtka.

Czyżby inaczej karmiło się tu kury?

— Powinieneś trochę inaczej się odżywiać — powiedziała Patsy, nie po raz pierwszy.



Domingo roześmiał się i sięgnął po „Daily Telegraph”. — Kochanie, mam cholesterol sto trzydzieści i puls pięćdziesiąt sześć uderzeń na minutę. Pani doktor, jestem szczupły, sprawny i zabawny!

— A co będzie za dziesięć lat? — spytała Patricia Chavez, lekarz dyplomowany.

— Do tego czasu dziesięć razy gruntownie przebadam się i dostosuję styl życia do wyników tych badań — odparł Domingo Chavez, również absolwent wyższej uczelni (na wydziale stosunków międzynarodowych), smarując grzanekę masłem. Przez ostatnie sześć tygodni przekonał się, że chleb mieli w tym kraju wspaniały. Dlaczego ludzie narzekają na angielską kuchnię? — Do licha, Patsy, spójrz na swojego ojca. Staruszek jest wciąż w świetnej formie. — Chociaż dzisiaj rano nie biegał, a nawet w najlepszej kondycji miał kłopoty z pokonaniem dystansu ośmiu kilometrów w tempie, narzuconym przez Drugi Zespół. Cóż, miał

już sporo ponad pięćdziesiąt lat. Natomiast jeśli chodzi o strzelanie, lata zdawały się go nie imać.

John postarał się, żeby członkowie obu zespołów wiedzieli o tym. W strzelaniu z pistoletu był

jednym z najlepszych, jakich Chavez kiedykolwiek spotkał, a z karabinu wyborowego strzelał

jeszcze lepiej. Na dystansie do 400 metrów osiągał te same wyniki co Weber i Johnston. Mimo garnituru, nikt nie miał wątpliwości, że dowódca Tęczy to facet, z którym lepiej nie zadzierać.

Na pierwszej stronie zobaczył informację o wczorajszym incydencie w Bernie. Ding przeczytał ją pośpiesznie i przekonał się, że większość szczegółów zgadzała się. Aż dziw.

Korespondent „Daily Telegraph” musiał mieć niezłe kontakty z policją — której przypisał

wszystkie zasługi za akcję w banku. Cóż, tak właśnie było trzeba. Tęcza miała pozostać tajemnicą. Ministerstwo Obrony, zapytane, czy SAS udzielił wsparcia szwajcarskiej policji, odmówiło komentarza. Nie było to zbyt przekonujące. Krótkie „nie” brzmiałoby znacznie lepiej, ale gdyby to wypowiedziano, w przyszłości „bez komentarzy” byłoby odbierane jako

„tak”. Czyli, że resort zareagował chyba tak, jak trzeba. Polityka nie należała do sztuk, które udało mu się już opanować, a przynajmniej nie w stopniu umożliwiającym instynktowne reagowanie we właściwy sposób. Dziennikarzy bał się bardziej niż przeciwników z bronią w ręku

— nauczone go, jak sobie radzić z tymi drugimi. Po raz kolejny skrzywił się, pomyślawszy, że CIA ma swojego rzecznika prasowego, podczas gdy w Tęczy nikt nie zawracał tym sobie głowy.

Cóż, w tym biznesie zapewne nie warto było robić sobie reklamy. Mniej więcej w tym samym czasie Patsy założyła zakiet i ruszyła do drzwi. Ding pośpieszył za nią, żeby cmoknąć ją na pożegnanie, patrzył jak żona wsiada do ich samochodu i modlił się, żeby w ruchu lewostronnym radziła sobie lepiej niż on. Za kierownicą wciąż czuł się w Anglii niepewnie i musiał się bez przerwy koncentrować. Najbardziej zwariowane było to, że dźwignia zmiany biegów znajdowała się pośrodku samochodu, to znaczy, że trzeba ją było obsługiwać lewą ręką, podczas gdy pedały były ułożone tak samo, jak w amerykańskich samochodach. Posługując się przy prowadzeniu lewą ręką i prawą stopą, Chavez czuł, że ogarnia go schizofrenia. Najgorsze były rondo, które Brytyjczycy woleli

chyba od normalnych skrzyżowań. Ding wciąż nie mógł się przyzwyczaić, że trzeba na nie wjeżdżać w lewo, a nie w prawo. Głupio byłoby się zabić w ten sposób. Dziesięć minut później, ubrany w polowy mundur, Chavez poszedł do budynku Drugiego Zespołu na następną odprawę po akcji w Bernie.

Popow wsunął książeczkę bankową do kieszeni marynarki. Szwajcarski bankier nawet nie mrugnął na widok walizki pełnej pieniędzy. Jakaś niesamowita maszyna policzyła banknoty —

coś na kształt mechanicznych palców, tasujących talię kart — sprawdzając nawet nominały.

Wszystko razem zajęło czterdzieści pięć minut. Numerem rachunku bankowego był jego dawny numer służbowy z KGB, a w książeczce bankowej znajdowała się wizytówka bankiera z adresem internetowym, pod który należało się załogować, żeby dokonać transferu pieniędzy. Hasło zostało uzgodnione i zapisane w jego aktach w banku. Sprawa nieudanej operacji Modela poprzedniego dnia w ogóle nie pojawiła się jako temat rozmowy. Popow pomyślał, że przeczyta o tym w „International Herald Tribune”, którą kupi na lotnisku.

Używał amerykańskiego paszportu. Firma jego pracodawcy załatwiła mu prawo stałego pobytu, a niedługo miał otrzymać obywatelstwo. Pomyślał, że to zabawne — wciąż miał swój paszport Federacji Rosyjskiej i jeszcze dwa, z czasów poprzedniej kariery, oczywiście, na inne nazwiska, ale z tą samą fotografią i w razie potrzeby mógł się nimi posłużyć. Tamte paszporty miał w walizce, ukryte w schowku, który mógłby odnaleźć tylko bardzo dociekliwy celnik, a i to tylko pod warunkiem, że uprzedzono by go, iż z tym konkretnym przybyszem coś jest nie w porządku.

Na dwie godziny przed odlotem oddał wynajęty samochód i pojechał na lotnisko autobusem. Poddał się procedurze odprawy, po czym ruszył do poczekalni pierwszej klasy na kawę i croissanty.

Bill Henriksen łaknął wiadomości jak kania dżdżu, był wręcz od nich uzależniony.

Zawsze wstawał wcześniej i natychmiast włączał telewizor. Zaczynał od CNN, ale często przełączał się także na Fox News, zaliczając codzienną porcję pedałowania na rowerze treningowym, przed którym miał jeszcze rozłożoną gazetę. W „The New York Times” relacja z Berna znalazła się na pierwszej stronie, Fox też umieścił ją na pierwszym miejscu. Dziwne, że w CNN, choć mówiono o tym incydencie, nie pokazano zbyt wielu materiałów filmowych. Fox miał ich znacznie więcej, korzystając z nagrań telewizji szwajcarskiej, więc Henriksen mógł

sobie obejrzeć to zajście. Czysta robota, pomyślał. Granaty obezwładniające przed drzwiami frontowe — kiedy wybuchły, kamerzysta podskoczył i przez chwilę miał obiektyw skierowany trochę w bok, ale to normalne, kiedy jest się tak blisko eksplozji — a zaraz potem do banku wpadli uzbrojeni ludzie. Nie było słycać odgłosu strzałów: używali broni z tłumikami. W ciągu pięciu sekund było po wszystkim. A więc Szwajcarzy mieli odpowiednio wyszkolony oddział

antyterrorystyczny. W zasadzie nie było to dla niego zaskoczeniem, ale dotychczas o tym nie wiedział. Kilka minut później jeden z tych facetów wyszedł na zewnątrz i zapalił fajkę. Ma styl,

prawdopodobnie dowódca, pomyślał Henriksen, sprawdzając dystans, jaki pokonał już na rowerze treningowym. Ubrani byli tak, jak zwykle w takich wypadkach: czarne kombinezony i kamizelki kuloodporne z kewlaru. Po mniej więcej minucie umundurowani policjanci wbiegli do środka po zakładników. Tak, poszło naprawdę gładko. Nie ulegało kwestii, że ci złodzieje, czy też terroryści — z materiału telewizyjnego nie wynikało jednoznacznie, czy na bank napadli pospolici przestępcy, czy faceci z jakimiś motywami politycznymi — nie byli zbyt sprytni. Cóż, nikt nie twierdził, że byli. Następnym razem będą musieli wybrać lepszych, jeśli chcą, żeby im się udało. Nie miał wątpliwości, że za parę minut zadzwoni telefon i zaproszą go na komentarz do telewizji. Trochę to kłopotliwe, ale potrzebne.

Zadzwonili, kiedy był pod prysznicem. Już dawno temu zainstalował sobie aparat telefoniczny przy drzwiach łazienki.

— Tak?

— Pan Henriksen?

— Tak, kto mówi? — Nie znał tego głosu.

— Bob Smith z Fox News w Nowym Jorku. Oglądał pan relacje telewizyjne z tego, co się wydarzyło w Szwajcarii?

— Tak, przed chwilą dawała to wasza sieć.

— Mógłby pan wpaść do nas z komentarzem?

— O której? — spytał Henriksen, znając odpowiedź i wiedząc, że się zgodzi.

— Zaraz po ósmej, gdyby pan mógł.

Spojrzał nawet na zegarek. Był to odruchowy, niepotrzebny gest, którego nikt nie widział.

— Mogę. Ile czasu dacie mi tym razem?

— Chyba jakieś cztery minuty.

— W porządku, będę u was mniej więcej za godzinę.

— Dziękuję panu. Strażnicy będą powiadomieni o pana przybyciu.

— Do zobaczenia za godzinę. — Chłopak musi być nowy, pomyślał Henriksen, skoro nie wie, że jestem ich stałym komentatorem — gdyby było inaczej, to co jego nazwisko robiłoby na liście Fox News — i że strażnicy znają mnie z widzenia. Napił się kawy, zjadł precla i za chwilę jechał już swym Porsche 911 na Manhattan przez most Jerzego Waszyngtona.

Doktor Carol Brightling obudziła się, poklepała Jiggsa po głowie i poszła pod prysznic.

Dziesięć minut później, owinięta ręcznikiem, otworzyła drzwi wejściowe i zabrała poranne gazety. W ekspresie czekały już dwie filiżanki kawy Mountain-Grown Folger's, a w lodówce plastikowy pojemnik pełen pokrojonego melona. Włączyła radio, chcąc posłuchać porannego wydania „Biorąc wszystko pod uwagę”. Zawsze właśnie od tej audycji zaczynała zbieranie informacji, które zwykle zajmowało jej większość dnia. Jej praca w Białym Domu polegała głównie na czytaniu. Dziś miała się spotkać z tym palantem z Departamentu Energetyki, który wciąż uważał, że trzeba konstruować bomby wodorowe — zamierzała doradzić prezydentowi, żeby tego nie robić, ale wiedziała, że najprawdopodobniej nie skorzysta z tej rady, chociaż nie powie jej tego wprost.

Po jaką cholereę ta administracja w ogóle mnie zatrudniła? — zastanawiała się Carol Brightling. Odpowiedź była równie prosta, co oczywista: polityka. Ten prezydent dzielnie próbował unikać takich powikłań przez dwa lata, od kiedy objął urząd. Doktor Brightling była kobietą, podczas gdy w najbliższym otoczeniu prezydenta znajdowali się sami mężczyźni, co wywołało trochę komentarzy w mediach i gdzie indziej, co z kolei wprowadziło w osłupienie prezydenta w jego politycznej naiwności, co ubawiło prasę jeszcze bardziej i dostarczyło jej dalszej amunicji, którą wykorzystwała dość skutecznie. I oto Carol Brightling otrzymała propozycję nominacji i przyjęła ją, wraz z biurem w budynku Old Executive Office, a nie w samym Białym Domu, z sekretarką i asystentem oraz z miejscem parkingowym przy Old Executive Drive dla jej oszczędnej, sześćioletniej Hondy — jedyne japońskie samochodu w całej okolicy, o czym jednak nikt, oczywiście, nie mówił, bo przecież była kobietą, a z polityki waszyngtońskiej zapomniała więcej, niż prezydent kiedykolwiek się nauczy. To niesamowite, pomyślała, ale zaraz uzmysłowiła sobie, że trzeba uważać, bo prezydent jest znany z tego, że uczy się bardzo szybko. Nie jest natomiast dobrym słuchaczem, przynajmniej, jeśli chodzi o nią.

Media nie czyniły mu z tego zarzutu. Wynikał z tego wniosek, że media nie trzymały niczyjej strony. Nie mając własnych przekonań, publikowały po prostu to, co ludzie mówili, więc Carol Brightling musiała rozmawiać — nieoficjalnie, na tematy błahe albo bardzo poważne — z różnymi reporterami. Niektórzy — ci, którzy zajmowali się problematyką ochrony środowiska —

wiedzieli przynajmniej, o czym mówi i w zasadzie można było liczyć na to, że napiszą swoje artykuły we właściwy sposób, chociaż zawsze przytaczali również pseudonaukową argumentację drugiej strony. Tak, być może jest coś w tym, co twierdzicie, ale nauka nie dostarczyła jeszcze niezbitych argumentów, a symulacje komputerowe nie są wystarczająco precyzyjne, żeby uzasadnić tego rodzaju działania, mówiła druga strona. W rezultacie — o czym świadczyły badania opinii publicznej — zainteresowanie ludzi problemami środowiska nie rosło, a może nawet trochę malało. Prezydent z całą pewnością nie był sztandarową postacią ruchu obrońców środowiska, ale uchodziło to draniowi na sucho. Używał Carol Brightling jako politycznego kamuflażu, czy nawet politycznej zasłony dymnej! Oburzało ją to, czy właściwie oburzałoby —

w innych okolicznościach. Ale nie teraz — pomyślała Carol Brightling, doradca prezydenta Stanów Zjednoczonych, zapinając suwak u spódnicy przed włożeniem żakietu. Prezydencki doradca. To oznaczało, że widywała się z nim po kilka razy w tygodniu. To oznaczało, że czytał

jej opracowania i rekomendacje. To oznaczało, że miała dojście do czołowych przedstawicieli

mediów i że mogła swobodnie realizować swój własny program — w granicach rozsądku.

Ale drogo za to płaciła. Zawsze tak było, pomyślała Carol, schylając się w drodze do drzwi, żeby podrapać Jiggsa za uchem. Kot jak zwykle pójdzie swoimi ścieżkami, a większość czasu prawdopodobnie przedrzemie na nasłonecznionym parapecie, czekając, aż jego pani wróci i da mu jeść. Frisky, koci przysmak. Pomyślała, już nie po raz pierwszy, żeby zajrzeć do sklepu zoologicznego i kupić Jiggsowi prawdziwą, żywą mysz, do zabawy i do zjedzenia. Jakież to fascynujące widowisko, drapieżca i ofiara, każde gra swoją rolę... Tak właśnie powinien być urządony świat; tak właśnie był urządony przez niezliczone stulecia, z wyjątkiem dwóch ostatnich. Dopóki człowiek nie zaczął wszystkiego zmieniać, pomyślała, uruchamiając silnik i patrząc na brukowaną ulicę — tu, w szanującym tradycję Georgetown wciąż był to prawdziwy bruk i autentyczne szyny tramwajowe — i budynki z cegły, zajmujące obszar, na którym jeszcze przed niespełną dwustu laty rósł prawdopodobnie piękny las. Jeszcze gorzej było po drugiej stronie rzeki, gdzie tylko Wyspa Theodore'a Roosevelta zachowała się w pierwotnym stanie, a i to nie do końca, bo teraz spokój zakłócał tam ryk silników odrzutowych. Minutę później była już na Ulicy M, skąd skierowała się na Pennsylvania Avenue. Jak zwykle była tu jeszcze przed porannym szczytem komunikacyjnym. Przejechała około dwóch kilometrów tą szeroką, prostą ulicą, po czym skręciła w prawo, na swoje miejsce parkingowe. W zasadzie miejsca nie były tu zarezerwowane, ale każdy miał swoje, a to, na którym ona parkowała samochód, znajdowało się czterdzieści metrów od Wejścia Zachodniego. Jako stały pracownik, nie musiała przechodzić kontroli, do której używano psów. Tajna Służba miała psy belgijskiej rasy Malinois — wyglądały jak owczarki niemieckie, ale sierść miały brązową: mądre i obdarzone fantastycznym węchem.

Czworonogi sprawdzały, czy w samochodach nie ma materiałów wybuchowych. Wydana przez Biały Dom przepustka otwierała wejście na teren obiektu. Ruszyła po schodkach do budynku Old Executive Office i po chwili była już w swoim biurze. Była to ciasna klitka, ale i tak przestronniejsza niż pomieszczenia, jakie musiały wystarczyć jej sekretarce i asystentowi. Na biurku czekał na nią „Ranny Ptaszek” z wycinkami z różnych gazet, uznanymi za ważne dla tych, którzy pracowali w tym budynku, a także najnowsze numery prasy fachowej: „Science Weekly”,

„Science” i „Scientific American” oraz kilka pism medycznych. Pisma zajmujące się problematyką środowiska naturalnego miały nadejść za dwa dni. Nie zdążyła nawet usiąść, kiedy sekretarka, Margot Evans, weszła z tajnymi aktami, dotyczącymi założeń polityki Białego Domu w sprawie broni jądrowej. Carol musiała to przejrzeć, zanim udzieli prezydentowi rady, którą on i tak odrzuci. Denerwujące było, oczywiście, to, że musiała przygotować opracowanie, które prezydent odrzuci bez namysłu. Ale przecież nie mogła dać mu pretekstu do przyjęcia, oczywiście z wyrazami ubolewania na użytek opinii publicznej i tak dalej, jej rezygnacji. Na tym szczeblu rzadko się zdarzało, żeby ktoś z własnej inicjatywy prosił o dymisję, a miejscowe media potrafiły czytać między wierszami i zwykle świetnie wiedziały, o co chodzi. Dlaczego by nie pójść o krok dalej niż zwykle i nie zalecić zamknięcia tego paskudnego reaktora w Hanford? Był

to jedyny reaktor amerykański tego samego typu, co reaktor w Czernobylu. Został

zaprojektowany nie tyle jako reaktor energetyczny, co jako urządzenie do produkcji plutonu —

$^{239}\text{Pu}$  — na broń atomową, najstraszliwszy z gadżetów, jakie kiedykolwiek wymyślili rozmiłowani w wojnie mężczyźni. W Hanford znów wystąpiły problemy, pojawiły się nowe wycieki z pierwotnego obiegu. Wykryto je, zanim skażone zostały wody gruntowe, ale zagrożenie dla środowiska nie znikło, a jego usunięcie będzie kosztowne. Chemikalia w tych zbiornikach były potwornie korozyjne, a także śmiertelnie trujące, na dodatek radioaktywne... a prezydent i w tym wypadku nie posłucha dobrej rady.

Jej obiekcje wobec Hanford miały wszelkie podstawy naukowe i nawet Red Lowell był zaniepokojony sytuacją, ale on chciał, żeby zbudować nowe Hanford! Nawet ten prezydent nie poparłby czegoś takiego!

Trochę pocieszona tą myślą, doktor Brightling naląła sobie filiżankę kawy i zaczęła czytać „Rannego Ptaszka”, cały czas zastanawiając się nad swą z góry skazaną na porażkę rekomendacją dla prezydenta.

— A więc, panie Henriksen, kim oni byli? — zapytał prezenter porannego programu.

— Właściwie znamy tylko nazwisko przypuszczalnego przywódcy. Ernst Model. Należał

kiedyś do bandy Baader-Meinhoff, niemieckiego ugrupowania terrorystycznego z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Zniknął około dziesięciu lat temu. Ciekawe będzie dowiedzieć się, gdzie się ukrywał.

— Czy mieliście jego teczkę, kiedy pracował pan w Zespole Odbijania Zakładników FBI?

Okraślił uśmiechem zwięzłą odpowiedź. — O, tak. Znam tę twarz, ale teraz pan Model trafi do działu spraw zamkniętych.

— Ale o co tam właściwie chodziło? To był akt terroryzmu czy napad na bank?

— Na podstawie doniesień prasowych nie można na razie odpowiedzieć na to pytanie, ale nie wykluczałbym tak od razu rabunku jako motywu. Ludzie zapominają, że terroryści też muszą jeść, a na to potrzeba pieniędzy. Nie byłby to pierwszy wypadek, kiedy ludzie działający rzekomo z pobudek ideologicznych łamią prawo, żeby zdobyć pieniądze na utrzymanie.

Mieliśmy precedens tu, w Ameryce. Ugrupowanie, które nazwało się Przymierzem, Mieczem i Ramieniem Pana, napadało na banki. W Niemczech grupa Baader-Meinhoff dokonywała porwań, żeby wymuszać okup na firmach i rodzinach swych ofiar.

— Więc dla pana to po prostu przestępcy?

Skinął głową z poważnym wyrazem twarzy. — Terroryzm jest zbrodnią. W FBI to dogmat. I ci czterej, którzy zostali zabici wczoraj w Szwajcarii, byli przestępcami. Mieli pecha.

Najwyraźniej policja szwajcarska zorganizowała i wyszkoliła świetną, profesjonalną grupę do zadań specjalnych.

— Jak oceniliby pan ich akcję?

— Spisali się całkiem dobrze. W tym, co pokazała telewizja nie dopatrzyłem się żadnych błędów. Wszyscy zakładnicy zostali uratowani, a wszyscy przestępcy zginęli. To bardzo dobry rezultat w sytuacji takiej, jak ta. Teoretycznie rzecz biorąc, chciałoby się, żeby przestępcy zostali ujęci żywcem, jeśli to możliwe, ale nie zawsze jest to możliwe. Życie zakładników ma w takich wypadkach absolutny priorytet.

— A terroryści, czy nie mają żadnych praw?

— W zasadzie tak, mają takie same prawa, jak inni przestępcy. Również w FBI uczymy tego i rzeczywiście najlepiej byłoby aresztować ich, postawić przed sądem i skazać, ale proszę pamiętać, że zakładnicy są niewinnymi ofiarami, a przestępcy zagrażają ich życiu. Dlatego też próbuje się dać przestępcom szansę poddania się, ba, próbuje się ich rozbroić, jeśli jest taka szansa.

— Jednak bardzo często nie można sobie pozwolić na taki luksus — ciągnął Henriksen.

— Na podstawie tego, co widziałem w telewizji mogę powiedzieć, że oddział policji szwajcarskiej postępował tak samo, jak nas uczono tego w Quantico. Zabijać tylko, jeśli jest to konieczne, ale nie wahać się przed tym w razie konieczności.

— Ale kto decyduje, czy to konieczne?

— Dowódca podejmuje taką decyzję na miejscu, na podstawie swej wiedzy, doświadczenia i możliwości.

A potem, tego już Henriksen nie powiedział, tacy ludzie jak ty przez parę tygodni zajmują się poddawaniem jego decyzji w wątpliwość.

— Pańska firma zajmuje się szkoleniem sił policyjnych w zakresie operacji specjalnych, prawda?

— Zgadza się. Zatrudniamy wielu weteranów z ZOZ FBI, z oddziału Delta i innych

„specjalnych” organizacji. Tę operację w Szwajcarii moglibyśmy wykorzystać jako podręcznikowy przykład, jak się to powinno robić — powiedział Henriksen, ponieważ jego korporacja miała charakter międzynarodowy, szkolili także zagraniczne siły policyjne i prawienie komplementów Szwajcarom w żadnym wypadku nie mogło mu zaszkodzić w biznesie.

— Panie Henriksen, dziękujemy panu, że zechciał pan wystąpić dziś rano w naszym programie. Ekspert do spraw terroryzmu międzynarodowego William Henriksen, szef Global Security Inc, międzynarodowej firmy konsultingowej. Jest godzina ósma dwadzieścia cztery. —

W studiu Henriksen zachował poważny, profesjonalny wyraz twarzy jeszcze przez pięć sekund od chwili, kiedy nad najbliższą kamerą zgasło światło. Wiedział, że w centrali jego firmy nagrano ten wywiad, żeby dołożyć go do ogromnej dokumentacji. Global Security była znana prawie na całym świecie, a jej reklamowa kasetka wideo zawierała fragmenty wielu takich wywiadów. Szef zmiany w studio wyprowadził go z planu na zaplecze, gdzie Henriksenowi usunięto puder z twarzy. Z budynku

na parking Henriksen wyszedł już sam.

Poszło całkiem dobrze. Trzeba się będzie dowiedzieć, kto szkolił tych Szwajcarów.

Zanotował w myślach, żeby powierzyć to zadanie jednemu z ludzi, z którymi właśnie po to utrzymywał kontakty. Jeśli to firma prywatna, to była poważną konkurencją. Przypuszczał

jednak, że to raczej armia szwajcarska — pewnie nawet cała jednostka przebrana za policjantów

— prawdopodobnie wspomagana w sprawach technicznych przez niemiecką GSG-9. Kilka telefonów powinno wystarczyć, żeby to ustalić.

Samolot Popowa, czterosilnikowy *Airbus A-340*, wylądował na lotnisku J. F.

Kennedy'ego. Szwajcarom można zaufać — zawsze wszystko zrobią na czas. Przyszło mu do głowy, że podczas akcji poprzedniej nocy tamten zespół policyjny miał pewnie plan działania rozpisany co do minuty. Jego miejsce w pierwszej klasie znajdowało się w pobliżu wyjścia, dzięki czemu wyszedł z samolotu jako trzeci pasażer. Odebrał swój bagaż i poszedł na tę piekielną kontrolę celną. Przekonał się już dawno, że cudzoziemcom najtrudniej ze wszystkich krajów jest się dostać do Ameryki. Tym razem jednak bagażu miał bardzo mało, skorzystał z przejścia dla podróżnych nie mających nic do zgłoszenia i cała procedura okazała się dość prosta.

Celnicy okazali się na tyle uprzejmi, że dali mu tylko znać, by przechodził. Po chwili był już na postoju taksówek, skąd pakistański kierowca zgodził się — za tradycyjnie astronomiczną sumę

— zabrać go do miasta. Popow zastanawiał się, czy przypadkiem taksówkarze nie mają jakiegoś układu z celnikami. Ale przecież był teraz w podróży służbowej — musiał tylko pamiętać, żeby wziąć rachunek — a poza tym tego dnia mógł sobie pozwalać na takie wygody, nawet bez rachunków. Uśmiechnął się, spoglądając na przesuwaną się za oknem osiedla. Im bliżej Manhattanu, tym bardziej zwarta stawała się zabudowa.

Wysiadł z taksówki przed domem, w którym mieszkał za darmo — za apartament płacił

jego pracodawca, co oznaczało, że mógł to sobie odpisać od podatków. Popow powoli zaczynał

poznawać tajniki amerykańskich przepisów podatkowych. Parę minut zajęło mu wrzucenie brudnej bielizny do kosza i rozwieszenie ubrań w szafie. Kiedy się z tym uporał, zszedł po schodach i poprosił portiera o przywołanie taksówki. Po piętnastu minutach był w biurze.

— No i jak poszło? — zapytał szef. W biurze słychać było jakiś dziwny szum, mający zapobiegać podsłuchowi, który mogłaby założyć konkurencja. Szpiegostwo przemysłowe było ważnym czynnikiem w działalności firmy tego człowieka, a środki obronne, jakie zastosował, były co najmniej równie skuteczne, jak te, którymi posługiwano się w KGB. Popow sądził

kiedyś, że służby bezpieczeństwa mają do dyspozycji wszystko, co najlepsze. Z pewnością nie odpowiadało to prawdzie w Ameryce.



— Poszło prawie dokładnie tak, jak oczekiwałem. To byli głupcy, bardziej amatorzy niż profesjonaliści, mimo tych wszystkich szkoleń, jakie organizowaliśmy dla nich w latach osiemdziesiątych. Powiedziałem im, że mogą sobie obrabować ten bank, żeby zakamuflować faktyczny cel całej operacji...

— A co było tym celem?

— Dać się zabić — odpowiedział natychmiast Dmitrij Arkadijewicz.

— Tak przynajmniej odczytałem pańskie intencje, sir. — Reakcją na te słowa był

uśmiech z gatunku tych, do których Popow nie był przyzwyczajony. Czy celem „operacji” było podważenie wiarygodności banku? Nie wydawało się to zbyt prawdopodobne. Zdawał sobie sprawę, że nie musi wiedzieć, po co robił to, co robił, ale jego wrodzona ciekawość została rozbudzona. Ten człowiek traktował go jak najemnika i choć Popow wiedział, że właśnie najemnikiem stał się po odejściu z KGB, czuł się trochę dotknięty jako profesjonalista. — Czy będzie pan jeszcze potrzebował tego rodzaju usług?

— Co się stało z pieniędzmi? — zapytał szef.

Popow przybrał skruszony wyraz twarzy. — Jestem pewien, że Szwajcarzy będą wiedzieli, co z nimi zrobić. — Jego bankier wiedział to na pewno. — Chyba nie oczekiwał pan, że je odzyskam?

Szef pokręcił głową. — Raczej nie, a poza tym to i tak była bagatelna suma.

Popow pokiwał głową ze zrozumieniem. Bagatelna suma? Żadnemu pracującemu dla Rosjan agentowi nigdy nie zapłacono tyle za jednym razem. KGB zawsze miał węża w kieszeni, bez względu na wagę informacji, za jakie płacił, i nigdy nie wydawał gotówki, nawet najmniejszych sum, lekką ręką. Trzeba się było rozliczać z każdego rubla, bo w przeciwnym wypadku liczykropy spod numeru drugiego przy placu Dzierżyńskiego robiły piekło oficerowi, który nie dość pilnie kontrolował finansową stronę swych operacji. Popow zastanawiał się, jak jego pracodawca pierze taką gotówkę. Tu, w Ameryce, jeśli wpłaciło się lub podjęło choćby tylko dziesięć tysięcy dolarów gotówką, bank musiał to odnotować w aktach. Miało to utrudniać życie handlarzom narkotyków, ale ci mieli swoje sposoby, żeby sobie z tym poradzić. Czy w innych krajach obowiązywały podobne przepisy? Popow nie wiedział. Był pewien, że nie obowiązywały w Szwajcarii, ale przecież w końcu te wszystkie banknoty w skarbcu banku skądś się wzięły. Jego szef potrafił sobie z tym poradzić. Ernst Model był pewnie amatorem, ale ten człowiek na pewno nie. Trzeba o tym pamiętać, zapisał sobie w myślach były szpieg wielkimi, czerwonymi literami.

Chwila ciszy, a potem: — Będzie potrzebna następna taka operacja.

— Jaka dokładnie? — spytał Popow i zaraz otrzymał odpowiedź. — Aha. — Skinął

głową. Tamten użył nawet prawidłowego określenia „operacja”. Jakie to dziwne. Dmitrij zastanawiał się, czy rozsądne byłoby sprawdzenie swego pracodawcy, dowiedzenie się o nim czegoś więcej. W końcu tamten miał go teraz w rękę, mógł decydować o jego życiu lub śmierci.

Działało to, oczywiście, także w drugą stronę, ale w tej chwili Popowowi było to akurat obojętne.

Trudno byłoby go sprawdzić? Dla kogoś, kto dysponuje komputerem i modemem, nie przedstawiało to już najmniejszych trudności — jeśli miało się czas. Tymczasem było jasne, że w swoim mieszkaniu spędzi jeszcze tylko jedną noc, po czym znów wyruszy za granicę. Cóż, jest prosty sposób, żeby się odprężyć po trudach lotniczej podróży.

Przypominają roboty, pomyślał Chavez, wyglądając zza wygenerowanego przez komputer węgła. Zakładnicy też, ale w tym wypadku zakładnikami były wygenerowane przez komputer dzieci, same dziewczynki w pasiastych, czerwono-białych sukienkach. Było jasne, że ci, którzy określali parametry tego programu, nazwanego SWAT 6.3.2, zatroszczyli się o efekt psychologiczny. Jakaś firma z siedzibą w Kalifornii opracowała pierwszą wersję tego programu dla oddziału Delta w ramach nadzorowanego przez RAND Corporation kontraktu z Departamentem Obrony.

Była to kosztowna nowość, głównie za sprawą kombinezonu z elektronicznymi czujnikami, który Chavez miał w tej chwili na sobie. Ubiór ważył tyle samo, co jego zwykły czarny kombinezon — miał w tym celu wszyte ołowiane ciężarki — i aż po rękawice wypełniony był miedzianymi przewodami i czujnikami, które dokładnie informowały komputer — Craya Y-MP — co robi w danym momencie ciało Dinga. Z kolei generowane przez komputer obrazy były kierowane do gogli, które Chavez miał na oczach. Doktor Bellow odgrywał w tej komputerowej sytuacji rolę przywódcy terrorystów, a także doradcy Zespołu Odbijania Zakładników. Ding odwrócił głowę i zobaczył tuż za sobą Eddie'ego Price'a, a po drugiej stronie, za drugim rogiem, Hanka Pattersona i Steve'a Lincolna — sylwetki robotów, z numerami, żeby mógł je rozróżniać.

Chavez trzy razy uniósł prawą rękę, sygnalizując, żeby użyli granatów obezwładniających, a potem jeszcze raz wyjrzał zza węgła...

...ze swojego krzesła Clark zobaczył czarną smugę, która pojawiła się w białym narożniku i nacisnął siódemkę na klawiaturze swojego komputera...

...przestępca numer 4 skierował broń w stronę gromadki dziewcząt...

— Teraz, Steve! — rozkazał Chavez.

Lincoln wyciągnął zawleczkę z granatu obezwładniającego. Ładunek wybuchowy miał za zadanie spowodować huk, a magnezja — jaskrawy błysk. Całość — w tym wypadku symulowana przez program komputerowy — została zaprojektowana tak, żeby oślepić i zdeorientować. Huk był tak głośny, że naruszał błędnik w uchu wewnętrznym, a tym samym pozbawiał zmysłu równowagi. Ten huk, choć nie aż tak głośny, rozległ się teraz w słuchawkach, a w elektronicznych goglach rozblęsnęło jaskrawobiałe światło. Wystarczyło, żeby wszyscy podskoczyli.

Huk jeszcze nie przebrzmiał, kiedy Chavez wpadł do pomieszczenia z uniesioną bronią, koncentrując się na terroryście numer 1, który — jak przypuszczał — był przywódcą nieprzyjacielskiej grupy. Tutaj w programie był błąd, pomyślał Chavez. Europejczycy z jego zespołu strzelali inaczej niż Amerykanie. Zanim ściągnęli spust, wysuwali swoje *H&K* do przodu, na ile pozwalał na to pas, na którym broń mieli przewieszoną przez szyję. Natomiast Chavez i Amerykanie przyciskali broń do

ramienia. Ding strzelił pierwszą serię, zanim jeszcze upadł na podłogę, ale system komputerowy nie zawsze zaliczał to jako trafienie — co potężnie wkurzało Dinga. Nie chybiał nigdy, o czym przekonał się facet o nazwisku Guttenach, znalazłszy się bez ostrzeżenia przed obliczem Świętego Piotra. Upadłszy, Chavez przeturlał się po podłodze, strzelił ponownie, po czym przesunął lufę *MP-10* w poszukiwaniu innego celu. W słuchawkach rozległ się bardzo głośny huk strzałów (z jakiegoś powodu program SWAT 6.3.2 nie przewidział

korzystania z broni z tłumikiem). Z jego prawej strony Steve Lincoln i Hank Patterson, którzy również byli w tym pomieszczeniu, strzelali do sześciu terrorystów. W uszach dźwięczały mu ich krótkie serie, w goglach miał obraz eksplodujących głów, zmieniających się w czerwone chmury.

Całkiem dobrze...

...ale terrorysta numer 5 ściągnął spust, strzelając nie do ludzi z ZOZ, lecz do zakładników. Dziewczęta padały pod kulami, dopóki co najmniej trzech ludzi z Tęczy nie strzeliło równocześnie do terrorysty...

— Czysto! — krzyknął Chavez, zerwał się i podbiegł do terrorystów. Komputer informował, że jeden z nich dawał jeszcze słabe oznaki życia, chociaż krwawił z głowy. Ding odtrącił nogą jego broń, ale numer 4 właśnie przestał się ruszać.

— Czysto! Czysto! — usłyszał swoich ludzi.

— Ćwiczenia zakończone — dobiegł ze słuchawek głos Clarka. Ding i jego ludzie zdjęli elektroniczne gogle, i rozejrzeli się po pomieszczeniu mniej więcej dwa razy większym od boiska do koszykówki i pustym jak szkolna sala gimnastyczna o północy. Trochę to trwało, zanim oswoili się z tym widokiem. W rzeczywistości wirtualnej mieli przed chwilą do czynienia z terrorystami, którzy zajęli szkołę — szkołę dla dziewcząt, żeby efekt psychologiczny był

silniejszy.

— Ilu zakładników straciliśmy? — spytał Chavez, podnosząc głowę w stronę sufitu.

— Według komputera, sześć dziewczynek zabitych i trzy ranne — odpowiedział Clark, wchodząc do sali.

— Co poszło nie tak? — spytał Ding, podejrzewając, że zna już odpowiedź.

— Zauważyłem cię wyglądającego zza węgła, chłopcze — odpowiedział dowódca Tęczy.

— Zaalarmowałeś terrorystów.

— Cholera — mruknął Chavez. — Ten program nie jest doskonały. W rzeczywistości posłużyłbym się lusterkiem albo zdjąłbym ten kewlarowy hełm, ale program tego zabrania.

Granaty obezwładniające wybuchłyby bez ostrzeżenia.

— Może — przyznał Clark. — Ale stawiamy wam tym razem tylko B minus.

— Piękne dzięki, panie C — mruknął dowódca Drugiego Zespołu z przekąsem. — Może jeszcze powiesz, że strzelaliśmy niecelnie?

— Ty na pewno, zdaniem maszyny.

— Do diabła, John! Ten program nie ma pojęcia, co potrafi dobry strzelec, a ja nie będę uczył moich ludzi strzelać tak, jak się to podoba maszynie!

— Uspokój się, Domingo. Wiem, że potraficie strzelać. Chodźcie ze mną, obejrzymy to sobie jeszcze raz.

— Chavez, dlaczego wchodził pan do środka właśnie wtedy? — spytał Stanley, kiedy już wszyscy usiedli.

— Bo te drzwi są szersze, dzięki czemu zwiększa się pole ostrzału...

— Dla obu stron — zauważył Stanley.

— Na polu bitwy tak już jest — odparował Domingo. — Ale jeśli atakuje się z zaskoczenia, większe pole ostrzału jest korzystne. Umieściłem grupę rezerwową przy tylnych drzwiach, ale konfiguracja budynku uniemożliwiła im udział w ataku. Dzięki Noonanowi wiedzieliśmy, co się dzieje w budynku, gdzie dokładnie są terroryści. Zaatakowaliśmy, kiedy wszyscy byli w sali gimnastycznej...

— To znaczy, kiedy cała uzbrojona szóstka była w tym samym pomieszczeniu, co zakładnicy.

— Lepiej tak, niż gdybyśmy musieli ich szukać. Któryś z nich mógłby rzucić granat zza węgła i pozabijać te lalki. Nie, sir, zastanawiałem się nad wejściem od tyłu albo nad atakiem z dwóch stron, ale nie zdecydowałem się na to, biorąc pod uwagę odległości i czas. Mówi pan, że nie miałem racji?

— W tym wypadku, nie.

Gówno prawda, pomyślał Chavez. — Dobrze, proszę mi pokazać, jak pan by to zrobił.

W sumie była to zarówno kwestia osobistego stylu, jak i prawidłowej oceny sytuacji.

Ding wiedział, że Alistair Stanley miał w tej dziedzinie ogromne doświadczenie. Patrzył więc i słuchał. Spostrzegł, że Clark robi to samo.

— Nie podoba mi się — powiedział Noonan, kiedy Stanley zakończył swą prezentację.

— Wystarczyłoby jakieś proste urządzenie alarmowe na klamce. Taka zabawka kosztuje coś koło dziesięciu dolarów. Można ją kupić na każdym lotnisku w sklepie z upominkami. Ludzie wieszają to na klamkach w pokojach hotelowych jako zabezpieczenie przed nieproszonymi gośćmi. Mieliśmy taki

wypadek w FBI, całą operacja omal nie skończyła się fatalnie, ale na szczęście wybuch granatu obezwładniającego pod oknem skutecznie zagłuszył sygnał alarmowy.

— A co by było, gdyby pańskie kamery nie przekazały nam miejsca pobytu wszystkich terrorystów?

— Ale przekazały, sir — odparł Noonan. — Mieliśmy dość czasu, żeby się dokładnie zorientować. — Podczas symulacji komputerowej czas skrócono dziesięciokrotnie, ale w wypadku ćwiczeń w rzeczywistości wirtualnej było to normalne. — Ten program komputerowy świetnie się nadaje do planowania akcji odbijania zakładników, ale w innych dziedzinach nie jest już taki dobry. Sądzę, że poradziliśmy sobie całkiem nieźle. — To zdanie końcowe obwieszczało zarazem, że Noonan chce być pełnoprawnym członkiem Drugiego Zespołu, a nie tylko specem od techniki, pomyślał Ding. Tim spędzał mnóstwo czasu na strzelnicy i dorównywał teraz w strzelaniu prawie wszystkim członkom zespołu. Cóż, w FBI służył w Zespole Odbijania Zakładników pod dowództwem Gusa Wenera. Z takimi referencjami miał prawo do miejsca w reprezentacji. W końcu Werner był brany pod uwagę jako kandydat na dowódcę Tęczy. Stanley zresztą też.

— W porządku — powiedział Clark. — Obejrzyjmy taśmę na spokojnie.

To była najbardziej nieprzyjemna niespodzianka. Według komputera, terrorysta numer 2, trafiony w głowę, obrócił się z palcem na spuście Kałasznikowa i jeden z jego pocisków przeszedł na wylot przez głowę Chaveza. Ding był martwy. Komputer Cray pokazał, że wirtualny pocisk trafił tuż pod hełmem z kewlaru i przeszedł przez mózg. Chavez był

wstrząśnięty bardziej, niż można się tego było spodziewać. Przypadkowe zdarzenie, wygenerowane przez program komputerowy, miało również zupełnie realny wymiar — w prawdziwym życiu też zdarzają się takie przypadki. Zastanawiali się nad wyposażeniem hełmów w wykonane z lexanu osłony na twarz, które mogły, choć nie musiały, powstrzymać kulę, ale Chavez się sprzeciwił, ponieważ taka osłona zniekształcała obraz, co mogło mieć wpływ na celność strzelania... Może trzeba to będzie jeszcze przemyśleć, powiedział sobie Ding. Konkluzja komputera była prosta: jeśli coś jest możliwe, to może się wydarzyć, a skoro może, to prędzej czy później się wydarzy i ktoś z zespołu będzie musiał powiedzieć czyjejś żonie, że właśnie została wdową. Przez przypadek — pech. Jak to powiedzieć kobiecie, która właśnie straciła męża?

Przyczyna śmierci: pech. Chavez zadrzał na tę myśl. Jak Patsy by to przyjęła? Zaraz się jednak otrząsnął. Prawdopodobieństwo takiego zdarzenia było bardzo małe, mniej więcej takie, jak ryzyko, że zginie się od uderzenia pioruna na polu golfowym albo w katastrofie lotniczej. W

końcu zawsze istnieje jakieś ryzyko; tylko umarłym nic już nie grozi. Czy coś w tym rodzaju.

Odwrócił głowę i spojrzał na Eddie'ego Price'a.

— Ze ślepym losem się nie wygra — zauważył sierżant, wykrzywiając twarz w uśmiechu.

— Ale dostałem tego faceta, który cię zabił, Ding.

— Dzięki, Eddie. Od razu mi się poprawił humor. Może następnym razem strzelisz szybciej?

— Będę o tym pamiętał, sir — obiecał Price.

— Rozchmurz się, Ding — powiedział Stanley, który przysłuchiwał się tej rozmowie. —

Mogło być gorzej. Komputerowa kula jeszcze nikomu nie zrobiła większej krzywdy.

A takie ćwiczenia mają nas czegoś nauczyć, dodał Ding w myślach. Ale czego tym razem? Że istnieje coś takiego jak pech? Trzeba nad tym pomyśleć. W stanie gotowości był teraz Pierwszy Zespół Petera Covingtona. Drugi Zespół znów pójdzie jutro na ćwiczenia i będą próbowali strzelać trochę szybciej. Może się uda. Problem w tym, że osiągnęli już granice tego, co możliwe — no, prawie — i jeśli będą się za bardzo starać, efekty mogą być odwrotne od zamierzonych. Ding poczuł się jak trener jakiejś szczególnie dobrej drużyny futbolowej.

Zawodnicy byli świetni, ciężko pracowali na treningach... ale do ideału jeszcze im odrobinę brakowało. Co jeszcze można było poprawić przez trening, a co wynikało po prostu z faktu, że druga strona też grała po to, żeby wygrać? Ich pierwsza akcja była aż nazbyt łatwa. Model i jego banda, aż się prosili, żeby ich pozabijać. Ale nie zawsze będzie tak łatwo.

# Prawdziwi wierni

Problemem była odporność. Wiedzieli, że wirus był bardzo skuteczny. Ale był też tak delikatny. Zbyt łatwo ginął w zetknięciu z powietrzem. Nie wiedzieli dokładnie, dlaczego tak się dzieje. Mogła to być temperatura albo wilgotność, albo nadmiar tlenu — ten pierwiastek, o tak podstawowym znaczeniu dla wszelkiego życia, był zarazem bezlitosnym zabójcą na poziomie cząsteczkowym. Ta niepewność bardzo ich dręczyła, aż wreszcie jeden z członków zespołu znalazł rozwiązanie problemu. Posłużyła się inżynierią genetyczną, a dokładniej genami komórek rakowych. Użyli materiału genetycznego z komórek raka jelita grubego, jednej z bardziej odpornych odmian, i rezultaty okazały się oszałamiające. Nowy wirus był tylko o jedną trzecią mikrona większy, ale za to o wiele silniejszy. Dowód mieli na monitorze mikroskopu elektronowego. Maleńkie pasemka wystawiono na działanie powietrza i światła na dziesięć godzin, zanim ponownie wprowadzono je do probówki z odżywką i oto laborantka widziała, że są aktywne, wykorzystują swój RNA, żeby się rozmnażać, replikują się, tworząc miliony nowych pasemek, mających tylko jeden cel — pożerać tkankę. W tym wypadku była to tkanka nerek, ale wątroba nadawała się do tego równie dobrze. Laborantka — która ukończyła studia medyczne w Yale — zrobiła odpowiednie notatki, a potem, ponieważ był to jej projekt, zaczęła się zastanawiać, jak go nazwać. Pobłogosławiła w myślach zajęcia z religioznawstwa porównawczego, na które uczęszczała dwadzieścia lat temu. W końcu nie można przecież było nazwać tego byle jak.

Sziwa, pomyślała. Tak, ten najciekawszy, a zarazem najbardziej wewnętrznie skomplikowany z hinduskich bogów, który na przemian niszczy i odradza, który włada trucizną, mającą zniszczyć ludzkość, ten, którego żoną — jedną z żon — jest Kali, sama bogini śmierci.

Sziwa. Pasuje idealnie. Laborantka zrobiła odpowiedni zapis z propozycją nazwy dla tego organizmu. Potrzebny będzie jeszcze jeden test, jeszcze jedna bariera technologiczna do pokonania, zanim wszystko będzie gotowe. Pomyślała, że odpowiednią nazwą dla Projektu byłaby Egzekucja. Tak, egzekucja na wielką skalę.

Na potrzeby swego następnego zadania wzięła próbkę Sziwy, szczelnie zamkniętą w stalowym pojemniku, i poszła długim korytarzem do innego laboratorium, odległego o ponad sto metrów.

— Cześć, Maggie — powitał ją szef tamtego laboratorium. — Masz coś dla mnie?

— Cześć, Steve. — Podała mu pojemnik — To ten.

— Jak go nazwiemy? — Steve wziął pojemnik i postawił go na stole.

— Sądzę, że Sziwa.

— Brzmi złowieszczo — zauważył Steve z uśmiechem.

— Jest złowieszczy — zapewniła go Maggie. Steve też był lekarzem medycyny i doktorem

mikrobiologii, oba stopnie naukowe uzyskał na Duke University. W firmie był

najlepszym specjalistą od szczepionek. Na potrzeby Projektu odciągnięto go od prac nad HIV, które zaczynały zapowiadać się obiecująco.

— Więc geny raka jelita grubego zadziałały tak, jak przewidywałaś?

— Dziesięć godzin na powietrzu, dobra odporność na promieniowanie ultrafioletowe. Nie mam jednak pewności, jak będzie z bezpośrednim światłem słonecznym.

— Wszystko, czego nam potrzeba, to dwie godziny — przypomniał jej Steve. A tak naprawdę, jedna godzina powinna w zupełności wystarczyć, o czym oboje wiedzieli. — Co z aerozolem?

— Jeszcze tego nie wypróbowałam — przyznała — ale nie powinno być problemów. —

Oboje znali prawdę. Wirus powinien bez trudu wytrzymać przejście przez dysze układu rozpylającego. Sprawdzi się to w jednej z wielkich komór, jakie mieli do dyspozycji. Oczywiście lepiej byłoby to zrobić na zewnątrz, ale jeśli Sziwa był tak odporny, jak przypuszczała Maggie, nie można było ryzykować.

— W porządku. Dzięki, Maggie. — Steve odwrócił się i włożył pojemnik do jednej z komór rękawicowych, żeby go otworzyć i zająć się opracowaniem szczepionki. Znaczna część pracy została już wykonana. Pierwotna wersja wirusa była dobrze znana, a po zeszłorocznej panice, wywołanej epidemią Eboli, rząd zaczął finansować prace jego firmy nad szczepionką.

Steve cieszył się opinią jednego z najlepszych specjalistów w dziedzinie wytwarzania, wykrywania i replikowania przeciwciał, ważnych dla systemu immunologicznego człowieka.

Trochę żałował przerwania prac nad HIV. Nie wykluczał, że natknął się na metodę wytwarzania szerokiego spektrum przeciwciał, zwalczających tego żywotnego sukinsyna. Szansę powodzenia oceniał na jakieś dwadzieścia procent, plus dodatkowe korzyści, płynące z wytyczania nowych szlaków w nauce. Coś takiego mogło człowiekowi zapewnić sławę. Może nawet wycieczkę do Sztokholmu za jakieś dziesięć lat? Ale przecież za dziesięć lat to już będzie bez znaczenia, przypomniał sobie naukowiec. Odwrócił się i wyjrzał przez potrójne okno laboratorium. Ładny zachód słońca. Wkrótce pojawią się nocne stwory. Nietoperze będą się uganiać za owadami.

Sowy zaczną polować na myszy i nornice. Koty wyjdą z domów na nocne łowy. Miał gogle noktowizyjne, przez które często przyglądał się zwierzętom, zajmującym się czymś, co wcale tak bardzo nie różniło się od jego zajęcia. Teraz jednak wrócił do pracy. Wysunął klawiaturę swego komputera i zrobił parę zapisków. Wielu ludzi korzystało w takich wypadkach z notatnika, ale reguły Projektu dopuszczały wyłącznie notatki komputerowe, które wszystkie bez wyjątku musiały być zaszyfrowane. Jeśli zasady tej trzymał się Bill Gates, mogli i oni. Najprostsze sposoby nie zawsze okazywały się najlepsze. To tłumaczyło dlaczego był tutaj, uczestnicząc w realizacji projektu, nazwanego właśnie Sziwa.

Potrzebowali uzbrojonych ludzi, ale nie było ich łatwo znaleźć — a przynajmniej nie takich, którzy



by się nadawali, którzy odznaczali się właściwą postawą. Sprawę utrudniały dodatkowo władze, którym przyświecały podobne, choć nie takie same cele. Ale przynajmniej łatwiej było dzięki temu trzymać się z dala od wszelkich pomyślników.

— Cholera, jak tu pięknie — powiedział Mark.

Jego gospodarz skrzywił się niechętnie. — Zbudowali nowy dom zaraz po drugiej stronie grani. Przy bezwietrznej pogodzie widzę dym z ich komina.

Mark nie mógł powstrzymać śmiechu. — No i koniec ze spokojną okolicą. Daniel Boone też by się wnerwił, co?

— No, może trochę przesadzam. Do tamtego domu jest jednak dobre osiem kilometrów.

— Wiesz co? Masz rację. Wyobraź sobie, jak tu było przed przybyciem białego człowieka. Żadnych dróg, tylko rzeki i ścieżki wydeptane przez zwierzynę. Jakże można było wtedy polować.

— Człowiek chyba nie musiał się wtedy naharować, żeby jeść.

— Foster wyciągnął rękę w kierunku trofeów łowieckich, zawieszonych nad kominkiem w jego chacie z bali. Nie wszystkie te trofea były legalne, ale tutaj, w górach Bitterroot w Montanie, nie było zbyt wielu stróżów prawa i porządku, a Foster w ogóle unikał ludzi.

— To nasze naturalne prawo.

— Tak być powinno — zgodził się Foster. — Jest o co walczyć.

— Nie przebierając w środkach? — spytał Mark, podziwiając trofea. Największe wrażenie robiła skóra niedźwiedzia grizzly; z pewnością była nielegalna jak wszyscy diabli.

Foster dolał gościowi bourbona. — Nie wiem, jak jest na Wschodzie, ale tutaj, jeśli już się walczy, to do końca. Kula między oczy z reguły na dobre studzi zapalony przeciwnik.

— Ale potem musisz się jakoś pozbyć zwłok — powiedział Mark, sącząc drinka. Jego gospodarz wyraźnie preferował taniego bourbona. Cóż, prawdopodobnie nie stać go było na nic lepszego.

Foster roześmiał się głośno. — Nigdy nie słyszałeś o czymś takim, jak koparka? A co powiesz na dobre ognisko?

Byli w tej części stanu ludzie, którzy podejrzewali, że Foster zabił kiedyś strażnika leśnego. W rezultacie wystrzegał się miejscowej policji, a chłopcy z drogówki nie darowaliby mu, gdyby choćby o jeden kilometr przekroczył limit prędkości. Ale chociaż odnaleziono samochód strażnika — spalony, sześćdziesiąt kilometrów stąd — ciało zaginionego strażnika jakby zapadło się pod ziemię i sprawa się na tym zakończyła. W tej części stanu trudno było o świadków, mimo tego nowego domu osiem kilometrów stąd. Mark popijał bourbona, rozsiadłszy się na obitym skórą krześle. — Przyjemnie jest żyć na łonie natury, prawda?

— O tak, z pewnością. Czasem myślę, że rozumiem Indian, wiesz?

— A znasz jakichś?

— No pewnie. Charlie Grayson z plemienia Nez Percé, tropiciel, kupiłem od niego konia.

Czasem sam to robię, to znaczy wynajmuję się myśliwym jako przewodnik, żeby trochę zarobić, ale głównie po to, żeby pojechać konno w góry i spotkać się z ludźmi, którzy wiedzą, o co chodzi. A i łośi tam nie brakuje.

— No a niedźwiedzie?

— Sporo. Głównie czarne, ale trafia się i grizzly.

— Czym polujesz? Łuk?

Foster pokręcił głową, uśmiechając się dobrotliwie. — Nie, nie, podziwiam Indian, ale nie jestem jednym z nich. Wszystko zależy od tego, na co i gdzie poluję. Głównie sztucer .300

*Winchester Magnum*, ale także dubeltówka. Nie ma to, jak wywalać dziury na dwa centymetry, jak już się strzela, nie?

— Własnoręcznie elaborowanymi nabojami?

— Oczywiście. To o wiele bardziej osobiste. Dla zwierzyny trzeba mieć szacunek, wiesz, żeby bogowie gór się nie rozgniewali.

Powiedziawszy to, Foster uśmiechnął się, jakby trochę zadumany. Mark pomyślał, że w każdym człowieku czai się poganin, który naprawdę wierzy w bogów gór i odczuwa potrzebę przeproszenia duchów zabitych zwierząt. On też był taki, mimo swego wykształcenia.

— A ty czym się zajmujesz, Mark?

— Biochemią molekularną. Mam nawet tytuł naukowy.

— A co to takiego?

— Och, badamy, skąd się bierze życie. Albo, na przykład, dlaczego niedźwiedź tak fajnie pachnie — odparł, nie zwracając sobie głowy prawdą. — Nawet to ciekawe, ale dla mnie prawdziwe życie, to odwiedzanie takich miejsc, jak to tutaj, polowanie, spotkanie się z ludźmi, którzy naprawdę znają się na tym lepiej ode mnie. Takich jak ty. — Mark uniósł szklaneczkę. —

A ty?

— Jestem teraz na emeryturze. Odłożyłem trochę grosza. Uwierzysz, że byłem geologiem,

zatrudnionym w jednej z firm naftowych?

— Gdzie pracowałeś?

— Na całym świecie. Miałem dobrego nosa, więc firmy naftowe mnóstwo mi płaciły za znajdowanie tego, co trzeba, rozumiesz? Ale musiałem to rzucić. Znalazłem się w takim punkcie, że... Powiedz mi, dużo latasz?

— Trochę — potwierdził Mark, kiwając głową.

— Brunatna Smuga — powiedział Foster.

— Że co?

— Nie udawaj, widać ją z każdego miejsca na tym cholernym świecie. Brunatny smog gdzieś na wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Złożone węglowodory, głównie z odrzutowców pasażerskich. Pewnego dnia leciałem z powrotem z Paryża, a właściwie to z Brunei, ale wybrałem okrężną trasę, bo chciałem się spotkać z kumplem w Europie. Wszystko jedno, dość, że siedziałem tam, w tym pieprzonym 747, gdzieś nad pieprzonym Atlantykiem. Do najbliższego lądu były jakieś cztery godziny lotu. No więc siedzę sobie przy oknie w pierwszej klasie, popijam drinka, wyglądam przez okno, aż nagle widzę to cholerne brunatne gówno. Zdałem sobie sprawę, że przykładam do tego rękę, pomagam zanieczyszczać tę całą pieprzoną atmosferę.

Mark dolał sobie trochę bourbona.

— No i właśnie wtedy... wtedy się nawróciłem, tak się to chyba mówi — ciągnął Foster.

— Tydzień później złożyłem wypowiedzenie, sprzedałem akcje, zarabiając pół miliona i kupiłem to miejsce. Teraz poluję, łowię ryby, jesienią bawię się trochę w przewodnika, mnóstwo czytam, napisałem książkę o tym, jakie szkody produkty naftowe wyrządzają środowisku i to wszystko.

Właśnie ta książka zwróciła uwagę Marka. Opowieść o Brunatnej Smudze znalazła się w marnie napisanym wstępie. Foster miał ideały, ale nie był maniakiem. W domu miał

elektryczność i telefon. Na podłodze koło biurka Mark zauważył nowoczesny komputer Gateway. Była tu nawet telewizja satelitarna i normalna w tych stronach furgonetka Chevroleta, ze stojakiem na karabin w tylnym oknie — i koparka samobieźna z silnikiem Diesla. Więc Foster był może idealistą, ale nie z tych zupełnie zwariowanych. To dobrze, pomyślał Mark. Wystarczy, że jest tylko trochę zwariowany. Zabicie strażnika leśnego było tego dowodem.

Foster przyglądał mu się z przyjacielskim wyrazem twarzy. Spotykał takich facetów, kiedy pracował w firmie Exxon. Gość w garniturze, ale równy, z tych, którzy nie boją się pobrudzić sobie rąk. Biochemia molekularna. Nie było tego przedmiotu w szkole górniczej w Kolorado, ale Foster abonował także „Science News” i wiedział, co to takiego. Ingerencja w istotę życia... dziwne, że facet miał również pojęcie, co to jeleń, czy łoś. Cóż, świat jest skomplikowany.

W tym momencie jego gość zauważył leżącą na stoliku kostkę z pleksiglasu, w której był

zatopiony jakiś minerał. Mark uniósł ją.

— Co to jest?

Foster uśmiechnął się znad swego drinka. — A jak myślisz?

— Albo piryt, albo...

— Na pewno nie piryt. Znam się na minerałach.

— Złoto? Tu?

— Znalazłem w moim strumieniu, jakieś trzysta metrów stąd, O tam. — Foster wskazał ręką kierunek.

— Niezły samorodek.

— Pięć i pół uncji. Wart jakieś dwa tysiące dolarów. I pomyśleć, że ludzie, biali ludzie, mieszkają na tym rancho od ponad stu lat, a nikt przede mną nie zauważył tego w strumieniu.

Będę musiał kiedyś pójść w górę strumienia, sprawdzić, czy jest tam dobra formacja geologiczna.

Powinna być, na dnie jest kwarc. Takie formacje są najczęściej dość bogate. Wiąże się to z procesami tektonicznymi. Jesteśmy na aktywnym obszarze wulkanicznym — przypomniał

swojemu gościowi. — Te gorące źródła i tak dalej. Czasem mamy tu nawet wstrząsy sejsmiczne.

— Więc jesteś właścicielem kopalni złota?

Foster roześmiał się serdecznie. — Zgadza się. Ironia losu, nie sądzisz? Zapłaciłem jak za pastwisko, może nawet mniej z uwagi na wzgórze. Ostatni facet, który tu prowadził hodowlę, skarżył się, że krowy traciły na wadze wspinając się na pastwisko.

— Ile może być tego złota?

Foster wzruszył ramionami. — Trudno powiedzieć, ale gdybym to pokazał paru facetom, z którymi chodziłem do szkoły, hm, byliby skłonni zainwestować z dziesięć czy dwadzieścia milionów, żeby się dowiedzieć. Jak powiedziałem, to formacja kwarcowa. Warta ryzyka.

Wprawdzie ceny złota nie są obecnie zbyt wysokie, ale jeśli wydobywa się je bez większych problemów... Na pewno jest warte więcej niż węgiel.

— No to dlaczego...?

— Bo nie potrzebuję pieniędzy, a poza tym to paskudny proces. Gorszy nawet niż wydobywanie ropy

naftowej. Można posprzątać po wierceniach, ale kopalnia, to co innego. Hałd z odpadami nie posprzątasz. Arsen przedostaje się do wód gruntowych i zostaje tam na wieki.

Tak, czy inaczej, w tym plastiku jest zatopiony fajny samorodek i gdybym kiedykolwiek potrzebował pieniędzy, będę wiedział, co robić.

— Jak często sprawdzasz strumień?

— Kiedy łowię ryby. Wiesz, są tu pstrągi. — Wskazał wspaniały wypchany egzemplarz, zawieszony na ścianie z bali. — Czasem coś znajduję, nie zawsze, ale tak co trzeci, czwarty raz.

Wydaje mi się, że złóże musiało zostać odsłonięte dopiero niedawno, bo w przeciwnym wypadku ktoś by je przecież zauważył. Do diabła, może i powinienem zbadać je dokładniej, zobaczyć, gdzie się zaczyna, ale nie chcę kusić licha. Mógłbym mieć akurat chwilę słabości i sprzeniewierzyć się zasadom. Zresztą, przecież złoto nie ucieknie, nie uważasz?

— Chyba nie — mruknął Mark. — Masz tego więcej?

— Pewnie. — Foster wstał i wyciągnął szufladę z biurka. Rzucił w stronę gościa woreczek z miękkiej skóry. Mark złapał go, zaskoczony ciężarem. Ponad cztery kilo. Rozwiązał

woreczek i wyjął samorodek. Miał wielkość półdolarówki, złoto i kwarc, mniej więcej pół na pół.

Bryłka czystego złota nie byłaby taka piękna.

— Jesteś żonaty? — spytał Foster.

— Tak. I dwójka dzieciaków.

— No to weź to sobie. Zrób wisiołek i daj jej na urodziny, albo co.

— Nie, nie mogę. To jest warte parę tysięcy dolarów.

Foster machnął ręką. — E tam, tylko mi zabiera miejsce w szufladzie. Dlaczego nie miałbym tym kogoś uszczęśliwić? Ty mnie rozumiesz, Mark. Myślę, że naprawdę mnie rozumiesz.

Dobrze jest, pomyślał Mark. Da się zwerbować. — A gdybym ci powiedział, że jest sposób na pozbycie się Brunatnej Smugi...?

Foster spojrział na niego podejrzliwie. — Mówisz o jakimś organizmie, który by to zeżarł, czy coś takiego?

— Nie, nie całkiem tak. — Zastanawiał się, ile może mu teraz powiedzieć. Musiał być bardzo ostrożny. Przecież było to dopiero ich pierwsze spotkanie.

— Samolot musicie załatwić sami. My możemy pomóc w wyborze celu podróży —

zapewnił Popow swego gospodarza.

— Więc dokąd mielibyśmy lecieć?

— Najważniejsze, to zniknąć z radaru kontroli ruchu powietrznego i odlecieć tak daleko, żeby nie mogły cię znaleźć myśliwce. A potem, kiedy już wylądujecie na jakimś zaprzyjaźnionym lotnisku i pozbędziecie się załogi, przemalowanie samolotu to żaden problem.

Później będzie go można zniszczyć albo rozebrać i sprzedać na części. Wiesz, silniki i tak dalej.

Po prostu znikną na międzynarodowym czarnym rynku, wystarczy zmienić parę tabliczek znamionowych — wyjaśnił Popow. — Sam wiesz, że tak się robi. Oczywiście, zachodnie służby wywiadowcze i policja raczej tego nie rozgłaszają.

— Świat jest pełen stacji radarowych. — Gospodarz wciąż miał obiekcje.

— To prawda — przyznał Popow. — Ale radary kontroli ruchu powietrznego tak naprawdę nie widzą samolotów. Odbierają jedynie sygnały identyfikacyjne z transponderów radaru pokładowego samolotu. Tylko radary wojskowe naprawdę widzą same samoloty, a który kraj afrykański dysponuje przyzwoitym systemem obrony przeciwlotniczej? Poza tym wystarczy proste urządzenie zakłócające, żeby prawdopodobieństwo wykrycia stało się jeszcze mniejsze.

Ucieczka nie sprawi wam problemu, o ile zdołacie dostać się na jakieś lotnisko międzynarodowe, przyjacielu. Właśnie to będzie najtrudniejsze — powiedział z naciskiem. — A kiedy już znikniecie gdzieś nad Afryką, wszystko będzie w waszych rękach. O wyborze kraju docelowego może decydować czystość ideologiczna lub poziom usług bankowych. To już wasza sprawa.

Polecam ten pierwszy czynnik, ale i drugi jest możliwy — powiedział Popow na zakończenie.

Afryka nie była jeszcze wzorem poszanowania prawa międzynarodowego, ale za to miała setki lotnisk, mogących przyjmować odrzutowce pasażerskie.

— Szkoda Ernsta — powiedział cicho gospodarz.

— Ernst był głupcem! — Mówiąc to, jego przyjaciółka gniewnie machnęła ręką. —

Powinien był napaść na mniejszy bank, ale nie, on musiał to zrobić w samym środku Berna.

Chciał przekazać światu przesłanie — parsknęła Petra Dortmund. Do dzisiaj Popow znał ją tylko ze słyszenia. W przeszłości musiała być ładna, może nawet piękna, ale teraz jasne kiedyś włosy przefarbowała na brązowo, jej szczupła twarz przybrała surowy wyraz, policzki były zapadnięte, a oczy podkrążone. Zmieniła się prawie nie do poznania, co tłumaczyło, dlaczego europejska policja dotąd jej nie schwytała, wraz z jej wieloletnim kochankiem, Hansem Fürchtnerem.

Fürchtner starzał się inaczej. Miał dobre trzydzieści kilo nadwagi, czarne i gęste kiedyś włosy

wypadły mu albo ostrzygł je na zero, zgolił też brodę. Wyglądał teraz jak bankier, tłusty i zadowolony. W niczym nie przypominał już tamtego żarliwego, poważnego, oddanego sprawie komunisty z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, a przynajmniej nie z wyglądu. Mieszkali w bardzo przyzwoitym domu w górach na południe od Monachium. Nieliczni sąsiedzi uważali ich za artystów — oboje malowali; policja ich kraju nie wiedziała o tym hobby. Czasem nawet sprzedawali swe prace w małych galeriach, co zapewniało im utrzymanie, ale nie zachowanie dawnego stylu życia.

Musi im brakować tego wszystkiego, co mieli do dyspozycji w dawnej NRD czy Czechosłowacji, pomyślał Dmitrij Arkadijewicz. Wtedy zabierano ich prosto z lotniska samochodem do wygodnych, choć nie przesadnie luksusowych apartamentów, umożliwiano robienie zakupów w „specjalnych” sklepach dla miejscowej elity partyjnej, odwiedzali ich poważni, spokojni oficerowie wywiadu, dostarczając informacje, dzięki którym Hans i Petra mogli planować swe kolejne operacje. Przeprowadzili kilka zupełnie przyzwoitych akcji. Ich największym sukcesem było porwanie amerykańskiego sierżanta, który zajmował się obsługą techniczną atomowych pocisków artyleryjskich. Tę operację zlecił im radziecki wywiad wojskowy GRU. Dowiedziano się wtedy wielu rzeczy, w większości przydatnych po dziś dzień, ponieważ sierżant był ekspertem w sprawach amerykańskich systemów zabezpieczających broń atomową. Jego ciało odnaleziono potem w pokrytych śniegiem górach południowej Bawarii.

Wszystko uporzeczono tak, by sierżant wyglądał na ofiarę wypadku drogowego. Tak przynajmniej uważano w GRU, na podstawie doniesień od radzieckich agentów w dowództwie NATO.

— No więc, na jakich informacjach panu zależy? — spytała.

— Na kodach elektronicznych, zapewniających dostęp do międzynarodowego systemu handlowego.

— Aha, więc i pan jest teraz zwykłym złodziejem? — spytał Hans, zanim jeszcze Petra zdążyła prychnąć.

— Chodzi raczej o mojego sponsora i mogę was zapewnić, że to bardzo niezwykły złodziej. Chcąc przywrócić socjalistyczną alternatywę dla kapitalizmu, musimy zdobyć środki, a także podważyć zaufanie do kapitalistycznego układu nerwowego, nie sądzicie? — Popow milczał przez chwilę. — Wiecie, kim jestem. Wiecie, gdzie pracowałem. Myślicie, że mógłbym zapomnieć o ojczyźnie? Myślicie, że straciłem wiarę? Mój ojciec walczył pod Stalingradem i pod Kurskiem. Wiedział, co to znaczy odwrót i klęska, a przecież się nie poddał, nigdy! —

powiedział Popow drżącym od emocji głosem. — Jak sądzicie, dlaczego teraz ryzykuję życiem?

Tym kontrrewolucjonistom w Moskwie moja operacja nie podobałaby się ani trochę... ale nie są jedyną siłą polityczną w Rosji!

Petra Dortmund spojrzała na niego uważniej, a na jej twarzy malowała się powaga. —

Więc sądzi pan, że jeszcze nie wszystko stracone?

— Myślała pani, że marsz ludzkości ku postępowi będzie się zawsze odbywał po prostej drodze? To prawda, że zblądziliśmy. Na własne oczy widziałem to w KGB. Korupcja we władzach. To ona sprowadziła na nas klęskę, nie Zachód! Ja to widziałem! Byłem wtedy kapitanem... Córka Breżniewa ograbiła Pałac Zimowy, organizując swe przyjęcie weselne. Jakby była Wielką Księżną Anastazją we własnej osobie! Moim zadaniem w KGB było uczyć się od Zachodu, poznawać jego tajemnice i plany, ale nasza nomenklatura nauczyła się od Zachodu tylko korupcji. Cóż, przyjaciele, wyciągnęliśmy z tego wnioski i wiele się nauczyliśmy. Albo się jest komunistą, albo nie. Albo się wierzy, albo nie. Albo postępuje się zgodnie z własnymi przekonaniem, albo nie.

— Żąda pan od nas wielu wyrzeczeń — zwrócił uwagę Hans Fürchtner.

— Zatrószymy się o was. Mój sponsor...

— Kto to jest? — spytała Petra.

— Tego nie wolno wam wiedzieć — odpowiedział Popow. — Sądziecie, że tylko wy podejmujecie ryzyko? A co ze mną? Nie, nie możecie wiedzieć, kim jest mój sponsor. Takie są zasady bezpieczeństwa operacyjnego. Powinniście o tym wiedzieć — przypomniał im. Tak jak się spodziewał, prawidłowo zareagowali na tę wymówkę. Ta dwójka głupców naprawdę w to wierzyła, podobnie jak Model, tyle że Hans i Petra byli trochę bystrzejsi i o wiele bardziej bezwzględni, o czym przekonał się ten biedny amerykański sierżant, który prawdopodobnie patrzył z niedowierzaniem we wciąż piękne, błękitne oczy Petry Dortmund, kiedy ta tłukła go młotkiem po różnych częściach ciała.

— Władimirze Andriejewiczu — odezwał się Hans, który znał Popowa pod jednym z jego wielu pseudonimów operacyjnych, w tym wypadku jako Władimira Andriejewicza Sierowa

— kiedy mielibyśmy zacząć?

— Jak najszybciej. Zadzwoń do was za tydzień, żeby się przekonać, czy naprawdę chcecie się podjąć tej misji i...

— Chcemy — zapewniła go Petra. — Musimy opracować plany.

— Więc powiecie mi o nich, kiedy skontaktuję się za tydzień. Będę potrzebował czterech dni, żeby ruszyć z moją częścią operacji. Aha, jeszcze jedno, warunkiem rozpoczęcia jest obecność amerykańskiego lotniskowca w odpowiednim rejonie Morza Śródziemnego. Nie wolno przystępować do działania, jeśli lotniskowiec będzie w zachodniej części tego akwenu, bo jego myśliwce mogłyby śledzić wasz samolot. Przyjaciele, pragniemy, żeby ta operacja zakończyła się pomyślnie. — Potem zajęli się negocjowaniem ceny. Poszło całkiem łatwo. Hans i Petra znali Popowa z dawnych czasów i mieli do niego zaufanie, naprawdę wierzyli, że osobiście dostarczą pieniądze.

Dziesięć minut później Popow pożegnał się z nimi i ruszył wynajętym BMW na południe, w kierunku



granicy austriackiej. Szosa była prawie pusta. Oglądając piękny alpejski krajobraz, Popow znów zastanawiał się nad swymi gospodarzami. Jedynym ziarnkiem prawdy, jakie im rzucił, było to, że jego ojciec rzeczywiście walczył pod Stalingradem i Kurskiem. Opowiedział

synowi wiele o swym życiu dowódcy czołgu podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. W

Niemcach było coś dziwnego, przekonał się o tym, kiedy służył w KGB. Dać im człowieka na koniu, a pójść za nim na śmierć i życie. Jakby nie mogli się obejść bez kogoś, kto będzie im przewodził. Bardzo dziwne. Ale mógł to wykorzystać do swoich celów i do celów swego sponsora, więc jeśli ci Niemcy gotowi byli maszerować za czerwonym koniem — zdechłym koniem, pomyślał Popow, uśmiechając się pogardliwie — to cóż, ich pech. W całej tej operacji jedyni niewinni ludzie to bankierzy, których będą próbowali porwać. Ale przynajmniej nie będą poddawani torturom, jak tamten czarny amerykański sierżant. Popow wątpił czy Hansowi i Petrze uda się zająć tak daleko, chociaż nie orientował się w możliwościach austriackiej policji i wojska. Był pewien, że tak czy inaczej dowie się o tym.

Dziwacznie to zorganizowano. Pierwszy Zespół był teraz w stanie pogotowia, gotów w każdej chwili wyruszyć z Hereford, podczas gdy Drugi Zespół Chaveza miał „wolne”. Ale to Drugi Zespół wykonywał teraz skomplikowane ćwiczenia, podczas gdy Pierwszy Zespół nie miał

nic do roboty, oprócz porannego treningu kondycyjnego i rutynowego treningu strzeleckiego.

Obawiano się, że wypadek na ćwiczeniach mógłby wyeliminować któregoś z członków zespołu w stanie pogotowia, a tym samym osłabić ten zespół w newralgicznym momencie.

Starszy bosman Miguel Chin należał do zespołu Petera Covingtona. Był komandosem z oddziałów SEAL Marynarki USA. Do Tęczy trafił z bazy SEAL w Norfolk. Jego matka była Latynoską, a ojciec Chińczykiem. Chin, podobnie jak Chavez, wychował się we wschodnim Los Angeles. Ding zauważył go palącego cygaro przed budynkiem Pierwszego Zespołu i podszedł do niego.

— Witajcie, bosmanie — powiedział Chavez, kiedy zbliżył się na trzy metry.

— Starszy bosmanie — poprawił go Chin. — To odpowiednik starszego sierżanta w Armii, sir.

— Mów mi Ding.

— Mike. — Chin podał mu rękę. Po rysach jego twarzy nie sposób się było zorientować, kim właściwie jest: Latynosem, Chińczykiem, a może jeszcze kimś innym. Był potężnie zbudowany, podobnie jak Oso Vega ćwiczył w siłowni i miał opinię faceta, który niejedno już w życiu widział. Był ekspertem w najróżniejszych rodzajach broni, a uścisk dłoni świadczył, że potrafiłby komuś urwać głowę gołymi rękami.

— Palenie szkodzi — zauważył Chavez.

— Sposób, w jaki zarabiamy na życie, też nie jest najzdrowszy, Ding. Z której części Los Angeles pochodzisz?

Ding odpowiedział.

— Nie żartujesz? Niech to diabli, wychowałem się pół kilometra obok! Banditos?

— Nawet mi o tym nie wspominaj...

Starszy bosman skinął głową. — Ja należałem do Piscadores, zanim z tego nie wyrosłem.

Sędzia dał mi do zrozumienia, że w wojsku będzie mi się podobało bardziej niż w więzieniu, więc spróbowałem się dostać do piechoty morskiej, ale mnie tam nie chcieli. Mięczaki —

powiedział Chin, wypluwając kawałek tytoniu z cygara. — No więc poszedłem do Marynarki, gdzie zrobili ze mnie mechanika... Ale potem usłyszałem o SEAL. Wiesz, to nie jest złe życie.

Słyszałem, że ty jesteś z Firmy?

— Zaczęło się od lekkiej piechoty. Wybraliśmy się do Ameryki Południowej. Paskudna sprawa, ale poznałem wtedy naszego obecnego starego i mnie zwerbował. No i zostałem.

— Firma posłała cię do szkoły?

— Uniwersytet George'a Masona. Właśnie zrobiłem magisterium. Stosunki międzynarodowe — odpowiedział Chavez.

— Tak, chyba na takiego wyglądasz. U mnie to tylko bakalaureat[7] z psychologii na Uniwersytecie Old Dominion. Ten lekarz, doktor Bellow. Inteligentny skurwysyn. Potrafi czytać w myślach. Mam u siebie trzy jego książki.

— A jak się pracuje z Covingtonem?

— Dobrze. Zna się na rzeczy. Potrafi słuchać. Facet z gatunku tych myślących. Mamy tu dobry zespół, ale niewiele do roboty. Podobała mi się ta twoja akcja w banku, Chavez. Poszło sprawnie i szybko.

— Chin dmuchnął w niebo dymem z cygara.

— Dzięki.

— Chavez! — Z budynku wyszedł właśnie Peter Covington. — Próbujesz mi skaperować najlepszego człowieka?

— Właśnie się dowiedziałem, że wychowywaliśmy się w tej samej okolicy, Peter.

— Naprawdę? Ciekawe — powiedział dowódca Pierwszego Zespołu.

— Harry nadwerżył sobie trochę kostkę dziś rano. Nic wielkiego, wziął aspirynę —

powiedział Chin swemu szefowi. — Nabawił się kontuzji dwa tygodnie temu, zjeżdżając ze śmigłowca na linie — dodał na użytek Dinga.

Te cholerne wypadki na treningu — tego już nie musiał dodawać. Wszyscy wiedzieli, że to poważny problem. Członków Tęczy dobierano według wielu kryteriów, a jednym z nich — i to dość ważnym — była bezwzględna chęć wybicia się ponad innych. Każdy był przekonany, że musi konkurować ze wszystkimi pozostałymi i każdy dawał z siebie absolutnie wszystko. W

takich okolicznościach wypadki i kontuzje podczas treningów były nieuniknione. Graniczyło z cudem, że nikt nie trafił dotąd do szpitala w bazie. Kiedyś jednak i to się zdarzy, raczej prędzej niż później. Ludzie z Tęczy nie byli w stanie zmienić tego aspektu swej osobowości, to tak jakby mieli przestać oddychać. Podchodzili do wszystkiego jak olimpijczycy — albo jesteś najlepszy, albo jesteś nikim. Każdy z nich potrafił przebiec dystans jednej mili w czasie trzydzieści-czterdzieści sekund gorszym od rekordu świata, ale w normalnych, wysokich butach, a nie w obuwiu sportowym. Nie było to całkiem nieracjonalne. W walce pół sekundy mogło decydować o życiu i śmierci — gorzej, nie o własnej śmierci, lecz niewinnych ludzi, zakładników, tych, których przysięgali chronić i ratować. Ale największa ironia polegała na tym, że zespół w stanie pogotowia miał zakaz ciężkiego treningu z obawy przed wypadkami, więc z czasem wydolność nieco malała. Rotacja następowała co dwa tygodnie. Chavez wiedział, że za trzy dni przyjdzie znów jego kolej.

— Słyszałem, że nie podoba ci się program SWAT — odezwał się znów Chin.

— Nie bardzo. Jest dobry do planowania i tak dalej, ale gorzej z samą akcją.

— Korzystamy z niego od lat — powiedział Covington. — Jest teraz o wiele lepszy niż kiedyś.

— Wolę żywe cele i sprzęt MILES — nie poddawał się Chavez, nawiązując do metody treningowej, często wykorzystywanej w siłach zbrojnych USA. Polegała na tym, że każdy żołnierz nosił urządzenie, sygnalizujące trafienie promieniem lasera.

— Dobrze na większą odległość, ale już nie tak dobre w zwarcu. — Peter pokręcił głową.

— Och, nigdy tego nie używałem na małą odległość — musiał przyznać Ding. — Ale w praktyce, kiedy już podejmiemy blisko, sprawa jest i tak rozstrzygnięta. Nasi ludzie rzadko chybiają.

— Prawda — przyznał Covington. W tym momencie dobiegł ich huk wystrzału z karabinu wyborowego. Snajperzy Tęczy ćwiczyli na strzelnicy, rywalizując między sobą o najlepsze skupienie na odległość pięciuset metrów. Prowadził w tej chwili Homer Johnston, snajper Dwa-Jeden z zespołu Dinga, lepszy o trzy milimetry od Sama Houstona, snajpera Covingtona. Z tej odległości każdy z nich potrafił wpakować kolejno dziesięć pocisków w koło o średnicy pięciu centymetrów, to znaczy o wiele mniejsze niż ludzka głowa. Właśnie teraz ćwiczyli strzały w głowę, używając pocisków z wydrążonymi wierzchołkami. Bardzo rzadko się zdarzało, żeby którykolwiek z ludzi Tęczy chybił dwa razy w ciągu tygodnia ćwiczeń i zwykle był to efekt potknięcia się o coś na strzelnicy. Oczywiście strzelcy wyborowi nie chybiali nigdy.

Podczas operacji nie celność strzałów była problemem, lecz podejście wystarczająco blisko, a

przede wszystkim starannie wybranie momentu wkroczenia do akcji i unieszkodliwienia przeciwników — najczęściej zdawali się w tej sprawie na doktora Paula Bellowa. Samo strzelanie, które ćwiczyli codziennie, wiązało się, oczywiście, z dużym napięciem, ale od strony technicznej i operacyjnej było najłatwiejsze. Brzmiało to przewrotnie, ale też ich robota miała przewrotny charakter.

— Coś nowego z wywiadu? — spytał Covington.

— Właśnie szedłem sprawdzić, ale nie przypuszczam, Peter. — Obaj dowódcy zespołów pomyśleli, że relacje telewizyjne z banku w Bernie z pewnością musiały ostudzić zapały każdego terrorysty, który planowałby jakąś akcję gdzieś w Europie.

— No to cześć, Ding. Mam trochę papierkowej roboty — powiedział Covington, wracając do budynku. Chin wyrzucił niedopałek cygara do kubła, ustawionego tam specjalnie dla palaczy i poszedł za nim.

Chavez ruszył do centrali, oddając salut strażnikowi przy wejściu. Bawił go sposób, w jaki salutowali Brytyjczycy. W środku przy biurku zastał majora Bennetta.

— Cześć, Sam.

— Dzień dobry, Ding. Kawy? — Oficer Sił Powietrznych wskazał gestem swój ogromny kubek.

— Nie, dziękuję. Dzieje się coś?

Bennett pokręcił głową. — Spokojny dzień. Nawet zwykłych przestępstw jakby mniej.

Podstawowym źródłem informacji Bennetta na temat przestępczości były serwisy europejskich agencji prasowych. Praktyka pokazywała, że z serwisów można się było dowiedzieć o przestępstwach szybciej niż kanałami oficjalnymi, to znaczy głównie z faksów, przesyłanych bezpiecznymi łączami z ambasad amerykańskich lub brytyjskich w Europie. Z tego źródła nic na razie nie napływało, więc Bennett zajął się komputerową listą znanych terrorystów, przeglądając fotografie i streszczenia tego, co na pewno wiadomo było o tych ludziach (z reguły niewiele) i o co ich podejrzewano (niewiele więcej).

— A to co? — spytał Ding, wskazując na ekran komputera.

— Nasza nowa zabawka. Dostaliśmy to z FBI. Postarza fotografie podejrzanych. Ta tutaj, to Petra Dortmund. Mamy tylko dwa jej zdjęcia, oba sprzed prawie piętnastu lat. No więc postarzam ją teraz o piętnaście lat, zmieniając przy okazji kolor włosów. Z kobietami jest łatwiej, bo nie noszą bród, ani wąsów. — Bennett zachichotał. — I zwykle dbają o linię, nie to, co nasz przyjaciel Carlos. Spójrz tutaj, na oczy.

— Nie wygląda na dziewczynę, którą chciałbym poderwać w barze — zauważył Chavez.

— I słusznie, Domingo, prawdopodobnie jest do niczego w łóżku — odezwał się zza jego pleców Clark. — Sam, to naprawdę robi wrażenie.

— Racja, sir. Zainstalowałem ten program dziś rano. Noonan ściągnął go dla mnie z wydziału obsługi technicznej FBI. Opracowali to, żeby nawet po wielu latach móc identyfikować ofiary kidnapingu. Nieźle się sprawdza. A potem komuś wpadło do głowy, że jeśli program radzi sobie z dziećmi, które rosną, to dlaczego by nie wypróbować go na dorosłych przestępcach. W

tym roku pomogło im to złapać faceta, który specjalizował się w napadach na banki. Proszę, oto, jak zapewne wygląda teraz panna Dortmund.

— A jak się nazywa facet, z którym kiedyś była?

— Hans Fürchtner. — Bennett kliknął parę razy myszą i wywołał na ekran odpowiednie zdjęcie. — Boże, to musiały być czasy, kiedy jeszcze studiował. — Przeczytał informacje tekstowe, dołączone do zdjęcia. — Aha, lubi piwo... Dodajmy mu parę kilo. — Zdjęcie zaczęło się zmieniać. — Wąsy... broda... — Mieli teraz cztery różne fotografie.

— Tych dwoje dobrało się w korcu maku — powiedział Chavez, pamiętając, co wyczytał

z ich akt. — Ciekawe, czy wciąż są razem? — Zaczął się nad tym zastanawiać, po czym skierował się w stronę doktora Bellowa.

— Witam, doktorze.

Bellow oderwał wzrok od ekranu komputera. — Dzień dobry, Ding. W czym mogę ci pomóc?

— Oglądaliśmy właśnie zdjęcia dwojga terrorystów: Petry Dortmund i Hansa Fürchtnera.

Chciałbym pana o coś spytać.

— Strzelaj — odpowiedział Bellow.

— Na ile jest prawdopodobne, że tego rodzaju ludzie będą się trzymać razem?

Bellow zamrugał parę razy i usiadł wygodniej. — Bardzo dobre pytanie. Tych dwoje...

sporządzałem ocenę ich działalności... Prawdopodobnie wciąż są razem. Ideologia jest zapewne tym, co ich łączy. Ten czynnik odgrywa ważną rolę w tego rodzaju związku. Zbliżyli się do siebie z racji podobnych przekonań, a z psychologicznego punktu widzenia złożyli coś w rodzaju przysięgi małżeńskiej, działając zgodnie z tymi przekonaniami i dokonując aktów terroryzmu. O

ile pamiętam, podejrzewa się ich między innymi o uprowadzenie i zamordowanie żołnierza. Taka działalność tworzy silne więzi międzyludzkie.

— Ale przecież większość tych ludzi, to, jak pan twierdzi, socjopaci — zgłosił obiekcje Ding. — A socjopaci nie...

— Czytasz moje książki? — spytał Bellow z uśmiechem. — Słyszałeś może, że kiedy dwoje ludzi bierze ślub, stają się jednością?

— Tak, ale co to ma...?

— W tym wypadku naprawdę tak jest. Są socjopatami, ale ideologia przydaje etosu ich dewiacji, a to bardzo ważne. Wspólna ideologia sprawia, że są jednością, a ich skłonności socjopatyczne łączą się. Podejrzewam, że związek tych dwojga jest czymś w rodzaju bardzo trwałego małżeństwa. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że wzięli formalny ślub, chociaż raczej nie w kościele — dodał z uśmiechem.

— Trwałe małżeństwo... Dzieci?

Bellow skinął głową. — Możliwe. Ale czy świadomie zdecydowałiby się na potomstwo?

Dobre pytanie. Muszę nad tym pomyśleć.

— A ja muszę się dowiedzieć o tych ludziach czegoś więcej. Co myślą, jak patrzą na świat i tak dalej.

Bellow znów się uśmiechnął, wstał i podszedł do regału. Wyjął jedną ze swoich książek i rzucił ją Chavezowi. — Zacznij od tego. Lektura obowiązkowa w Akademii FBI. Kilka lat temu poproszono mnie, żebym poprowadził wykłady na ten temat dla ludzi z SAS. Myślę, że to przez tę książkę znalazłem się w tym biznesie.

— Dzięki, doktorze. — Chavez spojrział na książkę, zważył ją w ręku i ruszył do drzwi.

„Co się dzieje w głowie terrorysty”. Pomyślał, że nie zaszkodzi poznać te sprawy trochę lepiej.

Osobiście był przekonany, że najlepsza rzecz, jaka mogła wpaść do głowy terrorysty, to pocisk kalibru 10 mm, z wydrążonym wierzchołkiem.

Popow nie mógł podać im numeru telefonicznego. Kłóciłyby się to z podstawowymi zasadami profesjonalizmu. Nawet telefon komórkowy, choćby i załatwiony przez różnych pośredników, nie był bezpieczny. W przedsiębiorstwie telekomunikacyjnym musiały przecież pozostać jakieś dokumenty — ślady, którymi mogła pójść policja. Gorzej, w dzisiejszych czasach były to informacje zapisane elektronicznie, jeszcze bardziej niebezpieczne. Więc to on dzwonił

do nich co kilka dni. Nie wiedzieli, skąd.

— Mam pieniądze. Jesteście gotowi?

— Hansa nie ma w tej chwili w domu. Wyszedł coś sprawdzić — odpowiedziała Petra. —

Spodziewam się, że będziemy gotowi za czterdzieści osiem godzin. A co u pana?

— Wszystko gotowe. Zadzwoń za dwa dni — powiedział i rozłączył się. Wyszedł z budki telefonicznej na lotnisku Charlesa de Gaulle'a i ruszył w kierunku postoju taksówek, niosąc w ręku walizeczkę pełną stumarkowych banknotów. Z utęsknieniem czekał na wspólną walutę europejską. Wprowadzenie euro powinno znacznie ułatwić życie takim jak on.



# Finanse

Ostermann pracował we własnym domu, co w Europie zdarzało się raczej rzadko. Był to wielki zamek, hrabiowski *Schloss* położony w odległości trzydziestu kilometrów od Wiednia.

Erwin Ostermann lubił swój *Schloss*, uważając, że jest absolutnie adekwatny do jego pozycji w świecie finansjery. Zamek miał sześć tysięcy metrów kwadratowych powierzchni, na trzech kondygnacjach, a cała posiadłość Ostermanna miała powierzchnię tysiąca hektarów, z czego większość stanowiło zbocze górskie, na tyle strome, że można było po nim zjeżdżać na nartach.

W lecie pozwalał miejscowym rolnikom wypasać tam owce i kozy, żeby trawa nie rosła zbyt wysoko... Hrabiowie, którzy zamieszkiwali tu kiedyś, postępowali podobnie z okolicznym chłopstwem. Miał z tego tytułu korzyści podatkowe — lewicowy rząd jego kraju wprowadził

skomplikowany system podatkowy — a jednocześnie, co ważniejsze, robiło to dobre wrażenie.

Gustował w Mercedesach, miał dwie długie limuzyny tej marki, a także Porsche, żeby, kiedy ogarnie go żądza przygód, samemu usiąść za kierownicą i pojechać do pobliskiej wsi na kolację w wyśmienitym *Gasthausie*. Miał metr osiemdziesiąt sześć wzrostu, elegancko ostrzyżone, szpakowate włosy i szczupłą, wysportowaną sylwetkę. Świetnie prezentował się na jednym ze swych koni arabskich. Oczywiście, nie można było mieszkać w takiej rezydencji i nie posiadać koni. Równie dobrze wyglądał w garniturach, szytych we Włoszech albo na Saville Row w Londynie. Jego biuro znajdowało się na pierwszym piętrze, w obszernym pomieszczeniu, które służyło za bibliotekę pierwszemu właścicielowi i następnym ośmiu pokoleniom jego potomków. Teraz na antycznym kredensie obok biurka stała bateria komputerowych monitorów informujących o sytuacji na światowych rynkach finansowych.

Zjadłszy lekkie śniadanie poszedł na górę do swego biura, gdzie troje pracowników —

dwie kobiety i mężczyzna — na bieżąco dostarczało mu kawy, rogalików i informacji.

Pomieszczenie było tak wielkie, że można w nim było przyjąć nawet dwudziestu ludzi. Wzdłuż ścian, wyłożonych orzechową boazerią, ciągnęły się regały pełne książek, przejętych wraz z całym zamkiem; Ostermann nigdy nie zadał sobie nawet trudu spojrzenia na ich tytuły. Zamiast literatury, czytał prasę ekonomiczną, a w czasie wolnym oglądał filmy w salce kinowej, powstałej po przebudowaniu piwnicy, w której kiedyś przechowywano wino. W sumie był

człowiekiem, który prowadzi wygodne życie w nadzwyczaj komfortowych warunkach. Na biurku, przy którym usiadł, leżała lista ludzi, mających go dzisiaj odwiedzić. Trzech bankierów i dwoje handlowców, takich jak on. Bankierzy chcieli porozmawiać o kredytach na nowe przedsięwzięcie, gwarantowane przez Ostermanna, a handlowcy zamierzali zasięgnąć jego rady w sprawie tendencji rynkowych. To, że konsultowano się z nim w takich sprawach, podbudowywało Ostermannowi i tak niemałe ego. Chętnie przyjmował wszelkich gości.

Popow wysiadł z samolotu i poszedł do hali przylotów, jak każdy inny biznesmen, niosąc kuferek z



zamkiem cyfrowym. Dopilnował, żeby w środku nie było niczego metalowego —

wolał nie ryzykować, że operator któregoś z lotniskowych wykrywaczy metali zatrzyma go i poprosi o otwarczenie kufierka, pełnego banknotów. Terrorysty doprawdy skomplikowali wszystkim podróżowanie samolotami, pomyślał były oficer KGB. A jeśli ktoś udoskonaliłby urządzenia do kontroli bagażu na tyle, że, na przykład, potrafiłyby policzyć pieniądze znajdujące się w środku, dla wielu ludzi, w tym i dla niego, interesy stałyby się jeszcze bardziej skomplikowane. A podróżowanie pociągami było takie nudne.

Obaj byli profesjonalistami. Hans czekał w wyznaczonym miejscu, czytając „Spiegla”, ubrany, zgodnie z ustaleniami, w brązową skórzaną marynarkę. Spozstrzegł Dmitrija Arkadijewicza z czarną walizką w lewej ręce, idącego przez halę przylotów wraz z innymi pasażerami. Fürchtner dopił kawę i poszedł za Popowem, trzymając się o jakieś dwadzieścia metrów z tyłu, trochę z lewej, tak, by każdy z nich wyszedł innymi drzwiami i skierował się na parking innym przejściem. Popow rozejrzał się dyskretnie na boki, natychmiast spostrzegł Hansa i zaczął go obserwować. Wiedział, że tamten musi być bardzo spięty. Większość ludzi takich jak Fürchtner wpadała, ponieważ ktoś ich zdradził. Wprawdzie Hans znał Dmitrija i miał do niego zaufanie, ale przecież zdradzić mogą tylko ludzie, którym się ufa — wiedzieli o tym wszyscy konspiratorzy na świecie. I chociaż Fürchtner znał Popowa, to przecież nie mógł czytać w jego myślach, co, oczywiście, bardzo odpowiadało byłemu oficerowi KGB. Popow uśmiechnął się, idąc na parking. W pewnej chwili skręcił w lewo, zatrzymał się, jakby zgubił drogę i rozejrzał się dookoła, sprawdzając, czy nikt go nie śledzi, po czym ruszył dalej. Samochód Fürchtnera, niebieski Volkswagen Golf, stał w rogu na pierwszym poziomie.

— *Grüss Gott* — powiedział, siadając na miejscu obok kierowcy.

— Dzień dobry, panie Popow — odpowiedział Fürchtner po angielsku. Mówił jak rodowity Amerykanin, prawie bez śladu obcego akcentu. Dmitrij pomyślał, że Fürchtner spędza pewnie masę czasu przed telewizorem.

Rosjanin otworzył zamek cyfrowy walizeczki, otworzył ją i położył tamtemu na kolanach.

— Jak pan widzi, wszystko w porządku.

— Sporo tego — zauważył Fürchtner.

— Cóż, to duża suma — zgodził się Popow.

Nagle w oczach Fürchtnera pojawiła się podejrzliwość. W pierwszej chwili Rosjanin był

tym zaskoczony, ale zaraz zrozumiał. KGB nigdy nie było hojne dla swych agentów, a w tej walizeczce znajdowało się dość pieniędzy, żeby zapewnić dwojgu ludziom kilka lat wygodnego życia w którymś z państw afrykańskich. Hans właśnie zdał sobie z tego sprawę i Dmitrij widział, że zaczynają go ogarniać wątpliwości. Cieszył się z tych pieniędzy, ale był wystarczająco bystry, żeby zainteresować się, skąd one pochodzą. Lepiej nie czekać, aż o to spyta, doszedł do wniosku Dmitrij.

— Ach, tak — powiedział cicho. — Jak pan wie, wielu moich kolegów udaje kapitalistów, żeby

przetrwąć w nowej sytuacji politycznej, która zapanowała w moim kraju. Ale wciąż jesteśmy Mieczem i Tarczą Partii, mój młody przyjacielu. To się nie zmieniło. Jak na ironię, możemy teraz lepiej wynagradzać naszych przyjaciół za ich usługi. Okazuje się to mniej kosztowne od utrzymywania konspiracyjnych lokali, jakie pan pamięta. Osobiście uważam, że to nawet zabawne. Tak czy inaczej, ma pan tu swoje wynagrodzenie, z góry i w ustalonej wysokości.

— *Danke* — powiedział Hans Fürchtner, wpatrując się w głęboką na dziesięć centymetrów walizeczkę, którą następnie zważył w ręku. — Ciężka.

— Prawda — zgodził się Dmitrij Arkadijewicz. — Ale mogło być gorzej. Mogłem panu zapłacić złotem — zażartował, chcąc rozluźnić atmosferę, po czym postanowił wykonać swoje posunięcie. — Za ciężka, żeby zabrać ją na tę operację?

— W każdym razie komplikuje to sprawy, Władimirze Andriejewiczu.

— Cóż, mogę przechować panu te pieniądze i dostarczyć je po zakończeniu operacji.

Decyzja należy do pana, ale nie bardzo się do tego palę.

— Dlaczego? — spytał Hans.

— Szczerze mówiąc, nie lubię podróżować z taką ilością gotówki. Jesteśmy na Zachodzie. A gdyby mnie obrabowano?

Fürchtner wyglądał na ubawionego. — Napad rabunkowy na ulicy? Tutaj, w Austrii?

Przyjacielu, te kapitalistyczne owieczki są bardzo dobrze pilnowane.

— Poza tym, nie wiem, dokąd się udacie i tak naprawdę, to wcale nie muszę wiedzieć...

Przynajmniej na razie.

— Naszym celem jest Republika Środkowoafrykańska. Mamy tam przyjaciela, który w latach sześćdziesiątych ukończył Uniwersytet im. Patrice Lumumby. Sprzedaje broń elementom postępowym. Zamieszkamy u niego, dopóki nie znajdziemy z Petrą odpowiedniego domu.

Popow pomyślał, że muszą być bardzo odważni albo bardzo głupi, żeby udawać się akurat do tego kraju. Jeszcze nie tak dawno nazywał się on Cesarstwem Środkowoafrykańskim i władał tam „Cesarz Bokassa I”, były sierżant francuskiej armii kolonialnej, która swego czasu okupowała ten mały, biedny kraj. Bokassa doszedł do władzy po trupach, podobnie jak wielu innych przywódców afrykańskich, ale — o dziwo — zmarł z przyczyn naturalnych, a przynajmniej tak pisano w gazetach, chociaż nikt nie miał pewności, jak było naprawdę.

Pozostawił po sobie kraj, którego sytuacja ekonomiczna była, dzięki wydobyciu diamentów, trochę lepsza od przeciętnej dla Czarnego Lądu, ale tylko trochę. Z drugiej strony, kto powiedział, że Hans i

Petra kiedykolwiek tam dotrą?

— Cóż, przyjacielu, decyzja należy do pana — powiedział Popow, poklepując wciąż otwartą walizeczkę na kolanach Fürhtnera.

Niemiec zastanawiał się mniej więcej przez pół minuty. — Zobaczyłem te pieniądze —

powiedział, wprawiając Popowa w zachwyt. Wyjął paczkę z tysiącem banknotów, przesunął palcami po brzegach, jakby była to talia kart i odłożył z powrotem. Następnie zapisał coś na kawałku papieru i włożył go do walizeczki. — Tu jest nazwisko. Będziemy u tego kogoś...

Myślę, że od jutra po południu. U pana wszystko gotowe?

— Amerykański lotniskowiec jest we wschodniej części Morza Śródziemnego. Libia bez przeszkód zezwoli na przelot waszego samolotu, natomiast nie zgodzi się na przelot żadnej maszyny NATO, która by was śledziła. Więcej, lotnictwo libijskie zapewni wam eskortę, a potem

„zgubi” was z powodu złej pogody. Radzę uciekać się do przemocy tylko w razie potrzeby. Prasa i presja dyplomatyczna mają dziś większe znaczenie niż kiedyś.

— Przemysleliśmy to sobie — zapewnił Hans.

Popow zastanawiał się przez chwilę. Byłby bardzo zdziwiony, gdyby tamci w ogóle weszli na pokład samolotu, nie mówiąc już o dotarciu do Afryki. Problem z tego rodzaju

„operacjami” polegał na tym, że bez względu na to, jak szczegółowo i rozważnie zostaną zaplanowane poszczególne etapy, cały łańcuch nigdy nie będzie mocniejszy niż jego najsłabsze ogniwo, a o wytrzymałości tego ogniwa często decydowali inni, albo, co gorsza, przypadek. Hans i Petra byli przekonani o słuszności swej ideologii i — tak jak kiedyś ludzie, których niezłomna wiara religijna pchała do podejmowania najbardziej absurdałnego ryzyka — będą udawać, że planują tę „misję” ze wszelkimi szczegółami, korzystając ze swych ograniczonych środków, ale w końcu wszystko, czym naprawdę dysponowali, to gotowość stosowania wobec świata przemocy — było mnóstwo takich ludzi — i będą podstawiać nadzieję w miejsce oczekiwań, wiarę w miejsce wiedzy. Będą gotowi zaakceptować przypadek — jednego ze swych najgorszych wrogów — jako neutralny element, podczas gdy prawdziwy zawodowiec starałby się go całkowicie wyeliminować.

Ich przekonania były w rzeczywistości opaską na oczy, a może raczej końskimi klapkami, pozbawiającymi oboje Niemców zdolności obiektywnego postrzegania świata, za którym zostali w tyle i do którego nie chcieli się przystosować. Ale dla Popowa rzeczywiste znaczenie miała ich gotowość powierzenia mu pieniędzy. Dmitrij Arkadijewicz potrafił całkiem nieźle przystosowywać się do zachodzących przemian.

— Jesteś pewien, mój młody przyjacielu?

— Ja, jestem pewien. — Fürhtner zamknął walizeczkę, przestawił kółka cyfrowego zamka i podał ją Popowowi. Rosjanin wziął na siebie tę odpowiedzialność z odpowiednio poważną miną.

— Będę jej dobrze strzegł. — Przez całą drogę do mojego berneńskiego banku, dodał w myślach. Wyciągnął rękę. - Powodzenia. I proszę, bądźcie ostrożni.

— *Danke*. Zdobędziemy dla pana te informacje.

— Mój pracodawca bardzo ich potrzebuje, Hans. Polegamy na was. — Dmitrij wysiadł z samochodu i poszedł w stronę terminalu, gdzie zamierzał wziąć taksówkę do hotelu. Zastanawiał

się, kiedy Hans i Petra przystąpią do akcji. Może dzisiaj? Byli aż tak narwani? Nie, pomyślał, oni nazwaliby to profesjonalizmem. Młodzi głupcy.

Starszy sierżant Homer Johnston wyjął zamek ze swego karabinu i uniósł broń, żeby zajrzeć w lufę. Po dziesięciu strzałach była trochę zabrudzona, ale nie tak bardzo, a w stożku przejściowym przed komorą naboju nie dostrzegł żadnych śladów erozji. Nie spodziewał ich się zresztą, zanim nie wystrzeli mniej więcej tysiąc pocisków, a do tej pory było ich tylko pięćset czterdzieści. Mimo to, od przyszłego tygodnia będzie musiał zacząć korzystać z wziernika do przeprowadzania kontroli, ponieważ amunicja 7 mm *Remington Magnum* dawała przy strzale wysoką temperaturę i ten nadmiar ciepła wypalał lufy trochę za szybko. Za kilka miesięcy będzie musiał wymienić lufę, co było zajęciem mozolnym i dość skomplikowanym nawet dla tak doświadczonego rusznikarza jak on. Trudność polegała na idealnym dopasowaniu lufy do komory zamkowej. Potem trzeba będzie wystrzelić jakieś pięćdziesiąt pocisków na dokładnie zmierzoną odległość, żeby upewnić się, iż broń bije tak celnie, jak powinna. Ale to dopiero później. Johnston rozpylił trochę środka czyszczącego na szmatkę, którą przeciągnął

przez lufę, od komory naboju do wylotu. Zdjął ją następnie z wycioru, założył nową i powtórzył całą procedurę sześciokrotnie, dopóki szmatka nie wyszła z lufy absolutnie czysta.

Założył ostatnią szmatkę. Środek czyszczący pozostawił na wewnętrznej powierzchni cieniutką, dosłownie cząsteczkowej grubości powłokę silikonową, która chroniła stal przed korozją, nie zmieniając średnicy lufy, wykonanej z mikroskopową dokładnością. Usatysfakcjonowany, włożył zamek z powrotem do komory i ściągnął spust. Zamek znalazł się we właściwej pozycji.

Kochał swój karabin, choć, co było trochę dziwne, nie nadał mu imienia. Ta broń, wykonana przez tych samych fachowców, którzy robili karabiny wyborowe dla ochrony prezydenta, strzelała naboju 7 mm *Remington Magnum*, miała profesjonalnej jakości komorę zamkową Remingtona, lufę Harta i celownik optyczny z serii *Golden Ring* firmy Leupold, z dziesięciokrotnym powiększeniem, mechanizm spustowy z przyśpiesznikiem, ustawiony na siłę oporu 1,1 kilograma, a wszystko w paskudnej oprawie z kewlaru — drewno byłoby o wiele ładniejsze, ale, niestety, wypaczało się z czasem, podczas gdy kewlar był tworzywem nieorganicznym, chemicznie obojętnym, nie starzał się ani nie zmieniał pod wpływem wilgoci.

Johnston udowodnił właśnie po raz kolejny, że z tego karabinu można trzema kolejnymi pociskami trafić w koło wielkości pięciocentowej monety z odległości stu metrów. Pomyślał, że może pewnego dnia ktoś skonstruuje broń laserową, która będzie strzelała celniej niż jego karabin. Może... Z odległości tysiąca metrów mógł trafić trzema kolejnymi pociskami w koło o średnicy dziesięciu centymetrów — do tego trzeba już było czegoś więcej, niż tylko doskonałego karabinu. Należało

uwzględnić siłę i prędkość wiatru, żeby zrekompenować wpływ tych czynników na tor pocisku. Trzeba było kontrolować oddech i sposób, w jaki palec dotykał języka spustowego.

Oczyściwszy broń, Johnston odniósł ją na miejsce, do klimatyzowanego pomieszczenia i wrócił do sali ogólnej. Na jego biurku leżała tarcza, do której niedawno strzelał.

Homer Johnston uniósł ją. Oddał trzy strzały z odległości 400 metrów, trzy z 500, dwa z 700 i ostatnie dwa z 900. Wszystkie dziesięć pocisków trafiło w głowę sylwetki na tarczy, co oznaczało, że wszystkie dziesięć natychmiast zabiłyby człowieka. Strzelał tylko nabojami, które sam sobie przygotowywał. Kombinacja pocisków *Sierra* o masie 11,34 grama z wydrążonym wierzchołkiem i ze stożkiem spływu oraz 4,11 grama prochu bezdymnego IMR 4350 wydawała się najlepsza dla tego konkretnego karabinu. Na pokonanie 1.000 metrów pocisk potrzebował 1,7

sekundy. Cholernie długo, zwłaszcza jeśli strzela się do ruchomego celu, pomyślał sierżant Johnston, ale nie było na to rady. Poczł czyjąś rękę na ramieniu.

— Homer — usłyszał znajomy głos.

— Tak, Dieter? — powiedział Johnston, nie odrywając wzroku od tarczy. Tego rezultatu nie musiał się wstydzić. Szkoda, że to nie sezon łowiecki.

— Byłeś dziś lepszy ode mnie. Wiatr ci sprzyjał. — Była to ulubiona wymówka Webera.

Homer pomyślał, że jak na faceta z drugiej strony Atlantyku, tamten naprawdę dobrze zna się na karabinach, ale przecież Amerykanom i tak nikt nie mógł dorównać w tej dziedzinie.

— Tyle razy ci mówiłem, że karabin samopowtarzalny nie jest najlepszy do strzelania w głowę.

Oba pociski, które Weber wystrzelił z odległości 900 metrów, trafiły w krawędź głowy sylwetki na tarczy. Wyeliminowałyby przeciwnika z walki, ale nie były śmiertelne, chociaż zaliczono je jako trafienia. Johnston był najlepszym strzelcem wyborowym w Tęczy, lepszym nawet niż Houston, chociaż zdawał sobie sprawę, że jego przewaga była minimalna.

— Po prostu wolę, żeby mój drugi strzał padał szybciej niż twój — oświadczył Weber i był to koniec dyskusji. Żołnierze byli lojalni wobec swojej broni. Niemiec strzelał znacznie szybciej ze swego wyglądającego trochę groteskowo karabinu wyborowego *Walther WA2000*, ale ta broń nie odznaczała się aż taką dokładnością jak karabiny powtarzalne, a ponadto strzelała nabojami o mniejszej prędkości wylotowej pocisków. Obaj snajperzy nie raz dyskutowali nad tym przy piwie, ale było z góry wiadomo, że każdy pozostanie przy swoim zdaniu.

Weber poklepał się po kaburze. — Postrzelamy z pistoletu, Homer?

Johnston wstał. — Dlaczego nie? — Broń krótka nie nadawała się wprawdzie do poważnej roboty, ale sprawiała frajdę, a za amunicję nie trzeba tu było płacić. Z broni krótkiej Weber był od niego lepszy o dobre dziesięć procent. W drodze na strzelnicę minęli Chaveza, Price'a i resztę,

wychodzących właśnie ze swymi *MP-10*. Wszyscy byli w dobrych nastrojach, uśmiechali się i żartowali. Najwyraźniej wszystkim dobrze szło tego ranka na strzelnicy.

— E tam — parsknął Weber — każdy trafi z pięciu metrów!

— Cześć, Robert. — Homer przywitał się z szefem strzelnicy. — Ustawisz nam parę tarcz „Q”?

— Jasne, sierżancie — odpowiedział Dave Woods i sięgnął po dwie tarcze w stylu amerykańskim, z literą Q w środku, mniej więcej tam, gdzie znajdowało się serce. Po chwili namysłu wziął jeszcze jedną taką tarczę dla siebie. Woods, wąsaty sierżant brytyjskiej żandarmerii, świetnie strzelał z *Browninga* kalibru 9 mm. Tarcze odjechały na odległość dziesięciu metrów i odwróciły się bokiem. Trzej sierżanci nałożyli ochraniacze na uszy.

Formalnie rzecz biorąc, Woods był instruktorem strzelania z broni krótkiej, ale ludzie w Hereford byli tak dobrzy, że prawie nie miał co robić. W rezultacie sam wystrzeliwał prawie tysiąc nabojów tygodniowo, doskonaląc własne umiejętności. Chętnie strzelał razem z ludźmi z Tęczy i znany był z tego, że stawał z nimi w zawody, w których — ku ich wielkiemu ubolewaniu —

prawie zawsze zwyciężał. Woods był tradycjonalistą. Trzymał pistolet w jednej ręce, podobnie jak Weber, podczas gdy Johnston wołał chwyt oburącz, znany jako postawa Weavera. Tarcze odwróciły się bez ostrzeżenia i trzy lufy powędrowały w ich stronę...

Hans Fürchtner pomyślał chyba po raz dziesiąty, że zamek Erwina Ostermanna jest wspaniały, dokładnie taki, jakiego można się było spodziewać po aroganckim wrogu klasowym.

Rozpracowując Ostermanna nie natrafili na żadne ślady arystokratycznego pochodzenia obecnego posiadacza zamku, ale byli przekonani, że on sam na pewno uważa się za arystokratę.

Do czasu, pomyślał Hans, wjeżdżając na wysypaną brązowym żwirem dwukilometrową drogę dojazdową, która prowadziła między wypielęgnowanymi ogrodami i żywopłotami, rozmieszczonymi z geometryczną precyzją przez ogrodników, których zresztą w tej chwili nigdzie nie było widać. Zatrzymał wypożyczonego Mercedesa w pobliżu zamku, ale po chwili ruszył powoli w prawo, jakby rozglądając się za parkingiem. Na tyłach budowli zobaczył

śmigłowiec *Sikorsky S-76B*, z którego mieli później skorzystać. Maszyna stała na asfaltowym lądowisku, na którym wymalowano żółty krąg. Dobrze. Fürchtner objechał *Schloss* dookoła i zaparkował od frontu, jakieś piętnaście metrów od głównego wejścia.

— Jesteś gotowa, Petra?

— *Ja* — odpowiedziała ochryłym, pełnym napięcia głosem. Minęło wiele lat od czasu ich ostatniej akcji. Bezpośrednia rzeczywistość była inna niż to sobie wyobrażali, planując tę operację, siedząc tydzień nad szkicami i diagramami. Paru rzeczy nie byli pewni, na przykład, nie wiedzieli, ilu dokładnie służących znajduje się w zamku. Ruszyli właśnie do drzwi frontowych, kiedy podjechała furgonetka. Wysiedli z niej dwaj mężczyźni; obaj nieśli duże skrzynki. Jeden z nich dał Hansowi i Petrze znak, żeby szli przodem. Tak też uczynili, wchodząc po kamiennych schodkach. Hans nacisnął

guzik dzwonka i po chwili ozdobne drzwi się otwały.

— *Guten Tag* — powiedział Hans. — Jesteśmy umówieni z Herr Ostermannem.

— Pańskie nazwisko?

— Bauer — odpowiedział Fürchtner. — Hans Bauer.

— Przywieźliśmy kwiaty — odezwał się z tyłu jeden z ludzi z furgonetki.

— Proszę wejść. Poproszę pana Ostermanna — powiedział lokaj, czy kim był ten człowiek.

— *Danke*. — Fürchtner puścił Petrę przodem, po czym sam wszedł do środka. Za nim weszli dwaj mężczyźni ze skrzynkami. Lokaj zamknął drzwi, odwrócił się i poszedł w lewo, do telefonu. Podniósł słuchawkę i zamierzał właśnie wybrać numer na klawiaturze, kiedy nagle zamarł.

— Proszę nas zaprowadzić na górę, dobrze? — powiedziała Petra. Pistolet, który trzymała w ręku, był wymierzony prosto w twarz lokaja.

— Co to znaczy?

— To moje zaproszenie — odpowiedziała Petra Dortmund z miłym uśmiechem, przysuwając pistolet *Walther P- 38* jeszcze bliżej jego twarzy.

Lokaj przełknął ślinę, zobaczywszy, że obaj „dostawcy” otwierają skrzynki i wyjmują z nich pistolety maszynowe, które natychmiast zarepetowali. Następnie jeden z nich otworzył

drzwi frontowe i pomachał ręką. Chwilę później do środka weszło jeszcze dwóch młodych mężczyzn, podobnie uzbrojonych.

Nie zwracając uwagi na nowo przybyłych, Fürchtner przeszedł kilka kroków, rozglądając się dookoła. Znajdowali się w wielkim holu, którego ściany, wysokie na cztery metry, obwieszane były dziełami sztuki. Późny renesans, pomyślał, dobrzy artyści, ale nie prawdziwi mistrzowie, wielkie obrazy w pozłacanych ramach, przedstawiające sielskie scenki rodzajowe.

Na swój sposób te ramy zdawały się robić większe wrażenie niż same malowidła. Podłoga była wyłożona płytkami z białego marmuru, z czarnymi rombami na złączeniach. Meble, również pozłacane, wyglądały na francuskie. Ważniejsze było jednak to, że nigdzie nie widział innych służących, chociaż z oddali dochodził szum odkurzacza. Fürchtner odwrócił się do swoich ludzi i dał im znać, żeby poszli do kuchni, gdzie z pewnością będzie jakiś personel.

— Gdzie jest *Herr Ostermann*? — spytała Petra.

— Tu... tu go nie ma...

Niedbałym ruchem podsunęła mu pistolet pod nos. — Jego samochody są tutaj, śmigłowiec też. A teraz powiesz nam, gdzie on jest.

— W bibliotece na górze.

— *Gut*. Zaprowadź nas tam — rozkazała. Lokaj po raz pierwszy spojrział jej w oczy i przekonał się, że są groźniejsze od pistoletu, który miała w ręku. Skinął głową i ruszył ku schodom.

Poręcz również była złocona, a same schody, wznoszące się eleganckim łukiem w prawo, wyłożono grubym czerwonym dywanem, przymocowanym mosiężnymi prętami. Ostermann był

człowiekiem bogatym, wzorcowym kapitalistą, który dorobił się majątku na handlu akcjami koncernów przemysłowych, przy czym nigdy żadnego nie przejął na własność. Woli działać zza kulis, pomyślała Petra Dortmund. *Spinne*, pająk, a tutaj znajdowało się centrum jego sieci.

Dostali się tu bez trudu i teraz pająk przekona się na własnej skórze, co to są sieci i pułapki.

Na ścianie wzdłuż schodów wisiały kolejne obrazy, o wiele większe od tych, jakie Petra kiedykolwiek widziała. Były to portrety mężczyzn, zapewne tych, którzy mieszkali kiedyś w tej ogromnej budowli, w tym symbolu chciwości i wyzysku... Zdążyła już zniechęcić właściciela, który otaczał się takim przepychem, ogłaszał wszem wobec, że był kimś lepszym i przez cały czas pomnażał swe bogactwo, wyzyskując zwykłych robotników. Nad podestem schodów wisiał

ogromny olejny portret Franciszka Józefa, ostatniego z tej parszywej dynastii Habsburgów, który zmarł kilka lat przed jeszcze bardziej zniechęconymi Romanowymi. Lokaj, ten sługus kapitalistów, skręcił w prawo, prowadząc ich szerokim korytarzem do sali bez drzwi. Było tam troje ludzi — mężczyzna i dwie kobiety — wszyscy ubrani lepiej niż lokaj i zajęci pracą przy komputerach.

— *Herr Bauer* — zaanonsował lokaj. — Pragnie się widzieć z panem Ostermannem.

— Był pan umówiony? — spytał sekretarz.

— Macie nas do niego zaprowadzić, natychmiast — powiedziała Petra. Na widok pistoletu cała trójka w sekretariacie przerwała pracę, pobladła i wpatrywała się w intruzów szeroko otwartymi oczami.

Zamek Ostermanna liczył sobie kilkaset lat, ale nie był tak zupełnie zabytkiem. Sekretarz

— w Ameryce mówiono by o nim „asystent” — nazywał się Gerhardt Dengler. Pod jego biurkiem znajdował się przycisk urządzenia alarmowego. Nacisnął go teraz i nie zdejmował

kciuka z przycisku, wpatrując się w intruzów. Sygnał alarmowy odezwał się dwadzieścia kilometrów dalej, w centrali firmy ochroniarskiej, której pracownicy natychmiast zareagowali na brzęczyk i migające światło, dzwoniąc do Staatspolizei. Następnie sekretarka zadzwoniła do zamku, żeby uzyskać potwierdzenie.

Rozległ się dzwonek telefonu. — Mogę odebrać? — spytał Gerhardt Petrę, bo wydawało mu się, że to ona tu rządzi. Skinęła głową, więc podniósł słuchawkę.



— Biuro pana Ostermanna.

— Tu Traudl — usłyszał w słuchawce głos sekretarki firmy ochroniarskiej.

— *Guten Tag, Traudl. Hier ist Gerhardt* — powiedział asystent. — Dzwonisz w sprawie konia? — Tym umówionym kodem alarmowym poinformował ją, że sytuacja jest poważna.

— Tak, kiedy spodziewacie się tego źrebaka? — sekretarka uświadomiła sobie, że ktoś przysłuchuje się tej rozmowie.

— Jeszcze parę tygodni. Damy ci znać — poinformował ją zwięźle, wpatrując się w pistolet Petry.

— *Danke, Gerhardt. Wiedersehen.* — Rozłączyła się i przywołała ręką szefa zmiany.

— To w sprawie koni — wyjaśnił Gerhardt Petrze. — Mamy brzemienną klacz i...

— Milczeć — powiedziała cicho Petra i gestem dała Hansowi znać, żeby podszedł do podwójnych drzwi, za którymi znajdował się gabinet Ostermanna. Na razie wszystko w porządku, pomyślała. Sytuacja wydała się jej nawet nieco zabawna. Ostermann siedział za tymi podwójnymi drzwiami i zajmował się swoją pracą, jakby wszystko było w porządku. Nie miał

pojęcia, co się święci. Najwyższy czas, żeby się dowiedział. Wyciągnęła rękę w kierunku asystenta. — Pan się nazywa...?

— Dengler — odpowiedział mężczyzna. — Gerhardt Dengler.

— Proszę nas zaprowadzić do środka, *Herr* Dengler.

Gerhardt wstał zza biurka i wolnym krokiem podszedł do podwójnych drzwi. Głowę miał

spuszczoną i poruszał się sztywno, niczym automat. Dortmund i Fürchtner z doświadczenia wiedzieli, że tak właśnie ludzie reagują na widok broni. Sekretarz nacisnął klamkę, pchnął i drzwi otworzyły się, odsłaniając biuro Ostermanna.

Biurko było ogromne, połączane, jak wszystko w tym zamku, i stało na wielkim dywanie z czerwonej wełny. Erwin Ostermann był odwrócony plecami i wpatrywał się w jeden z monitorów.

— Herr Ostermann — odezwał się Dengler.

— Tak, Gerhardt? — spytał Ostermann spokojnym głosem, a nie otrzymawszy odpowiedzi, odwrócił się na krześle...

— O co chodzi? — Zobaczywszy gości, szeroko otworzył niebieskie oczy. Na widok broni otworzył je jeszcze szerzej. — Kim...?

— Jesteśmy bojownikami Frakcji Czerwonych Robotników — poinformował Fürchtner finansistę.

— A ty jesteś naszym jeńcem.

— Ale... Co to znaczy?

— Zabierzemy cię w małą podróż. Jeśli będziesz grzeczny, nic ci się nie stanie. Jeśli nie, zostaniesz zabity. Ty i reszta. Czy to jasne? — spytała Petra. Żeby się upewnić, że dobrze ją zrozumiał, ponownie przystawiła pistolet do głowy Denglera.

Scena, jaka się następnie rozegrała, była jak wyjęta ze scenariusza filmowego. Ostermann rozejrzał się na prawo i lewo, jakby czegoś szukał, prawdopodobnie pomocy, ale na próżno.

Potem znów spojrzął na Hansa i Petrę, a twarz wykrzywił mu szok, zmieszany z niedowierzaniem. Przecież jemu nic takiego nie mogło się przytrafić. Nie tutaj, nie w jego własnym biurze. Nie wierzył własnym oczom. Poczul, że ogarnia go gniew, który jednak zaraz zmienił się w strach. Cały ten proces trwał pięć, może sześć sekund. Zawsze tak było. Petra widziała to już niejednym razem, a w tej chwili zdała sobie sprawę, że zdążyła zapomnieć, jaką przyjemność sprawiał ten widok. Ostermann zacisnął pięści na wykładanym skórą blacie biurka, ale zaraz zdał sobie sprawę z własnej bezsilności i oklapł, jakby uszło z niego powietrze.

Niedługo zacnie się trząść, pomyślała Petra. Nie oczekiwała po nim wielkiej odwagi. Wyglądał

na wysokiego, nawet kiedy siedział. Był szczupły, dystyngowany. Miał na sobie białą koszulę z wykrochmalonym kołnierzykiem i pasiasty krawat. Jego garnitur był niewątpliwie drogi, prawdopodobnie uszyty na miarę. Na nogach powinien mieć ręcznie robione buty, wyczyszczone do połysku przez służącego. Za jego plecami widziała rzędy liczb i wykresy, przesuwane się na monitorach. Wielki Ostermann, w samym centrum swej pajęczej sieci, jeszcze minutę temu zupełnie rozluźniony, pan swojego losu, niezwyciężony, obracał pieniędzmi dookoła świata, powiększając swój majątek. No, z tym na razie koniec — prawdopodobnie na zawsze, pomyślała Petra, ale nie zamierzała mu tego mówić, aż do ostatniej chwili. Tym większą satysfakcję sprawi jej przerażenie na jego arystokratycznej twarzy, kiedy w końcu zrozumie... A zaraz potem oczy mu zgasną.

Zapomniała już, jaką radość daje taka władza nad innymi ludźmi. Jak to możliwe, że od tak dawna z niej nie korzystała?

Wóz policyjny, który przyjechał jako pierwszy, znajdował się w odległości zaledwie pięciu kilometrów, kiedy otrzymał przez radio wezwanie. Kierowca zawrócił i popędził do zamku. Droga zajęła tylko trzy minuty i teraz samochód stał za drzewami, ukryty przed ludźmi w zamku.

— Widzę samochód osobowy i furgonetkę — powiedział funkcjonariusz przez radio komendantowi swojego posterunku, kapitanowi. — Ludzi nie widać i w ogóle nic się nie dzieje.

— Dobrze — odpowiedział kapitan. — Nie podejmujcie żadnych działań, a gdyby coś się działo, natychmiast mi meldować. Będę tam za parę minut.

— Zrozumiałem. *Ende.*

Kapitan odłożył mikrofon. Jechał do zamku swoim Audi, wyposażonym w radiostację.

Poznał kiedyś Ostermanna podczas jakiejś oficjalnej imprezy w Wiedniu. Podali sobie wtedy ręce i wymienili parę zdawkowych słów, ale przynajmniej wiedział teraz, jak tamten wygląda, a także znał jego reputację. Ostermann cieszył się opinią człowieka bogatego, zaangażowanego w sprawy miejscowej społeczności, wielkiego miłośnika opery i... chyba wspierał finansowo szpital dziecięcy. Tak, to przyjęcie w ratuszu miało właśnie związek ze szpitalem. Ostermann był

wdowcem, jego żona zmarła przed pięciu laty na raka jajników. Podobno teraz w jego życiu pojawiła się nowa kobieta, Ursel von Prinze, ciemnowłosa piękność, która pochodziła z rodziny z długimi tradycjami. Trochę to dziwne — Ostermann żył jak arystokrata, ale pochodzenie miał

plebejskie. Jego ojciec był... racja, maszynistą w kolejach państwowych. Niektóre z arystokratycznych rodów patrzyły na niego z góry; żeby temu przeciwdziałać, kupował sobie pozycję towarzyską, prowadząc działalność dobroczynną i regularnie bywał w operze. Choć mieszkał wspaniale, żył całkiem skromnie. Żadnych wystawnych przyjęć. Cichy, spokojny, szacowny człowiek, a przy tym podobno bardzo inteligentny. A teraz jego firma ochroniarska twierdzi, że ma w domu intruzów, powiedział sam do siebie kapitan Willi Altmark, biorąc ostatni zakręt. Przed sobą widział już *Schloss* Ostermanna. Zaczął się zastanawiać nad lokalizacją zamku i rozkładem całej posiadłości. Wielka budowla... chyba jakieś czterysta metrów trawy między zamkiem a najbliższymi drzewami. Niedobrze. Trudno byłoby komuś podejść do zamku niepostrzeżenie. Zatrzymał swojego Audi obok wozu policyjnego i wysiadł, zabierając ze sobą lornetkę.

— Dzień dobry, kapitanie — powitał go funkcjonariusz.

— Dzieje się coś?

— Zupełnie nic, nawet zasłony w oknach nie drgnęły.

Altmark przypatrywał się zamkowi przez lornetkę, po czym sięgnął po mikrofon, żeby skontaktować się z wozami policyjnymi, które były już w drodze. Powiedział, żeby podjeżdżali po cichu i powoli, tak, aby nie zaalarmować przestępców. Potem wywołał go przez radio przełożony, prosząc o ocenę sytuacji.

— To chyba zadanie dla wojska — powiedział kapitan Altmark. — W tej chwili nic jeszcze nie wiemy. Widzę samochód osobowy i furgonetkę. Nic więcej. Żadnych ogrodników przed domem. Ale z mojego miejsca widać tylko fronton i ścianę boczną. Nie mam pojęcia, co się dzieje za domem. Zabezpieczę teren, kiedy tylko dotrą tutaj moi ludzie.

— *Ja*. I niech nikt was nie zauważy — powiedział komisarz kapitanowi, zresztą zupełnie niepotrzebnie.

— Tak, oczywiście.

Ostermann nadal siedział na krześle. Na chwilę przymknął oczy, dziękując Bogu, że Ursel była teraz w Londynie. Poleciała tam prywatnym odrzutowcem na zakupy i żeby spotkać się ze swymi

angielskimi przyjaciółmi. Miał nadzieję dołączyć do niej następnego dnia, ale teraz zastanawiał się, czy w ogóle zobaczy jeszcze swą narzeczoną. W zeszłym roku kilkakrotnie kontaktowali się z nim konsultanci do spraw bezpieczeństwa — Austriak i Brytyjczyk. Obaj urządzili mu wykład na temat zagrożeń, czyhających na ludzi, którzy nie ukrywają swej zamożności, i wytłumaczyli mu, jak za niewielkie w końcu pieniądze — mniej niż pół miliona funtów szterlingów rocznie — może znacznie poprawić stan swego bezpieczeństwa. Brytyjczyk powiedział, że wszyscy jego ludzie wywodzą się z SAS; Austriak zatrudniał Niemców z GSG-9.

Ale Ostermann nie widział potrzeby zatrudniania jako ochroniarzy uzbrojonych komandosów, którzy staliby mu nad głową, dokądkolwiek by poszedł, jakby był głową państwa. Tylko by przeszkadzali, doszedł wówczas do wniosku Ostermann. Zajmując się handlem akcjami, towarami i walutami, przegapił czasem jakąś okazję, ale w tym wypadku...

— Czego ode mnie chcecie?

— Twojego osobistego kodu, zapewniającego dostęp do międzynarodowej sieci finansowej — powiedział mu Fürchtner. Trochę zaskoczył go wyraz osłupienia na twarzy Ostermanna.

— Co ma pan na myśli?

— Komputerowe kody dostępu do najważniejszych informacji.

— Ależ one są powszechnie znane. Każdy może z nich skorzystać — zaprotestował

Ostermann.

— Aha, na pewno. I dlatego wszyscy mieszkają w takich pałacach jak ten — wtrąciła Petra tonem, w którym pobrzmiwała ironia i rozbawienie.

— *Herr Ostermann* — powiedział Fürchtner cierpliwie. — Wiemy, że ludzie tacy jak pan utworzyli specjalną sieć informacyjną, żeby móc spekulować na wahaniach rynku. Ma nas pan za głupców?

Strach, jaki pojawił się na twarzy handlarza, rozbawił Hansa i Petrę. Aha, wiedzieli coś, czego mieli nie wiedzieć, a on wiedział, że potrafią go zmusić do mówienia. Aż nadto wyraźnie malowało mu się to na twarzy.

O Boże, myślą, że mam dostęp do czegoś, co w ogóle nie istnieje i nie zdołam ich przekonać, że się mylą.

— Wiemy, jak działają tacy ludzie jak pan — zapewniła go Petra, potwierdzając tylko słuszność jego obaw. — Wiemy, jak wy, kapitaliści, wymieniacie się informacjami i manipulujecie waszymi „wolnymi” rynkami. Cóż, powie nam pan, co chcemy wiedzieć albo pan zginie, razem ze swoimi sługusami. — Machnęła pistoletem w kierunku sekretariatu.

— Rozumiem. — Twarz Ostermanna była teraz równie biała jak jego koszula od Turnbulla i Assera. Spojrzał w stronę sekretariatu. Widział Gerhardta Denglera, który siedział, oparłszy ręce o blat biurka. Był tam jakiś system alarmowy? W tej chwili, pod presją wydarzeń, które tak brutalnie

przerwały mu normalny dotąd dzień, Ostermann nie mógł sobie tego przypomnieć.

W pierwszej kolejności policja zajęła się sprawdzeniem numerów rejestracyjnych pojazdów parkujących od frontu zamku. Samochód osobowy okazał się wynajęty. Furgonetka miała numery pojazdu, którego kradzież została zgłoszona dwa dni temu. Ekipa wywiadowców miała się niezwłocznie udać do agencji wynajmu samochodów. Może czegoś się dowiedzą.

Następnym posunięciem był telefon do pewnego biznesmena, z którym *Herr Ostermann* prowadził interesy. Policja musiała się dowiedzieć, ilu służących i pracowników Ostermanna może się w tej chwili znajdować w budynku. Kapitan Altmark oceniał, że wszystko to zajmie jakąś godzinę. Dysponował jeszcze trzema wozami policyjnymi. Jeden z nich, z dwoma funkcjonariuszami, objeżdżał właśnie posiadłość Ostermanna. Policjanci mieli gdzieś zaparkować i pieszo podejść na tyły zamku. Dwadzieścia minut po przybyciu na miejsce, Altmark poczynił więc już postępy, jeśli chodzi o zabezpieczenie terenu. Od razu dowiedział się, że Ostermann posiada śmigłowiec, i że maszyna stoi za domem. Był to amerykański śmigłowiec *Sikorsky S- 76B*, zabierający dwóch członków załogi i trzynastu pasażerów. W związku z tym taka musi być maksymalna łączna liczba zakładników i przestępców. Lądowisko znajdowało się w odległości dwustu metrów od zamku. Altmark uznał, że to ważne. Było niemal pewne, że przestępcy będą chcieli uciec śmigłowcem. Niestety, lądowisko było odległe o co najmniej trzysta metrów od linii drzew. To oznaczało, że potrzebni byli naprawdę dobrzy strzelcy wyborowi, ale dysponował takimi, w policyjnym oddziale antyterrorystycznym.

Wkrótce po zauważeniu śmigłowca i uzyskaniu informacji na jego temat, jeden z ludzi Altmarka odszukał załogę maszyny. Jeden z pilotów był w swoim domu, drugi w międzynarodowym porcie lotniczym Schwechat, gdzie omawiał plany modyfikacji jakiegoś samolotu z przedstawicielem producenta. Dobrze, pomyślał Willi Altmark. Na razie śmigłowiec nigdzie nie polecą. W tym czasie wiadomość o ataku na zamek Erwina Ostermanna dotarła już na najwyższe szczeble rządowe i oto kapitan otrzymał przez radio bardzo dziwne rozkazy od samego komendanta Staatspolizei.

Ledwie zdążyli na samolot. Właściwie to opóźniono odlot, żeby na nich zaczekać. Chavez dociągnął pas bezpieczeństwa, kiedy 737 odkołował od terminalu. Od razu zajął się — wspólnie z Price'em — przeglądaniem informacji, którymi dysponowali. Kiedy tylko samolot oderwał się od pasa, Price podłączył swój przenośny komputer do sieci telefonicznej na pokładzie samolotu.

Po chwili miał już na ekranie plan architektoniczny podpisany SCHLOSS OSTERMANN.

— Masz już coś? Kim jest ten facet? — spytał Chavez.

— Jeszcze chwilę, sir. — odpowiedział Price. — Chyba jakiś finansista, przyjaciel premiera swego kraju. Sądzę, że mamy już wyjaśnienie, dlaczego nas do tego wezwano.

— Tak — zgodził się Chavez. Dwie operacje z rzędu dla Drugiego Zespołu, pomyślał.

Spojrzał na zegarek. Jeszcze trochę ponad godzinę lotu i będą w Wiedniu. Zastanawiał się, czy dwa

akty terroryzmu w tak krótkim czasie, to czysty przypadek. Oczywiście, nie było tu żadnych reguł, a gdyby były, to i tak by je systematycznie łamano. Ale mimo wszystko... Nie, nie czas teraz na takie rozmyślenia. Zamiast tego, Chavez zajął się informacjami, przychodzącymi do laptopa Price'a. Zaczął się też zastanawiać, co trzeba będzie robić w tej sytuacji. Jego ludzie siedzieli z tyłu, zajmawszy miejsca w klasie turystycznej. Większość czytała jakieś książki w miękkiej oprawie; prawie nie rozmawiali na temat zbliżającej się akcji, bo też nie bardzo mieli o czym mówić. Właściwie wiedzieli tylko dokąd lecą.

— Cholernie rozległy teren — zauważył Price po paru minutach.

— Wiadomo już coś o opozycji? — spytał Ding i pomyślał, że zaczyna nabierać brytyjskich nawyków językowych. Opozycja? Jeszcze niedawno powiedziałby „bandyci”.

— Nic — odpowiedział Eddie Price. — Nie wiemy, kim są, ani ilu ich jest.

— Cudownie — mruknął dowódca Drugiego Zespołu, wpatrując się w ekran laptopa.

Telefonami już się zajęto. Altmark zatroszczył się o to na samym początku. Ci, którzy dzwonili do zamku, słyszeli w słuchawce ciągły sygnał. Rozmowy wychodzące miały być nagrywane w centrali telefonicznej, ale dotąd nikt z zamku nie telefonował. Kapitan Altmark doszedł do wniosku, że wszyscy przestępcy muszą być w środku, skoro nie próbują się skontaktować z kimś z zewnątrz. Chyba że korzystali z telefonów komórkowych... Nie dysponował sprzętem do przechwytywania takich rozmów, ale przynajmniej dopilnował, by zajęto się trzema znanymi numerami komórkowymi Ostermanna.

Na miejscu było teraz trzydziestu funkcjonariuszy Staatspolizei, a teren był przyzwoicie zabezpieczony. Za drzewami stał nawet pojazd opancerzony. Policjanci zatrzymali jadący do zamku samochód dostawczy z pilnymi przesyłkami. Poza tym nikt nie próbował podjechać. Jak na kogoś tak bogatego, Ostermann doprawdy prowadzi bardzo spokojne i skromne życie, pomyślał kapitan. Spodziewał się raczej całej parady pojazdów.

— Hans?

— Tak, Petra?

— Telefony nie dzwonią. Jesteśmy tu już jakiś czas, a jeszcze nikt nie dzwonił.

— Korzystam głównie z poczty elektronicznej — powiedział Ostermann, który również zwrócił uwagę na milczące telefony. Może więc jednak Gerhardt uruchomił alarm? A jeśli tak, czy to dobrze? Nie miał pojęcia. Ostermann nie raz mówił żartem, jaka mordercza jest jego profesja, jak na każdym kroku czai się niebezpieczeństwo, bo konkurencja ograbiłaby go doszczętnie, gdyby tylko miała szansę... Ale przecież żaden z konkurentów nigdy nie groził mu śmiercią, żaden nie przystawił pistoletu do głowy ani jemu, ani nikomu z jego ludzi. Ostermann zużył resztki obiektywizmu na uzmysłowienie sobie, że znalazł się w zupełnie nowej, niebezpiecznej sytuacji, z jaką nigdy się poważnie nie liczył, o której wiedział bardzo mało i przed którą nie miał się jak bronić. Jedyną przydatną w tej chwili umiejętnością była zdolność czytania w twarzach ludzi i chociaż nigdy nie

spotkał nikogo z gatunku tych dwojga, którzy byli teraz w jego biurze, wyczytał dosyć, żeby zacząć się bać jeszcze bardziej. Oboje, ale przede wszystkim ta kobieta, byli gotowi go zabić bez najmniejszych skrupułów, równie beznamiętnie, jak on brał do ręki amerykańskie obligacje rządowe warte milion dolarów. Nie wiedzieli, jak wielką wartość ma jego życie? Nie wiedzieli, że...

Nie, nie wiedzieli, uświadomił sobie Erwin Ostermann. Nie wiedzieli i nic ich to nie obchodziło. Gorzej — wydawało im się, że coś wiedzą, ale to nie była prawda. Zdawał sobie jednak sprawę, że trudno będzie ich o tym przekonać.

Telefon w końcu jednak zadzwonił. Kobieta dała mu znak, żeby odebrał.

— *Hier ist Ostermann* — powiedział, podniósłszy słuchawkę. Mężczyzna przysłuchiwał się rozmowie z drugiego aparatu.

— *Herr Ostermann*, tu kapitan Wilhelm Altmark, Staatspolizei. Jak rozumiem, ma pan gości?

— Tak, kapitanie — odpowiedział Ostermann.

— Czy mógłbym z nimi porozmawiać? — Ostermann tylko spojrzał na Hansa Fürchtnera.

— Długo to trwało, Altmark — powiedział Hans. — Skąd się dowiedzieliście?

— Nie proszę pana o ujawnianie mi pańskich tajemnic, więc niech i pan nie pyta o moje

— odparł chłodno kapitan. — Chciałbym wiedzieć, kim jesteście i czego chcecie.

— Komendant Wolfgang z Frakcji Czerwonych Robotników.

— Czego pan chce?

— Żądamy zwolnienia kilku przyjaciół z różnych więzień oraz transportu na lotnisko międzynarodowe Schwechat. Następnie żądamy samolotu pasażerskiego o zasięgu ponad pięciu tysięcy kilometrów, z załogą. Cel podróży podamy, kiedy już znajdziemy się na pokładzie samolotu. Jeśli nasze żądania nie zostaną spełnione do północy, zaczniemy zabijać naszych...

gospodarzy.

— Rozumiem. Ma pan listę więźniów, których zwolnienia żądacie?

Hans wyciągnął rękę w kierunku Petry. — Podaj mi listę. — Podeszła i podała mu ją. W

rzeczywistości nie spodziewali się spełnienia tego żądania, ale był to element planu, więc trzeba było trzymać się reguł. W drodze do zamku doszli do przekonania, że na pewno będą musieli zabić jednego zakładnika, a prawdopodobnie dwóch, zanim otrzymają środek transportu na lotnisko.

Sekretarz, Gerhardt Dengler, zostanie zabity pierwszy, pomyślał Hans, a potem jedna z kobiet. Ani on, ani Petra nie chcieli zabijać nikogo ze służby, ponieważ byli to autentyczni ludzie pracy, a nie sługusy kapitalistów, jak ci, którzy pracowali w biurze. — Oto lista, kapitanie Altmark.

— Dobra — powiedział Price. — Mamy listę ludzi, których uwolnienia domagają się nasi przyjaciele. — Przetastawił laptopa tak, żeby i Chavez mógł patrzeć na ekran.

— Nic szczególnego. Mówi nam to coś, Eddie?

Price pokręcił głową. — Chyba nie. Te nazwiska można było wziąć z gazet.

— No więc, po co to robią?

— Doktor Bellow wyjaśni, że muszą, aby okazać solidarność ze swymi kamratami, podczas gdy w rzeczywistości to wszystko socjopaci, których nie obchodzi nikt oprócz ich samych. — Price wzruszył ramionami. — Krykiet ma swoje zasady. Ma je również terroryzm...

— Kapitan samolotu przerwał te rewelacje, prosząc o zapięcie pasów i złożenie stolików przed lądowaniem.

— Niedługo się zaczniesz, Eddie.

— Rzeczywiście, Ding.

— Więc to tylko solidarnościowe bzdury? — spytał Ding, stukając palcem w ekran.

— Najprawdopodobniej tak. — Powiedziawszy to, Eddie odłączył komputer od telefonu, zapisał pliki i wyłączył laptopa. Dwanaście rzędów dalej Tim Noonan zrobił to samo. Wszyscy członkowie Drugiego Zespołu przybrali neutralny wyraz twarzy, kiedy 737 British Airways zaczął podchodzić do lądowania w Wiedniu. Ich przylot ktoś już zapowiedział przez telefon.

Samolot bez straty czasu podkołował do terminalu. Chavez zobaczył przez okno ciężarówkę, stojącą obok terminalu i paru policjantów.

Ich przylot nie pozostał całkiem niezauważony. Zwrócił na niego uwagę kontroler w wieży, który kilka minut wcześniej zorientował się, że samolot Sabeny, który miał lądować przed maszyną brytyjską, zupełnie niepotrzebnie otrzymał polecenie wykonania dodatkowego kręgu. W

wieży kontrolnej był też bardzo wysoki rangą policjant, który szczególnie interesował się lotem British Airways. I jeszcze ten zupełnie niepotrzebny dodatkowy wózek bagażowy, podstawiony na stanowisko A-4 w eskorcie dwóch samochodów policyjnych. Co tu się działo? Kontroler wcale się nie musiał wysilać, żeby obserwować rozwój wydarzeń. Miał nawet lornetkę Zeissa.

Stewardesie nikt nie mówił, żeby wypuścić Drugi Zespół przed innymi pasażerami, ale i tak miała wrażenie, że ci ludzie są jacyś inni. Ich nazwisk nie było na liście pasażerów, zachowywali się uprzejmiej niż zwykli podróżni. Wyglądali normalnie, nic szczególnego, ale wszyscy sprawiali wrażenie bardzo wysportowanych. Weszli na pokład razem i skierowali się na swoje miejsca w



dziwnie zorganizowany sposób. Kiedy otworzyła drzwi samolotu, zobaczyła, że w rękawie czeka policjant. Nie uśmiechnął się i nic nie powiedział, kiedy wskazała drogę stojącym już pasażerom. Trzech z pierwszej klasy zatrzymało się przy policjancie. Zamienili z nim parę słów, po czym skierowali się do przejścia służbowego, przez które schodami wychodziło się prosto na płytę lotniska. Stewardesa, która zaczytywała się w kryminałach, pomyślała, że warto popatrzeć, kto jeszcze tamtędy wyjdzie. W sumie było ich trzynastu, wszyscy ci, przez których trzeba było opóźnić odlot. Przyglądała im się, kiedy wychodzili; prawie każdy posyłał jej uśmiech na pożegnanie. Przystojne twarze, a przynajmniej większość...

Takie męskie, pewne siebie. I coś jeszcze, jakby czujność...

— *Aurevoir, mademoiselle* — powiedział wychodząc ostatni z tej grupy, uśmiechnął się czarująco i obrzucił dziewczynę bardzo galijskim, taksującym spojrzeniem.

— *Chryste, Louis* — jęknął jakiś amerykański głos. — Nigdy nie przestaniesz?

— Czy to zbrodnia spojrzeć na ładną kobietę, George? — spytał Loïselle i mrugnął znacząco.

— Chyba nie. Może będziemy z nią wracać — powiedział sierżant Tomlinson. Była naprawdę ładna, ale Tomlinson miał żonę i czworo dzieci. Louis Loïselle żadnej dziewczynie nie przepuścił. Może leży to w naturze Francuzów, pomyślał Tomlinson. Na dole reszta zespołu czekała już na nich. Noonan i Steve Lincoln pilnowali przeładunku bagażu.

Trzy minuty później dwa samochody z ludźmi z Drugiego Zespołu odjechały spod terminalu z policyjną eskortą. Widział to kontroler, którego brat był reporterem kroniki policyjnej w jednej z lokalnych gazet. Gliniarz, który był w wieży, wyszedł, mruknąwszy tylko: — *Danke*.

Dwadzieścia minut później samochody zatrzymały się przed bramą wjazdową do posiadłości Ostermanna. Chavez podszedł do najstarszego stopniem policjanta.

— Dobry wieczór, jestem major Chavez, a to doktor Bellow i sierżant Price — powiedział, zaskoczony, że tamten mu salutuje.

— Kapitan Wilhelm Altmark — przedstawił się policjant.

— Co już wiemy?

— Wiemy, że w środku jest co najmniej dwójka przestępców, prawdopodobnie więcej, ale dokładnej liczby nie znamy. Wie pan, jakie są ich żądania?

— Samolot. Ultimatum upływa o północy.

— Zgadza się. Przez ostatnią godzinę nic się tu nie zmieniło.

— Jeszcze jedno. Jak chcą się dostać na lotnisko? — spytał Ding.

— *Herr Ostermann* ma prywatny śmigłowiec. Lądowisko znajduje się około dwustu metrów za domem.

— Piloci?

— Tam stoją. — Altman pokazał ręką. — Nasi przyjaciele nie poprosili jeszcze o śmigłowiec na lotnisko, ale takie rozwiązanie wydaje się najbardziej prawdopodobne.

— Kto jest z nimi w kontakcie? — spytał doktor Bellow zza pleców Chaveza, nad którym wyraźnie górował wzrostem.

— Ja — odpowiedział kapitan Altmark.

— Dobrze. Musimy porozmawiać, kapitanie.

Chavez podszedł do samochodu, którym tu przyjechali, żeby przebrać się, podobnie jak reszta zespołu. Na tę nocną operację — słońce właśnie zachodziło — wybrali nie czerń, lecz kamuflażową zieleń. Pod kombinezonami mieli kamizelki kuloodporne. Załadowali i zabezpieczyli broń. Dziesięć minut później zespół znalazł się już na linii drzew. Wszyscy obserwowali zamek przez lornetki.

— Elegancka okolica — powiedział Homer Johnston. — Mnóstwo okien, Dieter.

— *Ja* — zgodził się Niemiec.

— Gdzie mamy się ustawić, szefie? — spytał Homer Chaveza.

— Z tyłu, po obu stronach, tak, żeby lądowisko śmigłowcowe było w krzyżowym ogniu.

Ruszajcie. Zgłoście się przez radio, kiedy będziecie gotowi. Wiecie, o co chodzi.

— Będziemy natychmiast meldować przez radio, kiedy tylko coś zauważymy, *Herr Major* — potwierdził Weber. Obaj snajperzy wzięli futerały ze swymi karabinami i ruszyli w kierunku samochodów lokalnej policji.

— Dysponujemy rozkładem wnętrza? — spytał Chavez Altmarka.

— Rozkładem? — spytał austriacki policjant.

— No, planem, szkicem — wyjaśnił Ding.

— Ach, tak, proszę. — Altmark poprowadził ich do samochodu, na którego masce rozłożone były plany zamku. — Spójrzcie. Czterdzieści sześć pomieszczeń, nie licząc piwnic.

— Boże! — jęknął Chavez. — Więcej niż jedna piwnica?

— Trzy. Dwie pod skrzydłem zachodnim. W jednej przechowywane są wina, w drugiej jest chłodnia. Piwnica pod skrzydłem wschodnim stoi pusta. Są tam drzwi, ale pewnie zamknięte na głucho. Część środkowa nie jest podpiwniczona. *Schloss* został zbudowany w osiemnastym wieku. Ściany zewnętrzne i niektóre wewnętrzne są z kamienia.

— Boże, toż to zamek warowny — zauważył Ding.

— *Schloss* znaczy właśnie zamek, *Herr* Major — poinformował go Altmak.

— Doktorze?

Bellow podszedł do nich. — Z tego, co powiedział mi kapitan Altmak, wynika, że jak dotąd zachowują się dość profesjonalnie. Żadnych historycznych gróźb. Zażądali transportu na lotnisko. Mówią, że jeśli żądanie nie zostanie spełnione do północy, zaczną zabijać zakładników.

Mówią po niemiecku, z niemieckim akcentem, tak, kapitanie?

Altmak skinął głową. — *Ja*, to Niemcy, nie Austriacy. Podali dotąd tylko jedno imię, Wolfgang. Jest dość popularne. Nic nam nie wiadomo o żadnym przestępcy, czy terroryście o tym imieniu, albo pseudonimie. Powiedział, że są z Frakcji Czerwonych Robotników, ale nic nam nie wiadomo o takiej organizacji.

W Tęczy też o niej nie słyszano. — Czyli wiemy raczej niewiele? — spytał Chavez Bellowa.

— Bardzo niewiele, Ding — odpowiedział psychiatra. — No dobrze, zastanówmy się nad tym, co wiemy — kontynuował. — Nie jest to misja samobójcza. Traktują swe zadanie poważnie. Jeśli czymś grożą, to będą próbowali spełnić tę groźbę. Dotąd nikogo nie zabili, co znaczy, że nie są głupi. Nie wystąpili dotąd z nowymi żądaniem, ale prawdopodobnie wkrótce wystąpią...

— Skąd pan to wie? — spytał Altmak, który też był zdziwiony brakiem kolejnych żądań.

— Będą chcieli z nami rozmawiać, kiedy się ściemni. Zauważył pan, że nie pozapalali świateł?

— Zauważyłem, ale co to znaczy?

— To znaczy, że uważają, iż ciemność im sprzyja, a to z kolei znaczy, że będą chcieli ją wykorzystać. I to ultimatum o północy. Kiedy się ściemni, będzie już mniej czasu.

— Jest pełnia — zauważył Price. — I niewiele chmur.

— Tak — potwierdził Ding trochę zatroskany, spojrzawszy w niebo. — Kapitanie, dałoby się zorganizować jakieś reflektory?

— Straż pożarna na pewno coś znajdzie — powiedział Altmak.

— Czy mógłby pan poprosić, żeby je tu dostarczono?

— Tak jest. *Herr* Doktor?

— Tak? — spytał Bellow.

— Powiedzieli, że jeśli do północy nie dostaną tego, czego zażądali, zaczną zabijać zakładników. Sądzi pan...

— Tak, kapitanie, musimy potraktować tę groźbę bardzo poważnie. Jak już powiedziałem, zachowują się jak ludzie poważni, dobrze wyszkoleni i zdyscyplinowani. Możemy to wykorzystać do naszych celów.

— Jak? — spytał Altmark. Odpowiedział mu Ding.

— Damy im, czego chcą, pozwolimy im sądzić, że panują nad sytuacją, dopóki sami nie przejmą kontroli. Będziemy podbudowywać ich ego, wbijać ich w dumę, dopóki będziemy musieli, a potem, kiedy uznamy, że chwila jest odpowiednia, przestaniemy to robić.

Pod nadzorem ludzi Fürchtnera kucharze przygotowali kanapki i mocno przestraszeni służący zaczęli je roznosić. Jak można się było spodziewać, pracownicy Ostermanna nie mieli apetytu, w odróżnieniu od nieproszonych gości.

Hans i Petra uważali, że sprawy układają się dobrze. Wzięli najważniejszego zakładnika, jego lokaje byli w tym samym pomieszczeniu, w pobliżu znajdowała się prywatna łazienka Ostermanna — zakładnikom była potrzebna i pozbawianie ich tego przybytku nie miałoby sensu.

W warunkach uwłaczających godności ludzkiej, zakładnicy stawali się desperatami, a tego należało uniknąć. Zdesperowani ludzie popełniają głupstwa, a Hansowi i Petrze zależało w tej chwili na pełnej kontroli.

Gerhardt Dengler siedział na krześle po drugiej stronie biurka swego pracodawcy.

Wiedział, że udało mu się zaalarmować policję i, podobnie jak jego szef, zastanawiał się teraz, czy to dobrze, czy źle. Planował usamodzielnienie się w ciągu dwóch lat i przypuszczał, że będzie mógł liczyć na pomoc Ostermanna. Wiele nauczył się od swojego szefa, jak w wojsku adiutant od generała. Tyle że on forsował swoją karierę szybciej i bardziej niezawodnie niż jakiś adiutant. Jak wiele zawdzięczał Ostermannowi? Czego wymagała ta sytuacja? Dengler nie był do niej lepiej przygotowany niż *Herr* Ostermann, ale był młodszy, sprawniejszy fizycznie...

Jedna z sekretarek szlochała cicho, a po policzkach spływały jej łzy przerażenia i gniewu, że tak okrutnie zakłócono jej spokojne dotąd życie. Co było nie w porządku z tymi dwojgiem, że sądzili, iż wolno im włączyć z butami w życie innych ludzi, ba, grozić im śmiercią. Nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Potrafiła przełączać rozmowy telefoniczne, wykonywać papierkową robotę, pilnować pieniędzy *Herr* Ostermanna i radziła sobie z tym tak dobrze, że była prawdopodobnie najlepiej

płatną sekretarką w swoim kraju. *Herr* Ostermann był hojnym szefem, a w dodatku miał zawsze dobre słowo dla swego personelu. Pomógł jej i jej mężowi —

kamieniarzowi z zawodu — rozsądnie zainwestować pieniądze i była to pomoc tak cenna, że wkrótce oboje powinni być milionerami. Zaczęła u niego pracować na długo przedtem, zanim jego żona umarła na raka, widziała, jak bardzo wtedy cierpiał, ale nie była w stanie nic zrobić, żeby złagodzić jego ból, a później radowała się razem z nim, kiedy poznał Ursel von Prinze i znów mógł się zacząć uśmiechać...

Kim byli ci ludzie, którzy patrzyli na nich, jak na przedmioty? Mieli broń, zupełnie jak na jakimś filmie — tylko że ona sama, Gerhardt i inni nie byli tym razem biernymi widzami, nie mogli pójść do kuchni po piwo i precele. Ten dramat rozgrywał się naprawdę i musieli dotrzeć do końca. Płakała więc nad własną bezsilnością, a Petra Dortmund patrzyła na nią z pogardą.

Homer Johnston był ubrany w swój kombinezon w barwach ochronnych, uszyty z kawałków tak dobranych, żeby wyglądał jak krzak, czy sterta liści, obojętne co, byle nie jak człowiek z karabinem. Karabin był ustawiony na dwójnogu, osłony z przodu i z tyłu celownika optycznego zostały odsunięte. Wybrał dobre miejsce na wschód od lądowiska śmigłowcowego

— miał w polu widzenia cały obszar między śmigłowcem a zamkiem. Dzięki laserowemu dalmierzowi wiedział, że znajduje się 216 metrów od drzwi na tyłach zamku i 147 metrów od lewych przednich drzwi śmigłowca. Leżał na brzuchu na pięknie utrzymanym trawniku, w cieniu, rzucanym przez pobliskie drzewa. Zapach koni, który wisiał w powietrzu, przypominał

mu dzieciństwo na Północnym Zachodzie USA. Włączył radio.

— Dowódca, tu snajper Dwa-Jeden.

— Snajper Dwa-Jeden, tu dowódca.

— Zainstalowałem się. W zamku nie widać żadnego ruchu.

— Snajper Dwa-Dwa również na pozycji. Też żadnego ruchu — zameldował sierżant Weber ze swego miejsca, dwieście pięćdziesiąt sześć metrów od Johnstona. Homer odwrócił

głowę, żeby spojrzeć, gdzie jest Dieter. Niemiec wybrał dobre miejsce.

— *Achtung* — usłyszał za plecami. Johnston odwrócił się i zobaczył, że przez trawnik zbliża się do niego austriacki policjant. — *Hier* — powiedział, podając Homerowi kilka fotografii i czym prędzej się wycofał. Johnston zaczął się im przyglądać. Zdjęcia zakładników.

Bardzo dobrze. Niestety, nie mieli fotografii terrorystów. Cóż, wiedział teraz przynajmniej, do kogo nie strzelać. Odsunął się od karabinu, sięgnął po wojskową lornetkę i zaczął uważnie przyglądać się budowli. Powoli przesunął lornetkę od lewej do prawej i z powrotem. — Dieter?

— powiedział do mikrofonu.

— Tak, Homer?

— Podrzucili ci zdjęcia?

— Tak, mam je.

— W środku nie palą się światła...

— *Ja*, nasi przyjaciele są sprytni.

— Za jakieś pół godziny będziemy musieli przejść na gogle noktowizyjne.

— Też tak sądzę, Homer.

Johnston chrząknął i odwrócił się, żeby zajrzeć do torby, którą przyniósł wraz z wartym 10 tysięcy dolarów karabinem. Następnie znów zaczął obserwować budynek, cierpliwie, jak myśliwy, który obserwuje górską ścieżkę, zacziawszy się na jelenia... Uśmiechnął się na tę myśl; polował od dziecka... smak dziczyzny, zwłaszcza upieczonej nad ogniskiem... łyk kawy z niebieskiego, emaliowanego kubka... i te rozmowy po udanych łowach... Spokojnie, Homer, to, co tutaj upolujesz, nie nadaje się do jedzenia, powiedział sobie sierżant, cierpliwie obserwując budynek. Sięgnął do kieszeni po kawałek suszonej wołowiny, którą lubił żuć.

Po drugiej stronie posiadłości Eddie Price zapalił fajkę. Zamek nie jest tak duży jak pałac Kensington, ale ładniejszy, pomyślał. Zmarszczył brwi. Rozmawiali o tym, kiedy służył w SAS.

Co by było, gdyby terroryści — zwykle mieli na myśli Irlandczyków z PIRA lub INLA —

zaatakowali którąś z rezydencji królewskich... może nawet sam pałac Buckingham. Ludziom z SAS umożliwiono wejście do tych budowli, żeby mogli się zorientować w rozkładzie wnętrza, w systemach alarmowych i zwrócić uwagę na ewentualne problemy. Do dziś przebiegały go ciarki, kiedy wspominał, jak w latach osiemdziesiątych jakiś wariat przedostał się do pałacu Buckingham i wmaszerował do sypialni królowej.

Koniec ze wspomnieniami. Miał teraz na głowie ten *Schloss*. Wrócił do studiowania planów budowli.

— Z naszego punktu widzenia tam w środku jest koszmar, Ding — powiedział w końcu.

— Wszystkie podłogi drewniane, prawdopodobnie skrzypią, mnóstwo zakamarków, w których tamci mogą się schować i wziąć nas na muszkę. Przydałby się śmigłowiec. — Ale nie mieli śmigłowca. Pomyślał, że trzeba będzie o tym porozmawiać z Clarkiem. Widać było wyraźnie, że nie wszystko zdążyli przemyśleć do końca. Za szybko to poszło. Potrzebowali nie tyle śmigłowca, co dobrych pilotów, przeszkolonych na więcej niż jednym typie śmigłowca, ponieważ nie sposób powiedzieć, jaką maszyną będą dysponować podczas operacji za granicą.

Chavez odwrócił się do Bellowa. — Doktorze?

Psychiatra podszedł bliżej. — Słucham, Ding.

— Zaczyna mi się coś rysować. Myślę, że chyba lepiej będzie wypuścić ich, pozwolić im pójść w kierunku śmigłowca za domem i zdjąć ich po drodze, zamiast wdzierać się do środka.

— Nie za wcześnie na to?

Chavez skinął głową. — Tak, zgoda, ale przecież nie chcemy stracić żadnego zakładnika, a mówił pan, że ich groźbę trzeba traktować poważnie. O północy...

— Może uda się ich nakłonić, żeby przesunęli trochę ultimatum. To moje zadanie. Będę z nimi rozmawiał przez telefon.

— Rozumiem, ale wolę, żebyśmy wkroczyli do akcji w ciemnościach. To znaczy, jeszcze tej nocy. Nie mogę liczyć na to, że nakłoni ich pan do poddania się. Ale może jest pan innego zdania?

— Nakłonić ich do złożenia broni? Możliwe, ale mało prawdopodobne — musiał przyznać Bellow. Nie był nawet pewien, czy uda mu się nakłonić ich do przesunięcia ultimatum.

— A teraz trzeba zobaczyć, czy nie dałoby się zainstalować podsłuchu i podglądu.

— Tutaj jestem — odezwał się Noonan. — Nie powiem, masz wymagania.

— Możesz to zrobić?

— Prawdopodobnie uda mi się podejść tak, żeby mnie nie zauważyli, ale przecież tam jest ponad sto okien, a poza tym, jak, do cholery, mam się dostać do tych na pierwszym i drugim piętrze? Chyba że miałbym do dyspozycji śmigłowiec i mógłbym zjechać po linie na dach... — A to z kolei oznaczałoby konieczność dopilnowania, żeby ekipa telewizyjna, która przybyła już na miejsce, co zresztą było równie pewne, jak to, że sępy przylecą do padłej krowy, wyłączyła kamery i nie włączała ich przez jakiś czas. Groziło to jednak zaalarmowaniem terrorystów, którzy na pewno zwróciliby uwagę, że reporterzy telewizyjni nagle stracili zainteresowanie. Poza tym, musieliby przecież zauważyć śmigłowiec, przelatujący dziesięć metrów nad dachem. A może wystawili już strażę na dachu?

— Sprawy się komplikują — powiedział Chavez.

— Jest już dostatecznie ciemno i chłodno, żeby zacząć obserwację w podczerwieni — zaproponował Noonan.

— Dobra. — Chavez sięgnął po mikrofon. — Zespół, tu dowódca, przejdźcie na podczerwień. Powtarzam, przejdźcie na podczerwień. — Odwrócił się i spytał: — A co z telefonami komórkowymi?

Noonan mógł jedynie wzruszyć ramionami. W pobliżu było jakichś trzystu cywilów, oczywiście nie za blisko posiadłości Ostermanna i pod baczynym okiem policji, ale większość z nich miała w polu

widzenia zamek i okolice, więc jeśli choćby jeden z nich miał telefon komórkowy i ktoś w środku również, ten anonimowy ktoś na zewnątrz mógł po prostu zatelefonować do swych kumpli w zamku i powiedzieć im, co się dzieje. Cuda nowoczesnej łączności w równym stopniu służyły policjantom i złodziejom. Telefonia komórkowa korzystała z ponad pięciuset pasm częstotliwości i w Tęczy nie dysponowali sprzętem, który umożliwiałby zapanowanie nad nimi wszystkimi. O ile wiedzieli, telefony komórkowe nie zostały dotąd wykorzystane podczas operacji terrorystycznych, ale przecież nie ulegało kwestii, że terroryści, którzy przecież nie byli głupcami, prędzej czy później dostrzegą zalety tej formy łączności.

Chavez spojrział na *Schloss* i znów pomyślał, że będą musieli wyciągnąć terrorystów na zewnątrz.

Był jednak pewien problem — nie wiedział, z iloma terrorystami będą mieli do czynienia i nie mógł się tego dowiedzieć bez zainstalowania podsłuchu i podglądu, na co jednak trudno było liczyć, biorąc pod uwagę wszystkie niesprzyjające okoliczności, o których dopiero co rozmawiali.

— Tim, pamiętaj, że po powrocie trzeba się będzie zająć problemem telefonów komórkowych i radiostacji. Kapitanie Altmark!

— Tak, majorze Chavez?

— Dostarczono już reflektory?

— Przed chwilą. Są trzy zestawy. — Altmark wskazał je ręką. Price i Chavez poszli je obejrzeć. Zobaczyli trzy ciężarówki straży pożarnej z masztami, do których przymocowane były reflektory, bardzo podobne do tych, jakich używa się do oświetlania stadionów piłkarskich.

Reflektory, zasilane z pojazdów, na których były zamontowane, można było unieść, rozsuwając maszty. Chavez powiedział Altmarkowi, gdzie należy je ustawić.

Skanery na podczerwień rejestrowały i obrazowały różnice temperatur. Wieczór robił się chłodny; wraz ze spadkiem temperatury powietrza stygły również mury zamku. Okna, słabo izolowane mimo grubych zasłon, dawały już jaśniejszy obraz niż ściany, ponieważ wydostawało się przez nie ciepło z ogrzewanego wnętrza. Dieter Weber pierwszy coś zauważył.

— Dowódca, tu snajper Dwa-Dwa, mam cel termiczny na parterze, czwarte okno od strony zachodniej, wygląda na zewnątrz zza zasłony.

— Dobra. To w kuchni — powiedział Hank Patterson, który cały czas wpatrywał się w plany budowlane. — To będzie Numer Jeden. Jakies szczegóły, Dieter?

— Żadnych. Tylko sylwetka — odpowiedział niemiecki snajper. — Nie, zaczekaj... To ktoś wysoki, prawdopodobnie mężczyzna.

— Tu Pierce, mam jednego. Parter, strona wschodnia, drugie okno od zewnątrz.

— Kapitanie Altmark?



— *Ja?*

— Czy zechciałby pan zadzwonić do biura Ostermanna? Chcemy wiedzieć, czy tam jest.

— Bo jeśli tak, to będzie go tam ktoś pilnować, jeden, albo dwóch.

— Biuro Ostermanna — rozległ się w słuchawce kobiecy głos.

— Tu kapitan Altmark. Z kim mówię?

— Komendant Gertruda z Frakcji Czerwonych Robotników.

— Przepraszam, ale chciałem rozmawiać z komendantem Wolfgangiem.

— Chwileczkę — powiedziała Petra.

— *Hier ist Wolfgang.*

— *Hier ist Altmark.* Długo się pan nie odzywał.

— Jakie macie dla nas wiadomości?

— Żadnych, ale mamy prośbę, panie komendancie.

— O co chodzi?

— O gest dobrej woli — powiedział Altmark. Doktor Bellow przysłuchiwał się rozmowie, mając koło siebie tłumacza. — Chcemy, żebyście uwolnili dwóch zakładników, może kogoś ze służby.

— *Wofür?* Żeby pomogli nas zidentyfikować?

— Lincoln do dowódcy. Mam cel. Narożne okno, północny zachód. Wysoki, prawdopodobnie mężczyzna.

— Trzy plus dwa — policzył Chavez, a Patterson umieścił na planie kolejne żółte kółka z folii samoprzylepnej.

Kobieta, która odebrała telefon, pozostała na linii. — Macie trzy godziny. Potem oddamy wam zakładnika, martwego — powiedziała z naciskiem. — Jasne? Żądamy pilota do śmigłowca Ostermanna, jeszcze przed północą, a na lotnisku ma czekać samolot pasażerski. Jeśli nie spełnicie tych żądań, zabijemy zakładnika, żeby pokazać, że nie żartujemy. Potem będziemy zabijać następnych zakładników w regularnych odstępach czasu. Rozumiecie?

— Ależ proszę mi wierzyć, wiemy, że sprawa jest poważna — zapewnił ją Altmark. —

Właśnie szukamy załogi śmigłowca i rozmawiamy z Austrian Airlines na temat samolotu.

Przecież sami wiecie, że to musi potrwać.

— Tacy jak pan zawsze tak mówią. Przekazaliśmy wam nasze żądania. Jeśli ich nie spełnicie, krew zakładników będzie na waszych rękach. *Ende* — powiedział kobiecy głos i połączenie zostało przerwane.

Kapitan Altmark był zaskoczony i zaniepokojony zimnym zdecydowaniem tych ludzi i bezceremonialnym przerwaniem połączenia. Spojrzał na Paula Bellowa, odkładając słuchawkę. -

*Herr Doktor?*

— Oboje są inteligentni, ale to ta kobieta jest niebezpieczna. Nie ulega kwestii, że wszystko dokładnie przemyśleli. Jest pewne jak *amen* w pacierzu, że nie zawahają się zabić zakładnika.

— Mężczyzna i kobieta — mówił Price przez telefon. — Niemcy, wiek... chyba około czterdziestu lat, może starsi. Nie żartują.

— Dziękuję, Eddie, nie rozłączaj się — powiedział Bill Tawney. Price słyszał stukanie palców w klawiaturę.

— Dobrze, chłopcze, mam dla ciebie trzy pary, które pasują do twojego opisu. Poczekaj, już ci to wysyłam.

— Dziękuję, sir. — Price znów otworzył laptopa. — Ding?

— Tak?

— Nadchodzą informacje.

— Szefie, terrorystów jest przynajmniej piątka — powiedział Patterson, wodząc palcem po planie.

— Tutaj, tutaj i tutaj i jeszcze dwóch tu na górze. Takie rozmieszczenie wydaje się sensowne.

Prawdopodobnie kontaktują się przez radio. Dom jest za duży, żeby do siebie krzyczeć.

Usłyszawszy to, Noonan podszedł do swojego sprzętu radiowego. Jeśli korzystali z radiotelefonów, to urządzenia te pracowały na dobrze znanej częstotliwości, określonej nawet w jakimś układzie międzynarodowym. Mało prawdopodobne, żeby posługiwali się urządzeniami wojskowymi i prawdopodobnie ta łączność nie była kodowana. W ciągu paru sekund uruchomił

komputerowy skaner i rozstawił anteny, mające mu umożliwić triangulację nadajników w budynku.

Sygnały antenowe były wprowadzane do laptopa, obrazowane graficznie i nakładane na szkic budynku. Zastanawiał się, ilu pomocników miała ze sobą dwójka terrorystów. Dwóch?

Chyba za mało. Raczej trzech, chociaż w furgonetce, która stała przed wejściem, bez trudu mogło ich się zmieścić więcej. Czterech? Pięciu? Ale przecież wszyscy zamierzali się stąd wydostać, a śmigłowiec nie był wcale taki wielki. Ostatecznie oszacował, że terrorystów jest nie mniej niż pięcioro i raczej nie więcej niż siedmioro. Były to jednak tylko przypuszczenia, a przecież nie mogli opierać się na przypuszczeniach... W każdym razie starali się tego unikać. Zawsze jednak był to jakiś

początek. Tyle niewiadomych. A jeśli nie korzystają z przenośnych radiostacji? A jeśli posługują się telefonami komórkowymi? Takie pytania można by mnożyć, pomyślał

Noonan. Trzeba było od czegoś zacząć, zebrać tyle informacji, ile się tylko da, a potem działać na ich podstawie. Problem polegał na tym, że z reguły to druga strona decydowała o tempie rozwoju wydarzeń. Mimo całej swej głupoty i przestępczych zamiarów, co Noonan uważał za słabość, to tamci decydowali, kiedy co się stanie. Można było próbować ugłaskać ich trochę — to należało do doktora Bellowa — ale w końcu to tamci byli gotowi mordować, i trzeba się było z tym liczyć. Zakładników było dziesięcioro. Ostermann, trójka jego pracowników i sześcioro służby. Wszyscy mieli rodziny i, oczywiście, wszyscy chcieliby się jeszcze z nimi zobaczyć.

Drugi Zespół miał zadbać o to, żeby tak właśnie się stało. Ale terroryści ciągle jeszcze panowali nad sytuacją, co bardzo nie podobało się agentowi specjalnemu Federalnego Biura Śledczego.

Nie po raz pierwszy żałował, że nie jest jednym ze strzelców, że nie będzie mógł, kiedy już nadejdzie odpowiednia pora, wkroczyć do akcji z bronią w ręku. Ale chociaż dobrze strzelał i był

w niezłej formie fizycznej, jeszcze lepiej znał się na technicznych aspektach tej misji. W tej dziedzinie był ekspertem i najlepiej mógł się przysłużyć całej operacji, trzymając się swych urzędów. Ale przecież nie musiało mu się to podobać.

— No i jak to wygląda, Ding?

— Niezbyt dobrze, panie C. — Chavez ponownie spojrzął na budowlę. — Bardzo trudno zbliżyć się do budynku z uwagi na otwarty teren, a tym samym trudno też zainstalować mikrofony i kamery, które umożliwiłyby zdobycie informacji o znaczeniu taktycznym. Mamy dwoje głównych podejrzanych i prawdopodobnie jeszcze trzech pomocników. Sprawiają wrażenie profesjonalistów, z którymi nie ma żartów. Rozważam możliwość wypuszczenia ich do śmigłowca i zdjęcia po drodze. Strzelcy wyborowi są na pozycjach. Ale przy tej liczbie terrorystów, sprawa może być skomplikowana.

Clark spojrzął na monitor w swym centrum dowodzenia. Utrzymywał stałą łączność z członkami Drugiego Zespołu, łącznie z podglądem ich komputerów. Tak jak poprzednio, Peter Covington stał obok i kibicował. — Równie dobrze mogłaby tam być jakaś cholerna fosa —

zauważył brytyjski oficer parę minut wcześniej. On także widział potrzebę ściągnięcia do Tęczy na stałe pilotów śmigłowcowych.

— Jeszcze jedno — powiedział Chavez. — Noonan mówi, że musimy mieć możliwość zakłócania telefonii komórkowej. Jest tu w pobliżu około setki cywilów i jeśli choć jeden ma telefon komórkowy, może informować tych w środku o naszych poczynaniach. Nie mam mowy, żeby temu zapobiec bez urządzeń zakłócających. Proszę to zanotować, panie C.

— Zanotowałem, Domingo — odpowiedział Clark, spoglądając na Davida Peleda, odpowiadającego za sprawy techniczne.

— Mogę to załatwić w ciągu paru dni, szefie — powiedział Peled. Wiedział, że Mossad dysponuje

odpowiednim sprzętem. Agencje amerykańskie też go prawdopodobnie miały. Trzeba to szybko ustalić. Pomyślał też, że Noonan jest bardzo dobry jak na byłego policjanta.

— Okej, Ding, postępuj według własnego uznania. Powodzenia, chłopcze.

— Ojej, dziękuję, tatusiu — padła ironiczna odpowiedź. — Drugi Zespół bez odbioru. —

Chavez wyłączył radio i odrzucił mikrofon. — Price! — zawołał.

— Słucham, sir — Starszy sierżant sztabowy zmaterializował się u jego boku.

— Mamy zgodę na działanie według własnego uznania — powiedział dowódca.

— Wspaniale, majorze Chavez. Co pan proponuje, sir? Sytuacja musi być poważna, powiedział sobie Ding, skoro Price znów zaczął go tytułować „sir”.

— Cóż, zobaczmy, czym dysponujemy, Eddie.

Klaus Rosenthal był ogrodnikiem Ostermanna i — mając siedemdziesiąt jeden lat —

najstarszym członkiem personelu. Był pewien, że jego żona jest w tej chwili w domu, w łóżku pod opieką pielęgniarki, która pilnuje pór przyjmowania lekarstw. Na pewno martwiła się o niego, a zmartwienia mogły być dla niej groźne. Hilda Rosenthal cierpiała na postępującą chorobę serca i od trzech lat była praktycznie inwalidką. Dzięki państwowemu systemowi opieki zdrowotnej miała zapewnione odpowiednie leczenie, a i *Herr Ostermann* przyszedł z pomocą, prosząc przyjaciela, profesora zwyczajnego z *Allgemeines Krankenhaus* w Wiedniu, o zajęcie się przypadkiem Hildy. Nowe medykamenty, które zastosowano, poprawiły nieco stan pacjentki, ale Klaus wiedział, że strach o niego może być dla niej fatalny w skutkach. Aż zatrząsł się z wściekłości. Znajdował się w kuchni, wraz z resztą służby. Przyszedł napić się wody akurat, kiedy tamci przyjechali. Gdyby był na zewnątrz, zapewne udałoby mu się uciec i zaalarmować władze, a tym samym pomóc swemu pracodawcy, który tak dobrze traktował wszystkich swoich pracowników, no i Hildę! Cóż, pech. Kiedy tamte świnię wpadły do kuchni z bronią w rękę, o ucieczce nie było mowy. Młodzi ludzie, przed trzydziestką. Ten, który był bliżej — Klaus Rosenthal nie znał jego nazwiska — pochodził z Berlina, albo z Prus, sądząc po akcencie. Był

skinheadem, a przynajmniej zdawała się na to wskazywać ostrzyżona tuż przy skórze głowa bez żadnego nakrycia. Produkt NRD, nie istniejących już Niemiec Wschodnich. Jeden z tych neonazistów, którzy dorastali w upadłym już komunistycznym kraju. Rosenthal miał do czynienia z autentycznymi nazistami jako chłopiec, w obozie koncentracyjnym w Bełżcu, i chociaż udało mu się przeżyć, sama myśl, że jego życie znalazło się w rękach szaleńca o okrutnych, świńskich oczkach... Rosenthal przymknął powieki. Nigdy nie uwolnił się od nocnych koszmarów, tak jak na zawsze pozostanie mu pięciocyfrowy numer, wytatuowany na przedramieniu. Mniej więcej raz w miesiącu budził się zły potem, ponownie przeżywszy we śnie koszmarny widok ludzi, pędzonych do budynku, z którego nikt nie wychodził żywy... Sen był zawsze taki sam i zawsze pojawiał się w nim ktoś z twarzą okrutnego,

młodego esesmana, który dawał mu znać, żeby i on tam wszedł z innymi, bo przyda mu się przysznic. Och, nie, protestował we śnie, *Hauptsturmführer* Brandt potrzebuje mnie w warsztacie ślusarskim. Nie dzisiaj, Jude, mówi młody, anonimowy esesman, uśmiechając się upiornie. *Komm jetzt zu dem Brausebad*. Za każdym razem Klaus szedł, jak mu kazano, bo cóż innego mógł zrobić, zbliżał się do drzwi... i zawsze w tym momencie się budził, mokry od potu, przekonany, że gdyby nie wyrwał się ze snu, nie obudziłby się już nigdy, tak jak tamci, których oglądał wchodzących do budynku...

Strach ma różne oblicza. To, które dręczyło Klause Rosenthala, było najgorsze ze wszystkich. Była to pewność, że zginie z ręki jednego z nich, tych złych Niemców, dla których inni po prostu nie byli ludźmi. Ta pewność nie była pociechą.

A ten gatunek nie zginął, nie wymarł do szczętu. Jeden z jego przedstawicieli stał w tej chwili tuż obok, z pistoletem maszynowym w rękach, patrząc na Rosenthala i resztę jak na *Objekte*, przedmioty. Pozostali służący, wszyscy aryjczycy, nigdy czegoś takiego nie doświadczyli, ale Klaus Rosenthal wiedział, czego się spodziewać — wiedział, że to pewne. Jego nocny koszmar stał się rzeczywistością, powrócił z przeszłości, żeby dopełnić jego losu, a także zabić Hildę, bo jej serce tego nie wytrzyma. Jak mógł temu zapobiec? Wtedy, za pierwszym razem, był osieroconym dzieckiem, czeladnikiem jubilera, który uczył go, jak robić piękne rzeczy z metalu. Ta umiejętność uratowała mu życie, ale nigdy później do niej nie wracał, tak straszliwe wiązały się z nią wspomnienia. Odnalazł spokój ducha, pracując w ziemi, sprawiając, że rośliny rosły zdrowo i pięknie. Miał ten dar — Ostermann rozpoznał go i powiedział

Klausowi, że ma dla niego dożywotnie zajęcie w swym zamku. Ale ten dar był bez znaczenia dla tego krótko ostrzyżonego nazisty z bronią w ręku.

Ding nadzorował rozmieszczenie reflektorów. Kapitan Altmark podchodził z nim kolejno do każdej ciężarówki i obaj mówili kierowcy, dokąd ma pojechać. Kiedy ciężarówki zajęły już wyznaczone pozycje, a maszty wysunięto, Chavez wrócił do swojego zespołu i naszkicował plan akcji. Było już po jedenastej. Zadziwiające, jak szybko leci czas, kiedy przydałoby się go trochę więcej.

Piloci śmigłowca czekali siedząc, pijąc kawę jak typowi lotnicy i zastanawiając się, co dalej. Okazało się, że drugi pilot jest trochę podobny do Eddie'ego Price'a i Ding postanowił

uwzględnić to w swym planie jako ostatnią rezerwę.

O 23.20 polecił włączyć reflektory. Fronton i obie ściany boczne budowli zalało żółtobiałe światło. Z tyłu natomiast nie było żadnych reflektorów i *Schloss* rzucał teraz długi, trójkątny cień, sięgający do lądowiska śmigłowcowego i dalej, aż po linię drzew.

— Oso — powiedział Chavez — zajmij pozycję w pobliżu Webera.

— Rozumiem, *mano*. — Sierżant Vega zarzucił *M-60* na ramię i ruszył między drzewa.

Louis Loïselle i George Tomlinson mieli najtrudniejsze zadanie. Na czarne kombinezony naciągnęli zielone ubrania maskujące, przypominające trochę zużyta kalkę. Jaśniejsza zieleń w tle była poprzecinana ciemnozielonymi liniami, tworzącymi kwadraty o boku około dwudziestu centymetrów.

Niektóre z tych kwadratów były wypełnione tą samą ciemną zielenią, ale w sposób całkiem przypadkowy. Pomysł takiego kamuflażu wywodził się jeszcze z czasów drugiej wojny światowej. Stosowano go na nocnych myśliwcach Luftwaffe, przekonawszy się, że pomalowane na czarno samoloty łatwiej jest dostrzec, ponieważ są ciemniejsze niż sama noc. Kamuflaż na kombinezonach sprawdził się w teorii i na ćwiczeniach. Teraz mieli się przekonać, jak będzie w warunkach bojowych. Reflektory, skierowane nieco ponad *Schloss*, powinny pomóc. Ich zadaniem było wywołanie wrażenia zupełnej ciemności na wybranym obszarze, na którym zielony kamuflaż powinien być zupełnie niewidoczny. Wystarczająco często ćwiczyli to w Hereford, ale nigdy w warunkach zagrożenia życia. Teraz Tomlinson i Loïselle ruszyli z różnych stron, cały czas trzymając się w trójkącie cienia. Czołgali się przez dwadzieścia minut.

— No i co, Altmark? — spytał Hans Fürchtner o 23.45. — Wszystko załatwione, czy też będziemy musieli za parę minut zabić jednego z zakładników?

— Proszę tego nie robić, panie Wolfgang. Załoga śmigłowca jest w drodze, przekonujemy linie lotnicze, żeby podstawily samolot gotowy do lotu. Nawet pan sobie nie wyobraża, ile z tym trudności.

— Za piętnaście minut przekonamy się, czy to takie trudne, *Herr Altmark*. — Połączenie zostało przerwane.

Bellow nie potrzebował pomocy tłumacza. Wystarczył mu ton głosu. — Zrobi to —

powiedział psychiatra Altmarkowi i Chavezowi. — Nie żartuje.

— Dostarczyć załogę do śmigłowca — rozkazał natychmiast Ding. Trzy minuty później do lądowiska podjechał oznakowany samochód policyjny. Dwaj mężczyźni wysiedli z niego i weszli do *Sikorsky'ego*. Samochód odjechał. Dwie minuty później wirnik śmigłowca zaczął się obracać. Chavez włączył mikrofon.

— Zespół, tu dowódca. Przygotować się. Powtarzam, przygotować się.

— Doskonale — powiedział Fürchtner. Ledwie widział obracający się wirnik, ale migające światła pozycyjne mówiły wszystko. — No to zaczynamy. *Herr Ostermann*, wstać!

Petra Dortmund zeszła po schodach przed ważnymi zakładnikami. Była trochę rozczarowana, że nie zabili tego Denglera, żeby pokazać, iż są gotowi na wszystko. Pomyślała jednak, że może jeszcze nie straconego — czekały ich poważne negocjacje na pokładzie samolotu. Poza tym, Dengler mógł wiedzieć tyle samo, co Ostermann, a w takim wypadku zabicie go byłoby błędem taktycznym. Włączyła radiotelefon i wywołała resztę swoich ludzi.

Kiedy schodziła głównymi schodami, gromadzili się w holu, z sześcioma zakładnikami z kuchni.

Nie, zdecydowała przed drzwiami, lepiej byłoby zabić kobietę, a nie mężczyznę. Zrobiłoby to większe wrażenie na policjantach, którzy stali na zewnątrz, zwłaszcza, gdyby zginęła z ręki innej kobiety...

— Gotowi? — spytała. W odpowiedzi czterej członkowie jej grupy skinęli głowami. —

Działamy zgodnie z planem — przypomniała. Pod względem ideologicznym ci ludzie rozczarowywali, mimo że wyrosli i wykształcili się w kraju socjalistycznym; trzech z nich miało nawet za sobą służbę w wojsku, a tym samym również indoktrynację polityczną. Wiedzieli jednak, co mają robić i jak dotąd robili to tak jak trzeba. W zasadzie nie mogła oczekiwać niczego więcej. Od strony kuchni nadchodziła służba.

Jedna z kucharek szła z trudem. Nie podobało się to temu ogolonemu bydlakowi, zorientował się Rosenthal, przystanąwszy koło stołu, na którym przygotowywane były potrawy.

Wiedział, że go zabierają, zabierają na śmierć, a on, podobnie jak w swym koszmarnym śnie, nie robił nic, żeby temu zapobiec! Uświadomił to sobie z taką gwałtownością, że aż rozboleła go głowa. Odwrócił się w lewo i jego spojrzenie padło na stół. Leżał tam niewielki nóż do obierania ziemniaków i owoców. Szybko spojrzał przed siebie i zorientował się, że terroryści patrzą na Marię, kucharkę. Podjął decyzję. Porwał nóż ze stołu i ukrył go w prawym rękawie. Może los zechce dać mu szansę. Klaus Rosenthal poprzysiągł, że tym razem z niej skorzysta.

— Drugi Zespół, tu dowódca — powiedział Chavez przez radio. — Za chwilę powinni wychodzić. Zgłóście się. — Najpierw zameldowali się Loïselle i Tomlinson. Byli blisko budynku, więc nie powiedzieli ani słowa; każdy z nich dwa razy kliknął mikrofonem. Pozostali meldowali się na fonii.

— Snajper Dwa-Jeden — powiedział Homer Johnston. Na celowniku optycznym swego karabinu zamontował już system noktowizyjny. Broń skierował prosto na główne tylne drzwi i teraz czekał, oddychając regularnie.

— Snajper Dwa-Dwa — zgłosił się Weber sekundę później.

— Oso — zameldował się Vega. Przesunął językiem po wargach, unosząc broń do ramienia. Twarz miał pokrytą szminką kamuflażową.

— Connolly.

— Lincoln.

— McTyler.

— Patterson.

— Pierce. — Ci wszyscy zajmowali stanowiska na trawniku.

— Price. — Sierżant zgłosił się z lewego fotela pilota w śmigłowcu.

— Uwaga, zespół, mamy zgodę na użycie broni. Normalne zasady. Miejcie oczy otwarte

— dodał Chavez zupełnie niepotrzebnie. Dowódcy trudno było przestać mówić w takiej sytuacji.

Znajdował się osiemdziesiąt metrów od śmigłowca, czyli blisko granicy skuteczności swego MP-

10 i przez gogle noktowizyjne patrzył na budynek.

— Drzwi się otwierają — zameldował Weber, wyprzedzając o ułamek sekundy Johnstona.

— Widzę ruch — potwierdził snajper Dwa-Jeden.

— Kapitanie Altmark, tu Chavez, wyłączyć transmisję telewizyjną! — rozkazał Ding przez drugie radio.

— Rozumiem — odpowiedział kapitan policji austriackiej. Odwrócił się i wydał rozkaz szefowi ekipy telewizyjnej. Kamery miały pozostać włączone, ale nie transmitować, a kasety wideo były od tej chwili traktowane jako poufne informacje. Na ekranach odbiorników telewizyjnych było teraz widać tylko gadające głowy.

— Drzwi otwarte — powiedział Johnston ze swojego miejsca. — Widzę jednego zakładnika, mężczyzna, wygląda na kucharza, i kobieta, nasza przyjaciółka, ciemne włosy, ma w ręku pistolet. — Sierżant Johnston zdjął palec z podwójnego języka spustowego — jego karabin miał mechanizm spustowy z przyspiesznikiem — i nakazał sobie relaks. Nie mógł teraz strzelać, bez wyraźnego rozkazu Dinga, a w tej sytuacji rozkaz taki nie mógł nadejść. — Drugi zakładnik w polu widzenia, to Mały Człowiek — powiedział, mając na myśli Denglera. Ostermann był

Wielkim Człowiekiem, a sekretarki nazwali Blondynką i Szatynką, odpowiednio do koloru włosów. Nie mieli zdjęć służby, więc nie nadali jej żadnych przydomków. Terrorysty, których znali, byli „osobnikami”.

Johnson zobaczył, że osobnicy zawahali się przed drzwiami. Był to dla nich z pewnością niełatwy moment, chociaż nie wiedzieli i nigdy nie mieli się dowiedzieć, na co się narażali.

Masz, suko, pecha, pomyślał, naprowadzając krzyż celownika na twarz terrorystki z odległości nieco ponad dwustu metrów. Dla niego była to odległość odpowiadająca trzem metrom w wypadku zwykłego strzelca. — No, wychodź, kochanie — zachęcał ją szeptem. — Mamy coś specjalnego dla ciebie i twoich przyjaciół. Dieter? — spytał, włączywszy radio.

— Cel namierzony, Homer — odpowiedział snajper Dwa-Dwa. — Chyba gdzieś już widzieliśmy tę twarz, ale nie mogę sobie przypomnieć nazwiska. Dowódca, tu snajper Dwa-Dwa...

— Tu dowódca, snajper Dwa.

— Ta kobieta, widzieliśmy niedawno jej twarz. Jest teraz starsza, ale znam tę twarz.

Baader-Meinhof, Frakcja Czerwonej Armii, jedno z dwojga. Pracuje z facetem. Marksistka, doświadczona terrorystka, morderczyni... Chyba zabiła żołnierza amerykańskiego. — W zasadzie nie były to żadne rewelacje, ale rozpoznana twarz, to zawsze coś.



Włączył się Price, pomyślawszy o programie komputerowym, którym bawili się na początku tego tygodnia. — Może Petra Dortmund?

— *Ja!* To ona! A jej partnerem jest Hans Fürchtner — odpowiedział Weber. — *Komm, Petra* — szeptał w swym ojczystym języku. — *Komm zu mir, Liebchen.*

Coś się jej nie podobało. Przekonała się, że wcale nie łatwo było tak po prostu wyjść na zewnątrz, mimo że wyraźnie widziała śmigłowiec, z jego błyskającymi światłami i obracającym się wirnikiem. Zrobiła krok, a właściwie chciała zrobić krok, ale stopa jakby odmówiła wysunięcia się na granitowy stopień schodów. Zamrugła błękitnymi oczami. Drzewa na wschodzie i na zachodzie były jasno oświetlone reflektorami, za to od drzwi, w których stała, aż po śmigłowiec ciągnął się pas cienia, jak długi, czarny paluch. Zrobiło się jej nieswojo, ale zaraz potrząsnęła parę razy głową, przywołując się do porządku. Takie lęki były niegodne profesjonalistki. Szarpnęła dwójkę swoich zakładników, zeszła z nimi po sześciu stopniach na trawę i ruszyła w stronę śmigłowca.

— Jesteś pewien, że to ona, Dieter? — spytał Chavez.

— *Jawohl!* Tak, jestem pewien, sir. To Petra Dortmund. Stojący obok Chaveza Bellow wystukał to nazwisko na klawiaturze swego komputera. — Czterdzieści cztery lata, była kiedyś w Baader-Meinhof, zwariowana na punkcie ideologii, mówi się o niej, że jest bezlitosna, jak wszyscy diabli. Jej partnerem jest niejaki Hans Fürchtner. Podobno są małżeństwem, albo przynajmniej parą, wszystko jedno. Świetnie do siebie pasują. To zabójcy, Ding!

— Do czasu — odpowiedział Chavez, przypatrując się trzem sylwetkom idącym przez trawę.

— Ma granat w lewej ręce, wygląda na odłamkowy — zameldował Homer Johnston. —

Powtarzam, granat w lewej ręce.

— Potwierdzam — włączył się Weber. — Widzę granat ręczny. Zawleczka na swoim miejscu. Powtarzam, zawleczka na miejscu.

— Cudownie! — mruknął Eddie Price przez radio ze swego fotela w śmigłowcu. Granat i idiotka, gotowa wyciągnąć zawleczkę. — Tu Price. Tylko jeden granat?

— Widzę tylko jeden — odpowiedział Johnston. — Nie ma wypchanych kieszeni, ani nic w tym rodzaju, Eddie. Pistolet w prawej ręce, granat w lewej.

— Zgadza się — potwierdził Weber.

— Jest praworęczna — powiedział przez radio doktor Bellow, sprawdziwszy informacje na temat Petry Dortmund. — Dortmund jest praworęczna.

Przynajmniej wiadomo, dlaczego trzyma pistolet w prawej ręce, a granat w lewej, pomyślał Price. Oznaczało to również, że gdyby chciała rzucić granatem, musiałaby go przełożyć do prawej ręki.

Dobre i to. Może minęło już sporo czasu, od kiedy po raz ostatni bawiła się taką cholerną zabawką? Może nawet bała się rzeczy, które robiły „bum”, pomyślał z nadzieją.

Niektórzy ludzie mieli przy sobie granaty tylko po to, żeby zrobić większe wrażenie. Widział już Petrę, idącą równym krokiem w kierunku śmigłowca.

— Męski osobnik w polu widzenia... Fürchtner — powiedział Johnston przez radio. —

Ma ze sobą Wielkiego Człowieka... i chyba także Szatynkę.

— Potwierdzam — powiedział Weber, patrząc przez swój celownik optyczny z dziesięciokrotnym powiększeniem. — Fürchtner, Wielki Człowiek i Szatynka w polu widzenia.

Fürchtner ma przy sobie chyba tylko pistolet. Zaczynają schodzić po schodach. Inny osobnik przy drzwiach, uzbrojony w pistolet maszynowy, ma ze sobą dwóch zakładników.

— Sprytnie — zauważył Chavez. — Wychodzą grupkami. Fürchtner ruszył, kiedy jego przyjaciółka była w połowie drogi. Zobaczmy, czy i reszta będzie się trzymać tego rozkładu...

Dobra, pomyślał Ding. Cztery, pięć grup na otwartym terenie. Sprytnie sukinsyny, ale nie dość sprytnie... miejmy nadzieję.

Kiedy zbliżyli się do śmigłowca, Price wysiadł i otworzył im boczne drzwi. Przedtem schował pistolet do mapnika w drzwiach po lewej stronie kabin pilotów. Spojrzał na pilota.

— Proszę się zachowywać całkiem normalnie. Panujemy nad sytuacją.

— Mam nadzieję, że wiesz, co mówisz, Angliku — odpowiedział pilot z napięciem w głosie.

— Ten śmigłowiec w żadnym wypadku nie wzniesie się w powietrze. Rozumie pan? —

Już wcześniej dokładnie to omówili, ale powtarzanie instrukcji było sposobem na wyjście cało z takich sytuacji.

— Tak. Gdyby chcieli mnie zmusić, będę udawał, że mamy awarię i powiem, że to pan musi się tym zająć.

Price miał na sobie białą koszulę z odznaką pilota i plakietką, z której wynikało, że ma na imię Tony. Miniaturowa słuchawka w uchu i mikrofon pod kołnierzykiem zapewniały mu łączność radiową z resztą zespołu.

— Odległość sześćdziesiąt metrów. Niezbyt atrakcyjna kobieta, co? — odezwał się do swoich kolegów.

— Przesuń dłonią po włosach, jeśli mnie słyszysz — polecił mu Chavez. Chwilę później zobaczył, jak Price unosi nerwowo lewą rękę, żeby odrzucić z czoła kosmyk włosów, który spadł

mu na oczy. — W porządku, Eddie.

— Uzbrojeni osobnicy w drzwiach. Mają trzech zakładników! — zawołał Weber. —

Czekajcie, uściślam. Dwóch uzbrojonych osobników z trojgiem zakładników. Blondynka, starszy mężczyzna i kobieta w średnim wieku, na pewno służba.

— Został jeszcze co najmniej jeden terrorysta — powiedział Ding — i co najmniej trzech zakładników. Nie zmieszczą się wszyscy do śmigłowca... — Zastanawiał się, co tamci będą chcieli zrobić z nadprogramowymi zakładnikami. Zabić ich?

— Widzę następnych dwóch uzbrojonych osobników i trzech zakładników. Podchodzą do drzwi — zameldował Johnston.

— To już wszyscy zakładnicy — powiedział Noonan. — To znaczy, że osobników jest w sumie sześciu. Snajper Dwa-Jeden, jak są uzbrojeni?

— Pistolety maszynowe, wyglądają jak *Uzi* albo ich czeskie pierwowzory. Stoją w drzwiach.

— Dobra, mam ich — powiedział Chavez, patrząc przez lornetkę.

— Snajperzy, wziąć na cel Petrę Dortmund.

— Cel namierzony. — Weber powiedział to pierwszy. Johnston złapał ją w celownik ułamek sekundy później i zamarł.

W nocy oko ludzkie jest szczególnie wyczulone na najmniejszy nawet ruch. Kiedy Johnston przesunął się, żeby wycelować z karabinu, Petrze wydało się, że coś widzi. Zatrzymała się, chociaż właściwie nie wiedziała, dlaczego. Patrzyła prosto na Johnstona, ale jego kombinezon w barwach ochronnych wyglądał po prostu jak sterta czegoś na trawie, liści, śmieci

— nie mogła tego dokładnie zobaczyć w skąpej, zielonkawej poświacie, docierającej od wysokich sosen. To co widziała, na pewno jednak nie przypominało kształtem człowieka, a z odległości około stu metrów nie mogła dojrzeć karabinu. Mimo to, zaczęła się rozglądać dookoła.

Nie uniosła jednak ręki z bronią, a na twarzy malowała się jej raczej ciekawość, niż zaniepokojenie. Johnston widział lewym okiem błyskające czerwono światła śmigłowca na lądowisku; prawym patrzył na krzyż celownika optycznego, znajdujący się dokładnie między oczami Petry Dortmund i nieco powyżej. Palec trzymał teraz na spuście, jak najdelikatniej, co zresztą było uzasadnione z uwagi na tak mały opór mechanizmu spustowego. Trwało to parę sekund. Koncentrując się na celu, kątem oka spoglądał na rękę, w której trzymała broń. Jeśli zacznie tę rękę unosić...

Ale nie zaczęła. Ku wielkiej uldze Johnstona znów zaczęła iść w stronę śmigłowca, nie wiedząc, że dwa karabiny wyborowe, wycelowane w głowę, prowadziły ją przez całą drogę. Za chwilę podejdzie do śmigłowca i będzie to następny newralgiczny moment. Jeśli przejdzie na prawą stronę

maszyny, Johnston straci ją z pola widzenia; pozostanie Weber. Jeśli będzie chciała wsiadać z lewej strony, zniknie z pola widzenia Dietera. Chyba kieruje się... Tak, Petra Dortmund podeszła do lewej strony śmigłowca.

— Snajper Dwa-Dwa, straciłem cel z pola widzenia — zameldował natychmiast Weber.

— Cel namierzony, snajper Dwa-Jeden — zapewnił Johnston Chavez. No, kochanie, puść Małego Człowieka przodem, zachęcał ją w myślach.

Petra Dortmund jakby go usłyszała. Popchnęła Denglera przed sobą do lewych drzwi, zamierzając prawdopodobnie zająć miejsce między dwójką zakładników, żeby być mniej narażoną na ewentualne strzały z zewnątrz. Teoretycznie rzecz biorąc, miało to sens, pomyślał

Homer Johnston, ale akurat nie w tym wypadku. Masz pecha, dziwko.

W kabinie śmigłowca, którym latał już tyle razy, Gerhardt Dengler wcale nie poczuł się teraz bezpieczniej. Zapiął pas pod baczynym okiem Petry, która mierzyła do niego z pistoletu.

Powtarzał sobie, że musi być dzielny — mężczyźni robią to zwykle w takich sytuacjach. A potem spojrzął do przodu i dostrzegł promyk nadziei. Pilot był ten sam, co zwykle, ale drugi pilot —

nie. Majstrował przy przyrządach jak normalny członek załogi, ale to nie był Tony, chociaż miał

taki sam kształt głowy, kolor włosów i miał na sobie białą koszulę z niebieskimi pagonami, taką, jakie upodobali sobie piloci prywatnych maszyn. Kiedy ich oczy się spotkały, Dengler spuścił

wzrok, a potem wyjrzał na zewnątrz, obawiając się, że mógłby się zdradzić.

Inteligentny facet, pomyślał Eddie Price. Pistolet był w mapniku na lewych drzwiach, dobrze przykryty mapami lotniczymi, ale i tak mógł go bez trudu wydostać lewą ręką. Jeśli będzie trzeba, sięgnie po niego, odwróci się błyskawicznie i strzeli. Słuchawka w lewym uchu przekazywała mu na bieżąco informacje, chociaż szum silnika helikoptera trochę przeszkadzał.

Petra mierzyła teraz ze swojego pistoletu na przemian do niego albo do pilota.

— Snajperzy, macie cel? — spytał Chavez.

— Snajper Dwa-Jeden, potwierdzam. Na celu.

— Snajper Dwa-Dwa, nie widzę celu. Proponuję zmianę celu na Fürchtnera.

— Dobrze, snajper Dwa-Dwa, przejdź na Fürchtnera. Snajper Dwa-Jeden, Dortmund jest twoja.

— Rozumiem — potwierdził Johnston. — Snajper Dwa-Jeden, na celu — Dortmund. —

Sierżant jeszcze raz sprawdził odległość dalmierzem laserowym. Sto czterdzieści cztery metry.

Na tym dystansie jego pocisk opadnie niecałe dwa i pół centymetra poniżej linii lufy. „Bojowe” ustawienie celownika na dwieście pięćdziesiąt metrów było trochę za wysokie. Przesunął krzyż celownika tak, żeby znalazł się tuż poniżej lewego oka celu. Prawa fizyki zatroszcą się o resztę.

Jego karabin miał mechanizm spustowy typu sportowego, z przyśpiesznikiem. Ściągnięcie tylnego języka spustowego napinało mechanizm, redukując do minimum opór przedniego języka spustowego. Do oddania strzału wystarczyło już tylko leciutkie muśnięcie. Ten śmigłowiec nie wzniesie się w powietrze. Na razie ważniejsze było, żeby nie pozwolić terrorystom zamknąć lewych drzwi. Jego pocisk kalibru 7 mm prawdopodobnie bez trudu przebiłby pleksiglasową szybę okna w tych drzwiach, ale zmieniłoby to tor jego lotu w nie dający się przewidzieć sposób.

Mógłby więc chybić i prawdopodobnie ranić lub zabić któregoś z zakładników. Nie wolno do tego dopuścić.

Chavez nie brał bezpośredniego udziału w akcji. Kierował teraz, zamiast dowodzić.

Nauczył się tego, ale przecież nie musiało mu się to podobać. Łatwiej było wyruszyć z bronią w rękę niż stać z tyłu i mówić ludziom przez radio, co mają robić. Nie miał jednak wyboru. No dobrze, pomyślał, Numer 1 w śmigłowcu i z głową w celowniku. Numer 2 na otwartym terenie, ma już za sobą dwie trzecie drogi do śmigłowca i też jest na muszce. Dwóch innych osobników było mniej więcej w połowie drogi i zaledwie czterdzieści metrów od Mike’a Pierce’a i Steve’a Lincolna, a ostatni dwaj osobnicy znajdowali się jeszcze w domu. Louis Loielle i George Tomlinson ukryli się w krzakach po prawej i po lewej stronie drzwi. Chavez zastanawiał się, czy terroryści nie pozostawili na wszelki wypadek w domu kogoś, kto miał wyjść dopiero, kiedy pozostali znajdą się już na pokładzie śmigłowca. Doszedł jednak do wniosku, że to mało prawdopodobne. Tak czy inaczej, wszyscy zakładnicy wyszli już z budynku, bądź mieli wyjść lada chwila, i celem tej operacji było ich uratowanie, nie zabicie przestępców. To nie zabawa, ani sport. Jego plan, o którym członkowie Drugiego Zespołu zostali już powiadomieni, wydawał się w porządku. Teraz konieczne było tylko, żeby wszyscy osobnicy znaleźli się w zasięgu broni.

Tylko Rosenthal dostrzegł snajperów. Można się tego było spodziewać, chociaż nikomu nie przyszło to do głowy. Był ogrodnikiem. Znał trawnik jak własne pięć palców i wiedział, że te dziwne sterty czegoś na prawo i na lewo od śmigłowca musiały się tam pojawić bardzo niedawno. Dość napatrzył się na filmy w telewizji. To był akt terroryzmu i policja musiała jakoś zareagować. Uzbrojeni ludzie z pewnością gdzieś tu czekali, a te dwie dziwne sterty na trawniku... Dziś rano z pewnością niczego tam nie było. Spojrzał w stronę Webera i zatrzymał na nim wzrok. Oto jego ratunek albo zagłada. Ta niepewność sprawiła, że żołądek skurczył mu się, jakby ściśnięty żelazną ręką.

— Idą — zameldował George Tomlinson, zobaczywszy dwie nogi, wysuwające się z drzwi...  
Kobiece nogi, a zaraz za nimi męskie, potem jeszcze dwie kobiety i następny mężczyzna.

— Jeden osobnik i dwóch zakładników na zewnątrz. W środku jeszcze dwóch zakładników...

Fürchtner był już bardzo blisko. Skierował się na prawą stronę śmigłowca, ku satysfakcji Dietera Webera, ale w pewnym momencie przystanął, spojrzął na siedzącego już w środku Gerhardta Denglera przez otwarte prawe drzwi i postanowił wsiąść od drugiej strony.

— Uwaga, zespół, przygotować się — powiedział Chavez, wodząc lornetką, żeby mieć oko na wszystkie cztery grupy. Kiedy tylko ostatni zakładnik znajdzie się na otwartym terenie...

— Włącz do środka i siadaj twarzą do tyłu. — Fürchtner popchnął Szatynkę w stronę śmigłowca.

— Straciłem cel, snajper Dwa-Dwa stracił cel — zameldował przez radio Weber.

— Weź następną grupę — rozkazał Chavez.

— Gotowe — powiedział Weber. — Mam pierwszego osobnika w trzeciej grupie.

— Snajper Dwa-Jeden, melduj.

— Snajper Dwa-Jeden, Dortmund w celowniku — odpowiedział natychmiast Homer Johnston.

— Gotowi! — zameldował Loïselle z krzaków w pobliżu tylnego wyjścia. — Mamy czwartą grupę.

Chavez nabrał głęboko powietrza. Wszyscy osobnicy byli na zewnątrz. Już czas.

— Dowódca do zespołu, wykonać, wykonać, wykonać!

Loïselle i Tomlinson czekali w półprzysiadzie i teraz poderwali się na równe nogi, wciąż niewidoczni, siedem metrów za plecami swych celów. Tamci patrzyli w niewłaściwą stronę i nie mieli najmniejszego pojęcia, co się dzieje z tyłu. Obaj strzelcy naprowadzili podświetlane celowniki na cel. Osobnicy, do których mierzyli, ciągnęli za sobą kobiety i obaj byli wyżsi od zakładniczek, co upraszczało sprawę. Oba pistolety maszynowe *MP-10* były ustawione na krótkie serie — po trzy pociski — i obaj sierzanci strzelili w tej samej chwili. Strzałów nie było słychać, ponieważ *MP-10* były wytłumione — lufa tworzyła integralną część z tłumikiem. Z tej odległości nie mogli chybić. Dwie głowy rozprysły się, trafione wielkimi pociskami o wydrążonych wierzchołkach i dwa ciała osunęły się bezwładnie na soczystą zieleń trawnika niemal w tym samym czasie, kiedy z broni, która pozbawiła je życia, wyrzucone zostały zużyte łuski.

— Tu George. Dwaj osobnicy nie żyją! — zawołał Tomlinson przez radio, podbiegając do zakładników, którzy cały czas szli w kierunku śmigłowca.

Homer Johnston miał palec na spuście, kiedy jakaś sylwetka znalazła się w jego polu widzenia. Zapewne kobieta, sądząc po jedwabnej bluzce. Ponieważ krzyż celownika jego karabinu w dalszym ciągu ustawiony był tuż pod lewym okiem Petry Dortmund, Johnston delikatnie ściągnął spust palcem wskazującym prawej ręki. Karabin huknął, a z lufy wyskoczył w ciemność nocy długi na metr płomień wylotowy. Chwilę wcześniej Petra dostrzegła dwa blade błyski w pobliżu budynku, ale nie miała czasu zareagować. Pocisk trafił ją tuż nad lewym okiem, przechodząc przez najgrubszą część

czaszki. Po kilku centymetrach rozerwał się na setki maleńkich kawałków, dosłownie rozdrabniając jej mózg, który zaraz eksplodował z tyłu głowy jasnoczerwoną chmurą, ochlapując twarz Gerhardta Denglera. Johnston wprowadził następny nabój do komory i rozejrzał się za nowym celem.

Eddie Price zobaczył błysk. Jego ręce były już w ruchu, od kiedy pół sekundy wcześniej usłyszał rozkaz „Wykonać”. Wyciągnął pistolet z mapnika, szerzej otworzył drzwi śmigłowca, podobne do samochodowych, rzucił się na zewnątrz, mierząc w głowę Hansa Fürchtnera i wpakował mu kulę poniżej lewego oka. Pocisk wyszedł czubkiem głowy. Strzelił jeszcze raz.

Drugi pocisk trafił nieco wyżej i w zasadzie nie był najlepiej wymierzony, ale Fürchtner i tak już nie żył. Padał w tym momencie na ziemię, wciąż zaciskając rękę na ramieniu Ostermanna i pociągając go za sobą, dopóki martwe palce nie puściły.

Pozostało dwóch. Steve Lincoln celował z przykłąku, ale nie strzelił — osobnik, do którego mierzył, znalazł się za plecami starszego mężczyzny w kamizelce. — Cholera —

mruknął Lincoln.

Weber dostał drugiego, którego głowa eksplodowała jak melon od uderzenia pocisku karabinowego.

Rosenthal widział, jak pocisk roztrzaskuje głowę terrorysty; wyglądało to zupełnie jak na filmie. Ale krótko ostrzyżona głowa obok niego wciąż była cała. Młody neonazista szeroko otworzył oczy. W rękę miał broń i nikt do niego nie strzelał. I wtedy jego oczy spotkały się z oczyma Rosenthala. Czas jakby stanął w miejscu. W oczach neonazisty ogrodnik dostrzegł

strach, nienawiść i szok. Znów poczuł gwałtowny skurcz żołądka. Wyciągnął z rękawa nóż, chwycił go mocno i gwałtownie machnął ręką, trafiając neonazistę w wierzch lewej dłoni.

Tamtemu oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej, a kiedy starszy człowiek odskoczył na bok, terrorysta poczuł, że ręka, w której trzymał przedni chwyt pistoletu maszynowego, stała się bezwładna.

Steve Lincoln miał teraz wolne pole. Po raz drugi strzelił serią trzech pocisków, które trafiły równocześnie z drugim pociskiem z samopowtarzalnego karabinu wyborowego Webera.

Głowę jakby zdmuchnęło.

— Czysto! — krzyknął Price. — Śmigłowiec czysty!

— Dom czysty! — zameldował Tomlinson.

— U mnie też czysto! — Lincoln zgłosił się jako ostatni.

Loiselle i Tomlinson podbiegli do zakładników ze swojej grupy i odciągnęli ich na wschód, dalej od domu, na wypadek gdyby w środku pozostał jednak jakiś terrorysta.

Mike Price zrobił to samo, osłaniany przez Steve’a Lincolna.

Eddie Price przede wszystkim wytrącił nogą broń z ręki martwego Fürchtnera i szybkim spojrzeniem obrzucił rozwaloną głowę. Zaraz potem wskoczył z powrotem do śmigłowca, chcąc się upewnić, że pierwszy pocisk Johnstona był skuteczny. Wystarczył rzut oka na wielką czerwoną plamę na ścianie, żeby wiedzieć, iż Petra Dortmund była już tam, dokąd terroryści idą po śmierci. Ostrożnie wyjął granat z zaciśniętych palców jej lewej ręki, upewnił się, że zawleczone jest na swoim miejscu i wsadził go do kieszeni. Na koniec wyjął pistolet z jej prawej ręki, zabezpieczył i schował.

— *O mein Gott!* — zawołał pilot, obejrzawszy się za siebie. Gerhardt Dengler również wyglądał jak nieboszczyk — po twarzy ściekała krwawa miazga, a oczy miał szeroko otwarte.

Ten widok wstrząsnął Price'em, ale tylko na chwilę — zaraz zobaczył, że te szeroko otwarte oczy zamrugały. Usta też były szeroko otwarte i wydawało się, że Dengler nie oddycha. Price schylił się, odpiął mu pas bezpieczeństwa, a Johnston wyciągnął Denglera ze śmigłowca. Mały Człowiek zrobił jeden chwiejny krok, po czym upadł na kolana. Johnston opłukał mu twarz z krwi wodą z manierki. Następnie rozładował karabin i oparł go o płożę śmigłowca.

— Dobra robota, Eddie — powiedział do Price'a.

— Twój strzał też był cholernie dobry, Homer.

Sierżant Johnston wzruszył ramionami. — Bałem się, że ta dziewczyna wejdzie mi w drogę. Jeszcze parę sekund i ze strzału byłoby gówno. Jak już mówiłem, Eddie, dobra robota.

Świetnie się spisałeś, wyskakując ze śmigłowca i rozwalając Fürchtnera, zanim zdążyłem strzelić po raz drugi.

— Miałeś go na muszce? — spytał Price, zabezpieczając i chowając pistolet.

— Strata czasu. Widziałem, jak po twoim pierwszym strzale wylatywał mu mózg.

Nadbiegali policjanci. Widać też było karetki pogotowia z migającymi niebieskimi światłami. Kapitan Altmark i Chavez podeszli do śmigłowca. Altmark, choć był doświadczonym policjantem, zajrzawszy do środka *Sikorsky'ego*, cofnął się w milczeniu.

— To jest zawsze paskudne — zauważył Homer Johnston. Zajrzał do śmigłowca nieco wcześniej. Karabin i pocisk wykonały swe zadanie zgodnie z planem. Poza tym, jako strzelec wyborowy Homer zabił już po raz czwarty — cóż, jeśli ktoś chciał łamać prawo i ranić niewinnych ludzi, sam był sobie winien. Jeszcze jedno trofeum, którego nie mógł dołączyć do kolekcji poroży jeleni i łosi, jaką przez lata zgromadził na ścianie.

Price podszedł do środkowej grupy, wyjął z kieszeni fajkę i zapalił od płomienia zapalki.

Był to jego prywatny rytuał po zakończeniu każdej operacji.

Wszyscy zakładnicy siedzieli w tej chwili na trawie. Był z nimi Mike Pierce, a z boku, z *MP- 10*



gotowym do strzału, stał Steve Lincoln. Od tylnych drzwi dobiegły głosy austriackich policjantów, którzy zawiadamiali, że w środku nie pozostał żaden terrorysta. Steve zabezpieczył

broń, przewiesił ją sobie przez ramię i podszedł do starszego pana.

— Dobra robota, sir — pogratulował Klausowi Rosenthalowi.

— Słucham?

— To cięcie nożem w dłoń. Dobra robota.

— O tak — włączył się Pierce, spoglądając na trupa w trawie. Na wierzchu lewej dłoni było głębokie rozcięcie. — Pan to zrobił?

— Ja — zdołał wykrztusić Rosenthal, odetchnąwszy przedtem głęboko kilka razy.

— Gratuluję. — Pierce uściśnął mu dłoń. Właściwie nie miało to większego znaczenia, ale rzadko zdarzało się, żeby zakładnicy stawiali opór. Temu starszemu panu z pewnością nie brakowało odwagi.

— *Amerikaner?*

— Sza. — Sierżant Pierce położył sobie palec na wargach. — Proszę nikomu o tym nie mówić.

Podszedł Price, pykając z fajki. Pocisk z karabinu *Webera* i seria z *MP-10* zrobiły swoje: trup na trawie był praktycznie bez głowy. — Jasna cholera — mruknął starszy sierżant sztabowy.

— To robota Steve'a — zameldował Pierce. — Ja nie miałem tym razem szczęścia.

Dobry strzał, Steve — dodał.

— Dzięki, Mike — powiedział sierżant Lincoln, rozglądając się wokoło. — Razem sześciu?

— Zgadza się — odpowiedział Eddie, ruszając w stronę domu. — Zostańcie tutaj.

— W obu wypadkach łatwe strzały — mówił Tomlinson, otoczony przez austriackich policjantów.

— Byli za wysocy, żeby się ukryć — potwierdził Loïselle. Tęsknił do papierosa, chociaż rzucił palenie już dwa lata temu. Zakładników odprowadzono. Na trawniku pozostali dwaj martwi terroryści. Pomyślał, że ich krew na pewno nie zaszkodzi soczystej zielonej trawie.

Przecież krew jest dobrym nawozem. Taki piękny zamek. Szkoda, że nie mogli się w nim rozejrzeć.

Dwadzieścia minut później ludzie z Drugiego Zespołu przebierali się, pakowali broń i resztę sprzętu, przygotowując się do odjazdu na lotnisko. Kamery telewizyjne kręciły pracowicie w świetle reflektorów, ale dość daleko od nich. Teraz, po pomyślnym zakończeniu operacji, można się było odprężyć, pozwolić, żeby stres opadł. Price stał koło mikrobusu, pykając z fajki.

Skończył palić, stuknął kilka razy cybuchem w obcas i wszedł do środka.

8

# Media

Relacja telewizyjna skończyła się, jeszcze zanim Drugi Zespół odleciał na Heathrow.

Materiały filmowe nie zawierały na szczęście zbyt wielu szczegółów, ponieważ Staatspolizei trzymała kamery w dość dużej odległości, a w dodatku po drugiej stronie budynku. Było chyba tylko jedno przyzwoite ujęcie, ukazujące członka zespołu antyterrorystycznego, który palił fajkę.

Chwilę później kamery zwróciły się w stronę kapitana Wilhelma Altmarka, który informował reporterów o tym, co zaszło. Specjalny i tajny dotąd zespół policji austriackiej opanował sytuację w zamku Ostermanna, uwalniając wszystkich zakładników. Niestety, nie aresztowano żadnego z przestępców. Sztab Billa Tawneya nagrywał to wszystko z telewizji austriackiej, Sky News i innych europejskich stacji telewizyjnych, które poinformowały o tych wydarzeniach. Wprawdzie brytyjska telewizja Sky News zdołała dotrzeć z własną kamerą na miejsce, ale jedyną różnicą w materiale filmowym była pozycja tej kamery. Różne uczone komentarze też były prawie takie same: specjalnie wyszkolona i wyposażona jednostka policyjna, w skład której wchodziłi prawdopodobnie także żołnierze armii austriackiej, zdecydowane działanie, troska, żeby nie ucierpieli niewinni ludzie. Kolejny punkt dla policji — tego już nie powiedziano tak wyraźnie. W

relacjach telewizyjnych nie wspomniano, kim byli przestępcy. Ustaleniem ich tożsamości zajmie się policja, a rezultaty dochodzeń zostaną przekazane sekcji wywiadowczej Billa Tawneya, wraz z protokołami przesłuchań zakładników.

Członkowie Drugiego Zespołu mieli za sobą bardzo długi dzień i wszyscy poszli spać zaraz po powrocie do Hereford. Chavez powiadomił ich, że następnego dnia nie będzie treningu kondycyjnego. Nikt nie pomyślał nawet o uczczeniu sukcesu paroma piwami w klubie podoficerskim bazy. Klub był zresztą i tak dawno zamknięty, kiedy wrócili.

W drodze powrotnej Chavez wspominał w rozmowie z doktorem Bellowem, że mimo doskonałej kondycji fizycznej, jego ludzie byli zmęczeni, i to bardziej niż podczas organizowanych co jakiś czas nocnych ćwiczeń. Bellow wyjaśnił mu, że to stres jest głównym czynnikiem powodującym zmęczenie, i że członkowie zespołu nie uodpornią się na stres, bez względu na trening czy kondycję fizyczną. Najwidoczniej odnosiło się to również do niego samego, bo wypowiedziawszy tę opinię, odwrócił się i zasnął. Chavez zrobił to samo, kiedy tylko skończył swój kieliszek czerwonego hiszpańskiego wina.

W Austrii była to, oczywiście, wiadomość dnia. Popow obejrzał pierwsze relacje w *Gasthausie*, a później dalsze, już w hotelu. Sącył pomarańczówkę, z uwagą wpatrując się w ekran telewizora. Wszystkie oddziały antyterrorystyczne wyglądały bardzo podobnie, ale można się tego było spodziewać, ponieważ wszystkie przechodziły niemal identyczny trening i uczyły się z tego samego międzynarodowego podręcznika, który najpierw wprowadzili Anglicy do szkolenia komandosów z SAS. Następnie zaczęto z niego korzystać w Niemczech na potrzeby GSG-9, a potem w innych

krajach europejskich. W końcu przejęli go również Amerykanie, ze wszystkimi szczegółami, aż po czarne kombinezony, co wydało się Popowowi trochę teatralne; z drugiej strony, przecież musieli się w coś ubierać, a czerń na pewno była lepsza od bieli. Popow nie zamierzał zresztą łamać sobie nad tym głowy. W tej chwili bardziej interesowała go skórzana walizeczka, pełna marek niemieckich, którą miał ze sobą. Następnego dnia, przed odlotem do Nowego Jorku, zamierzał zabrać ją do Berna i zdeponować pieniądze na swoim koncercie. Wyłączył

telewizor i zaczął sobie ścielić łóżko. Nieźle, pomyślał, dwie proste operacje i oto posiadał trochę ponad milion dolarów amerykańskich na anonimowym koncercie numerowym. Pracodawcy dobrze wynagradzali go za to, co dla nich robił, i zdawali się nie przejmować za bardzo kosztami. Tym lepiej, ich pieniądze idą w dobre ręce, pomyślał Rosjanin.

— Dzięki Bogu. — George Winston odetchnął z ulgą. — Do licha, znam przecież tego faceta. Erwin to przyzwoity gość — powiedział sekretarz skarbu, wychodząc z Białego Domu po posiedzeniu gabinetu, które bardzo się przeciągnęło.

— Kto go uwolnił?

— Hm... — Znalazł się w kłopotcie. Nie powinien o tym mówić, ba, nie powinien o tym w ogóle wiedzieć. — A co powiedzieli w telewizji?

— Chyba miejscowi gliniarze, zespół antyterrorystyczny policji wiedeńskiej.

— Cóż, najwyraźniej nauczyli się radzić sobie z takimi sytuacjami — stwierdził sekretarz stanu, podchodząc do swego samochodu z ochroniarzami z Tajnej Służby.

— Austriacy? Od kogo mieliby się tego nauczyć?

— Myślę, że od kogoś, kto się na tym zna — odpowiedział Winston, wsiadając do samochodu.

— I to jest takie ważne? — Carol Brightling zwróciła się z tym pytaniem do sekretarza Departamentu Spraw Wewnętrznych. Dla niej był to jeszcze jeden przykład na to, że mężczyźni nigdy nie wyrastają z chłopięcych zabaw. Typowe.

— Właściwie, to nie — odpowiedziała sekretarz, idąc do swego służbowego samochodu w towarzystwie agentów ochrony. — Widzieliśmy to przecież w telewizji. Uratowanie tych wszystkich ludzi, to była po prostu dobra robota. Byłam parę razy w Austrii i tamtejsi policjanci nie wydali mi się aż tacy wspaniali. Może się mylę. Ale George zachowuje się, jakby wiedział

więcej niż mówi.

— O, tak, masz rację, Jean. George należy do „ścisłego gabinetu” — powiedziała doktor Brightling. Członkom pełnego gabinetu bardzo się to nie podobało. Oczywiście, formalnie rzecz biorąc, Carol Brightling w ogóle nie była w składzie gabinetu. Siedziała pod ścianą, a nie przy stole, a w ogóle była tam tylko na wypadek, gdyby podczas posiedzenia rządu pojawiło się zapotrzebowanie na

opinię naukową. Dziś się nie pojawiło. Dobrze i źle. Przysłuchiwała się i robiła notatki ze wszystkiego, co działo się w tej udekorowanej, dusznej sali z oknami wychodzącymi na Ogród Różany, podczas gdy prezydent prowadził obrady, usiłując zapanować nad ich porządkiem i nad czasem — dzisiaj bez powodzenia. Polityka podatkowa zajęła ponad godzinę i w ogóle nie doszli do problemu wykorzystania zasobów leśnych, który leżał w gestii Departamentu Spraw Wewnętrznych i który przełożono na następne posiedzenie, mające się odbyć za tydzień.

Doktor Brightling nie miała ochrony ani nawet biura w samym Białym Domu. Poprzedni prezydenci doradcy naukowcy rezydowali w Skrzydle Zachodnim, ale ją przeniesiono do Old Executive Office. Miała tu większe, wygodniejsze biuro, z oknem. Poprzednie biuro doradcy naukowego, w podziemiach Białego Domu, nie miało okien. Chociaż jednak Stary Budynek Rządowy pod względem administracyjnym i bezpieczeństwa był traktowany jako część Białego Domu, nie miał już tego prestiżu, a przecież prestiż liczył się przede wszystkim, jeśli już należało się do personelu Białego Domu. Nie dało się tego uniknąć nawet pod rządami obecnego prezydenta, który dokładał dużych starań, żeby wszystkich traktować jednakowo i który miał w nosie takie bzdury jak symbole statusu. Więc Carol Brightling korzystała z przysługującego jej prawa do jadania w stołówce Białego Domu z Wielkimi Ludźmi z administracji i kręciła nosem na to, że, aby zobaczyć się z prezydentem — o ile sam jej nie wezwał — musiała się kontaktować z szefem personelu i sekretarką, zanim pozwolono jej zabrać kilka minut Jego Cennego Czasu. Jakby kiedykolwiek zabierała mu ten czas bez potrzeby.

Agent Tajnej Służby otworzył jej drzwi, uśmiechnął się uprzejmie i skinął głową. Weszła do tego zaskakująco brzydkiego budynku i skierowała się w prawo, do swojego biura, którego okno wychodziło na Biały Dom. Po drodze wręczyła swemu sekretarzowi (oczywiście, że sekretarzowi, a nie sekretarce) notatki do przepisania, a potem usiadła przy biurku. Czekala już tam na nią nowa porcja papierów, którymi trzeba się było zająć. Wyjęła z szuflady miętusa, wsadziła go sobie do ust i zaatakowała papiery na biurku. Po chwili zastanowienia wzięła do ręki pilota i włączyła telewizor. Wybrała CNN, chcąc się zorientować, co dzieje się na świecie.

Rozpoczął się właśnie kolejny dziennik, jak o każdej pełnej godzinie. Na pierwszym miejscu znalazły się relacje z incydentu pod Wiedniem.

Boże, niezły dom, pomyślała od razu. Jak pałac królewski. Cóż za marnotrawstwo, żeby mieszkał w czymś takim jeden człowiek, czy nawet cała rodzina. Co Winston powiedział o właścicielu? Przyzwoity gość? Pewnie, wszyscy przyzwoici ludzie otaczali się takim przepychem, marnotrawiąc cenne zasoby naturalne. Jeszcze jeden przeklęty plutokrata, spekulant giełdowy czy coś w tym rodzaju. Musiał mieć wielkie pieniądze, żeby kupić taką posiadłość, a tu terroryści naruszyli sferę jego prywatności. Ale heca. Ciekawe, dlaczego wybrali właśnie jego?

Cóż, napadanie na hodowców owiec czy kierowców ciężarówek nie miało sensu. Terroryści brali się za bogaczy albo za ważniaków, bo napadanie na zwykłych ludzi nie miało takiej wymowy politycznej, a przecież akty terroryzmu były w końcu aktami politycznymi. Ale w tym wypadku terroryści okazali się nie tak bystrzy, jak powinni. Wysłano ich na operację, która... która nie mogła się powieść? Czy to możliwe? Pomyślała, że pewnie możliwe. Był to w końcu akt polityczny, i jako taki mógł służyć najróżniejszym celom. Ta myśl wywołała uśmiech na twarzy Carol Brightling. Reporter telewizyjny opisywał akcję oddziału specjalnego miejscowej policji

— niestety, nie było materiału filmowego, bo policjanci nie chcieli, żeby włązili im w drogę kamerzyści i reporterzy — po czym pokazano uwolnionych zakładników, w zbliżeniu, żeby telewizywnie mogli się wczuć w ich niedawne przejścia. Otarli się o śmierć, ale zostali uwolnieni, uratowani przez miejscowych policjantów, którzy w rzeczywistości po prostu przywrócili każdemu z nich zaprogramowany przez naturę czas śmierci, bo przecież prędzej czy później wszyscy musieli umrzeć. Taki był plan natury, a z naturą nie można walczyć... choć przecież można jej pomóc, nieprawdaż? Reporter mówił właśnie, że był to już drugi akt terroryzmu w Europie w ciągu ostatnich kilku miesięcy; w obu wypadkach terroryści ponieśli klęskę dzięki sprawnej akcji policji. Carol pamiętała próbę napadu na bank w Bernie.

Spojrzała na faks od Przyjaciół Ziemi, którzy mieli jej bezpośredni numer i często przysyłali jej to, co uważali za ważne informacje.

Usiadła wygodniej na krześle z wysokim oparciem i dwukrotnie przeczytała faks.

Pomyślała, że Przyjaciele Ziemi to grupa przyzwoitych ludzi ze słusznymi ideami, chociaż mało kto chciał ich słuchać.

— Pani Brightling? — Sekretarz wsunął głowę przez drzwi.

— Tak, Roy?

— Mam pani nadal przynosić takie fakсы? Takie, jak ten, który pani właśnie czyta? — spytał Roy Gibbons.

— O, tak.

— Ale przecież ci ludzie są zupełnie stuknięci.

— Niezupełnie. Podobają mi się ich niektóre poczynania — odpowiedziała Carol, wyrzucając faks do kosza na śmieci. Pomyślała, że kiedyś powróci do ich koncepcji.

— W porządku, pani doktor. — Głowa sekretarza cofnęła się.

Następne pismo było dość ważne. Procedury wyłączania reaktorów w elektrowniach atomowych i problemy, związane z bezpieczeństwem wyłączonych reaktorów: ile czasu minie, zanim czynniki środowiskowe spowodują korozję i jakie może to wyrządzić szkody w środowisku naturalnym. Tak, to były bardzo ważne sprawy i na szczęście w załączniku do tego raportu znalazły się dane, dotyczące poszczególnych reaktorów w całym kraju. Wsadziła do ust następnego miętusa, pochyliła się, rozłożyła papiery na biurku i zabrała się do lektury.

— To chyba działa — powiedział cicho Steve.

— Ile sztuk mieści się w środku? — spytała Maggie.

— Od trzech do dziesięciu.

— A jaka jest wielkość tego opakowania?

— Sześć mikronów. Dasz wiarę? Opakowanie jest białe, więc nieźle odbija światło, a zwłaszcza promienie ultrafioletowe i w rozpylonej wodzie jest praktycznie niewidoczne. —

Pojedynczej kapsułki nie można było dostrzec gołym okiem, nawet pod mikroskopem była ledwie widoczna. Kapsułki ważyły tak niewiele, że powinny unosić się w powietrzu niczym drobiny kurzu. Oznaczało to, że będą się przedostawać do dróg oddechowych równie łatwo, jak dym papierosowy w barze dla samotnych. A kiedy już znajdą się w ciele, ich powłoki rozpuszczą się, uwalniając wirusy Sziwy do płuc i przewodu pokarmowego, gdzie będą mogły zabrać się do pracy.

— Rozpuszczalność w wodzie? — spytała Maggie.

— Rozpuszcza się powoli, ale proces ten staje się szybszy, jeśli w wodzie jest coś biologicznie aktywnego, na przykład śladowe ilości kwasu solnego w ślinie. Cholera, moglibyśmy zrobić majątek, sprzedając to Irakijczykom albo komukolwiek innemu, kto chce się bawić w wojnę biologiczną.

Ich firma opracowała tę technologię w ramach finansowanych przez Narodowy Instytut Zdrowia prac nad nowym sposobem wprowadzania szczepionek do organizmu. Zastrzyki wymagały przyuczonego personelu. Nowa technologia polegała na zastosowaniu elektroforezy do nakładania mikroskopijnych ilości ochronnego żelu na jeszcze mniejsze ilości unoszącej się w powietrzu substancji biologicznie czynnej. Sporządzoną w ten sposób szczepionkę będzie można aplikować w zwykłych napojach, zamiast korzystać z mniej wygodnych metod. Jeśli kiedykolwiek opracowana zostanie skuteczna szczepionka przeciw HIV, to właśnie w ten sposób będzie ją się podawać w Afryce, gdzie brakuje infrastruktury, która umożliwiałaby inne metody.

Steve udowodnił właśnie, że ta sama technologia może zostać wykorzystana do równie skutecznego wprowadzania do organizmu aktywnego wirusa. No, prawie udowodnił...

— Jak to sprawdzimy?

— Na małpach. Mamy ich dość w laboratorium?

— Mnóstwo — zapewniła. To będzie ważny krok. Podadzą go kilku małpom, a potem zbadają, jak szybko rozszerzy się na całą małpią populację w laboratorium. Wykorzystają w tym celu rezusy. Ich krew jest tak podobna do ludzkiej.

Obiekt M4 był pierwszy, jak się tego spodziewali. Miał pięćdziesiąt trzy lata i wątrobę w takim stanie, że zakwalifikowałby się na sam początek listy pacjentów do przeszczepu, prowadzonej przez Uniwersytet w Pittsburghu. Jego skóra miała żółtawy odcień, ale nie powstrzymywało go to od alkoholu. Pił więcej niż jakikolwiek inny uczestnik testu. Powiedział, że nazywa się Chester Jakiśtam — doktor Killgore nie pamiętał dokładnie. Pod względem sprawności umysłowej Chester był chyba najgorszy w grupie. Godzinami oglądał telewizję, rzadko z kimś rozmawiał, nigdy nie czytał komiksów, tak popularnych wśród pozostałych, podobnie jak kreskówki telewizyjne — oglądanie filmów rysunkowych na Cartoon Network było ich ulubionym sposobem spędzania czasu.

John Killgore doszedł do wniosku, że wszyscy czuli się jak świnie w błocie. Mogli pić, ile tylko chcieli, mieli co jeść, było im ciepło, a większość zaczynała się nawet uczyć korzystania z prysznicza. Niektórzy pytali czasem, dlaczego się tu znaleźli, ale zdawkowe odpowiedzi, jakie otrzymywali od lekarzy i strażników, najzupełniej ich zadowalały.

Chesterem trzeba się jednak było zająć, i to zaraz. Killgore wszedł do pokoju i zawołał go po imieniu. Obiekt M4 wstał z łóżka i podszedł bliżej. Widać było, że czuje się fatalnie.

— Źle się czujesz, Chester? — spytał Killgore zza maski, osłaniającej mu usta i nos.

— Coś z żołądkiem, torsje i w ogóle cały jestem rozbity — odpowiedział Obiekt 4.

— Chodź ze mną, zobaczymy, co się da zrobić, dobrze?

— Skoro pan tak mówi, doktorze — odpowiedział Chester, przypieczętowując swą zgodę głośnym beknięciem.

Na korytarzu posadzili go na wózku inwalidzkim. Do części szpitalnej obiektu było tylko około pięćdziesięciu metrów. Dwaj sanitariusze przenieśli Chestera na łóżko i przywiązali go taśmami samoprzyczepnymi. Następnie jeden z nich pobrał mu krew. Dziesięć minut później Killgore zbadał ją na obecność przeciwciał Sziwy. Tak jak oczekiwał, próbka zabarwiła się na niebiesko. Chesterowi — Obiektowi M4 — pozostał niecały tydzień życia. Zanim tu trafił, mógł

liczyć najwyżej na sześć do dwunastu miesięcy, tak wielkie spustoszenia poczynił w jego organizmie alkoholizm. W sumie różnica nie jest więc aż taka wielka, pomyślał Killgore, podłączając Chesterowi kroplówkę z morfiną, żeby go uspokoić. Wkrótce Obiekt M4 leżał, nieświadom, co się z nim dzieje i nawet się uśmiechał. Dobrze. Chester wkrótce umrze, ale będzie miał raczej lekką śmierć. Doktorowi Killgore bardzo zależało na tym, żeby cały proces przebiegał w sposób humanitarny.

Wrócił do biura, które było zarazem punktem obserwacyjnym i spojrzał na zegarek.

Pracował teraz do późna. Poczuł się, jakby znów był prawdziwym lekarzem. Nie praktykował

medycyny klinicznej od czasu stażu podyplomowego, ale czytał czasopisma medyczne i wiedział, co należy do obowiązków lekarza, a poza tym, jego obecni pacjenci i tak się nie zorientują. Masz pecha, Chester, ale cóż, życie bywa brutalne, pomyślał i zabrał się do robienia notatek. Wczesna reakcja Chestera na zarażenie wirusem była trochę niepokojąca — minęła dopiero połowa zakładanego okresu — ale wiązało się to zapewne ze znaczną niewydolnością wątroby. Nic nie można było na to poradzić. Jedni ludzie złapią to szybciej od innych, z uwagi na różne przypadłości. To znaczy, że epidemia będzie się rozpoczynać stopniowo. W ostatecznym rozrachunku nie powinno to mieć znaczenia, chociaż ludzie zostaną zaalarmowani wcześniej niż przypuszczał. Rozpocznie się run na szczepionki, nad którymi pracował Steve Berg w swoim laboratorium. Szczepionka A będzie wytwarzana i rozprowadzana w dużych ilościach, w odróżnieniu od szczepionki B, zakładając, że rzeczywiście uda się ją opracować. A będzie dla wszystkich, zaś B tylko dla wybranych, dla tych, którzy mają przeżyć, którzy rozumieją, o co w tym wszystkim chodzi, bądź przynajmniej będą gotowi



przyjąć dar życia i odnaleźć się w nowej sytuacji.

Killgore pokręcił głową. Było jeszcze tyle do zrobienia i, jak zwykle, brakowało czasu.

Clark i Stanley zaczęli analizować akcję z samego rana, razem z Peterem Covingtonem, spoconym jeszcze po porannym treningu kondycyjnym z Pierwszym Zespołem. Chavez i jego ludzie dopiero wstawali, spędziwszy wczoraj długi dzień w kontynentalnej Europie.

— Sytuacja taktyczna była parszywa — mówił major Covington. — Chavez ma rację.

Potrzebujemy naszych własnych pilotów śmigłowcowych. Wczorajsza operacja aż się o nich prosiła, ale nic nie mogliśmy poradzić. To dlatego Ding musiał realizować ryzykowny plan, licząc na łut szczęścia.

— Mógł się zwrócić do ich wojska o pomoc — zauważył Stanley.

— Sir, obaj wiemy, że nie można się zdecydować na ważne posunięcie taktyczne z pilotami, których się nie zna i z którymi się przedtem nie pracowało — powiedział Covington z wyszukanim akcentem z Sandhurst[8]. — Trzeba się tym niezwłocznie zająć.

— To prawda — przyznał Stanley, spoglądając na Clarka.

— Nie będzie łatwo przekonać, kogo trzeba, ale spróbuję — powiedział Clark. Jak, u diabła, mogli to przeoczyć? — Dobrze, określmy najpierw, na jakie typy śmigłowców będziemy mogli liczyć, a potem rozejrzemy się za pilotami, którzy potrafią latać na większości z nich.

— Idealny byłby *Night Stalker*, ale musielibyśmy zabierać go ze sobą. Jak to zrobić?

Samolot transportowy C-5 lub C-17 do naszej wyłącznej dyspozycji? — spytał Stanley.

Clark skinął głową. *Night Stalker*, jedna z wersji *HH-60A*, opracowana na potrzeby Task Force 160, przemianowanej obecnie na SOAR (Special Operations Aviation Regiment — Pułk Powietrzny Operacji Specjalnych) w Fort Campbell w stanie Kentucky. Była to prawdopodobnie banda najbardziej zwariowanych pilotów na świecie, współpracujących potajemnie z kolegami z kilku wybranych krajów — Brytyjczycy i Izraelczycy byli najczęstszymi gośćmi w Fort Campbell. Zdobycie śmigłowców i załóg dla Tęczy nie powinno być problemem. Znacznie trudniej będzie uzyskać maszynę transportową, która dostarczałaby śmigłowiec tam, gdzie okaże się potrzebny. Ukryć taki samolot byłoby pewnie równie łatwo jak słonia na dziedzińcu szkolnym. Ale *Night Stalker* był wyposażony w najróżniejsze urządzenia obserwacyjne, specjalny cichy wirnik... dysponował tym wszystkim, czego potrzebowali. Jasny gwint, ta maszyna jest jak dla nas stworzona, rozmarzył się Clark, ale był przekonany, że nic tu nie wskóra, mimo swoich wpływów w Waszyngtonie i w Londynie.

— Dobra, poproszę Waszyngton o zgodę na paru pilotów. Uda się tu załatwić jakąś maszynę, na której będzie można poćwiczyć?

— Na pewno — odpowiedział Stanley.

John spojrzął na zegarek. Musiał poczekać do dziewiątej rano czasu waszyngtońskiego —

w Anglii będzie to druga po południu — żeby skontaktować się z dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej, przez którą przechodziły amerykańskie fundusze na działalność Tęczy.

Zastanawiał się, jak Ed Foley zareaguje; zdawał sobie sprawę, że jeśli chce coś osiągnąć, musi w nim rozpałcić entuzjazm do tego przedsięwzięcia. No, z tym akurat nie powinno być kłopotów. Ed wiedział, co to operacje w terenie i był lojalny wobec ludzi, którzy je prowadzili. Sprzyjającą okolicznością był ich wczorajszy sukces. Trudno liczyć na czyjąś przychylność, prosząc o pomoc po porażce.

— W porządku, będziemy jeszcze o tym rozmawiać na odprawie. — Clark wstał i poszedł do swojego biura. Helen Montgomery jak zawsze położyła mu na biurku stertę papierów, tym razem trochę wyższą niż zwykle, ponieważ zawierała także oczekiwane depesze z podziękowaniami od Austriaków. Ta od ministra sprawiedliwości sformułowana była szczególnie kwieciste.

— Piękne dzięki — mruknął John, odkładając ją na bok.

Sprawy administracyjne zabierały mu mnóstwo czasu. Jako dowódca Tęczy, Clark musiał

czuwać nad tym, kiedy i skąd przychodziły pieniądze i na co były wydawane, musiał wyklócać się o takie rzeczy, jak cotygodniowa porcja amunicji dla jego ludzi. Zwał co się tylko dało na Alistaira Stanleya i panią Montgomery, ale i tak mnóstwo spraw trafiało na jego biurko. Miał

długoletnie doświadczenie w służbie państwowej, w CIA musiał składać drobiazgowo sprawozdania z każdej operacji, w której brał udział, bo inaczej ludzie spędzający życie za biurkiem byli bardzo nieszczęśliwi. Ale to tutaj przechodziło wszelkie wyobrażenia. Musiał się rozliczać z własnego czasu na strzelnicy, bo przekonał się, że strzelanie to dobry sposób na łagodzenie stresów, zwłaszcza jeśli wyobrażał sobie wizerunki swych biurokratycznych dręczycieli na tarczach, które dziurawił pociskami kalibru 0,45 cala. Uzasadnianie wydatków z budżetu było dla niego czymś nowym i niezrozumiałym. Jeśli coś było nieważne, to po co w ogóle to finansować? Skoro jednak było ważne, to po cholere kręcić nosem nad amunicją za parę tysięcy dolarów? Ale taka już była mentalność biurokratów, tych wszystkich, którzy siedzieli przy biurkach w przekonaniu, że świat się zawali, jeśli wszystkie papierki nie zostaną odpowiednio parafowane, podpisane, ostemplowane i pochowane do właściwych teczek. A jeśli komuś komplikowało to życie — cóż, trudno. I oto on, John Terrence Clark, agent terenowy CIA od ponad trzydziestu lat, ktoś, kto w Firmie stał się już legendą, był teraz przykuty do swojego kosztownego biurka, za zamkniętymi drzwiami, wykonując papierkową robotę, którą ze wstrętem odrzuciłby każdy szanujący się księgowy. Nadzorowanie i ocenianie prawdziwych operacji — co przecież także należało do jego obowiązków — było o wiele ciekawsze i konkretne.

O swój budżet nie musiał się zresztą specjalnie martwić. W sumie mniej niż pięćdziesięciu ludzi, koszty osobowe nie przekraczające trzech milionów dolarów, ponieważ wszyscy dostawali normalne wojskowe wynagrodzenia, plus to, że Tęcza, finansowana przez kilka rządów, pokrywała ze swego budżetu również koszty mieszkaniowe. Wynikł pewien problem: amerykańscy żołnierze byli lepiej

opłacani niż ich europejscy koledzy. Johnowi nie bardzo się to podobało, ale nic nie mógł poradzić. Tak czy inaczej, dzięki pokryciu kosztów mieszkaniowych — mieszkania w Hereford nie były może luksusowe, ale przecież wygodne —

nikt nie miał kłopotów ze związaniem końca z końcem. Morale żołnierzy było doskonałe.

Oczekiwał tego. Byli elitą, musieli więc odznaczać się właściwą postawą, zwłaszcza że ćwiczyli niemal codziennie, a żołnierz kocha ćwiczenia prawie tak samo jak robienie tego, czego się na ćwiczeniach nauczył.

Będzie trochę rozdźwięków. Ku zazdrości Pierwszego Zespołu Petera Covingtona, Drugi Zespół Chaveza dwa razy z rzędu załapał się na operacje, co wbiło ich trochę w dumę.

Tymczasem w konkurencji między obu zespołami ludzie Covingtona byli nieco lepsi, jeśli chodzi o sprawność fizyczną i strzelanie. Była to wprawdzie minimalna przewaga, ale ci ludzie, równie żądni zwycięstw jak sportowcy, potrafili harować na ułamek procentu przewagi. Osiągnęli już taki poziom, że naprawdę liczyło się, co który zjadł na śniadanie w dniu zawodów albo o czym śnił poprzedniej nocy. Cóż, taka konkurencja była dobra dla zespołu jako całości. I zdecydowanie niezdrowa dla tych, przeciw którym ci ludzie ruszali do akcji.

Bill Tawney również siedział przy biurku, przeglądając informacje na temat terrorystów, z którymi rozprawili się poprzedniej nocy. Austriacy skontaktowali się z Bundeskriminalamt, niemiecką policją federalną, jeszcze zanim rozpoczęła się akcja Tęczy. Tożsamość Hansa Fürchtnera i Petry Dortmund potwierdzono na podstawie odcisków palców. Ludzie z BKA mieli się od dziś ostro zabrać do tej sprawy. Na początek trzeba ustalić tożsamość tych, którzy wynajęli samochód, wykorzystany do ataku na rezydencję Ostermanna, oraz poszukać w Niemczech —

Tawney przypuszczał, że będą to właśnie Niemcy, chociaż pewności nie miał — ich miejsca zamieszkania. Z pozostałymi czterema terrorystami będzie trudniej. Pobrano im odciski palców i teraz komputery, którymi wszyscy już dysponowali, porównywały je z odciskami w bazach danych. Tawney zgadzał się z Austriakami, którzy przypuszczali, że ta czwórka pochodziła z byłej NRD. Można było odnieść wrażenie, że jest tam wylęgarnia wszelkiego rodzaju politycznych zбочeńców: byłych komunistów, odkrywających teraz uroki nazizmu, zatwardziałych komunistów, wiernych poprzedniemu modelowi polityczno-gospodarczemu, a także zwykłych bandziorów, którzy byli wielkim utrapieniem dla niemieckiej policji.

W tym wypadku musiały być jakieś motywy polityczne. Fürchtner i Dortmund przez całe życie byli zagorzałymi komunistami. Wychowywali się w Niemczech Zachodnich, pochodzili z mieszczańskich rodzin, podobnie jak całe pokolenie terrorystów, i przez całe dorosłe życie dążyli do komunistycznej perfekcji czy jakiejś podobnej iluzji. I w końcu napadli na rezydencję kapitalisty... Ale czego tam szukali?

Tawney przeglądał fakсы z Wiednia. Erwin Ostermann powiedział policji podczas trzygodzinnego przesłuchania, że terroryści żądali od niego „specjalnych kodów dostępu” do międzynarodowego

systemu finansowego. Czy w ogóle istniało coś takiego? Prawdopodobnie nie, uznał Tawney, ale wolał się upewnić. Podniósł słuchawkę i wybrał numer swego starego przyjaciela, Martina Coopera, byłego funkcjonariusza MI-6, który obecnie pracował w paskudnym budynku Lloyd'a w centrum finansowym Londynu.

— Cooper — rozległo się w słuchawce.

— Witaj Martin, tu Bill Tawney. Jak się miewasz w ten deszczowy poranek?

— Całkiem dobrze, Bill, a ty? Czym się teraz zajmujesz?

— Wciąż na żołdzie Jej Królewskiej Mości, stary. Mam nowe zajęcie, ale obawiam się, że to ściśle tajne.

— W czym mogę ci pomóc, stary?

— Nie gniewaj się, ale mam dość głupie pytanie. Czy istnieją jakieś dojścia dla wtajemniczonych do międzynarodowego systemu finansowego? Specjalne kody, czy coś takiego?

— Przykro mi, Bill, nic z tych rzeczy, a szkoda, bo bardzo ułatwiłyby mi życie — odpowiedział były szef stacji SIS w Meksyku. — Co dokładnie masz na myśli?

— Sam nie wiem, ale taka kwestia właśnie się pojawiła.

— Cóż, ludzie na wysokim szczeblu rzeczywiście utrzymują ze sobą kontakty osobiste i często wymieniają się informacjami, ale sądzę, że tobie chodzi o coś bardziej strukturalnego, jakąś sieć informacji finansowych dla wtajemniczonych, czy coś w tym rodzaju?

— Tak, coś w tym rodzaju.

— Jeśli coś takiego istnieje, to udało się to utrzymać w tajemnicy przede mną i ludźmi, dla których pracuję. Międzynarodowy spisek? — parsknął Cooper. — To bardzo gadatliwe środowisko, wiesz? I każdy każdemu zagląda przez ramię.

— Czyli nic takiego nie istnieje?

— Nie, Bill, a przynajmniej ja o tym nie słyszałem. Wiesz, wygląda to na plotkę z gatunku tych, w które zwykli ludzie chętnie wierzą, ale w których nie ma ani ziarnka prawdy.

Chyba że zorganizowała to ta sama banda, która dokonała zamachu na Kennedy'ego — dodał Cooper i zachichotał.

— Też tak pomyślałem, Martin, ale musiałem się upewnić. Dzięki, przyjacielu.

— Przy okazji, Bill, nie wiesz przypadkiem, kto mógł napaść na tego Ostermanna w Wiedniu?

— Nie, a co, znasz go?

— Mój szef go zna. Ja też się z nim kiedyś spotkałem. Wygląda na przyzwoitego faceta i jest cholernie inteligentny.

— Wiem tylko to, czego dowiedziałem się dziś rano z telewizji.

— Nie było to zupełnym kłamstwem, a poza tym Tawney wiedział, że Martin i tak zrozumie.

— Cóż, chyłę czoło przed tymi, którzy go uratowali, ktokolwiek to był. Wygląda mi to na SAS.

— Naprawdę? Chyba nie byłoby to zaskoczeniem, nie sądzisz?

— Chyba nie. Miło cię było znów usłyszeć, Bill. Może wybralibyśmy się kiedyś na obiad?

— Z przyjemnością. Zadzwońię do ciebie, kiedy znów będę w Londynie.

— Świetnie. Cześć.

Tawney odłożył słuchawkę. Pomyślał, że Martin najwyraźniej poradził sobie po tym, kiedy zwolniono go z MI-6 w ramach redukcji po zakończeniu zimnej wojny. Cóż, można się tego było spodziewać. Plotka z gatunku tych, w które zwykli ludzie chętnie wierzą, pomyślał.

Tak, to by pasowało. Fürchtner i Dortmund byli komunistami i za nic w świecie nie zaufaliby wolnemu rynkowi. W ich przekonaniu, wzbogacić można się było tylko przez oszustwa, wyzysk i spiskowanie z podobnymi sobie. Ale co to oznaczało...?

Dlaczego zaatakowali rezydencję Erwina Ostermanna? Motyw rabunkowy nie miał sensu.

Tacy ludzie nie trzymają w domu gotówki ani sztab złota. Cały jego majątek miał formę teoretycznych, elektronicznych pieniędzy, które istniały w pamięciach komputerów i podróżowały liniami telefonicznymi. A coś takiego trudno ukraść.

Nie, tacy ludzie jak Ostermann posiadali przede wszystkim informacje, najważniejsze źródło władzy, chociaż tak ulotne. Czy Fürchtner i Dortmund gotowi byli zabić dla informacji?

Na to wyglądało, ale czy należeli do ludzi, potrafiących wykorzystać tego rodzaju informacje? Z pewnością nie, bo w przeciwnym wypadku wiedzieliby, że to, czego żądali, w ogóle nie istnieje.

Ktoś ich wynajął, pomyślał Tawney. Ktoś posłał ich na tę akcję. Ale kto?

I w jakim celu? To było jeszcze lepsze pytanie, które w dodatku może mu podsunąć odpowiedź na to pierwsze.

Pomyślał, że musi się trochę cofnąć. Jeśli ktoś wynajął ich do tej roboty, to kto?

Niewątpliwie ktoś z dojciami do dawnej siatki terrorystycznej, ktoś, kto znał ich miejsca pobytu, ktoś, kogo oni znali i komu ufali na tyle, że gotowi byli zaryzykować życiem. Ale Fürchtner i Dortmund byli czystymi ideologicznie komunistami. Można było założyć, że i przyjaciół

dobierali sobie według tego kryterium. Z całą pewnością nie zaufaliby komuś, kto reprezentował

odmienną opcję polityczną. A ten hipotetyczny „ktoś” wiedział, gdzie ich znaleźć, jak się z nimi skontaktować, jak zdobyć ich zaufanie i wysłać na samobójczą misję w poszukiwaniu czegoś, co w ogóle nie istniało...

Dawny przełożony? Tawney łamał sobie głowę. To musiał być osobnik tej samej maści politycznej, władny wydawać im rozkazy lub przynajmniej potrafiący nakłonić ich do zrobienia czegoś niebezpiecznego.

Potrzebował więcej informacji i zamierzał wykorzystać swe kontakty w brytyjskim wywiadzie i w policji, żeby w najdrobniejszych szczegółach zapoznać się z wynikami śledztwa prowadzonego przez Austriaków i Niemców. Na początek zadzwonił do Whitehall, żeby mieć pewność, iż otrzyma kompletny przekład przesłuchań wszystkich zakładników. Tawney był

oficerem wywiadu od wielu lat i wyraźnie czuł, że natrafił na jakąś zagadkę.

— Ding, twój plan akcji wcale mi się nie podobał — powiedział Clark w wielkiej sali konferencyjnej.

— Mnie też nie, panie C, ale bez śmigłowca nie miałem wyboru — odpowiedział Chavez, przekonany o swojej racji. — Tak naprawdę, to martwi mnie co innego.

— Co takiego? — spytał John.

— Noonan zwrócił na to uwagę. Gdziekolwiek byśmy się pojawili, zawsze znajdą się w pobliżu jacyś ludzie: okoliczni mieszkańcy, reporterzy, ekipy telewizyjne i tak dalej. Wystarczy, że jeden z nich będzie miał telefon komórkowy i zadzwoni do opozycji, informując, co się dzieje.

Proste, co? Jesteśmy udupieni i paru zakładników też.

— Myślę, że potrafimy się tym zająć — powiedział Tim Noonan.

— Wiecie, jak działa telefon komórkowy? Wysyła sygnał do lokalnego przekaźnika sieci, informując, gdzie jest i że jest włączony. Dzięki temu system komputerowy może odpowiednio kierować przychodzące rozmowy. Można skombinować urządzenia, umożliwiające podsłuchiwanie takich rozmów i ewentualnie zablokowanie sygnału... Może nawet udałoby się namierzyć telefon opozycji, przechwycić przychodzącą rozmowę i zapuszkować sukinsyna, albo i zmusić go do współpracy. Ale potrzebny mi jest do tego odpowiedni program komputerowy, i to natychmiast.

— David? — Clark odwrócił się do Davida Peleda, ich izraelskiego geniusza technicznego.

— Jest to możliwe. Sądzę, że niezbędna technologia już istnieje w Agencji Bezpieczeństwa

Narodowego.

— A co z Izraelem? — spytał Noonan, spoglądając wymownie.

— Hm... tak, mamy coś takiego.

— Więc sprowadź to dla nas — polecił Clark. — Chcesz, żebym osobiście zadzwonił do Awiego ben Jakoba?

— Tak byłoby najlepiej.

— Dobrze. Będę potrzebował nazw i specyfikacji. Trudno będzie przeszkolić obsługę?

— Nie bardzo — przyznał Peled. — Tim na pewno sobie z tym poradzi.

Dziękuję za ten dowód zaufania, pomyślał agent specjalny Noonan, nie uśmiechając się jednak.

— Wróćmy do akcji — zakomenderował Clark. — Ding, czym się kierowałeś?

Chavez pochylił się do przodu. Bronił nie tylko siebie, lecz całego swojego zespołu. —

Przede wszystkim nie chciałem stracić ani jednego zakładnika, John. Doktor Bellow powiedział, że tamtych dwoje trzeba traktować serio, a zbliżał się termin ultimatum. Grozili, że zabiją zakładnika. Jeśli dobrze rozumiem, w naszych operacjach chodzi o to, żeby nie tracić zakładników. No więc, kiedy stało się jasne, że będą chcieli odlecieć śmigłowcem, uznałem, że trzeba im pomóc, do pewnego stopnia. Dieter i Homer spisali się na medal. Tak samo Eddie i reszta. Ryzykowne było podejście Louisa i George'a pod dom, skąd mogli zdjąć ostatnią grupę. Dotarli na miejsce niezauważeni, jak nindze — ciągnął Chavez, wyciągając rękę w kierunku Loisélle i Tomlinsona. — To była najbardziej ryzykowna część całej operacji. Poprzez ustawienie reflektorów zadbałiśmy, żeby obaj byli w cieniu. Kamuflaż też spełnił swoją rolę.

Byłby problem, gdyby opozycja miała gogle noktowizyjne, ale i z tym uporałaby się dodatkowa iluminacja. Gogle noktowizyjne nie na wiele się przydają, jeśli się je oświetli. Ryzykowałem —

przyznał Ding — ale lepsze to, niż przyglądać się, jak tamci rozwalają zakładnika. To ja byłem na miejscu, panie C, i to ja dowodziłem. Ja wydałem rozkaz. — Nie dodał, że wszystko dobrze się skończyło.

— Rozumiem. Cóż, wszyscy celnie strzelali, a Loisélle i Tomlinson świetnie się spisali, podchodząc tak blisko niezauważeni — powiedział Alistair Stanley, siedzący naprzeciw Clarka.

— Niemniej...

— Niemniej, do takich operacji potrzebujemy śmigłowców — przerwał mu Chavez. —

Jak, do diabła, mogliśmy to przeoczyć?

— Moja wina, Domingo — przyznał Clark. — Jeszcze dziś zamierzam podzwonić w tej sprawie.

— Oby skutecznie. — Ding przeciągnął się na krześle. — Moi ludzie poradzili sobie, John. — Plan był byle jaki, ale zadanie wykonaliśmy. Chciałbym, żeby następnym razem było trochę łatwiej — przyznał. — Ale kiedy doktor mi mówi, że opozycja nie zawaha się kogoś zabić, muszę działać zdecydowanie, prawda?

— Tak, w zależności od sytuacji — odpowiedział na to pytanie Stanley.

— Al, co chcesz przez to powiedzieć? — spytał Chavez ostrym tonem. — Potrzebujemy lepszych wytycznych. Muszę to mieć wyraźnie określone. Kiedy mogę dopuścić do zabicia zakładnika? Czy wiek albo płeć zakładnika odgrywają tu jakąś rolę? A jeśli ktoś napadnie na przedszkole albo klinikę położniczą? Nie możesz oczekiwać, że po prostu zlekceważymy czynnik ludzki. W porządku, rozumiem, że nie da się przewidzieć wszelkich ewentualności, i że jako dowódcy, Peter i ja, musimy polegać na własnej ocenie sytuacji, ale zapewniam cię, że jeśli tylko się da, będę się starał zapobiec śmierci zakładników. Jeśli będzie się to wiązać z ryzykiem

— cóż, z jednej strony pewna śmierć niewinnego człowieka, a z drugiej szansa, żeby temu zapobiec. W takich wypadkach trzeba ryzykować, czyż nie tak?

— Doktorze Bellow, na ile był pan pewien swej oceny stanu umysłowego terrorystów? — spytał Clark.

— Nie miałem wątpliwości. Byli doświadczeni. Dobrze sobie przemyśleli tę akcję i, moim zdaniem, na pewno zabiliby zakładnika, żeby zademonstrować nam swą determinację —

odpowiedział psychiatra.

— Uważał pan tak już wtedy, czy doszedł pan do tego wniosku teraz?

— I wtedy, i teraz — odpowiedział Bellow z przekonaniem. — Tych dwoje było politycznymi socjopatami. Dla takich jak oni życie ludzkie nie ma większej wartości. Jest tylko kartą w ich grze.

— No dobrze, a gdyby zauważyli Loïselle i Tomlinsona?

— Prawdopodobnie zabiliby zakładnika i na parę minut sytuacja znalazłaby się w impasie.

— Mój plan na taką ewentualność przewidywał, że wpadniemy do zamku od strony wschodniej, starając się ich powystrzelać — powiedział Chavez. — Lepiej jednak byłoby zjechać na linach ze śmigłowca i uderzyć, jak tornado. To też jest ryzykowne — przyznał — ale cóż, ludzie, z którymi mamy do czynienia, nie grzeszą zdrowym rozsądkiem, prawda?

Szefostwu niebyłoby podobał się ten wątek. Przypominał im, że żołnierze Tęczy, choć świetni, nie byli przecież ani bogami, ani supermenami. Mieli już za sobą dwie akcje i w obu wypadkach obeszło się bez ofiar wśród niewinnych ludzi. Sprowadzało to groźbę popadnięcia dowódcy w samozadowolenie, zwłaszcza że Drugi Zespół przeprowadził wzorową akcję w niekorzystnych



warunkach taktycznych. Aplikowali swoim ludziom trening, mający z nich zrobić supermenów, sprawnych fizycznie jak olimpijczycy, świetnie wyszkolonych w posługiwaniu się materiałami wybuchowymi i bronią, a przede wszystkim psychicznie gotowych zabijać, kiedy trzeba, bez wahania.

Członkowie Drugiego Zespołu patrzyli na Clarka z twarzami bez wyrazu, przyjmując to wszystko nad wyraz spokojnie, ponieważ już zeszłej nocy wiedzieli, że plan był niedoskonały i ryzykowny. Ale i tak sobie poradzili, i można było zrozumieć, że są z siebie dumni —

przezwyjęli trudności i uratowali zakładników. Jednak Clark poddawał w wątpliwość kwalifikacje ich przywódcy, co im się nie podobało. Dla tych, którzy przedtem służyli w SAS, odpowiedź była prosta: bez ryzyka nie ma nagrody. Zaryzykowali i wygrali. Wynik, Chrześcijananie — Lwy 10:0 — zupełnie ich satysfakcjonował. Nieszczęśliwy był chyba tylko starszy sierżant Julio Vega — nie miał dotąd okazji użyć swego karabinu maszynowego. Widział, że strzelcy wyborowi są z siebie bardzo zadowoleni, podobnie jak i reszta. Cóż, on też tam był, zaledwie kilka metrów od Webera, gotów osłaniać, gdyby któremuś z terrorystów udało się uciec. Oso przeciąłby go na pół ze swego *M-60*, a i w strzelaniu z pistoletu, na strzelnicy w bazie, był jednym z najlepszych. Ale kiedy coś się działo naprawdę, kiedy koledzy zabijali terrorystów, a on nie miał nic do roboty. Religijna część jego duszy ganiła go za takie myślenie. Czasem, kiedy był sam, Oso śmiał się z tego.

— No więc, na czym stoimy? — spytał Chavez. — Jakie są wytyczne operacyjne na wypadek, gdyby opozycja szykowała się do zabicia zakładnika?

— Celem pozostaje ratowanie zakładników, jeśli będzie to wykonalne — powiedział

Clark po chwili namysłu.

— A o tym, co jest wykonalne, a co nie, decyduje na miejscu dowódca zespołu?

— Zgadza się — potwierdził szef Tęczy.

— No to wróciliśmy do punktu wyjścia, John — zauważył Ding. — A to oznacza, że na Peterze i na mnie spoczywa cała odpowiedzialność, i że tylko my będziemy krytykowani, jeśli komuś nie spodoba się to, co zrobiliśmy. — Przerwał na chwilę. — Zdaję sobie sprawę z odpowiedzialności, wynikającej z dowodzenia akcją, ale dobrze byłoby móc się odwołać do czegoś bardziej konkretnego, wiesz? Prędzej czy później zdarzą się błędy. Wiemy o tym. To nam się nie podoba, ale jesteśmy tego świadomi. Tak czy inaczej, oświadczam ci, John, że dla mnie celem operacji jest ratowanie życia niewinnych ludzi i zamierzam się tego trzymać.

— Zgadzam się z Chavezem — powiedział Peter Covington. — Takie musi być podstawowe założenie.

— Nigdy nie mówiłem, że jest inaczej. — Clark nieoczekiwanie się rozżłościł. Problem polegał na tym, że można sobie było łatwo wyobrazić sytuacje, w których uratowanie komuś życia nie będzie

możliwe. Wiedział jednak, że przygotowanie się na takie sytuacje przez ćwiczenia byłoby cholernie trudne albo zupełnie niemożliwe, ponieważ wszystkie akty terroryzmu, z którymi będą mieli do czynienia, będą się od siebie różnić, tak jak różni są terroryści i miejsca, które wybierają do swych operacji. Musiał więc zaufać Chavezowi i Covingtonowi. Mógł ponadto opracowywać takie scenariusze ćwiczeń, które zmuszą ich do działania i do myślenia, w nadziei, że zdobyta w ten sposób praktyka przyda im się potem w terenie. Clark pomyślał, że wszystko było o wiele prostsze, kiedy jeszcze był agentem terenowym CIA. Inicjatywa zawsze należała wtedy do niego, to on wybierał czas i miejsce.

Natomiast Tęcza jedynie reagowała, odpowiadała na działania, podjęte przez innych. To z tego prostego powodu musiał swoim ludziom aplikować taki trudny trening. Chodziło o to, żeby sprawnością równoważyli niekorzystną sytuację taktyczną. Już dwa razy się to sprawdziło. Ale czy będzie tak nadal?

Na początek John postanowił, że od tej pory zespołowi wyruszającemu na akcję zawsze będzie towarzyszył ktoś z dowództwa Tęczy, zapewniając wsparcie dowódcy zespołu.

Oczywiście, nie będzie im się podobać, że tak im się patrzy na ręce, ale nie było innego wyjścia.

Na tym zakończył naradę i zaprosił Ala Stanleya do swojego biura, żeby przedstawić mu tę koncepcję.

— Jestem za, John, ale kto będzie im towarzyszył?

— Na początek ty i ja.

— Doskonale. To ma sens, przynajmniej przyda się na coś ten nasz cały trening kondycyjny i strzelecki. Ale Domingo i Peter mogą kręcić nosem.

— Obaj wiedzą, co to rozkaz i przyjdą do nas po radę, jeśli będzie im potrzebna. Każdy tak robi. Ja sam tak postępowałem, kiedy tylko nadarzała się okazja. — Co zresztą nie zdarzało się znowu aż tak często, pomyślał John, pamiętając jednak, ile razy żałował, że nie ma się do kogo zwrócić.

— Zgadza się z tym, co proponujesz, John — powiedział Stanley. — Wpiszemy to do książki rozkazów?

Clark skinął głową. — Jeszcze dzisiaj.

# Zwiad

— Mogę to załatwić, John — powiedział dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej. —

Ale trzeba będzie pogadać z Pentagonem.

— Jeszcze dziś, jeśli to możliwe, Ed. Naprawdę tego potrzebujemy. Powinniśmy byli zdać sobie z tego sprawę o wiele wcześniej. Poważne niedopatrzenie — przyznał Clark z pokorą.

— Zdarza się — pocieszył go dyrektor Foley. — Dobrze, zadzwonię w parę miejsc, a potem skontaktuję się z tobą. — Rozłączył się, myślał przez chwile, po czym zaczął przeglądać karty adresowe. Znalazł numer CINC-SNAKE[9], bo taką zabawną nazwę nadano jednostce, na której mu zależało. CINC-SNAKE w bazie lotniczej MacDill w pobliżu miejscowości Tampa na Florydzie nadzorowało wszystkich „pożeraczy węży”, fachowców od operacji specjalnych. To spośród nich wybrano amerykański personel Tęczy. Za najważniejszym biurkiem urzędował tam generał Sam Wilson, któremu zresztą siedzenie za biurkiem wyraźnie nie odpowiadało. Zaczynał

jako szeregowy. Zgłosił się na szkolenie powietrzno-desantowe i do szkoły Rangersów, potem przeszedł do Sił Specjalnych. Opuścił je, żeby zrobić dyplom z historii na uniwersytecie stanowym w Karolinie Północnej, po czym wrócił do Armii jako podporucznik i szybko wspinał

się po szczeblach wojskowej kariery. Teraz miał pięćdziesiąt trzy lata, młodzieńczą sylwetkę i cztery błyszczące gwiazdki na ramionach. Był szefem Dowództwa Operacji Specjalnych, w skład którego wchodził przedstawiciele wszystkich rodzajów wojsk; każdy z nich wiedział, jak upiec węża.

— Cześć, Ed — powiedział generał, odebrawszy telefon na bezpiecznej linii. — Co słyhać w Langley?

Światek operacji specjalnych pozostawał w bardzo bliskich kontaktach z CIA, często dostarczając Firmie informacji albo fachowców do wykonania trudnych operacji.

— Jest prośba od Tęczy — powiedział mu dyrektor CIA.

— Znowu? Sam wiesz, że już zdziesiątkowali mi personel.

— Dobrze wykorzystują twoich ludzi. Ta wczorajsza operacja w Austrii to ich robota.

— W telewizji nieźle to wyglądało — przyznał Sam Wilson. — Dostanę dodatkowe informacje? — Miał na myśli informacje o tym, kim byli terroryści.

— W komplecie, kiedy tylko będą gotowe, Sam — obiecał Foley.

— No dobra, czego ten twój chłopak potrzebuje?

— Pilotów. Załóg śmigłowcowych.

— Ed, zdajesz sobie sprawę, ile czasu trwa szkolenie takich ludzi? Poza tym, ich usługi są kosztowne.

— Wiem o tym, Sam — zapewnił głos z Langley. — Brytyjczycy też się będą musieli dorzucić. Znasz Clarka. Nie prosiłby, gdyby to nie było konieczne.

Wilson musiał przyznać, że owszem, zna Johna Clarka, który kiedyś uratował mu skopaną operację, a tym samym grupę żołnierzy. Było to już wiele lat i kilku prezydentów temu.

Były komandos SEAL, z tego, co mówiła Firma, z pokaźną kolekcją medali i mnóstwem osiągnięć. A w dodatku Tęcza mogła się już pochwalić dwiema udanymi operacjami.

— W porządku, Ed. Ilu?

— Na razie niech to będzie jedna naprawdę dobra załoga.

To „na razie” trochę zaniepokoiło Wilsona. Ale cóż... — Dobrze. Skontaktuję się z tobą jeszcze dzisiaj.

— Dzięki, Sam. — Foley na tyle dobrze znał Wilsona, żeby wiedzieć, że generał nie marnuje czasu. Jeśli mówił „zaraz”, to naprawdę znaczyło to „zaraz” i ani chwili później.

Chester kończył się szybciej, niż przypuszczał Killgore. Niewydolność wątroby postępowała w tempie, jakiego jeszcze nigdy nie widział, ani o jakim nie czytał w literaturze medycznej. Jego skóra była teraz żółta jak cytryna i zwisała luźno ze zwiotczałych mięśni. Miał

kłopoty z oddychaniem, częściowo z powodu wielkich dawek morfiny, którą mu podawano, żeby utrzymać go w stanie otępienia. Killgore i Barbara Archer chcieli poddać go możliwie najbardziej agresywnej terapii, żeby się przekonać, czy będzie miała jakikolwiek wpływ na Sziwę, ale stan Chestera był już tak ciężki, że żadna terapia nie mogła mu pomóc, a jednocześnie zwalczyć wirusa.

— Dwa dni — ocenił Killgore. — A może i krócej.

— Obawiam się, że masz rację — zgodziła się doktor Archer. Miała różne koncepcje terapeutyczne: od konwencjonalnych — i niemal na pewno nieskutecznych — antybiotyków, po Interleuken-2, który, zdaniem paru specjalistów, mógł w takim wypadku znaleźć zastosowanie kliniczne. Zgoda, współczesna medycyna nie opracowała jeszcze leku przeciw żadnej chorobie wirusowej, ale niektórzy przypuszczali, że wybiórcze stymulowanie systemu immunologicznego organizmu mogło okazać się pomocne, a na rynku pojawiło się wiele nowych antybiotyków syntetycznych. Prędzej czy później ktoś znajdzie sposób na choroby wirusowe. Ale to dopiero przyszłość. — Potas? — spytała, rozważwszy rokowania pacjenta i beznadziejność jakiegokolwiek leczenia. Killgore zgodził się, wzruszywszy ramionami.

— Tak sędzę. Możesz to zrobić, jeśli chcesz. — Machnął ręką w kierunku stojącej w rogu szafki z lekami.

Doktor Archer podeszła do niej, rozerwała opakowanie strzykawki jednorazowego użytku, o pojemności 40 ccm, po czym wprowadziła igłę do szklanej fiolki z wodną zawiesiną potasu. Napełniła strzykawkę, wróciła do łóżka i wkuła igłę w woreczek kroplówki. Nacisnęła tłoczek, aplikując pacjentowi śmiertelną dawkę. Potrwało to kilka sekund, dłużej, niż gdyby zrobiła zastrzyk prosto w którąś z dużych żył, ale Archer wolała nie dotykać pacjenta, jeśli nie musiała, nawet w rękawiczkach. W sumie nie miało to większego znaczenia. Chester, który leżał

z plastikową maską tlenową na twarzy, jakby przestał na chwilę oddychać, ale zaraz nabrał powietrza, znów przestał, potem odetchnął kilka razy szybko i nieregularnie i... akcja oddechowa ustała. Klatka piersiowa opadła i już się nie podniosła. Oczy miał półprzymknięte, jakby drzemał albo znajdował się w stanie szoku. Spoglądały w jej stronę, ale niczego już nie widziały. Po chwili zamknęły się po raz ostatni. Doktor Archer wzięła stetoskop i przystawiła go do piersi alkoholika. Nic nie było słychać. Wstała, zdjęła stetoskop i schowała do kieszeni.

Żegnaj, Chester, pomyślał Killgore.

— W porządku — powiedziała beznamiętnym tonem. — Czy u innych są już jakieś objawy?

— Jeszcze nie. Ale test na przeciwciała u wszystkich wypadł pozytywnie —

odpowiedział Killgore. — Myślę, że jeszcze tydzień i będziemy mieli pierwsze objawy.

— Potrzebna nam jest grupa kontrolna, złożona ze zdrowych ludzi — powiedziała Barbara Archer.

— Ci tutaj są zbyt chorzy, żeby we właściwy sposób sprawdzać na nich działanie Sziwy.

— To się wiąże z pewnym ryzykiem.

— Wiem o tym — zapewniła go Archer. — A ty wiesz, że potrzebny nam jest lepszy materiał ludzki.

— Tak, ale ryzyko jest duże — zauważył Killgore.

— Wiem o tym — powtórzyła Archer.

— W porządku, Barb, przekaz to wyżej. Nie będę się sprzeciwiał. Zajmiesz się Chesterem? Muszę się jeszcze zobaczyć ze Steve'em.

— Niech będzie. — Podeszła do telefonu wiszącego na ścianie i wybrała trzycyfrowy numer „śmieciarzy”.

Killgore poszedł się przebrać. Zatrzymał się w śluzie dezynfekcyjnej, wcisnął wielki, czerwony, kwadratowy guzik i zaczekał, aż ze wszystkich stron zostanie dokładnie spryskany wodną zawiesiną środków antyseptycznych, o których wiedział, że są absolutnie i natychmiastowo zabójcze dla wirusa Sziwa. Następnie przeszedł do przebieralni, gdzie ściągnął

niebieski plastikowy skafander, cisnął go do pojemnika, skąd miał zostać zabrany do dalszej, bardziej radykalnej dezynfekcji — w zasadzie nie było to potrzebne, ale personel laboratorium wolał dmuchać na zimne — i ubrał się w zielone spodnie i bluzę chirurga. Wychodząc włożył

jeszcze biały fartuch laboratoryjny i skierował się do pracowni Steve'a Berga. Nie mówił tego głośno, Barbara Archer też nie, ale tak jak wszyscy czułby się znacznie lepiej, gdyby mieli już skuteczną szczepionkę przeciw Sziwie.

— Witaj, John — powiedział Berg na widok wchodzącego kolegi.

— Cześć, Steve. Jak tam prace nad szczepionką?

— Testujemy właśnie A i B. — Berg wskazał ręką klatki z małpami po drugiej stronie szklanej ściany. — Grupa A jest oznakowana na żółto, B na niebiesko, a grupa kontrolna na czerwono.

Killgore spojrzał uważniej. W każdej grupie było dwadzieścia zwierząt, łącznie sześćdziesiąt rebusów. Fajne małpiszony. — Szkoda ich — powiedział.

— Też mi ich szkoda, przyjacielu, ale nie ma innego sposobu. — Żaden z nich nie włożyłby prawdziwego futra.

— Kiedy będą wyniki?

— Pięć do siedmiu dni dla grupy A. Dziewięć do czternastu dni dla grupy kontrolnej. A jeśli chodzi o grupę B — cóż, wiążemy z nią wielkie nadzieje. A co u was?

— Straciliśmy dziś jednego.

— Tak szybko? — W głosie Berga pojawiło się zaniepokojenie.

— Od samego początku miał wątrobę w fatalnym stanie. Nie przemyśleliśmy tego do końca. Nie ulega kwestii, że znajdą się ludzie szczególnie podatni na naszego małego przyjaciela.

— Człowieku, oni mogą się okazać kanarkami — powiedział zmartwiony Berg, mając na myśli ptaki, zabierane kiedyś przez górników do kopalni, żeby ostrzegały przed metanem. —

Zajmowaliśmy się tym dwa lata temu, pamiętasz?

— Pamiętam. — Tak naprawdę, to właśnie wtedy zrodziła się cała koncepcja. Ale oni potrafili sobie poradzić lepiej niż Irańczycy.

— Czy nasze małpiszony bardzo różnią się od ludzi, jeśli chodzi o czas?

— Cóż, musisz pamiętać, żadnego rebusa nie wystawiałem na działanie aerozolu.

Sprawdzam działanie szczepionki, a nie proces infekowania.

— Rozumiem. Myślę, że powinieneś przeprowadzić kontrolę działania aerozolu.

Słyszałem, że udoskonalifeś metodę pakowania.

— Maggie też domaga się takiego testu. W porządku, małp mamy pod dostatkiem. W

ciągu dwóch dni mogę przygotować symulację systemu wprowadzania Sziwy do organizmu.

— Ze szczepionkami i bez?

— Da się zrobić. — Berg skinął głową.

Dawno powinieneś był to zrobić, ty idioto — tego Killgore już nie powiedział. Berg był

dobry w swojej dziedzinie, ale horyzont ograniczał mu okular mikroskopu. Cóż, nikt nie jest doskonały, nawet tutaj.

— Nie lubię zabijać, John. — Berg czuł potrzebę zapewnienia o tym swego kolegi.

— Rozumiem, Steve, ale na każde zwierzę, które zabijemy, testując Sziwę, przypadną setki tysięcy, które uratujemy. Pamiętaj o tym. Przecież dobrze się nimi opiekujesz, dopóki są tutaj — dodał. Zwierzęta laboratoryjne miały zapewnione bardzo dobre warunki. Trzymano je w wygodnych klatkach, niektórym przygotowano nawet większe pomieszczenia, żeby mogły pozostać w stadzie. Miały mnóstwo jedzenia i czystą wodę. Zadbano o pnie, po których małpy mogły się wspinać, temperatura i wilgotność powietrza odpowiadały warunkom w ich rodzinnej Afryce, nie zagrażały im żadne drapieżniki. Podobnie jak w ludzkich więzieniach, skazańcy otrzymywali przyzwoite posiłki; w końcu też mieli swe konstytucyjne prawa. Ale takim, jak Steve Berg i tak się to nie podobało, chociaż było nieodzowne dla osiągnięcia głównego celu.

Killgore zastanawiał się, czy jego przyjaciel nie szłocha przypadkiem nocami nad losem tych sympatycznych zwierzaków z brązowymi oczami. Nie ulegało kwestii, przejmował się nimi o wiele bardziej niż Chesterem. Obawiał się tylko, że Chester mógł się okazać kanarkiem.

Rzeczywiście mogłoby to wszystko zniweczyć, ale przecież między innymi dlatego Berg pracował nad szczepionką A.

— Jasne — przyznał Berg. — Ale i tak podle się czuję.

— Powinieneś zobaczyć, jak to u mnie wygląda — zauważył Killgore.

— Pewnie tak — powiedział Berg bez przekonania.

Nocny lot rozpoczął się na lotnisku międzynarodowym Raleigh-Durham w Północnej Karolinie, godzinę drogi samochodem od Fort Bragg. Teraz *Boeing 757* wylądował na mokrym od mżawki pasie i rozpoczął kołowanie. Pasażerom wydawało się, że trwa ono dłużej niż sam lot, ale wreszcie

samolot dotarł do rękawa US Airways w terminalu nr 3 na Heathrow.

Chavez i Clark wyjechali po niego na lotnisko. Ubrani byli po cywilnemu, a Domingo trzymał w ręku kartkę, na której drukowanymi literami wypisał MALLOY. Jako czwarty wyszedł

mężczyzna w wyjściowym mundurze Korpusu Piechoty Morskiej, ze skórzanym pasem, złotą odznaką pilota i kilkoma rzędami baretek na kurtce mundurowej koloru khaki. Jego szaroniebieskie oczy dostrzegły kartkę. Ruszył w kierunku Chaveza i Clarka, ciągnąc za sobą brezentowy worek.

— To miło, kiedy na człowieka czekają — powiedział podpułkownik Daniel Malloy. —

Kim panowie jesteście?

— John Clark.

— Domingo Chavez.

Podali sobie ręce.

— Jeszcze jakieś bagaże? — spytał Domingo.

— To wszystko, co miałem czas spakować. Prowadźcie — odpowiedział podpułkownik.

— Pomóc panu? — spytał Chavez. Malloy był od niego wyższy o dobre trzydzieści centymetrów i cięższy o dwadzieścia kilogramów.

— Poradzę sobie — zapewnił go *marine*. — Dokąd idziemy?

— Czeka na nas śmigłowiec. Podjedziemy do niego samochodem. Proszę za mną. —

Clark wyszedł bocznymi drzwiami i zbiegł po schodkach do czekającego samochodu. Kierowca wziął torbę Malloya i wrzucił ją do bagażnika. Śmigłowiec *Puma*, należący do armii brytyjskiej, stał kilkaset metrów dalej.

Malloy rozejrzał się dookoła. Dzień nie był najlepszy do latania. Podstawa chmur znajdowała się na wysokości jakichś czterystu pięćdziesięciu metrów, deszcz padał coraz większy, ale pułkownik latał już w gorszych warunkach. Wsiadł do śmigłowca. Przypatrywał się załodze, przeprowadzającej kontrolę przedstartową. Byli profesjonalistami, znał się na tym.

Kiedy wirnik nośny zaczął się obracać, poprosili przez radio o zgodę na start. Musieli zaczekać parę minut, bo na Heathrow panował spory ruch. Wreszcie *Puma* uniosła się w powietrze, szybko osiągnęła wysokość przelotową i ruszyła, chociaż Malloy nie miał pojęcia, dokąd.

— Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, co jest grane? — spytał podpułkownik przez interkom.

— A co panu powiedzieli?



— Żebym spakował się na tygodniowy wyjazd — odpowiedział Malloy z błyskiem w oku.

— Kilka kilometrów od bazy jest całkiem przyzwoicie zaopatrzony sklep z odzieżą.

— Hereford?

— Zgadł pan — odpowiedział Chavez. — Był pan tam kiedyś?

— Wiele razy. Rozpoznałem okolicę. No dobra, ale o co w tym wszystkim chodzi?

— Będzie pan z nami pracował, prawdopodobnie — powiedział mu Clark.

— Co to znaczy „z nami”?

— Nazywają nas Tęcza i oficjalnie nie istniejemy.

— Wiedeń? — spytał Malloy przez interkom. Sposób, w jaki tamci na siebie spojrzeli, wystarczył mu za odpowiedź. — To była dobra robota, za dobra, jak na gliniarzy. Kto jest w tym zespole?

— NATO. Głównie Amerykanie i Brytyjczycy, ale nie tylko. Aha, i jeszcze jeden Izraelczyk — powiedział mu John.

— Zabraliście się do czegoś takiego, a nie pomyśleliście o śmigłowcach?

— Już dobrze. Do cholery, to ja spieprzyłem sprawę — powiedział Clark. — Jestem nowicjuszem jako dowódca.

— Co pan ma na przedramieniu, Clark? Aha, jaki pan ma stopień?

John podsunął rękaw, odsłaniając tatuaż, przedstawiający czerwoną fokę. — Jestem tu w randze dwugwiazdkowego generała, a Ding robi za majora.

Malloy przypatrywał się przez chwile tatuażowi. — Słyszałem o tym, ale nigdy nie widziałem na własne oczy. Trzecia Grupa Operacji Specjalnych? Znałem kiedyś faceta, który z nimi pracował.

— Kto to taki?

— Dutch Voort, przeszedł na emeryturę jakieś pięć, sześć lat temu.

— Dutch Voort! Cholera, dawno już nie słyszałem tego nazwiska — zawołał Clark. —

Zestrzelili mnie kiedyś, kiedy z nim leciałem.

— Nie pana jednego. Wspaniały pilot, ale czasami opuszczało go szczęście.

— A co z pańskim szczęściem, pułkowniku? — spytał Chavez.

— Nie narzekam, chłopcze, nie narzekam — zapewnił go Malloy. — I możesz mi mówić

„Niedźwiedź”.

Pasowało to do niego. Był wyższy od Clarka, dwa metry i trzy centymetry, potężnie zbudowany, jakby podnosił ciężary dla zabawy i żłopał piwo. Chavez pomyślał o swym przyjacielu Julio Vedze, który także z przyjemnością spędzał czas na siłowni. Clark spojrział na baretki Malloya. Lotniczy Krzyż Zasługi, dwa razy, podobnie jak Srebrna Gwiazda. Odznaka strzelca wyborowego. *Marines* chętnie strzelali dla rozrywki i żeby pokazać, że piechota morska to przede wszystkim strzelcy. Żadnych odznaczeń z Wietnamu. Jasne, był wtedy za młody, pomyślał Clark, uświadamiając sobie przy okazji, jak bardzo on sam się zestarzał. Zorientował

się, że Malloy jest mniej więcej w odpowiednim wieku, jak na podpułkownika, chociaż ktoś z taką kolekcją odznaczeń mógłby awansować trochę wcześniej. Czyżby pominięto go w awansie na pułkownika? Operacje specjalne miały to do siebie, że nie zapewniały najszybszej drogi do kariery. Często trzeba było specjalnie dopilnować, żeby ludzie stamtąd otrzymali zasłużone awanse. Ze zwykłymi żołnierzami raczej nie było problemów, o wiele gorzej wyglądało to w przypadku oficerów.

— Zaczynałem w operacjach ratunkowych, potem przeniósłem się do rozpoznania.

Wiecie, podrzucić gdzieś kogoś albo zabrać. Trzeba być dobrym pilotem. Myślę, że jestem niezły.

— Na czym potrafi pan latać?

— *H- 60, Huey* i, oczywiście, *H-53*. Założę się, że nie macie tutaj żadnej z tych maszyn.

Mam rację?

— Obawiam się, że tak — powiedział Chavez wyraźnie rozczarowany.

— 24. Dywizjon Operacji Specjalnych RAF w Mildenhall ma *MH- 60K* i *MH- 53*. Znam obie te maszyny, więc gdyby udało wam się coś takiego wypożyczyć... Dywizjon wchodzi w skład Pierwszego Skrzydła Operacji Specjalnych. Kiedy to sprawdzałem po raz ostatni, stacjonowali tutaj i w Niemczech.

— Serio? — spytał Clark.

— Całkiem serio, panie niby-generale, sir. Znam ich dowódcę, to Stanislaus Dubrovski.

Świetny pilot śmigłowcowy. Niejedno już widział i gdybyście na gwałt potrzebowali przyjaciela...

— Będę o tym pamiętał. Na czym jeszcze potrafi pan latać?

— *Night Stalker*, oczywiście, ale też ich tu pewnie wielu nie ma. W każdym razie nie słyszałem o żadnym w Hereford. — W tym momencie *Puma* zaczęła schodzić na lądowisko w Hereford. Malloy obserwował, jak pilot radzi sobie ze sterami i uznał, że facet jest kompetentny, przynajmniej w

normalnych warunkach. — Oficjalnie nie mam uprawnień na *MH- 47 Chinook*, bo przepisy zezwalają tylko na trzy typy. *Huey* też oficjalnie nie znajduje się na mojej liście, ale, do cholery, przecież ja się w nim urodziłem, jeśli pan rozumie, co mam na myśli, generale. Z

*MH- 47* też sobie poradzę, jeśli będzie trzeba.

— Mam na imię John, Niedźwiedziu — powiedział Clark z uśmiechem. Zawodowca potrafił wyczuć na kilometr.

— A ja jestem Ding. Dawno, dawno temu byłem w lekkiej piechocie, ale potem Firma mnie porwała. To jego wina — powiedział Chavez, wyciągając palec w stronę Clarka. — Pracuję z Johnem od jakiegoś czasu.

— No to podejrzewam, że najciekawszych rzeczy nie będziecie mi mogli opowiedzieć.

Trochę dziwne, że dotąd żadnego z was dotąd nie spotkałem. Podrzucam czasem szpiegów tu i tam.

— Zabrałeś papiery? — spytał Clark, mając na myśli jego teczkę personalną.

Malloy poklepał torbę. — Tak jest. Zapewniam, że mnóstwo tam ciekawych rzeczy. —

Śmigłowiec wylądował. Pilot wyskoczył i odsunął im boczne drzwi. Malloy chwycił swą torbę, wysiadł i ruszył do Rovera, zaparkowanego koło lądowiska. Kierowca — kapral — wziął od niego torbę i wrzucił ją do środka. Malloy pomyślał, że Brytyjczycy są tak samo gościnni, jak kiedyś. Oddał salut i usiadł z tyłu. Lało coraz bardziej. Angielska pogoda też się specjalnie nie zmieniła, skonstatował podpułkownik. Paskudne warunki do latania śmigłowcem, ale nie takie znowu złe, jeśli trzeba było podlecieć gdzieś tak, żeby nie zostać zauważonym. Terenowy Rover podwiózł ich do miejsca, które wyglądało na biurowiec, a nie na kwatery gościnne. Pomyślał, że musi im się bardzo śpieszyć.

— Ładne biuro, John — powiedział, rozglądając się po wnętrzu. — Chyba rzeczywiście robisz tu za dwugwiazdkowego.

— Jestem szefem — przyznał Clark. — To wystarczy. Siadaj. Kawy?

— Zawsze — potwierdził Malloy i chwilę później trzymał już w ręku filiżankę. —

Dzięki.

— Ile godzin? — spytał następnie Clark.

— Łącznie? Sześć tysięcy siedemset czterdzieści dwie, kiedy sprawdzałem po raz ostatni.

W tym trzy tysiące sto podczas operacji specjalnych. Aha, około pięciuset godzin lotów bojowych.

— Aż tyle?

— Grenada, Liban, Somalia, parę innych miejsc, no i wojna w Zatoce. Podczas tamtej awantury odnalazłem czterech zestrzelonych pilotów i przywiozłem ich żywych do bazy. Jeden z tych lotów był dość ekscytujący — przyznał Malloy — ale miałem trochę wsparcia z góry.

Wiesz, to dość nudne zajęcie, jeśli robisz wszystko dokładnie tak, jak trzeba.

— Będę cię musiał zaprosić na piwo, Niedźwiedziu — powiedział Clark. — Zawsze staram się być miły dla facetów z SAR[10].

— A ja nigdy nie odmawiam, kiedy ktoś zaprasza mnie na piwo. Brytyjczycy w twoim zespole to SAS?

— Większość. Pracowałeś kiedyś z nimi?

— Ćwiczenia. Tutaj i w Fort Bragg. Są w porządku, tak samo jak zwiad piechoty morskiej i moi kumple z Bragg. — Clark wiedział, że była to pochwała, chociaż Brytyjczycy mieliby pewnie trochę za złe, że w ogóle ich się z kimś porównuje. — Dobra, rozumiem, że potrzebujesz szofera, tak?

— Coś w tym rodzaju. Ding, zapoznajmy Niedźwiedzia z naszą ostatnią operacją.

— Jasne, panie C — potwierdził Ding, rozłożył na biurku Clarka wielkie zdjęcie rezydencji Ostermanna i zaczął mówić. Stanley i Covington weszli w tym momencie i przyłączyli się do konferencji.

— No tak — powiedział Malloy, kiedy Ding skończył wyjaśnienia. — Rzeczywiście potrzebowaliście tam kogoś takiego, jak ja. — Zamyślił się na chwilę. — Najlepiej byłoby dostarczyć trzech, czterech ludzi na długich linach... tutaj. — Stuknął palcem w zdjęcie. —

Fajny, płaski dach, żadnych trudności.

— Mniej więcej to samo wtedy myślałem. Szybki zjazd po linach byłby może łatwiejszy, ale prawdopodobnie bardziej ryzykowny — zgodził się Chavez.

— Tak, to nie takie trudne, jeśli się wie, co się robi. Wasi chłopcy będą się, oczywiście, musieli nauczyć miękko zeskakiwać, ale chyba warto. Dobrze jest mieć trzech, czy czterech ludzi w środku, kiedy są potrzebni. Sądząc po tym, jak przebiegła akcja, wasi ludzie potrafią strzelać i tak dalej.

— Całkiem dobrze — potwierdził Covington beznamiętnym tonem.

Podczas gdy Chavez opisywał niedawną operację, Clark wertował zawartość teczki personalnej Malloya. Żonaty z Frances, z domu Hutchins, dwie córki, dziesięć i osiem lat. Żona pracowała jako pielęgniarka w jednym ze szpitali Marynarki. To akurat dobrze się złożyło. Sandy bez trudu znajdzie dla niej pracę w swoim szpitalu. Był zdecydowany zatrzymać podpułkownika Dana Malloya z

Korpusu Piechoty Morskiej USA.

Natomiast Malloy był zaintrygowany. Kimkolwiek ci ludzie byli, z pewnością nie brakowało im odpowiednich dojsć i siły przebicia. Rozkaz wylotu do Anglii otrzymał

bezpośrednio z biura CINC-SNAKE, od samego Wilsona. Ludzie, których tu dotąd spotkał, sprawiali wrażenie poważnych. Pomyślał, że ten mały, Chavez, wygląda na cholernie kompetentnego, sądząc po tym, jak wprowadzał go w szczegóły wiedeńskiej operacji. Uważnie obejrzał zdjęcie na biurku i doszedł do wniosku, że zespół Chaveza też musi być dobry, zwłaszcza ci dwaj, którzy podczołgali się pod dom, żeby zdjąć ostatnią grupę terrorystów.

Dobrze, jeśli można wtopić się w tło, stać się niewidzialnym, ale jeśli się coś spieprzy, z reguły dochodzi do katastrofy, pomyślał. Dobrze, że opozycja nie reprezentowała najwyższego poziomu. Daleko im było do jego *marines*. Trochę łatwiej było dzięki temu pokrzyżować im występne plany, ale tylko trochę... Jak większość ludzi w mundurze, Malloy gardził terrorystami, uważał ich za tchórzliwe bydlęta, nie zasługujące na nic innego niż nagłą śmierć. Chavez zabrał

go następnie do budynku swojego zespołu, gdzie Malloy poznał jego ludzi, uścisnął im dłonie i miał okazję pomyśleć nad tym, co zobaczył. Tak, sprawiali poważne wrażenie, podobnie jak Pierwszy Zespół Covingtona w sąsiednim budynku. Nieczęsto spotyka się takich ludzi, jednocześnie odprężonych i skupionych, taksujących wzrokiem każdego obcego i potrafiących natychmiast ocenić, czy ten ktoś stanowi zagrożenie. Żaden nie lubił zabijać czy ranić — po prostu taką już mieli robotę i rzutowała ona na sposób, w jaki patrzyli na świat. Malloya ocenili jako potencjalnego przyjaciela, kogoś, kto zasługuje na ich zaufanie i szacunek. Pilotowi sprawiło to przyjemność. Jego zadaniem będzie dostarczanie ich tam, dokąd trzeba, szybko, tak, żeby ich nie zauważono, i bezpiecznie, a potem zabieranie ich stamtąd na tych samych zasadach.

Reszta bazy nie była już niczym nowym dla kogoś, kto orientował się w tym biznesie. Normalne budynki, hale, w których zainscenizowano wnętrza samolotów, trzy prawdziwe pasażerskie wagony kolejowe i inne obiekty, których szturmowanie ćwiczyli; strzelnica z podnoszącymi się automatycznie tarczami (będzie musiał spędzić tu trochę czasu i pokazać, co umie; wiedział, że wszyscy faceci z jednostek specjalnych muszą dobrze strzelać z broni krótkiej, tak jak wszyscy *marines* z karabinu). W południe byli już z powrotem w biurze Clarka.

— No i co sądzisz, Niedźwiedziu? — spytał dowódca Tęczy.

Malloy uśmiechnął się i usiadł na krześle. — Sądzę, że jestem zmęczony lotem. I sądzę, że macie tu niezły zespół. No to jak, chcecie mnie?

Clark skinął głową. — Myślę, że tak. Zaczniemy jutro rano?

— A na czym mam latać?

— Zadzwoń do tych, o których mówiłeś. Pożyczą nam *MH-60*, żebyśmy mogli się trochę pobawić.

— Miło z ich strony. — Malloy wiedział, co to znaczy. Będzie musiał udowodnić, że jest dobrym pilotem. Nie przejmował się tym za bardzo. — A co z moją rodziną? Będę odkomenderowany tu tymczasowo, czy jak?

— Nie, zostaniesz tu przeniesiony na stałe. Rodzinę sprowadzimy ci na koszt rządu.

— W porządku. Dużo tu będzie roboty?

— Mieliliśmy dotychczas dwie operacje, w Bernie i w Wiedniu. Nie sposób powiedzieć, kiedy znów coś takiego się wydarzy, ale sam trening jest wystarczająco intensywny.

— To mi odpowiada, John.

— Chcesz z nami pracować?

To pytanie zaskoczyło Malloya. — Wstępuje się do was na ochotnika?

Clark skinął głową. — Nikogo nie zmuszamy.

— Coś takiego! W porządku — powiedział Malloy. — Zapisz mnie.

— Mógłbym o coś spytać? — odezwał się Popow.

— Oczywiście — powiedział jego szef, domyślając się, o co Rosjaninowi może chodzić.

— Jaki jest cel tego wszystkiego?

— W tej chwili naprawdę nie musisz tego wiedzieć. — Jakie pytanie, taka odpowiedź.

Popow skinął głową. — Wydaje pan spore sumy na coś, czego nie potrafię określić. —

Popow celowo poruszył kwestię pieniędzy, ciekaw reakcji swego pracodawcy.

Reakcją był szczerze znudzony wyraz twarzy. — Pieniądze nie grają roli.

W zasadzie można się było spodziewać takiej odpowiedzi, ale mimo wszystko Popow był

trochę zaskoczony. Przez te wszystkie lata, kiedy był w radzieckim KGB, wypłacał mizerne sumy ludziom, którzy ryzykowali dla takich pieniędzy życiem i wolnością. Często zresztą liczyli na więcej niż w końcu otrzymywali, bo też często ich informacje były warte o wiele więcej.

Natomiast ten człowiek wydał już więcej, niż Popow rozprowadził przez piętnaście lat działalności operacyjnej. I na co? Na nic. Dwie operacje, zakończone pełnym fiaskiem. A jednak na jego twarzy Dmitrij Arkadijewicz nie dostrzegł rozczarowania. Co to wszystko, do diabła, miało znaczyć?

— Co nie wyszło tym razem? — spytał szef.

Popow wzruszył ramionami. — Mieli dobre chęci, ale popełnili błąd, nie doceniając sprawności policji. A policja rzeczywiście była sprawna — zapewnił swego pracodawcę. —

Bardziej niż się spodziewałem, chociaż nie powinno to dziwić. Na całym świecie jest coraz więcej świetnie wyszkolonych policyjnych zespołów antyterrorystycznych.

— To była austriacka policja?

— Tak przynajmniej informowały media. Nie zajmowałem się tym bliżej. Może powinienem?

Szef pokręcił głową. — Nie, to tylko zwykła ciekawość.

A więc jest ci obojętne, czy te operacje się powiodą, czy nie, pomyślał Popow. Ale skoro tak, to po jaką cholere je finansujesz? Nie było w tym śladu logiki. W zasadzie powinno go to zaniepokoić, ale Popow niezbyt się przejmował. Dzięki tym nieudanym operacjom stawał się bogaty. Wiedział, kto je finansuje i miał na to dowody — gotówkę. Czyli ten człowiek nie może się zwrócić przeciwko niemu. Jeśli już ktoś ma się czegoś bać, to w tym wypadku raczej szef swojego pracownika. Popow miał kontakty wśród terrorystów i bez trudu mógłby ich napuścić na tego faceta z wielką forszą. Dmitrij pomyślał, że obawa przed czymś takim byłaby zupełnie uzasadniona.

A może nie? Czego ten człowiek mógł się bać, jeśli w ogóle czegoś się bał? Oplacał

mordowanie ludzi, no, za drugim razem była to tylko próba morderstwa. Miał ogromny majątek i władzę, a tacy ludzie boją się utraty tego wszystkiego bardziej niż śmierci. Były oficer KGB

zorientował się, że znów znalazł się w punkcie wyjścia. O co, do cholery, w tym wszystkim chodziło? Dlaczego tamtemu zależało, żeby ginęli ludzie i korzystał w tym celu z usług Popowa?

Chciał, żeby powybijano wszystkich terrorystów, jacy jeszcze zostali na świecie? Czy to miało sens? Powierzał mu rolę prowokatora, który wywabiał ich z ukrycia, aby mogły się z nimi rozprawić świetnie wyszkolone zespoły antyterrorystyczne z różnych krajów? Dmitrij doszedł do wniosku, że musi zasięgnąć trochę informacji o swoim pracodawcy. Nie powinno to być zbyt trudne, zwłaszcza, że do nowojorskiej Biblioteki Publicznej przy Piątej Alei były tylko dwa kilometry.

— Co to byli za ludzie?

— Kogo ma pan na myśli? — spytał Popow.

— Dortmund i Fürchtner — sprecyzował szef.

— Głupcy. Wciąż wierzyli w marksizm-leninizm. Sprytni na swój sposób, w pewnym sensie inteligentni, ale ich zdolność oceny sytuacji politycznej pozostawiała wiele do życzenia.

Zatrzymali się w miejscu, przestali się rozwijać i dlatego zginęli. — Niewiele, jak na epitafium, pomyślał Popow. Dorastali, studiując Karola Marksa, Fryderyka Engelsa i całą resztę. Popow też ich

studiował w młodości, ale nawet jako chłopiec miał już własne zdanie, a podróżując po świecie jako oficer KGB tylko umocnił w sobie nieufność wobec tych dziewiętnastowiecznych teoretyków. Tak wiele się nauczył już podczas pierwszego lotu na pokładzie samolotu produkcji amerykańskiej, wdawszy się w przyjazną pogawędkę z ludźmi, którzy siedzieli obok. Ale Hans i Petra — cóż, dorastali w ustroju kapitalistycznym, korzystali ze wszystkiego, co miał do zaoferowania, a mimo to uznali, że czegoś im brakuje. Może pod pewnym względem byli tacy jak on, pomyślał Dmitrij Arkadijewicz, rozczarowani, pragnący być częścią czegoś lepszego —

ale nie, on zawsze pragnął czegoś lepszego dla siebie, podczas gdy oni zawsze chcieli prowadzić innych do raju, przewodzić i rządzić jako dobrzy komuniści. Dla osiągnięcia tej utopijnej wizji gotowi byli przejść przez morze krwi niewinnych ludzi. Głupcy. Jego pracodawca zaakceptował

skróconą wersję zmarnowanego życia Hansa Fürchtnera i Petry Dortmund, i przeszedł do ważniejszych spraw.

— Pozostań przez kilka dni w Nowym Jorku. Zadzwoń, kiedy będę cię potrzebował.

— Jak pan sobie życzy. — Popow wstał, wyszedł z biura i zjechał windą na parter.

Postanowił pójść piechotą do biblioteki z lwami od frontu. Pomyślał, że spacer rozjaśni mu w głowie, zwłaszcza, że miał nad czym pomyśleć. „Kiedy będę cię potrzebował”, prawdopodobnie oznaczało kolejną operację, i to niedługo.

— Erwin? Tu George. Jak się masz, przyjacielu?

— To był tydzień pełen wrażeń — przyznał Ostermann. Jego osobisty lekarz podawał mu środki uspokajające, które jednak, zdaniem Ostermanna, nie były skuteczne. Wciąż pamiętał

tamten strach. Ale za to Ursel wróciła do domu. Przybyła, jeszcze zanim rozpoczęła się operacja ratunkowa i tamtej nocy — do łóżka położył się parę minut po czwartej rano — przyszła do niego, tylko po to, żeby go objąć, a on trząsał się i szlochał w jej ramionach, mając świeżo w pamięci niedawne przerażające wydarzenia. Panował nad sobą do chwili, kiedy Fürchtner zginął

niespełna metr od niego. Ubranie trzeba było oddać do pralni — była na nim krew i strzępy tkanek. W najgorszym stanie był Dengler. Lekarze powiedzieli, że przynajmniej przez tydzień nie będzie zdolny do pracy. Ostermann postanowił zatelefonować do Brytyjczyka, który jakiś czas temu proponował mu ochronę. Podjął tę decyzję, usłyszawszy profesjonalną opinię ludzi, którzy go uratowali.

— Tak się cieszę, że wyszedłeś z tego cało, Erwin.

— Dziękuję, George — powiedział Ostermann do amerykańskiego sekretarza skarbu. —

Patrzysz teraz na swoich ochroniarzy innym okiem niż tydzień temu?



— Żebyś wiedział. Oczekuję ożywienia w tej branży, i to niedługo.

— Okazja do zrobienia interesu? — spytał Ostermann, uśmiechając się smętnie.

— Nie to miałem na myśli — odpowiedział Winston i omal nie wybuchnął śmiechem.

Nie jest źle, pomyślał, jeśli można się z tego śmiać.

— George?

— Tak?

— To nie byli Austriacy, bez względu na to, co mówią w telewizji i piszą w gazetach.

Prosimi mnie, żebym tego nie ujawniał, ale przecież tobie mogę powiedzieć. To byli Amerykanie i Brytyjczycy.

— Wiem, Erwin. Wiem, kim są, ale to wszystko, co mogę powiedzieć.

— Zawdzięczam im życie. Jak mógłbym spłacić ten dług?

— Przyjacielu, oni wykonywali po prostu swoją robotę. Za to im płacą.

— *Vielleicht*, ale uratowali życie mnie i moim pracownikom. Mam wobec nich dług wdzięczności. Jak mógłbym coś dla nich zrobić?

— Nie wiem — przyznał George Winston.

— A mógłbyś się dowiedzieć? Skoro ich znasz, może znalazłbyś jakiś sposób? Mają przecież dzieci, prawda? Mogę zapłacić za ich wykształcenie, ustanowić jakiś fundusz, czy coś takiego, nie sądzisz?

— Raczej nie, Erwin, ale spróbuję coś zrobić — powiedział sekretarz skarbu, zapisując coś sobie w notesie na biurku. Paru facetom, odpowiedzialnym za sprawy bezpieczeństwa na pewno nie będzie się to podobać, ale może znalazłby się jakiś sposób. Pośredniczyć mogłaby któraś z kancelarii adwokackich w Waszyngtonie — w ten sposób zatarłoby się ślady.

Winstonowi podobała się postawa Erwina. Są jeszcze ludzie, dla których dewiza *noblesse oblige* nie jest pustosłowiem. — Na pewno nic ci nie jest, stary?

— Na pewno. I wiesz, czyja to zasługa.

— Wspaniale. Miło cię było znów usłyszeć. Zobaczymy się, kiedy znów będę w Europie.

— Chętnie, George. Trzymaj się.

— Ty też. Cześć. — Winston rozłączył się, ale nie odłożył słuchawki. Równie dobrze mógł się tym

zająć od razu. — Mary — powiedział do sekretarki — mogłabyś mnie połączyć z Edem Foleyem z CIA?

## Śledztwo

Popow nie robił tego od wieków, ale niczego nie zapomniał. O jego pracodawcy pisano częściej niż o niejednym polityku — zresztą zupełnie słusznie, pomyślał, bo to, co ten człowiek robił dla swego kraju i dla świata było znacznie ciekawsze i ważniejsze — ale były to głównie artykuły poświęcone sprawom biznesu. Popow nabrał wprawdzie jeszcze większego szacunku dla bogactwa i wpływów swego pracodawcy, ale szukał czegoś innego. O jego życiu osobistym pisano niewiele, z wyjątkiem tego, że był rozwiedziony. Trochę szkoda. Jego była żona wydawała się atrakcyjna i inteligentna, sądząc po zdjęciach i informacjach na jej temat. Może dwojgu tak inteligentnym ludziom trudno być razem? Jeśli tak, to biedne te kobiety, pomyślał

Rosjanin. Może amerykańscy mężczyźni nie lubili, żeby towarzyszki życia dorównywały im intelektem? Ale ktoś, kto by się tego obawiał, musiał być człowiekiem słabego charakteru, doszedł do wniosku.

Nie znalazł niczego, co mogłoby wskazywać, że ten człowiek zetknął się kiedykolwiek z terrorystami. Według „New York Timesa”, nigdy nie próbowano dokonać na niego zamachu, nigdy nie został nawet napadnięty na ulicy. Oczywiście, takie rzeczy nie zawsze trafiają do prasy.

Może był więc jakiś incydent, który zdołano utrzymać w tajemnicy. Ale gdyby wydarzyło się coś na tyle znaczącego, żeby zmienić bieg jego życia, to przecież musiałyby to wyjść na jaw.

Chyba tak. Prawie na pewno, pomyślał. Ale „prawie” nie satysfakcjonowało oficera wywiadu. Miał do czynienia z człowiekiem biznesu. Z geniuszem, zarówno na polu nauki, jak i w zarządzaniu dużą firmą. Były to chyba jego życiowe pasje. Wiele zdjęć przedstawiało go z kobietami, rzadko dwa razy z tą samą, podczas różnych imprez dobroczynnych i okazji towarzyskich. Popow zauważył, że zawsze były to atrakcyjne kobiety, jak trofea, które najpierw się zdobywa, a potem wiesza na ścianie i znów wyrusza na łowy. No więc, co to był za człowiek?

Popow musiał przyznać, że nie wie i było to bardzo niepokojące. Jego życie spoczywało w rękach człowieka, którego motywów działania nie rozumiał. A nie wiedząc, nie mógł

właściwie ocenić ryzyka, na jakie się narażał. Gdyby kto inny rozpoznał te motywy i w rezultacie jego pracodawca zostałby zdemaskowany i aresztowany, jemu, Popowowi, również groziło aresztowanie i postawienie w stan oskarżenia pod poważnymi zarzutami. Oddając ostatnie czasopisma bibliotekarce, były oficer KGB pomyślał, że w razie czego potrafi sobie poradzić.

Walizkę miał zawsze spakowaną i zawsze mógł się posłużyć jednym z dwóch fałszywych wcieleń, o które zadbał już dawno. Na pierwszy znak, że szykują się kłopoty, pojedzie na lotnisko i jak najszybciej odleci do Europy, żeby zniknąć i korzystać z pieniędzy, które zdeponował w banku. Miał

już tyle, że powinno wystarczyć na parę lat wygodnego życia, a może i na dłużej, jeśli uda mu się znaleźć dobrego doradcę inwestycyjnego. Zniknięcie z powierzchni ziemi nie jest takie znowu trudne dla kogoś, kto się na tym zna, powiedział sobie, idąc z powrotem Piątą Aleją. Wszystko, czego potrzebował, to ostrzeżenie z piętnasto-, dwudziestominutowym wyprzedzeniem... Ale jak je sobie zapewnić...?

Bill Tawney przekonał się, że niemiecka policja federalna jest skuteczna jak zawsze.

Wszystkich sześcioro terrorystów zidentyfikowano w ciągu czterdziestu ośmiu godzin i, choć trwały jeszcze szczegółowe przesłuchania ich przyjaciół, sąsiadów i znajomych, policja wiedziała już wiele i przekazała to Austriakom. Stamtąd informacje te otrzymała ambasada brytyjska w Wiedniu i przesłała je do Hereford. W aktach znalazły się między innymi fotografia i plan domu, należącego do Fürchtnera i Dortmund. Mieszkali tam pod fałszywymi nazwiskami. Siegfried i Hanna Kolb. Tawney zorientował się, że jedno z nich zajmowało się malowaniem obrazów i nawet miało trochę talentu. Z raportu wynikało, że sprzedawali te obrazy, sygnowane oczywiście pseudonimem, w miejscowej galerii. Tawneyowi przemknęło przez głowę, że teraz obrazy mogą sporo zyskać na wartości. Odwrócił kartkę. Mieli w domu komputer, ale nie znaleziono w nim żadnych ciekawych dokumentów. Jedno z tych dwojga — policja niemiecka przypuszczała, że Fürchtner — pisało długie diatriby polityczne. Teksty załączono, ale nie zostały jeszcze przetłumaczone. Doktor Bellow zapewne będzie chciał je przeczytać. Poza tym nic szczególnego.

Książki, w większości wydane w byłej NRD i traktujące głównie o polityce. Dobry telewizor i wieża stereo, mnóstwo płyt — tradycyjnych i kompaktowych — z muzyką klasyczną.

Przyzwoity samochód średniej klasy, dobrze utrzymany, ubezpieczony w miejscowej firmie. Nie mieli w sąsiedztwie przyjaciół, z nikim nie utrzymywali bliższych kontaktów i niczym nie zwracali na siebie uwagi. Dla otoczenia wszystko było więc *in Ordnung*, żadnego powodu do plotek. A przecież, pomyślał Tawney, byli jak ściśnięte sprężyny, czekające tylko... na co?

Co sprawiło, że zdecydowali się napaść na rezydencję Ostermanna? Niemiecka policja nie umiała tego wyjaśnić. Jeden z sąsiadów widział jakiś obcy samochód pod ich domem kilka tygodni temu, ale nikt nie wiedział, kto ich wtedy odwiedził. Numeru rejestracyjnego nikt nie zapamiętał, marki też nie, chociaż ów sąsiad zeznał, że był to samochód produkcji niemieckiej, prawdopodobnie biały albo przynajmniej jasny. Tawney nie potrafił powiedzieć, czy ta informacja ma jakieś znaczenie. Mógł to być ktoś, kto chciał kupić obraz, albo agent ubezpieczeniowy — albo ów ktoś, kto sprawił, że znów stali się lewackimi terrorystami.

Dla wytrawnego oficera wywiadu nie było nic niezwykłego w tym, że nie mógł dojść do żadnego wniosku na podstawie informacji, którymi dysponował. Powiedział sekretarce, żeby zleciła tłumaczenie tekstów Fürchtnera. Zamierzał je potem przeanalizować z doktorem Bellowem. Na razie niewiele więcej mógł zrobić. Coś wyrwało tych dwoje niemieckich terrorystów z profesjonalnego letargu, ale nie wiedział co. Możliwe, że policja niemiecka znajdzie odpowiedź, ale Tawney raczej w to wątpił. Fürchtner i Dortmund potrafili długo pozostawać w ukryciu w kraju, którego policja świetnie sobie radziła z poszukiwaniem ludzi.

Ktoś, kogo znali i komu ufali, skontaktował się z nimi i nakłonił do tej operacji. Ten ktoś wiedział,

gdzie ich znaleźć, co oznaczało, że wciąż jeszcze istniała jakaś siatka terrorystyczna.

Niemcy też doszli do tego wniosku i w komentarzu do wstępnego sprawozdania sugerowali dalsze śledztwo, z wykorzystaniem płatnych informatorów. Mogło się to udać, ale nie musiało.

Tawney poświęcił parę lat życia na infiltrowanie irlandzkich grup terrorystycznych i odniósł

nawet kilka drobnych sukcesów, wyolbrzymionych przez fakt, że należały do rzadkości. Ale w świecie terroryzmu od dawna odbywała się darwinowska selekcja naturalna. Głupi zginęli, inteligentni potrafili przetrwać. Po prawie trzydziestu latach ukrywania się przed coraz lepszymi siłami policyjnymi, terroryści, którzy pozostali przy życiu, byli naprawdę bardzo sprytni.

Najlepsi byli przeszkoleni w Moskwie, przez oficerów KGB... Tawney zastanowił się przelotnie, czy warto prowadzić śledztwo w tym kierunku. W niektórych dziedzinach Rosjanie byli nawet skłonni do współpracy... ale raczej nie w dziedzinie terroryzmu. Pewnie dlatego, że było im wstyd... a może dlatego, że akta zostały zniszczone. Często tak twierdzili, ale Tawney nie bardzo w to wierzył. Tacy ludzie niczego nie niszczą. Związek Radziecki stworzył największą maszynę biurokratyczną na świecie, a biurokraci po prostu nie są w stanie niszczyć akt. A poza tym, kto wie, jak wyglądać będzie świat w nowym tysiącleciu? Tak, czy inaczej, zwrócenie się do Rosjan o tego rodzaju współpracę zdecydowanie przekraczało jego kompetencje; mógł sporządzić wniosek na piśmie i była szansa, że przeczytają go piętro wyżej, czy nawet dwa piętra, zanim nie utraci go jakiś ważny urzędnik w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Postanowił jednak mimo wszystko spróbować. Zawsze to jakieś zajęcie i przynajmniej ci w Century House, po drugiej stronie Tamizy, naprzeciwko Pałacu Westminsterskiego, dowiedzą się, że Tawney jeszcze żyje i wciąż pracuje.

Tawney włożył wszystkie papiery, a także własne notatki do grubej koperty i zajął się swym skazanym na odrzucenie wnioskiem. W tej chwili przypuszczał tylko, że nadal istniała terrorystyczna siatka, i że ktoś, znany jej członkom, wciąż miał klucz do bram tego zamkniętego światka. Cóż, może Niemcy dowiedzą się czegoś więcej i zdobyte przez nich informacje wylądują na jego biurku. Tawney zastanawiał się, czy gdyby tak się stało, John Clark i Alistair Stanley potrafiliby zaaranżować własną operację przeciw terrorystom. Nie, to raczej zadanie dla policji danego kraju, czy miasta, ale prawdopodobnie niewiele by to dało.

Iljicz Ramirez Sanchez, znany szerzej jako Carlos, nie był szczęśliwym człowiekiem, ale przecież cela w więzieniu La Sante nie miała mu zapewniać szczęścia. Był kiedyś najgroźniejszym terrorystą na świecie, własnoręcznie zabijał ludzi i robił to absolutnie beznamyślnie. Poszukiwały go swego czasu policje i służby wywiadowcze z całego świata, a on śmiał się z nich, bezpieczny w swych kryjówkach na obszarze Europy Wschodniej. Czytał tam gazety, które spekulowały, kim jest naprawdę i dla kogo faktycznie pracuje. Czytał też dokumenty KGB, informujące, jakie działania podejmują różne służby zagraniczne, żeby go schwytać... Aż nagle Europa Wschodnia upadła, a wraz z nią państwowe poparcie dla jego rewolucyjnych aktów. Znalazł się w Sudanie, gdzie postanowił trochę poważniej podejść do swojej sytuacji. Wskazana była operacja plastyczna, więc zwrócił się do lekarza, któremu ufał.

Operacja miała zostać przeprowadzona pod pełną narkozą. Zasnął...

...i obudził się na pokładzie francuskiego samolotu, przywiązany do noszy. — *Bonjour, Monsieur Chacal* — powitał go jakiś mężczyzna po francusku, uśmiechając się promiennie, jak myśliwy, który schwytał właśnie w sidła najniebezpieczniejszego z tygrysów. Oskarżony o zamordowanie w 1975 roku jakiegoś tchórzliwego donosiciela i dwóch oficerów francuskiego kontrwywiadu, bronił się buńczucznie, a przynajmniej tak mu się wydawało, choć miało to znaczenie wyłącznie dla jego własnego wybujałego ja. Ogłosił się „zawodowym rewolucjonistą”

przed narodem, który miał już swoją rewolucję przed dwoma wiekami i raczej nie tęsknił za następną.

Najgorsze jednak było to, że sądzono go jak... jak pospolitego przestępcę, jakby jego działalność nie miała żadnych pobudek politycznych. Usilnie próbował to sprostować, ale prokurator do tego nie dopuścił. Prokurator usunął nawet ze swego głosu pogardę, jaką czuł do oskarżonego i rzeczowym tonem przedstawiał kolejne dowody. Wiedział, że na zmanifestowanie pogardy będzie jeszcze miał czas. Sanchez nie stracił poczucia godności własnej, ale czuł w duszy ból zwierzęcia, schwytanego w pułapkę. Musiał przywoływać całą siłę woli, żeby jego twarz nie straciła neutralnego wyrazu. Rezultat końcowy dla nikogo nie był

niespodzianką.

Maleńka cela miała tylko jedno okno, ale nie był wystarczająco wysoki, żeby móc przez nie wyjrzeć. Natomiast strażnicy mieli do dyspozycji kamerę i obserwowali go dwadzieścia cztery godziny na dobę, jak jakieś bardzo rzadkie zwierze w specjalnej klatce. Był tak samotny, jak tylko samotny może być człowiek. Nie zezwalano mu na kontakt z innymi więźniami, a z klatki wypuszczano go tylko raz dziennie, na godzinę „ćwiczeń”, które odbywał na ponurym więziennym dziedzińcu. Wiedział, że do końca życia nie ma co liczyć na nic lepszego i zaczynał

go opuszczać hart ducha. Najgorsza ze wszystkiego była nuda. Miał książki do czytania, ale całą jego przestrzeń życiową stanowiło kilka metrów kwadratowych celi. I co gorsza, cały świat wiedział, że Szakala zamknięto w klatce na zawsze, więc można o nim zapomnieć.

Zapomnieć? Cały świat drżał kiedyś na dźwięk jego imienia. To było najbardziej bolesne.

Zanotował sobie w myślach, że ma się skontaktować ze swym adwokatem. Ich rozmowy w dalszym ciągu miały charakter poufny, a prawnik znał paru ludzi, do których można było zadzwonić.

— Włączam silniki — powiedział Malloy. Dwie turbiny ożyły i czterołopatowy wirnik zaczął się obracać.

— Paskudny dzień — powiedział porucznik Harrison przez interkom.

— Długo tu już jesteś?

— Dopiero parę tygodni, sir.

— Cóż, chłopcze, teraz przynajmniej już wiesz, dlaczego Brytyjczycy wygrali Bitwę o Anglię. Nikt inny nie potrafił latać w taką gównianą pogodę. — Malloy rozejrzał się dookoła. W

powietrzu nie było żadnych maszyn. Podstawa chmur znajdowała się poniżej trzystu metrów i lało jak z cebra. Pułkownik zerknął na tablicę przyrządów. Same zielone lampki. Wszystkie systemy pracowały bez zarzutu.

— Rozumiem, panie pułkowniku. Ile godzin wylatał pan na *Night Hawk*?

— Och, jakieś siedemset. Bardziej podobają mi się możliwości elektroniczne *Pave Low*, ale za to ten ptaszek naprawdę kocha latać. No, chłopcze, najwyższy czas się o tym przekonać.

— Malloy przesunął w górę dźwignię skoku i *Night Hawk* wzniósł się w powietrze, targany trochę wiatrem, dochodzącym w porywach do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. — Jak tam z tyłu? Wszystko w porządku?

— Mam torebkę, na wypadek gdybym musiał rzygać — odpowiedział Clark ku rozbawieniu Dinga.

— Znasz takiego faceta, który się nazywa Paul Johns?

— Pułkownik Sił Powietrznych, baza Eglin? Odszedł na emeryturę jakieś pięć lat temu.

— Tak, to ten. Dobry był? — spytał Clark, głównie po to, żeby wyrobić sobie opinię o Malloyu.

— Za sterami śmigłowca nie miał sobie równych, zwłaszcza jeśli był to *Pave Low*. On po prostu przemawiał do maszyny, a ona grzecznie go słuchała i robiła wszystko, czego chciał.

Znasz go, Harrison?

— Tylko z opowiadań, sir — odpowiedział drugi pilot z lewego fotela.

— Niski facet. Świetny na polu golfowym. Zajmuje się teraz doradztwem, a przy okazji dorabia u Sikorsky'ego. Co jakiś czas zagląda do Bragg. No, dobrze, dziecińco, zobaczymy, co potrafisz. — Malloy wprowadził śmigłowiec w ciasny lewy skręt. — Hm, nic się tak nie prowadzi jak sześćdziesiątka. Cholera, kocham te maszyny. W porządku Clark, co robimy?

— Budynek strzelnicy, symulowany szybki zjazd po linach.

— Tak, żeby nas nie zauważyli, czy szturm?

— Szturm — powiedział John.

— To łatwe. Jakieś konkretne miejsce?

— Południowo-wschodni róg, jeśli możesz.

— W porządku, już lecimy. — Malloy przesunął drążek w lewo i do przodu, gwałtownie zmniejszając wysokość. Poczuli się jak w szybkobieżnej windzie. Śmigłowiec nadlatywał z dużą prędkością nad strzelnicę, niczym sokół, spadający z nieba w pościgu za bażantem — i jak sokół

wyrwał nagle w górę i zawisł we właściwym miejscu. Wszystko stało się tak szybko, że drugi pilot wytrzeszczył oczy ze zdumienia. — Co powiesz, Clark?

— Nieźle — przyznał dowódca Tęczy.

Następnie Malloy zwiększył moc, żeby czym prędzej wydostać się ze strefy zagrożenia; miało się wrażenie, że w ogóle nie zatrzymał się nad budynkiem. — Dopracuję to, kiedy oswoję się z waszymi ludźmi, zorientuję się, jak szybko wyskakują z maszyny i tak dalej. Ale pamiętajcie, że zwykle lepiej jest dostarczać ludzi wiszących na długich linach.

— Pod warunkiem, że nie pomylisz się w ocenie wysokości i nie wpieprzysz nas w jakąś cholerną ścianę — zauważył Chavez. Malloy odwrócił głowę i spojrzał na niego z wyrzutem.

— Chłopcze, naprawdę staramy się tego unikać. I nikt nie robi fotela na biegunach lepiej ode mnie.

— To trudny manewr — powiedział Chavez.

— Rzeczywiście — zgodził się Malloy. — A jeszcze do tego potrafisz grać na pianinie.

Pewności siebie raczej mu nie brakowało. Nawet porucznik w lewym fotelu odnosił

wrażenie, że Malloy trochę szarżuje, ale dosłownie chłonał każdy manewr, przyglądając się zwłaszcza, jak pułkownik operuje dźwignią skoku, jednocześnie kontrolując moc silników i wznoszenie. Dwadzieścia minut później byli z powrotem na ziemi.

— No to już wiecie, panowie, jak się to robi — obwieścił im Malloy, kiedy łopaty wirnika przestały się obracać. — Kiedy zaczynamy prawdziwy trening?

— Wystarczy jutro? — spytał Clark.

— Tak jest, panie generale. Następne pytanie: na prawdziwe akcje też będziemy zabierać *Night Hawka*, czy mam się przyzwyczajać do latania na czymś innym?

— Jeszcze nie wiemy — przyznał John.

— Cóż, to nie jest bez znaczenia. Każdy śmigłowiec prowadzi się trochę inaczej i muszę to uwzględnić, dowożąc was na miejsce — powiedział z naciskiem Malloy. — Najlepszy jestem w *Night Hawku*, prawie tak samo dobry w *Hueyu*, ale to głośna maszyna, więc raczej nie ma mowy o podlatywaniu dokądkolwiek tak, żeby przeciwnik nie zauważył. Mogę latać i na innych typach, ale musiałbym się z nimi przedtem oswoić. Zwykle muszę sobie poszaleć przez parę godzin, zanim do końca wyczuję nową maszynę. — Nie dodał, że musi się też zorientować w układzie instrumentów, jako że nie ma na świecie dwóch maszyn z idealnie takim samym układem wszystkich pokręteł, wskaźników, dźwigni i tak dalej. Piloci narzekają na to od czasów braci Wright. — Ryzykuję życiem moim i nie tylko moim za każdym razem, kiedy wystartuję.



Wolałbym utrzymywać to ryzyko na możliwie najniższym poziomie. Bardzo ostrożny ze mnie facet, wiecie?

— Zajmę się tą sprawą jeszcze dzisiaj — obiecał Clark.

— Niech pan to zrobi. — Malloy skinął głową i poszedł do szatni.

Popow zafundował sobie wystawną kolację we włoskiej restauracji w pobliżu domu, w którym mieszkał, podczas spaceru rozkoszował się piękną pogodą, a po powrocie do domu zapalił cygaro Montecristo. Musiał jeszcze popracować. Zorganizował sobie kasety wideo z relacjami telewizyjnymi z obu terrorystycznych incydentów, które zaaranżował, i których przebieg chciał teraz przeanalizować. W obu wypadkach reporterzy mówili po niemiecku — za pierwszym razem był to dialekt szwajcarski, za drugim — austriacki. Popow znał niemiecki, jakby się urodził i wychował w Niemczech. Usiadł w fotelu z pilotem w rękę, czasem cofał

taśmę i oglądał jakąś scenę ponownie, gdy coś zwróciło jego uwagę, a jego wyćwiczona pamięć rejestrowała każdy szczegół. Oczywiście, najbardziej interesowały go ujęcia, ukazujące zespoły antyterrorystyczne, których zdecydowane działania w obu wypadkach fatalnie skończyły się dla terrorystów. Jakość materiałów filmowych była kiepska. Telewizja nie zapewniała obrazu wysokiej jakości, zwłaszcza jeśli oświetlenie było słabe, a kamera stała dwieście metrów od miejsca, w którym rozgrywały się wydarzenia. Na pierwszej kasecie, tej z Berna, było nie więcej niż półtorej minuty ujęć, pokazujących grupę antyterrorystyczną podczas przygotowań do akcji.

Tej części materiału filmowego nie nadano na żywo, lecz dopiero później, kiedy już było po wszystkim. Ci ubrani na czarno ludzie zachowywali się jak zawodowcy, a ich dziwnie lekkie i jakby wystylizowane ruchy przywiodły Rosjaninowi na myśl balet. Najpierw podczołgiwali się z prawej i z lewej strony, żeby następnie błyskawicznie wkroczyć do akcji, co na filmie zaakcentowały jeszcze drgania kamery, kiedy odpalone zostały ładunki wybuchowe; kamerzyści zawsze wtedy podskakują. Strzałów nie było słychać. A więc używali wytłumionej broni.

Chodziło o to, żeby przeciwnicy nie zorientowali się, skąd dochodzą strzały, choć w tym wypadku nie miało to żadnego znaczenia, bo terroryści zginęli, zanim taka informacja mogła im się na coś przydać. Ale właśnie tak należało to robić. W tym biznesie wszystko było zaprogramowane jak w sporcie zawodowym, a karą za nieprzestrzeganie reguł gry była śmierć.

Trwało to zaledwie sekundy, po czym zespół antyterrorystyczny wyszedł z banku, pozostawiając sprzątaną bałaganu berneńskiej policji. Popow zorientował się, że ci ubrani na czarno zachowują się bez emocji, jak zdyscyplinowani żołnierze na polu bitwy. Żadnych gratulacji, poklepywania się po ramieniu i tak dalej. Nie, byli na to zbyt dobrze wyszkoleni. Żaden nie zapalił nawet papierosa... zaraz, jeden wyjął chyba fajkę. Ciągami dalszym były ignoranckie, jak zwykle, wypowiedzi komentatorów lokalnych stacji telewizyjnych, którzy opowiadali, jak to elitarna jednostka policyjna uratowała życie wszystkim zakładnikom, *und so weiter*, pomyślał Popow, wstając, żeby zmienić kasetę.

Zorientował się, że relacje telewizyjne z incydentu pod Wiedniem były jeszcze gorsze, z uwagi na dom, w którym mieszkał tamten facet. Zresztą całkiem przyjemna rezydencja.

Romanowowie nie pogardziliby takim pałacykiem. Tutaj policja bezwzględnie kontrolowała ekipy telewizyjne, co było zupełnie zrozumiałe. Z nudną regularnością kamera pokazywała fronton zamku, a reporter telewizyjny monotonnym głosem powtarzał w nieskończoność jedno i to samo: że nie udało mu się na razie porozmawiać z policją. Coś jednak można było zobaczyć

— pojazdy w ruchu, a potem scenę przybycia austriackiego zespołu antyterrorystycznego.

Ciekawe, że przybyli w ubraniach cywilnych, a zaraz potem przebrali się w kombinezony bojowe... tym razem chyba zielone... nie, zorientował się, że zielony kamuflaż naciągnęli na zwykłe, czarne kombinezony. Czy miało to jakieś znaczenie? Dwaj ludzie z austriackiego zespołu, z karabinami wyposażonymi w celowniki optyczne, szybko wsiedli do samochodów, które niewątpliwie zabrały ich na tyły zamku. Dowódca zespołu antyterrorystycznego, niezbyt wysoki, bardzo podobny do tego, który, jak przypuszczał Popow, dowodził zespołem w Bernie, pokazany został z dużej odległości w momencie, kiedy przeglądał jakieś papiery — niewątpliwie mapy okolicy i plany zamku. Później, na krótko przed północą, wszyscy gdzieś znikli. Popow oglądał teraz *Schloss*, oświetlony reflektorami. Podkładem dźwiękowym były idiotyczne spekulacje jakiegoś szczególnie niedoinformowanego dziennikarza telewizyjnego. Tuż po północy, z oddali dobiegł huk wystrzału karabinowego, po którym nastąpiły jeszcze dwa strzały.

Na chwilę zaległa cisza, ale zaraz obiektyw kamery uchwycił gorączkową aktywność umundurowanych policjantów. Dwudziestu funkcjonariuszy biegnęło do przednich drzwi z pistoletami maszynowymi w rękach. Reporter zaczął opowiadać o ożywionej aktywności, co nawet dla najgłupszych telewidzów nie było już w tym momencie niczym nowym, bredził tak przez chwilę, po czym ogłoszono, że wszyscy zakładnicy żyją, a wszyscy przestępcy zginęli. Za jakiś czas ponownie pojawili się ubrani na zielono członkowie zespołu antyterrorystycznego.

Podobnie jak w Bernie, nie było żadnego gratulowania sobie nawzajem. Jeden z nich palił chyba fajkę idąc do samochodu, który ich tam przywiózł, podczas gdy inny rozmawiał przez chwilę z policjantem w cywilu, prawdopodobnie z kapitanem Altmarkiem, który dowodził regularnymi siłami policyjnymi podczas tej operacji. Ci dwaj musieli się znać. Wymiana słów trwała bardzo krótko, po czym antyterrorystyczny oddział policyjny odjechał, podobnie jak w Bernie. Tak, skostatował Popow jeszcze raz, oba te zespoły musiały się uczyć z tego samego podręcznika.

Prasa eksponowała później sprawność specjalnej jednostki policyjnej. W Bernie też tak było, ale można się było tego spodziewać — dziennikarze wypisują takie same bzdury, bez względu na język, czy narodowość. W obu wypadkach oświadczenia wydane przez policję były prawie identyczne. Cóż, prawdopodobnie oba zespoły antyterrorystyczne miały tych samych nauczycieli. Może niemiecka GSG-9? Ta sama, która — przy pomocy Brytyjczyków — ponad dwadzieścia lat temu odbiła samolot pasażerski z rąk porywaczy w Mogadiszu, szkoliła siły specjalne z krajów niemieckojęzycznych. Najwyższy profesjonalizm i opanowanie, demonstrowane przez oba zespoły antyterrorystyczne, wydały się Popowowi bardzo niemieckie.

Ci ludzie zachowywali się jak roboty, zarówno przed akcją, jak i po akcji, przybywali i odjeżdżali

jak duchy, pozostawiając tylko ciała zabitych terrorystów. Dobrzy są ci Niemcy i wyszkoleni przez nich policjanci z krajów niemieckojęzycznych. Popow, urodzony i wychowany w Rosji, nie pałał specjalną miłością do kraju, który swego czasu zabił tak wielu jego rodaków, ale potrafił docenić niemiecką robotę, a śmierć terrorystów nie była dla świata wielką stratą.

Mimo że sam pomagał ich szkolić w okresie służby w radzieckim KGB, nie zależało na nich ani jemu, ani w ogóle nikomu z jego firmy. Byli może nie tyle przydatnymi głupcami, o jakich kiedyś mówił Lenin, co raczej wytresowanymi psami bojowymi, które spuszczało się ze smyczy w razie potrzeby, ale którym nigdy się do końca nie ufało i nad którymi panowało się tylko do pewnego stopnia. Tak naprawdę, te psy nigdy nie były specjalnie skuteczne. Ich jedynym chyba osiągnięciem było zmuszenie portów lotniczych do zainstalowania wykrywaczy metali, co podróżnych na całym świecie narażało na niewygodę. Terrorysty niewątpliwie nękali Izrael, ale cóż ten kraj w końcu znaczył na arenie międzynarodowej? A w ogóle, to do czego doprowadzili?

Kraje, które są do tego zmuszone, szybko adaptują się do nieprzyjaznych warunków. I oto izraelskie linie lotnicze El Al stały się najbezpieczniejsze na świecie, a policjanci w różnych krajach byli teraz lepiej poinformowani, na kogo zwracać baczną uwagę. A kiedy już wszystko inne zawiodło, do akcji wkraczały specjalne jednostki antyterrorystyczne, w rodzaju tych, które rozwiązały problemy w Bernie i w Wiedniu. Wyszkolone przez Niemców, potrafiły zabijać jak Niemcy. Wszyscy następni terrorysty, których on, Popow, wyśle na akcje, będą mieli do czynienia z takimi ludźmi. Ich pech, pomyślał Popow, przełączając telewizor z powrotem na jeden z programów, podczas gdy w magnetowidzie przewijała się kasetka. Niewiele się dowiedział, ale był wyszkolonym oficerem wywiadu, a tym samym człowiekiem sumiennym.

Nalał sobie wódki Absolut, niczym jej nie rozcieńczając — brakowało mu świetnej rosyjskiej Starki — i zaczął rozmyślać nad tym, co zobaczył, oglądając jednocześnie film na ekranie telewizora.

— Tak, generale, wiem o tym — powiedział Clark do słuchawki o godzinie 13.05

następnego popołudnia, przeklinając przy okazji różnicę czasu.

— To też będzie finansowane z mojego budżetu — podkreślił generał Wilson. Najpierw proszą o ludzi, potem o sprzęt, a teraz jeszcze o pieniądze, pomyślał CINC-SNAKE.

— Może Ed Foley będzie mógł trochę pomóc, sir. Proszę mi wierzyć, naprawdę potrzebujemy tej maszyny, żeby rozpocząć treningi. Przysłał nam pan świetnego człowieka —

dodał Clark w nadziei, że ułagodzi to trochę Wilsona, znanego z wybuchowego temperamentu.

Nie na wiele się to zdało. — Tak, wiem, że jest dobry. Do ciężkiej cholery, przecież to dlatego dla mnie pracował.

Facet nabiera na stare lata ekumenicznego spojrzenia na świat, pomyślał John. Teraz wychwala kogoś z piechoty morskiej — Clark nie przypuszczał, że usłyszy kiedyś coś takiego z ust pożeracza węży i byłego dowódcy 17. Korpusu Powietrznodesantowego Armii.

— Generale, wie pan, że mamy już za sobą dwie operacje. Przy całej skromności, moi ludzie w obu wypadkach spisali się cholernie dobrze. Muszę przecież o nich walczyć, nie sądzi pan?

To uspokoiło Wilsona. Obaj byli dowódcami, obaj mieli swoje zadania i ludzi, którym rozkazywali i których musieli bronić.

— Clark, rozumiem pańską sytuację, naprawdę. Ale jak mam szkolić swoich ludzi, jeśli zabierze mi pan sprzęt?

— A gdybyśmy korzystali z niego wspólnie? — Clark pomachał następną gałązką oliwną.

— Ale i tak musiałbym oddać *Night Hawka*...

— Dostanie pan z powrotem świetnie wyszkoloną załogę śmigłowcową, która, kiedy tutaj skończy, będzie mogła pracować z pańskimi ludźmi w Bragg, a pana prawie nic nie będzie to kosztować. — Chyba zabił tym Wilsonowi ćwieka.

W bazie Sił Powietrznych MacDill Wilson doszedł do wniosku, że stoi na przegranej pozycji. Tęcza miała wszelkie priorytety i wszyscy o tym wiedzieli. Clark potrafił przekonać do swej koncepcji najpierw CIA, a potem samego prezydenta. Co więcej, przeprowadzili już dwie operacje i w obu wypadkach okazali się skuteczni, choć ta druga była trochę ryzykowna. Ale Clark, choć sprawiał wrażenie dobrego dowódcy, mimo całej swej inteligencji nie nauczył się, jak kierować jednostką we współczesnym wojsku, gdzie człowiek tracił połowę czasu na zajmowanie się sprawami finansowymi, niczym jakiś cholerny księgowy, zamiast dowodzić swoimi żołnierzami i trenować z nimi. To właśnie gniewało Sama Wilsona, młodego czterogwiazdkowego generała. Był zawodowym żołnierzem i chciał praktykować żołnierskie rzemiosło, a pozycja dowódcy niemal to wykluczała, mimo że był w świetnej kondycji fizycznej i tak bardzo tego pragnął. A najgorsze było to, że cała ta Tęcza mogła przechwycić wiele zadań, które uważał dotąd za własne. Dowództwo Operacji Specjalnych miało zobowiązania na całym świecie, ale międzynarodowa natura Tęczy oznaczała, że tym samym zajmował się obecnie ktoś, kto był całkowicie neutralny politycznie, a tym samym ktoś, kogo o wiele łatwiej będzie zaakceptować krajom, mogącym potrzebować specjalnych usług. Wilson zdał sobie sprawę, że Clark może go wyprzeć z interesu i wcale mu się to nie podobało.

Ale w tym wypadku nie miał wyboru.

— W porządku, Clark, możecie korzystać z tego śmigłowca pod warunkiem, że jego macierzysta jednostka będzie się z nim mogła rozstać, i że wykorzystanie go u was nie odbije się negatywnie na treningu i gotowości operacyjnej. Czy to jasne?

— Tak, sir, jasne — potwierdził John Clark.

— Muszę kiedyś zajrzeć do was i zobaczyć ten wasz cyrk — powiedział następnie Wilson.

— Bardzo bym tego pragnął, panie generale.

— Zobaczymy — mruknął Wilson i przerwał połączenie.

— Twardy skurwiel — powiedział cicho John.

— Faktycznie — zgodził się Stanley. — W końcu buszujemy w jego zbożu.

— A w dodatku jest młodszy ode mnie i twardszy, tak?

— O parę lat młodszy i osobiście wolałbym nie krzyżować szpady z tym dżentelmenem.

— Stanley uśmiechnął się. — Wojna chyba się skończyła, John i zdaje się, że wygrałeś.

Clark również się uśmiechnął. — Tak, Al, ale łatwiej było wyruszać w teren i zabijać gołymi rękami.

— Pewnie.

— Co robi zespół Petera?

— Ćwiczą z długą liną.

— Chodźmy popatrzeć — powiedział John, szczęśliwy, że ma pretekst do wyrwania się z za biurka.

— Chcę się stąd wydostać — powiedział swojemu adwokatowi.

— Rozumiem cię, przyjacielu — odparł prawnik, rozglądając się po pokoju. We Francji prawo stanowiło, że rozmowy adwokatów z klientami nie mogły być nagrywane, ani w żaden sposób wykorzystywane przez państwo, ale żaden z nich nie był do końca przekonany, że Francuzi będą szanować prawo. Zwłaszcza, że to francuska służba wywiadowcza, DGSE, odegrała kluczową rolę w doprowadzeniu Iljicza przed oblicze wymiaru sprawiedliwości. A DGSE nie można było zarzucić, że jest gotowa trzymać się zasad cywilizowanego postępowania, o czym na własnej skórze przekonali się ludzie z tak różnych środowisk, jak terroryzm międzynarodowy i Greenpeace.

Cóż, w tym samym pokoju rozmawiali jeszcze inni ludzie, a mikrofonów nigdzie nie było widać. Poza tym, nie zajęli miejsc, które wskazał im więzienny strażnik. Usiedli bliżej okna, mówiąc, że zależy im na świetle dziennym. Oczywiście i tutaj mógł być podsłuch.

— Muszę ci, niestety, powiedzieć, że okoliczności, w jakich zostałeś skazany, nie rokują dobrze ewentualnej apelacji — pouczył go prawnik. Dla jego klienta nie było to żadną rewelacją.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Chcę, żebyś do kogoś zatelefonował.

— Do kogo?

Szakał podał mu nazwisko i numer. — Powiedz mu, że chcę zostać zwolniony.

— Nie mogę brać udziału w przestępstwie.

— Z tego też zdają sobie sprawę — zauważył Sanchez chłodno. — Powiedz mu też, że nagroda będzie wielka.

Podejrzewano, choć nikt nie miał pewności, że Iljicz Ramirez Sanchez, kiedy był jeszcze wolnym człowiekiem, zarobił na swych operacjach i ukrył gdzieś ogromne pieniądze. Większość tej sumy była owocem ataku na ministrów OPEC (Organizacja Krajów Eksportujących Ropę Naftową) w Austrii przed prawie dwudziestu laty, co tłumaczyło również, dlaczego on sam i jego grupa unikali zabicia kogokolwiek naprawdę ważnego, bez względu na efekt polityczny, jaki miałyby takie zabójstwo. Ale biznes to biznes, nawet dla tego rodzaju ludzi. No i ktoś płacił

przecież za opiekę prawną Szakala, uzmysłowił sobie adwokat.

— Co jeszcze mam mu powiedzieć?

— To już wszystko. Jeśli odpowie od razu, dasz mi znać — powiedział mu Sanchez.

Oczy miał jak kiedyś zimne i jakby nieobecne, a mimo to przeszywał rozmówcę wzrokiem na wskroś, kiedy mówił mu, co być musi.

Adwokat nie po raz pierwszy zastanawiał się, po co w ogóle brał tego klienta. Był znany od dawna z radykalnych poglądów i potrafił tę popularność przełożyć na kwitnącą, lukratywną praktykę adwokacką. Oczywiście, zawsze towarzyszył temu element ryzyka. Występował

ostatnio przed sądem w trzech dużych sprawach o handel narkotykami i przegrał wszystkie trzy.

Jego klientom wcale nie podobała się perspektywa spędzenia dwudziestu lat w więzieniu i dali wyraz swemu niezadowoleniu z jego usług. Naślą na niego płatnych zabójców? Parę razy już się to zdarzyło, w Ameryce i gdzie indziej. Prawnik pomyślał, że tutaj coś takiego jest trochę mniej prawdopodobne, ale nie mógł tego wykluczyć, chociaż nie obiecywał swym klientom niczego poza tym, że zrobi dla nich wszystko, na co go stać. Z Carlosem było tak samo. Już po ogłoszeniu wyroku prawnik włączył się w sprawę, żeby zbadać możliwość apelacji, złożył tę apelację i przegrał, jak się tego można było spodziewać. Francuskie sądy były mało wyrozumiałe wobec człowieka, który mordował na terytorium Francji, a potem jeszcze się tym chełpił. Teraz Szakal zmienił zdanie, uznał, że nie podoba mu się życie w więzieniu. Prawnik wiedział, że zatelefonuje i przekaże, co mu kazano. Czy będzie to oznaczać współudział w przestępstwie?

Uznał, że nie. W końcu powie tylko znajomemu swego klienta, że ten chce się wydostać z więzienia. Któż nie pragnąłby uwolnienia? Samo posłanie było niejednoznaczne, można je było interpretować na wiele sposobów. Pomoc w kolejnej apelacji, ujawnienie nowych, odciążających dowodów i tak dalej. A poza tym, wszystko, o co Sanchez go prosił, stanowiło przecież przedmiot poufnej rozmowy klienta z adwokatem.

— Przekażę twoją prośbę — obiecał klientowi.

— *Merci.*

Nawet w ciemnościach wyglądało to pięknie. Śmigłowiec *MH- 60K Night Hawk* nadlatywał z prędkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, jakieś sześćdziesiąt metrów nad ziemią, zbliżając się do budynku strzelnicy od południa, pod wiatr. Leciał równo, spokojnie, jakby wcale nie wykonywał trudnego manewru taktycznego. Spod śmigłowca zwisała ciemna, nylonowa lina, długości około pięćdziesięciu metrów, ledwie widoczna przez najlepsze gogle noktowizyjne, a na jej końcu znajdowali się Peter Covington, Mike Chin i jeszcze jeden członek Pierwszego Zespołu, bujając się pod czarnym *Sikorskim* w swych czarnych kombinezonach nindźów. Śmigłowiec leciał jak po sznurku, dopóki nos maszyny nie znalazł się nad krawędzią dachu. W tym momencie pilot zadarł nos maszyny, raptownie wytracając prędkość. Pod śmigłowcem ludzie na linie polecili jak na huśtawce do przodu, a potem, gdy wychylenie osiągnęło punkt kulminacyjny — do tyłu, zawisając nieruchomo w powietrzu. Covington i jego ludzie natychmiast odpięli karabińczyki i zeskoczyli na dach. Poruszali się w stosunku do ziemi z tak niewielką prędkością, że zeskoku prawie nie było słychać. Śmigłowiec zaraz opuścił nos i poleciał dalej. Dla obserwatorów na ziemi *Night Hawk* po prostu przeleciał nad budynkiem, nie zmieniając prędkości. Zresztą, w nocy śmigłowiec był ledwie widoczny, nawet przez gogle noktowizyjne.

— Niesamowite — mruknął Stanley. — Najmniejszego hałasu na dachu.

— Nie przesadzał, mówiąc, że jest dobry — zauważył Clark Malloy jakby ich usłyszał, bo zawrócił i pokazał im przez okno uniesiony kciuk, po czym zaczął latać po okręgu, zgodnie ze scenariuszem ćwiczenia. W warunkach bojowych takie krążenie było potrzebne na wypadek, gdyby zaszła konieczność awaryjnej ewakuacji. Ale może nawet ważniejsze było to, żeby ludzie na ziemi oswoili się z widokiem śmigłowca, latającego im nad głowami, żeby maszyna stała się elementem krajobrazu, jak drzewa. *Night Hawk* miał się wtopić w noc, przestać zwracać uwagę swą obecnością, pozostając cały czas do dyspozycji. Fachowcy w tym biznesie nie przestawali się dziwić, że coś takiego się udaje, chociaż wiedzieli, że po prostu wykorzystuje się tu naturę ludzką do potrzeb operacji specjalnych. Gdyby na parkingu pojawił się czołg, po kilku dniach zaczęto by go uważać po prostu za jeszcze jeden pojazd. Covington i jego ludzie pokręcili się przez parę minut po dachu, po czym zeszli do środka po drabinie i chwilę później pojawili się w drzwiach.

— Okej, Niedźwiedź, tu Tęcza Sześć, ćwiczenie zakończone. Wracaj na lądowisko.

Odbiór.

— Zrozumiałem, Tęcza Sześć. Niedźwiedź wraca do bazy. Bez odbioru. — *Night Hawk* przerwał lot po okręgu i ruszył w stronę lądowiska.

— Co o tym sądzisz? — spytał Stanley Petera Covingtona.

— Fantastyczne. To tak, jakby się wysiadało z pociągu na peron. Malloy zna się na tej robocie. Chin?

— Weźcie go na listę płac, panowie — odpowiedział Chin. — To facet, z którym można pracować.

— Maszyna zaparkowana — powiedział Malloy dwadzieścia minut później, w klubie.

Ubrany był w zielony kombinezon lotniczy z nomexu, a na szyi zawiązał sobie żółty szalik, jak przystało na przyzwoitego pilota, chociaż Clarkowi wydało się to trochę ekstrawaganckie.

— Co to za krawat?

— Ach, to z dywizjonu *A-10*. Dał mi go facet, którego uratowałem w Kuwejcie. Chyba przynosi mi szczęście, a poza tym *Warthog* zawsze mi się podobał jako samolot. No więc zawiążuję ten szalik, kiedy latam.

— Czy dostarczanie nas na miejsce w taki sposób, to trudny manewr? — spytał

Covington.

— Wymaga precyzji, no i trzeba wyczuć wiatr. Wiecie, co mi pomaga przygotować się do tego?

— Powiedz — poprosił Clark.

— Gra na pianinie. — Malloy pociągnął łyk piwa i uśmiechnął się. — Nie pytajcie mnie, dlaczego, ale zawsze lepiej mi się lata, kiedy sobie trochę pogram. Może ma to coś wspólnego z gimnastyką palców. Tak, czy inaczej, ten śmigłowiec, który nam wypożyczyli, jest w porządku.

Cięgła odpowiednio napięte, przepustnice chodzą jak powinny. Dobry zespół mechaników.

— O, tak — potwierdził porucznik Harrison. Służył w Pierwszym Skrzydle Operacji Specjalnych i, teoretycznie rzecz biorąc, odpowiadał za tego *Night Hawka*, choć teraz był bardzo zadowolony, że ma tak świetnego nauczyciela jak Malloy.

— Właściwe wyregulowanie wszystkiego, to połowa sukcesu, kiedy się lata wiatrakiem

— ciągnął Malloy. — Temu tutaj można szeptać do ucha, a on będzie słuchał i robi, co trzeba.

— Zupełnie jak dobry karabin — zauważył Chin.

— Zgadza się, bosmanie — powiedział Malloy, unosząc kufel z piwem. — No dobrze, chłopcy, a co możecie mi powiedzieć o tych waszych dwóch operacjach?

— Chrześcijanie — Lwy, 10:1 — odpowiedział Stanley.

— Kogo straciliście?

— To było w Bernie. Zakładnik został zastrzelony, zanim przybyliśmy na miejsce.

— Nadgorliwy przeciwnik?



— Coś w tym rodzaju. — Clark skinął głową. — Głupio się pośpieszyli. Myślałem, że to po prostu bandyci, którzy napadli na bank, ale potem śledztwo wykazało powiązania z terroryzmem. Ale może rzeczywiście potrzebowali tylko gotówki. Doktor Bellow nie potrafił do końca określić, o co im naprawdę chodziło.

— Wszystko jedno. Tak czy inaczej to dranie i mordercy — powiedział Malloy. —

Pomagałem kiedyś szkolić paru pilotów FBI. Spędziłem kilka tygodni w Quantico z Zespołem Odbijania Zakładników. Dowiedziałem się wtedy trochę o aspektach psychologicznych. Bardzo ciekawe. Ten doktor Bellow, to może Paul Bellow, facet, który napisał te trzy książki?

— Ten sam.

— Mądry gość.

— I o to chodzi, pułkowniku — powiedział Stanley i uniósł rękę, żeby zamówić następną kolejkę.

— Ale ostatecznie trzeba o nich wiedzieć tylko jedno — oświadczył Malloy, wcielając się z powrotem w pułkownika Korpusu Piechoty Morskiej USA.

— Jak ich rozwalić — zgodził się starszy bosman Chin.

Bar „Pod Żółciem” stanowił nieodłączny element Columbus Avenue, między Sześćdziesiątą Ósmą a Sześćdziesiątą Dziewiątą Ulicą. Chętnie zaglądali tam zarówno stali mieszkańcy jak i turyści. Muzyka była głośna, ale nie za głośna, a wnętrze oświetlone, ale nie za bardzo. Alkohol był trochę droższy niż gdzie indziej, ale w cenę wliczona była atmosfera tego miejsca, zdaniem właściciela — bezcenna.

— Mieszkasz w pobliżu? — spytał mężczyzna, popijając rum z colą.

— Właśnie się tu przeprowadziłam — odpowiedziała, pociągając swojego drinka. —

Szukam pracy.

— Co umiesz?

— Chcę być sekretarką w firmie adwokackiej.

Roześmiał się. — Nie powinnaś mieć trudności ze znalezieniem zajęcia. Mamy tu więcej prawników niż taksówkarzy. Skąd jesteś?

— Des Moines, Iowa. Byłeś tam kiedyś?

— Nie, jestem tutejszy — skłamał. Urodził się trzydzieści lat temu w Los Angeles. —

Pracuję jako księgowy w firmie Peat Marwick. — To też było kłamstwo. Ale w końcu bar dla samotnych był miejscem, w którym nie mówiło się prawdy i wszyscy o tym wiedzieli. Kobieta wyglądała na jakieś dwadzieścia trzy lata, prosto po szkole dla sekretarek. Brązowe włosy i oczy, mogłaby zrzucić parę kilo, ale w sumie dość atrakcyjna, jeśli ktoś lubił niskie. Trzy drinki, które już wypila, żeby pokazać, że potrafi się znaleźć w Nowym Jorku, uderzyły jej niezłe do głowy.

— Byłaś już tu kiedyś?

— Nie, nigdy, a ty?

— Wpadam tu od paru miesięcy, fajnie jest, można poznać ciekawych ludzi. — Znów kłamstwo, ale w takim miejscu było to na porządku dziennym.

— Trochę za głośna muzyka — powiedziała.

— Gdzie indziej jest jeszcze gorzej. Mieszkasz gdzieś niedaleko?

— Trzy przecznice stąd. Wynajęłam kawalerkę. Czynnś da się wytrzymać. Moje meble mają tu dotrzeć za tydzień.

— Czyli tak naprawdę jeszcze się nie wprowadziłaś?

— Zgadza się.

— Cóż, witaj w Nowym Jorku. Jak się nazywasz?

— Anne Pretloe.

— Kirk Maclean. — Podali sobie ręce. Zatrzymał jej dłoń w swojej trochę dłużej niż trzeba, chciał, żeby oswoiła się z jego dotykiem, był to niezbędny warunek sympatii, jaką zamierzał w niej obudzić. Było mu to potrzebne. Kilka minut później poszli tańczyć, co znaczyło, że głównie objęli się w mroku o innych ludzi. Starał się ją oczarować, a ona uśmiechała się, unosząc głowę, żeby na niego spojrzeć. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. W innych okolicznościach mogłoby coś z tego wyjść, pomyślał Kirk. Ale nie tej nocy.

Wyszli razem, kiedy o drugiej nad ranem zamknięto bar. Teraz, po siedmiu drinkach, do których zjadła tylko parę orzeszków i krakersów, była już niezłe pijana. Kirk wypił tylko trzy drinki i zjadł mnóstwo orzeszków. — Odwiozę cię do domu, dobrze? — spytał, kiedy znaleźli się na chodniku.

— To tylko trzy przecznice.

— Annie, jest późno, a to Nowy Jork. Musisz się dopiero nauczyć, co jest bezpieczne, a co nie. Chodź. — Wziął ją za rękę i skręcił w najbliższą przecznicę. Jego BMW stało zaparkowane w połowie drogi na Broadway. Szarmancko otworzył przed nią drzwi, zamknął je, kiedy wsiadła, obszedł samochód dookoła i zajął miejsce za kierownicą.

— Musi ci się niezłe powodzić — powiedziała Anne Pretloe, rozglądając się po wnętrzu limuzyny.

— Nie narzekam. Wiesz, mnóstwo ludzi stara się unikać podatków. — Uruchomił silnik i ruszył, w niewłaściwym kierunku, ale wypięła trochę za dużo, żeby się zorientować. Skręcił w lewo, dojechawszy do Broadwayu i zaraz spostrzegł niebieską furgonetkę, zaparkowaną w ustronnym miejscu. Kiedy się zbliżył, mrugnął światłami, zwolnił i wcisnął guzik otwierający okna kierowcy i pasażera.

— Hej — powiedział — znam tego faceta.

— Co takiego? — spytała Anne Pretloe, nie bardzo wiedząc, gdzie są i dokąd jadą. Tak, czy inaczej było już za późno, żeby mogła cokolwiek zrobić.

— Cześć, Kirk — powiedział człowiek w kombinezonie, nachylając się do otwartego okna od strony pasażerki.

— Cześć, stary — odpowiedział Maclean i dał tamtemu znak uniesionym kciukiem.

Człowiek w kombinezonie schylił się i wsadził głowę do środka, wyciągając z rękawa niewielki aerozol. Nacisnął czerwony plastikowy przycisk i porcja rozpylonego eteru trafiła Annę Pretloe prosto w twarz. Zaskoczona i przerażona, szeroko otworzyła oczy, odwróciła się i przez dłuższą chwilę patrzyła na Kirka, a potem osunęła się bezwładnie.

— Ostrożnie, sporo wypięła.

— Nie ma sprawy. — Człowiek w kombinezonie stuknął ręką w burtę furgonetki i po chwili pojawił się obok niego jeszcze jeden mężczyzna. Rozejrzał się, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma wozów policyjnych, otworzył drzwi BMW, wziął Annę Pretloe na ręce i zaniósł

jej bezwładne ciało do furgonetki, gdzie dołączyła do leżącej już tam innej młodej kobiety, poderwanej nieco wcześniej przez innego pracownika firmy. Maclean ruszył nie zamykając okien, żeby pęd powietrza rozwiał opary eteru. Wjechał na autostradę West Side, kierując się na północ, na most Waszyngtona. Dobrze jest, załatwił dwie dziewczyny, a inni powinni już mieć w sumie sześć następnych. Jeszcze dwie i mogli zakończyć tę najbardziej niebezpieczną fazę operacji.

# Infrastruktura

Adwokat zatelefonował pod podany numer i nie zdziwił się, kiedy poproszono go, żeby przyszedł na śniadanie do restauracji. Tam mężczyzna w wieku około czterdziestu lat zadał mu kilka prostych pytań, po czym pożegnał się, zanim jeszcze do ich stolika podjechał wózek z deserami. Na tym kończył się udział prawnika w tym wszystkim. Zapłacił rachunek gotówką i wrócił do swego biura. Cały czas nurtowało go pytanie, co właściwie zrobił, do czego przyłożył

rękę? Odpowiedź była prosta: nie miał pojęcia. Było to dla niego intelektualnym odpowiednikiem prysznica po całym dniu ciężkiej pracy fizycznej i choć ostatecznie nie dawało aż takiej satysfakcji, to przecież był prawnikiem, przyzwyczajonym do zmiennych kolei losu.

Jego rozmówca po wyjściu z restauracji skierował się do metra. Przesiadał się trzykrotnie, zanim wreszcie zdecydował się na linię, której trasa przebiegała koło jego domu, w pobliżu parku, znanego z prostytutek, oferujących swe wdzięki mężczyznom w przejeżdżających samochodach. Oto najlepszy przykład, do czego prowadzi ustrój kapitalistyczny, pomyślał, mimo że tradycje tej profesji sięgały czasów o wiele wcześniejszych niż początki obecnego systemu ekonomicznego. Kobiety wypatrywały klientów jak sępy padliny, stojąc w swych kusych spódniczkach, uszytych tak, żeby łatwo je było ściągnąć. Po co tracić niepotrzebnie czas?

Odwrócił się i poszedł do swojego mieszkania. Jeśli dobrze pójdzie, pozostali powinni już tam na niego czekać. Czekali. Jeden z nich zdążył nawet zaparzyć kawę.

— To się musi skończyć — powiedziała Carol Brightling, chociaż wiedziała, że i tak się nie skończy.

— Jasne, pani doktor — powiedział jej gość, popijając kawę. — Ale jak, u diabła, chce go pani do tego przekonać?

Na stoliku do kawy rozłożyła mapę. Na wschód od zatoki Prudhoe na Alasce ciągnęła się tundra. Tysiące kilometrów kwadratowych tundry. A teraz geolodzy z British Petroleum i Atlantic Richfield — tych dwóch firm, które eksploatowały alaskański Północny Stok, wybudowały rurociąg i tym samym przyczyniły się do katastrofy spowodowanej przez „Exxon Valdez”[11] — poinformowali oficjalnie o odkryciu następnego złoża. Nazwano je AAMP. Było co najmniej dwa razy większe od Północnego Stoku. Ich raport, opatrzony jeszcze sygnaturą POUFNE, ale znany już w branży, dotarł do Białego Domu tydzień wcześniej, wraz z potwierdzającymi go danymi United States Geological Survey, agencji federalnej, zajmującej się tą samą dziedziną. Geolodzy załączyli opinię, z której wynikało, że pole naftowe ciągnęło się daleko na wschód, poza granicę kanadyjską. Mogli tylko zgadywać, jak daleko, ponieważ Kanadyjczycy jeszcze nie rozpoczęli własnych poszukiwań. W streszczeniu zawarty był wniosek, że zasoby ropy w tym złożu mogą być równie wielkie jak w Arabii Saudyjskiej, chociaż transport byłby o wiele trudniejszy... gdyby nie to — głosił raport — że istniejący już rurociąg transalaskański przebiegał w odległości zaledwie kilkuset kilometrów od nowego złoża. Budowa odgałęzienia nie wyrządziłaby żadnych poważniejszych szkód środowisku naturalnemu —

brzmiała arogancka konkluzja autorów raportu.

— Jasne, a katastrofa tego cholernego tankowca nigdy się nie wydarzyła — mruknęła doktor Brightling, pijąc swą poranną kawę. Katastrofa, która zabiła tysiące dzikich ptaków i setki fok, która zanieczyściła setki kilometrów kwadratowych plaż na dziewiczym wybrzeżu.

— Byłoby straszne, gdyby Kongres się na to zgodził. Mój Boże, Carol, pomyśl o tych wszystkich karibu, ptakach, drapieżnikach. Są tam niedźwiedzie polarne, brunatne i grizzly.

Środowisko jest tak delikatne, jak nowo narodzone dziecko. Nie wolno nam dopuścić, żeby weszły tam firmy naftowe!

— Wiem, Kevin. — Carol Brightling skinęła głową.

— Szkód nigdy nie dałoby się naprawić. Wieczna zmarzlina — na całej Ziemi nie ma nic bardziej delikatnego — ciągnął prezes Klubu Sierra, wyraźnie wzburzony. — Jesteśmy to winni sobie samym i naszym dzieciom — jesteśmy to winni naszej planecie! Projekt tej ustawy należy odrzucić za wszelką cenę! Nie obchodzi mnie, po jakie środki trzeba będzie sięgnąć! Musisz przekonać prezydenta, że nie wolno mu tego poprzeć! Nie możemy pozwolić, by dokonano takiego gwałtu na środowisku!

— Kevin, musimy podejść do tego bardzo rozważnie. Dla prezydenta to kwestia równowagi bilansu płatniczego. Własna ropa oznacza, że nie trzeba jej kupować od innych krajów. Prezydent wierzy firmom naftowym, kiedy mówią, że wydobywają i transportują ropę, nie wyrządzając większych szkód środowisku naturalnemu i że potrafią naprawić wszelkie szkody, jakie mogłyby wyrządzić niechcący.

— Gówno prawda i dobrze o tym wiesz, Carol. — Kevin Myflower nie ukrywał pogardy dla firm naftowych. Ten ich cholerny rurociąg był krwawiącą raną Alaski, wstrętą, stalową linią, przecinającą zygzakiem najpiękniejszą krainę na Ziemi. Był obrazą dla natury — i w imię czego?

Żeby ludzie mogli jeździć samochodami, jeszcze bardziej zanieczyszczając środowisko, bo są zbyt leniwi, żeby chodzić do pracy pieszo, jeździć konno, czy na rowerach. Myflower nie zastanawiał się nad tym, że do Waszyngtonu przyleciał samolotem, zamiast przemierzyć kraj wszerz na jednym ze swych koni rasy Apaloosa, i że jego wynajęty samochód stał w tej chwili zaparkowany na West Executive Drive. Pomyślał, że firmy naftowe wszędzie pozostawiają po sobie ruiny. Brudzą. Ranią Ziemię, wydobywają wszystko, co uważają za cenne surowce naturalne, czy to ropę, czy gaz ziemny, gdzie tylko na nie natrafiają, ryjąc w ziemi, wierząc głębokie dziury, a czasem dopuszczając do wycieków, z niewiedzy i dlatego, że nie potrafią uszanować świętości planety, która przecież należy do wszystkich i powinna mieć odpowiedniego gospodarza. Takiemu gospodarzowi są oczywiście potrzebne odpowiednie wytyczne i na tym właśnie polegała rola Klubu Sierra i innych podobnych ugrupowań. Trzeba mówić ludziom, jak ważna jest Ziemia, z jakim szacunkiem należy ją traktować. Dobrze, że rozumiała to Carol Brightling — prezydencki doradca do spraw naukowych — i że pracowała w Białym Domu, mając dostęp do prezydenta.

— Carol, chcę, żebyś poszła prosto do Gabinetu Owального i powiedziała mu, co trzeba zrobić.

— To nie takie proste, Kevin.

— Dlaczego nie, do diabła? Przecież nie jest aż taki tępy.

— Czasem ma odmienny punkt widzenia, a firmy naftowe są bardzo przebiegłe. Spójrz na ich propozycję — powiedziała, stukając palcem w raport na biurku. — Obiecują gwarancje bezpieczeństwa, są gotowe przeznaczyć miliard dolarów na naprawę ewentualnych szkód. Na Boga, Kevin, proponują nawet Klubowi Sierra miejsce w radzie, mającej nadzorować realizację programów ochrony środowiska naturalnego!

— I, oczywiście, większość miejsc w takiej radzie obstawiliby swoimi ludźmi! Nie skaperują nas w ten sposób! — parsknął Myflower. — Żadnemu z moich ludzi nie pozwolę uczestniczyć w tym gwałcie i na tym koniec!

— Ale jeśli powiesz to głośno, firmy naftowe okrzykną cię ekstremistą i cały ruch obrońców środowiska zepchną na margines. Kevin, do tego też nie wolno dopuścić!

— Do diabła z nimi! Carol, jeśli się w coś wierzy, to trzeba mieć odwagę o to walczyć. I będziemy walczyć. Pozwoliliśmy już tym brudnym sukinsynom na wiercenia w zatoce Prudhoe, ale na tym koniec!

— A co na to powie reszta zarządu twojego klubu? — spytała doktor Brightling.

— Powiedzą dokładnie to, co im każe!

— Nie, Kevin, nie powiedzą. — Carol odchyliła się na krześle i przetarła oczy.

Poprzedniej nocy przeczytała cały ten raport i doszła do przekonania, że firmy naftowe zrobiły się, niestety, cholernie cwane w sprawach środowiska. Leżało to zresztą w ich własnym interesie.

„Exxon Valdez” kosztował je furę pieniędzy, nie mówiąc już o utracie zaufania opinii publicznej.

Trzy strony raportu były poświęcone problematyce poprawy bezpieczeństwa tankowców.

Obecnie statki odbijające spod ogromnego terminalu naftowego w Valdez na Alasce miały eskortę holowników przez całą drogę na otwarty ocean. Dwadzieścia specjalistycznych statków do walki z zanieczyszczeniami pozostawało w stałej gotowości, a w rezerwie było ich jeszcze więcej. Na wszystkich tankowcach zainstalowano nowoczesne systemy nawigacyjne, lepsze nawet od tych na atomowych okrętach podwodnych. Oficerowie nawigacyjni musieli co sześć miesięcy sprawdzać swoje umiejętności na symulatorach. Wszystko to oczywiście kosztowało masę pieniędzy, ale i tak było o wiele tańsze niż likwidowanie skutków następnego wielkiego wycieku ropy. W serii filmów reklamowych rozpropagowano wszystkie te przedsięwzięcia w telewizji. Najgorsze było to, że programy telewizji kablowej i satelitarnej, przeznaczone dla inteligentnych widzów — History, Learning, Discovery i A&E — którym firmy naftowe sponsorowały ambitne materiały o życiu dzikich zwierząt w Arktyce, w ogóle nie nawiązywały do zniszczeń, powodowanych przez wydobywanie ropy, nadając zamiast tego mnóstwo filmów o swobodnych wędrówkach karibu i innych zwierząt pod poprowadzonymi górą odcinkami rurociągu. Bardzo sprytnie, pomyślała. Ludziom trafiało to do przekonania, nawet członkom zarządu Klubu Sierra.

Nie mówiono natomiast, choć ona sama i Myflower doskonale zdawali sobie z tego sprawę, że kiedy już ropę bezpiecznie wydobyto i bezpiecznie przetransportowano monstrualnym rurociągiem, a potem dalej, przez ocean, również bezpiecznie w supertankowcach z podwójnymi kadłubami, rozpoczęła się zanieczyszczanie powietrza spalinami z rur wydechowych samochodów osobowych i ciężarówek oraz z kominów elektrociepłowni. Czyli i tak wszystkim robiono w konia, a ubolewania Kevina nad wieczną zmarzliną brzmiały przy tym żałośnie. W

końcu, jaki obszar byłby narażony na poważne szkody? Zapewne nie więcej niż dziesięć, może dwadzieścia akrów, a firmy naftowe zleciłyby produkcję kolejnych filmów reklamowych, pokazujących, jak się usuwa takie szkody. I znów nie wspomniano by ani słowem o tym, jak spalanie produktów rafinacji ropy naftowej zanieczyszcza środowisko naturalne!

Przeciętnego Amerykanina, oglądającego w telewizji mecze futbolowe, w ogóle to przecież nie interesowało. W samych Stanach Zjednoczonych było ponad sto milionów pojazdów z silnikami spalinowymi, i wszystkie zanieczyszczały powietrze. To był prawdziwy problem. Jak można było powstrzymać takie zatrucie planety? Cóż, są sposoby, pomyślała.

— Kevin, zrobię, co będę mogła — obiecała. — Doradzę prezydentowi, żeby nie popierał tego projektu.

Był to projekt legislacyjny S-1768, wniesiony przez senatorów z Alaski, którzy już od dawna siedzieli w kieszeni firm naftowych. Przewidywał upoważnienie Departamentu Spraw Wewnętrznych do zorganizowania przetargu na prawo do wierceń na obszarze AAMP. W grę wchodziły ogromne pieniądze, zarówno dla rządu federalnego jak i dla stanu Alaska. Nawet rdzenni mieszkańcy Alaski będą skłonni przymknąć oko. Za pieniądze, jakie zapewni ropa, będzie można kupić mnóstwo skuterów śnieżnych, tak przydatnych do polowań na karibę, oraz łodzi motorowych do polowań na wieloryby. Wprawdzie skutery śnieżne nie były potrzebne w czasach paczkowanej wołowiny z Iowa, ale Indianie byli przywiązani do swych tradycji łowieckich, choć nie do tradycyjnych metod. Smutne to, że nawet ci ludzie byli gotowi złożyć swą historię i swych bogów w ofierze na ołtarzu nowoczesnego, mechanistycznego kultu ropy naftowej i produktów jej rafinacji. Obaj senatorzy z Alaski niewątpliwie sprowadzą starszyzną plemienną, żeby podczas przesłuchań w Kongresie poparła S-1768 i opinii publicznej trafi to do przekonania, bo w końcu kto wie lepiej niż rdzenni Amerykanie, jak żyć w harmonii z naturą?

Tyle że dzisiaj ci rdzenni Amerykanie korzystali ze skuterów śnieżnych Ski-Di, silników Johnsona do swoich łodzi i sztucerów Winchestera do polowań... Westchnieniem skwitowała to szaleństwo.

— Posłucha cię? — spytał Myflower, wracając do tematu. W końcu nawet obrońcy środowiska musieli się obracać w świecie realnej polityki.

— Mam być szczerą? Prawdopodobnie nie — przyznała Carol Brightling.

— Wiesz — powiedział cicho Kevin — czasem rozumiem Johna Wilkesa Booth[12].

— Kevin, nie słyszałam tego, a ty nic takiego nie powiedziałeś. Nie tutaj. Nie w tym gmachu.

— Do cholery, Carol, wiesz, co czuję. I wiesz, że mam rację. Jak, do diabła, mamy chronić tę planetę, jeśli idiotów, którzy rządzą światem, gównem ten świat obchodzi?

— Co chcesz powiedzieć? Że *homo sapiens* jest pasożytniczym gatunkiem, który szkodzi Ziemi i jej ekosystemom? Że nie ma tu dla nas miejsca?

— Nie powinno być dla większości z nas. To niezaprzeczalny fakt.

— Możliwe, ale co możesz na to poradzić?

— Nie wiem — musiał przyznać Myflower.

Niektórzy z nas wiedzą, pomyślała Carol Brightling, patrząc w jego smutne oczy. Ale czy ty już do tego dojrzałeś, Kevin? Doszła do wniosku, że tak, ale rekrutacja zawsze była kłopotliwa, nawet w wypadku ludzi z takimi przekonaniem jak Kevin Myflower...

Budowa była ukończona w jakichś dziewięćdziesięciu procentach. Cała posiadłość została podzielona na dwadzieścia sekcji o powierzchni nieco ponad dwa i pół kilometra kwadratowego każda. Teren był płaski, nieco nachylony, czteropasmowa szosa, po której poruszało się teraz wiele samochodów ciężarowych, prowadziła na północ, do autostrady nr 70.

Ostatni, trzykilometrowy odcinek szosy nie miał bariery oddzielającej pasma ruchu.

Nawierzchnia była tu wykonana z grubego na osiemdziesiąt centymetrów, zbrojonego betonu.

Kierownik budowy pomyślał, że mogłyby tu lądować samoloty, nawet te największe. Przy szosie znajdował się wielki parking, z równie masywną nawierzchnią. Kierownika niezbyt to jednak obchodziło, nigdy nawet nie wspominał o tym w swoim klubie w Salina.

W samych budynkach nie było nic szczególnego, z wyjątkiem systemów klimatyzacyjnych, tak nowoczesnych, że Marynarka z powodzeniem mogłaby je zastosować na swych atomowych okrętach podwodnych. Te systemy były wizytówką firmy, powiedział mu prezes, kiedy zajrzał ostatnio na budowę. Było ich tradycją, że starali się wybiegać w przyszłość, wyprzedzać innych, a poza tym, to, czym się zajmowali wymagało dbałości o każdy szczegół.

Nie produkuje się szczepionek pod gołym niebem. Nawet mieszkania personelu i biura były wyposażone w te systemy. Kierownik pomyślał, że to, łagodnie mówiąc, co najmniej dziwne.

Każdy budynek był podpiwniczony — miało to sens w tym rejonie, często nawiedzanym przez tornada, chociaż mało kto zwracał tym sobie głowę, częściowo z lenistwa, a częściowo dlatego, że Kansas znane było z twardego, utrudniającego wszelkie roboty ziemne gruntu, który orano tylko powierzchniowo, żeby uprawiać pszenicę. To też było ciekawe — zamierzali w dalszym ciągu uprawiać ziemię na prawie całym terenie. Pszenica ozima była już zasiana. Trzy kilometry dalej znajdowało się centrum rolnictwa, do którego prowadziła osobna, dwupasmowa droga.

Mieli tam najlepsze, najnowocześniejsze maszyny rolnicze, jakie kiedykolwiek widział, nawet w rejonach, w których uprawianie pszenicy było czymś w rodzaju sztuki.



W sumie cały ten projekt kosztował trzysta milionów dolarów. Budynki były ogromne —

kierownik pomyślał, że można by w nich spokojnie zakwaterować pięć, sześć tysięcy ludzi. W

biurowcu przewidziano miejsce na szkołę. Mieli własną elektrownię, obok której znajdowały się ogromne zbiorniki, do połowy wkopane w ziemię dla ochrony przed wichurami i połączone rurociągiem z hurtownią paliw obok autostrady w Kanopolis. Mimo że na terenie posiadłości znajdowało się jezioro, wywiercono aż dziesięć studni artezyjskich, wchodząc głęboko w formację wodonośną, z której miejscowi rolnicy nawadniali swoje pola, a nawet jeszcze głębiej.

Do diabła, mieli dość wody, żeby zaspokoić potrzeby małego miasteczka. Ale nie narzekał —

firma płaciła za wszystko, a on dostawał procent od łącznych kosztów robocizny, jeśli prace przebiegały zgodnie z harmonogramem. Obiecano mu ponadto sowitą premię za ukończenie wszystkiego przed terminem i był zdecydowany zarobić na nią. Spędził już na tej budowie dwadzieścia pięć miesięcy i pozostały mu jeszcze dwa. Pomyślał, że poradzi sobie, zainkasuje premię, po czym wybierze się z rodziną na dwa tygodnie do Disneylandu, na Myszkę Miki i golfa. Były tam fantastyczne pola golfowe, a on bardzo chciał znów wziąć kij do ręki i pograć trochę, po dwóch latach pracy przez siedem dni w tygodniu.

Premia miała być tak wysoka, że przez następnych parę lat nie będzie musiał pracować.

Wyspecjalizował się w realizacji wielkich projektów. Wybudował już dwa drapacze chmur w Nowym Jorku, zakłady petrochemiczne w Delaware, park rozrywki w Ohio i dwa wielkie osiedla mieszkaniowe, zyskując sobie opinię faceta, który potrafi ukończyć budowę przed terminem i poniżej preliminowanych kosztów — niezła reputacja w tej branży. Zaparkował swego dżipa Cherokee i zajrzał do notatek, sprawdzając, co pozostało do zrobienia tego popołudnia. Tak, próba szczelności okien w budynku numer 1. Powiadomił przez telefon komórkowy, że zaraz tam będzie i ruszył pasem startowym, jak nazywał ten odcinek szosy, do którego dochodziły pozostałe drogi dojazdowe. Pamiętał czasy, kiedy był inżynierem drogowym w Siłach Powietrznych. Trzy kilometry długości, nawierzchnia gruba prawie na metr — tak, gdyby ktoś chciał, mógłby tu wylądować *Boeingiem 747*. Cóż, firma miała własne samoloty *Gulfstream*, więc dlaczego nie miałyby lądować tutaj, zamiast na małym lotnisku koło Ellsworth? A jeśli kiedyś sprawią sobie *Jumbo Jeta*, to z lądowaniem tutaj też nie będzie problemu, pomyślał

rozbawiony. Trzy minuty później był już przed budynkiem numer 1. Ukończyli go na trzy tygodnie przed terminem i teraz pozostała już tylko kontrola szczelności. Doskonale. Wszedł

obrotowymi drzwiami — były niezwykle masywne — które natychmiast się za nim zamknęły.

— Gotowi, Gil?

— Tak jest, panie Hollister.

— No to zaczynamy — polecił Charlie Hollister.

Gil Trains nadzorował wszystkie systemy środowiskowe w ramach tego projektu. Służył

kiedyś w Marynarce i odznaczał się pedantycznym usposobieniem. Teraz osobiście sięgnął do tablicy rozdzielczej na ścianie. Wzrostowi ciśnienia nie towarzyszył najmniejszy hałas.

Urządzenia znajdowały się za daleko, by można je było usłyszeć, ale efekt ich pracy odczuli niemal natychmiast. Podchodząc do Gila, Hollister czuł zwiększone ciśnienie w uszach, jakby zjeżdżał stromą, górską drogą. W uszach coś trzeszczało i trzeba było poruszać zuchwą, żeby ciśnienie mogło się wyrównać.

— Trzyma?

— Jak dotąd, wszystko w porządku — odpowiedział Trains. — Pięćdziesiąt dwa milibary ponad ciśnienie atmosferyczne i trzyma. — Nie spuszczał wzroku ze wskaźników na tablicy rozdzielczej.

— Wiesz, co mi to przypomina, Charlie?

— Co?

— Sprawdzanie wodoszczelności okrętu podwodnego. Ta sama metoda, zwiększa się ciśnienie w poszczególnych przedziałach.

— Naprawdę? Mnie się to kojarzy z czymś, co robiłem kiedyś w Europie, w bazach Sił Powietrznych.

— A co to było? — zainteresował się Gil.

— Utrzymywanie zwiększonego ciśnienia w kwaterach pilotów, żeby gaz nie mógł się dostać do środka.

— Ciekawe. Znaczy, że ta metoda ma różne zastosowania. Ciśnienie trzyma.

Powinno, do cholery, pomyślał Hollister. To była piekielna harówka. Trzeba było sprawdzić każde pieprzone okno, upewnić się, że jest zabezpieczone winylowymi uszczelkami.

Na szczęście okien nie było zbyt wiele. Trochę go to nawet dziwiło. Widoki były tu takie piękne.

Po co je zasłaniać?

Zgodnie ze specyfikacją, budynek musiał być absolutnie szczelny przy nadciśnieniu do dziewięćdziesięciu milibarów. Powiedzieli mu, że ma to być ochroną na wypadek tornada i pomyślał, że coś w tym jest, zwłaszcza w połączeniu z wysokowydajnymi systemami klimatyzacji. Ale istniało ryzyko wystąpienia syndromu „chorego budynku”. W gmachach szczególnie dobrze odizolowanych od otoczenia wirusy grypy rozwijały się w idealnych warunkach i choroba szerzyła się jak pożar prairii. Cóż, zapewne właśnie o to chodziło. Firma zamierzała tu produkować leki,

szczepionki i tak dalej, co oznaczało, że to miejsce przypominało fabrykę broni biologicznej. W tej sytuacji absolutna szczelność była potrzebna — nic nie powinno wydostać się na zewnątrz, ani dostać do środka. Dziesięć minut później mieli pewność, że wszystko jest w porządku. Instrumenty pomiarowe w całym budynku informowały, że system utrzymywania podwyższonego ciśnienia jest sprawny — i to już przy pierwszej próbie. Ci, którzy pracowali przy oknach i drzwiach, zasłużyli na premię.

— Doskonale to wygląda, Gil. Trzymaj się, muszę jeszcze zajrzeć do centrum łączności.

— Obiekt dysponował między innymi imponującym zestawem systemów łączności satelitarnej.

— Wyjdź przez służbę powietrzną — upomniał go Trains.

— Zobaczymy się później — powiedział kierownik wychodząc.

— Trzymaj się, Charlie.

Nie było to przyjemne. Mieli teraz jedenastu zdrowych ludzi — osiem kobiet i trzech mężczyzn, oczywiście osobno. Właściwie było to o jedną osobę za dużo, ale jak już się kogoś porwało, nie można go było tak po prostu wypuścić. Zabrano im ubrania — niektórych rozebrano, kiedy jeszcze byli nieprzytomni — zastępując je dwuczęściowymi strojami, przypominającymi trochę więzienne pasiaki, chociaż uszyto je z nieco lepszego materiału.

Bielizna była zabroniona — zdarzało się, że kobiety w więzieniu potrafiły popełnić samobójstwo, wieszając się na biustonoszach, a tego tutaj nie chcieli. Kapcie na nogi. Jedzenie solidnie przyprawione Valium, które uspokajało trochę „pacjentów”, ale nie za bardzo. Przedawkowanie środka uspokajającego było niewskazane, bo mogłoby wypaczyć wyniki testu, a do tego również nie wolno było dopuścić.

— Co to wszystko znaczy? — spytała jedna z kobiet podniesionym głosem, kierując to pytanie do doktor Archer.

— To test medyczny — odpowiedziała Barbara, wypełniając formularz. — Zgłosiła się pani na ochotnika, pamięta pani? Płacimy wam za to, a kiedy skończymy, będziecie mogli wrócić do domu.

— Kiedy ja się na to zgodziłam?

— W zeszłym tygodniu — powiedziała jej doktor Archer.

— Nie pamiętam.

— Cóż, mamy pani zgodę na piśmie, z własnoręcznym podpisem. I musi pani przyznać, że zapewniamy tu dobrą opiekę, czyż nie tak?

— Cały czas czuję się jak odurzona.

— To normalne — zapewniła ją doktor Archer. — Nie ma się czym przejmować.

Miała numer K4 i była sekretarką w kancelarii adwokackiej, podobnie jak trzy inne uczestniczki testu. Doktor Archer była tym trochę zaniepokojona. Co by było, gdyby prawnicy, u których te kobiety pracowały, zgłosili ich zaginięcie na policji? Wymówienia, z doskonale podrobionymi podpisami, zostały wysłane do wszystkich pracodawców, wraz z wiarygodnymi wyjaśnieniami. Powinni dzięki temu zyskać trochę na czasie. Poza tym, same porwania zostały przeprowadzone wręcz wzorowo, a tutaj nikt z nikim nie będzie przecież o tym rozmawiał.

K4 była naga. Siedziała na wygodnym, przykrytym ręcznikiem krześle. Dość atrakcyjna, chociaż mogłaby zrzucić parę kilo, pomyślała Archer. Badanie lekarskie nie wykazało niczego niezwykłego. Ciśnienie krwi w normie. Trochę za wysoki poziom cholesterolu, ale nie taki, żeby trzeba się było martwić. Była normalną, zdrową, dwudziestosześcioletnią kobietą. W rubryce

„przebyte choroby” doktor Archer też nie wpisała nic szczególnego. Oczywiście, nie była już dziewicą — w ciągu dziewięciu lat aktywności seksualnej miała dwunastu kochanków. Aborcja w wieku dwudziestu lat, przeprowadzona przez ginekologa. Od tego czasu praktykowała tylko bezpieczny seks. Miała obecnie kogoś, ale wyjechał z miasta na parę tygodni w sprawach służbowych, a poza tym podejrzewała, że w jego życiu była inna kobieta.

— W porządku, Mary, to już chyba wszystko. — Archer wstała i uśmiechnęła się. —

Dziękujemy pani za współpracę.

— Mogę się już ubrać?

— Chcielibyśmy, żeby pani przedtem jeszcze coś dla nas zrobiła. Proszę przejść przez te zielone drzwi. Znajduje się za nimi komora mgłowa. Poczujecie przyjemny chłód. Ubranie znajdziecie po drugiej stronie.

— W porządku. — K4 wstała i zrobiła, o co ją poproszono. Znalazła się w zupełnie pustym pomieszczeniu i stała w nim, trochę zdziwiona, przez kilka sekund. Poczowała, że jest gorąco, ponad trzydzieści stopni. Nagle z niewidocznych dysz w ścianach zaczęła się wydobywać... mgła, czy coś w tym rodzaju. Od razu zrobiło jej się chłodniej. Trwało to około dziesięciu sekund, po czym drzwi po drugiej stronie otwarły się. Dalej, tak jak jej powiedziano, była przebieralnia. Założyła swój zielony, dwuczęściowy strój i wyszła na korytarz, gdzie strażnik wskazał jej ręką następne drzwi — strażnicy nigdy nie podchodzili bliżej niż na trzy metry — za którymi była sala ogólna dla kobiet. Śniadanie już czekało. Posiłki były tu smaczne, a po jedzeniu zawsze robiła się senna.

— Źle się czujesz, Pete? — spytał doktor Killgore w innej części budynku.

— To musi być grypa albo co. Łamie mnie w kościach i niczego nie mogę utrzymać w żołądku. — Nawet wody. Tego już nie powiedział, ale dla takiego alkoholika, musiało to być szczególnie frustrujące. Z wódką nie miał nigdy przedtem takich problemów.

— Zaraz zobaczymy, co ci dolega. — Killgore założył maskę na twarz i lateksowe rękawiczki. — Muszę ci pobrać krew. Zgoda?

— Pewnie, doktorze.

Killgore, jak zwykle bardzo ostrożnie, wkłuł się w żyłę nad zgięciem łokcia i napełnił

cztery próbówki po pięć centymetrów sześciennych każda. Potem zajrzał Pete'owi w oczy, do gardła i obmacał mu brzuch. Kiedy nacisnął go w okolicy wątroby, pacjent zareagował.

— Au! Boli, doktorze!

— Bardzo? Nie wyczuwam większych zmian w stosunku do poprzedniego badania, Pete.

Możesz opisać ból? — spytał. Wątroba, jak u większości alkoholików, była pod jego palcami twarda i powiększona.

— Jakby mnie ktoś dźgnął nożem, doktorze. Naprawdę boli.

— Przepraszam, Pete. A tutaj? — spytał lekarz, uciskając brzuch trochę niżej palcami obu rąk.

— Trochę boli, ale nie tak ostro. Może zjadłem coś nieświeżego?

— Może. Nie przejmuj się — odpowiedział Killgore. W porządku, objawy wystąpiły kilka dni wcześniej niż oczekiwał, ale z drobnymi odchyleniami zawsze trzeba się liczyć. Pete był jednym ze zdrowszych pacjentów, ale przecież o żadnym alkoholiku nie można powiedzieć, że jest zdrowy. A więc Pete odejdzie jako drugi. Masz pecha, Pete, pomyślał Killgore. — Dam ci coś, po czym powinieneś się poczuć lepiej.

Doktor odwrócił się i wysunął szufladę z regału. Pięć miligramów, pomyślał, napełniając plastikową strzykawkę. Tym razem wkłuł się w żyłę na zewnętrznej części dłoni.

— Och! — powiedział Pete po kilku sekundach. — Jak dobrze. Już mi o wiele lepiej, doktorze, dziękuję. — Szeroko otworzył załzawione oczy i odprężył się.

Heroina była doskonałym środkiem przeciwbólowym. Co więcej, w pierwszej chwili wprawiała człowieka w euforię, a potem utrzymywała go przez kilka godzin w stanie przyjemnego ośpienia. Przez jakiś czas Pete na nic nie będzie się skarżał. Killgore pomógł mu wstać i odesłał go z powrotem, po czym zajął się badaniem próbek krwi. Po trzydziestu minutach miał już pewność. Testy na obecność przeciwciał były w dalszym ciągu pozytywne, a badanie mikroskopowe wykazało, że przeciwciała walczą... i przegrywają.

Zaledwie dwa lata temu próbowano zarazić Amerykę naturalną odmianą tego zarazka,

„pastorałem”, jak ktoś go nazwał. Ten jednoniciowy — negatywny — RNA-wirus[13] został

trochę zmodyfikowany w laboratorium inżynierii genetycznej przez dodanie DNA komórek rakowych, aby uczynić go bardziej odpornym. Dostał jakby płaszcz przeciwdeszczowy. Ale najlepsze było to, że dzięki inżynierii genetycznej okres latencji wirusa wydłużył się ponad trzykrotnie. Pierwotnie wynosił cztery do dziesięciu dni, obecnie — miesiąc. Maggie rzeczywiście się na tym znała, a w

dotatku wybrała bardzo trafną nazwę. Sziwa był rzeczywiście złośliwym, małym sukinsynem. Zabił Chestera — no, właściwie to zrobił to potas, ale Chester i tak był już umierający — a teraz zaczął zabijać Pete'a. Dla tej drugiej ofiary nie będzie ulgi w cierpieniach. Pete będzie żył aż do chwili, kiedy zabije go Sziwa. Stan jego zdrowia był tak zbliżony do normalnego, że będzie można sprawdzić, jaki efekt na Sziwę (który był jedną z odmian osławionego wirusa Ebola) będzie mieć przyzwoite leczenie wspomagające.

Prawdopodobnie żadnego, ale musieli uzyskać pewność. Pozostało dziewięciu uczestników wstępnego testu. Dopiero jedenaście osób na drugim końcu budynku zostanie poddanych właściwemu testowi. Wszystkie były zdrowe, a przynajmniej tak sądzono. Przetestuje się na nich zarówno metodę zarażania, jak i skuteczność Sziwy, a także przydatność szczepionek, które Steve Berg wyizolował w zeszłym tygodniu.

Doktor Killgore zrobił już wszystko, co zaplanował na ten dzień. Wyszedł z budynku.

Wieczór był chłodny, powietrze czyste — no, na tyle, na ile było to możliwe w tej części świata.

W tym kraju było sto milionów pojazdów samochodowych i wszystkie wyrzucały do atmosfery złożone węglowodory. Killgore zastanawiał się, czy będzie w stanie wyczuć różnicę za dwa, trzy lata, kiedy już się to wszystko skończy. W świetle latarni zobaczył machające skrzydłami nietoperze. Sprawilo mu to przyjemność, bo rzadko się je widywało. Z pewnością polują na owady. Żałował, że nie może usłyszeć dźwięków o wysokiej częstotliwości, które wysyłały jak radar, żeby namierzyć i przechwycić łup.

Ptaki też tu powinny być, zwłaszcza sowy, wspaniałe nocne drapieżniki, latające bezszelestnie dzięki swym miękko opierzonym skrzydłom. Potrafiły wlatywać do stodoł, gdzie łapały myszy, pożerały je, trawiły, a później zwracały kości swych ofiar. Killgore doszedł do wniosku, że dzikie drapieżniki są mu bliższe niż ich ofiary. Nie ma się czemu dziwić. Czuł się spokrewniony z drapieżnikami, tymi wspaniałymi, dzikimi stworami, które zabijały bez skrupułów, bo przecież Matka Natura nie wie, co to sumienie. Jedną ręką dawała życie, a drugą je odbierała. Niekończący się proces życia, który uczynił Ziemię tym, czym była. Człowiek od dawna robił wszystko, żeby tę Ziemię zmienić, ale teraz inni ludzie cofną te zmiany, szybko i dramatycznie, a on będzie to mógł obserwować. Wprawdzie nie doczeka czasów, kiedy z powierzchni Ziemi zaczną znikać blizny po zadanych jej kiedyś przez ludzi ranach, ale przypuszczał, że będzie żył dostatecznie długo, by zobaczyć najważniejsze zmiany.

Zanieczyszczanie środowiska ustanie niemal od razu. Zwierzęta nie będą więzione ani zatrutowane.

Niebo będzie błękitne, a na ziemi rozkwitnie życie, zgodnie z intencjami natury. A on sam i jego koledzy będą świadkami tej wspaniałej transformacji. Nawet jeśli cena będzie wysoka, rezultaty będą jej warte. Ziemia należy do tych, którzy potrafią ją zrozumieć i docenić. Żeby objąć ją w posiadanie, zamierzał nawet posłużyć się jedną z naturalnych metod, choć trochę zmodyfikowaną przez ludzi. Skoro ludzie mogli używać nauki i sztuki, żeby szkodzić światu, inni ludzie mogli to samo wykorzystać do naprawienia szkód. Chester i Pete nigdy by tego nie zrozumieli, ale przecież oni w ogóle niewiele rozumieli.

— Będą tam tysiące Francuzów — powiedział Juan. — Z tego połowa to dzieci. Jeśli chcemy uwolnić naszych towarzyszy, musimy strzelić z grubej rury.

— A dokąd udamy się potem? — spytał Renè.

— Dolina Bekaa jest wciąż dostępna, a stamtąd możemy już wyjechać, dokąd tylko będziemy chcieli. Mam nadal dobre kontakty w Syrii, ale są też inne możliwości.

— To cztery godziny lotu, a na Morzu Śródziemnym zawsze znajduje się któryś z lotniskowców amerykańskich.

— Nie zaatakują samolotu pełnego dzieci — powiedział z przekonaniem Esteban. —

Może nawet dadzą nam eskortę — dodał z uśmiechem.

— Do lotniska jest stamtąd tylko dwanaście kilometrów — przypomniał im André —

doskonałą, wielopasmową autostradą.

— Musimy zaplanować tę operację w najdrobniejszych szczegółach. Esteban, załatwisz tam sobie pracę. Ty też, André. Musimy wyszukać odpowiednie miejsca, a potem określić dzień i godzinę.

— Będzie nam potrzeba więcej ludzi. Co najmniej dziesięciu.

— To jest problem. Gdzie możemy znaleźć ludzi, na których można polegać? — spytał

Juan.

— Można wynająć *Sicarios*. Wystarczy obiecać im odpowiednio dużo pieniędzy —

powiedział Esteban.

— To muszą być lojalni ludzie — oświadczył Renè z naciskiem.

— Będą wystarczająco lojalni — powiedział Bask. — Wiem, gdzie ich szukać.

Wszyscy nosili brody. Było to najprostsze z możliwych przebrań — chociaż policja w różnych krajach dysponowała ich zdjęciami, były to zdjęcia młodych, ogolonych mężczyzn.

Przypadkowy przechodzień mógłby ich wziąć za artystów, sądząc po wyglądzie i sposobie, w jaki prowadzili rozmowę, szeptem, pochyleni do siebie nad stolikiem. Wszyscy byli ubrani dość przyzwoicie, ale nie przesadnie elegancko. Może dyskutują o polityce, albo o jakichś poufnych sprawach, pomyślał kelner, stojący około dziesięciu metrów od ich stolika. Nie mógł wiedzieć, że oba te przypuszczenia były słuszne. Kilka minut później zobaczył, że wstają, ściskają sobie ręce i rozchodzą się w różnych kierunkach. Należność położyli na stoliku, wraz z napiwkami, zresztą bardzo mizernym. Artyści, pokiwał głową kelner. Tacy nigdy nie mają pieniędzy.

— Ale przecież to może mieć katastrofalne skutki dla środowiska — obstawała przy swoim Carol Brightling.

— Carol — odpowiedział szef personelu Białego Domu — chodzi o bilans płatniczy.

Ameryka zaoszczędzi na tym jakieś pięćdziesiąt miliardów dolarów i bardzo nam się to przyda.

Wiem, że martwisz się o środowisko naturalne, ale prezes Atlantic Richfield osobiście mi obiecał, że będzie to czysta operacja. Przez ostatnie dwadzieścia lat wiele się nauczyli. Potrafią już po sobie sprzątać i potrafią przekonać o tym opinię publiczną.

— Był pan tam kiedyś? — spytała Carol Brightling.

— Nie. — Pokręcił głową. — Tylko przelatywałem nad Alaską.

— Proszę mi wierzyć, inaczej by pan do tego podchodził, gdyby zobaczył pan tę krainę na własne oczy.

— W Ohio są odkrywkowe kopalnie węgla. Widziałem je. I widziałem też, jak zasypywali te odkrywki po zakończeniu eksploatacji i sadzili tam drzewa. Do licha, na terenie jednej z tych kopalni jest teraz pole golfowe, na którym za dwa lata mają się odbyć mistrzostwa PGA[14]! Posprzątano tam, Carol. Wiedzą już, jak to robić, wiedzą też, że w sumie im się to opłaci, ekonomicznie i politycznie. A więc odpowiedź brzmi „nie”, Carol. Prezydent nie wycofa swego poparcia dla tego projektu. Wydobycie ropy z tamtego złoża będzie korzystne dla gospodarki amerykańskiej. — A poza tym, kto by się przejmował jakimś zadupiem, które widziało dotąd tylko kilkuset ludzi? — Tego już nie powiedział.

— Muszę porozmawiać z nim na ten temat osobiście — nalegała Carol Brightling.

— Nie. — Szef personelu zdecydowanie pokręcił głową. — Nie ma mowy. Nie na ten temat. Podważyłabyś jedynie swoją własną pozycję, Carol. To byłoby niemądre.

— Ale ja obiecałam!

— Komu?

— Klubowi Sierra.

— Carol, Klub Sierra nie wchodzi w skład administracji. My też dostajemy od nich listy.

Czytam je. W sprawach tego rodzaju ci ludzie stają się ekstremistami. Łatwo jest mówić „nic nie róbcie”; oni powtarzają to w kółko, od kiedy prezesem został Myflower.

— Kevin to przyzwoity człowiek. I inteligentny.

— Nie potrafiłabyś mi tego udowodnić, Carol — prychnął szef personelu. — Przecież to luddysta[15].



— Do cholery, Arnie, nie każdy, kto się z tobą nie zgadza, musi od razu być ekstremistą!

— Ten akurat jest. Klub Sierra sam się zniszczy, jeśli będą go trzymali na stołku prezesa.

— Zjrzał do terminarza. — Mam jeszcze mnóstwo pracy. Doktor Brightling, w tej kwestii ma pani popierać stanowisko administracji. To znaczy, że osobiście poprze pani ten projekt. W tym budynku może być tylko jedno stanowisko, takie, jakie zajmuje prezydent. To jest cena, jaką się płaci, będąc doradcą prezydenta, Carol. Masz wpływ na podejmowanie decyzji politycznych, ale kiedy już zapadną, popierasz je, czy ci się to podoba, czy nie. Będiesz mówiła publicznie, że twoim zdaniem wydobywanie stamtąd ropy jest dobre dla Ameryki i dla środowiska naturalnego.

Rozumiemy się?

— Nie, Arnie, nigdy tak nie powiem! — wybuchła Brightling.

— Powiesz, Carol. I to przekonywująco, tak, żeby bardziej umiarkowane grupy obrońców środowiska dostrzegły sens naszej argumentacji. Zakładając oczywiście, że nadal chcesz tu pracować.

— Grozisz mi?

— Nie, Carol, nie grozę. Wyjaśniam ci tylko, jakie są reguły gry. Musisz trzymać się tych reguł, tak samo jak ja i jak wszyscy inni. Pracując tutaj, musisz być lojalna wobec prezydenta.

Jeśli nie będziesz lojalna, nie będziesz mogła tu pracować. Wiedziałaś o tym, przychodząc tutaj.

Teraz nadszedł moment próby. Carol, będziesz przestrzegać reguł, czy nie?

Zaczerwieniła się pod makijażem. Szef personelu zorientował się, że nie umiała ukrywać gniewu. To niedobrze. Nie wolno wpadać w złość z powodu takich dupereli, nie na tym szczeblu.

Jeśli ktoś natrafia na coś tak cennego, jak kilka miliardów baryłek ropy w miejscu, które do niego należy, to wierci szyb, żeby tę ropę wydobyć. Po prostu. A wszystko staje się jeszcze prostsze, jeśli firmy naftowe obiecują, że nie będzie zniszczeń. I pozostanie tak proste, dopóki wyborcy jeżdżą samochodami. — No i co, Carol? — spytał.

— Tak, Arnie, znam zasady i będę ich przestrzegać — wydusiła z siebie w końcu.

— Dobrze. Chcę, żebyś przygotowała oświadczenie w tej sprawie jeszcze dziś po południu. Opublikujemy je w przyszłym tygodniu, ale chcę je dziś zobaczyć. To co zwykle: aspekty naukowe, bezpieczeństwo i tak dalej. Dziękuję, że znalazłaś dla mnie czas, Carol —

powiedział, dając jej do zrozumienia, że rozmowa skończona.

Doktor Brightling wstała i ruszyła do drzwi. Przez chwilę zawahała się, jakby chciała się odwrócić i

powiedzieć Arniemu, gdzie może sobie wsadzić takie oświadczenie... Ale nie odwróciła się. Poszła korytarzem w Skrzydle Zachodnim, skręciła na północ i zeszła po schodach na parter. Dwaj agenci Tajnej Służby zauważyli wyraz jej twarzy i zastanawiali się, co ją dzisiaj ugryzło. Musiało to być bolesne ugryzienie... Przeszła przez ulicę nienaturalnie sztywnym krokiem i po chwili była już w swoim biurze w Starym Budynku Rządowym. Włączyła komputer Gateway i uruchomiła edytor tekstów, mimo że chciało się jej raczej gryźć i kopać, zamiast stukać w klawiaturę.

Żeby mężczyzna tak jej rozkazywał! Nie miał pojęcia, co to nauka, i nic go nie obchodziło środowisko naturalne. Arnie interesował się wyłącznie polityką, a polityka była czymś najbardziej sztucznym na tym cholernym świecie!

Wreszcie uspokoiła się jednak, odetchnęła głęboko i zaczęła przygotowywać obronę czegoś, co przecież nigdy nie nastąpi, prawda?

Nie, pomyślała. Nigdy.

# Dziki karty

Park tematyczny wiele przejął od swego bardziej znanego pierwowzoru. Ściągnięto zza oceanu kilkunastu menedżerów, oferując im fantastyczne zarobki. Sfinansowali to sponsorzy parku, dżentelmeni znad Zatoki Perskiej, którzy byli ze swych inwestycji wielce zadowoleni, mając podstawy oczekiwać, że zwrócą im się w ciągu niespełna sześciu lat, a nie ośmiu i pół, jak to pierwotnie zakładano.

Były to znaczne inwestycje, ponieważ chcieli nie tylko naśladować amerykański Disneyland, ale wyprzedzić go pod każdym względem. Zamek w ich parku był z kamienia, a nie z włókna szklanego. Tam, gdzie w Ameryce była jedna główna ulica, u nich znalazły się trzy wielkie bulwary, każdy w stylu innego kraju. Linia kolejowa dookoła ich parku miała standardowy rozstaw torów i dwie prawdziwe lokomotywy parowe. Mówiło się o poprowadzeniu tej linii do międzynarodowego portu lotniczego, który władze hiszpańskie były uprzejme zmodernizować, aby odpowiadał wymogom parku tematycznego. Było to zupełnie uzasadnione

— park zapewniał dwadzieścia osiem tysięcy pełnoetatowych miejsc pracy, a dodatkowo — dorywczo, zwłaszcza w sezonie — znajdowało tu zajęcie jeszcze dziesięć tysięcy ludzi.

Spektakularną atrakcją były kolejki górskie, wszystkie zaprojektowane i wykonane na zamówienie w Szwajcarii, przy czym niektóre były tak karkołomne, że bledli w nich piloci myśliwców. W sekcji nazwanej Światem Nauki główną atrakcją stanowił spacer po księżycu, który wywarł wielkie wrażenie nawet na specjalistach z amerykańskiej agencji kosmicznej NASA. Wielkim zainteresowaniem cieszyły się wycieczki pod szklanym dnem megaakwarium.

W osobnych pawilonach prezentowały się największe branże przemysłu europejskiego.

Wyróżniał się tu Airbus, w którego pawilonie dzieci — i nie tylko dzieci — mogły w symulatorze zasiąść za sterami pasażerskiego odrzutowca.

Zadbano o postaci kostiumowe — gnomy, trolle i wszelkie inne mityczne stwory z kręgu kultury europejskiej — a także o rzymskich legionistów walczących z barbarzyńcami. Nie zapomniano, oczywiście, o sieci handlowej, oferując gościom możliwość kupna niezliczonych pamiątek i upominków.

Genialnym posunięciem inwestorów było wybudowanie tego parku w Hiszpanii, a nie we Francji. Klimat był tu bardziej upalny, ale słoneczna, sucha pogoda utrzymywała się prawie przez cały rok, więc przerwa zimowa nie była potrzebna. Goście z całej Europy przylatywali, przyjeżdżali koleją i autobusami, zatrzymując się w wielkich, wygodnych hotelach, reprezentujących trzy różne kategorie wystawności i ceny. Dekoratorem najbardziej luksusowego z nich mógłby być sam Cesarz Ritz, ale było też kilkanaście hoteli, obliczonych na zaspokajanie tylko najbardziej podstawowych potrzeb. Pogodę wszyscy goście mieli tę samą — suchą i słoneczną, a liczne baseny otoczone białymi, piaszczystymi plażami zachęcały do kąpieli. Na gości czekały też dwa pola golfowe, a trzy następne były w budowie. Wkrótce miały tu być rozgrywane europejskie mistrzostwa zawodowców. Wielkim

powodzeniem cieszyło się kasyno

— żaden inny park tematyczny nie zdecydował się na „jaskinię hazardu”. Park Światowy, bo taką nazwę wybrano, natychmiast odniósł spektakularny sukces. Liczba gości rzadko spadała poniżej dziesięciu tysięcy dziennie, a często przekraczała pięćdziesiąt tysięcy.

Był to na wskroś nowoczesny kompleks, nad którego sprawnym funkcjonowaniem czuwało sześć rejonowych ośrodków kontrolnych i jeden centralny. Każdą atrakcję, kolejkę, restaurację monitorowały komputery i kamery telewizyjne.

Mike Dennis był dyrektorem parku. Podkupiono go z Orlando, i chociaż brakowało mu tamtejszej przyjacielskiej atmosfery w kierownictwie, budowa, a potem zarządzanie Parkiem Światowym okazały się wyzwaniem, na które czekał całe życie. Miał trójkę dzieci, ale teraz, wyglądając z wieży, pomyślał, że ten park też jest jego dzieckiem. Jego biuro i centralna dyspozytornia znajdowały się w warownej wieży zamku z dwunastego wieku. Może w podobnym mieszkał kiedyś książę Akwitanii, za którego czasów posługiwano się jednak mieczami i oszczepami, a nie komputerami i śmigłowcami. I jeśli nawet Jego Wysokość był

bogaty, to na pewno nie obracał tak wielkimi pieniędzmi — w dobry dzień do kas Parku Światowego trafiało dziesięć milionów dolarów gotówką, a płatności dokonywane kartami kredytowymi składały się na o wiele większą kwotę. Każdego dnia opancerzony samochód z pieniędzmi, pod silną eskortą policji, jechał z parku do najbliższego banku.

Podobnie jak pierwowzór na Florydzie, Park Światowy był strukturą wielopoziomową. W

podziemnym miasteczku operowały służby pomocnicze, pracownicy przebierali się w kostiumy i spożywali posiłki. Ludzi i sprzęty można było przemieszczać tam z miejsca na miejsce w sposób niewidoczny dla gości na powierzchni. Zarządzanie kompleksem było porównywalne z obowiązkami burmistrza wcale nie najmniejszego miasteczka, a właściwie, to nawet trudniejsze, bo Mike Dennis musiał dopilnować, żeby wszystko przez cały czas funkcjonowało i żeby koszty operacyjne zawsze były niższe niż wpływy do kasy miejskiej. Dobrze wywiązywał się ze swych zadań — dochody parku były o 2,1 procent większe, niż przewidywała to prognoza, którą sam sporządził przed otwarciem. Miało to dla niego konkretny wymiar finansowy — duże zarobki, a także premia wysokości 100 tysięcy dolarów, którą otrzymał przed pięcioma tygodniami. Żeby jeszcze jego dzieci polubiły miejscowe szkoły...

Nawet jako przedmiot nienawiści, Park Światowy zapierał dech. Toż to całe miasto, pomyślał André. Jego wybudowanie musiało kosztować miliardy. Przecierpiał już jakoś proces indoktrynacji na „Uniwersytecie Parku Światowego”, dowiedział się o absurdalnym etosie tego miejsca, nauczył się uśmiechać do wszystkiego i wszystkich. Udało mu się: został przydzielony do wydziału bezpieczeństwa, własnej policji Parku Światowego, co oznaczało, że ubierał się w błękitną koszulę i granatowe spodnie z niebieskimi lampasami, miał gwizdek i przenośny radiotelefon, a większość czasu spędzał na informowaniu ludzi, gdzie znajduje się najbliższa toaleta, bo Park Światowy potrzebował policji jak pies piątej nogi. Dostał tę pracę, ponieważ mówił płynnie trzema językami — francuskim, hiszpańskim i angielskim — więc mógł służyć pomocą większości przybyszów — „gości” — w tym nowym hiszpańskim mieście. Każdy musiał od czasu do czasu zrobić siusiu, ale

większość najwyraźniej nie była dość bystra, żeby spostrzec setki znaków (graficznych, nie napisów), informujących, dokąd się udać, kiedy potrzeba stanie się przemożna.

Andrè spostrzegł, że Esteban stoi tam gdzie zwykle i sprzedaje napełnione helem balony.

Chleb i igrzyska — obaj byli co do tego zgodni. Ogromne sumy, wydane na budowę tego obiektu — i po co? Żeby dzieciom biedaków i robotników dać kilka krótkich godzin beztroskiego śmiechu, zanim wrócą do swych ponurych domów? Czy żeby wystawić ich rodziców na pokusę wydawania pieniędzy na pustą rozrywkę? W rzeczywistości zadaniem tego miejsca było dalsze bogacenie arabskich inwestorów, których przekonano do wydania tylu petrodolarów na wybudowanie tej krainy fantazji. Park może i zapierał dech, ale pozostawał przedmiotem pogardy, symbolem wszystkiego, co nierealne, opium dla mas robotniczych, które nie potrafiły zobaczyć go takim, jaki był naprawdę. Cóż, otworzenie ludziom oczu było zadaniem rewolucyjnej elity.

— To wystarczy — powiedział Noonan, wchodząc do pokoju, w którym odbywała się poranna narada.

— Co to jest? — spytał Clark.

Noonan zaprezentował im komputerową dyskietkę. — Załedwie sto wierszy programu, nie licząc procedur instalacyjnych. Wszystkie komórki, te od telefonii komórkowej, korzystają z tego samego programu komputerowego. Kiedy znajdziemy się na miejscu akcji, po prostu włożę tę dyskietkę do komputera i zainstaluję mój program. Jeśli nie wybierze się odpowiedniego kodu, konkretnie będą to trzy siódemki, przed właściwym numerem, na który chce się zadzwonić, w słuchawce będzie się rozlegał sygnał zajętości. To znaczy, że możemy zablokować wszystkie próby dodzwonienia się do naszej opozycji z telefonu komórkowego przez jakąś przyjacielską duszę na zewnątrz, a także uniemożliwić opozycji dodzwonienie się z komórki dokądkolwiek.

— Ile kopii zrobiłeś? — spytał Stanley.

— Trzydzieści — odpowiedział Noonan. — O instalację możemy się zwrócić do miejscowych gliniarzy. Mam instrukcje w sześciu językach. — Nieźle, co? — zdawał się mówić wyraz jego twarzy. Żeby zdobyć ten program, skontaktował się ze znajomym z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Meade w stanie Maryland. Nieźle poszło, jak na tydzień zabiegów. — Nazywa się „komórkowy policjant” i będzie funkcjonować na całym świecie.

— Dobra robota, Tim — powiedział Clark i zanotował sobie tę nazwę. — Przejdźmy do innych spraw. W jakim stanie są zespoły?

— Sam Houston nabawił się kontuzji kolana — powiedział Peter Covington. — Podczas zjazdu na linie. Wprawdzie może brać udział w akcjach, ale przez kilka dni nie będzie biegał.

— Drugi Zespół w stanie pełnej gotowości operacyjnej, John — obwieścił Chavez. —

George Tomlinson ma trochę kłopotów ze ścięgnem Achillesa, ale to nic poważnego.

Clark mruknął pod nosem i znowu coś zanotował. Podczas tak forsownego treningu wypadki były nieuniknione. John przypomniał sobie znany aforyzm — ćwiczenia mają być bezkrwawą bitwą, a bitwa — krwawymi ćwiczeniami. W zasadzie to dobrze, że na ćwiczeniach jego ludzie dawali z siebie wszystko, tak samo jak podczas akcji. Tak poważne traktowanie wszystkich aspektów służby w Tęczy doskonale świadczyło o ich morale i profesjonalizmie.

Ponieważ Sam Houston był strzelcem wyborowym, kontuzja ograniczała jego sprawność najwyżej o dwadzieścia pięć procent. George Tomlinson, mimo nadwerżonego ścięgna, biegał

każdego ranka ze wszystkimi, znosząc ból, jak przystało na żołnierza elitarniej jednostki.

— Wywiad? — John odwrócił się do Billa Tawneya.

— Nie mam nic szczególnego do zameldowania — powiedział oficer SIS. — Wiemy, że jest jeszcze na świecie trochę terrorystów, i że policja w różnych krajach cały czas usiłuje natrafić na ich trop, ale to trudne zadanie. Na razie nie zapowiada się nic obiecującego, ale... —

Ale nie sposób przewidzieć, kiedy coś się wydarzy. Wszyscy obecni zdawali sobie z tego sprawę.

Jeszcze dziś wieczorem ktoś w rodzaju samego Carlosa mógł zostać zatrzymany przez policję drogową za zlekceważenie znaku STOP, rozpoznany przez jakiegoś młodego policjanta i zatrzymany, ale nie sposób zaplanować przypadkowych zdarzeń. Prawdopodobnie w Europie wciąż ukrywało się około stu znanych terrorystów, takich jak Ernst Model i Hans Fürchtner, ale już dawno nauczyli się — co zresztą nie było takie trudne — nie zwracać na siebie uwagi, w prosty sposób zmieniać wygląd i w ogóle trzymać się z daleka od kłopotów. Musieliby popełnić jakiś błąd, żeby zwrócić na siebie uwagę, a ci, którzy popełniali głupie błędy już dawno nie żyli albo siedzieli w więzieniach.

— Jak się układa współpraca z policją? — spytał Alistair Stanley.

— Rozmawiamy z nimi, a po akcjach w Bernie i w Wiedniu nasze notowania wyraźnie wzrosły. Jeśli tylko coś się wydarzy, możemy oczekiwać, że zostaniemy niezwłocznie wezwani.

— Transport? — spytał następnie John.

— To chyba mój resort — powiedział podpułkownik Malloy. — Współpraca z Pierwszym Skrzydłem Operacji Specjalnych układa się dobrze. Pozwolili mi na razie zatrzymać *Night Hawka*, a poza tym spędziłem tyle czasu za sterami brytyjskiej *Pumy*, że bez trudu sobie z nią poradzę. Jestem gotów. Gdyby trzeba było lecieć gdzieś daleko, mogę załatwić tankowanie w locie z *MC-130*, ale praktycznie rzecz biorąc moim *Sikorskim* mogę dolecieć w ciągu ośmiu godzin do dowolnego miejsca w Europie, z tankowaniem w locie albo i bez. Do strony operacyjnej nie mam zastrzeżeń. Wasi ludzie są świetni i dobrze nam się współpracuje. Jedyne, co mnie martwi, to brak ekipy medycznej.

— Zastanawialiśmy się nad tym. Doktor Bellow jest naszym lekarzem i zna się również na urazówce, prawda, doktorze? — spytał Clark.

— Całkiem nieźle, chociaż nie jestem tak dobry jak chirurg urazowy. Poza tym zawsze możemy zwrócić się do miejscowej policji, czy straży pożarnej o sanitariuszy.

— W Fort Bragg lepiej to rozwiązaliśmy — zauważył Malloy. — Wiem, że wszyscy nasi ludzie zostali przeszkoleni w zakresie pierwszej pomocy, ale dobrze jest mieć w pobliżu lekarza wojskowego z prawdziwego zdarzenia. Doktor Bellow też ma tylko dwie ręce — ciągnął pilot — i nie może być w dwóch miejscach na raz.

— Wyruszając na akcję, zawsze kontaktujemy się z miejscowym szpitalem, który ma akurat ostry dyżur — powiedział Stanley. — Dotychczas nie było z tym kłopotów.

— W porządku, panowie, ale to ja muszę transportować rannych. Mam w tym sporo doświadczenia i myślę, że moglibyśmy to zorganizować trochę lepiej. Myślę, że powinno się to włączyć do programu i prowadzić regularne ćwiczenia.

Clark doszedł do wniosku, że to niezły pomysł. — Zanotowałem to sobie, Malloy.

Dziękuję. Al, weźmy się za to od razu.

— Zgoda. — Stanley skinął głową.

— Symulowanie obrażeń nie będzie łatwe — powiedział im doktor Bellow. —

Rzeczywistość zawsze wygląda inaczej, a trudno byłoby wysłać naszych ludzi, żeby sobie pooglądali, co dzieje się na ostrym dyżurze w szpitalu. Szkoda czasu, zwłaszcza, że i tam nie zobaczyliby raczej obrażeń, o jakie nam chodzi.

— Borykamy się z tym problemem od lat — powiedział Peter Covington. — Można się nauczyć zasad postępowania, ale gorzej z praktyką...

— Tak, chyba że przenieśliśmy się do Detroit — zakpił Chavez.

— Panowie, bez przesady, wszyscy znamy zasady pierwszej pomocy, a doktor Bellow jest lekarzem. Doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny. Trening nie może obejmować wszystkiego, a właściwa operacja musi mieć priorytet. Dojeżdżamy na miejsce, robimy, co do nas należy i przecież chodzi nam o to, żeby rannych było jak najmniej. — Nie dodał, że wyjątek stanowi oczywiście opozycja. W końcu terrorystami nikt się tak naprawdę nie przejmował, a poza tym, na głowę rozwaloną pociskami kalibru 10 mm nikt już nic nie poradzi, nawet w najlepszym szpitalu. — Podoba mi się pomysł przeciwiczenia ewakuacji rannych. To się da zrobić, a przy okazji można odświeżyć wiedzę z zakresu pierwszej pomocy, ale spójrzmy realistycznie: na nic więcej nie mamy czasu.

— Jakież uwagi? — spytał Clark. Sam też nie bardzo wiedział, co jeszcze można by tu zrobić.

— Chavez ma rację... ale trzeba pamiętać, że nigdy nie będziemy w stu procentach przygotowani i wytrenowani — podkreślił Malloy. — Choćbyśmy pracowali nie wiem jak ciężko, opozycja zawsze

wpadnie na coś nowego i nie omieszka tego wykorzystać. W oddziałach Delta zawsze wyruszamy z pełną ekipą medyczną, złożoną z ekspertów w zakresie urazówki.

Może tutaj nie możemy sobie na to pozwolić, ale tak właśnie się to robi w Fort Bragg.

— Będziemy po prostu musieli polegać na miejscowych lekarzach — powiedział Clark, zamykając tę sprawę. — Nie możemy się tutaj za bardzo rozrastać. Nie mam na to pieniędzy.

I tu jest pies pogrzebany. Malloy nie musiał tego dodawać. Rozeszli się parę minut później, kończąc na ten dzień pracę. Dań Malloy zaakceptował miejscowy zwyczaj wpadania wieczorem do klubu, gdzie piwo było dobre, a towarzystwo sympatyczne. Dziesięć minut później siedział już przy piwie z Chavezem. Pomyślał, że ten mały Latynos nie da sobie dmuchać w kaszę.

— W Wiedniu całkiem nieźle ci poszło, Ding.

— Dzięki, Dan. — Chavez uniósł kufel. — Nie miałem tam wielkiego wyboru. Czasem musisz coś zrobić, czy ci się to podoba, czy nie.

— To fakt — zgodził się marinę.

— Uważasz, że brakuje nam ekipy medycznej... Ja też, ale jak dotąd nie stanowiło to problemu.

— Bo dopisywało wam szczęście, chłopcze.

— Tak, wiem. Nie trafiliśmy dotąd na szaleńców.

— Ale oni gdzieś tam są, prawdziwi socjopaci, których gówno obchodzi wszystko i wszyscy. Prawdę mówiąc, ja też widziałem takich tylko w telewizji. Wciąż myślę o tym, co się stało w Ma'alot dwadzieścia parę lat temu[16]. Tamte skurwysyny zabijały małe dzieci tylko po to, żeby pokazać, jacy są twardzi. Nie można też zapomnieć, co przytrafiło się jakiś czas temu córce prezydenta. Miała cholerne szczęście, że był tam wtedy facet z FBI. Chętnie postawiłbym mu piwo.

— Dobrze strzelał — zgodził się Chavez. — I co ważniejsze, we właściwym momencie.

Czytałem o tym. Rozmawiał z nimi cierpliwie, czekając, aż nadarzy się okazja i potrafił ją wykorzystać.

— Prowadził wykłady w Bragg, ale akurat byłem gdzieś w drodze. Obejrzałem kasetę.

Chłopcy mówili, że facet świetnie strzela z pistoletu, a w dodatku, co ważniejsze, jest inteligentny.

— Inteligencja naprawdę się liczy — zgodził się Chavez, dopijając piwo. — Muszę przygotować kolację.

— Co takiego?



— Moja żona jest lekarzem. Wróci do domu za jakąś godzinę, a dziś moja kolej na przygotowanie kolacji.

Malloy uniósł brwi. — Miło, że jesteś dobrze wytresowany, Chavez.

— Nie czuję się zagrożony w mojej męskości — zapewnił go Domingo i ruszył do wyjścia.

Andrè pracował tego dnia do późna. Park Światowy był czynny do 23.00, a sklepy pozostawały otwarte jeszcze dłużej. Nawet tak ogromny obiekt jak Park Światowy nie mógł

sobie przecież pozwolić na zaprzepaszczenie szansy wyciągnięcia tłumom z kieszeni jeszcze paru groszy za tanie, bezwartościowe upominki, które tu sprzedawano i które małe dzieci ścisnęły potem w rączkach, często śpiąc w ramionach zmęczonych rodziców. Przyglądał się obojętnie ludziom, którzy czekali na ostatnią przejażdżkę którąś z karkołomnych kolejek. Dopiero kiedy wejścia zabezpieczono łańcuchami, a operatorzy pomachali na pożegnanie, ludzie odwrócili się i ruszyli do wyjścia, korzystając po drodze z każdej okazji, żeby jeszcze coś kupić. Zmęczeni sprzedawcy uśmiechali się mimo wszystko, uprzejmi i pomocni, jak ich tego nauczono na Uniwersytecie Parku Światowego. Aż w końcu, kiedy wszyscy goście wreszcie sobie poszli, zamykano sklepy i opróżniano kasy. Pod okiem Andrè i jego kolegów z parkowej służby bezpieczeństwa zabierano gotówkę do pomieszczenia, w którym była liczona. Ściśle rzecz biorąc, nie należało to do jego obowiązków, ale kręcił się w pobliżu mimo wszystko, idąc za trojgiem sprzedawców ze sklepu Matador, najpierw główną ulicą, a później boczną alejką, przez drewniane drzwi, schodami do podziemi, a następnie betonowymi korytarzami, w ciągu dnia pełnymi wózków elektrycznych i personelu, ale teraz opustoszałymi, jeśli nie liczyć ostatnich pracowników, idących się przebrać w normalne ubrania. Pomieszczenie, w którym liczono pieniądze, znajdowało się w części centralnej, niemal pod zamkiem. Sprzedawcy przekazali banknoty w torbach z nazwą sklepu. Monety wrzucono do pojemnika. Należało je posortować według walut i nominałów, policzyć, zapakować i opisać, zanim zostaną przetransportowane do banku. Banknoty, już posegregowane na poszczególne waluty i nominały, były... ważone.

Pamiętał, jak się zdziwił, kiedy po raz pierwszy zobaczył precyzyjne wagi. Niesamowite —

1,0615 kilograma marek niemieckich w stumarkowych banknotach. Albo 2,6370 kilograma brytyjskich banknotów pięcioletnich. Na elektronicznym ekranie natychmiast pojawiała się odpowiadająca wadze suma i banknoty zabierano do zapakowania. Tutaj strażnicy parkowi mieli broń, pistolety *Astra*, ponieważ łączna suma, jaka tego dnia wpłynęła w gotówce do kas parku wynosiła... 11.567.309,35 funtów szterlingów, jak informował główny ekran. Wyłącznie używane banknoty o różnych nominałach. Trudno o coś lepszego. Wszystko to zmieściło się w sześciu wielkich brezentowych workach, które ułożono na czterokołowym wózku, mającym je wywieźć z podziemi. Czekał tam już opancerzony samochód z eskortą policyjną, co wieczór odwożący utarg do miejscowego banku, który był jeszcze otwarty, mimo tak późnej pory, z uwagi na wielkość codziennego depozytu. Jedenaście milionów funtów szterlingów w gotówce.

Andrè pomyślał, że w skali roku były to miliardy!

— Przepraszam — odezwał się do dowódcy strażników — czy złamałem jakieś przepisy, wchodząc

tutaj?

Tamten zachichotał. — Nie, każdy tu prędzej czy później zagląda. Okna są specjalnie po to, żeby chętni mogli sobie popatrzeć.

— Czy to bezpieczne?

— Myślę, że tak. Sam widzisz, jakie to grube szyby, a tam, wewnątrz, środki bezpieczeństwa są bardzo rygorystyczne.

— *Mon dieu*, tyle pieniędzy! Nie boicie się, że ktoś może spróbować je ukraść?

— Ciężarówka jest opancerzona, są dwa samochody eskorty policyjnej, w każdym czterech ludzi, dobrze uzbrojonych. — I w dodatku to tylko ci, których widać. Na pewno są jeszcze inni, gdzieś w pobliżu i też uzbrojeni. — Na początku obawialiśmy się, że terroryści baskijscy mogą pokusić się o próbę kradzieży, a taka fura pieniędzy sfinansowałaby im działalność na całe lata, ale obawy okazały się bezpodstawne. Aha, wiesz co się dalej dzieje z całą tą gotówką?

— A dlaczego nie transportuje się tych pieniędzy do banku śmigłowcem? — spytał

Andrè.

Szef strażników ziewnął. — Za drogo.

— No więc, co się dzieje z tą gotówką? Znaczna część wraca, oczywiście, do nas.

Andrè zastanawiał się przez chwilę. — No tak, to ma sens.

W Parku Światowym funkcjonowała przede wszystkim gotówka, ponieważ wielu ludzi wciąż wolało płacić prawdziwymi pieniędzmi, mimo rosnącej popularności kart kredytowych, które, oczywiście, też chętnie tu przyjmowano, i mimo możliwości dopisywania wszystkiego do rachunku za hotel — odpowiednie instrukcje, w języku, którym posługiwali się poszczególni goście, były wydrukowane na każdej plastikowej karcie, otwierającej drzwi do pokoju hotelowego.

— Założę się, że każdy z tych pięciofuntowych banknotów przechodzi przez nasze ręce co najmniej piętnaście razy, zanim zużyje się do tego stopnia, że trzeba go wysłać do Londynu na przemiał.

— Rozumiem. — Andrè skinął głową. — Więc wpłacamy te pieniądze do banku, a potem pobieramy je z naszego konta, żeby móc wydawać resztę naszym gościom. Ile właściwie gotówki trzymamy pod ręką?

— Żeby móc wydawać resztę? — Wzruszył ramionami. — Co najmniej dwa, trzy miliony funtów szterlingów. Mamy komputery, żeby się w tym wszystkim połapać.

— Fantastyczne miejsce — zauważył Andrè i naprawdę tak myślał. Skinął głową szefowi strażników i poszedł odbić swą kartę zegarową. To był dobry dzień. Kręcąc się po parku, uzyskał

potwierdzenie wcześniejszych obserwacji. Wiedział już, jak zaplanować operację i jak ją wykonać. Teraz musiał ściągnąć kolegów i zapoznać ich z planem, który następnie trzeba będzie zrealizować. Czterdzieści minut później był już w domu i popijał burgunda, zastanawiając się nad wszystkim jeszcze raz. Przez ponad dziesięć lat odpowiadał w Action Directe za planowanie i realizację planów. Zaplanował łącznie jedenaście zabójstw. Ta operacja będzie jednak największa ze wszystkich, zapewne stanie się ukoronowaniem jego kariery, musiał więc wszystko dokładnie przemyśleć. Na ścianie miał plan Parku Światowego i wodził teraz po nim oczyma. Wejście, wyjście. Trasy, którymi może nadjechać policja. W jaki sposób ją zatrzymać?

Jak wyprowadzić zakładników? André analizował wszystkie szczegóły swego planu, szukał słabych miejsc i ewentualnych błędów. Kiedy rozpoczną tę operację, na miejsce przybędzie hiszpańska policja, Guardia Civil. Trzeba na nich uważać, nie dać się zwieść ich śmiesznym kapeluszą. Walczą z Baskami od wielu lat i wiele się nauczyli. Na pewno mają już jakieś porozumienie z Parkiem Światowym, bo przecież ten obiekt stanowił aż nadto oczywisty cel ataku terr... Ataku sił postępowych, poprawił się w myślach André. Policjantów nie wolno lekceważyć. We Francji omal go dwa razy nie aresztowali, ale w obu wypadkach znalazł się w kłopotach, ponieważ popełnił ewidentne błędy. Wyciągnął z tego wnioski. Nie, tym razem nie będzie błędów. Zamierzał utrzymać policję na dystans, odpowiednio dobierając zakładników i demonstrując gotowość użycia ich do swych politycznych celów. Guardia Civil, choć twarda, będzie się musiała ugiąć w obliczu takiej determinacji. Hiszpańscy policjanci mogą sobie być twardzi, ale nie są wolni od burżuazyjnych sentymentów, ani oni, ani wszyscy im podobni.

Szczytny cel, jaki mu przyświecał, zapewniał mu nad nimi przewagę i André zamierzał to wykorzystać. Osiągnie swój cel, albo wielu ludzi będzie musiało zginąć, a tego nie zaryzykują rządy Hiszpanii ani Francji. Plan był prawie gotowy. Sięgnął po telefon i przeprowadził rozmowę międzynarodową.

Pete był blady i chyba jeszcze bardziej otępiały, ale także bardzo rozbity. Miało się wrażenie, że każdy ruch sprawia mu ból.

— Jak się czujesz? — wesoło zapytał doktor Killgore.

— Z moim żołądkiem coś jest bardzo niedobrze, doktorze. O, tutaj — powiedział Pete, pokazując palcem, gdzie go boli.

— Jeszcze nie przeszło? No dobrze, połóż się, zobaczymy, co ci dolega. — Lekarz założył maskę i gumowe rękawiczki. Badanie było powierzchowne, zresztą i tak uważał je za stratę czasu. Pete, podobnie jak przedtem Chester, umierał, chociaż jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy. Heroina łagodziła najostrejszy ból, zastępując go chemiczną nirwaną. Killgore ostrożnie pobrał mu następną próbkę krwi do badania mikroskopowego.

— Cóż, chłopcze, trzeba po prostu przeczekać. Ale dam ci zastrzyk, po którym przestanie cię boleć, dobrze?

— Jasne, doktorze. Po ostatnim czułem się całkiem dobrze. Killgore nappełnił plastikową strzykawkę

i wkłuł się w tę samą żyłę, co wcześniej. Patrzył, jak oczy pacjenta rozszerzają się gwałtownie, a potem przymykają, kiedy ból minął, a jego miejsce zajęła apatia tak głęboka, że mógłby teraz przeprowadzić na nim poważną operację chirurgiczną, a ten biedak nawet by nie drgnął.

— A jak się miewają pozostali, Pete?

— W porządku, tylko Charlie uskarża się na żołądek. Pewnie coś zjadł.

— Ach, tak? Może jego też zbadam. — A więc Obiekt M3 znajdzie się tu zapewne jutro, pomyślał. W zasadzie była już na to pora. Z wyjątkiem Chestera, u którego objawy wystąpiły wcześniej niż oczekiwali, reszta mieściła się w przewidzianym przedziale czasowym. Bardzo dobrze.

Andrè przeprowadził kolejne rozmowy telefoniczne, w rezultacie których następnego dnia rano ludzie wynajmowali samochody, posługując się fałszywymi dokumentami i jechali na południe, dwójkami lub pojedynczo, z Francji do Hiszpanii. Na przejściach granicznych najczęściej uśmiechano się do nich przyjaźnie i dawano znać, żeby przejeżdżali. Różne biura podróży poczyniły niezbędne rezerwacje pokoi w hotelach Parku Światowego. Wybrano hotele średniej klasy, połączone z parkiem koleją, tradycyjną lub jednoszynową, z przystankami bezpośrednio w holach hotelowych, żeby goście mogli bez trudu trafić.

Do parku prowadziły szerokie, wygodne autostrady, wyraźnie oznakowane, także dla tych, którzy nie znali hiszpańskiego. Chyba jedynym zagrożeniem były wielkie autobusy turystyczne, pędzące z prędkością ponad 120 kilometrów na godzinę. Ich pasażerowie, w tym wiele dzieci, wyglądali przez okna, machając do kierowców samochodów osobowych. Kierowcy również machali i uśmiechali się, dając się wyprzedzać autobusom, których zdawały się nie obowiązywać ograniczenia prędkości. Sami woleli nie ryzykować. Mieli mnóstwo czasu.

Uwzględniał to plan ich operacji.

Tomlinson skrzywił się i pomasaował lewą nogę. Chavez zwolnił, żeby na niego zaczekać.

— Ciągle boli?

— Jak skurwysyn — potwierdził sierżant Tomlinson.

— Więc się trochę oszczędzaj, głupolu. Ze ścięgnem Achilleśa nie ma żartów.

— Właśnie się o tym przekonałem, Ding. — Tomlinson szedł teraz, wcześniej przebiegłszy trzy kilometry, i cały czas oszczędzał lewą nogę. Oddychał ciężiej niż zwykle. Cóż, z bólem tak już było.

— Zgłosiłeś się do doktora Bellowa?

— Tak, ale powiedział, że nic się nie da zrobić. Trzeba poczekać, aż wydobrzeje.

— No to poczekaj. To rozkaz, George. Przerwa w bieganiu, dopóki ból nie ustąpi, rozumiano?

— Tak jest, sir — zgodził się sierżant Tomlinson. — Ale gdybym tylko był potrzebny, to jakoś sobie

poradzę.

— Wiem o tym, George. Zobaczymy się na strzelnicy.

— Oczywiście. — Tomlinson patrzył za swym dowódcą, który przyśpieszył, żeby dołączyć do zespołu. To, że nie mógł dotrzymać kroku pozostałym, raniło dumę sierżanta. Żadne kontuzje nie miały dotąd prawa przeszkadzać mu w treningu. W oddziałach Delta nie przerwał

kiedyś treningu mimo dwóch złamanych żeber. Nawet nie poszedł wtedy do lekarza, bojąc się, że reszta mogłaby go wziąć za mazgaja. O ile jednak połamane żebra można było jakoś wytrzymać, niczego nie dając po sobie poznać, to z nadwerężonym ścięgnem nie dało się biegać — ból był tak wielki, że noga przestawała prawidłowo funkcjonować. Trudno nawet było prosto stać.

Cholera, pomyślał żołnierz, przecież nie mogę tak zawieść zespołu. Nigdy w życiu nie zadowalało go drugie miejsce, zawsze chciał być najlepszy, nawet w młodzieżowej drużynie baseballowej, w której grał na pozycji między drugą a trzecią bazą. Jednak dzisiaj, zamiast przebiec cały dystans, maszerował, starając się utrzymać wojskowe tempo stu dwudziestu kroków na minutę. Nadal bolało, ale nie na tyle, żeby stanął. Pierwszy Zespół też teraz biegał.

Mijali go właśnie, nawet Sam Houston, który pomachał mu, utykając z powodu kontuzji kolana.

Hart ducha ludzi z Tęczy był nieprawdopodobny. Tomlinson służył w siłach specjalnych od sześciu lat, najpierw Zielone Berety, potem Delta. Był bliski dyplomu z psychologii — z jakiegoś powodu ludzie z operacji specjalnych chętnie wybierali ten kierunek — i zastanawiał się teraz, jak dokończyć studia w Anglii, gdzie uniwersytety były inaczej zorganizowane i gdzie zawodowi żołnierze z dyplomami cywilnych uczelni należeli do rzadkości. Pamiętał, że w Delcie często rozmawiali o terrorystach, zastanawiali się nad ich motywami, bo jeśli się je zrozumiało, można było przewidywać następne posunięcia tych ludzi oraz wykrywać ich słabości, a tym samym łatwiej ich zabijać, o co przecież w końcu chodziło. Jednak zanim trafił do Tęczy, nigdy nikogo nie zabił w akcji. Dziwne, pomyślał, ale jeszcze dziwniejsze było to, że realia, kiedy już je poznał, wcale nie różniły się tak bardzo od treningu. Cóż, człowiek robi to, czego się nauczył, pomyślał sierżant. Powtarzano mu to zresztą przez cały czas, od szkolenia podstawowego w Fort Knox jedenaście lat temu. Cholera, łydka wciąż bolała jak diabli, chociaż trochę mniej niż podczas biegu. Lekarz powiedział, że minie tydzień albo i dwa, zanim odzyska pełną sprawność.

A wszystko dlatego, że potknął się o krawężnik, bo zagapił się jak idiota i nie spojrzał pod nogi.

Houston miał przynajmniej jakieś wytłumaczenie dla swej kontuzji kolana. Szybkie zjazdy po linie są niebezpieczne i każdemu się coś czasem przytrafiało. Houston uderzył kolaniem w kamień przy zeskoku... musiało boleć jak wszyscy diabli, ale Sam był twardy. Tomlinson pokuśtykał w kierunku strzelnicy.

— Uwaga, podczas tego ćwiczenia strzelamy ostrą amunicją — powiedział Chavez Drugiemu Zespołowi. — Scenariusz zakłada pięciu terrorystów i ośmiu zakładników. Opozycja ma broń krótką i pistolety maszynowe. Dwoje z zakładników to dzieci, dziewczynki w wieku siedmiu i dziewięciu

lat. Pozostali zakładnicy to kobiety. Matki. Terrorysty napadli na świetlicę i trzeba ich zdjąć. Noonan przewiduje, że są tutaj. — Wskazał szkic sytuacyjny na tablicy. — Tim, na ile to pewne?

— Siedemdziesiąt procent, więcej się nie udało. Łażą trochę w tę i z powrotem. Ale zakładnicy są w tym rogu. — Stuknął wskaźnikiem w tablicę.

— W porządku. Paddy, zajmiesz się materiałem wybuchowym. Dwójki w normalnym składzie. Louis i George wchodzą pierwsi i zajmują się lewą stroną. Eddie i ja wpadamy tuż za nimi, i pilnujemy środka. Scotty i Oso jako ostatni i kierują się na prawo. Pytania?

Pytań nie było. Członkowie zespołu uważnie studiowali szkic na tablicy. Sytuacja wydawała się jasna.

— No to zaczynamy — powiedział Ding. Ruszyli, ubrani w czarne kombinezony nindzów.

— Jak twoja noga, George? — spytał Loïselle Tomlinsona.

— Zaraz się przekonamy. Ale ręce mam w porządku — powiedział sierżant, unosząc *MP-*

*10*.

— *Bien*. — Loïselle skinął głową. Dobrze mu się pracowało z Tomlinsonem, z którym tworzył parę. Świetnie się rozumieli, do tego stopnia, że podczas akcji prawie czytali sobie nawzajem w myślach. Obaj mieli też dar poruszania się bezszelestnie i niewidocznie. Trudno było się tego nauczyć. Potrzebny był instynkt myśliwego, a jeśli ktoś chciał być naprawdę dobry, musiał jeszcze nieustannie ćwiczyć.

Dwie minuty później znaleźli się przed budynkiem strzelnicy. Connolly umocował

materiał wybuchowy na framudze drzwi. Ta część treningu sprawiała, że cieśle z bazy mieli pełne ręce roboty, pomyślał Chavez. Po zaledwie trzydziestu sekundach Connolly wycofał się i pomachał ręką z uniesionym kciukiem, dając znać, że podłączył przewody do detonatora.

— Drugi Zespół, tu dowódca — usłyszeli w słuchawkach. — Uwaga, uwaga... Paddy, trzy... dwa... jeden... Teraz!

Clark jak zwykle podskoczył, kiedy rozległ się wybuch. Sam zajmował się kiedyś wysadzaniem, był w tej dziedzinie ekspertem i wiedział, że Connolly jest jeszcze lepszy niż on, ma to niemal we krwi. Ale wiedział też, że żaden specjalista od materiałów wybuchowych nigdy nie użyje ich za mało. Drzwi przeleciały przez pomieszczenie i rąbnęły w przeciwległą ścianę.

Nie obeszloby się bez obrażeń, gdyby kogoś trafiły, choć zapewne nie byłyby to obrażenia śmiertelne. John zamknął oczy i zasłonił uszy rękami, ponieważ następny w kolejności był granat obeszładniający, którego wybuch kojarzył mu się z eksplodującą supernową. Moment wybrał

idealnie. Kiedy z powrotem otworzył oczy, zobaczył wbiegających do środka żołnierzy Tęczy.

Nie zważając na kontuzjowaną nogę, Tomlinson wbiegł za Loïselle z bronią gotową do strzału. Właśnie wtedy spotkała ich pierwsza niespodzianka, z kilku włączonych do scenariusza ćwiczenia. Po lewej stronie nie było nikogo z opozycji ani zakładników. Obaj mężczyźni podbiegli do ściany i odwrócili się w prawo.

Chavez i Price byli już w środku, obserwując obszar, za który odpowiadali, ale również nikogo nie zobaczyli. Następnie to samo spotkało Vegę i McTylera po prawej stronie. Operacja nie przebiegała zgodnie z planem — coś musiało się wydarzyć.

W polu widzenia nie było wroga ani zakładników, ale Chavez spostrzegł uchylone drzwi, prowadzące do drugiego pomieszczenia.

— Paddy, granaty, teraz! — rozkazał przez radio. Clark obserwował akcję z kąta, mając na sobie białą koszulę obserwatora i kamizelkę kuloodporną. Connolly podbiegł, omijając Vegę i McTylera. W rękach miał dwa granaty obezwładniające. Wrzucił je jeden po drugim przez uchylone drzwi i po chwili budynek znów się zatrzęsł. Chavez i Price ruszyli tym razem jako pierwsi. W drugim pomieszczeniu był Alistair Stanley w białym ubraniu, oznaczającym, że nie należy do niego strzelać. Clark, który pozostał w swoim kącie, usłyszał charakterystyczne, ciche odgłosy strzałów z wytłumionej broni, a następnie okrzyki: — Czysto! Czysto!

John, gdy wszedł do pomieszczenia, w którym właśnie zakończyła się strzelanina, zobaczył, że wszystkie cele miały podziurawione głowy, tak jak podczas poprzednich ćwiczeń.

Ding i Eddie stali obok zakładników, których osłaniali swymi kamizelkami kuloodpornymi. Broń mieli wymierzoną w cele z dykty. Gdyby byli to prawdziwi terroryści, leżeliby teraz na podłodze, krwawiąc obficie z roztrzaskanych czaszek.

— Doskonale — pochwalił Stanley. — Dobra improwizacja. Tomlinson, poruszałeś się za wolno, ale strzelałeś cholernie dobrze. Ty też, Vega.

— W porządku, zaraz obejrzymy to sobie na wideo — powiedział John, wychodząc z budynku. Cały czas potrząsał głową, bo w uszach szumiało mu jeszcze od granatów obezwładniających. Pomyślał, że jeśli ma to robić częściej, będzie się musiał zaopatrzyć w gogle i ochraniacze na uszy — taka zabawa groziła trwałym uszkodzeniem słuchu. Uważał za swój obowiązek zapoznanie się z takimi akcjami z bliska, żeby móc się we wszystkim zorientować.

Podszedł do Stanleya.

— Wystarczająco szybko, Al?

— Tak. — Stanley skinął głową. — Granaty obezwładniające obezwładniają na kilka sekund, od trzech do pięciu, a potem jeszcze przez piętnaście sekund nikt nie jest w pełni sprawny. Chavez dobrze zareagował. Prawdopodobnie uratowałby wszystkich zakładników.

John, nasi chłopcy są u szczytu formy. Już nie mogą być lepsi. Tomlinson, mimo kontuzjowanej nogi, pozostał w tyle co najwyżej o pół kroku, jeśli w ogóle, a ten mały Francuz porusza się jak łasica. Nawet Vega, chociaż taki wielki, nie jest ani trochę ociężały. John, nigdy nie widziałem lepszych ludzi.

— Zgadzam się, ale...

— Ale w dalszym ciągu tak wiele zależy od naszych przeciwników. Tak, wiem, ale niech Bóg ma tych sukinsynów w opiece, kiedy się za nich zabierzemy.



# Rozrywka

Popow w dalszym ciągu próbował się czegoś dowiedzieć o swym pracodawcy, ale jak dotąd nie udało mu się natrafić na nic ciekawego. Nowojorska biblioteka i Internet dostarczyły mu mnóstwa informacji, wśród których nie było jednak niczego, co pozwoliłoby zrozumieć, dlaczego ten człowiek wynajął byłego funkcjonariusza KGB do odnajdywania terrorystów i spuszczenia ich ze smyczy. Wydawało się to równie nieprawdopodobne jak to, że małe dziecko będzie planowało zamordowanie swych kochających rodziców. Popow nie przejmował się stroną moralną tego przedsięwzięcia. W operacjach wywiadowczych niewiele było miejsca na moralność. Kiedy przechodził szkolenie w Akademii KGB pod Moskwą, ten temat nigdy się nie pojawił. Jemu i jego kolegom wbijano tylko do głowy, że Państwo Nigdy Się Nie Myli. —

Zdarzy się czasem, że dostaniecie rozkaz zrobienia czegoś, co nie będzie wam się podobało —

powiedział kiedyś pułkownik Romanów. — Ale wykonacie taki rozkaz, ponieważ powody, dla których go wydano, zawsze będą słuszne, nawet jeśli nie będziecie ich znali. Macie prawo zakwestionować coś ze względów taktycznych, bo jako agenci terenowi, w zasadzie to wy będziecie odpowiadali za sposób przeprowadzenia operacji. Ale odmowa wykonania zadania nie wchodzi w grę. — I to by było na tyle. Ani Popow, ani jego koledzy nie robili z tego notatek.

Rozkaz, to rozkaz. Zgodnie z tą filozofią, zgodziwszy się pracować dla tego człowieka, Popow wykonywał zadania, jakie pracodawca mu powierzał...

...ale kiedy jeszcze był w służbie Związku Radzieckiego, zawsze znał przynajmniej ogólne założenia operacji, polegające na zdobyciu dla kraju żywotnie ważnych informacji, ponieważ kraj ich potrzebował, dla siebie, albo żeby wesprzeć nimi innych, których działania były dla niego korzystne. Nawet zajmowanie się Iljiczem Ramirezem Sanchezem służyło jakimś specjalnym interesom. Popow był o tym swego czasu przekonany, ale oczywiście teraz patrzył

już na to inaczej. Terrorysty byli jak zdziczałe psy albo wściekłe wilki, które podrzucano się komuś do ogrodu, żeby narobiły zamieszania. Tak, zapewne byli przydatni ze strategicznego punktu widzenia albo tak przynajmniej uważali jego przełożeni, po których teraz wszelki słuch zaginął. A może jednak nie? Przecież w końcu z tych terrorystycznych operacji nie było aż tak wielkiego pożytku. KGB był kiedyś dobry — Popow wciąż uważał, że była to najlepsza agencja szpiegowska, jaką kiedykolwiek widział świat — a jednak ostatecznie poniósł klęskę. Partia, której Mieczem i Tarczą był Komitet Bezpieczeństwa Państwowego, już nie istniała. Miecz nie zgładził wrogów Partii, a Tarcza nie ochroniła jej przed bronią Zachodu. A więc, czy jego przełożeni naprawdę wiedzieli, co robią?

Prawdopodobnie nie, przyznał Popow, zdając sobie sprawę z konsekwencji tego wniosku.

Niewykluczone, że każda operacja, jaką mu powierzono, była w mniejszym lub większym stopniu bezsensowna. Byłaby to gorzka świadomość, gdyby nie to, że jego trening i doświadczenie owocowały teraz świetnymi zarobkami, nie mówiąc już o tych dwóch walizkach z gotówką, które udało mu się ukraść. Ale co właściwie robił? Wysyłał terrorystów na śmierć od kul policji w różnych krajach europejskich? Równie dobrze mógłby ich zadenuncjować, chociaż nie byłoby to

takie opłacalne. Aresztowano by ich, postawiono przed sądem, skazano i wtrącono do więzienia na resztę życia — jak przestępcze szumowiny, którymi przecież byli. Takie rozwiązanie byłoby o wiele lepsze. Tygrys, miotający się w tę i z powrotem po klatce z grubymi prętami w oczekiwaniu na swe codzienne pięć kilogramów koniny z chłodni, jest przecież o wiele zabawniejszy niż wypchany tygrys w muzeum, a przy tym równie niegroźny. Dmitrij Arkadijewicz pomyślał, że jest kimś w rodzaju Judasza, ale wciąż nie wiedział, kim naprawdę jest człowiek, który wypłaca mu srebrniki.

Pieniądze były ważne. Jeszcze kilka takich operacji i będzie mógł zabrać oszczędności, fałszywe dokumenty i zniknąć z powierzchni ziemi. Będzie się mógł wylegiwać na jakiejś plaży, popijając drinki i przypatrując się ładnym dziewczynom w skąpych kostiumach kąpielowych. Ale czy tego chciał? Popow nie wiedział dokładnie, jak mogłaby wyglądać jego emerytura, chociaż nie miał wątpliwości, że znajdzie coś dla siebie. Może wykorzysta swe talenty i będzie handlował

papierami wartościowymi jak prawdziwy kapitalista, spędzając czas na pomnażaniu bogactwa?

Może to jest to, pomyślał, popijając poranną kawę i wyglądając przez okno, które wychodziło na południe, w kierunku Wall Street. Ale nie był jeszcze całkiem gotów na takie życie. Niepokoił się tym, że nie rozumie istoty operacji, które mu zlecano. Nie rozumiejąc, nie mógł oszacować grożącego mu niebezpieczeństwa. Mimo całych swych umiejętności, doświadczenia i profesjonalnego treningu, nie miał pojęcia, dlaczego jego pracodawcy zależy na tym, żeby wypuszczać tygrysy z klatek na otwartą przestrzeń, gdzie czekali na nie myśliwi. Jaka szkoda, że nie mogą o to spytać, pomyślał Popow. Może odpowiedź byłaby nawet zabawna.

Formalności meldunkowe w hotelu załatwiano z mechaniczną precyzją. Recepcja była ogromna i zastawiona komputerami, które rejestrowały przybywających gości w rekordowo krótkim czasie, aby jak najprędzej mogli zacząć wydawać pieniądze w parku. Juan odebrał

plastikowy klucz z rąk ładniutkiej recepcjonistki, podziękował, wziął bagaż i ruszył do swego pokoju, zadowolony, że nigdzie nie było tu wykrywaczy metali. Odległość była niewielka, a windy nieoczekiwanie przestronne, zapewne w trosce o ludzi na wózkach inwalidzkich, pomyślał. Pięć minut później rozpakowywał się już w swoim pokoju. Właśnie kończył, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

— *Bonjour*. — To Renè. Francuz wszedł, usiadł na łóżku i przeciągnął się. — Jesteś gotów, przyjacielu? — spytał po hiszpańsku.

— *Si* — odpowiedział Bask. Nie wyglądał na Hiszpana. Miał rudawe włosy, przystojną twarz i starannie przystrzyżoną brodę. Nigdy nie został aresztowany przez hiszpańską policję.

Był inteligentny, ostrożny i bez reszty oddany sprawie. Miał już na swoim koncie dwie bomby podłożone pod samochody, a także zabójstwo. Renè wiedział, że dla Juana będzie to największa operacja w życiu, ale Bask wydawał się gotowy. Napięty, może trochę zdenerwowany, ale pełen werwy i dobrze przygotowany do odegrania swej roli. Renè znał się na tej robocie. Najczęściej były to zabójstwa na zatłoczonej ulicy. Zbliżał się do swojej ofiary, strzelał z pistoletu z tłumikiem i odchodził normalnym krokiem. Tak było najlepiej, bo zabójca prawie zawsze pozostawał nierozpoznany — mało kto mógłby zobaczyć pistolet i mało kto zwracał uwagę na człowieka,

idącego spokojnie po Polach Elizejskich. A potem można się było przebrać i włączyć telewizor, żeby zobaczyć relacje ze swej pracy. Action Directe została w znacznej mierze —

choć nie całkowicie — rozbita przez policję francuską. Ci, których schwytano, nie stracili wiary w towarzyszy na wolności, nie zdradzili ich, mimo wielkich nacisków, a także obietnic, jakich nie szczędzili Francuzi w mundurach. Może dzięki tej operacji niektórzy z nich odzyskają wolność, chociaż nadrzędnym celem było uwolnienie Carlosa. Renè przypuszczał, że nie będzie go łatwo wydostać z więzienia La Sante. Wstał i wyrztał przez okno na stację, z której ludzie odjeżdżali do parku. Zobaczywszy tam dzieci pomyślał, że są jednak rzeczy, z którymi żaden rząd, choćby najbardziej bezwzględny, nie będzie się mógł pogodzić.

W innym pokoju hotelowym, dwa budynki dalej, Jean-Paul obserwował tę samą scenę, a przez głowę przebiegały mu bardzo podobne myśli. Nigdy się nie ożenił, a i większe romanse zdarzały mu się rzadko. Teraz, mając czterdzieści trzy lata, wiedział, że spowodowało to jakąś anomalię w jego życiu i charakterze, pustkę, którą próbował wypełnić ideologią polityczną, wiarą w zasady i wizją promiennej, socjalistycznej przyszłości dla swego kraju, dla Europy, a w końcu dla całego świata. Ale racjonalna część jego umysłu podpowiadała mu, że te marzenia były utopią, że rzeczywistość znajdowała się trzy piętra niżej i sto metrów dalej, że były nią widziane z oddali twarze dzieci, czekających na pociąg do parku i... Nie, tak nie wolno myśleć. Jean-Paul i jego przyjaciele wiedzieli, że ich sprawa jest słuszna. Przez całe lata prowadzili nie kończące się dyskusje na temat tego, w co wierzyli, dochodząc do wniosku, że obrali właściwą drogę.

Opowiadali sobie o swych frustracjach, które tak niewielu z zewnątrz potrafiło zrozumieć — ale pewnego dnia zrozumieją, przejrzą na oczy, zobaczą drogę sprawiedliwości, którą socjalizm oferuje całemu światu, zorientują się, że tę drogę do promiennej przyszłości musi utorować rewolucyjna elita, która pojmuje znaczenie i potęgę historii... On, Jean-Paul i jego towarzysze nie popełnią takich błędów jak Rosjanie, ci ciemni chłopcy w za dużym, głupio zorganizowanym kraju. Potrafił teraz spoglądać na ludzi, czekających na peronie, aż gwizdek lokomotywy zapowie przyjazd pociągu i widzieć — martwe przedmioty. Nawet tamte dzieci nie były tak naprawdę ludźmi, lecz politycznymi manifestami, które ogłaszają inni, tacy jak on, którzy rozumieją jaki naprawdę jest ten świat albo jaki powinien być. Będzie, obiecał sobie. Pewnego dnia.

Mike Dennis zawsze spędzał przerwę na lunch na zewnątrz. Przyzwyczyił się do tego na Florydzie. Podobało mu się, że w Parku Światowym można było zamówić alkohol, w tym wypadku czerwone hiszpańskie wino, które sączył z plastikowego kubka, przyglądając się ludziom i próbując wyłuskać z tłumu takich, którzy sprawiali wrażenie zbłąkanych owiec. W tej chwili nikogo takiego nie widział. Ulice i alejki w parku zostały zaprojektowane na podstawie symulacji komputerowych.

Najwięcej ludzi przyciągały rozmaite kolejki, górskie i nie tylko, więc ulice poprowadzono tak, żeby prowadziły gości do tych najbardziej spektakularnych. Te wielkie i drogie rzeczywiście były spektakularne. Jego własne dzieciaki uwielbiały nimi jeździć, zwłaszcza Nurkującym Bombowcem, który sprawiał wrażenie, jakby mógł przyprawić pilota myśliwskiego o mdłości. Obok była Machina Czasu — siedmiominutowa podróż w rzeczywistości wirtualnej, w którą jednorazowo mogło się wybrać dziewięćdziesięciu sześciu gości. Testy wykazały, że siedem minut było granicą — gdyby podróż potrwała dłużej, niektórym ludziom mogłoby się zrobić niedobrze. Po takich przejażdżkach goście chętnie szli napić się czegoś albo zjeść lody, więc małą gastronomię rozmieszczono tak, żeby

nie musieli długo szukać. Nieco dalej znajdowała się restauracja „U Pepe”, elegancki lokal, specjalizujący się w kuchni katalońskiej. Restauracji nie lokalizuje się w pobliżu kolejek — obserwowanie Nurkującego Bombowca raczej nie zaostrzało apetytu, a dorosłym, którzy korzystali z tej atrakcji najczęściej w ogóle przechodziła na jakiś czas chęć na zjedzenie czegokolwiek. Konfigurowanie parków tematycznych i zarządzanie nimi było połączeniem nauki i sztuki, a Mike Dennis należał

do tych niewielu ludzi na świecie, którzy wiedzieli, jak to się robi, co uzasadniało jego bardzo wysokie zarobki i tłumaczyło uśmiech na twarzy, kiedy popijał wino, obserwując swoich gości, bawiących się tutaj znakomicie. Jeśli można to nazwać pracą, to miał najlepsze zajęcie pod słońcem. Nawet astronauta, przemierzający kosmos na pokładzie promu kosmicznego nie mieli takiej satysfakcji. On bawił się swoją ulubioną zabawką codziennie. Oni mogli mówić o szczęściu, jeśli udało im się polecieć dwa razy do roku.

Przerwa się skończyła i Dennis wrócił do biura na Strada España, Głównej Ulicy Hiszpańskiej. Był to kolejny przyjemny dzień w Parku Światowym, świeciło słońce, temperatura wynosiła dwadzieścia jeden stopni Celsjusza, powietrze było czyste i rześkie. W Hiszpanii rzadko padał deszcz — klimat był podobny do kalifornijskiego. Większość personelu mówiła po hiszpańsku. Przechodząc koło jednego z funkcjonariuszy parkowej policji zerknął na plakietkę, umieszczoną na kieszonce koszuli. André mówił po hiszpańsku, francusku i angielsku. Bardzo dobrze. Tacy ludzie byli tu bardzo potrzebni.

Miejsce spotkania ustalili już wcześniej. Nurkujący Bombowiec oznakowany był

dokładnie jak niemiecki *Ju- 87 Stuka*, łącznie z czarnymi krzyżami na skrzydłach i na kadłubie, chociaż taktownie nie umieszczono swastyki na ogonie. Hiszpanie powinni się byli poczuć mocno urażeni, pomyślał André. Czy nikt już nie pamiętał Guereniki, tego hiszpańskiego miasta, w którym hitlerowcy zmasakrowali tysiące ludzi, po raz pierwszy pokazując światu, do czego są zdolni? Czyżby historia była dla tych ludzi bez znaczenia? Najwidoczniej. Czekaając na przejażdżkę, dzieci i dorośli nie raz wyciągali ręce, żeby dotknąć tej repliki — w skali 1:2 —

nazistowskiego samolotu, który z lutu nurkowego atakował żołnierzy i cywilów z wyciem syreny zwanej trąbą jerychońską. Syrenę zachowano zresztą jako element tej parkowej atrakcji, chociaż już po pierwszym podjeździe na wysokość stu pięćdziesięciu metrów krzyki pasażerów często ją zagłuszały. Zaraz potem rozlegał się huk wybuchających bomb, a w niebo tryskały fontanny wody, kiedy wagoniki wydostawały się z symulowanego ognia artylerii przeciwlotniczej i ruszały pętlą pod górę, na drugie wzgórze, po zbombardowaniu makiety okrętu. André zastanawiał się, czy jest jedynym człowiekiem w Europie, któremu symbolika tego wszystkiego wydaje się przerażająco bestialska.

Najwyraźniej. Ludzie wysiadali i biegli ustawić się w ogonku, żeby pojechać jeszcze raz.

Wyjątkiem byli ci, którzy odchodzili na stronę, żeby odzyskać utracone poczucie równowagi.

Zauważył, że niektórzy pocili się obficie, a dwóch nawet dostało torsji. Sprzątacze ze ścierką i wiadrem stał w pogotowiu — nie było to szczególnie ulubione zajęcie w Parku Światowym. Na tych,

którym było to potrzebne, kilka metrów dalej czekał lekarz. André pokręcił głową. Dobrze im tak, sukinsynom. Niech chorują, skoro zachciało im się przejażdżki w tym znieawidzonym symbolu faszyzmu.

Jean-Paul, Renè i Juan niemal jednocześnie pojawili się przy wejściu do Machiny Czasu, popijając coś z plastikowych kubków. Znakiem rozpoznawczym tej trójki i pięciu innych były kapelusze, kupione w kiosku przy wejściu. André skinął im głową i, zgodnie z planem, podrapał

się po nosie. Renè podszedł do niego.

— Gdzie tu jest toaleta? — spytał po angielsku.

— Proszę iść za tymi znakami — odpowiedział André, pokazując ręką kierunek. —

Kończę o osiemnastej. Kolacja, jak się umawialiśmy?

— Tak.

— Wszyscy gotowi?

— Absolutnie gotowi, przyjacielu.

— Więc zobaczymy się na kolacji. — André skinął głową i odszedł, kontynuując swój patrol, podczas gdy jego towarzysze rozeszli się po parku. Wyobrażał sobie, że niektórzy zechcą pewnie skorzystać z tutejszych atrakcji. Na porannej odprawie powiedziano im, że jutro powinno być jeszcze więcej gości. Dziś wieczorem i jutro rano ponad dziewięć tysięcy ludzi przybędzie tu na weekend, przedłużony, ponieważ był to Wielki Piątek. Park był przygotowany na przyjmowanie tłumów, a od kolegów André zdążył już usłyszeć niejedną zabawną historię o tym, co się tu działo. Cztery miesiące temu jakaś kobieta urodziła bliźnięta w punkcie medycznym dwadzieścia minut po przejażdżce Nurkującym Bombowcem. Jej mąż był nieźle zaskoczony, natomiast doktor Weiler nie posiadał się z zachwytu. Dzieci z miejsca dostały dożywotnie karty wstępu do Parku Światowego, zadbano też, żeby o wszystkim dowiedziała się lokalna telewizja.

Trudno o lepszą reklamę. Może chłopcu dadzą na imię Troll, parsknął André, zobaczywszy właśnie jednego z parkowych trolli. Dowiedział się, że za krótkonogie, wielkogłowe trolle przebierały się drobne kobiety. Można to było nawet rozpoznać po cienkich nogach, wsuniętych w ogromne buciska. W kostiumach były nawet pojemniki z wodą, żeby trolle mogły się ślinić...

Nieco dalej rzymski legionista pojedynkował się z germańskim barbarzyńcą. W końcu jeden z nich rzucił się do ucieczki, a drugiego nagrodzą brawami ludzie, obserwujący ten spektakl.

Skręcił w ulicę w stylu niemieckim — *Straße* — gdzie orkiestra powitała go głośnie marszową muzyką. Ciekawe, dlaczego nie zagrają „Horst-Wessel-Lied”? zastanawiał się André. Dobrze by ta hitlerowska pieśń pasowała do tego cholernego zielonego *Stukasa*. A dlaczego by nie ubrać orkiestry w czarne mundury SS, i jeszcze zorganizować niektórym gościom przymusową wizytę w łaźni — czyż nie było to również częścią historii europejskiej? Przeklęte miejsce! — pomyślał

Andrè. Jego symbolika wręcz musiała wywołać oburzenie u każdego, kto nie był do cna wyzbyty świadomości politycznej. Ale nie, masy miały krótką pamięć i nie obchodziła ich historia polityczna, czy gospodarcza. Był szczęśliwy, że właśnie to miejsce wybrali na swój manifest polityczny. Może to skłoni tych idiotów do zastanowienia, choć trochę, nad tym, jaki jest ten świat. A jest naprawdę parszywy, pomyślał Andrè, pozwalając sobie na zmarszczenie brwi, mimo że dzień był słoneczny, tłumy uśmiechnięte, a od personelu Parku Światowego oczekiwało się pogodnego wyrazu twarzy.

Tutaj, powiedział sobie. Dokładnie w tym miejscu. Dzieciaki je uwielbiały. Stał ich tu teraz spory tłum, szarpały za ręce swych rodziców, ubranych w szorty i sandały. Wiele dzieci miało kapelusze na głowach i balony z helem przywiązane do cienkich nadgarstków. I było jedno specjalne dziecko, dziewczynka na wózku inwalidzkim, z plaketką informująca obsługę, że małą trzeba do każdej atrakcji przepuszczać bez kolejki. Chore dziecko, Holenderka, sądząc po tym, jak ubrani byli jej rodzice, pomyślał Andrè. Pewnie umiera na raka, a tu wysłała ją któraś z organizacji charytatywnych, wzorujących się na amerykańskiej fundacji Make-A-Wish (wypowiedz życzenie), która płaciła za to, żeby rodzice mogli dać swojemu umierającemu szczeniakowi pierwszą i ostatnią szansę zobaczenia trolla i innych znanych postaci z kreskówek; postaci, na których sprzedaż Park Światowy wykupił licencję. Andrè widział oczy chorego dziecka, które pewnie już bardzo niedługo znajdzie się w grobie. Jakże błyszczały teraz, jak bardzo opiekuńczy był wobec dziewczynki personel parku, jakby miało to jeszcze jakieś znaczenie. Burżuazyjny sentymentalizm, który był racją bytu całego tego parku. Cóż, zajmą się tym, i to już niedługo. Było to niewątpliwie najlepsze miejsce na manifestację polityczną, na zwrócenie uwagi całej Europy i całego świata na to, co naprawdę ważne.

Ding dopił pierwsze piwo. Wiedział, że pozwoli sobie jeszcze tylko na jedną. Było niepisaną regułą (której przestrzegania nikt nie usiłował sprawdzać), że nikt nie pił więcej niż dwóch piw jednego wieczora, jeśli jego zespół znajdował się w stanie gotowości, czyli prawie zawsze. Poza tym, dwie piny[17] brytyjskiego piwa, to całkiem sporo, naprawdę. Wszyscy członkowie Drugiego Zespołu jedli teraz kolację z rodzinami. Tęcza była pod tym względem dość niezwykłą jednostką. Każdy z żołnierzy miał żonę i przynajmniej jedno dziecko. Co więcej, małżeństwa wydawały się trwałe. John nie potrafiłby powiedzieć, czy było to charakterystyczne dla ludzi z operacji specjalnych, ale wiedział, że te dwunogie tygrysy, które u niego pracowały, w domu zmieniały się w kocięta. Była to zadziwiająca i zabawna dychotomia.

Sandy podała główne danie, pyszną pieczeń wołową. John wstał i poszedł po nóż, żeby móc spełnić swój obowiązek. Patsy zerknęła na ogromny kawał nieżywego byka i przez chwilę zastanawiała się nad chorobą wściekłych krów, ale uznała, że jej matka na pewno dobrze upiekła mięso. Poza tym, lubiła pieczeń wołową — pal diabli cholesterol — a w dodatku jej mama była mistrzynią świata w robieniu sosów.

— Jak ci idzie w szpitalu? — spytała Sandy swą córkę-lekarkę.

— Na ginekologii rutyna. Nie mieliśmy ani jednego trudnego przypadku przez ostatnich parę tygodni. Trochę liczyłam na *placenta previa*[18] albo może nawet na *abruptio placentae*[19], chciałam się przekonać, czy jesteśmy przygotowani, ale...

— Tak nie można, Patsy. Widziałam już takie rzeczy na ostrym dyżurze. Totalna panika, a jeśli ci z ginekologii nie są naprawdę dobrzy, wszystko bierze w łeb. Umiera matka i dziecko.

— Widziałaś tu kiedyś coś takiego, mamó?

— Nie, ale kiedy byłam w Williamsburgu, dwa razy niewiele brakowało. Pamiętasz doktora O'Connora?

— Taki wysoki, chudy?

— Tak. — Sandy skinęła głową. — Dzięki Bogu, że za drugim razem to właśnie on miał dyżur. Stażysta zupełnie się pogubił, ale Jimmy interweniował na czas. Jestem pewna, że przegralibyśmy wtedy, gdyby nie on.

— Cóż, jeśli się wie, co się robi...

— Nawet jeśli wiesz, co robisz, sprawa jest bardzo skomplikowana. Osobiście wolę, kiedy nic nadzwyczajnego się nie dzieje. Za długo jestem już na ostrych dyżurach — ciągnęła Sandra Clark. — Bardzo lubię spokojne noce, kiedy mogę nadrobić zaległości w lekturze.

— Głos doświadczenia — zauważył John Clark, krojąc mięso.

— Myślę, że to rozsądne — zgodził się Domingo Chavez, głaszcząc żonę po ręce. — Jak tam mały?

— Właśnie zachciało mu się kopać — odpowiedziała Patsy, kładąc sobie dłoń męża na brzuchu. Pomyślała, że to nigdy nie zawodzi. To spojrzenie, kiedy poczuł ruchy dziecka w jej łonie. Stawał się nagle miękki jak wosk.

— Dziecko — powiedział.

— Tak. — Uśmiechnęła się.

— Bardzo proszę bez żadnych przykrych niespodzianek, kiedy przyjdzie czas, dobrze? —

powiedział Chavez. — Chcę, żeby wszystko przebiegło najzupełniej normalnie. To i tak dostatecznie ekscytujące. Nie chciałbym zemdleć, albo co...

— Akurat! — Patsy roześmiała się głośno. — Ty miałbyś zemdleć? Ty, mój komandos?

— Nigdy nie wiadomo, kochanie — powiedział jej ojciec. — Widziałem już, jak twardzi faceci mdleją.

— Ale nie ten, panie C — zapewnił Domingo, unosząc brew.

— Przypominacie mi strażaków — odezwała się Sandy. — Siedzicie i czekacie, aż coś się stanie.

— To prawda — przyznał Domingo. — Ale jeśli pożar nigdy nie wybuchnie, nie będziemy mieć nic przeciwko temu.

— Naprawdę tak uważasz? — spytała Patsy.

— Tak, kochanie — powiedział jej mąż. — Akcje nie są zabawą. Dotąd dopisywało nam szczęście. Nie straciliśmy ani jednego zakładnika.

— Ale nie zawsze tak będzie — powiedział Tęcza Sześć swemu podwładnemu.

— Zawsze, jeśli tylko będę w stanie coś zrobić, John.

— Ding — Odezwała się Patsy, spoglądając znad talerza. — Czy ty... no wiesz, czy...

Spojrzenie wszystko jej powiedziało, chociaż odpowiedź brzmiała: — Nie mówmy o tym.

— Nie nacinaamy karbów na rękojeściach pistoletów, Patsy — powiedział John swojej córce. — Wiesz, to by było w złym stylu.

— Zgłosił się dzisiaj Noonan — zmienił temat Chavez. — Mówi, że ma nową zabawkę, którą powinniśmy sobie obejrzeć.

— A ile kosztuje? — spytał John w pierwszej kolejności.

— Podobno niewiele, bardzo niewiele. Delta właśnie zaczęła się tym bliżej interesować.

— Do czego to służy?

— Odnajduje ludzi.

— O? Coś tajnego?

— Skądże, normalny, komercyjny produkt. Ale znajduje ludzi.

— Jak?

— Potrafi namierzyć ludzkie serce z odległości do pięciuset metrów.

— Co takiego? — spytała Patsy. — W jaki sposób?

— Nie jestem pewien, ale Noonan mówi, że chłopaki w Fort Bragg zupełnie ociepieli... To jest, chciałem powiedzieć, że naprawdę zrobiło to na nich wielkie wrażenie. Nazywa się to

„Ratownik”, czy coś takiego. No i Noonan poprosił tych pożeraczy węży z DOS, żeby przysłali nam egzemplarz pokazowy.

— Zobaczmy — powiedział John, smarując masłem bułkę. — Pyszny chleb, Sandy.

— To z tej małej piekarni przy Millstone Road. Naprawdę mają tu wspaniałe pieczywo.



— A wszyscy tak narzekają na angielskie jedzenie. Idioci. Wychowałem się na takim.

— Ale je się tu tyle mięsa — martwiła się głośno Patsy.

— Mój cholesterol jest poniżej stu siedemdziesięciu, kochanie — przypomniał jej Ding.

— Niższy niż twój. Myślę, że to dzięki treningowi.

— Poczekaj, aż przybędzie ci lat — mruknął John. Po raz pierwszy w życiu zbliżał się do dwustu, mimo tych wszystkich ćwiczeń.

— Nie ma się co śpieszyć — zachichotał Ding. — Sandy, tak czy inaczej, gotujesz wspaniale.

— Dziękuję, Ding.

— Żeby tylko mózgi nam nie zgąbczały od angielskiej wołowiny. — Uśmiechnął się łobuzersko. — Cóż, to i tak bezpieczniejsze od szybkich zjazdów na linie z *Night Hawka*. Sam Houston jest w dalszym ciągu kontuzjowany. Może powinniśmy wypróbować jakieś inne rękawice?

— Mamy takie same, jakich używa SAS. Sprawdziłem.

— Tak, wiem. Rozmawiałem o tym przedwczoraj z Eddie’em. Mówi, że wypadki na treningach są nieuniknione, i że Delta traci w takich okolicznościach średnio jednego faceta rocznie. Mówię o śmiertelnych wypadkach.

— Co? — Patsy była zaalarmowana.

— A Noonan mówi, że FBI też straciła kiedyś faceta. Zjeżdżał na linie z *Hueya* i omsknęła mu się ręka. — Dowódca Drugiego Zespołu wzruszył ramionami.

— Jedyna rada, to trenować jeszcze więcej — powiedział John.

— Cóż, moi chłopcy są u szczytu formy. Teraz muszę znaleźć sposób na utrzymanie ich na tym poziomie.

— Nie będzie łatwo, Domingo.

— Domyślam się. — Chavez odsunął pusty talerz.

— Co to znaczy, że są u szczytu formy? — spytała Patsy.

— Kochanie, to znaczy, że Drugi Zespół jest gotowy. Zawsze byliśmy, ale w tej chwili nie widzę już niczego, co można by było poprawić. To samo z chłopakami Petera. Gdyby nie te dwie kontuzje, byłoby wprost idealnie, zwłaszcza od kiedy jest z nami Malloy. Cholera, ten potrafi latać śmigłowcem.

— Gotowy... zabijać ludzi? — spytała Patsy podejrzliwie. Sytuacja była dla niej trudna.

Jej powołaniem jako lekarza było ratowanie życia, a jednocześnie była żoną człowieka, do którego zadań często należało zabijanie. Ding na pewno już kogoś zabił, bo gdyby było inaczej, nie sugerowałby, żeby nie rozmawiać na ten temat. Jak to możliwe, że zabijał, a jednocześnie robił się miękki jak wosk, czując ruchy dziecka w jej łonie? Wielu spraw jeszcze nie rozumiała, chociaż kochała swego szczupłego, niskiego męża o oliwkowej skórze i promiennym uśmiechu.

— Nie, kochanie. Gotowy ratować ludzi. O nic innego nie chodzi w naszej pracy.

— Ale czy mamy pewność, że ich wypuszczą? — spytał Esteban.

— A czy będą mieli wybór? — odparł Jean-Paul i nalał z karafki wina do pustych już szklanek.

— Zgadza się — powiedział André. — Jaki będą mieli wybór? Okryliby się hańbą wobec całego świata. Przecież to tchórze, pełni burżuazyjnych sentymentów. Są słabi, nie to, co my.

— Żebyśmy się tylko nie przeliczyli — powiedział Esteban. Wcale nie chciał

występować w roli adwokata diabła, raczej wyraził obiekcje, które musiały ich wszystkich nurtować, w większym lub mniejszym stopniu. Esteban zawsze martwił się na zapas.

— To, co zrobimy, będzie wydarzeniem bez precedensu. Guardia Civil jest skuteczna, ale nie została przygotowana do takiej sytuacji. Policjanci — parsknął André pogardliwie. — Nie przypuszczam, żeby kogoś z nas aresztowali. — Pozostali skwitowali te słowa uśmiechem.

André mówił prawdę. To byli tylko policjanci, potrafiący łapać pospolitych złodziei, ale nie zaangażowanych politycznie, oddanych sprawie żołnierzy, odpowiednio uzbrojonych, wyszkolonych i umotywowanych. — Czyżbyś się rozmyślił?

Esteban zachnął się. — Oczywiście, że nie, towarzyszu. Po prostu doradzam obiektywne spojrzenie na naszą operację. Żołnierz rewolucji nie może dać się ponieść entuzjazmowi. —

Pozostali pomyśleli, że za tymi słowami kryją się obawy Estebana. Ale wszyscy je żywili, czego dowodem było nieprzyznawanie się do nich.

— Wydostaniemy Iljicza — oświadczył Renè. — Chyba że Paryż pogodzi się ze śmiercią setki dzieci. Ale to niemożliwe. Tego nie robią. A dzieciaki przelecą się do Libanu i z powrotem. Jesteśmy co do tego zgodni, prawda? — Rozejrzał się po zebranych. Cała dziewiątka skinęła głowami. — *Bien*. Tylko dzieciaki narobią w portki. Nam nic się nie stanie, przyjaciele.

— Na twarzach pojawiły się uśmiechy, a dwóch roześmiało się nawet głośno. Po restauracji krążyli kelnerzy. Renè dał jednemu znak ręką, chcąc zamówić więcej wina. Mieli tu dobry wybór, lepszy niż to, na co mógł liczyć w którymś z krajów islamskich przez następne kilka lat, kiedy będzie się wymykał agentom terenowym DGSE, oby z większym powodzeniem niż Carlos.

Cóż, nikt nigdy nie dowie się, kto przeprowadził tę operację. Przypadek Carlosa był w świecie terrorystów dobrą nauką. Nie warto się reklamować. Podrapał się po brodzie. Swędziało, ale wiedział, że przez najbliższe parę lat broda będzie jego osobistą gwarancją bezpieczeństwa. —

Co dalej, Andrè?

— Firma Thompson CSF przysłała do parku sześciuset pracowników z rodzinami, taka wycieczka zakładowa. Jak na zamówienie — powiedział Andrè. Thompson był wielkim francuskim producentem broni. Niektórzy pracownicy, a tym samym ich dzieci, nie będą obojętni rządowi francuskiemu. Francuzi i w dodatku ważni dla polityków, trudno o coś lepszego. —

Będą się poruszali w grupie. Mam ich rozkład dnia. W południe przyjdą do zamku na drugie śniadanie i pokaz. To będzie nasz moment, przyjaciele. — Wcześniej tego dnia Andrè dodał

jeszcze jeden element do tego planu. Tamte dzieci zawsze były gdzieś w pobliżu, zwłaszcza podczas pokazów.

— *D'accord?* — spytał Renè. Odpowiedzieli skinieniem głowy. W ich oczach było teraz więcej zdecydowania. Wątpliwości zostały rozwiane. Czekala ich operacja. Decyzja zapadła już dawno temu. Kelner przyniósł następne dwie karafki i napełnił szklaneczki. Wino bardzo im smakowało, zwłaszcza, że wiedzieli, iż może im go przez długi czas brakować, a alkohol pomagał im pozbyć się wątpliwości.

— Czyż to nie jest piękne? — zawołał Chavez. — Całe Hollywood. Trzymają broń jakby od niechcenia, ale z dwudziestu metrów wytrącają wiewiórkom orzeszek z łapki. Cholera, sam chciałbym tak potrafić.

— Trenuj, Domingo — poradził John i zachichotał. Na ekranie telewizyjnym czarny charakter poleciał dobre cztery metry do tyłu, jakby dostał rakieta przeciwczołgową, a nie ze zwykłego pistoletu kalibru 9 mm. — Skąd brać takich fachowców?

— Nie byłoby nas na nich stać, o wielki księgowy.

John omal nie zachlapał się piwem. Film skończył się kilka minut później. Bohater zdobył

dziewczynę. Wszyscy przestępcy byli martwi. Bohater odszedł ze swej agencji, pełen obrzydzenia dla panującej tam korupcji i głupoty. Odszedł w zachodzące słońce, zadowolony ze swego bezrobocia. Tak, pomyślał Clark — to całe Hollywood. Rodzinny wieczór dobiegał końca.

Wkrótce Ding i Patsy wrócili do siebie, spać. John i Sandy zrobili to samo.

Wygląda jak wielki plan filmowy, pomyślał Andrè, wchodząc do parku na godzinę przed otwarciem. Goście tłoczyli się już przy głównej bramie. Jakież to amerykańskie, mimo tych wszystkich starań, żeby był to park europejski. Cała koncepcja była amerykańska, zaczerpnięta od tego durnia Walta Disneya z jego gadającymi myszami i bajkami, dzięki którym ukradł

masom tyle pieniędzy. Religia nie była już opium dla mas. Nie, w dzisiejszych czasach był to eskapizm, uciekanie od szarej, zniechęcającej codzienności. Ci burżuazyjni głupcy nie potrafili zrozumieć, czym stało się ich życie. Kto ich tu przyprowadzał? Ich własne dzieciaki, piskliwie

domagające się zobaczenia trolla i innych postaci z japońskich kreskówek, albo przejażdżki w znieciercierowanym hitlerowskim *Stukasie*. Nawet Rosjanie, którym udało się wyszarpać dość pieniędzy z ich podupadłej gospodarki, żeby wyrzucać je tutaj garściami, nawet ci Rosjanie jeździli tym *Stukasem*! André pokręcił głową z niedowierzaniem. Dzieci nie pamiętały i chyba nie mogły sobie zdawać sprawy z obscenicznej symboliki Nurkującego Bombowca, ale ich rodzice?! A mimo to przychodzili.

— André?

Parkowy policjant odwrócił się i spostrzegł, że przygląda mu się Mike Dennis, szef Parku Światowego.

— Tak, *monsieur* Dennis?

— Mam na imię Mike, pamiętasz? — szef stuknął palcem w swą plakietkę. Ach, tak, w parku było regułą, że wszyscy mówili do siebie po imieniu — to też musieli przejąć od Amerykanów.

— Tak, Mike, przepraszam.

— Dobrze się czujesz, André? Wyglądałeś, jakby ci coś dolegało.

— Naprawdę? Nie... Mike, nic mi nie jest. Po prostu niewiele spałem dziś w nocy.

— W porządku. — Dennis poklepał go po ramieniu. — Zapowiada się pracowity dzień.

Od jak dawna u nas jesteś?

— Dwa tygodnie.

— Podoba ci się?

— To niepowtarzalne miejsce.

— I o to chodzi, André. Trzymaj się.

— Tak, Mike. — Patrzył za swym szefem, który szedł szybkim krokiem w stronę zamku, gdzie znajdowało się jego biuro. Przekłęci Amerykanie, uważają, że każdy zawsze musi być szczęśliwy, bo jeśli nie, to znaczy, że coś nie jest w porządku, a jeśli coś nie jest w porządku, to trzeba to naprawić. Cóż, pomyślał André, coś rzeczywiście nie jest w porządku, ale zostanie naprawione jeszcze dzisiaj. Ale Mike'owi raczej się to nie spodoba.

Kilometr dalej Jean-Paul przekładał broń z walizki do plecaka. Zamówił sobie do pokoju wielkie śniadanie w stylu amerykańskim, doszedłszy do wniosku, że ten posiłek będzie mu musiał wystarczyć na cały dzień, a może i na dłużej. Jego koledzy zapewne robili w tej chwili to samo w swoich pokojach. Miał dziesięć zapasowych magazynków do pistoletu maszynowego *Uzi*, sześć magazynków do broni krótkiej — pistoletu kalibru 9 mm — a także trzy granaty odłamkowe. Całości wyposażenia dopełniało radio. Plecak zrobił się ciężki, ale przecież nie zamierzał go nosić przez cały dzień. Jean-

Paul spojrział na zegarek i po raz ostatni obrzucił

wzrokiem pokój. Wszystkie przybory toaletowe niedawno kupił. Żeby upewnić się, że nigdzie nie pozostawił odcisków palców, przetarł je wilgotnym ręcznikiem, tak samo jak powierzchnię stołu i biurka, a na koniec także śniadaniowe naczynia i sztucce. Nie wiedział, czy policja francuska dysponuje jego odciskami palców, ale jeśli nie, to po co ułatwiać im założenie teczki?

Był ubrany w długie spodnie koloru khaki i koszulę z krótkim rękawem. Zabrał też ten głupi kapelusz, który kupił poprzedniego dnia. W tym absurdalnym miejscu będzie wyglądał jak zwyczajny turysta, zupełnie niegroźny. Wziął plecak i wyszedł z pokoju, zatrzymując się na chwilę, żeby wytrzeć klamkę, wewnątrz i na zewnątrz, po czym ruszył do windy. Nacisnął guzik tak, żeby nie zostawić na nim odcisku palca i po chwili szedł już do stacji. Plastikowy klucz do pokoju hotelowego był jednocześnie kartą wstępu do pociągu, przewożącego gości do Parku Światowego. Zdjął plecak i usiadł. W przedziale był już jakiś Niemiec z żoną i dwojgiem dzieci.

Też miał ze sobą plecak. Postawił go właśnie na siedzeniu obok. Coś stuknęło głucho.

— Moja kamera wideo — wyjaśnił Niemiec, po angielsku, co Jean-Paulowi wydało się trochę dziwne.

— Też mam ze sobą kamerę. Trochę ciężko, prawda?

— No tak, ale przynajmniej będziemy mieć pamiątkę z tego dnia w parku.

— Na pewno — odpowiedział Jean-Paul. Lokomotywa zagwizdała i pociąg ruszył.

Francuz sprawdził, czy ma w kieszeni bilet do parku. Miał opłacone prawo wstępu jeszcze przez trzy dni. Pomyślał, że jutro bilet nie będzie mu już potrzebny. Nikomu już nie będzie potrzebny.

— Co, u diabła? — mruknął John, czytając faks, zdjęty ze sterty poczty. — Fundusz stypendialny? — Kto śmiał złamać zasady bezpieczeństwa? George Winston, sekretarz skarbu?

— Alice! — zawołał.

— Tak, panie Clark — powiedziała pani Foorgate, wchodząc do jego gabinetu. —

Przypuszczałam, że to narobi zamieszania. Zdaje się, że pan Ostermann czuje potrzebę odwzięczenia się za uratowanie mu życia.

— Regulują to jakieś przepisy? — spytał John.

— Nie mam pojęcia, sir.

— Jak można by się dowiedzieć?

— Chyba od jakiegoś prawnika.

— Współpracuje z nami jakiś prawnik?

— O ile wiem, to nie. I prawdopodobnie będzie panu potrzebnych dwóch — Brytyjczyk i Amerykanin.

— Cudownie — mruknął szef Tęczy. — Mogłaby pani poprosić do mnie Alistaira?

— Oczywiście, sir.

## Miecz legionów

Wycieczkę pracowników firmy Thompson CSF planowano od kilku miesięcy. Trzy setki dzieciaków starały się, jak mogły, żeby wyprzedzić program nauczania i zasłużyć na dodatkowy tydzień wolnego. Wycieczka miała też związek z interesami. Thompson instalował w Parku Światowym skomputeryzowane systemy kontrolne. Była to część programu, mającego zmienić profil firmy. Thompson, który dotąd zajmował się głównie produkcją broni i sprzętu wojskowego, chciał się przekształcić w bardziej wszechstronną firmę elektroniczną.

Doświadczenie w zakresie produkcji dla wojska było nadal bardzo przydatne. Nowe systemy kontrolne, pozwalające monitorować wszystko, co działo się na terenie Parku Światowego, były pochodną systemu przekazywania danych, opracowanego dla sił lądowych NATO. Były to przyjazne dla użytkownika urządzenia, z instrukcjami w wielu językach, transmitujące dane drogą radiową, a nie liniami kablowymi. Oszczędzało się dzięki temu miliony franków.

Thompson zrealizował zamówienie w terminie i zmieścił się w zakładanych kosztach — wiele zakładów przemysłu zbrojeniowego na całym świecie dopiero uczyło się tej trudnej sztuki.

Chcąc uczcić realizację tak ważnego kontraktu, kierownictwo Thompsona włączyło się w przygotowania tego wielkiego pikniku w Parku Światowym. Wszyscy uczestnicy wycieczki —

dorośli i dzieci — byli ubrani w czerwone koszulki z logo firmy na piersiach i wszyscy byli w tej chwili razem, idąc na środek parku pod eskortą sześciu kosmatych trolli, które tańczyły przez całą drogę do zamku, pociesznie podskakując na swych absurdalnie wielkich stopach. Grupę Thompsona eskortowali również rzymscy legioniści, dwaj dekurioni w wilczych skórkach, z proporcami kohorty, i jeden w skórze lwa, niosący złotego orła, święty symbol VI Legionu *Victrix*, stacjonującego obecnie w Parku Światowym, jak jego prekursor za czasów cesarza Tyberiusza w roku 20 przed naszą erą. Pracownicy parku, oddelegowani do Legionów, stworzyli swój własny etos, i maszerowali z przyjemnością, trzymając miecze — hiszpańskie *spatha* — w pochwach, umieszczonych dziwnie wysoko na prawym boku, co jednak było historycznie słuszne, i z tarczami w lewych rękach. Szli razem, równie dumni, jak prawdziwi żołnierze tamtego zwycięskiego legionu — *victrix* oznaczało właśnie „zwycięski” — dwadzieścia wieków wcześniej. Ich poprzednicy byli kiedyś pierwszą i jedyne linią obrony rzymskiej kolonii, którą była ta część dzisiejszej Hiszpanii.

Grupie Thompsona brakowało chyba tylko przewodników z chorągiewkami, ale temu zwyczajowi hołdowali jedynie Japończycy. Po uroczystościach, zaplanowanych na pierwszy dzień, ludzie z Thompsona mieli korzystać z atrakcji parku już na własną rękę, spędzając cztery dni jak normalni turyści.

Mike Dennis oglądał przemarsz na monitorach w swym biurze, przeglądając jednocześnie notatki.

Rzymscy legioniści byli jednym z charakterystycznych elementów jego parku i okazali się niezwykle popularni. Ostatnio Mike zwiększył ich liczbę z pięćdziesięciu do ponad stu i powołał trzech centurionów, mających nimi dowodzić. Wyróżniali się kitami, umieszczonymi na bokach hełmów, a nie z przodu i z tyłu, jak u zwykłych legionistów. Legioniści zaczęli nawet ćwiczyć szermierkę i krążyła plotka, że niektórzy mieli ostre miecze. Dennis wolał tego nie sprawdzać, bo gdyby przekonał się, że plotka mówiła prawdę, musiałby położyć temu kres. Poza tym, wszystko, co korzystnie wpływało na morale pracowników, było również korzystne dla parku, a on uważał, że ludziom trzeba pozwolić kierować ich działaniami, przy jak najmniejszej ingerencji z dyspozytorni na zamku. Sięgnął po komputerową mysz i przybliżył obraz na jednym z monitorów. Goście z Thompsona nadchodzili dwadzieścia minut za wcześnie, a... tak, na czele parady szedł Francisco de la Cruz. Francisco był emerytowanym sierżantem sił

powietrznodesantowych armii hiszpańskiej. Tu, w parku, bardzo polubił maszerowanie na czele parad. Wyglądał na twardego faceta, mimo swoich pięćdziesięciu paru lat. Miał mocarne ramiona i ślady zarostu na twarzy — Park Światowy pozwalał swoim pracownikom nosić wąsy, ale nie brody — tak gęstego, że musiał się golić dwa razy dziennie. Maluchy trochę się go bały, ale Francisco wiedział, jak z nimi postępować. Brał je na ręce, mówił coś do nich jak wielki, niedźwiedziowaty dziadek i zaraz się rozweselały. Dzieciaki bardzo lubiły bawić się czerwoną kitą z końskiego włosia na jego hełmie. Dennis zapisał sobie w myślach, żeby zaprosić go na lunch. Francisco dobrze kierował swym zespołem i zasługiwał na takie wyróżnienie.

Sięgnął po grubą kopertę, leżącą na biurku. Miał tam tekst przemówienia na powitanie gości z Thompsona. Parkowa orkiestra następnie odegra kilka utworów, potem parada trolli i obiad w zamkowej restauracji. Spojrzał na zegarek, wstał i wyszedł na korytarz, prowadzący do zamaskowanego przejścia z „tajnymi” drzwiami na dziedziniec zamku. Architektom, którzy projektowali tę budowlę, pozostawiono wolną rękę, i dobrze wykorzystali oni petrodolary znad Zatoki Perskiej, chociaż zamek nie był do końca autentyczny. Miał schody przeciwpożarowe, systemy gaśnicze i stalowy szkielet, a nie po prostu kamienne bloki, poustawiane jeden na drugim i spojone wapnem.

— Mike? — usłyszał za plecami i odwrócił się.

— Tak, Pete.

— Telefon. Dzwoni prezes.

Dennis zawrócił i pośpieszył do biura, ściskając w ręku tekst przemówienia.

Francisco de la Cruz — dla przyjaciół Pancho — nie był wysoki. Miał tylko metr siedemdziesiąt wzrostu, ale za to potężną klatkę piersiową i nogi jak słupy. Ziemia się trzęsła, kiedy maszerował na sztywnych nogach; pewien historyk powiedział mu, że takim właśnie krokiem chodzili legioniści. Jego żelazny hełm był ciężki. Czuł, jak chwieje się umocowana na nim kita. W lewej ręce niósł wielką tarczę legionisty — *scutum* — sięgającą mu od głowy do kostek. Była wykonana z laminowanego drewna, okuta metalem i miała ciężki, ozdobny guz z żelaza na środku wizerunku



Meduzy. Rzymianie, o czym przekonał się już dawno, musieli być twardymi żołnierzami, skoro szli do bitwy w tak ciężkim rynsztunku. W sumie prawie trzydzieści kilo, razem z racją żywności i menażką — tyle samo Francisco nosił na ćwiczeniach w wojsku.

Park postarał się, żeby wyposażenie legionistów było jak najwierniejszą repliką oryginalnego sprzętu, choć metal był na pewno lepszej jakości niż ten, który powstawał w kuźniach Cesarstwa Rzymskiego. Sześciu małych chłopców ustawiło się za nim, naśladowując sztywny krok Francisco.

De la Cruz bardzo to lubił. Jego synowie byli w wojsku hiszpańskim, idąc śladami ojca, tak jak teraz ci francuscy chłopcy. Dla Francisco de la Cruz świat był absolutnie w porządku.

Zaledwie kilka metrów dalej do naprawy świata szykowali się Jean-Paul, Renè i Esteban, ten ostatni z pękiem balonów, przywiązanych do nadgarstka. Właśnie przed chwilą sprzedał

jeden z tych baloników. Pozostali, wszyscy w białych kapeluszach Parku Światowego, przesuwali się w tłumie na z góry upatrzone pozycje. Żaden z terrorystów nie ubrał się w koszulkę z logo Thompsona, chociaż nietrudno byłoby ją zdobyć. Zamiast tego mieli na sobie czarne koszule Parku Światowego, kontrastujące z białymi kapeluszami i wszyscy z wyjątkiem André i Estebana nieśli plecaki, podobnie jak wielu innych gości.

Trolle ustawiły wszystkich na miejscach o kilka minut za wcześnie. Dorośli żartowali między sobą, a dzieci rozglądały się, machały rękami i śmiały się radośnie. Niektóre biegały dookoła dorosłych, bawiąc się w tłumie w chowanego. Ta radosna beztroska miała się wkrótce skończyć... Esteban zobaczył dwójkę dzieci na wózkach inwalidzkich. Nie należały do grupy Thompsona. Miały specjalne plakietki, ale nie były ubrane w czerwone koszulki.

André też je spostrzegł. Jedną z nich była ta umierająca holenderska dziewczynka, którą widział już poprzedniego dnia, a ta druga? Chyba Angielka, sądząc po wyglądzie jej ojca, popychającego wózek przez tłum w kierunku zamku. Tak, obie się przydadzą. Dobrze, że żadna z nich nie była Francuzką.

Dennis usiadł za biurkiem. Do rozmowy potrzebne były szczegółowe informacje, które musiał wydobyć z komputera. Tak, kwartalne dochody parku okazały się o 4,1 procent większe niż przewidywano. Tak zwany martwy sezon w sumie nie okazał się wcale taki martwy.

Wyjątkowo dobra pogoda, wyjaśnił Dennis. Nie można liczyć, że tak będzie zawsze. Poza tym wszystko w porządku, jeśli nie liczyć drobnych kłopotów z komputerami na jednej, czy dwóch kolejkach górskich. Tak, kilku programistów już nad tym pracuje... Tak, jest to objęte gwarancją producenta i jego przedstawiciele okazują maksimum dobrej woli — nic dziwnego, w końcu ubiegają się o kontrakt na dwie następne superkolejki, tak wspaniałe, że powinny cały świat wprawić w osłupienie, powiedział Dennis prezesowi, który jeszcze nie widział oferty. Miał się z nią zapoznać za trzy tygodnie, kiedy znów przybędzie do Hiszpanii. Zrobią programy telewizyjne, poświęcone koncepcji i projektom tych dwóch atrakcji, obiecał Dennis prezesowi, przeznaczone głównie dla amerykańskich sieci kablowych. Byłoby wspaniałe, gdyby udało się dzięki temu przyciągnąć więcej amerykańskich gości, ukraść ich imperium Disneya, które wymyśliło parki tematyczne. Prezes, Saudyjczyk, który kiedyś zdecydował się zainwestować w Park Światowy, ponieważ jego dzieci uwielbiały jeździć kolejkami, na które on nawet nie mógł

popatrzeć, żeby nie zrobiło mu się niedobrze, teraz entuzjastycznie przyjął propozycję nowych atrakcji. Nawet nie spytał o szczegóły, chciał, żeby Dennis zrobił mu niespodziankę, kiedy przyjdzie czas.

— Co tam się dzieje, u diabła? — powiedział Dennis przez telefon, usłyszawszy...

...stacatto długiej serii wystrzelonej w powietrze z pistoletu maszynowego Jean-Paula.

Wszyscy podskoczyli na odgłos strzałów. Ludzie na dziedzińcu zamku odwrócili się i skulili instynktownie. Zobaczyli brodatego mężczyznę ze skierowaną do góry bronią, z której posypały się mosiężne łuski. Zareagowali, jak się tego można było spodziewać po cywilach — przez kilka sekund patrzyli tylko zaszokowani, nawet nie zdążywszy się jeszcze na dobre przestraszyć.

Ci, którzy stali najbliżej strzelającego zaczęli się instynktownie cofać, zamiast próbować się na niego rzucić, tymczasem inni mężczyźni wyciągnęli broń z plecaków, odczekali chwilę i...

Francisco de la Cruz stał za jednym z nich i zobaczył, że tamten wyciąga broń, jeszcze zanim ten pierwszy strzelił. Emerytowany sierżant rozpoznał dobrze znany kształt izraelskiego pistoletu maszynowego *Uzi* i wbił wzrok w tę broń, oceniając odległość. Coś takiego tutaj, w parku? Szok trwał tylko krótką chwilę, dwadzieścia kilka lat służby w mundurze sprawiło, że w okamgnieniu znów był żołnierzem. Od brodatego przestępcy dzieliły go cztery metry. Ruszył

naprzód.

Claude dostrzegł jakiś ruch kątem oka, odwrócił się... A to co? Mężczyzna w kostiumie rzymskiego legionisty i w jakimś dziwnym nakryciu głowy zmierzał w jego kierunku.

Zagrożenie...

...centurion de la Cruz działał pod wpływem jakiegoś żołnierskiego instynktu, który odezwał się w nim teraz, powrócił z czasów, kiedy Francisco nosił jeszcze mundur. Prawą ręką wyciągnął miecz — *spatha* — z pochwy umieszczonej wysoko na prawym boku, a lewą uniósł

tarczę, tak, że ozdobny, żelazny guz znalazł się na wysokości wylotu lufy *Uzi*. Zamachnął się mieczem. Tę broń wykonał mu na zamówienie kuzyn w Toledo. Była wykuta ze stali węglowej, tak jak kiedyś miecz Cyda[20] i miała klingę tak ostrą, że można było się nią ogolić. Francisco nagle znów był żołnierzem i po raz pierwszy w swej karierze miał przed sobą uzbrojonego przeciwnika, a w rękę broń. Dzieląca ich odległość była już mniejsza niż dwa metry i, *Uzi*, czy nie *Uzi*, wiedział, że...

Claude strzelił krótką serią, jako to ćwiczył wiele razy, w środek nacierającej na niego masy, ale przypadkiem był to gruby na trzy centymetry, żelazny guz ozdobny na tarczy, i pociski odbiły się od niego, rozrywając się przy tym...

...de la Cruz poczuł uderzenie odłamków w lewe ramię, ale ukłucia owadów byłyby boleśniejsze.

Natarł, tnąc mieczem w lewo, a potem w prawo, nie tak, jak powinno się to robić tą bronią, ale klinga, ostra jak brzytwa na odcinku dwudziestu centymetrów od czubka, zrobiła swoje, rozcinając lewe ramię tego *cabrona* tuż poniżej krótkiego rękawa koszuli. Po raz pierwszy w życiu Francisco de la Cruz wytoczył krew w walce...

Claude poczuł przenikliwy ból. Uniósł prawą rękę i ściągnął spust. Długa seria trafiła w tarczę na prawo i poniżej ozdobnego guza. Trzy pociski trafiły Francisco w lewą nogę, wszystkie poniżej kolana, przechodząc przez metalowy nagolennik. Jeden z pocisków strzaskał mu piszczel. Centurion krzyknął z bólu, tracąc równowagę. Klinga, która miała zadać drugi, tym razem zabójczy cios, o włos minęła gardło przeciwnika. Mózg wciąż wydawał nogom rozkazy, ale Francisco miał w tej chwili tylko jedną sprawną nogę. Druga zupełnie odmówiła posłuszeństwa i były spadochroniarz upadł na lewą stronę, twarzą do ziemi...

Mike Dennis podbiegł do okna, zamiast patrzeć na monitory. Przy monitorach byli inni, a ujęcia z różnych kamer były automatycznie nagrywane na kasetach wideo. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. A jednak działo się coś, co przecież było niemożliwe. Uzbrojeni ludzie, otaczający tłum w czerwonych koszulkach. Jak psy pasterskie zaganiali ludzi na dziedziniec zamku. Dennis odwrócił głowę.

— Alarm! Alarm! — krzyknął do człowieka przy głównej konsoli. Tamten kliknął

komputerową myszą i wszystkie drzwi do zamku zostały zaryglowane.

— Zawiadom policję! — rozkazał następnie. To też było zaprogramowane. System alarmowy wysyłał sygnał do najbliższego posterunku policji. W zasadzie był to sygnał, informujący o próbie napadu rabunkowego, ale na razie i to powinno wystarczyć. Dennis podniósł słuchawkę telefonu, stojącego na biurku i wybrał numer policji, który miał zapisany na kartce przyklejonej do aparatu. Park poczynił przygotowania na wypadek próby napadu na pomieszczenie, w którym przechowywana była gotówka. Zakładano, że może się na coś takiego ważyć tylko grupa uzbrojonych przestępców i opracowano odpowiednie procedury na taką ewentualność. Wszystkie parkowe kolejki zostały natychmiast zatrzymane, wszystkie atrakcje pozamykane. Za chwilę goście zostaną poinstruowani, żeby wracali do swych hoteli albo na parking, ponieważ park zaraz zostanie zamknięty z powodu nieoczekiwanej... Odgłos strzałów z broni maszynowej na pewno poniósł się daleko, więc goście rozumieją, że nie wolno tracić czasu.

Dobra zabawa, pomyślał Andrè. Założył biały kapelusz, który dostał od jednego z towarzyszy i wziął do ręki broń, którą przyniósł mu Jean-Paul. Kilka metrów dalej Esteban przeciął przywiązane do nadgarstka sznurki, na których kołysały się baloniki. Natychmiast poleciały w powietrze, a on również sięgnął po broń.

Po dzieciach nie było widać tak wielkiego przerażenia, jak po ich rodzicach.

Podskakiwały na odgłos strzałów, tak głośnych, że aż bolały uszy, ale może myślały, że to jeszcze jedno z tych magicznych wydarzeń, które na każdym kroku rozgrywały się w parku.

Jednak strach jest zaraźliwy, a dzieci bardzo szybko dostrzegły wyraz twarzy rodziców i teraz, jedno

po drugim, tuliły się do dorosłych, czepiając się ich za ręce lub za nogi i patrząc na tych brodatych mężczyzn, którzy biegali teraz naokoło grupy w czerwonych koszulkach, trzymając w rękach coś, co wyglądało, jak... broń. Chłopcy rozpoznali ten kształt, który znali ze swych zabawek, ale to nie były zabawki.

Dowodził Renè. Podeszedł do wejścia do zamku, oddalając się trochę od pozostałych dziewięciu, którzy pilnowali tłumu. Wielu ludzi skuliło się albo przykucnęło, szukając jakiegoś schronienia. Wielu pstrykało aparatami fotograficznymi, a kilku miało kamery wideo. Niektórzy na pewno sfilmują jego twarz w zbliżeniu, ale nic nie mógł na to poradzić.

— Dwójka! — zawołał. — Wybierz naszych gości!

„Dwójka” był Jean-Paul, który przeszedł teraz przez tłum, bezceremonialnie roztrzając ludzi i chwycił za rękę czteroletnią francuską dziewczynkę.

— Nie! — krzyknęła rozzwierająco jej matka. Jean-Paul wymierzył do niej z *Uzi*. Skuliła się, ale nie ustępowała, cały czas przytrzymując dziecko za ramiona.

— Jak chcesz — powiedział do niej Jean-Paul, opuszczając lufę. — Skoro tak, to ją zastrzelę. — Przystawił dziewczynce lufę *Uzi* do główki. Matka krzyknęła jeszcze głośniejsze, ale cofnęła ręce.

— Idź tam — powiedział Jean-Paul do dziecka stanowczym tonem, wskazując ręką Juana. Małą dziewczynka z jasnobrązowymi włosami poszła posłusznie, oglądając się z otwartą buzią na osłupiałą matkę, podczas gdy uzbrojony mężczyzna wybierał następne dzieci.

Po drugiej stronie Andrè robił to samo. Najpierw podeszedł do tej małej, chorej Holenderki. Na specjalnej plakietce miała wypisane imię — ANNA. Andrè bez słowa odsunął

ojca małej i popchnął wózek inwalidzki w kierunku zamku.

— Moje dziecko jest chore — zaprotestował ojciec po angielsku.

— Tak, widzę — odpowiedział Andrè w tym samym języku, rozglądając się za następnym chorym dzieckiem. Te bachory będą świetnymi zakładnikami

— Ty parszywa świni! — krzyknęła matka drugiego dziecka. Andrè trzasnął ją kolbą *Uzi* w twarz, łamiąc jej nos. Kobieta zalała się krwią.

— Mamusiuuu! — krzyknął chłopczyk na wózku inwalidzkim, który Andrè popychał

jedną ręką po rampie w kierunku zamku. Dziecko odwróciło się i zobaczyło, jak jego matka upada na ziemię. Uklęknął przy niej jeden z pracowników parku, sprzątacze, ale ona tylko krzyczała coraz głośniejsze imię swojego synka: — Tommy!

Wkrótce krzyczeli już rodzice czterdzieściorga dzieci, wszyscy w czerwonych koszulkach z logo Thompsona. Małych zakładników zapędzono do zamku. Reszta stała w bezruchu przez kilka sekund. Zaraz jednak oszołomieni ludzie ruszyli powoli w kierunku Strada España.

— Cholera, idą tutaj — powiedział Mike Dennis. Rozmawiał przez telefon z kapitanem, który dowodził miejscowym posterunkiem Guardia Civil.

— Niech pan ucieka — zareagował natychmiast kapitan. — Jeśli tylko jest taka możliwość, niech pan z niej skorzysta. Będziecie nam potrzebni, pan i pańscy ludzie. Uciekajcie!

— Ale... Do cholery, przecież ja odpowiadam za tych ludzi.

— Zgoda, ale tam, w środku, nic pan nie będzie mógł dla nich zrobić. Niech pan ucieka!

Natychmiast! — rozkazał kapitan.

Dennis odłożył słuchawkę i spojrzał na swych piętnastu pracowników w dyspozytorni. —

Wszyscy za mną! Idziemy do rezerwowej dyspozytorni. Ruszajcie! — powiedział z naciskiem.

Zamek nie był autentyczny, chociaż sprawiał takie wrażenie. Wyposażono go w tak nowoczesne udogodnienia jak windy i schody przeciwpożarowe. Dennis pomyślał, że windy będą chyba zbyt ryzykowne i ruszył w stronę schodów, prowadzących prosto do podziemi.

Podszedł do ogniotrwałych drzwi, otworzył je i dał znak swym pracownikom, żeby przechodzili.

Nie trzeba ich było namawiać. Wszyscy chcieli uciec z tego miejsca, które nieoczekiwanie stało się niebezpieczne. Ostatni rzucił mu klucze. Dennis zamknął za sobą drzwi pożarowe i zbiegł

spiralnymi schodami cztery piętra w dół. Wkrótce znalazł się w podziemiach, zatłoczonych w tej chwili pracownikami i gośćmi, których trolle i legioniści skierowali tu pośpiesznie, chcąc zapewnić im bezpieczeństwo. Była i grupa parkowych policjantów, ale żaden nie był uzbrojony w coś groźniejszego niż radio. W skarbcu była wprawdzie broń, ale pod kluczem. Tylko niewielu pracowników Parku Światowego potrafiło i miało prawo się nią posługiwać, a poza tym Dennis wolał uniknąć strzelaniny w podziemiach. Miał zresztą co innego do zrobienia. Rezerwowa dyspozytornia znajdowała się już poza terenem Parku Światowego, na samym końcu podziemnego miasta. Pobiegł za swym personelem, kierując się na północ, do wyjścia na parking dla pracowników. Dotarli tam po pięciu minutach. Dennis wpadł do dyspozytorni i spostrzegł, że była już obsadzona. Z telefonu na jego biurku jeden z pracowników zdążył się nawet połączyć z Guardia Civil.

— Jest pan bezpieczny? — spytał kapitan.

— Chyba tak, przynajmniej na razie — odpowiedział Dennis i wywołał na monitor obraz, przekazywany przez kamerę w jego biurze w zamku.

— Tędy — powiedział André. Ale drzwi były zamknięte. Odsunął się trochę i strzelił z pistoletu w zamek. Jednak, w odróżnieniu od tego, co widzi się na filmach, drzwi pozostały zamknięte. Renè pociągnął serią z *Uzi*, szarpnął za klamkę i drzwi się otworzyły. André poprowadził ich schodami na

górze i kopnięciem otworzył drzwi do dyspozytorni. W środku było pusto. Zaklął.

— Widzę ich! — zawołał Dennis przez telefon. — Jeden, dwóch... sześciu uzbrojonych mężczyzn... Jezu! Mają ze sobą dzieci! — Jeden z brodaczy podszedł do kamery, uniósł pistolet i obraz zniknął.

— Ilu mężczyzn z bronią? — spytał kapitan.

— Co najmniej sześciu, ale może dziesięciu, albo i więcej. Wzięli dzieci jako zakładników. Słyszysz pan? Zabrali ze sobą dzieci!

— Rozumiem, *Señor* Dennis. Muszę teraz pana opuścić, żeby zająć się koordynacją działań. Proszę być w pogotowiu.

— Tak, oczywiście. — Dennis poruszał sterownikiem innej kamery, chcąc się zorientować, co dzieje się w jego parku. — Cholera! — zaklął. Zaczynała go ogarniać wściekłość. Zatelefonował do prezesa, zastanawiając się, co, u diabła, odpowie, kiedy saudyjski książę spyta go, co się, u diabła, dzieje. Zamach terrorystyczny w parku rozrywki?

W swoim biurze kapitan Dario Gassman zadzwonił do Madrytu z pierwszym meldunkiem o tym incydencie. Jego policjanci byli już w trakcie realizowania planu na wypadek zagrożenia.

Szesnastu ludzi w dziesięciu samochodach pędziło autostradami z różnych kierunków, wiedząc na razie tylko, że realizowany jest plan P. Przede wszystkim trzeba było zabezpieczyć teren.

Rozkazy były jednoznaczne: nikogo nie wpuszczać i nie wypuszczać. Ten drugi miał się zresztą wkrótce okazać absolutnie niemożliwy do wykonania. Powiadomiwszy Madryt, kapitan Gassman pojechał swoim samochodem do Parku Światowego. Było to dobre pół godziny drogi, nawet na syrenie i z migającymi światłami, miał więc trochę czasu, żeby względnie spokojnie wszystko przemyśleć. Na miejscu lub w drodze było już szesnastu policjantów, ale to za mało, jeśli w Parku Światowym znajdowało się dziesięciu uzbrojonych ludzi. Za mało nawet na zabezpieczenie terenu bezpośrednio wokół zamku i wokół całego parku. Ilu jeszcze ludzi będzie potrzebował? Czy trzeba będzie zawołać na pomoc zespół antyterrorystyczny, utworzony kilka lat temu przez Guardia Civil? Prawdopodobnie tak. Co to za przestępcy? Napadać na Park Światowy o tej porze? Najlepszą porą na napad rabunkowy był późny wieczór, już po zamknięciu parku, chociaż musiał przyznać, że właśnie na taką ewentualność byli przygotowani jego ludzie

— ponieważ wtedy pieniądze były już w jednym miejscu, posortowane i spakowane w worki, przygotowane do odwiezienia do banku, strzeżone przez personel parku, a czasem przez ludzi Gassmana... Tak, napad był najbardziej prawdopodobny właśnie wieczorem. A jednak tamci, kimkolwiek byli, wybrali samo południe i wzięli zakładników. Dzieci. No więc był to napad rabunkowy, czy coś innego? Co to za przestępcy? A jeśli to terroryści? Wzięli zakładników...

dzieci... Baskowie? Cholera, a jeśli tak, to co dalej?

Sprawy nie leżały już w gestii Gassmana. Jeden z menedżerów Thomsona rozmawiał

właśnie przez telefon komórkowy z centralą firmy. Natychmiast ściągnięto prezesa, przerywając mu

przyjemne drugie śniadanie w kawiarnianym ogródku. Prezes zadzwonił do ministra obrony i od tej chwili wszystko potoczyło się bardzo szybko. Relacja menedżera z tego, co zaszło w Parku Światowym była zwięzła i jednoznaczna. Minister obrony zatelefonował do niego bezpośrednio, poleciwszy sekretarce dokładne notowanie wszystkiego, co może się przydać. Przepisane na maszynie notatki wysłano faksem do premiera i ministra spraw zagranicznych, który następnie zadzwonił do szefa dyplomacji hiszpańskiej z pilną prośbą o potwierdzenie. Sprawa zawędrowała już w sferę polityki, a w Ministerstwie Obrony wykonano jeszcze jeden telefon.

— Tak, tutaj John Clark — powiedział szef Tęczy do słuchawki. — Tak, sir... Gdzie to dokładnie jest?... Rozumiem... Ilu? W porządku. Proszę przekazywać nam wszelkie informacje, jakie do pana wpłyną... Nie, sir, me możemy wyruszyć, dopóki nie zwróci się do nas rząd danego kraju. Dziękuję, panie ministrze. — Clark przełączył się na inną linię. — Al, chodź do mnie.

Szykuje się robota. — Następnie wezwał jeszcze Billa Tawneya, Bellowa, Chaveza i Covingtona.

Menedżer Thompsona w Parku Światowym zajęty był w dalszym ciągu zbieraniem swoich ludzi w jednym miejscu i liczeniem ich. Był kiedyś oficerem w wojskach pancernych armii francuskiej. Teraz pracował bardzo energicznie i szybko, żeby choć trochę zapanować nad chaosem. Pracowników, którym nie odebrano dzieci, ustawił z boku, w jednej grupie. Policzył

pozostałych i ustalił, że brakowało trzydziściorga trojga dzieci, plus jedno, albo dwoje na wózku inwalidzkim. Jak można się było tego spodziewać, rodzice odchodzili od zmysłów ze zdenerwowania, ale zapanował nad nimi, po czym ponownie zadzwonił do swego prezesa, żeby uzupełnić swą pierwszą relację. Następnie zorganizował parę kartek i przystąpił do sporządzania listy zabranych dzieci. Imiona, nazwiska i wiek. Starał się panować nad emocjami, dziękując Bogu, że jego dzieci — dwójka — były już za duże na wycieczkę do Parku Światowego.

Uporawszy się z listą, odprowadził ludzi od zamku i spytał jednego z pracowników parku, gdzie może znaleźć telefon i faks. Zaprowadzono ich wszystkich przez drewniane, wahadłowe drzwi do dobrze zakamuflowanego budynku służbowego i schodami do podziemi, a potem do rezerwowej dyspozytorni, gdzie spotkali Mike'a Dennisa, który wciąż ścisnął w rękę tekst przemówienia powitalnego i usiłował pojąć, co się właściwie stało.

Właśnie wtedy przybył Gassman. Wszedłszy do rezerwowej dyspozytorni zobaczył listę zakładników, nadawaną faksem do Paryża. Nie minęła minuta, kiedy zadzwonił francuski minister obrony. Okazało się, że zna osobiście menedżera Thompsona — pułkownika Roberta Gamelina, który kilka lat wcześniej kierował zespołem, pracującym nad najnowszą wersją systemu kontroli ognia dla czołgu *Leclerc*.

— Ile dzieci?

— Trzydzieści troje od nas i prawdopodobnie jeszcze kilkoro, ale sądzę, że terroryści świadomie wybrali właśnie naszą grupę, *Monsieur Ministre*. To robota dla Legii — powiedział

pułkownik Gamelin z naciskiem, mając na myśli francuską Legię Cudzoziemską i jej zespół

operacji specjalnych.

— Zobaczymy, pułkowniku. — Minister rozłączył się.

— Jestem kapitan Gassman — przedstawił się Gamelinowi facet w dziwnym kapeluszu.

— Jasna cholera, w zeszłym roku zabrałem tam rodzinę — powiedział Peter Covington.

— Potrzebny byłby cały pieprzony batalion, żeby odbić to miejsce. Toż to koszmar. Mnóstwo wielopiętrowych budynków. O ile pamiętam, mają tam również podziemia.

— Plany, szkice? — spytał Clark panią Foorgate.

— Zobaczę — odpowiedziała sekretarka i wyszła z sali konferencyjnej.

— Co wiemy? — zapytał Chavez.

— Niewiele, ale Francuzi są strasznie podnieceni, domagają się, żeby Hiszpanie nas tam ściągnęli i...

— To właśnie przyszło — powiedziała Alice Foorgate, podała Johnowi faks i zaraz znowu wyszła.

— Lista zakładników. — Jezu! Same dzieci, od czterech do jedenastu lat... trzydzieści troje... Jasna cholera! Clark odetchnął głęboko, jeszcze raz przeleciał wzrokiem listę i podał ją Stanleyowi.

— Jeśli nas zawołają, ruszamy obydwojma zespołami — powiedział natychmiast Alistair.

Clark skinął głową. — Na to wygląda. — W tym momencie zadzwonił telefon.

— Rozmowa do pana Tawneya — dobiegł kobiecy głos z głośnika.

— Tu Tawney — powiedział szef wywiadu Tęczy, podniósłszy słuchawkę. — Tak, Roger... tak, wiemy, zadzwonili do nas z... ach, tak, rozumiem. Pozwól, że zajmę się tu paroma sprawami. Dziękuję ci, Roger. — Tawney odłożył słuchawkę. — Rząd hiszpański poprosił, za pośrednictwem ambasady brytyjskiej w Madrycie, żebyśmy natychmiast wkroczyli do akcji.

— W porządku — powiedział John, wstając. — Ruszamy. Chryste, ależ to szybko poszło.

Chavez i Covington wybiegli z sali i każdy skierował się w stronę budynku swojego zespołu. Ponownie zadzwonił telefon Clarka. — Tak? — Słuchał przez chwilę. — Doskonale.

Dziękuję, sir.

— Kto to był, John?

— Minister obrony zażądał *MC- 130* z Pierwszego Skrzydła Operacji Specjalnych.



Dostarczą go tutaj, razem ze śmigłowcem Malloya. Okazuje się, że dwadzieścia kilometrów od miejsca, w które udajemy się, jest lotnisko wojskowe. Whitehall załatwia właśnie zgodę na lądowanie. — Nie musiał dodawać, że samolot transportowy *Hercules* będzie ich mógł zabrać prosto z Hereford. — Za ile możemy wyruszyć?

— Za niecałą godzinę — odpowiedział Stanley, zastanowiwszy się przez chwilę.

— To dobrze, bo *Hercules* będzie tu za czterdzieści minut albo jeszcze wcześniej. Załoga idzie w tej chwili do maszyny.

— Uwaga — powiedział Chavez pół kilometra dalej, wchodząc do budynku Drugiego Zespołu. — Mamy robotę. Szykować się.

Ruszyli w stronę szafek ze sprzętem, zanim jeszcze sierżant Patterson zadał oczywiste pytanie: — Ding, przecież to Pierwszy Zespół jest dziś w stanie pogotowia. Co się dzieje?

— Wygląda na to, że potrzebne będą oba zespoły, Hank. Wszyscy dziś wyruszają.

— W porządku. — Patterson poszedł do swojej szafki. Sprzęt zawsze trzymali przygotowany i spakowany. Plastikowe pojemniki wojskowe podtoczono na kółkach pod drzwi, jeszcze zanim podjechała mająca je zabrać ciężarówka.

Pułkownik Gamelin dowiedział się tego jeszcze przed kapitanem Gassmanem. Francuski minister obrony zadzwonił do niego bezpośrednio, żeby poinformować, że na prośbę rządu hiszpańskiego przylatuje zespół operacji specjalnych, i że będzie na miejscu za trzy godziny, a może i wcześniej. Gamelin przekazał tę informację swoim ludziom, ku niezadowoleniu hiszpańskiego policjanta, który następnie zadzwonił do swojego ministra w Madrycie, żeby poinformować go, co się dzieje. Okazało się, że minister był właśnie w kontakcie z hiszpańskim MSZ. Dodatkowe siły policyjne były w drodze i Gassman otrzymał rozkaz niepodejmowania żadnej akcji z wyjątkiem zabezpieczenia terenu. Reakcja Gassmana na odsunięcie go od akcji była łatwa do przewidzenia, ale rozkaz to rozkaz. Mając na miejscu lub w drodze trzydziestu policjantów, rozkazał dziesięciu z nich podejść do zamku, ostrożnie i powoli. Dwóch dalszych miało pójść podziemiami, z bronią zabezpieczoną i w kaburach. Otrzymali wyraźny zakaz strzelania, bez względu na okoliczności. Było to jedno z tych poleceń, które łatwo jest wydać, ale trudniej wykonać.

Renè pomyślał, że na razie wszystko układa się tak, jak powinno. Centralna dyspozytornia parku przekroczyła jego najśmielsze oczekiwania. Była po prostu jak wymarzona.

Usiłował się właśnie rozeznac w systemie komputerowym, kontrolującym kamery, w których polu widzenia był chyba cały obszar parku, od parkingu po rozmaite atrakcje. Obraz był czarno-biały. Każdą z kamer mógł dowolnie sterować — przybliżyć lub oddalać obraz i przesuwając obiektyw w prawo i w lewo. Przy ścianach w biurze ustawionych było dwadzieścia monitorów, a każdy był podłączony przez terminal komputerowy do co najmniej pięciu kamer. Nikt nie zbliżył się niezauważony do zamku. Doskonale.

W sąsiednim pomieszczeniu, w którym zwykle pracowały sekretarki, André kazał

dzieciom usiąść na podłodze w jednej zwartej grupie. Tylko dwójkę na wózkach inwalidzkich ustawił z boku, pod ścianą. Wszystkie dzieci miały oczy szeroko otwarte i sprawiały wrażenie wystraszonych, co zresztą było normalne w tych okolicznościach. Były w tej chwili ciche. André nie miał nic przeciwko temu. Przewiesił sobie pistolet maszynowy przez ramię. Nie potrzebował go w tej chwili.

— Bądźcie cicho — upomniął je po francusku, po czym przeszedł do dyspozytorni. —

Jedynka — zawołał.

— Tak, Dziewiątka? — odezwał się Renè.

— Wszystko pod kontrolą. Czy nie czas już zadzwonić?

— Tak — zgodził się Renè, podniósł słuchawkę, szukał przez chwilę wzrokiem odpowiedniego guzika i w końcu nacisnął ten, który wydał mu się najbardziej prawdopodobny.

— Słucham.

— Kto mówi?

— Mike Dennis. Jestem dyrektorem parku.

— *Bien*. Ja jestem Jedynka i teraz ja rządę pańskim Parkiem Światowym.

— W porządku, panie Jedynka. Czego pan chce?

— Policja już przyjechała?

— Tak, są tutaj.

— Dobrze. Chcę mówić z ich dowódcą.

— Kapitanie. — Dennis pomachał ręką. Gassman zrobił trzy kroki i stanął przy jego biurku.

— Tu kapitan Dario Gassman z Guardia Civil.

— Jestem Jedynka. Ja tu dowodzę. Wiecie, że wziąłem ponad trzydziestu zakładników?

— *Si*, wiem o tym — odpowiedział kapitan, starając się panować nad głosem. Czytał

odpowiednie książki i przeszedł szkolenie, podczas którego uczono ich, jak rozmawiać z przestępcami, którzy wzięli zakładników. Żałował, że nie pogłębiał tej wiedzy. — Chce mnie pan o coś prosić?

— Ja nie proszę. Będę ci wydawał rozkazy, które masz natychmiast wykonywać.

Będziesz też przekazywał moje rozkazy innym. Rozumiesz? — spytał Renè po angielsku.

— *Si, comprendo.*

— Wszyscy nasi zakładnicy są Francuzami. Nawiążesz łączność z ambasadą francuską w Madrycie i będziesz tam przekazywał moje rozkazy. Pamiętaj, że wśród naszych zakładników nie ma Hiszpanów. To sprawa między nami a Francją, rozumiesz?

— *Señor Uno*, odpowiadam za bezpieczeństwo tych dzieci. Jesteśmy na terytorium Hiszpanii.

— Wszystko jedno — odpowiedział Jedyńka. — Masz natychmiast nawiązać łączność telefoniczną z ambasadą francuską i zaraz dać mi znać.

— Przede wszystkim muszę przekazać pańską prośbę moim zwierzchnikom. Zgłoszę się do pana, kiedy otrzymam od nich instrukcje.

— Śpiesz się — powiedział Renè i odłożył słuchawkę.

W kabinie było głośno. Cztery silniki zawyły, rozpędzając *MC-130* po pasie startowym.

Po chwili samolot wznosił się ostro w powietrze. Rozpoczął się lot do Hiszpanii. Clark i Stanley byli z przodu, w przedziale łączności. Przez solidnie izolowane słuchawki usiłowali zrozumieć przekazywane im informacje, jak zwykle niespójne i fragmentaryczne. Głos w słuchawkach obiecywał, że plany i szkice będą już na nich czekać, kiedy przylecą. Nic nowego w sprawie dokładnej liczby ani tożsamości terrorystów — pracują nad tym, powiedział głos. W tym momencie przyszedł faks z Paryża, przekazany za pośrednictwem Pierwszego Skrzydła Operacji Specjalnych, które było teraz połączone bezpieczną linią z Hereford. Kolejna lista zakładników, ale tym razem Clark przeczytał uważnie nazwiska, starając się wyobrazić sobie twarze poszczególnych dzieci. Wiedział, że to nie ma sensu, ale robił to mimo wszystko. Trzydzieścioro troje dzieci siedziało w tej chwili w zamku na terenie parku rozrywki, pilnowanych przez uzbrojonych mężczyzn, co najmniej sześciu, ale może dziesięciu, albo i więcej. Wciąż nie było dokładnych informacji. Niech to cholera, pomyślał John. Wiedział, że niektórych spraw nie da się przyspieszyć; w tym biznesie zawsze wszystko szło za wolno, nawet jeśli robiło się coś samemu.

Mężczyźni odpięli pasy i zaczęli się przebierać w czarne kombinezony z nomexu.

Rozmawiali niewiele. Obaj dowódcy zespołów poszli na przód samolotu, żeby się czegoś dowiedzieć. Wrócili po dziesięciu minutach i również się przebrali. Obaj mieli taki wyraz twarzy, że ich żołnierze od razu się zorientowali, iż wieści nie są dobre. Chavez i Covington przekazali swoim ludziom te nieliczne informacje, jakimi dysponowali. Po chwili wszyscy mieli już taki sam wyraz twarzy. Dzieci jako zakładnicy. Prawdopodobnie ponad trzydzieścioro, a może i więcej, przetrzymywane z nieznanymi dotąd powodów przez nieznaną liczbę terrorystów, których narodowości jeszcze nie ustalono. Praktycznie rzecz biorąc, wiedzieli tylko tyle, że lecą dokądś, żeby

coś zrobić, a co, tego dowiedzą się na miejscu. Usiedli z powrotem i zapięli pasy.

W dalszym ciągu niewiele rozmawiali. Większość przymknęła oczy, ale mało kto naprawdę drzemał. Siedzieli po prostu z zamkniętymi oczami, próbując wykorzystać chwilę wytchnienia, mimo wycia silników.

— Potrzebuję numer waszego faksu — powiedział Jedyńka do ambasadora Francji, tym razem w swym ojczystym języku, a nie po angielsku.

— Proszę bardzo. — Ambasador podał mu numer.

— Wysyłamy wam listę więźniów politycznych, których uwolnienia żądamy. Mają zostać uwolnieni niezwłocznie i dostarczeni tutaj na pokładzie samolotu Air France. Następnie dziesięciu moich ludzi, nasi goście i ja sam wsiądziemy do tego samolotu i odlecimy. Cel podróży podam pilotowi, kiedy już znajdziemy się na pokładzie. Radzę spełnić nasze żądanie bez zbędnej zwłoki. Mamy mało cierpliwości i jeśli nasze żądanie nie zostaną spełnione, będziemy musieli zabić paru zakładników.

— Przekażę pańskie żądania do Paryża — powiedział ambasador.

— Dobrze. I niech pan nie zapomni dodać, że nie jesteśmy cierpliwi.

— *Oui*, nie zapomnę. — Połączenie zostało przerwane. Ambasador spojrzął na swych ludzi: w gabinecie był jego zastępca, a także attachè wojskowy i szef placówki DGSE.

Ambasador był biznesmenem, któremu politycy odwzajemnili jakąś grzeczność, wysyłając go na tę placówkę; Madryt był tak blisko Paryża, że nie trzeba było obsadzać tego stanowiska którymś z doświadczonych członków korpusu dyplomatycznego. — I co dalej?

— Rzucimy okiem na tę listę — powiedział szef placówki DGSE. Chwilę później rozległ

się elektroniczny sygnał i po paru sekundach z aparatu wysunęła się skrecona wstęga papieru.

Oficer wywiadu wziął ją, obrzucił wzrokiem i przekazał dalej. — Niedobrze — obwieścił.

— Szakal? — spytał retorycznie zastępca ambasadora. — Nigdy się nie...

— Nigdy nie należy mówić „nigdy”, przyjacielu — powiedział szpieg dyplomacie. —

Mam nadzieję, że ci komandosi znają się na swojej robocie.

— Co pan o nich wie?

— Nic, absolutnie nic.

— Jak długo trzeba będzie czekać? — spytał Esteban.

— Będą grać na zwłokę — odpowiedział Renè. — Niektóre tłumaczenia będą prawdziwe, inne będą stanowić wytwór ich fantazji. Pamiętaj, ich strategia polega na tym, żeby przeciągnąć wszystko jak najdłużej, zmęczyć nas, osłabić naszą determinację. Możemy się temu przeciwstawić, zabijając zakładnika. Nie można tego zrobić pochopnie. Wybraliśmy zakładników tak, żeby efekt psychologiczny był jak największy i musimy dobrze się zastanowić, jak ich wykorzystać. Ale przede wszystkim to my musimy kontrolować bieg wydarzeń. Na razie pozwolimy im zwlekać, a przez ten czas umocnimy nasze własne pozycje.

Renè poszedł zobaczyć, jak się czuje Claude. Rana na ramieniu, zadana przez tego durnego legionistę, była paskudna. Był to jedyny nieprzewidziany incydent. Claude siedział w kącie, przyciskając bandaż do rany, która wciąż krwawiła. Konieczne będzie założenie szwów.

Pech, ale w sumie nic poważnego, tyle że Claude się nacierpi.

Hector Weiler był głównym lekarzem Parku Światowego. Studia medyczne ukończył na uniwersytecie w Barcelonie, a teraz większość czasu spędzał na opatrywaniu otartych kolan i łokci. Na ścianie miał zdjęcie bliźniaków, których poród przyjął kiedyś, po tym, kiedy tamta ciężarna kobieta okazała się na tyle głupia, żeby wybrać się na przejażdżkę Nurkującym Bombowcem — teraz przy wejściu ustawiono bardzo wyraźny znak, przestrzegający kobiety w ciąży przed korzystaniem z tej atrakcji. Hector Weiler był wykwalifikowanym młodym lekarzem, który podczas praktyki spędził dość czasu na ostrym dyżurze i miał już do czynienia z ranami postrzałowymi. Francisco miał szczęście, że nie zginął. Oddano do niego co najmniej sześć strzałów. Odłamki poraniły mu trochę lewe ramię, ale to drobiazg. Znacznie poważniejsza była rana nogi. Złamany piszczel będzie się długo goił, biorąc pod uwagę wiek Francisco, ale przynajmniej złamanie nastąpiło dość wysoko. Trochę niżej i złamanie zrosłoby się nie wcześniej niż po sześciu miesiącach, jeśli w ogóle.

— Mogłem go zabić — mruzczał centurion, któremu lekarz zaaplikował już środki znieczulające. — Mogłem obciąć mu głowę, ale chybiłem.

— Nie całkiem, pierwszy cios był celny — powiedział doktor Weiler, widząc krew na mieczu, który leżał teraz na tarczy w kącie gabinetu zabiegowego.

— Powiedz mi coś o nim — rozkazał kapitan Gassman.

— Facet koło czterdziestki — powiedział de la Cruz. — Wyższy ode mnie o jakieś dziesięć, dwanaście centymetrów. Szatyn, trochę siwych włosów na brodzie. Oczy ciemne.

Pistolet maszynowy *Uzi*. Biały kapelusz — meldował były sierżant, wykrzywiając twarz z bólu.

Znieczulenie nie było wystarczająco silne, żeby ból zupełnie ustąpił, ale Francisco zdawał sobie sprawę, że musi powiedzieć wszystko, co wie, więc pogodził się z tym, że bolało, kiedy lekarz nastawiał złamaną nogę. — Było ich więcej. Widziałem jeszcze czterech, a może i więcej.

— Przypuszczamy, że jest ich około dziesięciu — poinformował go Gassman. — Czy tamten coś mówił?

De la Cruz pokręcił głową. — Nic nie słyszałem.

— Kim oni są? — spytał lekarz, nie odrywając wzroku od nogi pacjenta.

— Przypuszczamy, że to Francuzi, ale nie jesteśmy pewni — odpowiedział kapitan Guardia Civil.

Najtrudniej było w tej chwili pułkownikowi Malloyowi. Leciał nad kanałem La Manche kursem południe-południe-zachód ze stałą prędkością 280 kilometrów na godzinę. Ponieważ jego *Night Hawk* nie miał dodatkowych, zewnętrznych zbiorników paliwa, które umożliwiłyby pokonanie większej odległości, zaplanował tankowanie na francuskim lotnisku wojskowym w pobliżu Bordeaux. Podobnie jak prawie wszystkie śmigłowce, *Night Hawk* nie miał autopilota, więc Malloy i porucznik Harrison musieli własnoręcznie pilotować maszynę przez całą drogę.

Śmigłowce nie należą do najwygodniejszych statków powietrznych na świecie. Obaj piloci byli jednak do tego przyzwyczajeni, podobnie jak do narzekania na niewygodę. Co dwadzieścia minut zmieniali się przy sterach. Cały lot miał potrwać około trzech godzin. Z tyłu siedział ich mechanik, sierżant Jack Nance, wyglądając przez plastikowe okno. Nadlatywali nad wybrzeże Francji na wysokości sześciuset metrów. Pod sobą mieli port, pełen kutrów rybackich.

— Niesamowity pośpiech — powiedział Harrison przez interkom.

— Tak. Tęcza musi reagować szybko.

— Wiesz, co się stało?

— Nie mam pojęcia, synu. — Malloy pokręcił głową w hełmie. — Wiesz, nie byłem w Hiszpanii od kiedy stacjonowałem na „Tarawie”. Zaraz, kiedy to było? Chyba w 1985 roku.

Pamiętam świetną restaurację w Kadyksie... Ciekawe, czy jeszcze tam jest... — Rozmowa się urwała. Śmigłowiec z pochylonym nosem leciał na południe. Malloy co kilka sekund sprawdzał cyfrowy monitor nawigacyjny.

— Coraz mniej nowych elementów — powiedział Clark, czytając najnowszy faks.

Praktycznie nie zawierał on nic nowego, dotychczasowe informacje zostały tylko nieco uporządkowane przez jakiegoś oficera wywiadu. Zostawił z tym Alistaira Stanleya i poszedł na tył samolotu.

Mogło się wydawać, że ludzie z Tęczy śpią, ale prawdopodobnie próbowali się tylko odprężyć. Clark też tak robił wiele lat temu, w Trzeciej Grupie Operacji Specjalnych. Przemykał

oczy i udawał, że śpi, próbując odprężyć umysł i ciało, bo zastanawianie się nad czymś, o czym nie miało się pojęcia, było zupełnie pozbawione sensu, a napięcie było wyczerpujące, nawet kiedy mięśnie nie pracowały. Po prostu trzeba się więc było wyłączyć. Ci ludzie byli profesjonalistami. Wiedzieli, że stres i tak ich czeka, i że nie ma co przywoływać go za wcześniej.

John Clark, były komandos SEAL pomyślał w tym momencie, że dowodzenie takimi ludźmi, jak ci tutaj, to ogromny zaszczyt. Stał i po prostu się im przyglądał. Na beczynność w takiej chwili stać było tylko najlepszych, którzy znali smak akcji. Tym razem nikt nie powiedział im, jakie zadanie będą mieli do wykonania, ale musiało to być coś poważnego, ponieważ nigdy przedtem nie wyruszyli dwoma zespołami na raz. A jednak podchodzili do tego jak do jeszcze jednej rutynowej operacji. Byli najlepsi z najlepszych, a ich dowódcy — Chavez i Covington —

doprowadzili ich do szczytu formy.

Gdzieś w Hiszpanii terroryści przetrzymywali dzieci jako zakładników. Cóż, zadanie nie będzie łatwe, a poza tym o wiele za wcześnie jeszcze na spekulacje na temat konkretnych działań, ale John i tak wiedział, że lepiej było tutaj, na pokładzie *Herculesa*, niż w tamtym parku rozrywki, od którego dzieliło ich jeszcze pół godziny drogi. Wkrótce jego ludzie otworzą oczy i zaczną się przygotowywać do wyjścia, zabierając ze sobą sprzęt bojowy w pojemnikach. Patrząc teraz na nich, John Clark pomyślał, że kogoś czeka niedługo śmierć z ręki ludzi, którymi dowodził.

Tim Noonan siedział po prawej stronie w kącie przedziału bagażowego, pracując na komputerze. Obok niego usadowił się David Peled. Clark podszedł do nich i spytał, co robią.

— Agencje prasowe jeszcze tego nie podały — powiedział mu Noonan. — Ciekawe, dlaczego?

— Nie martw się, podadzą, i to niedługo. — John był o tym przekonany.

— Pewnie nie później niż za dziesięć minut — zgodził się Izraelczyk. — Kto będzie na nas czekał?

— Hiszpańskie wojsko i policja. Właśnie się dowiedziałem. Mamy zgodę na lądowanie...

Jeszcze dwadzieścia pięć minut — powiedział, spojrzawszy na zegarek.

— Jest. Agence France Presse właśnie dała pilną depezę — poinformował Noonan, czytając ją w poszukiwaniu nowych informacji. — Około trzydziściorga francuskich dzieciaków zakładnikami nieznanymi terrorystów... Nic więcej, poza miejscem, w którym się to wydarzyło.

To nie będzie zabawne, John — powiedział były agent FBI. — Ponad trzydziestu zakładników w zatłoczonym miejscu. Kiedy byłem w ZOZ, ćwiczyliśmy takie sytuacje. Dziesięciu terrorystów?

— spytał.

— Tak przypuszczają, ale nie ma jeszcze potwierdzenia.

— Gówniana sprawa, szefie. — Noonan pokręcił głową, wyraźnie zmartwiony. Był

ubrany, tak jak pozostali, w czarny kombinezon z nomexu i kamizelkę kuloodporną, z *H&K USP*

w kaburze na prawym biodrze. Wciąż bardziej się uważał za jednego ze strzelców niż za technicznego geniusza, ćwiczył strzelanie w Hereford z członkami obu zespołów i miał bardzo przyzwoite wyniki... a tu zagrożone były dzieci, pomyślał Clark. Dzieci w niebezpieczeństwie to

chyba najsilniejszy bodziec do działania, w wypadku Noonana wzmocniony jeszcze okresem służby w FBI, gdzie przestępstwa wobec dzieci uważane były za najgorszą podłość. David Peled podchodził do tego z większym dystansem. Siedział w cywilnym ubraniu, wpatrując się w ekran komputera niczym księgowy, sprawdzający bilans.

— John! — zawołał Stanley, wchodząc z nowym faksem. — Tu są ich żądania.

— Ktoś, kogo znamy?

— Na pierwszym miejscu listy jest Iljicz Ramirez Sanchez.

— Carlos? — Peled uniósł głowę. — Ten *schmock*? Naprawdę komuś na nim zależy?

— Każdy ma jakichś przyjaciół. — Doktor Bellow usiadł i przeczytał faks, po czym oddał go Clarkowi.

— Co wiemy, doktorze?

— Znów mamy do czynienia z typami ideologicznymi, tak jak w Wiedniu, ale ci mają wyraźnie określony cel, a ci więźniowie „polityczni”... Znam dwóch, Action Directe, reszta nazwisk nic mi nie mówi...

— Już mam. — Noonan sprawdził nazwiska z faksu w rejestrze znanych terrorystów. —

Sześciu z Action Directe, ośmiu Basków, jeden Palestyńczyk od Abu Nidala, siedzi we francuskim więzieniu. Niezbyt długa lista.

— Ale konkretna — zauważył Bellow. — Wiedzą, czego chcą i skoro wzięli dzieci jako zakładników, naprawdę zależy im na zwolnieniu tych ludzi. Zakładników wybrali tak, żeby wyrzucić dodatkową presję psychologiczną na rząd francuski. — Nie była to żadna rewelacja i psychiatra zdawał sobie z tego sprawę. — Pytanie, czy rząd francuski w ogóle pójdzie na jakikolwiek układ?

— W przeszłości załatwiali już takie sprawy, oczywiście po cichu, za kulisami — powiedział im David Peled. — Nasi przyjaciele mogą o tym wiedzieć.

— Dzieci. — Clark nie mógł się z tym pogodzić.

— Koszmar — zgodził się Noonan. — Ale kto zabiłby dziecko?

— Będziemy musieli z nimi porozmawiać, może się zorientujemy — odpowiedział

Bellow. Spojrzał na zegarek i skrzywił się. — Następnym razem proszę o szybszy samolot.

— Spokojnie, doktorze — powiedział Clark, wiedząc jak trudne zadanie czeka doktora Paula



Bellowa od momentu, kiedy dotrą na miejsce. Będzie musiał czytać w ich myślach, oceniać stopień determinacji terrorystów i — co najtrudniejsze — przewidywać ich działania, mimo że, podobnie jak reszta Tęczy, nic jeszcze właściwie nie wiedział. Podobnie jak pozostali, przypominał sprintera w bloku startowym, który jest gotów ruszyć naprzód, ale musi poczekać na strzał startera. Ale w odróżnieniu od innych, bronią doktora nie był *MP- 10*. Bellow nie mógł

liczyć na ulgę, jaką tamci odczuwają, kiedy wreszcie wejdą do akcji. Trochę im tego zazdrościł.

Dzieci, pomyślał Paul Bellow. Musiał znaleźć jakieś argumenty, które dotrą do nieznanym mu ludzi, jeśli miał uratować te dzieci. Jak wiele swobody działania pozostawią mu władze francuskie i hiszpańskie? Wiedział, że będzie potrzebował pola do manewru. Jak dużego? To będzie zależało od stanu psychicznego terrorystów. Rozmyślnie wybrali dzieci, francuskie dzieci, żeby zmaksymalizować presję na rząd francuski... Skoro było to zamierzone działanie, musiał

założyć, że będą gotowi zabić dziecko, bez względu na wszelkie sprzeciwy, jakie u normalnego człowieka musi wywoływać taki akt. Paul Bellow pisał o takich ludziach, wykladał o nich na całym świecie, ale w głębi duszy nigdy nie przestał się zastanawiać, czy naprawdę rozumie mentalność terrorystów, tak odmienną od jego własnego, w najwyższym stopniu racjonalnego spojrzenia na rzeczywistość. Prawdopodobnie mógł odtworzyć sposób ich myślenia, ale czy naprawdę go rozumiał? Wolał nie zadawać sobie tego pytania teraz, kiedy siedział z zatyczkami w uszach, żeby uchronić swój zmysł słuchu i równowagi przed potwornym hałasem silników *MC- 130*. Tak więc i on przymknął oczy, zmuszając się do odpędzenia natarczywych myśli, usiłując odpocząć trochę przed stresem, który z całą pewnością czekał go już niedługo.

Zobaczywszy, co robi Bellow, Clark pomyślał, że aż nadto dobrze go rozumie. Jednak dla niego, dowódcy Tęczy, takie rozwiązanie nie wchodziło w grę, ponieważ to on ponosił

ostateczną odpowiedzialność, a przed oczami miał twarze dzieci, które wyobraził sobie, czytając nazwiska na liście zakładników. Które przeżyją? Które nie przeżyją? Aż taka odpowiedzialność spoczywała na ramionach, które wydawały się o wiele silniejsze niż były naprawdę. Dzieci.

— Jeszcze się ze mną nie skontaktowali — powiedział kapitan Gassman do słuchawki.

Zadzwonił z własnej inicjatywy.

— Nie wyznaczyłem ci żadnego terminu — odpowiedział Jedyńka. — Chciałbym wierzyć, że Paryż doceni naszą dobrą wolę. Ale jeśli nie, to wkrótce nabierze szacunku dla naszej determinacji. Wyjaśnij im to — zakończył Renè i odłożył słuchawkę.

I to by było na tyle w kwestii nawiązywania rozmowy, powiedział sam do siebie kapitan Gassman. Ze szkolenia i przeczytanych książek wyniósł przekonanie, że tak właśnie powinien postąpić. Nawiązać jakiś kontakt z przestępcami, wciągnąć ich w rozmowę, może nawet zdobyć trochę zaufania, nakłonić ich do uwolnienia choćby kilku zakładników w zamian za żywność albo inne przysługi, osłabić ich determinację. Celem nadrzędnym było rozwiązanie problemu w taki sposób,

żeby nie zginęli niewinni ludzie — i ewentualnie także przestępcy. Kapitan odniósłby prawdziwe zwycięstwo, gdyby udało mu się wszystkich przestępców doprowadzić przed oblicze wymiaru sprawiedliwości. Sędzia w todzie ogłosiłby wyrok — winni! — i skazał na wieloletni pobyt na wizie rządu hiszpańskiego, to znaczy na zgniecie w więzieniu. Na nic innego nie zasługiwali... Ale najpierw trzeba było sprawić, żeby chcieli z nim rozmawiać, a tymczasem tamten, który mówił o sobie „Jedynka” najwyraźniej nie odczuwał takiej potrzeby. Jest przekonany, że panuje nad sytuacją... i niewykluczone, że ma rację, powiedział do siebie hiszpański policjant. W końcu ma dzieci na muszce. W tym momencie zadzwonił telefon.

— Wylądowali, właśnie wypakowują sprzęt.

— Kiedy tu będą?

— Za pół godziny.

— Pół godziny — powiedział Clarkowi pułkownik Tomas Nuncio, kiedy samochód ruszył. Nuncio przyleciał śmigłowcem z Madrytu. Żołnierze hiszpańscy wylądowywali sprzęt z *Herculesa* do trzech ciężarówek, które miały wkrótce ruszyć za samochodem Clarka i Nuncio, zabierając również ludzi z Tęczy.

— Co wiemy?

— Trzydziestu pięciu zakładników, w tym trzydzieści troje francuskich dzieci...

— Widziałem listę. Kim jest pozostała dwójka?

Nuncio spuścił oczy. — Wydaje się, że to dwoje chorych dzieci, które wysłano do parku w ramach specjalnego programu. Zapoczątkowaliście to w Ameryce... jak to się nazywa...

— Make-A-Wish? — spytał John.

— Tak, właśnie tak. Dziewczynka z Holandii i chłopiec z Anglii, oboje na wózkach inwalidzkich i podobno oboje bardzo chorzy. Cała reszta to Francuzi, dzieci pracowników Thompsona, tej firmy zbrojeniowej. Opiekun tej grupy zadzwonił do firmy, a stamtąd przekazano wiadomość rządowi francuskiemu. To by tłumaczyło szybkość działania. Mam rozkaz służenia panu wszelką pomocą, jaką będą mogli zapewnić moi ludzie.

— Dziękuję, pułkowniku. Ilu ludzi ma pan w tej chwili na miejscu?

— Trzydziestu ośmiu, a dalsi są w drodze. Zabezpieczyliśmy teren wokół zamku w parku i zajęliśmy się ruchem drogowym w okolicy.

— Co z reporterami?

— Zatrzymujemy ich przy głównym wejściu do parku. Nie dam tamtym świniom szansy na publiczne

wystąpienia — obiecał pułkownik Nuncio, który spełnił już oczekiwania Johna wobec Guardia Civil. Kapelusze Guardia były jakby z innego stulecia, ale surowe spojrzenie zimnych, błękitnych oczu nie pozostawiało wątpliwości, że ten policjant, prowadzący teraz swój radiowóz po autostradzie, jest przygotowany na spotkanie dwudziestego pierwszego wieku.

Wielka tablica poinformowała, że do Parku Światowego pozostało piętnaście kilometrów.

Julio Vega wrzucił ostatni pojemnik ze sprzętem Drugiego Zespołu do pięcotonowej ciężarówki i sam wskoczył do środka. Jego koledzy już tam byli. Ding Chavez, jako dowódca, siedział z przodu, koło kierowcy. Wszyscy rozglądali się po okolicy, chociaż dla ich operacji było to bez znaczenia. Nawet komandosi potrafią się zachowywać jak turyści.

— Pułkowniku, z jakimi systemami obserwacyjnymi musimy się liczyć?

— Co pan ma na myśli? — spytał Nuncio.

— Czy tam, w parku, są porozstawiane kamery? Jeśli tak, to wolałbym ich uniknąć.

— Zadzwonię tam zaraz i spytam.

— No i co? — spytał Mike Dennis swego głównego inżyniera.

— Trzeba wjechać od tyłu. Kamera jest dopiero na parkingu dla pracowników, ale mogę ją stąd wyłączyć.

— Zrób to. — Dennis połączył się przez radio z kapitanem Gassmanem i przekazał, któredy skierować nadjeżdżające samochody. Spojrzał na zegarek. Pierwsze strzały padły trzy i pół godziny temu. Cała wieczność. Podeszedł do dzbanka z kawą, przekonał się, że jest pusty i zaklął.

Pułkownik Nuncio nie skierował się prosto do parku. Zjechał z autostrady nieco wcześniej na dwupasmową, asfaltową szosę i zwolnił. Napotkali wóz policyjny. Policjant stojący na poboczu dał im ręką znać, żeby przejeżdżali. Dwie minuty później zatrzymali się koło czegoś, co wyglądało na wejście do tunelu. Stalowe drzwi były uchylone. Nuncio i Clark wysiedli i szybkim krokiem poszli w tamtą stronę.

— Mówi pan bardzo dobrze po hiszpańsku, *Señor* Clark. Ale nie potrafię umiejscowić pańskiego akcentu.

— Indianapolis — odpowiedział John. Pomyślał, że to pewnie ostatnia przyjemna chwila tego dnia.

— Jak tamci z wami rozmawiają?

— To znaczy, w jakim języku? Po angielsku.

— Nareszcie jakaś dobra wiadomość. — Doktor Bellow miał rozległą wiedzę i doświadczenie, ale ze znajomością języków obcych nie było u niego najlepiej, a do akcji miał

wkroczyć zaraz po przybyciu na miejsce, czyli za jakieś pięć minut.

Rezerwowa dyspozytornia znajdowała się zaledwie dwadzieścia metrów od wejścia do tunelu. Przed drzwiami stał policjant. Na widok pułkownika otworzył je i zaszalutował.

— Dzień dobry, panie pułkowniku. — Wewnątrz był jeszcze jeden policjant.

— *Señor Clark*, to jest kapitan Gassman. — Podali sobie ręce.

— Bardzo mi przyjemnie. Nazywam się John Clark. Mój zespół powinien tu być za kilka minut. Czy mógłby pan zorientować mnie w sytuacji?

Gassman zaprosił go gestem do stołu konferencyjnego na środku pomieszczenia, pełnego poustawianych przy ścianach monitorów telewizyjnych i innego sprzętu, którego przeznaczenia nie dało się rozpoznać na pierwszy rzut oka. Na stole leżał wielki plan parku.

— Wszyscy terroryści są tutaj — powiedział Gassman, stukając palcem w symbol zamku w centrum parku. — Przypuszczamy, że jest ich dziesięciu i trzydziestu pięciu zakładników, same dzieci. Rozmawiałem z nimi kilka razy, a właściwie to z jednym z nich, prawdopodobnie Francuzem. Nazywał się „Jedynką”. Rozmowy do niczego nie doprowadziły, ale nagraliśmy ich żądania: domagają się uwolnienia kilkunastu terrorystów, głównie z więzień francuskich, ale kilku siedzi w Hiszpanii.

Clark skinął głową. Wiedział już o tym, natomiast plan parku był czymś nowym. W pierwszej kolejności usiłował się zorientować, co skąd widać. — Mamy plany budynku, w którym znajdują się terroryści?

— Proszę — powiedział główny inżynier, rozkładając na stole plan zamku. — Okna są tutaj, tutaj, tutaj i tutaj. Schody i windy zostały zaznaczone. — Clark przyglądał się przez chwilę, po czym wrócił do planu parku. — Po schodach mogą się dostać na dach. Czterdzieści metrów nad ziemią. Doskonała widzialność na wszystkie strony, na każdą z alej.

— Gdzie mógłbym ustawić człowieka, żebym miał wszystko na oku?

— Żaden problem. W jednej z kolejek, Nurkującym Bombowcu, na szczycie pierwszego wzgórza. To prawie sto pięćdziesiąt metrów.

— Pięćdziesiąt pięter? — W głosie Clarka zabrzmiało niedowierzenie.

— Największa kolejka górską na świecie, sir — potwierdził inżynier. — Ludzie przyjeżdżają tu z całego świata, żeby się nią przejechać. Idealne miejsce dla obserwatora.

— Doskonale. Czy można się tam dostać niezauważenie?

— Można podejść podziemiami, ale są tam kamery telewizyjne... — Przesunął palcem po planie. — Tutaj, tutaj i tutaj, a tu jeszcze jedna. Lepiej iść po powierzchni, ale uniknięcie tych wszystkich kamer nie będzie łatwe.

— Nie można ich wyłączyć?

— Można, przecież to rezerwowa dyspozytornia... Zresztą, do diabła, jeśli będzie trzeba, wyślę ludzi, żeby powyrywali kable.

— Ale gdybyśmy to zrobili, nasi przyjaciele w zamku mogliby się poczuć urażeni —

zauważył John. — Trzeba to dobrze przemyśleć, zanim podejmiemy jakieś działania —

powiedział Clark, zwracając się do Nuncio i Gassmana. — Nie chcę, żeby się dowiedzieli, że tu jesteśmy ani co robimy.

Policjanci skinęli głowami, a w ich oczach John dostrzegł jakby szacunek, a jednocześnie ulgę. Obaj byli profesjonalistami, dumnymi ze swego zawodu, ale przecież musieli odczuć ulgę, kiedy na scenie pojawiła się Tęcza, przejmując odpowiedzialność. Mogli zapisać na swe konto zasługi za pomoc w pomyślnie przeprowadzonej operacji ratowania zakładników, albo stać z boku i mówić, że jeśli coś poszło źle, to nie z ich winy. Taka biurokratyczna asekuracja była charakterystyczna dla ludzi w służbie państwowej na całym świecie.

— Hej, John.

Clark odwrócił się i zobaczył Chaveza, a tuż za nim Covingtona. Obaj byli ubrani w swe czarne kombinezony i w oczach zebranych w pomieszczeniu ludzi wyglądali w nich jak anioły śmierci. Podeszli do stołu konferencyjnego i zaczęli się przyglądać planom.

— Domingo, to jest pułkownik Nuncio, a to kapitan Gassman.

— Witam — powiedział Ding swym hiszpańskim z Los Angeles i kolejno podał im rękę.

Covington zrobił to samo, mówiąc w swym ojczystym języku.

— Stanowisko strzelca wyborowego, co? — spytał Ding, stukając palcem w Nurkujący Bombowiec.

— Widziałem to z parkingu. Niesamowite. Da się tam dyskretnie umieścić Homera?

— Właśnie nad tym pracujemy.

Wszedł Noonan z plecakiem pełnym sprzętu elektronicznego. — W porządku, to nam się może przydać — powiedział, przyjrzawszy się monitorom.

— Nasi przyjaciele mają do dyspozycji duplikat.

— To już gorzej — powiedział Noonan. — Najpierw chcę ich pozbawić łączności przez telefony komórkowe.

— Co? — spytał Nuncio. — Dlaczego?

— Na wypadek, gdyby nasi przyjaciele mieli na zewnątrz kogoś z telefonem komórkowym, kto informowałby ich o naszych poczynaniach — odpowiedział Clark.

— Rozumiem. Mogę w czymś pomóc?

Noonan wyjaśnił mu, o co chodzi. — Niech pańscy ludzie udadzą się do wszystkich węzłów komórkowych w okolicy i każą technikom włożyć te dyskietki do komputerów. Do każdej dyskietki jest wydrukowana instrukcja.

— Felipe! — Nuncio odwrócił się i pstryknął palcami. Chwilę później jeden z jego ludzi wybiegał z pomieszczenia, zaopatrzony w rozkazy i dyskietki.

— Jak głęboko jesteśmy pod ziemią? — spytał Noonan.

— Nie więcej niż pięć metrów.

— Zbrojony beton nad głową? Główny inżynier potwierdził.

— W porządku, John, nasze przenośne radiotelefony powinny funkcjonować bez zarzutu.

— W tym momencie do dyspozytorni weszli członkowie Pierwszego i Drugiego Zespołu.

Stłoczyli się wokół stołu konferencyjnego.

— Terroryci i zakładnicy są tutaj — powiedział im John.

— Ilu? — spytał Eddie Price.

— Trzydziestu pięciu zakładników, same dzieci, w tym dwoje na wózkach inwalidzkich.

Tylko tych dwoje nie jest Francuzami.

— Kto z nimi rozmawiał? — To pytanie zadał doktor Bellow.

— Ja — odpowiedział kapitan Gassman. Bellow ujął go pod ramię i odprowadził na bok, żeby spokojnie porozmawiać.

— Przede wszystkim potrzebny jest nam obserwator — powiedział Chavez. — Homer musi się jakoś dostać do tej kolejki. Niezauważony... Jak to zrobimy?

— Na monitorach widać jakichś ludzi — powiedział Johnston i odwrócił się, żeby lepiej widzieć.

— Kto to jest?

— Pracownicy parku — odpowiedział Mikę Dennis. — Kazałem im obejść wszystkie miejsca, żeby się upewnić, że wszyscy goście wyszli. — Była to rutynowa procedura przy zamykaniu parku, chociaż dziś rozpoczęła się wiele godzin wcześniej niż normalnie.

— Zorganizujcie mi kombinezon, taki, w jakich chodzą pracownicy parku... Ale muszę też zabrać karabin. Macie tu mechaników?

— Tylko około tysiąca — odpowiedział dyrektor parku.

— Dobra, właśnie przybył wam jeszcze jeden, ze skrzynką na narzędzia. Czy te kolejki jeżdżą?

— Nie, wszystkie zostały wyłączone.

— Im więcej ruchu, tym bardziej tamci muszą wyęźać uwagę — powiedział sierżant Johnston swemu dowódcy.

— To mi się podoba — zgodził się Chavez i spojrział na Clarka.

— Mnie też. Panie Dennis, czy mógłby je pan wszystkie włączyć?

— Trzeba je uruchamiać pojedynczo. Stąd możemy je tylko wszystkie wyłączyć, odcinając zasilanie.

— Więc niech pańscy ludzie się tym zajmą. Sierżant Johnston pójdzie z tymi, którzy będą uruchamiać Nurkujący Bombowiec. Homer, ulokuj się tam, na górze. Twoim zadaniem jest zbieranie informacji i przekazywanie ich nam. Bierz karabin i ruszaj.

— Jak wysoko nad ziemią będę się znajdował?

— Jakies sto czterdzieści metrów.

Snajper sięgnął do kieszeni po kalkulator i włączył go, żeby sprawdzić, czy działa. —

Gdzie mogę się przebrać?

— Proszę tędy. — Inżynier poprowadził go korytarzem do pustej szatni dla pracowników.

— Stanowisko po drugiej stronie? — spytał Covington.

— To miejsce jest dobre — odpowiedział Dennis. — Budynek z wirtualną rzeczywistością. Nie tak wysoki, ale dobrze widać stamtąd zamek.

— Wyślę tam Houstona — powiedział Covington. — Noga wciąż jeszcze sprawia mu kłopoty.

— Dobrze. Dwóch snajperów i kamery telewizyjne... To powinno wystarczyć do obserwacji zamku — powiedział Clark.

— Muszę się zorientować w konfiguracji obiektów parku, żeby określić, co dalej.

Potrzebny mi będzie plan z zaznaczonymi pozycjami kamer. To samo dla Petera.

— Kiedy przybędzie tu Malloy? — spytał Covington.

— Za jakąś godzinę. Kiedy wyląduje, będzie musiał uzupełnić paliwo. Zatankowany do pełna śmigłowiec może przebywać w powietrzu przez cztery godziny.

— Jaki jest zasięg kamer, panie Dennis?

— Aż do parkingu dla pracowników, ale po drugiej stronie jest już gorzej. Z dachu zamku widać więcej.

— Co wiemy o ich wyposażeniu?

— Tylko broń palna. Mamy to na kasecie.

— Chcę to zobaczyć — powiedział Noonan. — Od razu, jeśli to możliwe.

Tryby zaczęły się obracać. Chavez i Covington dostali plany parku, te same, które sprzedawano turystom. Pozycje kamer zaznaczono czarnymi naklejkami, zabranymi sekretarce.

Wózek z napędem elektrycznym — taki sam, jakich używa się na polach golfowych — czekał

już na nich na korytarzu. Szybko wyjechali z tunelu i normalną drogą skierowali się z powrotem do parku. Covington mówił, którądy jechać, ustalając trasę na podstawie planu tak, aby uniknąć kamer. Znajdowali się na tyłach Parku Światowego.

Noonan obejrzał trzy kasety wideo, na których nagrana była operacja terrorystów. —

Zgadza się, dziesięciu, sami mężczyźni, większość z brodami, wszyscy nosili w chwili ataku białe kapelusze. Dwóch wygląda na pracowników parku. Mamy na ich temat jakieś informacje?

— Pracuję nad tym — odpowiedział Dennis.

— Pobieracie personelowi odciski palców? — spytał Noonan. Odpowiedzią było pokręcenie głową.

— A co z fotografiami?

— Tak, wszyscy mamy przepustki ze zdjęciami. — Dennis pokazał swoją.

— To już coś. Trzeba je jak najszybciej przekazać francuskiej policji.

— Mark! — Dennis przywołał swego personalnego.

— Powinniśmy byli włożyć mundury pracowników parku — powiedział Covington na powierzchni.

— Zgadza się. Pośpiech jest wskazany przy łapaniu pcheł, co, Peter? — Chavez wyglądał

zza węgła. W nozdrzach poczuł zapach jedzenia i zrobił się trochę głodny. — Nie będzie się tam



łatwo dostać.

Covington przytaknął.

Zamek niewątpliwie wyglądał bardzo autentycznie. Miał około pięćdziesięciu metrów po przekątnej i tyle samo wysokości. Z planów architektonicznych zorientowali się, że w środku był

prawie pusty. Na płaski dach można było wjechać windą albo wejść schodami. Nie ulegało kwestii, że terroryści prędzej czy później ustawią tam kogoś. Musieliby zupełnie zgłupieć, żeby tego nie zrobić. Cóż, to robota dla snajperów. Czterysta metrów z jednej strony i zaledwie sto sześćdziesiąt z drugiej. Homer Johnston i Sam Houston nie powinni mieć żadnych trudności.

— Uważasz, że te okna są dostatecznie duże?

— Tak sędzę, Ding.

— Ja też. — W ich głowach zaczynał już powstawać plan działania. — Mam nadzieję, że Malloy będzie wypoczęty.

Sierżant Homer Johnston, ubrany w kombinezon pracownika parku, naciągnięty na czarny strój nindża, wyszedł na powierzchnię w odległości pięćdziesięciu metrów od Nurkującego Bombowca, który z bliska robił jeszcze bardziej niesamowite wrażenie. Poszedł do wejścia wraz z pracownikiem parku, który był operatorem tej kolejki.

— Mogę dostarczyć pana na wzgórze i zatrzymać tam Bombowiec.

— Świetnie. — Wspinaczka z pewnością byłaby bardziej uciążliwa, chociaż na wzgórze prowadziły schody. Przeszli pod plandeką nad wejściem, minęli bramkę kontrolną i Johnston usiadł w pierwszym rzędzie po prawej stronie, kładąc karabin w futerale na siedzeniu obok. — W

drogę — powiedział do operatora. Podjazd na pierwsze wzgórze odbywał się powoli: było to celowe, obliczone na to, żeby goście mieli czas najeść się strachu. Johnston uśmiechnął się na myśl, że w podobny sposób rozumują terroryści. Dziesięć trzymiejscowych wagoników zatrzymało się dokładnie na szczycie wzgórza. Johnston wysiadł, zabierając ze sobą karabin.

Otworzył futerał i wyjął z niego piankową matę oraz narzutę w barwach ochronnych, lornetkę i na końcu karabin. Nie śpiesząc się rozłożył matę — leżenie na arkuszu perforowanej stali szybko stałoby się niewygodne. Nakrył się narzutą, zrobioną z delikatnej sieci rybackiej, pokrytej zielonymi liśćmi z plastiku. Następnie ustawił karabin na dwójnogu i sięgnął po pokrytą zielonym plastikiem lornetkę. Mikrofon miał na wysokości warg.

— Snajper Dwa-Jeden do dowództwa.

— Tu Tęcza Sześć — odpowiedział Clark.

— Snajper Dwa-Jeden na pozycji. Dobry punkt obserwacyjny. Widzę cały dach zamku, łącznie z windą i schodami. Także po drugiej stronie dobra widoczność. Niezłe miejsce, sir.

— Dobrze. Informuj o wszystkim.

— Jasne, szefie. — Sierżant Johnston podparł się na łokciach i zaczął oglądać okolice przez lornetkę 7x50. Przygrzewało słońce. Wiedział, że będzie się musiał do tego przyzwyczaić.

Zastanowił się przez chwile, po czym sięgnął po manierkę. W tym momencie wagonik, którym tu przyjechał, ruszył i zaraz zniknął mu z pola widzenia. Słyszał stalowe kółka, które obracały mu się nad głową i zastanawiał się, jakich wrażeń dostarczała przejażdżka tą cholerną kolejką.

Prawdopodobnie było to coś w rodzaju skoku z opóźnionym otwarciem spadochronu. Robił już coś takiego, ale nie przepadał za tym, mimo treningu w wojskach powietrznodesantowych.

Pomyślał, że człowiek jest jednak stworzony do chodzenia po ziemi, a zresztą nie sposób strzelać z karabinu, kiedy się spada z prędkością dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę. Skierował

lornetkę na okno. Wszystkie okna były zakończone szpiczasto, jak w prawdziwym gotyckim zamku, z szybami z przezroczystego szkła, zespolonymi ołowiem. Pomyślał, że kąt jest niezbyt odpowiedni. Jeśli trzeba będzie strzelać, to raczej do kogoś na zewnątrz. To nie powinno być trudne. Przystawił oko do celownika karabinu i nacisnął guzik laserowego dalmierza, celując w środek dziedzińca. Prędko przeliczył na kalkulatorze zakrzywienie toru pocisku na takim dystansie i odpowiednio ustawił celownik optyczny. Odległość do celu wynosiła trzysta osiemdziesiąt dziewięć metrów w linii prostej. Nie będzie żadnego problemu.

— Tak, panie ministrze — powiedział Bellow. Siedział w wygodnym fotelu Mike’a Dennisa, wpatrując się w ścianę. Dysponował teraz dwiema fotografiami i nazwiskami, które jednak nic mu nie mówiły, bo Tim Noonan nie miał ich w swoim komputerze. Również policja hiszpańska i francuska nie dysponowały żadnymi informacjami o ludziach na zdjęciach. Obaj mieszkali w pobliżu parku i sprawdzano ich teraz intensywnie, ustalając między innymi, do kogo ostatnio telefonowali.

— Domagają się zwolnienia tego Szakala, tak? — spytał francuski minister sprawiedliwości.

— I jeszcze paru innych, ale wydaje się, że chodzi im przede wszystkim o niego.

— Mój rząd nie będzie negocjował z tymi kreaturami! — upierał się minister.

— Tak, panie ministrze, rozumiem. Zwalnianie więźniów z reguły nie wchodzi w grę, ale każda sytuacja jest inna, a ja muszę wiedzieć, jakie będę miał pole manewru, jeśli w ogóle, kiedy przystąpię do negocjacji. W grę może wchodzić zabranie tego Sancheza z więzienia i dostarczenie go tutaj... jako przynęty dla terrorystów.

— Uważa pan, że powinniśmy tak postąpić?

— Jeszcze nie wiem. Nie rozmawiałem dotąd z nimi, więc nie miałem możliwości zorientować się, jak bardzo są zdeterminowani. Na razie muszę przyjąć założenie, że mamy do czynienia z oddanymi swej sprawie ludźmi, którzy są gotowi zabić zakładników.

— Dzieci?

— Tak, panie ministrze, musimy przyjąć, że jest to realne zagrożenie — powiedział

doktor. Cisza, jaka zaległa po jego słowach, potrwała całe dziesięć sekund, według zegara na ścianie, w który wpatrywał się Bellow.

— Muszę to przemyśleć. Zadzwonię do pana później.

— Dziękuję, sir. — Bellow odłożył słuchawkę i spojrzał na Clarka.

— I co?

— A no to, że nie wiemy, co robić. Ja też nie. John, mamy tu do czynienia z wieloma niewiadomymi. O terrorystach wiemy niewiele. Wykluczam motywację religijną, to nie są islamscy fundamentaliści. Nie mogę więc użyć przeciw nim religii, Boga ani etyki. Jeśli to zażarci marksiści, to mamy do czynienia z bandą bezwzględnych sukinsynów. Dotychczas nie byli zbyt rozmowni. Jeśli nie zdołam ich wciągnąć w rozmowę, nic nie wskóram.

— No więc co robimy?

— Na początek zgaśmy im światło.

Clark odwrócił się. — Panie Dennis?

— Tak?

— Możemy wyłączyć prąd w zamku?

— Tak — odpowiedział główny inżynier za swego szefa.

— Zaczynamy, doktorze? — spytał John Bellowa. Odpowiedzią było skinienie głową. —

W porządku, wyłączyć.

— Już się robi. — Inżynier usiadł do komputera i myszą wybrał program kontroli zasilania. W ciągu kilku sekund zamek został pozbawiony elektryczności.

— Zobaczymy, jak długo to potrwa — powiedział cicho Bellow. Po pięciu sekundach zadzwonił telefon Dennisa.

— Tak?

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Co pan ma na myśli?

— Wiesz, co mam na myśli. Światło zgasło.

Doktor Bellow nachylił się do mikrofonu. — Tu doktor Bellow. Z kim mówię?

— Jestem Jedyńka. Przejąłem kontrolę nad Parkiem Światowym. Kim jesteś?

— Nazywam się Paul Bellow i poproszono mnie, żebym z wami porozmawiał.

— Aha, negocjator. Świetnie. Natychmiast włączcie prąd.

— Zanim to zrobimy — powiedział Bellow spokojnie — chciałbym wiedzieć, kim pan jest. Zna pan moje nazwisko, ale ja nie znam pańskiego.

— Już mówiłem. Jestem Jedyńka. Dla ciebie pan Jedyńka — dobiegł z głośnika beznamiętny głos, w którym nie było ani podniecenia, ani gniewu.

— W porządku, panie Jedyńka, skoro pan nalega. Do mnie może pan mówić Paul.

— Włącz z powrotem prąd, Paul.

— A co zrobi pan w zamian, panie Jedyńka?

— W zamian powstrzymam się od zabicia dziecka. Na razie — odparł tamten zimno.

— Nie sprawia pan wrażenia barbarzyńcy, panie Jedyńka, a zabicie dziecka to barbarzyński akt, który w dodatku skomplikuje wasze położenie.

— Paul, powiedziałem, czego żądam. Zrób to natychmiast. — Połączenie zostało przerwane.

— Jasna cholera. — Bellow odetchnął głęboko. — Facet zna się na rzeczy.

— Niedobrze?

Bellow skinął głową. — Niedobrze. Wie, czego będziemy próbować, to znaczy ja.

— Andrè — zawołał Renè zza biurka. — Wybierz dziecko. Andrè uczynił to już wcześniej i teraz tylko wskazał ręką małą Holenderkę na wózku inwalidzki, Annę. Renè skinął

głową z aprobatą. A więc tamci ściągnęli lekarza, żeby z nimi rozmawiał. Nazwisko Paul Bellow nic mu nie mówiło. Pomyślał, że to pewnie psychiatra, prawdopodobnie z doświadczeniem w dziedzinie negocjacji albo przynajmniej po odpowiednim przeszkoleniu. Jego zadaniem będzie osłabienie ich hartu ducha, nakłonienie do poddania się i spędzenia reszty życia w więzieniu.

Zobaczmy. Renè spojrział na zegarek i postanowił odczekać dziesięć minut.

Malloy ściągnął dźwignię zespoloną, wyrównując maszynę do lądowania w pobliżu cysterny z paliwem. Stało tam pięciu żołnierzy, jeden z nich dawał znaki pomarańczowymi lizakami. Jeszcze kilka sekund i *Night Hawk* dotknął ziemi. Malloy wyłączył silniki i obserwował

obracający się coraz wolniej wirnik, podczas gdy sierżant Nance otworzył boczne drzwi i wyskoczył na zewnątrz.

— Trochę czasu, żeby załoga mogła odpocząć? — spytał porucznik Harrison przez interkom.

— Jasne — mruknął Malloy, otworzył drzwi i wysiadł. Podeszedł do stojącego kilka metrów dalej żołnierza, który wyglądał na oficera, oddał salut i wyciągnął rękę na powitanie.

Malloy miał pilną sprawę do załatwienia.

— Sztuka będzie polegać na tym, żeby podejść dostatecznie blisko — powiedział

Covington.

— Tak. — Chavez skinął głową. Przedostali się ostrożnie na drugą stronę zamku. Za plecami słyszeli Nurkujący Bombowiec. Wokół zamku było dobre czterdzieści metrów otwartej przestrzeni. Niewątpliwie architekt chciał w ten sposób wyeksponować budowlę. Osiągnął

zamierzony efekt, ale nie ułatwiało to zadania Dingowi i Peterowi. Uważnie, nie śpiesząc się studiowali okolicę, zwracając uwagę na każdy szczegół, od sztucznych strumieni po przerzucone nad nimi mostki. Widzieli okna dyspozytorni, w której znajdowali się terroryści. Natychmiast poniechali próby wbiegnięcia po schodach — prawdopodobnie były pilnowane przez uzbrojonych ludzi.

— Nie ułatwiają nam zadania, co? — zauważył Covington.

— Cóż, to nie należy do ich obowiązków, nie sądzisz?

— Jak rozpoznanie? — spytał Clark na kodowanym kanale radiowym.

— Już prawie kończymy, panie C — odpowiedział Chavez. — Malloy już przyleciał?

— Właśnie wylądował.

— To dobrze, bo będzie nam potrzebny, jeśli mamy się dostać do środka.

— Dwie grupy, z dołu i z góry — dodał Covington. — Ale najpierw musimy się dowiedzieć, jaka jest sytuacja wewnątrz zamku.

Hiszpański oficer, major sił lądowych, bez wahania skinął głową i gestem przywołał kilku ludzi z hangaru śmigłowcowego. Podeszli, dostali rozkazy i odmaszerowali. Załatwiwszy to, Malloy również poszedł do hangaru. Musiał znaleźć toaletę. Zobaczył sierżanta Nance'a, wracającego do maszyny z dwoma termosami. Rozsądny facet, pomyślał, wie, jak ważna jest w takich momentach kawa.

— Tamta kamera nie funkcjonuje. Rozwalili ją — powiedział Dennis. — Mamy na kasecie faceta,

który do niej strzela.

— Proszę mi to pokazać — polecił Noonan.

Nagranie trwało pięćdziesiąt sekund. Noonan zorientował się, że tamto pomieszczenie niewiele się różniło od rezerwowej dyspozytorni. Dzieci zapędzono do kąta naprzeciwko kamery.

Może je tam pozostawiono. Niewiele, ale zawsze coś. — Mamy tam coś jeszcze? Systemy audio, mikrofon?

— Nie — odpowiedział Dennis. — Korzystamy z telefonów.

— No tak. — Zrezygnowany agent FBI pokiwał głową. — Muszę znaleźć jakiś sposób na założenie tam podsłuchu. — W tym momencie zadzwonił telefon.

— Tu Paul, słucham — powiedział doktor Bellow do słuchawki.

— Paul, tu Jedyńka. Prądu nadal nie ma. Mówiłem ci, żebyście włączyli elektryczność.

Polecenie nie zostało wykonane. Mówię raz jeszcze, zróbcie to natychmiast.

— Pracujemy nad tym, ale policja nie może się w tym połapać.

— I nie ma nikogo z pracowników parku, kto mógłby pomóc? Nie jestem głupcem, Paul.

Mówię po raz ostatni, natychmiast włączcie prąd.

— Panie Jedyńka, pracujemy nad tym. Proszę, niech pan okaże trochę cierpliwości, dobrze? — Na twarzy Bellowa pojawiły się strużki potu, zupełnie nieoczekiwanie, ale wiedział, czym było to spowodowane. Miał nadzieję, że się myli.

— Andrè — powiedział Renè. Popełnił błąd, ponieważ nie odłożył jeszcze słuchawki.

Były policjant parkowy podszedł do kąta. — Cześć, Anno. Chyba już czas, żebyś wróciła do swojej matki.

— Tak? — w oczach dziecka pojawił się wyraz zdziwienia. Miała błękitne oczy i jasnobrązowe włosy, prawie blond, ale jej skóra była blada, wyglądem przypominała pergamin.

To było bardzo smutne. Andrè szedł za wózkiem, popychając go w stronę drzwi. — Chodźmy na zewnątrz, *mon petit chou* — powiedział.

Winda była wyposażona w awaryjny system zasilania. Nawet kiedy w budynku wyłączono prąd, mogła zjechać, czerpiąc energię z akumulatorów. Andrè wprowadził wózek do kabiny, przerzucił czerwony przełącznik alarmowy i nacisnął guzik z cyfrą 1. Automatyczne drzwi zamknęły się powoli

i winda ruszyła. Chwilę później drzwi się otworzyły. Przez zamek prowadził szeroki korytarz, umożliwiający ludziom przechodzenie z jednej strony Parku Światowego na drugą. Ściany i łukowe sklepienie było pokryte mozaiką. Wiała przyjemna zachodnia bryza. Francuz popchnął Annę prosto pod wiatr.

— A to co? — spytał Noonan, patrząc na jeden z monitorów. — John, ktoś wychodzi na zewnątrz.

— Dowództwo, tu snajper Dwa-Jeden, widzę faceta, popychającego dziewczynkę na wózku inwalidzkim, wychodzą po zachodniej stronie zamku. — Johnston odłożył lornetkę i przyłożył się do karabinu, ustawił krzyż celownika na skroni tamtego mężczyzny i kładąc delikatnie palec na języku spustowym. — Snajper Dwa-Jeden, na celu, facet w celowniku, powtarzam, na celu.

— Zakaz użycia broni — odpowiedział Clark. — Powtarzam, zakaz użycia broni.

Potwierdzić.

— Tęcza Sześć, zakaz użycia broni. — Sierżant Johnston zdjął palec ze spustu. Co tam się działo?

— Jeden z tamtych — powiedział Covington. Stali w odległości zaledwie czterdziestu metrów i nic nie przesłaniało im pola widzenia. Dziewczynka wyglądała nie tylko na przestraszoną, ale i na chorą. Przechylała się na lewą stronę i przekrzywiała głowę, próbując spojrzeć na człowieka, który pchał jej wózek. Ma około czterdziestu lat, pomyśleli Peter i Ding.

Bez brody, wąsy, przeciętny wzrost, waga i budowa ciała. W parku było teraz pusto i tak cicho, że słyszeli dźwięk, wydawany przez gumowe opony wózka, jadącego po kamiennym dziedzińcu.

— Gdzie jest mama? — spytała Anna swym szkolnym angielskim.

— Zaraz ją zobaczysz — obiecał Dziewiątka. Wprowadził wózek na podjazd do głównego wejścia. Droga omijała jakiś pomnik, a potem prowadziła lekko pod górę, skręcając łukiem w prawo. Zatrzymał wózek w połowie podjazdu, szerokiego na pięć metrów i wyłożonego kamieniami.

Andrè rozejrzał się dookoła. Musieli gdzieś tu być policjanci, ale nie widział żadnego ruchu, z wyjątkiem wagoników Nurkującego Bombowca, na które nie musiał się nawet oglądać.

Charakterystyczny hałas zupełnie wystarczał. Naprawdę szkoda, ale cóż... Wyciągnął pistolet zza paska i...

— Broń! Wyciągnął pistolet! — zameldował pośpiesznie Homer Johnston. — O kurwa, on ją...

Pocisk trafił Annę w plecy i przeszedł prosto przez serce. Na płaskiej piersi dziecka wykwitła krwawa plama, a głowa małej opadła do przodu. Mężczyzna pchnął i wózek potoczył

się po pochyłym podjeździe, odbił się od kamiennego muru i zjechał aż na płaski dziedziniec, gdzie w końcu stanął.

Covington wyciągnął *USP* i zaczął go unosić. Nie byłby to łatwy strzał, ale miał dziewięć nabojów; powinno wystarczyć...

— Nie strzelać! — zagrzmiało w słuchawce. — Nie strzelać! Zakaz użycia broni! —

rozkazał Clark.

— Kurwa mać! — zaklął chrapliwym głosem Chavez.

— Kurwa mać — zgodził się Anglik, schował pistolet do kabury i patrzył, jak terrorysta odwraca się i idzie z powrotem do kamiennego zamku, zapewniającego mu schronienie.

— Mam go na celowniku! Snajper Dwa-Jeden, cel namierzony! — powiadomił ich głos Johnstona.

— Nie strzelaj! Tu Tęcza Sześć, zakaz użycia broni, do ciężkiej cholery!

— Kurwa mać! — warknął Clark w dyspozytorni i walnął pięścią w stół. Zadzwoił telefon.

— Tak? — powiedział Bellow, siedzący obok dowódcy Tęczy.

— Ostrzegalem was. Włączcie z powrotem prąd albo zabijemy następne dziecko — powiedział Jedyńka.



## Białe kapelusze

— Nic nie mogliśmy zrobić, John. Zupełnie nic — Bellow nadał brzmienie słowom, których inni nie mieli odwagi wypowiedzieć.

— Co teraz? — spytał Clark.

— Teraz chyba włączymy z powrotem elektryczność.

Na monitorach telewizyjnych zobaczyli trzech ludzi, podbiegających do dziecka. Dwaj mieli na głowach kapelusze Guardia Civil. Trzecim był doktor Hector Weiler.

Chavez i Covington oglądali to samo, ale z bliższej perspektywy. Weiler miał na sobie biały kitel, światowy mundur lekarzy. Podbiegł do dziecka i dotknął jeszcze ciepłego, ale już nieruchomego ciała. Jego opuszczone ramiona powiedziały wszystko, nawet z odległości pięćdziesięciu metrów. Kula przeszła prosto przez serce. Doktor powiedział coś do policjantów i jeden z nich wyprowadził wózek z dziecina, zawracając, żeby przejść obok dwóch ludzi z Tęczy.

— Chwileczkę, doktorze — zawołał Chavez i podszedł bliżej. Myślał w tej chwili o tym, że jego żona nosi w łonie nowe życie, że dziecko prawdopodobnie rusza się w tej chwili i kopie, podczas gdy Patsy ogląda telewizję w saloniku albo czyta książkę. Dziewczynka wyglądała teraz, jakby spała. Ding nie mógł się powstrzymać od pogłaskania jej po jasnobrązowych włosach. —

Co może pan powiedzieć, doktorze?

— Była bardzo chora, prawdopodobnie śmiertelnie. W gabinecie mam jej kartę chorobową. Kiedy te dzieci tu przyjeżdżają, otrzymuję informacje o ich stanie, na wypadek, gdyby coś się stało. — Lekarz przygryzł wargę i uniósł oczy. — Prawdopodobnie była umierająca, ale przecież póki żyła, istniała jakaś nadzieja. — Matka Weilera była Hiszpanką, a ojciec Niemcem, który wyemigrował do Hiszpanii po drugiej wojnie światowej. Ciężko pracował, żeby zostać lekarzem ogólnym i chirurgiem, a ten akt terroru, zamordowanie dziecka, był zaprzeczeniem wszystkiego, co osiągnął. Ktoś postanowił pozbawić jego studia i praktykę wszelkiego sensu. Weiler po raz pierwszy w życiu poczuł zimną, bezwzględną nienawiść. —

Zabijecie ich?

Chavez uniósł oczy. Nie było w nich łez. Może popłyną później, pomyślał, cały czas trzymając rękę dziecka. Włosy małej nie były zbyt długie, a on nie wiedział, że odrosły po ostatniej chemioterapii. Wiedział natomiast, że powinna była żyć i że on sam zawiódł, patrząc na jej śmierć. — Zabijemy ich. Peter? — Machnął ręką na kolegę i we dwóch poszli za tamtymi do gabinetu doktora. Szli bardzo

powoli. Nie było teraz powodu do pośpiechu.

Bardzo dobrze, ocenił Malloy, patrząc na wilgotną jeszcze farbę, którą na burcie *Night Hawka* wymalowano napis POLICIA. — Gotów, Harrison?

— Tak jest, sir. Sierżancie Nance, już czas.

— Tak jest, sir. — Mechanik wskoczył do śmigłowca, zapiął pas bezpieczeństwa i przyglądał się pilotowi, przygotowującemu się do startu. — Z tyłu wszystko w porządku —

powiedział przez interkom, wychyliwszy się przedtem, żeby sprawdzić. — Wirnik ogonowy w porządku, pułkowniku.

— No to lecimy. — Malloy zwiększył moc i uniósł *Night Hawka* w powietrze. — Tęcza, tu Niedźwiedź — powiedział przez radio.

— Niedźwiedź, tu Tęcza Sześć, słyszę cię dobrze, odbiór.

— Niedźwiedź w powietrzu, będę u was za siedem minut.

— Okrążaj park, zanim nie dostaniesz innych instrukcji.

— Zrozumiałem. Zawiadomię, kiedy zaczniemy krążyć. Bez odbioru. — Nie trzeba się było specjalnie śpieszyć. Malloy pochylił nos maszyny i ruszył w narastającą ciemność. Słońce już prawie zaszło i w oddali widać było światła parku.

— Kim pan jest? — spytał Chavez.

— Francisco de la Cruz — odpowiedział człowiek z zabandażowaną nogą, krzywiąc się z bólu.

— Ach, tak, widzieliśmy pana na wideo — powiedział Covington. Spozrzegł miecz i tarczę w kącie, i odwrócił się, żeby z szacunkiem skinąć głową siedzącemu człowiekowi. Uniósł

miecz i przez chwilę ważył go w dłoni. W walce w zwarciu była to wspaniała broń, choć nie mogła się równać z jego *MP-10*.

— Dziecko? Zabili dziecko? — spytał de la Cruz.

Doktor Weiler wyjął kartę z szafki. — Anna Groot, dziesięć i pół roku — powiedział, czytając dokumenty, które przysłano mu przed przyjazdem małej. — *Metastatic osteosarcoma*, ostatnie stadium... Miała przed sobą sześć tygodni życia. Rak kości jest bezwzględny. — Dwaj hiszpańscy policjanci unieśli ciało dziewczynki z wózka inwalidzkiego pod ścianą, położyli je delikatnie na stole zabiegowym i nakryli prześcieradłem. Jeden z nich wydawał się bliski łez, powstrzymywała je tylko zimna wściekłość, od której trzęsły mu się ręce.

— John musi się teraz podle czuć — powiedział Chavez.

— Musiał to zrobić, Ding. To nie był odpowiedni moment do rozpoczęcia akcji...

— Wiem o tym, Peter! Ale jak, kurwa, jej to mamy powiedzieć? — Zamilkł na chwilę. —

Doktorze, ma pan tu może kawę?

— Tutaj. — Weiler pokazał ręką.

Chavez podszedł do dzbanka i nalał sobie kawy do styropianowego kubka. — Z góry i z dołu? Weźmiemy ich w dwa ognie?

Covington skinął głową. — Sądzę, że tak.

Chavez opróżnił kubek i wyrzucił go do kosza na śmieci. — W porządku, chodźmy to zorganizować. — Wyszli z biura, nie mówiąc nic więcej i, ukrywając się w cieniu, przedostali się z powrotem do dyspozytorni w podziemiach.

— Snajper Dwa-Jeden, dzieje się coś? — pytał właśnie Clark, kiedy weszli.

— Nic, Tęcza Sześć, tylko cienie w oknach. Nikogo nie wysłali dotąd na dach. Trochę to dziwne.

Mają zaufanie do kamer, pomyślał Noonan. Rozłożył przed sobą plany zamku. — W

porządku, zakładamy, że wszyscy nasi przyjaciele są tutaj... Ale na trzech piętrach jest w sumie kilkanaście różnych pomieszczeń.

— Tu Niedźwiedź — rozległo się z głośnika, ustawionego przez Noonana. — Zacząłem krążyć. Co powinienem wiedzieć? Odbiór.

— Niedźwiedź, tu Tęcza Sześć — odpowiedział Clark. — Wszyscy osobnicy są w zamku. Na pierwszym piętrze jest centralna dyspozytornia parku. Najprawdopodobniej wszyscy znajdują się właśnie tam. Osobnicy zabili zakładnika, małą dziewczynkę — dodał John.

Siedząc za sterami śmigłowca, Malloy nawet nie drgnął, kiedy to usłyszał. —

Zrozumiałem, Tęcza Sześć. Będziemy krążyć i meldować. Cały sprzęt mamy na pokładzie.

Odbiór.

— Bez odbioru. — Clark zdjął palec z przycisku nadajnika. Ludzie z Tęczy zachowywali spokój, ale oczy im płonęły. Byli zbyt wytrawnymi profesjonalistami, żeby okazywać zdenerwowanie. Twarze mieli kamienne. Tylko oczy poruszały się, studiując rozłożone na stole plany, a co jakiś czas zerkając na monitory. Ding pomyślał, że Homer Johnston musi się czuć paskudnie. Miał skurwiela na

celownika, kiedy tamten zastrzelił dziecko. Homer sam był ojcem, a tego drania mógł wysłać na tamten świat jednym ruchem palca... Ale nie, to nie byłoby rozsądne posunięcie, a im płacili za rozsądek. Nie byli wtedy gotowi, a wszystko, co pachniało improwizacją, mogło jedynie zagrozić życiu kolejnych małych zakładników. Zadzwoił telefon.

Odebrał go doktor Bellow.

— Tak?

— Przykro nam z powodu tego dziecka, ale i tak by wkrótce umarło. Kiedy nasi przyjaciele zostaną uwolnieni?

— Paryż jeszcze się z nami nie skontaktował — odpowiedział Bellow.

— Cóż, z przykrością muszę zawiadomić, że wkrótce przyjdzie kolej na następne dziecko.

— Chwileczkę, panie Jedynka, przecież nie mogę zmusić Paryża do czegokolwiek.

Rozmawiamy, negocjujemy z przedstawicielami rządu, ale podjęcie decyzji zabiera im dużo czasu. Rządy nigdy nie działają szybko, prawda?

— Więc im pomogę. Powiedz Paryżowi, że jeśli za godzinę nie będzie tu samolotu z naszymi przyjaciółmi, zabijemy następnego zakładnika i będziemy zabijać ich po kolei co godzinę, dopóki nasze żądania nie zostaną spełnione. — W głosie terrorysty nie było śladu emocji.

— To nierozsądne. Proszę posłuchać, przecież nawet gdyby w tej chwili wszystkich zabrano z więzień, dostarczenie ich tutaj musiałoby potrwać co najmniej dwie godziny. W końcu samolot leci z określoną prędkością, czy wam się to podoba, czy nie.

Zaległa cisza. — Tak, to prawda — odezwał się po chwili terrorysta. — Dobrze, zaczniemy zabijać zakładników za trzy godziny od teraz... Nie, rozpocznę odliczanie od pełnej godziny. To wam da dodatkowe dwanaście minut. Będę hojny. Zrozumiałeś?

— Tak, mówi pan, że zabijecie następnego zakładnika o dwudziestej drugiej, a potem następnych, co godzinę.

— Zgadza się. Zadbaj, żeby zrozumieli to w Paryżu. — Połączenie zostało przerwane.

— I co? — spytał Clark.

— John, ja tu nie jestem potrzebny. Jasne jak słońce, że to zrobią. Pierwszego zakładnika zabili, żeby pokazać, kto tu rządzi. Zamierzają zrealizować swój plan, bez względu na cenę.

Ustępstwo, na jakie właśnie poszedł, może już być ostatnim.

— A to co? — zawołał Esteban podchodząc do okna. — Śmigłowiec!

— O? — Renè również poszedł zobaczyć. Okna były tak małe, że musiał odsunąć Baska na bok. — Tak, widzę. To policyjny śmigłowiec. Wielki — dodał, wzruszając ramionami. —

Właściwie nie ma się czemu dziwić. — Zastanawiał się przez chwilę. — Josè, pójdiesz na dach.

Weź ze sobą radio i informuj nas o wszystkim.

Jeden z pozostałych Basków skinął głową i ruszył w kierunku schodów.

— Dowództwo, tu snajper Dwa-Jeden — zgłosił się Johnston minutę później.

— Snajper Dwa-Jeden, tu Tęcza Sześć.

— Mam kogoś na dachu zamku. Jeden mężczyzna z bronią, chyba *Uzi*, ma ze sobą radio.

Jest sam, nikt mu w tej chwili nie towarzyszy.

— Zrozumiałem, snajper Dwa-Jeden.

— To nie ten, który rozwalił dzieciaka — dodał sierżant.

— W porządku, dziękuję.

— Snajper Dwa-Dwa też go ma... Właśnie przeszedł na moją stronę. Chodzi dookoła...

Spogląda na dół z krawędzi dachu.

— John? — odezwał się major Covington.

— Tak, Peter?

— Dajemy im za mało do oglądania.

— Co masz na myśli?

— Dajmy im coś, na co mogliby popatrzeć. Policjantów w pobliżu Zamku. Jeśli nic nie będą widzieć, zaczną się zastanawiać, czego nie widzą.

— Dobry pomysł — powiedział Noonan. Clarkowi też się podobał. — Pułkowniku?

— Tak — odpowiedział Nuncio i pochylił się nad stołem. — Proponuję dwóch ludzi tutaj, dwóch następnych tutaj i jeszcze kogoś tutaj. I tutaj.

— Dobrze. Niech się pan tym zaraz zajmie.

— Renè — zawołał Andrè ze swego miejsca przed monitorem. — Popatrz.

Dwóch policjantów z Guardia Civil skradało się powoli Ulicą Hiszpańską. Znajdowali się w odległości pięćdziesięciu metrów od zamku. Renè skinął głową i sięgnął po radio. — Trójka!

— Tak, Jedyńka?

— Policjanci podchodzą do zamku. Miej ich na oku.

— Oczywiście, Jedyńka — obiecał Esteban.

— W porządku, mają łączność radiową — powiedział Noonan spojrzawszy na skaner. —

Zwyczajne walkie-talkie, jakie można kupić w każdym sklepie ze sprzętem radiowym. Pasma cywilne, kanał szesnasty. Kaszka z mlekiem.

— Żadnych imion, tylko numery? — spytał Chavez.

— Ten, który się z nami kontaktuje, mówi o sobie Jedyńka, a ten na dachu to Trójka. Ma to dla nas jakieś znaczenie?

— Dyscyplina radiowa — powiedział doktor Bellow. — Zupełnie jak z podręcznika.

Usiłują ukryć przed nami swą tożsamość. To też jest w podręczniku. — Zdjęcia z obu przepustek do parku już dawno zostały wysłane do Francji w celu identyfikacji, ale tamtejsza policja i wywiad niczego nie znalazły.

— Czy Francuzi pójdą na uwolnienie więźniów?

Doktor Bellow pokręcił głową. — Nie sędzę. Kiedy powiedziałem ministrowi, co się stało z dziewczynką, tylko odchrząknął i oświadczył, że Carlos pozostanie za kratkami, choćby nie wiem co. Dodał, że oczekuje od nas rozwiązania problemu, a gdybyśmy nie dali rady, jego kraj może tu przysłać własny zespół.

— A więc musimy opracować plan i być gotowi do akcji przed godziną dwudziestą drugą.

— Zgadza się, jeśli nie chcecie, żeby zginęło następne dziecko — powiedział Bellow. —

Nie dali mi możliwości wpływania na ich zachowanie. Znają się na tym.

— Zawodowcy?

Bellow wzruszył ramionami. — Całkiem prawdopodobne. Wiedzą, czego będę próbował, więc potrafią unikać moich pułapek.

— Nie ma sposobu, żeby na nich jakoś wpłynąć? — spytał Clark, chcąc, żeby było to zupełnie jasne.

— Mogę próbować, ale prawdopodobnie nic to nie da. Z fanatykami, takimi, którzy mają jasno sprecyzowany cel, trudno jest dyskutować. Są wyzbyci zasad etycznych i moralności w potocznym znaczeniu tego słowa, nie mają sumienia — nie mają niczego, co mógłbym wykorzystać przeciwko nim.

— Tak, mogliśmy się już o tym przekonać. W porządku. — John wstał i odwrócił się do dowódców obu zespołów. — Macie dwie godziny, żeby to zaplanować i jeszcze godzinę na zorganizowanie wszystkiego. Ruszamy o dwudziestej drugiej.

— Musimy wiedzieć więcej o tym, co dzieje się w zamku — powiedział Covington Clarkowi.

— Noonan, co możesz zrobić?

Agent FBI spojrział na plany, a potem na monitory. — Muszę się przebrać — powiedział i wyciągnął z torby kombinezon na nocne operacje, utrzymany w różnych odcieniach zieleni.

Zdażył się już zorientować, że dwa miejsca w pobliżu zamku były niewidoczne z okien. To dawało pewną nadzieję, zwłaszcza że mogli wyłączyć latarnie, które te miejsca oświetlały.

Podszedł do głównego inżyniera. — Może pan wyłączyć te latarnie, o, tutaj?

— Oczywiście. Kiedy?

— Kiedy facet na dachu będzie patrzył w inną stronę. Aha, i potrzebuję kogoś do pomocy

— dodał.

— Ja pójdę — powiedział Oso Vega, robiąc krok do przodu.

Dzieci marudziły coraz głośniejsze. Zaczęło się to dwie godziny wcześniej, a potem było już tylko gorzej. Chciały jeść — dorośli prawdopodobnie nie prosiliby o jedzenie, zbyt wystraszeni, żeby cokolwiek przełknąć, ale z dziećmi było inaczej. Bardzo często musiały też korzystać z toalety; na szczęście do dyspozytorni przylegały dwie łazienki i ludzie Renè pozwalali im tam chodzić. W łazienkach nie było okien, telefonów, ani nic innego, co mogłoby umożliwić ucieczkę albo skomunikowanie się z kimś na zewnątrz. W tej sytuacji nie miało sensu, żeby dzieciaki robiły w majtki. Dzieci nie zwracały się bezpośrednio do żadnego z dorosłych, ale marudziły coraz głośniejsze. Renè uśmiechnął się ironicznie, pomyślawszy, że i tak są dobrze wychowane.

Mogło być gorzej. Spojrział na ścienny zegar.

— Trójka, tu Jedyńka.

— Słucham cię, Jedyńka — nadeszła odpowiedź.

— Co widzisz?

— Ośmiu policjantów, cztery dwójki, obserwują nas, ale nic innego nie robią.

— Dobrze. — Odłożył radio.

— Zarejestrowałem — powiedział Noonan. Spojrzał na ścienny zegar. Od poprzedniej rozmowy przez radio minęło piętnaście minut. Był już ubrany w kombinezon, tak jak podczas operacji w Wiedniu. Nałożył kamizelkę kuloodporną. *USP* z tłumikiem nosił w specjalnej, wielkiej kaburze pod pachą, a na ramię zarzucił plecak. — Pójdziemy na spacer, Vega?

— Jasne — odpowiedział Oso, szczęśliwy, że i dla niego znalazło się wreszcie coś do roboty. Bardzo podobało mu się obsługiwanie karabinu maszynowego *M-60*, ale nigdy dotąd nie użył go podczas akcji i zastanawiał się, czy w ogóle kiedykolwiek będzie miał taką okazję. Miał

najpotężniejszą posturę ze wszystkich ludzi w zespole, jego hobby było podnoszenie ciężarów, a klatka piersiowa przypominała beczkę od piwa. Wyszedł za Noonanem na zewnątrz.

— Drabina? — spytał sierżant.

— Pięćdziesiąt metrów od miejsca, do którego idziemy, jest skład farb i przyborów malarskich. Spytałem. Mają wszystko, czego nam potrzeba.

— W porządku — powiedział Oso.

Szli szybko, a przez miejsca, znajdujące się w polu widzenia kamer, przebiegali chyłkiem. Skład, do którego zmierzali, nie był oznakowany. Noonan uchylił drzwi — nie były zamknięte na klucz — i obaj weszli do środka. Vega zdjął ze stojaka na ścianie dziesięciometrową, rozkładaną drabinę. — Powinno wystarczyć.

Wyszli na zewnątrz. Noonan wiedział, że od tej chwili poruszanie się będzie trudniejsze.

— Noonan do dowództwa.

— Tu Tęcza Sześć.

— Zaczynajcie sztuczki z kamerami, John.

W dyspozytorni Clark dał znak inżynierowi. To, co planowali, było trochę ryzykowne, ale mieli nadzieję, że tylko trochę. W centralnej dyspozytorni w zamku było, podobnie jak i tutaj, tylko osiem monitorów, do których podłączono kablami ponad czterdzieści kamer. Można było tak zaprogramować komputer, żeby automatycznie przekazywał obrazy z kolejnych kamer, ale można też było wybrać dowolne kamery. Wystarczyło kliknięcie myszą i jedna z kamer została wyłączona. Jeśli terroryści korzystali z sekwencji automatycznej, co było prawdopodobne, raczej nie powinni się zorientować, że jednej z kamer brakuje. Noonan i Vega musieli przejść przez miejsca, znajdujące się w polu widzenia dwóch kamer. Inżynier był gotów wyłączać je i włączać w miarę potrzeby. Kamerę numer dwadzieścia trzy wyłączył w momencie, kiedy w jej polu widzenia pojawiła się ręka.

— W porządku, Noonan, dwudziesta trzecia wyłączona.



— Idziemy — powiedział Noonan. Przebyli dwadzieścia metrów i stanęli ukryci za jednym ze stoisk.  
— W porządku, jesteśmy przy stoisku z prażoną kukurydzą.

Inżynier włączył z powrotem kamerę numer dwadzieścia trzy, a wyłączył numer dwadzieścia jeden.

— Dwudziesta pierwsza wyłączona — poinformował Clark. — Snajper Dwa-Jeden, co z tym facetem na dachu?

— Jest po stronie zachodniej, właśnie zapalił papierosa, już nie patrzy na dół. Stoi w tej chwili nieruchomo — zameldował sierżant Johnston.

— Noonan, możecie ruszać.

— Ruszamy — odpowiedział agent FBI. Przebiegli po kamiennych płytach. Buty na gumowych podszewkach nie robiły hałasu. Wzdłuż ściany zamku ciągnął się pas ziemi dwumetrowej szerokości, obsadzony krzakami bukszpanu. Noonan i Vega ostrożnie postawili drabinę przed żywopłotem. Vega pociągnął za linkę, rozsuwając górny odcinek tak, że prawie sięgnął podstawy okna. Następnie stanął pod drabiną i, chwyciwszy za szczebel, mocno docisnął

ją do ściany zamku.

— Uważaj na siebie, Tim — szepnął.

— Zawsze. — Noonan szybko wspiął się po szczeblach na wysokość trzech metrów, po czym już znacznie wolniej zaczął się zbliżać do okna. Cierpliwości, powtarzał sobie. Masz mnóstwo czasu. Było to jedno z tych kłamstw, którymi mężczyźni dodają sobie otuchy.

— W porządku — usłyszał Clark. — Tim wchodzi właśnie po drabinie. Facet na dachu nadal stoi po drugiej stronie i niczego nie zauważył.

— Niedźwiedź, tu Tęcza Sześć, odbiór.

— Słyszę cię, Tęcza Sześć.

— Podokazuj trochę po zachodniej stronie zamku, tak, żeby zwrócić na siebie uwagę, odbiór.

— Zrozumiałem.

Malloy przerwał latanie w kółko, wyrównał i skierował maszynę w stronę zamku. *Night Hawk* był dość cichym śmigłowcem, ale facet na dachu odwrócił się i patrzył uważnie.

Pułkownik widział go przez gogle noktowizyjne. Wszedł w zawis w odległości około dwustu metrów od zamku. Chciał ściągnąć na siebie uwagę, ale nikogo nie straszyć. Przez gogle widział

wyraźnie, jak ognek papierosa uniósł się na wysokość ust wartownika na dachu, a potem przesunął

się o metr niżej i tak już pozostał.

— Cześć, mały — powiedział Malloy przez interkom. — Jezu, gdyby to był *Night Stalker*, mógłbym wysłać twoją dupę ekspresem do następnej strefy czasowej.

— Latałeś *Stalkerem*? Jak się pilotuje?

— Gdyby ta maszyna potrafiła jeszcze gotować, to bym się z nią, kurwa, ożenił.

Najlepszy śmigłowiec, jaki kiedykolwiek wyprodukowano — powiedział Malloy, trzymając *Night Hawka* w zawisie. — Tęcza Sześć, tu Niedźwiedź. Ten sukinsyn na dachu skoncentrował na mnie całą uwagę.

— Noonan, odciągnęliśmy uwagę wartownika na dachu. Jest po przeciwnej stronie w stosunku do was.

Doskonale, pomyślał Noonan, ale nie powiedział tego głośno. Zdjął kewlarowy hełm i przysunął twarz do okna. Jego powierzchnia była wykonana z nieregularnych kawałków szkła, połączonych ołowiem, tak jak w dawnych zamkach. Duża tafla szklana byłaby lepsza, ale i tak można było zajrzeć do środka. Sięgnął do plecaka i wyjął kabel światłowodowy, zakończony miniaturowym obiektywem, przypominającym łeb kobry, taki sam jak ten, którego użył w Bernie.

— Noonan do dowództwa. Widać coś?

— Tak, potwierdzam. — Był to głos Davida Peleda. Obraz był zniekształcony, ale bez trudu można się było do tego przyzwyczaić. Widać było czterech dorosłych, a także, co ważniejsze, gromadkę dzieci, siedzących w kącie na podłodze, w pobliżu dwóch par oznakowanych drzwi... Toalety, domyślił się Peled. Gadżet Noonana działał i to doskonale. —

Dobrze to wygląda, Timothy. Bardzo dobrze.

— W porządku. — Noonan przykleił maleńki obiektyw i zaczął schodzić po drabinie.

Serce biło mu szybciej niż kiedykolwiek podczas porannego biegu. Znalazłszy się na ziemi, razem z Vega oparł się plecami o ścianę zamku.

Z dachu spadł niedopałek papierosa. Johnston zorientował się, że wartownikowi znudziło się oglądanie śmigłowca.

— Nasz przyjaciel na dachu przechodzi na wschodnią stronę. Noonan, idzie w waszym kierunku.

Malloy zastanawiał się przez chwilę, czy nie wykonać jakiegoś manewru, żeby wartownik znów zaczął mu się przyglądać, ale pomyślał, że to zbyt niebezpieczne. Ustawił maszynę bokiem do zamku i znów zaczął krążyć, ale bliżej, cały czas wpatrując się w dach. Niewiele więcej mógł

zrobić, chyba że wyciągnąłby pistolet i strzelił, ale z tej odległości trudno byłoby trafić choćby w

zamek. A poza tym, zabijanie nie należało do jego zadań. Szkoda, pomyślał Malloy. Zdarzały się chwile, kiedy wydawało mu się to bardzo pociągające.

— Ten śmigłowiec mnie drażni — odezwał się głos w słuchawce.

— Przykro mi — powiedział doktor Bellow, zastanawiając się, jak tamten zareaguje — ale nie mam wpływu na to, co robi policja.

— Paryż się skontaktował?

— Niestety, nie, ale mamy nadzieję, że nastąpi to już niedługo. Jest jeszcze czas. —

Bellow postarał się, żeby w jego głosie zabrzmiała desperacja.

— Ale nikt nie zatrzyma jego upływu — powiedział Jedyńka i rozłączył się.

— A to co miało znaczyć? — spytał John.

— Że tamten ściśle trzyma się reguł gry. Nie sprzeciwia się obecności policjantów, których widzi na monitorach. Wie, z czym musi się liczyć. — Bellow pociągnął łyk kawy. —

Jest bardzo pewny siebie. Sądzi, że jest bezpieczny, że ma w ręku lepsze karty, a jeśli będzie musiał zabić jeszcze kilkoro dzieci, to nie szkodzi, ponieważ osiągnie dzięki temu swój cel.

— Mordując dzieci. — Clark pokręcił głową. — Nie przypuszczałem... Cholera, powinienem był się domyślić, prawda?

— Opór przed zabiciem dziecka jest bardzo silny, może silniejszy niż wszystko inne —

pocieszył go doktor Bellow. — Ale sposób, w jaki zabili tę dziewczynkę... — mówił dalej psychiatra. — Bez cienia wahania, jakby była papierową tarczą. To fanatycy ideologii. Wszystko podporządkowali swemu systemowi wartości. Postępują racjonalnie, ale tylko w granicach tego systemu. Nasz przyjaciel, Jedyńka, wytyczył sobie cel i zrobi wszystko, żeby go osiągnąć.

Inżynier pomyślał z uznaniem, że system obserwacyjny jest naprawdę dobry. Soczewka obiektywu, przymocowanego obecnie do okna zamku, miała mniej niż dwa milimetry średnicy i nawet gdyby ją ktoś zauważył, wzięłby ją za kroplę farby albo pęcherzyk w szkle szyby. Jakość obrazu nie była najlepsza, ale było widać, gdzie kto jest, a im dłużej człowiek się przyglądał, tym więcej rozumiał z tego, co na początku wydawało się czarno-białą fotografią chaosu. Rozróżniał

teraz sześciu dorosłych. Siódmy znajdował się na dachu, więc brakowało tylko trzech. Czy wszystkie dzieci znajdowały się w polu widzenia? Z nimi było trudniej. Wszystkie miały takie same koszulki, których czerwień zmieniała się na czarno-białym monitorze w bardzo neutralną szarość. Wyróżniało się dziecko na wózku inwalidzkim, ale pozostałe zlewały się w jedną grupę, tym bardziej, że obraz

był nieostry. Zorientował się, że komandosów niepokoi ta sytuacja.

— Przechodzi z powrotem za stronę zachodnią — zameldował Johnston. — Jest już na zachodnim krańcu dachu.

— Idziemy — powiedział Noonan do Vega.

— Drabina? — Ściągnęli ją i położyli przy krzakach.

— Zostaw ją. — Noonan pobiegł schylony i po kilku sekundach dotarł do stoiska z kukurydzą. — Noonan do dowództwa, weźcie się znów za te kamery.

— Wyłączona — poinformował Clarka inżynier.

— Kamera numer dwadzieścia jeden wyłączona. Ruszajcie, Tim. Noonan klepnął Vegę w ramię i przebiegł następne trzydzieści metrów.

— W porządku, wyłączcie dwudziestą trzecią.

— Gotowe — powiedział inżynier.

— Ruszaj — rozkazał Clark.

Piętnaście sekund później Noonan i Vega byli już bezpieczni poza zasięgiem kamer.

Noonan oparł się plecami o ścianę i odetchnął głęboko. — Dzięki, Julio.

— Nie ma sprawy — odpowiedział Vega. — Żeby tylko ta kamera zadziałała.

— Nie martw się, zadziała — obiecał agent FBI. Ruszyli z powrotem do dyspozytorni w podziemiach.

Wchodząc usłyszeli Chaveza. — Wysadzić okna? Możemy to zrobić, Paddy?

Connolly tęsknił do papierosa. Rzucił palenie wiele lat temu — nie dawało się pogodzić z codziennym bieganiem — ale w takich chwilach papieros pomagał się skoncentrować. A może tylko mu się tak wydawało? — Sześć okien... Trzy do czterech minut na każde. Nie, sir, nie sądzę. Mogę dać panu dwa, jeśli będziemy mieli dość czasu.

— Jaka jest konstrukcja tych okien? — spytał Clark. — Dennis?

— Metalowe framugi osadzone w kamieniu — powiedział dyrektor parku.

— Zaczekajcie. — Inżynier przewrócił kartkę w folderze z planami architektonicznymi zamku, potem jeszcze dwie, aż wreszcie znalazł, czego szukał. Powiódł palcem po tekście na marginesie. — Tu jest specyfikacja. Trzymają się tylko na zaprawie cementowej. Wystarczy mocne kopnięcie, żeby wpadły

do środka... Tak sądzę.

Owo „tak sądzę” nie było czymś, co Ding bardzo chciał w tej chwili usłyszeć, ale w końcu jakie okno oprze się butom faceta, ważącego dziewięćdziesiąt kilogramów i nadlatującego na linie nogami do przodu?

— A co z granatami obezwładniającymi, Paddy?

— Da się zrobić — odpowiedział Connolly. — Framugom na pewno nie wyjdzie to na dobre, sir.

— W porządku. — Chavez pochylił się nad planami. — Będziesz miał dość czasu, żeby wysadzić dwa okna. To i to. — Postukał palcem w plan zamku. — Pozostałe cztery potraktujemy granatami obezwładniającymi i sekundę później wpadniemy do środka. Eddie tędy, ja tędy, Louis tędy. George, jak noga?

— Kiepsko. — Sierżant Tomlinson skrzywił się, ale odpowiedział uczciwie. Musiałby kopnięciem wybić okno, wpaść do środka, wylądować na betonowej posadzce, a potem zerwać się i strzelać. W tej grze stawką było życie dzieci. Nie, nie mógł pójść na takie ryzyko. — Weź

lepiej kogoś innego, Ding.

— Oso, potrafiłbyś?

— Oczywiście — odpowiedział Vega, usiłując stłumić uśmiech.

— W porządku. Scotty, Mike, dla was są te okna. Jaka jest dokładnie odległość z dachu?

W planach była i ta informacja. — Dokładnie szesnaście metrów od poziomu dachu.

Dodaj siedemdziesiąt centymetrów na blanki.

— Na linach to żaden problem — powiedział Eddie Price. Plan zaczynał nabierać kształtów. Głównym zadaniem jego i Dinga będzie dostanie się między dzieci a terrorystów.

Vega, Loïselle, McTyler i Pierce zajmą się terrorystami w dyspozytorni. Najprawdopodobniej będą ich musieli pozabijać, ale ostateczną decyzję podejmą na miejscu. Pierwszy Zespół

Covingtona pobiegnie schodami z podziemi, żeby przechwycić każdego terrorystę, któremu udałooby się wybiec i żeby wesprzeć Drugi Zespół, gdyby coś poszło nie tak jak powinno.

Price i Chavez znów pochylili się nad planami, sprawdzając odległości, jakie będą mieli do przebycia i określając potrzebny na to czas. Wyglądało na to, że akcja może się udać. Nawet powinna. Ding uniósł głowę.

— Uwagi?

Noonan odwrócił się, żeby obejrzeć obraz, przekazywany przez urządzenie, które niedawno

zainstalował. — Wydaje się, że większość terrorystów stoi przy konsolach. Dwaj pilnują dzieci, ale niczego się z ich strony nie obawiają. Logiczne, przecież to tylko maluchy, a nie dorośli, którzy mogliby zacząć stawiać opór. Ale wystarczy, żeby jeden z tych skurwysynów odwrócił się i zaczął strzelać...

— Tak. — Ding skinął głową. Z faktami nie można się spierać. — Cóż, musimy strzelać szybko i celnie. Nie można by ich jakoś porozdzielać?

Bellow zastanawiał się przez chwilę. — Może gdybym im powiedział, że samolot jest w drodze? To ryzykowne. Jeśli uznają, że kłamię, mogą zacząć zabijać zakładników. Z drugiej strony, jeśli pomyślą, że czas ruszać na lotnisko, Jedyńka prawdopodobnie wyśle paru ludzi do podziemi. Sądzę, że właśnie tamtędy będą chcieli wyjść. Wtedy moglibyśmy znów zająć się kamerami i gdyby nasi ludzie zdołali podejść wystarczająco blisko, to...

— Z miejsca by drani wykończyli — powiedział Clark. — Peter?

— Dwadzieścia metrów i sprawa załatwiona. Aha, jeszcze jedno. Tuż przed atakiem wyłączymy prąd. Trzeba skurwysynów dezorientować — wyjaśnił Covington.

— Na klatkach schodowych są światła awaryjne — powiedział Mike Dennis. — Zapalają się, kiedy następuje przerwa w dostawie prądu. Cholera, w dyspozytorni też są dwa takie światła.

— W którym miejscu? — spytał Chavez.

— Po lewej, to znaczy jedno w narożniku od północnego wschodu, a drugie od południowego zachodu. Dwa zwyczajne reflektory, podobne do samochodowych, zasilane z akumulatorów.

— W porządku, wpadamy do środka bez gogli noktowizyjnych, ale i tak wyłączamy prąd tuż przed atakiem, żeby ich dezorientować. Coś jeszcze? Peter? — spytał Ding.

Major Covington skinął głową. — Powinno się udać.

Clark patrzył i słuchał, zmuszony pozostawić planowanie dowódcom zespołów — mógł

się wtrącić tylko wtedy, gdyby popełnili jakiś błąd, ale nie popełnili. Najbardziej chciałby wziąć *MP-10* i pójść ze strzelcami, ale nie mógł tego zrobić. Zaklął w duchu. Dowodzenie operacją nie dawało takiej satysfakcji jak prowadzenie ludzi do boju.

— Potrzebujemy lekarzy na wypadek, gdyby któremuś z terrorystów dopisało szczęście

— powiedział John pułkownikowi Nuncio.

— Mamy sanitariuszy, są w tej chwili koło parku...

— Doktor Weiler jest całkiem dobry — powiedział Mike Dennis. — Przeszedł szkolenie w zakresie

urazówki, obstawaliśmy przy tym na wypadek, gdyby coś niedobrego się tu wydarzyło.

— W porządku, zwrócimy się do niego, kiedy przyjdzie czas. Doktorze Bellow, proszę powiedzieć panu Jedyńce, że Francuzi ustąpili i że uwolnieni więźniowie będą tu... Jak pan sądzi, o której?

— Dwadzieścia po dziesiątej. Jeśli się na to zgodzą, będzie to z ich strony ustępstwem, ale takim, które ich uspokoi. Przynajmniej powinno.

— Proszę dzwonić, doktorze.

— Tak? — powiedział Renè.

— Sanchez zostanie zwolniony z więzienia La Sante za mniej więcej dwadzieścia minut.

Sześciu innych też, natomiast z trzema są jakieś problemy. Nie wiem dokładnie, o co chodzi.

Zostaną dostarczeni na lotnisko De Gaulle'a i odlecą stamtąd *Airbusem 340* linii Air France.

Sądzymy, że wylądują tutaj około dwudziestej drugiej czterdzieści. Czy to was satysfakcjonuje? I jak mamy dostarczyć was i zakładników na lotnisko? — spytał Bellow.

— Sądzę, że autobusem. Podstawicie autobus pod zamek. Zabierzemy ze sobą około dziesięciorga dzieci, pozostawiając resztę na dowód dobrej woli. Wiemy, jak się poruszać z dziećmi, żeby nie dać policjantom szansy na zrobienie czegoś głupiego. Powiedz to policji i ostrzeż, że wszelka zdrada będzie mieć poważne następstwa.

— Nie chcemy, żeby jeszcze któremuś z dzieci stała się krzywda — zapewnił go Bellow.

— Jeśli zrobicie to, co każę, obejdzie się bez tego — ciągnął Renè zdecydowanym tonem

— ale musicie mieć świadomość, że jeśli zrobicie coś głupiego, dziedziniec spłynie krwią.

Zrozumiałeś mnie?

— Tak, Jedyńka, zrozumiałem — padła odpowiedź.

Renè odłożył słuchawkę i wstał. — Przyjaciele, Iljicz wychodzi z więzienia. Francuzi postanowili spełnić nasze żądania.

— Sprawia wrażenie bardzo zadowolonego — powiedział Noonan ze wzrokiem wbitym w czarno-biały monitor. Terrorysta, z którym doktor przed chwilą rozmawiał, Jedyńka, wstał i podszedł do swych towarzyszy. Chyba ściskali sobie dłonie.

— Nie pójdą się teraz zdrzemnąć — ostrzegł doktor Bellow. — Raczej będą jeszcze czujniejsi.

— Tak, wiem — zapewnił go Chavez. — Ale jeśli dobrze się sprawimy, ich czujność będzie bez znaczenia.

Malloy poleciał na lotnisko uzupełnić paliwo. Powinno to potrwać jakieś pół godziny.

Czekając na zatankowanie maszyny dowiedział się, co miało się stać za godzinę. W kabinie *Night Hawka* sierżant Nance przygotowywał liny piętnastometrowej długości, przymocowując je do zaczepów w podłodze. Podobnie jak piloci, również Nance miał pistolet w kaburze na lewym biodrze. Nie przypuszczał, żeby kiedykolwiek musiał go użyć, zresztą strzelał przeciętnie, ale mając broń czuł się jednym z nich i było to dla niego ważne. Kiedy tankowanie się skończyło, zamknął wlew paliwa i powiedział pułkownikowi Malloyowi, że śmigłowiec jest gotowy. Malloy przesunął do góry dźwignię skoku, unosząc *Night Hawka* w powietrze, po czym odepchnął

drażek i poleciał do Parku Światowego. Teraz nie krążył już wokół parku. Zamiast tego co kilka minut przelatywał bezpośrednio nad zamkiem, zawracał, błyskając światłami antykolizyjnymi i kręcił się to tu, to tam, jakby znudzony poprzednim lataniem w kółko.

— W porządku, ruszamy — powiedział Chavez swemu zespołowi. Ci, którzy mieli wziąć bezpośredni udział w operacji ratunkowej skierowali się do podziemnego korytarza, a potem na powierzchnię, gdzie czekała już ciężarówka armii hiszpańskiej. Wsiedli i samochód pojechał przez wielki parking.

Dieter Weber wybrał sobie stanowisko naprzeciwko sierżanta Johnstona, na płaskim dachu sali kinowej, w której pokazywano dzieciom kreskówki. Znajdował się w odległości zaledwie stu dwudziestu metrów od wschodniej strony zamku. Dotarłszy na miejsce, rozwinął

piankową matę, ustawił karabin na dwójnogu i zaczął oglądać okna zamku przez celownik o dziesięciokrotnym przybliżeniu.

— Snajper Dwa-Dwa na pozycji — zameldował Clarkowi.

— Doskonale, melduj, gdyby coś się działo — powiedział Clark, unosząc głowę. — Al?

Stanley miał ponurą minę. — Cholernie dużo broni i cholernie dużo dzieciaków.

— Tak, wiem. Powinniśmy jeszcze czegoś spróbować? Stanley pokręcił głową. — Plan jest dobry. Gdybyśmy spróbowali czegoś na zewnątrz, mieliby za duże pole manewru. Poza tym, w zamku będą się czuli bezpieczniej. Nie, Peter i Ding opracowali dobry plan, tyle że nie istnieje coś takiego jak plan doskonały.

Zgasły wszystkie latarnie na parkingu. Ciężarówka, również bez świateł, zatrzymała się w wyznaczonym miejscu. Chavez i jego ludzie wyskoczyli na zewnątrz. Dziesięć sekund później wylądował *Night Hawk*. Wirnik cały czas obracał się z dużą prędkością. Otworzyły się boczne drzwi i strzelcy weszli na pokład, siadając na podłodze. Sierżant Nance zamknął jedno drzwi, potem drugie.



— Wszyscy na pokładzie, pułkowniku.

Malloy bez słowa przesunął dźwignię skoku i śmigłowiec wspiął się w niebo. Pilot bardzo uważał na słupy latarni — gdyby o któryś zawadził, cała operacja wzięłaby w łeb. Po chwili był już nad nimi i położył maszynę w skręt, kierując się z powrotem do parku.

— Wyłącz światła antykolizyjne — polecił Malloy porucznikowi Harrisonowi.

— Światła wyłączone — zameldował drugi pilot.

— Gotowi? — spytał Ding swoich ludzi.

— Jeszcze jak — odpowiedział Mike Pierce. Pieprzeni mordercy. Tego już nie dodał, ale nikt na pokładzie nie myślał inaczej. Broń mieli przymocowaną do zaczepów na piersi, a na rękach rękawiczki do zjazdu po linie. Trzech z nich poprawiało je sobie w tej chwili, co było oznaką napięcia. Na wszystkich twarzach malowała się zaciętość.

— Gdzie jest samolot? — spytał Jedyńka.

— Powinien lądować za godzinę i dziesięć minut — odpowiedział doktor Bellow. —

Kiedy mamy podstawić autobus?

— Dokładnie na czterdzieści minut przed lądowaniem. A zaraz po wylądowaniu niech się biorą za uzupełnienie paliwa. Wejdziemy na pokład w trakcie tankowania.

— Dokąd polecicie? — spytał następnie doktor Bellow.

— Powiemy pilotowi, kiedy wejdziemy na pokład.

— W porządku, autobus jest już w drodze. Będzie tu za jakieś piętnaście minut. Dokąd dokładnie ma podjechać?

— Prosto do zamku, obok Nurkującego Bombowca.

— W porządku, powiem im — obiecał doktor Bellow.

— *Merci*. — Połączenie zostało przerwane.

— Sprytnie — zauważył Noonan. — Cały czas będą mieli autobus w polu widzenia dwóch kamer, więc nie moglibyśmy wykorzystać go jako osłony dla naszych ludzi. — Ale gównu im to pomoże, pomyślał, nie wypowiadając tego głośno.

— Niedźwiedź, tu Tęcza Sześć. — Clark wywołał Malloya przez radio.

— Tu Niedźwiedź, słyszę cię, Tęcza Sześć, odbiór.

— Zaczynamy za pięć minut.

— Zrozumiałem, za pięć minut.

Malloy odwrócił się do tyłu. Chavez wszystko słyszał i teraz skinął głową, unosząc dłoń z rozcapierzonymi palcami.

— Tęcza, tu Sześć. Przygotować się, powtarzam, przygotować się. Zaczynamy za pięć minut.

W podziemiach Peter Covington prowadził trojkę swoich ludzi na wschód, w kierunku zamkowych schodów, podczas gdy inżynier kolejno wyłączał kamery obserwacyjne. Specjalista od materiałów wybuchowych umieścił niewielki ładunek na drzwiach przeciwpożarowych, za którymi zaczynały się schody i skinął głową w stronę dowódcy.

— Pierwszy Zespół gotowy.

— Snajper Dwa-Jeden gotów. Na celu — powiedział Johnston.

— Snajper Dwa-Dwa gotów, ale brak celów w polu widzenia — poinformował Weber Clarka.

— Trójka, tu Jedyńka — rozległo się w głośniku, przez który w rezerwowej dyspozytorni podsłuchiwano rozmowy radiowe terrorystów.

— Tak, Jedyńka? — zgłosił się terrorysta, trzymający straż na dachu zamku.

— Dzieje się coś?

— Nie, policjanci są tam, gdzie byli. Śmigłowiec gdzieś się tu kręci, ale nie robi nic szczególnego.

— Autobus powinien tu być za piętnaście minut. Uważaj.

— Będę uważał — obiecał Trójka.

— W porządku — powiedział Noonan. — Mamy jakąś prawidłowość. Jedyńka wywołuje Trójkę mniej więcej co piętnaście minut. Nigdy nie więcej niż osiemnaście i nie mniej niż dwanaście. Czyli...

— Tak. — Clark skinął głową. — Nie ma co czekać, prawda?

— Też tak uważam — powiedział Stanley.

— Tęcza, tu Sześć. Wykonać, powtarzam, wykonać!

Na pokładzie *Night Hawka* sierżant Nance otworzył drzwi po obu stronach. Uniesionym kciukiem dał

znać strzelcom, którzy odpowiedzieli tym samym gestem, umocowawszy liny do pierścieni przy pasach. Wszyscy ustawili się tyłem do drzwi, na palcach, tak, że plecy wystawały im poza śmigłowiec.

— Sierzancie Nance, dam znać, kiedy będziemy na miejscu.

— Tak jest, sir. — Nance stał skulony na pustym teraz środku kabiny pasażerskiej, wyciągnąwszy ręce do ludzi po obu stronach.

— Andrè, idź na dół i rozejrzyj się po dziedzińcu — rozkazał Renè. Andrè ruszył natychmiast, trzymając *Uzi* w obu rękach.

— Ktoś właśnie wyszedł — powiedział Noonan.

— Tęcza, tu Sześć, jeden osobnik wyszedł z dyspozytorni.

Ośmiu, pomyślał Chavez. Ośmiu osobników do zdjęcia. Pozostałymi dwoma zajmą się strzelcy wyborowi.

Ostatnie dwieście metrów było najtrudniejsze. Malloy ujął obydwoma rękami drążek sterowy. Robił to wprawdzie wiele razy na ćwiczeniach, ale teraz to nie ćwiczenia... W

porządku... Opuścił nos maszyny, nadlatując nad zamek. *Night Hawk* bez świateł antykolizyjnych był tylko cieniem, nieco ciemniejszym niż noc. Co więcej, cztery łopaty wirnika głównego robiły hałas, którego kierunku nie sposób było określić. Ktoś mógł go usłyszeć, ale zlokalizowanie źródła hałasu było trudne, a Malloy potrzebował jeszcze tylko kilku sekund

— Snajper Dwa-Jeden, uwaga.

— Snajper Dwa-Jeden, na celu — odpowiedział Johnston. Uregulował oddech i przesunął

trochę łokcie, tak, żeby tylko kości, a nie mięśnie miały kontakt z matą. W oddaniu celnego strzału mogła przeszkodzić nawet krew, pulsująca w żyłach. Krzyż celownika ustawił tuż nad uchem terrorysty. — Na celu — powtórzył.

— Ognia — usłyszał w słuchawce.

Pożegnaj się, stary, powiedział w myślach i delikatnie ściągnął spust. Z lufy wyskoczył

długi, biały jęzor ognia. Błysk oślepił go, ale tylko na ułamek sekundy. Odzyskał zdolność widzenia w samą porę, żeby zobaczyć, jak jego pocisk trafia w cel. Z głowy terrorysty wydobyło się coś na kształt szarawego obłoku i ciało upadło jak marionetka, której przecięto sznurki. Nikt wewnątrz zamku nie mógł usłyszeć strzału, nie przez grube okna i kamienne ściany, z odległości trzystu metrów.

— Snajper Dwa-Jeden. Cel trafiony prosto w głowę — zameldował Johnston.

— Jednego mniej — powiedział porucznik Harrison przez interkom. Z kabiny śmigłowca widok eksplodującej głowy wartownika był spektakularny. Harrison po raz pierwszy był

świadkiem czyjejś śmierci i pomyślał, że wygląda to zupełnie jak w kinie. Facet na dachu nie był dla niego żywą istotą i już nigdy nie będzie.

— Aha — przytaknął Malloy, ściągając trochę drążek. — Sierżancie Nance, teraz!

Nance jeszcze bardziej rozłożył ręce. Śmigłowiec zwalniał z uniesionym nosem. Malloy perfekcyjnie wykonywał manewr zwany fotelem na biegunach.

Chavez odepchnął się stopami i zjechał po linie. Po niespełna dwóch sekundach prawie swobodnego spadku ścisnął linę, żeby spowolnić zjazd i jego czarne buty na gumowych podszewkach delikatnie dotknęły płaskiego dachu. Natychmiast odczepił linę i odwrócił się, patrząc, jak lądują jego ludzie. Eddie Price podbiegł do leżącego wartownika, nogą odwrócił mu głowę, po czym odwrócił się i dał dowódcy znak uniesionym kciukiem.

— Tęcza Sześć, tu dowódca Drugiego Zespołu. Jesteśmy na dachu. Wartownik nie żyje

— powiedział Chavez do mikrofonu. — Idziemy dalej. — Machnął ręką na swoich ludzi, dając im znać, żeby podeszli do krawędzi dachu. *Night Hawk* dawno zniknął w ciemnościach, jakby w ogóle się nie zatrzymywał.

Dach zamku był zwieńczony blankami — kamiennymi murkami, które kiedyś zapewniały osłonę łucznikom, szyjącym strzałami do napastników. Każdy z ludzi Dinga miał przydzielony jeden blank. Odliczali je na palcach i każdy ustawił się przy swoim, przywiązał do niego linę i ustawił się w przerwie między dwoma blankami. Wszyscy unieśli ręce na znak, że są gotowi.

Chavez zrobił to samo, po czym odepchnął się stopami od krawędzi dachu. Zjechał po linie do punktu o metr na prawo od okna, opierając się stopami o ścianę zamku. Paddy Connolly zatrzymał się po drugiej stronie okna, wyciągnął rękę, przymocował do framugi ładunek wybuchowy i wcisnął detonator radiowy. Następnie Paddy przemieścił się w lewo, huśtając się na linie, jakby to była liana w dżungli i zrobił to samo z drugim oknem. Pozostali trzymali już w rękach granaty obezwładniające.

— Dowódca Drugiego Zespołu do Tęczy Sześć. Światła!

W dyspozytorni inżynier ponownie odciał dopływ prądu do zamku.

Wisząc na linach, ludzie z Drugiego Zespołu zobaczyli, że światła zgasły. Sekundę, czy dwie później włączyły się światła awaryjne, które jednak były za słabe, żeby przyzwoicie oświetlić całe pomieszczenie. Monitory, na które patrzyli terroryści, też zgasły.

— *Merde* — zaklął Renè, usiadł na krześle i sięgnął po telefon. Jeśli tamtym wydawało się, że mogą jeszcze próbować jakichś sztuczek, to... Wydawało mu się, że spostrzegł jakiś ruch za oknem.

Spojrzał uważniej...

— Drugi Zespół, tu dowódca. Pięć sekund... pięć... cztery... trzy... — Na „trzy” ludzie trzymający granaty obezwładniające wyciągnęli z nich zawlecзки, ułożyli granaty na zewnętrznych parapetach i odwrócili się. — ... dwa... jeden... teraz!

Sierżant Connolly nacisnął guzik i eksplozja wyrwała ze ścian dwa okna. Ułamek sekundy później trzy następne okna wpadły do środka, pchnięte falą uderzeniową granatów obezwładniających. Przeleciały przez całe pomieszczenie falą odłamków szkła i kawałków ołowiu, mijając jednak o dobre trzy metry grupę skulonych w kącie dzieci.

Obok Chaveza starszy sierżant sztabowy Eddie Price wrzucił do środka następny granat obezwładniający, który wybuchł w momencie zetknięcia się z podłogą. Wtedy Chavez odepchnął się nogami od ściany i, wisząc na linie, wpadł przez okno, z gotowym do strzału *MP-10* w rękach. Ciężko uderzył o podłogę. Upadł na plecy, nie zdoławszy utrzymać równowagi, a chwilę później poczuł stopy Price'a na swej lewej ręce. Chavez przetoczył się, zerwał na nogi i ruszył w stronę dzieci. Krzyczały przerażone wybuchami granatów obezwładniających, zasłaniając sobie uszy i oczy rączkami. Ale Ding nie miał teraz dla nich czasu.

Price wylądował lepiej, również pobiegł w prawo, ale odwrócił głowę, żeby się rozejrzeć po pomieszczeniu. Tam. Brodaty facet z *Uzi*. Price wyciągnął przed siebie *MP-10* na ile tylko pozwalał pasek i z odległości trzech metrów wpakował terrorystę trzy pociski prosto w twarz.

Strzałów prawie nie było słychać, ale efekt był piorunujący.

Oso Vega kopniakiem wywalił swoje okno i wylądował prosto na grzbiecie jednego z osobników. Obaj byli tym zaskoczeni, ale w odróżnieniu od terrorysty, Vega był przygotowany na niespodzianki. Lewa ręka Oso jakby się usamodzieliła, zadając miążdzący cios w twarz, a dzieła zniszczenia dopełniła krótka seria trzech pocisków kalibru 10 mm.

Renè siedział za biurkiem ze słuchawką telefoniczną w ręku. Pistolet miał przed sobą.

Sięgał właśnie po niego, kiedy Pierce wpakował mu z boku trzy pociski w głowę z odległości niecałych dwóch metrów.

Po drugiej stronie pomieszczenia Chavez i Price zatrzymali się między terrorystami a dziećmi. Ding przyklęknął na jedno kolano i z uniesioną bronią rozglądał się za następnym celem. Słyszał ciche, wytłumione strzały swoich ludzi. Pomieszczenie, w którym panował

półmrok, zaroilo się nagle od poruszających się cieni. Loïselle znalazł się tuż za jednym z terrorystów, tak blisko, że mógł mu przystawić do głowy lufę swojego pistoletu maszynowego.

Tak też zrobił. Strzał był dziecinnie łatwy, ale krew i mózg rozprysnęły się po całym pomieszczeniu.

Osobnik w kącie uniósł *Uzi* i z palcem na spuście odwrócił się w stronę dzieci. Chavez i Price strzelili jednocześnie, a po chwili dołączył do nich McTyler i terrorysta przewrócił się jak

szmaciana lalka pod gradem pocisków.

Inny osobnik dopadł posiekanych kulami drzwi, otworzył je i uciekał, chcąc się znaleźć jak najdalej od strzelaniny. Skręcił raz, drugi... i próbował się zatrzymać, zobaczywszy nagle przed sobą czarną sylwetkę na schodach.

Peter Covington prowadził swoich ludzi. Usłyszał odgłos kroków biegnącego człowieka i strzelił, kiedy tylko zaskoczona twarz znalazła się w jego polu widzenia. Zaraz potem popędził dalej na górę, a jego czterej ludzie za nim.

W dyspozytorni pozostało jeszcze trzech. Dwaj ukryli się pod biurkami, jeden z nich strzelał na oślep z *Uzi*. Mike Pierce przeskoczył przez biurko, przekręcając się w powietrzu i wpakował tamtemu trzy pociski, dwa w bok i jeden w plecy, a kiedy wylądował, strzelił jeszcze raz krótką serią w potylicę terrorysty. Drugi osobnik pod biurkiem dostał w plecy od Connolly'ego. Ostatni ostrzeliwał się na oślep — trafiły go równocześnie pociski aż czterech członków zespołu.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do dyspozytorni wpadł Peter Covington. Vega krążył wokół leżących na podłodze ciał, odsuwając od nich nogą broń. — Czysto! — krzyknął po pięciu sekundach.

— Czysto! — zawtórował mu Pierce.

Andrè był na zewnątrz, na otwartej przestrzeni i zupełnie sam. Odwrócił się i spojrzał na zamek.

— Dieter! — zawołał Homer Johnston.

— Tak!

— Możesz mu wytrącić z ręki broń?

Niemiec odczytał myśli Amerykanina. Odpowiedzią był wspaniale wymierzony strzał.

Pocisk trafił pistolet maszynowy Andrè tuż nad kabłąkiem języka spustowego. Pocisk .300

*Winchester Magnum* uderzył z takim impetem, że przebił szorstki, tłoczony metal, prawie przełamując broń na pół. Ze swego stanowiska, odległego o czterysta metrów, Johnston wymierzył dokładnie i strzelił po raz drugi tego dnia. Strzał ten miał się na zawsze zapisać w kronikach Tęczy jako bardzo nieudany. Pół sekundy później pocisk kalibru 7 mm ugodził

terrorystę piętnaście centymetrów poniżej mostka.

Andrè poczuł się, jakby otrzymał morderczo mocny cios. Pocisk rozpadł się na kawałki, które rozerwały wątrobę i śledzionę, i wyszły z ciała powyżej lewej nerki. Po szoku nadeszła fala bólu. Chwilę później po Parku Światowym poniósł się przeraźliwy krzyk.

— Popatrzcie tylko — powiedział Chavez w dyspozytorni. W jego kamizelce kuloodpornej utkwili dwa pociski. Rany nie byłyby śmiertelne, ale na pewno bardzo bolesne. —

Dzięki Bogu za DuPonta, co?

Vega uśmiechnął się szeroko. — Chyba pora na piwko.

— Dowództwo, tu Chavez. Zadanie wykonane. Dzieci w porządku... To znaczy, jedno zostało draśnięte w ramię, nic poważnego. Terrorysty nie żyją. Panie C, może pan zapalić światło.

Ding obserwował Vegę, który schylił się i wziął na ręce małą dziewczynkę. — Cześć, *querida*. Poszukamy twojej *mamacita*, dobrze?

Mike Pierce nie ukrywał zadowolenia. — Oto, co potrafi Tęcza! Panowie, w mieście jest nowy szeryf!

— Masz rację, Mike. — Eddie Price wyciągnął z kieszeni fajkę i kapciuch z tytoniem Cavendish.

Mieli jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Vega, Pierce i Loïselle pozbierali broń, zabezpieczyli i ułożyli na biurku. McTyler i Connolly sprawdzili, czy w toaletach i sąsiednich pomieszczeniach nie pozostał jakiś terrorysta. Nikogo nie znaleźli. Scotty machnął ręką w stronę drzwi.

— W porządku, zabieramy stąd dzieci — powiedział Ding swoim ludziom. — Peter, wyprowadźcie nas.

Ludzie Covingtona otworzyli drzwi przeciwpożarowe i zabezpieczyli schody, jeden człowiek na każdym półpiętrze. Vega szedł pierwszy, niosąc pięcioletnią dziewczynkę na lewej ręce, podczas gdy w prawej cały czas trzymał *MP-10*. Minutę później byli już na zewnątrz.

Chavez pozostał w dyspozytorni. Razem z Eddie Price'em podeszli do ściany. W kącie, gdzie przed chwilą siedziały dzieci, naliczyli siedem dziur po pociskach, ale wszystkie dość wysoko. — Mieliśmy szczęście — powiedział Chavez.

— Rzeczywiście — zgodził się starszy sierżant sztabowy Price. — To ten, którego zdjęliśmy obaj, Ding. Strzelał chyba na oślep, a może mierzył, ale raczej do nas niż do dzieciaków.

— Dobra robota, Eddie.

— Chyba tak — zgodził się Price. Obaj wyszli na zewnątrz, pozostawiając za sobą zwłoki, którymi zajmie się policja.

— Dowództwo, tu Niedźwiedź, co się dzieje? Odbiór.

— Zadanie wykonane, żadnych ofiar po naszej stronie. Dobra robota, Niedźwiedziu — powiedział Clark.

— Dziękuję, sir. Niedźwiedź wraca do bazy. Bez odbioru. — Rozłączył się. — Muszę się odlać — powiedział do drugiego pilota, prowadząc *Night Hawka* na zachód, w stronę lądowiska.

Homer Johnston szybko zbiegał schodami ze wzgórza, trzymając karabin w rękach. Trzy razy potknął się i omal nie wywrócił. Również biegiem pokonał kilkaset metrów, dzielące go od zamku. Był tam lekarz w białym fartuchu. Spoglądał na człowieka, do którego strzelał Johnston.

— Co z nim? — spytał sierżant, choć w zasadzie wszystko było jasne. Terrorysta leżał na ziemi, ściskając rękoma brzuch, zalany krwią, która wydawała się dziwnie czarna w świetle latarni na dziedzińcu.

— Nie przeżyje — powiedział doktor Weiler. Może miałby jakąś szansę, gdyby od razu znalazł się na sali operacyjnej, ale byłaby to minimalna szansa. Krwawił z rozerwanej śledziony, wątrobę miał prawdopodobnie również zniszczoną... A więc byłby w każdym wypadku bez szans, chyba że znalazłaby się wątroba do przeszczepienia. Weiler mógł mu jedynie podać morfinę, żeby uśmierzyć ból. Sięgnął do torby po strzykawkę.

— To ten, który zabił dziewczynkę — powiedział Johnston doktorowi. — Chyba niezbyt dokładnie trafiłem — dodał, patrząc w szeroko otwarte oczy i wykrzywione z bólu usta, z których wydobył się następny jęk. Gdyby był to jeleń, albo łoś, Johnston dobiłby go strzałem z pistoletu w głowę lub w kark, ale z ludźmi się tego nie robiło. Zdychaj powoli, ty skurwysynu!

Sierżant nie powiedział tego głośno. Johnston był trochę rozczarowany, że doktor zrobił temu draniowi zastrzyk przeciwbólowy. Pomyślał jednak, że lekarze mają swoje obowiązki, tak jak on swoje.

— Bardzo nisko — powiedział Chavez, podchodząc do ostatniego pozostałego przy życiu terrorysty.

— Chyba trochę zbyt gwałtownie ściągnąłem spust — odpowiedział snajper.

Chavez spojrział mu w oczy. — Tak, jasne. Bierz swój sprzęt.

— Za chwilę. — Spojrzenie terrorysty złagodniało, kiedy morfina zaczęła działać, ale wciąż ścisnął brzuch rękami, a spod pleców wyciekała mu krew, tworząc spora kałużę. Wreszcie spojrział na Johnstona po raz ostatni.

— Dobranoc — powiedział cicho snajper. Dziesięć sekund później zdołał się wreszcie odwrócić i ruszył z powrotem do Nurkującego Bombowca po resztę sprzętu.

W gabinecie lekarskim było mnóstwo zabrudzonych majtek, a wiele dzieci wciąż znajdowało się w szoku, przeżywszy koszmar, który będzie je prześladował całymi latami.

Kręcili się przy nich ludzie z Tęczy. Jeden z nich bandażował zranione ramię chłopca — właściwie było to tylko drobne draśnięcie.



Centurion de la Cruz też tam był, nie pozwoliwszy się zabrać do szpitala. Ludzie w czarnych kombinezonach zdjęli z niego broję i ustawili ją pod ścianą. Widział na ich kombinezonach odznaki spadochroniarzy, amerykańskie, brytyjskie i niemieckie. Na twarzach malowała im się satysfakcja, jaką odczuwają żołnierze po wykonaniu zadania.

— Kim jesteście? — spytał po hiszpańsku.

— Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć — odparł Chavez. — Ale widziałem na wideo, co pan zrobił. Dobrze się pan spisał, sierżancie.

— Pan też, przepraszam, jak...

— Chavez. Domingo Chavez.

— Amerykanin?

— *Si*.

— Co z dziećmi? Czy któreś zostało ranne?

— Tylko tamten mały, nic poważnego.

— A ci... bandyci?

— Już nigdy nie złamię prawa, *amigo*. Nigdy — powiedział mu cicho dowódca Drugiego Zespołu.

— *Bueno*. — De la Cruz chwycił Dinga za rękę. — Ciężko było?

— Zawsze jest ciężko, ale właśnie dlatego intensywnie trenujemy, a moi ludzie są...

— Widać to po nich — powiedział de la Cruz.

— Z pana też nie ułomek. — Chavez odwrócił się. — Hej, chłopaki, to jest ten facet, który natarł na nich z mieczem.

— Aha. — Mike Pierce podszedł bliżej. — Wykończyłem tego, którego pan napoczął.

Nie brak panu odwagi. — Pierce uściśnął mu rękę. Pozostali poszli jego śladem.

— Muszę... muszę... — De la Cruz wstał i pokiwał do drzwi. Wrócił po pięciu minutach w towarzystwie Johna Clarka, trzymając w ręku...

— A to co, u diabła? — spytał Chavez.

— To orzeł legionu, VI Legio Victrix — powiedział im centurion. — Zwycięski legion.

*Señor Dennis, con permiso?*

— Oczywiście, Francisco — powiedział dyrektor parku i z poważną miną skinął głową.

— Z wyrazami uznania od mojego legionu, *Señor Chavez*. Umieście go na honorowym miejscu.

Ding wziął poślaczanego orła, który musiał ważyć dobre dziesięć kilo. Będzie wspaniałym trofeum w klubie w Hereford. — Tak zrobimy, przyjacielu — obiecał emerytowanemu sierżantowi, zerkając kątem oka na Clarka.

Stres powoli ustępował miejsca najpierw radosnemu podnieceniu, a potem normalnemu w takiej sytuacji zmęczeniu. Patrzyli na dzieci, które uratowali. Wciąż były ciche i skulone, ale już wkrótce miały wrócić do rodziców. Usłyszeli zajeżdżający autobus. Steve Lincoln otworzył

drzwi i patrzył na wysiadających w pośpiechu dorosłych. Zaprosił ich gestem do środka i po chwili dyspozytornia wypełniła się okrzykami radości.

— Czas na nas — powiedział John. Kiedy ludzie Tęczy zaczęli wychodzić, podszedł do Francisco de la Cruz i również uściśnął mu rękę.

Na zewnątrz Eddie Price miał jeszcze do spełnienia swój prywatny rytuał. Fajka była już nabita. Wyjął z kieszeni zapalniczkę i potarł ją o kamienną ścianę, za którą znajdował się gabinet lekarski. Triumfalnie zapalił zakrzywioną brzywkę<sup>21</sup>, podczas gdy rodzice przepychali się do środka, a inni na zewnątrz, z dziećmi w ramionach i nierzadko ze łzami w oczach.

Pułkownik Gamelin podszedł od autobusu. — Jesteście z Legii? — spytał.

Louis Loïselle zajął się odpowiedzią. — W pewnym sensie, *monsieur* — powiedział po francusku. Uniósł wzrok i zobaczył, że jedna z kamer obserwacyjnych jest skierowana prosto na drzwi i zapewne nagrywa całe to wydarzenie. Wielu rodziców zatrzymywało się, żeby uściśnąć dłonie ludziom z Tęczy. Potem Clark poprowadził ich z powrotem do zamku, a stamtąd do podziemi. Policjanci z Guardia Civil salutowali im po drodze, a komandosi z Tęczy odpowiadali w ten sam sposób.

# Odkrycie

Sukces operacji w parku rozrywki okazał się być problemem, przynajmniej dla niektórych, a jednym z nich był pułkownik Tomas Nuncio, najstarszy oficer Guardia Civil obecny na miejscu przestępstwa. Lokalne media wzięły go, oczywiście, za dowódcę operacji i zarzuciły żądania przekazania im szczegółów oraz taśm z nagraniami dla potrzeb telewizji.

Tak skutecznie utrzymał dziennikarzy z dala od parku, że nawet jego przełożeni w Madrycie nie mieli pojęcia, co się właściwie stało. Miało to pewien wpływ na podjętą przez niego decyzję: pułkownik zdecydował mianowicie ujawnić nagranie pochodzące z samego parku, uznane za najniewinniejsze ze wszystkich, jako że prawie nic nie było na nim widać. Najbardziej dramatyczne ujęcia pokazywały zespół antyterrorystyczny podczas zjazdu z helikoptera na dach zamku, a następnie do dyspozytorni, a to, w opinii Nuncio, wyglądało najzupełniej niewinnie i trwało nędzne cztery minuty, podczas których Paddy Connolly podłączył ładunki do framug okiennych i odpalił je. Nie było nagrania ze strzelaniny wewnątrz sali, bowiem sami terroryści zniszczyli aparaturę rejestrującą. Eliminacja wartownika na dachu została wprawdzie zarejestrowana, nie przekazano jej jednak z powodu szokującego widoku rany głowy. Z tych samych względów nie pokazano, choć została ona zarejestrowana, śmierci ostatniego terrorysty imieniem Andrè, tego, który zabił dziewczynkę z Holandii. Reszta doskonale nadawała się do pokazania. Sama odległość kamer od miejsca akcji wykluczała rozpoznanie bohaterów dramatu, nie widać było nawet twarzy członków zespołu uwalniającego zakładników, a tylko ich energiczny krok i dzieciaki niesione na rękach, a to, jak uznał Hiszpan, nikomu nie zaszkodzi, a już zwłaszcza członkom oddziału specjalnego, którzy właśnie dostali skórzany kapelusz, symbol jego formacji. Wraz z orłem VI Legionu stał się on kolejną pamiątką kolejnej zakończonej sukcesem operacji.

Tak więc czarno-biały film wideo pokazany został w CNN, Sky News i przez inne agencje informacyjne na całym świecie, ilustrując doniesienia dziennikarzy zgromadzonych przy głównym wejściu do parku, długo i, oczywiście, mylnie wychwalających umiejętności oddziału do zadań specjalnych Guardia Civil, który wysłał Madryt, by zmiażdżyć terrorystów, ośmielających się zaatakować jeden z największych parków rozrywki na świecie.

O ósmej wieczorem Dmitrij Arkadijewicz Popow obejrzał ów film w swym nowojorskim apartamencie. Palił cygaro, popijał wódkę i nagrywał program do późniejszej analizy. Sam atak był bez wątpienia dziełem fachowców. To nie niespodzianka. Błyski wybuchów, wyglądające bardzo dramatycznie, uniemożliwiały mu jednak dostrzeżenie czegokolwiek użytecznego. Parada po zakończeniu akcji odbyła się w sposób równie przewidywalny co wschód słońca: sprężysty krok, wisząca niedbale na ramieniu broń, małe dzieci w objęciach. Oczywiście, tego typu ludzie z całą pewnością po zakończeniu akcji czują ulgę. W pewnym momencie widać było nawet, jak idą do budynku, gdzie lekarz czekał na dziecko, które, jak powiedział jeden z komentatorów, doznało lekkich obrażeń. Później wyszli z niego, jeden z żołnierzy machnął ręką wzdłuż ceglanej ściany budynku, w dłoni miał zapalną...

...zapalił fajkę...

Popow dostrzegł żołnierza zapalającego fajkę. Sam nie wiedział, dlaczego tak go to zdziwiło.

Pochylił się w fotelu, mocno zamyślony. Kamera nie pokazała zbliżenia, ale ten żołnierz lub może policjant z całą pewnością palił wygiętą fajkę. Rozmawiał z towarzyszem broni, regularnie co kilka sekund wypuszczał dym... Nic szczególnego, spokojna rozmowa, ci ludzie rozmawiają pewnie w ten sposób po każdej zakończonej sukcesem operacji, z pewnością omawiają, co kto zrobił i co poszło zgodnie z planem, a co nie. Równie dobrze mogli rozmawiać sobie w pubie albo klubie. Prawdziwi profesjonaliści: lekarze, żołnierze, zawodowi futboliści —

zawsze rozmawiają w ten sposób, kiedy opadnie z nich gorączka pracy i przyjdzie czas na wyciąganie wniosków. Popow wiedział doskonale, że tak zachowują się wszyscy zawodowcy z prawdziwego zdarzenia. Nagle nastąpiła zmiana ujęcia, pojawiła się twarz mówiącego do kamery dziennikarza, potem nastąpiła przerwa na reklamę. Po reklamie, zgodnie z zapowiedzią komentatora, miały pojawić się jakieś rewelacje na temat kolejnej waszyngtońskiej afery.

Popowa to nie interesowało, cofnął więc taśmę, wyjął ją z magnetowidu, wsunął do niego inną i przewinął do końca akcji w Bernie. Zdobycie banku, koniec walki, a potem... tak, jeden z żołnierzy zapalił fajkę. Raz już widział, jak ją zapala, prawda? Stał wówczas po przeciwnej stronie ulicy.

Nagranie z Wiednia... i tu, na koniec, pojawiała się fajka. We wszystkich trzech przypadkach palił ją mężczyzna mający około metra osiemdziesięciu wzrostu, podobnie posługiwał się zapalką, dokładnie tak samo trzymał fajkę, dokładnie tak samo nią gestykulował, większość palaczy właśnie tak gestykuje fajką...

— *Nu, atliczno* — powiedział oficer wywiadu w drogim nowojorskim apartamencie.

Przez pół godziny przeglądał fragmenty taśm. Za każdym razem mężczyzna ubrany był tak samo, był tego samego wzrostu, wykonywał te same gesty, poruszał się w identyczny sposób, w identyczny sposób nosił broń. Wszystko za każdym razem wyglądało tak samo, były funkcjonariusz KGB nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Za każdym razem był to ten sam człowiek... pojawiający się w trzech różnych krajach.

Człowiek ten nie był jednak ani Szwajcarem, ani Austriakiem, ani Hiszpanem. Popow myślnie cofnął się w czasie, poszukując innych faktów utrwalonych na magnetowidowych taśmach. Przy końcu pojawiali się na nich także inni ludzie. Fajczarzowi towarzyszył najczęściej jeden, niższy mężczyzna. Widać było też kolejnego, wysokiego, muskularnego, który na dwóch taśmach uzbrojony był w karabin maszynowy, a na trzeciej niósł dziecko. Tak więc co najmniej dwóch, a może i trzech członków oddziału specjalnego pojawiło się w Bernie, w Wiedniu i w Hiszpanii. Za każdym razem dziennikarze chwalili za przeprowadzenie akcji oddziały miejscowe, ale to z całą pewnością nie była prawda. Kim więc byli ci, którzy pojawiali się na miejscu szybcy jak błyskawica i równie jak ona niebezpieczni? Trzy różne kraje, w dwóch zakończyli operacje, które on sam rozpoczął, w trzecim niezależną — nie obchodziło go w najmniejszym nawet stopniu przez kogo zorganizowaną. Dziennikarze podali, że ci durnie domagali się uwolnienia swego serdecznego przyjaciela, Szakala. Idioci! Francuzi prędzej wyrzucą zwłoki Napoleona z Pałacu Inwalidów niż wydadzą tego mordercę, Iljicza Ramireza Sancheza, nazwanego imieniem Lenina przez ojca komunistę. Popow natychmiast o tym zapomniał. Przypadkowo udało mu się odkryć coś niesłychanie ważnego. Gdzieś w Europie istniał oddział do zadań specjalnych przekraczający granice państw równie łatwo, jak biznesmen latający sobie tu i tam samolotem pasażerskim, dysponujący możliwościami operowania w różnych

krajach, usuwający w cień i przejmujący zadania miejscowej policji, wykonujący je doskonale, fachowo... Ta ostatnia operacja z pewnością nie zaszkodziła ich opinii, prawda?

Prestiż tych ludzi, szacunek na światowej arenie mógł tylko wzrosnąć po uratowaniu dzieci w Parku Światowym.

— *Atliczno* — powtórzył cicho Popow. Właśnie dowiedział się czegoś niesłychanie ważnego. By uczcić ten fakt nalał sobie kolejną wódkę. Teraz trzeba tylko pójść tym tropem.

Jak? Już on coś wymyśli, tylko najpierw prześpi się, odpowiedź jest już przecież gdzieś tam, w głębi jego doskonale wyćwiczonego mózgu.

Wracali do domu i byli już blisko. *MC- 130* zabrał ich, odprężonych i wesołych, do bazy w Hereford. Broń spakowali w plastikowe pojemniki, zespół całkowicie się rozluźnił. Niektórzy dowcipkowali, inni opowiadali, co robili w akcji tym, którzy nie mieli szansy w niej uczestniczyć. Clark widział, jak Mike Pierce z wielkim ożywieniem rozmawia ze swym sąsiadem. Stał się dziś pierwszym likwidatorem Tęczy. Homer Johnston dyskutował namiętnie z Weberem. Między tymi dwoma doszło do umowy, do swego rodzaju porozumienia. Weber oddał

przepiękny, choć ryzykowny strzał wytrącający terroryście *Uzi* i umożliwiający Johnsonowi wejście do akcji. Oczywiście, pomyślał John, nie chciał po prostu zabić sukinsyna, który z zimną krwią zamordował małą dziewczynkę. Pragnął sprawić bandycie ból, wysłać go do piekła na swój własny, osobisty sposób. Z sierżantem Johnsonem trzeba będzie porozmawiać na ten temat.

Nie taka była polityka Tęczy. Nieprofesjonalne zachowanie. Zabicie sukinsynów załatwiało sprawę gładko i raz na zawsze. Ale, pomyślał John, potrafisz zrozumieć chłopaka, prawda? Był

sobie kiedyś wyjątkowy skurwiel imieniem Billy, którego osobiście przesłuchiwałaś w specjalnych okolicznościach, w komorze dekompresyjnej, i choć wspomnienie to budzi dziś wstyd i ból, wówczas takie zachowanie wydawało ci się usprawiedliwione... No i wydobyłeś przecież z niego potrzebne informacje, prawda? Mimo wszystko trzeba będzie jednak pogadać z Homerem, ostrzec go przed powtórным popełnieniem tego samego błędu. John nie wątpił, że Homer podporządkuje się. Ciężko musiało mu być, gdy siedział z karabinem wyborowym w ręku, obserwując tragiczną śmierć dziecka. Mógł zemścić się natychmiast, dysponował nie tylko odpowiednimi umiejętnościami, lecz także środkami, a jednak czekał. Potrafiłbyś postąpić jak on? — zastanowił się Clark. Zmęczony, niepewny siebie, nie potrafił uczciwie odpowiedzieć na to pytanie. Poczul wstrząs — to koła maszyny dotknęły pasa lotniska w Hereford. Silniki ryknęły

— wsteczny ciąg hamował lądujący samolot.

Idea przyświecająca powstaniu Tęczy i sposób realizacji tego pomysłu okazały się, przynajmniej na razie, olśniewającym sukcesem. Trzy zadania i wszystkie wykonane praktycznie na czysto. Zginęło dwóch zakładników — jeden nim zespół zdołał dotrzeć do Berna, drugi tuż po jego dotarciu do Parku Światowego, ale z pewnością nie miało to nic wspólnego z zaniedbaniem lub błędem ze strony zespołu. Działania Tęczy były bliskie doskonałości — w całej swej karierze nie widział niczego podobnego. Nawet 3. GOS w Wietnamie nie była tak dobra, a nie spodziewał

się, by coś takiego kiedykolwiek przyszło mu na myśl, nie wspominając już o przejściu przez gardło. Refleksja ta pojawiła się całkiem nieoczekiwanie i równie nieoczekiwanie poczuł, jak oczy wilgotnieją mu z dumy, że oto dowodzi tak doskonałymi żołnierzami, że wysyła ich do akcji, a potem sprowadza do domu właśnie takich: uśmiechniętych, wstających spokojnie, swobodnie zbierających broń, sprężystym krokiem idących w stronę otwartych drzwi ładowni *Herculesa*, za którymi czekała na nich ciężarówka. To byli jego ludzie.

— Bar otwarty — oznajmił.

— Trochę już na to za późno — zauważył Alistair.

— Jeśli zamknęli drzwi, Paddy je dla nas wysadzi. — Clark uśmiechnął się szeroko.

Stanley zawahał się i skinął głową.

— Jasne — powiedział. — Chłopaki zasłużyli na kufelek lub dwa. Poza wszystkim Alistair był niezłym włamywaczem.

Weszli do klubu w strojach nindżów i zobaczyli, że barman już na nich czeka. Nie byli też sami, kilku żołnierzy, głównie z SAS, nadal siedziało nad ostatnim tego wieczora piwem.

Żołnierzy Tęczy powitali owacją, co z miejsca ociepliło atmosferę. John poprowadził swych ludzi do baru i zamówił piwo dla wszystkich.

— Kocham to — stwierdził w chwilę później Mike Pierce, popijając Guinnessa poprzez cienką warstewkę piany.

— Dwóch, Mike? — spytał go Clark.

— Dwóch. Jeden przy biurku, jeden przy telefonie. Pif-paf. — Pierce przyłożył dwa palce do skroni. — Był jeszcze jeden, strzelał zza biurka. Odskokczyłem i z powietrza wpakowałem mu trzy kulki. Wylądowałem, przetoczyłem się i jeszcze trzy w tył głowy. Żegnaj, przyjacielu.

Następnego załatwiliśmy z Dingiem i Eddie'em. Podobno ta część roboty nie powinna nam się podobać, wiem, rozumiem, ale Jezu, fajnie było załatwić tych gnojków. Przynajmniej nigdy już nie zabiją żadnego dziecka. W mieście pojawił się nowy szeryf.

— No to życzę powodzenia, szeryfie. — Clark zasalutował mu szklanką ciemnego piwa.

Ten nie będzie dziś miał koszmarów, pomyślał. Rozejrzał się. W kącie siedzieli Weber i Johnston, pogrążeni w rozmowie. Johnston trzymał dłoń na ramieniu przyjaciela, niewątpliwie dziękując mu za wspaniałą strzał w *Uzi* mordercy. John Clark podszedł do obu sierżantów.

— Wiem, szefie — powiedział Homer, nie czekając na pytanie. — To się już nie powtórzy, ale niech to diabli, warto było.

— To się nie może powtórzyć, Homer — stwierdził po prostu Clark.

— Jasne, szefie. Trochę za szybko ściągnąłem spust. — Johnson krył tyłek na wypadek oficjalnego dochodzenia.

— Bzdura — zauważył spokojnie Tęcza Sześć. — Ale zadowolam się tym wyjaśnieniem ten jeden, jedyny raz. A jeśli o ciebie chodzi, Dieter, niezły strzał, tylko...

— *Nie wieder, Herr General.* Wiem, szefie. — Niemiec wiedział, kiedy podporządkować się władzy. — Homer, Junge, gdybyś widział jego twarz, kiedy go trafiłeś... Piękny widok, przyjacielu. I ładnie zdjąłeś tego na dachu.

— Prosty strzał. — Johnston uśmiechnął się lekceważąco. — Gość stał nieruchomo. Bęc.

To łatwiejsze niż gra w strzałki.

Clark poklepał ich po ramionach. Podszedł do Chaveza i Price'a.

— Musiałeś wylądować mi na rękę? — żartobliwie zapytał Price'a Chavez.

— To cię nauczy, żeby następnym razem forsować okno na wprost, a nie pod kątem.

— Słusznie. — Chavez pociągnął łyk Guinnessa.

— Jak wam leci? — spytał ich John.

— Dostałem dwa razy, ale poza tym wszystko w porządku — stwierdził Chavez. —

Tylko muszę pobrać nową kamizelkę. — Raz trafioną kamizelkę uważano za niezdatną do użytku. Zwracano ją producentowi do badań wytrzymałościowych. — Eddie, twoim zdaniem, który mnie dorwał?

— Ostatni. Ten co strzelał na oślep.

— Cóż, taki był plan, mieliśmy osłonić dzieci, a gość nie oszczędzał amunicji. Ty, ja, Mike, Oso... Rozwaliliśmy go chyba do spółki. — Policjant, którego zajęciem było pozbieranie tych konkretnych zwłok, potrzebował suszki i turystycznej lodówki do sprzątnięcia mózgu.

— Słusznie — przytaknął Price i w tym momencie podszedł do nich Julio.

— Fajnie było, panowie — cieszył się sierżant Vega, któremu wreszcie udało się wziąć udział w operacji terenowej.

— Od kiedy to neutralizujemy osobników za pomocą pięści? — spytał go Chavez.

Julio lekko się zawstydził.

— Instynkt — wyjaśnił. — Stał tak blisko. Wiecie, pewnie nawet mógłbym wziąć go żywcem, ale rozumiecie, nikt jakoś nie powiedział mi, że tak można.

— W porządku, Oso. To nie wchodziło w zakres zadania, a zwłaszcza kiedy w sali jest pełno dzieciaków.

Vega skinął głową.

— Właśnie tak mi się wydawało. No i strzeliłem zupełnie odruchowo, dokładnie tak, jak na ćwiczeniach. W każdym razie gość walnął jak worek cementu, *jefe*.

— Miałeś jakieś kłopoty z oknem? — zainteresował się Price.

— Nie. — Oso pokręcił głową. — Przykopałem i otworzyło się jak należy. Trafiłem barkiem we framugę, ale to żaden problem. Jednak do osłony dzieciaków powinniście wziąć mnie. Jestem większy, wziąłbym na siebie więcej kul.

Chavez milczał. Nie przyznał się głośno do tego, że wątpił — jak się okazało bezpodstawnie — w zręczność Vegi. Oso był rzeczywiście wielki, ale poruszał się zdumiewająco szybko, szybciej niż można się było spodziewać. No, ale przecież ważył prawie sto dziesięć kilo, więc wydawał się odrobinę za duży na baletki i spódniczkę.

— Dobra robota — stwierdził Bill Tawney, dołączając do grupy.

— Coś nowego?

— Mamy prawdopodobne potwierdzenie tożsamości jednego z nich, tego, który zabił

dzieciaka. Francuzi pokazali zdjęcie niektórym swoim informatorom. Ich zdaniem może to być André Leraux, paryżanin z urodzenia, podejrzany o związki z Action Directe, ale to nic pewnego.

Mówią, że wkrótce powinniśmy dostać dodatkowe informacje. Pełny zestaw zdjęć i odcisków palców jedzie teraz z Hiszpanii do Francji, dochodzenie będzie kontynuowane. Podobno nie wszystkie się przydadzą.

— No cóż, kilka pocisków z wydrążonymi wierzchołkami w twarz zmienia fizjonomię nie do poznania — zachichotał Chavez. — Ale na to niewiele da się poradzić.

— Kto był pomysłodawcą tej imprezy? — zainteresował się Clark.

Tawney wzruszył ramionami.

— Nie mamy zielonego pojęcia — przyznał. — Tą sprawą zajmie się francuska policja.

— Tak czy inaczej dobrze byłoby wiedzieć. Trzy akcje terrorystyczne jedna po drugiej, czy to nie raczej sporo? — Chavez nagle spowaźniał.

— Owszem — przyznał oficer wywiadu. — Dziesięć czy piętnaście lat temu niczemu bym się nie



dziwił, ale ostatnio sprawy chyba się ułagodziły. — Kolejne wzruszenie ramion. —

Może to przypadek, może pierwszy napad wywołał chęć naśladowania...

— Nie sędzę, proszę pana — wtrącił się do rozmowy Eddie Price. — Powiedziałbym, że raczej zniechęciliśmy terrorystów z ambicjami, a dzisiejsza operacja powinna ich dodatkowo uspokoić.

— To ma ręce i nogi — zgodził się Ding. — W mieście pojawił się nowy szeryf i źli faceci powinni szeptać sobie po kątach: „nie zadzierajcie z tym gościem”. Nawet jeśli uważają nas tylko za nieco lepszych gliniarzy. Panie C, powinniśmy posunąć się o krok dalej.

— Ujawnić istnienie oddziału? — Clark pokręcił głową. — Domingo, nie mieliśmy tego w planach.

— Dobra, jeśli naszym zadaniem jest po prostu załatwiać facetów na boisku, zgoda. Jeśli jednak naszym zadaniem jest skłonić ich, by dwa razy pomyśleli, nim zaczną, jeśli chcemy zapobiegać akcjom terrorystów, no, to już zupełnie inna sprawa. Ujawnienie istnienia szeryfa może wypuścić im powietrze z balonu, skłonić ich, by wrócili do mycia samochodów czy co tam do cholery robią, kiedy nie odgrywiają twardzieli. W polityce międzynarodowej nazywa się to

„odstraszaniem”. Czy zadziała to na ludzi z mentalnością terrorystów? Nie wiem. Chyba warto byłoby pogadać z doktorem Bellowem.

I znów Chavezowi udało się zaskoczyć Clarka. Trzy kolejne zakończone pełnym sukcesem operacje, wszystkie pokazane w telewizji — niedobitkom terrorystów z ambicjami musi dać to do myślenia, prawda? Rzeczywiście, warto byłoby porozmawiać o tym z Paulem Bellowem. Ale chyba jeszcze za wcześnie na taki optymizm ze strony członków zespołu, pomyślał John, powoli popijając piwo. Prawdopodobnie.

Przyjęcie powoli dobiegało końca. Żołnierze Tęczy mieli za sobą długi dzień, jeden po drugim odstawiali szklanki na ladę i wychodzili z baru, który powinien zostać zamknięty parę godzin temu. Wracali do domów. Minął kolejny dzień, zakończyła się kolejna operacja. Przed nimi był też kolejny dzień, już za parę godzin obudzą się, przebiegną wyznaczony dystans i zaczną codzienne ćwiczenia.

— Miałeś zamiar nas opuścić? — spytał Sancheza strażnik więzienny. Jego głos ociekał ironią.

— O co ci chodzi? — zapytał więzień.

— Paru twoich kolegów próbowało wczoraj narozrabiać. — Przez kratę w drzwiach strażnik wrzucił do celi egzemplarz „Le Figaro”. — No, z pewnością więcej się to nie powtórzy.

Na pierwszej stronie opublikowane było zdjęcie: klatka z filmu nakręconego w Parku Światowym. Beznadziejnej jakości, wystarczająco wyraźnie pokazywało jednak żołnierza w czarnym stroju oddziałów antyterrorystycznych, niosącego dziecko. Jego znaczenie wyjaśniono w pierwszym

akapicie tekstu. Carlos przejrzał go, siedząc na więziennej pryczy, a potem przeczytał dokładniej. Po czym pograżył się w rozpacz tak wielkiej, jakiej do dziś nawet nie potrafił sobie wyobrazić. Zrozumiał, że ktoś usłyszał jego błagania, zareagował i nic z tego nie wyszło. Przez okienko do celi wpadały promienie słoneczne. W tej kamiennej trumnie przyjdzie mi spędzić resztę życia, pomyślał Szakał. Długiego, prawdopodobnie zdrowego, z całą pewnością potwornie nudnego. Skończył czytać artykuł i zgniótł gazetę. Przeklęta hiszpańska policja. Przeklęty świat.

— Owszem, oglądałem wczoraj wiadomości — powiedział do słuchawki, goląc się.

— Powinniśmy się spotkać. Muszę coś panu pokazać — nalegał Popow. Była siódma rano.

Mężczyzna zastanowił się nad jego słowami. Popow okazał się cwany sukinsynem, wykonującym swoją robotę i nie zadającym zbyt wielu pytań. Nie łączyło ich nic na piśmie, w każdym razie nic z czym — w przypadku jakiegoś zagrożenia — nie daliby sobie rady prawnicy.

Ale do tego przecież nie dojdzie. W razie czego są sposoby nawet na ludzi pokroju Popowa.

— Dobrze, proszę być na miejscu o ósmej piętnaście.

— Tak jest, proszę pana. — I Rosjanin odłożył słuchawkę.

Pete cierpiał strasznie. Killgore nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Najwyższy czas, żeby go przenieść. Natychmiast wydał odpowiednie polecenia. Dwaj pielęgniarze w hermetycznych skafandrach przenieśli go na noszach do kliniki. Killgore poszedł za nimi.

Klinika wyglądała niemal dokładnie tak jak sala, w której włóczędzy odpoczywali i pili sobie beztrosko w nieświadomym oczekiwaniu na pojawienie się objawów choroby. A objawy wystąpiły u wszystkich i w końcu alkohol wraz z małymi dawkami morfiny nie łagodziły już bólu.

Pielęgniarze położyli Pete'a na łóżku, obok którego stało przypominające świąteczną choinkę elektroniczne urządzenie dozujące, następca tradycyjnej kroplówki. Killgore ujął jedną z jego wypustek i wbił igłę w żyłę na ręku Pete'a. Wcisnął kilka klawiszy i już po chwili chory, otrzymawszy solidną dawkę środków usmierzających, wyraźnie się odprężył. Zamknął oczy, jego mięśnie rozluźniły się, Sziwa nie przestawał jednak rozkładać organizmu od środka. Wkrótce podłączą go do kroplówki ze składnikami odżywczymi oraz różnymi lekami — sprawdzano, czy któryś z nich przypadkiem nie zwalczy Sziwy. Dysponowali mnóstwem różnych substancji, począwszy od antybiotyków, nieskutecznych przeciw wirusom, a skończywszy na Interleukenie-2 i jego nowej odmianie 3a, która, zdaniem niektórych lekarzy, mogła okazać się skuteczna, plus specjalne przeciwciała Sziwy pobrane od zwierząt doświadczalnych. Nic z tego nie miało pomóc chorym, ale przecież trzeba się upewnić, by uniknąć niespodzianki w momencie wybuchu epidemii. Szczepionka B była prawdopodobnie skuteczna, co sprawdzano teraz na nowej grupie ludzi porwanych z barów na Manhattanie — równoległe z testowaniem szczepionki A, której zadanie nie odpowiadało bynajmniej nazwie. Nanokapsułki wyprodukowane po przeciwnej stronie budynku

miały okazać się bardzo przydatne.

Co znalazło swój wyraz w chwili, w której Killgore snuł powyższe rozmyślenia, wpatrując się w ciało umierającego Pete'a. Obiekt K4, Mary Bannister, odczuwała dolegliwości żołądkowe, w tej chwili nieznaczne, odrobina bólu, wcale jednak o tym nie myślała. Coś takiego zdarza się od czasu do czasu, samopoczucie miała niezłe, pomoże pewnie odrobina Antacydu, a ten znalazła w apteczce, doskonale zaopatrzonej w standardowe leki. Poza tym wszystko było więcej niż w porządku. Uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze. Podobało się jej: młoda kobieta w różowej jedwabnej piżamie. Wyszła z pokoju pocieszona tą myślą. Włosy miała błyszczące, szła tanecznym krokiem.

Chip siedział na kanapie w dużym pokoju, pogrążony w lekturze jakiegoś pisma. Usiadła tuż obok niego.

— Cześć — powiedziała z uśmiechem.

— Cześć. — Chip też się uśmiechnął i sięgnął po jej dłoń.

— Zwiększyłam dawkę Valium w śniadaniu — powiedziała siedząca w pomieszczeniu kontrolnym Barbara Archer, kierując na nią kamerę i powiększając obraz. — Tego drugiego też.

— Tym drugim był antyinhibitor.

— Ładnie wyglądasz — stwierdził Chip. Jego słowa, wyłapane przez mikrofon kierunkowy, brzmiały niezbyt wyraźnie.

— Dziękuję. — Uśmiech nie schodził z ust Mary.

— Wygląda na napaloną — zauważył siedzący w pomieszczeniu kontrolnym lekarz.

— Jest — odparła Barbara z klinicznym spokojem. — Dostała tyle, że nawet zakonnica natychmiast zrzuciłaby habit i zabrała się do rzeczy.

— A on?

— Ach, on? No, sterydów od nas nie dostał. — Doktor Archer zachichotała.

Chip udowodnił jej prawdomówność, pochylając się i całując Mary w usta. Oprócz nich w dużym pokoju nie było nikogo.

— Barb, jak wygląda jej krew?

— Naładowana przeciwciałami. Symptomy powinny wystąpić za kilka dni.

— Jedzcie, pijcie i dobrze się bawcie, bo za parę tygodni nie będzie was — powiedział

telewizyjnemu monitorowi lekarz.

— Tak to już jest. — Barbara Archer wykazywała tyle współczucia, co kierowca na widok przejechanego psa.

— Niezła figura — stwierdził mężczyzna, kiedy Mary pozbyła się góry od pizamy. — Od wieków nie widziałem filmu pornograficznego.

Oczywiście cała ta scena była filmowana. Żelazny protokół eksperymentu nie dopuszczał żadnych odchyień. Nagrywano wszystko, zespół miał pełną dokumentację każdej fazy eksperymentu. Fajne cycki, pomyślał lekarz równocześnie z Chipem, który natychmiast zaczął je pieścić.

— Dziewczyna miała mnóstwo zahamowań. Środki uspokajające naprawdę skutkują w tego rodzaju sprawach. — Kolejna kliniczna obserwacja.

Od tego momentu zdarzenia nabrały tempa. Dwójka lekarzy popijała kawę, obserwując rozwój akcji. Podstawowe ludzkie instynkty wzięły górę nad środkami uspokajającymi. Nie minęło pięć minut, a Mary i Chip robili swoje przy akompaniamencie zwykłych efektów dźwiękowych — na szczęście obraz wcale nie był najczystszy. Po niezbyt długiej chwili leżeli już, wyczerpani na miękkim włosowanym dywanie, całując się powoli, z satysfakcją. Chip pieścił

piersi Mary, oczy miał zamknięte, oddychał głęboko. Przewrócił się na wznak.

— No i co, Barb? Poza wszystkim innym prowadzimy niezły weekendowy hotelik dla zakochanych par, co? — Mężczyzna uśmiechnął się kpiąco. — Jak myślisz, kiedy pojawią się przeciwciała w jego krwi?

— Najprawdopodobniej za trzy do czterech dni.

Chip nie został zarażony w komorze mgłowej. Mary, owszem.

— A jak wygląda testowanie szczepionek?

— Pięciu z A. Trzech zostawiliśmy jako grupę kontrolną na test B.

— Tak? Komu pozwolimy żyć?

— M2, M3 i K9 — odparła doktor Archer. — Mają odpowiedni stosunek do natury.

Uwierzyłbyś, że jeden z nich jest nawet członkiem Klubu Sierra? Lubią życie na świeżym powietrzu, więc najpewniej odpowiadałoby im to, co robimy.

— Kryteria ideologiczne w testach naukowych — prychnął mężczyzna. — Do czego to doszło!

— Cóż, jeśli ktoś ma przeżyć, niech będą to ludzie, z którymi się dogadamy — zauważyła doktor Archer.

— Słusznie. Na ile pewna jesteś szczepionki B?

— Moim zdaniem będzie skuteczna w dziewięćdziesięciu siedmiu procentach, może trochę lepiej.

— Ale nie w stu?

— Nie. Sziwa jest na to za ostry. Przyznaję, że testy na zwierzętach to nieco prymitywny sposób, ale rezultaty niemal doskonale odpowiadają modelowi komputerowemu i mieszczą się w założonym dla eksperymentu marginesie błędu. Steve jest w tym bardzo dobry.

— Mądry facet z Berga — zgodził się z nią lekarz. Nagle poruszył się w krześle. —

Wiesz, Barb, to co tu robimy nie do końca odpowiada...

— Wiem przecież. Ale zaangażowaliśmy się w Projekt z pełną świadomością jego celu.

— Jasne. — Mężczyzna potakująco skinął głową, wściekły na siebie za ten niedorzeczny przyływ wątpliwości. Cóż, jego rodzina przeżyje, a oni wszyscy interesują się przecież Ziemią i wielością zamieszkujących ją istot. Mimo wszystko jednak... ta dwójka to przecież ludzie, ludzie tacy jak on, a tymczasem podglądał ich jak jakiś cholerny zbrojeniec. Jasne, zrobili to co zrobili, bo naładowano ich środkami, które dostawali w jedzeniu, w lekarstwach, ale oboje skazani byli na śmierć i...

— Odpręż się — powiedziała Barbara, patrząc mu wprost w oczy. Potrafiła czytać w myślach? — W końcu poznali, co to miłość. To o wiele więcej niż dostanie reszta świata.

— Przynajmniej nie muszę ich oglądać. — Podglądactwo bynajmniej go nie bawiło.

Wielokrotnie powtarzał sobie, że nie będzie musiał obserwować rezultatów tego, co pomógł rozpocząć.

— Nie, ale przecież dowiemy się wszystkich szczegółów. Pokażą je w telewizji, prawda?

Oczywiście będzie już za późno, lecz jeśli dowiedzą się, kto do tego doprowadził, ich ostatnim świadomym aktem będzie wyrównanie z nami rachunków. Tego właśnie się obawiam.

— Enklawa Projektu w Kansas jest tak bezpieczna, jak to tylko możliwe, Barb. A w Brazylii jeszcze bezpieczniejsza. — Miał zamiar udać się właśnie do Brazylii. Dżungla tropikalna zawsze go fascynowała.

— Czy wystarczająco dobrze? — pomyślała na głos doktor Barbara Archer.

— Pani doktor, świat nie jest laboratorium, niech pani o tym nie zapomina.

Chryste Panie, pomyślał, czy nie w tym sens całego Projektu Sziwa? Chryste Panie? Cóż, kolejna sprawa, którą trzeba będzie odrzucić. Lekarz nie był wystarczająco cyniczny, by mieszać Boga do tego, nad czym pracowali. Co innego wezwać imię Matki Natury, ale przecież to nie to samo.

— Dzień dobry, Dmitrij. — Pracodawca wcześniej pojawił się dziś w biurze.

— Dzień dobry panu — odparł agent.

— Co ma pan dla mnie? — spytał szef, wchodząc do gabinetu.

— Coś bardzo interesującego — oznajmił Popow. — Nie potrafię jednak samodzielnie ocenić wagi tej sprawy. Pan z pewnością okaże się lepszym sędzią niż ja.

— Dobrze, zobaczymy w czym rzecz. — Szef odwrócił obrotowy fotel, by włączyć ekspres do kawy.

Popow podszedł do przeciwległej ściany, odsunął fragment drewnianej boazerii, ukrywającej wielkoekranowy telewizor oraz magnetowid, wsunął kasetę i wziął do ręki pilota.

— Oto nagranie telewizyjnych wiadomości z Berna — oznajmił. Nagranie trwało trzydzieści sekund, po czym nastąpiła zmiana kaset. — Wiedeń — oznajmił agent. Niespełna minuta projekcji. Kolejna kasetka. — Zeszłej nocy w Parku Światowym, w Hiszpanii. — Minuta nagrania i Rosjanin wyłączył magnetowid.

— I co z tego?

— Czy dostrzegł pan coś charakterystycznego?

— Mężczyzn palących fajkę... Sugeruje pan, że był to ten sam mężczyzna?

— Owszem. We wszystkich trzech przypadkach mieliśmy do czynienia z tym samym mężczyzną. Przynajmniej na to wygląda.

— Proszę mówić dalej.

— Ta sama grupa antyterrorystyczna została wezwana do wszystkich trzech akcji.

Wydaje mi się to bardzo interesujące.

— Dlaczego?

Popow odetchnął głęboko. Ten człowiek pod niektórymi względami z pewnością był geniuszem, pod innymi jednak wydawał się zagubiony jak dziecko w lesie.

— Proszę pana, ten sam zespół zaangażował się w działania w trzech różnych krajach, współpracując z trzema narodowymi oddziałami policyjnymi w trzech zupełnie różnych przypadkach. W każdym z nich przejął zadanie od miejscowej policji i za każdym razem doskonale poradził sobie z sytuacją. Innymi słowy: istnieje oddział do zadań specjalnych, akceptowany przez rządy różnych krajów w Europie. Moim zdaniem to raczej wojsko niż policja.

Istnienia takiej grupy nigdy nie ujawniono prasie, więc jest to ściśle tajna operacja. Moim zdaniem to

jakiś oddział NATO, ale żadnej pewności nie mam. A teraz, chciałbym zadać panu kilka pytań.

— Proszę bardzo. — Szef skinął głową.

— Czy wiedział pan o tym oddziale? Czy fakt jego istnienia był panu znany?

— Nie. — Mężczyzna pokręcił głową, obrócił się i nalał sobie kawy.

— Czy jest pan w stanie zdobyć jakieś dotyczące go informacje?

— Bo ja wiem. Może? Czy to takie ważne?

— Odpowiedź na to pytanie zależy od tego, jakiej odpowiedzi udzieli pan w następującej kwestii: dlaczego płaci mi pan za skłanianie terrorystów do podejmowania akcji?

— Tego nie musisz wiedzieć, Dmitrij.

— Wręcz przeciwnie, proszę pana. Muszę wiedzieć. Nie można podejmować akcji wymierzonych w trudnego przeciwnika bez najmniejszego pojęcia, czemu takie akcje służą. To się po prostu nie da zrobić. Co więcej, przeznaczył pan na te operacje znaczące środki, więc z całą pewnością o coś panu chodzi, a ja muszę wiedzieć o co. — Między wierszami dało się odczytać więcej: chcę wiedzieć i prędzej czy później dowiem się albo od pana, albo od kogoś innego.

Mężczyzna uświadomił sobie także coś innego: otóż do pewnego stopnia uzależnił się on od tego rosyjskiego eks-szpiega. Był w stanie zaprzeczyć wszystkiemu, co człowiek ten zechciałby powiedzieć publicznie, mógł sprawić, by Rosjanin zniknął jakby go nigdy nie było, to wyjście wydawało się jednak atrakcyjne wyłącznie w scenariuszach filmowych, bowiem Popow mógł przecież wtajemniczyć w swe działania innych, a nawet pozostawić po sobie świadectwa pisane.

Konta bankowe, z których Rosjanin czerpał fundusze, wypełniane były, oczywiście, czysto przepranymi pieniędzmi, a jednak pozostał po nich ślad, który dobry śledczy byłby w stanie odtworzyć wystarczająco dokładnie, by sprawić mu nieco kłopotów. Problem z przelewami elektronicznymi polegał na tym, że po każdej transakcji pozostawał ślad elektronów, że akta bankowe zaopatrzone były w kod czasowy i kod sumy, więc pewne związki pojawiały się same. Mogło to doprowadzić do kompromitacji zarówno na niewielką, jak i wielką skalę. Co gorsze, do takiego skandalu nie wolno mu było dopuścić, bowiem mógł on spowolnić postęp rzeczy ważniejszych, dziejących się w miejscach tak różnych jak Nowy Jork, Kansas i Brazylia.

No i, oczywiście, Australia, przecież wszystko, co robił, robił z myślą o Australii.

— Dmitrij, pozwolisz, że przemyślę sobie tę sprawę?

— Tak, proszę pana. Chodzi mi wyłącznie o to, że jeśli chce pan, bym skutecznie wykonywał swą pracę, muszę wiedzieć więcej. Z pewnością dopuścił pan do swych sekretów innych ludzi. Proszę pokazać im te taśmy. Niech wypowiedzą się na temat ich znaczenia. —

Popow wstał. — I proszę dzwonić, kiedy okażę się potrzebny.

— Dzięki za informację. — Mężczyzna poczekał, aż za jego gościem zamkną się drzwi, po czym wystukał z pamięci numer telefonu. Cztery sygnały i odezwała się automatyczna sekretarka.

— Cześć — powiedział głos. — Tu numer domowy Billa Henriksena. Przepraszam, ale nie mogę w tej chwili odebrać telefonu. Może zadzwonisz do biura?

— Cholera — wymknęło się dzwoniącemu. Nagle do głowy wpadł mu pewien pomysł.

Pilot telewizora... o, jest. CBS, NBC, nie...

— ...zabić chore dziecko — powiedział prowadzący „Dzień dobry, Ameryko” na ABC.

— Charlie, ładny kawałek czasu temu pewien facet używający pseudonimu Lenin powiedział, że celem terroryzmu jest terror. O to chodzi i tacy ludzie to robią. Świat nadal jest miejscem niebezpiecznym, być może nawet bardziej niebezpiecznym niż kiedyś, gdy istniały państwa faktycznie wspierające terroryzm, lecz jednak narzucające pewne reguły działania.

Państwa te nie istnieją dziś, nie istnieją też żadne zasady — mówił do kamery Henriksen. — Ta grupa zażądała podobno wypuszczenia z więzienia ich starego kumpla, Sancheza vel Carlosa vel Szakala. Cóż, nic z tego nie wyszło, ale warto zauważyć, że Szakal obchodził ich na tyle, by rozpoczęli klasyczną operację terrorystyczną. Na szczęście dzięki sprawności policji hiszpańskiej ponieśli klęskę.

— Jak oceniłbyś działania policji?

— Dobra robota. Oni wszyscy, oczywiście, uczą się z tych samych podręczników, a najlepsi z nich kształcą się w Fort Bragg lub Hereford w Anglii. Są także inne poligony treningowe w Niemczech i w Izraelu.

— Jednakże zamordowano zakładnika.

— Charlie, wszystkiemu nie da się zapobiec — stwierdził poważnie ekspert. — Czasami jesteś trzy metry od terrorysty, masz w ręku naładowaną broń i nie możesz zrobić nic, ponieważ spowodowałoby to tylko śmierć kolejnych zakładników. To morderstwo oburza nie tylko ciebie, mnie także, ale jedno możemy sobie powiedzieć: nikt z tych ludzi nikogo już nie zamorduje.

— Cóż, dziękuję ci za rozmowę. Gościem państwa był Bill Henriksen, prezes Global Security, doradca ABC do spraw terroryzmu.

Nastąpiła przerwa na reklamę.

Na biurku mężczyzna miał już numer pagera Billa. Zadzwonił ze swej prywatnej linii. W

cztery minuty później rozległ się sygnał telefonu.



— O co chodzi John? — W słuchawce słychać było dźwięki z ulicy, Henriksen zadzwonił

prawdopodobnie z telefonu komórkowego, gdy tylko wyszedł ze studia ABC tuż przy Central Park West. Pewnie właśnie szedł do samochodu.

— Bill, powinniśmy zobaczyć się w moim biurze tak szybko, jak tylko jest to możliwe.

Możesz przyjechać od razu?

— Jasne. Daj mi dwadzieścia minut.

Henriksen miał kartę magnetyczną umożliwiającą wjazd do firmowego garażu w budynku, a także własne miejsce parkingowe. Do biura wszedł po osiemnastu minutach.

— Co jest? — spytał od progu.

— Widziałem cię dziś rano w telewizji.

— W takich sytuacjach zawsze mnie wzywają. Wysyłając sukinsynów do piekła ci chłopcy zrobili wspaniałą robotę, przynajmniej sądząc z tego, co pokazała telewizja. Reszty się dowiem.

— Reszty?

— Jasne. Mam swoje kontakty. Ten ich film był mocno podmontowany. Moi ludzie dostaną od Hiszpanów wszystko. Do analizy. To nie jest tajny materiał.

— To popatrz. — John puścił taśmę z parku rozrywki. Musiał wstać, by zastąpić go taśmą z Wiednia. Trzydzieści sekund i Berno. — No więc, co o tym sądzisz?

— Ten sam zespół we wszystkich trzech wypadkach? — zastanowił się głośno Henriksen.

— Jasne, na to wygląda, ale co to za faceci?

— Wiesz, kim jest Popow, prawda?

Henriksen skinął głową.

— Jasne. Ten twój gość z KGB. On to zauważył?

— Tak. Przed niespełną godziną wpadł tu i pokazał mi taśmy. Zaniepokoiły go. Ciebie też?

Były agent FBI skrzywił się.

— Nie wiem. Najpierw musiałbym się czegoś o nich dowiedzieć.

— A dasz radę?

Wzruszenie ramion.

— Mogę zadzwonić do paru ludzi, sprawdzić tu i ówdzie. Problem w tym, że jeśli gdzieś tam operuje tajna jednostka do zadań specjalnych, już bym o niej wiedział. To znaczy, mam przecież różne kontakty w biznesie. A ty?

— Chyba mogę zapytać o to i owo. Powiedzmy, tak przez ciekawość.

— Dobra, zobaczę co się da zrobić. Co jeszcze powiedział ci Popow?

— Chce wiedzieć, dlaczego każę mu robić to, co każę mu robić.

— Taki to już problem ze szpiegami. Wolą wiedzieć niż nie wiedzieć. To znaczy, facet myśli sobie tak: a co jeśli zacznę operację i jeden z moich ludzi zostanie złapany żywcem.

Złapani, ci faceci często śpiewają jak kanarki, John. Jeśli któryś coś o nim wspomni, to już dupa blada. Przyznaję, że niezbyt to prawdopodobne, ale tych ludzi uczy się, żeby byli ostrożni.

— A co, jeśli trzeba będzie go usunąć?

Jeszcze jedno skrzywienie.

— Trzeba z tym uważać. Mógł przecież zostawić komuś jakąś paczuszkę. Nie ma sposobu, żeby sprawdzić, czy się zabezpieczył, lepiej więc założyć, że tak. Jak powiedziałem, takich ludzi szkoli się, by byli ostrożni. Tego rodzaju operacje są niebezpieczne z natury rzeczy, John. Wiedzieliśmy o tym, kiedy w to wchodziliśmy. Jak długo jeszcze potrwa nim...

— Niedługo. Program testowy rozwija się bez zastrzeżeń. Jeszcze mniej więcej miesiąc i będziemy wiedzieli wszystko, co chcemy wiedzieć.

— Cóż, no to muszę tylko dostać kontrakt na Sydney. Lecę do nich jutro. Takie akcje mogą mi tylko pomóc.

— Z kim będziesz pracował?

— Australijczycy mają własny SAS. Podobno mały, doskonale wyćwiczony zespół, tylko brakuje mu najnowszego sprzętu. To mój haczyk. Mam czego potrzebują, ale są to drogie zabawki. — Henriksen wyraźnie to podkreślił. — Puść taśmę jeszcze raz, dobrze? Tę z Hiszpanii.

John wstał zza biurka, włożył odpowiednią taśmę do magnetowidu, przewinał ją do początku i włączył. Na ekranie ukazał się helikopter i wysypujący się z niego żołnierze.

— O, cholera, to przegapiłem — przyznał ekspert do spraw terroryzmu.

— Co?

— Trzeba będzie trochę oczyścić nagranie, ale to na pewno nie policyjny helikopter, tylko *Sikorsky H- 60*.

— I co z tego?

— To, że sześćdziesiątek nigdy nie dopuszczono do lotów cywilnych. Widzisz, że ma z boku napisane POLICIA? Policja to cywile, a to nie jest policyjny helikopter, John. Wojskowy, a jeśli to jest urządzenie do tankowania w powietrzu — wskazał palcem na ekran — mamy do czynienia z maszyną do zadań specjalnych. Co oznacza Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych.

Stąd wiemy też, w jakim kraju bazują ci ludzie...

— W jakim?

— W Anglii. Siły Powietrzne mają oddziały do operacji specjalnych stacjonujące częściowo tam, a częściowo w Niemczech. Moim zdaniem to *MH- 60K*, a one przeznaczone są do operacji bojowych, poszukiwania i ratownictwa, a także transportowania szczególnych ludzi mających szczególną robotę w szczególnych miejscach. Słuchaj, twój przyjaciel Popow ma rację.

Istnieje specjalna grupa ludzi zajmujących się tego rodzaju rzeczami. Mają wsparcie Amerykanów, a może jeszcze coś? Najważniejsze to odkryć, kim oni, do cholery, są.

— Takie to ważne?

— Potencjalnie bardzo ważne. A jeśli Australijczycy najmą ich do pomocy przy robocie, którą pragnę dostać? To może spieprzyć wszystko.

— Ja poszperam, gdzie mogę i ty poszukaj, gdzie możesz.

— To właśnie mam zamiar zrobić.

# Poszukiwania

W centrum szpitalnym Pete miał już tylko sześciu przyjaciół. Jedynie dwóch włóczęgów pozostało na tyle zdrowych, by siedzieć w sali ogólnej przy whisky i telewizyjnych kreskówkach.

Zdaniem Killgore'a znajdą się w szpitalu do końca tygodnia, tyle mieli we krwi przeciwciał

Sziwy. Dziwne, jak choroba każdego atakowała inaczej, no ale przecież ludzie mają różne systemy odpornościowe. To dlatego niektórzy chorują na raka, a inni nie, choć palą na potęgę.

Wszystko szło łatwiej niż się spodziewał. Przypuszczał, że to dzięki dużym dawkom morfiny, którą chorzy byli zaprawieni do nieprzytomności. Stosunkowo niedawno lekarze odkryli, że nie istnieje coś takiego jak maksymalna bezpieczna dawka środka przeciwbólowego.

Jeśli pacjent czuje ból, można mu podawać środki do momentu, kiedy przestanie go czuć. Dawki, które spowodowałyby uduszenie zdrowego człowieka, organizm innego, cierpiącego, przyjmował bez najmniejszych problemów. Każda kroplówka miała przycisk, który chory mógł

naciskać w miarę potrzeby, więc pacjenci doprowadzali się do radosnej nieprzytomności, co ułatwiało pracę sanitariuszom, nie zmuszając ich do szczególnego wysiłku. Wieszano na kroplówkach pojemniki ze środkami odżywczymi, sprawdzano, czy igły pewnie tkwią w ciele i unikano dotykania pacjentów, gdy tylko było to możliwe. Jeszcze dziś, nieco później, cała obsługa miała dostać szczepionkę B, skutecznie zabezpieczającą przed Sziwą. Steve Berg oceniał

jej skuteczność na dziewięćdziesiąt osiem do dziewięćdziesięciu dziewięciu procent, wszyscy zdawali sobie jednak sprawę z tego, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent to jednak nie sto procent, więc nie zamierzano rezygnować ze środków bezpieczeństwa.

Nikt nie współczuł chorym. Zebranie pijaków z ulicy okazało się doskonałym pomysłem.

W przypadku kolejnego zestawu obiektów doświadczalnych miało to wyglądać zupełnie inaczej, wszyscy w tej części budynku zostali jednak wprowadzeni w sprawę z jej najdrobniejszymi nawet szczegółami. Mieli do wykonania obowiązki, które każdemu wydałyby się wstrętne, nie było jednak wątpliwości, że je wykonają.

— Wiesz co? Czasami wydaje mi się, że Przyjaciele Ziemi mają rację — powiedział

siedzący w restauracji „Palm” Kevin Mayflower.

— Tak? Jak to? — zainteresowała się Carol Brightling.

Prezes Klubu Sierra wpatrywał się w kieliszek wina.

— Niszczymy wszystko, czego dotkniemy — powiedział w końcu. — Wybrzeża, nadmorskie doliny,

lasy. Tylko zobacz, co zrobiła z nimi „cywilizacja”. Och, oczywiście, chronimy niektóre tereny. Ile? Optymistycznie szacując, jakieś trzy procent. Co to, kurwa, warte?

Zatruwamy wszystko, także samych siebie. Nowe badania NASA wykazują, że problemy z ozonem stale się pogarszają.

— Owszem, ale słyszałeś może najnowszy pomysł, jak temu zaradzić? — spytała doradca prezydenta do spraw nauki.

— Zaradzić? Nie.

Kobieta skrzywiła się.

— No więc bierzesz *Jumbo-Jety*, wypełniasz je po dach ozonem, wysyłasz z Australii i uwalniasz ozon na wielkiej wysokości, by załatać dziurę. Propozycja ta właśnie leży u mnie na biurku.

— I?

— I tyle jest warta co aborcja pokazana w połowie meczu futbolowego, z powtórkami, zwolnionym tempem i komentarzem. Tego się po prostu nie da zrobić. Musimy pozwolić Ziemi, by wyleczyła się sama... ale, oczywiście, jej na to nie pozwolimy.

— Masz jeszcze inne dobre wieści?

— Och, naturalnie. Dwutlenek węgla na przykład. W Harvardzie jest facet, który twierdzi, że jeśli zatopimy parę milionów ton żelaza w Oceanie Indyjskim, spowoduje to rozwój fitoplanktonu i problem z dwutlenkiem węgla zniknie z dnia na dzień. Z matematycznego punktu widzenia, to rozwiązanie jest obiecujące. Ach, ci geniusze twierdzący, że potrafimy naprawić naszą planetę, jakby w ogóle potrzebowała naprawy... A przecież wystarczy, byśmy zostawili ją samą sobie.

— Co na to prezydent? — spytał Mayflower.

— Chce, żebym mówiła mu, czy pomysł się sprawdzi, czy nie, a jeśli moim zdaniem się sprawdzi, należy przeprowadzić test praktyczny. Nie ma o tych sprawach pojęcia i niczego w ogóle nie słucha.  
— Nie dodała, że musi wykonywać jego polecenia czy jej się to podoba, czy nie.

— No więc, Carol, może nasi Przyjaciele Ziemi mają jednak rację? Być może jesteśmy pasożytami na ciele Ziemi i może, nim to wszystko się skończy, zdołamy jeszcze zniszczyć naszą planetę?

— Nieśmiertelna Rachel Carson[22]?

— Słuchaj, pod względem naukowym jesteś równie dobra jak ja, a może nawet lepsza.

Działamy jak... jak meteor Alvareza[23], który wyeliminował dinozaury, tylko że świadomie robimy to, co robimy. Ile czasu zajęło Ziemi wyjście z tego wstrząsu?

— Z Alvareza? Kevin, Ziemia nigdy nie „wyszła z tego wstrząsu” — zauważyła Carol Brightling. —

Po prostu odpaliła na pych ssaki, czyli — nie zapomnij — nas. Pierwotnie istniejący porządek ekologiczny nie powrócił. Pojawiło się coś nowego i ustalało się przez parę milionów lat. — Warto byłoby to zobaczyć, pomyślała jednocześnie. Obserwować tak wielką zmianę w trakcie jej trwania, cóż za wielkie naukowe i osobiste cudo, tylko że wówczas nie było prawdopodobnie nikogo, kto byłby w stanie je obserwować. Nie to, co dziś.

— No cóż, za parę lat staniemy się świadkami pierwszego aktu dramatu, prawda? Ile gatunków zabijemy w tym roku? Pogarszająca się sytuacja z warstwą ozonową... Na Boga, Carol, dlaczego ludzie nic nie rozumieją? Nie widzą, co się dzieje? Nic ich to nie obchodzi?

— Ależ Kevin, oczywiście, że nic nie rozumieją i, oczywiście, nic ich to nie obchodzi.

Rozejrzyj się dookoła. — Restauracja wypełniona była dostojnymi ludźmi w dostojnych garniturach, niewątpliwie dyskutujących na bardzo dostojne tematy przy niewątpliwie bardzo dostojnej kolacji. Żaden z nich nie miał nic wspólnego z kryzysem na skalę planety, wiszącym im przecież nad głową niczym miecz Damoklesa. Gdyby warstwa ozonowa miała zniknąć, a najprawdopodobniej zniknie, wysmarują się protektorami tylko po to, by wyjść na ulicę, protektory zapewne pomogą im przeżyć — ale co z gatunkami naturalnymi, ptakami, jaszczurkami, wszystkimi tymi stworzeniami, które nie są w stanie wysmarować się protektorami? Badania wykazywały, że wskutek nie wchłoniętego przez ozon promieniowania ultrafioletowego oślepną one przez wypalenie nerwów wzrokowych i globalny ekosystem rozsypie się jak domek z kart.

— Czyżbyś rzeczywiście sądził, że ci ludzie cokolwiek o tym wiedzą i że cokolwiek ich to obchodzi?

— Chyba nie. — Jej rozmówca z przyjemnością napił się białego chablis. — I co, coraz to dodajemy nowe zagrożenia, prawda?

— Niedawno jeszcze prowadziliśmy wojny, co utrzymywało w normie naszą populację na tym poziomie, że nie byliśmy w stanie rzeczywiście zagrozić Ziemi, ale teraz wszędzie mamy pokój, zwiększamy możliwości przemysłowe i wygląda na to, że pokój jest w stanie zniszczyć nas znacznie skuteczniej niż wojna. Co za ironia!

— Nie zapominaj o współczesnej medycynie. Moskity wywołujące malarię całkiem nieźle ograniczały populację ludzką... Waszyngton był niegdyś malarycznym bagnem i dyplomaci uważali go za placówkę wysokiego ryzyka! No więc wymyśliliśmy DDT. Sprawdziło się z moskitami, ale okazało się tragiczne w przypadku jastrzębia wędrownego. Nic nigdy się nam nie udało. Nic a nic — stwierdził autorytatywnie Mayflower.

— A co, jeśli... — Towarzysząca mu kobieta pozostawiła to pytanie niedopowiedziane.

— Jeśli co, Carol?

— Co jeśli natura wymyśli coś, by ograniczyć populację ludzi?

— Hipoteza Gei? — Kevin uśmiechnął się pobłaźliwie. Hipoteza Gei zakładała, że Ziemia sama w

sobie jest organizmem myślącym, samokorygującym, zdolnym regulować liczebność zamieszkujących ją gatunków. — Nawet jeśli jest ona słuszna, a mam szczerą nadzieję, że jest, to my, ludzie, działamy zbyt szybko, by Gea poradziła sobie ze skutkami naszych działań. Nie, Carol, zawarliśmy pakt samobójczy, ginąc zabierzemy ze sobą wszystko, co nas otacza. Za sto lat, kiedy populacja ludzi na Ziemi zmniejszy się do mniej więcej miliona, ci, co ocaleli, będą świadomi, co zrobiliśmy źle, przeczytają książki, obejrzą taśmy pokazujące im raj, w którym niegdyś żyliśmy, przeklną nasze imiona i, jeśli dopisze im szczęście, nauczą się czegoś na naszych błędach. Może. Ale szczerze w to wątpię. Nawet jeśli zechcą skorzystać z popełnionych przez nas pomyłek, bardziej będzie ich obchodzić technika budowania elektrowni atomowych, napędzających elektryczne szczoteczki do zębów. Rachel miała rację. Nastąpi kiedyś Cicha Wiosna, ale wówczas będzie już za późno. — Kevin zabrał się do sałatki, zastanawiając się, jakie ciężkie pierwiastki skumulowały się w sałacie, a jakie w pomidorach, bo jakieś musiały się w nich skumulować, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. O tej porze roku sałata mogła pochodzić wyłącznie z Meksyku, gdzie farmerzy stosowali bardzo różne środki, by uzyskać wartościowe plony, pomocnik kucharza może ją przemysł, a może nie, więc siedź tu teraz w luksusowej restauracji, jedząc drogi lunch i trując się dokładnie tak, jak na jego oczach truła się cała planeta. Prawda ta zawarta była w jego zrezygnowanym, świadomym zagrożenia spojrzeniu.

Jest gotów do rekrutacji, pomyślała Carol Brightling. Najwyższy czas. Zapewne ściągnie ze sobą paru dobrych ludzi, nie zabraknie dla nich miejsca ani w Kansas, ani w Brazylii. Pół

godziny później przeprosiła go i udała się do Białego Domu na cotygodniowe spotkanie gabinetu.

— Cześć, Bill. — Gus siedział w gabinecie swego biura w Budynku Hoovera. — Co jest grane?

— Oglądałeś rano telewizję? — odpowiedział pytaniem Henriksen.

— Chodzi ci o tę sprawę w Hiszpanii? — zainteresował się Werner.

— Tak.

— Jasne. Ciebie też widziałem.

— Robiłem im za geniusza. Dobra reklama dla firmy.

— Pewnie. Ale o co ci chodzi?

— To nie byli hiszpańscy gliniarze, Gus. Wiem, w jaki sposób się szkolą. Człowieku, to nie w ich stylu. To co mamy: SAS, Deltę, ZOZ?

Gus Werner zmarszczył brwi. Zastępca dyrektora FBI był niegdyś agentem specjalnym odpowiedzialnym za ZOZ. Awansowano go na starszego agenta specjalnego odpowiedzialnego za placówkę Biura w Atlancie. Obecnie pełnił funkcję zastępcy dyrektora do spraw nowego Wydziału Zwalczania Terroryzmu. Bill Henriksen pracował niegdyś dla niego, potem odszedł, założył firmę konsultingową, ale przecież jak raz byłeś w FBI, zawsze będziesz w FBI, a teraz Billowi

najwyraźniej zależało na informacjach.

— Niewiele mogę ci o tym powiedzieć, przyjacielu.

— Tak?

— Tak. Nie mogę o tym rozmawiać — odpowiedział krótko Werner.

— Tajne?

— Owszem.

Bill zachichotał w słuchawkę.

— No cóż, to też jakaś informacja.

— Nie, Bill, to żadna informacja. Przecież wiesz, że są zasady, których nie wolno łamać.

— Jasne. Uczciwy z ciebie facet — zgodził się natychmiast Henriksen. — Dobrze, kimkolwiek są, cieszę się, że walczą po waszej stronie. Nieźle prezentują się w telewizji.

— Nie zaprzeczę. — Werner dysponował pełnym zestawem taśm. Nagrania te transmitowano zakodowanym kanałem satelitarnym z ambasady Stanów Zjednoczonych w Madrycie do Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, a stamtąd do kwatery głównej FBI. Widział

wszystko, co było do zobaczenia, a dodatkowa część materiałów miała dotrzeć do niego jeszcze tego samego dnia.

— Jeśli będziesz miał okazję, powiedz im ode mnie jedno, dobra?

— Co takiego, Bill?

— Jeśli chcą wyglądać na miejscową policję, niech nie używają helikoptera Sił

Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Nie jestem durniem, Gus. Dziennikarze się nie połapali, ale sprawa jest jasna dla każdego przeciętnie inteligentnego człowieka.

O, cholera, pomyślał Werner. Przegapił ten szczegół, a Bill nie był durniem. Jakim cudem media jeszcze się nie połapały?

— Naprawdę? — zapytał.

— Nie wygłupiaj się, Gus. To był *Sikorsky 60*. Bawiliśmy się nimi, kiedy trenowaliśmy w Fort Bragg, pamiętasz? Podobały nam się bardziej niż *Hueye*, które dostaliśmy, ale sześćdziesiątki nie mają certyfikatu do użycia cywilnego, więc nie pozwolili nam ich kupić.

— Przekażę informację — obiecał Werner. — Czy ktoś jeszcze się zorientował?



— Nic o tym nie wiem. I przecież nie wysypałem się w ABC dziś rano, prawda?

— Rzeczywiście nie. Dzięki.

— No to możesz powiedzieć mi coś o tych ludziach czy nie?

— Przykro mi, ale nie. Sprawa jest bardzo ściśle tajna i — Werner posunął się do kłamstwa — sam niewiele o niej wiem.

Niemalże usłyszał nie wypowiedziane „gówno prawda”. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak kiepsko się tłumaczy. Jeśli istniała jakaś tajna grupa antyterrorystyczna, jeśli Amerykanie mieli jakiś udział w jej utworzeniu, główny ekspert FBI do spraw terroryzmu po prostu musiał coś wiedzieć. Henriksenowi z pewnością nie trzeba było tego tłumaczyć. Ale, niech to wszyscy diabli, zasady są zasadami, nie ma sposobu na to, żeby ktoś spoza Biura dopuszczony został do tajnej szafki z napisem Tęcza, a w końcu Bill doskonale zdawał sobie sprawę z tych zasad.

— Jasne, Gus, oczywiście — usłyszał kpiącą odpowiedź. — W każdym razie ci faceci są całkiem, całkiem, ale hiszpański nie jest ich językiem ojczystym, no i mają dostęp do amerykańskiego wiatraka. Powiedz im, że powinni być odrobinę ostrożniejsi.

— Powiem. — Werner zanotował sobie te uwagi.

Henriksen pożegnał się i odłożył słuchawkę. Tajny projekt — powiedział sam do siebie.

Ciekawe, skąd mają forszę...? To, że są powiązani nie tylko z FBI, lecz i Departamentem Obrony nie budziło w każdym razie wątpliwości. Co jeszcze da się wydedukować? Gdzie bazują? To całkiem proste. Potrzebował tylko daty i godziny rozpoczęcia każdego z incydentów oraz informacji, kiedy na scenie pojawili się kowboje. Z tego da się wyprowadzić niezłe przybliżenie ich miejsca stacjonowania. Samoloty pasażerskie latają z prędkością około ośmiuset kilometrów na godzinę...

...to musi być Anglia, zdecydował. Tylko Anglia wyglądała sensownie. Angole mieli na miejscu całą infrastrukturę, kwestie bezpieczeństwa też rozwiązano w Hereford całkiem niezłe, był tam i ćwiczył z SAS jako członek ZOZ, pracując właśnie dla Gusa. Dobra, musi przejrzeć akta operacji w Bernie i Wiedniu. Jego ludzie rutynowo zajmowali się wszystkimi operacjami antyterrorystycznymi. W Austrii i Szwajcarii też miał kontakty, od których mógł uzyskać dodatkowe informacje. W zasadzie bez problemów. Zerknął na zegarek. Najlepiej zadzwonić już, w Europie jest przecież sześć godzin później. Przejrzał notes i wykręcił numer na swej prywatnej linii.

Tajny projekt, pomyślał jeszcze. Doskonale, zobaczymy, do jakiego stopnia.

Spotkanie gabinetu zakończyło się wcześniej. Prezydenckie wnioski do Kongresu rozpatrywane były jeden za drugim, co wszystkim ułatwiało życie. Członkowie gabinetu głosowali tylko dwukrotnie, w zasadzie było to zresztą zaledwie badanie opinii zebranych — to prezydent podejmuje decyzje. Carol uświadamiano ten fakt kilkakrotnie i teraz doskonale o nim pamiętała. Tak więc spotkanie zostało zakończone i członkowie gabinetu wychodzili z budynku.

— Cześć, George. — Brightling powitała serdecznie sekretarza skarbu.

— Cześć, Carol. Mam nadzieję, że drzewka zaczęły ci odrastać — odparł sekretarz skarbu z uśmiechem.

— Odrastają. — Uśmiechnęła się do plutokraty-ignoranta. — Może oglądałeś rano telewizję?

— O co chodzi?

— O Hiszpanię.

— Ach, ta sprawa w Parku Światowym? W czym problem?

— Kim byli ci zamaskowani faceci?

— Carol, nie mogę ci udzielić odpowiedzi.

— Ja cię nie proszę o numery ich telefonów, George. — Poczekała, aż otworzy jej drzwi.

— No i pamiętaj, mam dostęp niemal do wszystkiego.

Sekretarz skarbu musiał przyznać, że to prawda. Prezydencki doradca do spraw naukowych miał prawo wiedzieć wszystko o wszystkim: programach środków masowego rażenia i konwencjonalnych, częścią jej rutynowych zadań było sprawdzanie najtajniejszych z tajnych systemów łączności. Jeśli zapytała o coś, należała się jej odpowiedź. Szkoda, że zapytała. Za wielu ludzi wiedziało już o Tęczy.

Westchnął.

— Tę operację rozpoczęliśmy parę miesięcy temu. Jest tajna, rozumiesz? Specjalna, międzynarodowa grupa operacyjna działa w Anglii. Jej członkowie to Anglicy i Amerykanie, ale nie tylko. Sam pomysł wyszedł z CIA, od faceta, którego szef tak lubi... I na razie wygląda, że mają w kieszeni rekord ligi, prawda?

— No, uratowanie tych dzieciaków to było rzeczywiście coś wyjątkowego. Mam nadzieję, że poklepano ich za to po główce.

Sekretarz skarbu zachichotał.

— Na to możesz liczyć. Szef wysłał im dziś osobiste podziękowanie.

— Jak nazywa się ta operacja?

— Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć?

— To w końcu tylko nazwa.

— Słusznie. — Sekretarz skarbu skinął głową. — Nazywa się Tęcza, ze względu na międzynarodowy skład zespołu.

— Dobra, ale kimkolwiek są ci chłopcy, wczoraj zdobyli parę punktów. Wiesz, naprawdę powinnam z góry dowiadywać się o takich sprawach. Mogę pomóc — dodała z naciskiem.

— Więc powiedz o tym szefowi.

— Pamiętaj, że jestem u niego na samej górze czarnej listy.

— Weź więc trochę na wstrzymanie z tymi swoimi sprawami środowiskowymi, dobra?

Cholera, wszyscy przecież chcemy, żeby trawa rosła i ptaki śpiewały, tylko że żaden śpiewający ptaszek nie da rady rządzić krajem, prawda?

— George, ja mam do czynienia z poważnymi sprawami naukowymi.

— Jeśli pani tak twierdzi, pani doktor. Tylko że jeśli oszczędzisz na retoryce, ludzie bardziej będą cię słuchać. To taka przyjacielska rada. — Sekretarz skarbu otworzył drzwiczki samochodu. Wracił do biura, odległego o dwie przecznice.

— Wielkie dzięki, George. Przemyślę sobie tę sprawę — powiedziała, żegnając sekretarza skarbu. Sekretarz pomachał jej ręką na pożegnanie.

Tęcza, powtórzyła w myśli, przechodząc przez West Executive Drive. Warto pójść o krok dalej? Zabawne, kiedy ma się dostęp do jakichś tajnych materiałów, ma się dostęp do wszystkich tajnych materiałów. Kiedy dotarła do swego biura, wsunęła plastikową kartę w bezpieczny telefon *STU- 4* i zadzwoniła do CIA, na prywatną linię dyrektora.

— Tak? — usłyszała w słuchawce męski głos.

— Ed, mówi Carol Brightling.

— Cześć. Jak tam zebranie gabinetu?

— Poszło gładko, jak zwykle. Chcę cię o coś zapytać.

— O co takiego?

— O Tęczę. Wczoraj, w Hiszpanii, naprawdę się popisali.

— Masz dostęp do Tęczy? — zdziwił się Ed.

— A skąd znalazłbym tę nazwę? Wiem też, że całą tę sprawę ustawił jeden z twoich ludzi.

Nie pamiętam nazwiska, to ten, którego prezydent tak lubi.

— Jasne. John Clark. Kiedyś, dawno temu, prowadził szkolenia w Firmie. Bywał tu i tam, i dokonał więcej niż ja z Mary Pat razem wzięci. Ale, ale, co interesuje cię przede wszystkim?

— Ten nowy system taktycznej łączności kodowanej, którym bawi się ABN. Mają go?

— Nie wiem. Jest już do dostania?

— Powinien być w ciągu miesiąca. E-Systems już je robi, więc moim zdaniem należy szybką ścieżką dać je Tęczy. Przecież siedzą praktycznie na pierwszej linii frontu. Powinni mieć wszystko, co najlepsze.

Dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, siedzący w fotelu ze słuchawką w rękę, powtórzył sobie po raz kolejny, że powinien, do cholery, wiedzieć, czym zajmuje się Agencja Bezpieczeństwa Narodowego. Co gorsza, zapomniał, że Brightling ma „czarną kartę”, czyli dostęp do sanktuarium w Fort Meade.

— Niezły pomysł. Z kim mam o tym pogadać?

— Chyba z admirałem McConnelem. To jego agencja. W każdym razie udzielam ci tylko takiej przyjacielskiej rady. Jeśli zespół Tęcza jest taki dobry, powinien mieć na wyposażeniu to, co najlepsze.

— Dobra, zajmę się tym. I bardzo ci dziękuję, Carol.

— Nie ma za co, Ed. A jak będziesz miał okazję, wprowadź mnie w sprawę, dobrze?

— Jasne, to mogę zrobić. Wyślę do ciebie człowieka, powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

— Jasne. Kiedy tylko uznasz za stosowne.

— Do widzenia, Carol.

Połączenie na bezpiecznej linii zostało przerwane. Carol uśmiechnęła się. Ed nawet nie zainteresował się jej wiedzą o Tęczy. Wystarczyło, że знаła nazwę, powiedziała kilka komplementów pod adresem zespołu, zaoferowała pomoc, co więcej zrobić może dobry urzędnik?

Na dodatek poznała tożsamość dowódcy oddziału. John Clark. Były agent CIA, prowadzący Edowi szkolenia. Jak łatwo zdobyć potrzebne informacje, jeśli tylko mówi się właściwym językiem. No cóż, tylko po to zgłosiła się do tej roboty.

Jeden z jego ludzi zrobił odpowiednie obliczenia, oszacował czas przeznaczony na podróż i wysłała mu Anglia, dokładnie tak jak podejrzewał. Triangulacja, po uwzględnieniu czasu transportu do Wiednia i Berna, wskazywała Londyn lub jakieś miejsce w pobliżu Londynu.

Całkiem sensownie, pomyślał Henriksen. British Airways lata wszędzie, no i zawsze są w dobrych stosunkach z rządem. Tak więc, kimkolwiek byli ci ludzie, ich oddział musiał

stacjonować w Hereford, prawie na pewno w Hereford. Zespół był prawdopodobnie międzynarodowy, to czyniło go politycznie akceptowalnym dla krajów trzecich. Amerykanie, Brytyjczycy, być może także inni, z dostępem do amerykańskiego sprzętu, na przykład śmigłowców. Gus Werner wiedział o ich istnieniu, czyżby w zespole byli ludzie z FBI?

Prawdopodobnie tak, pomyślał Henriksen. Zespół Odbijania Zakładników był w zasadzie jednostką policyjną, ponieważ jednak zajmował się antyterroryzmem, ćwiczył z innymi podobnymi organizacjami na całym świecie, choćby nawet miały one charakter wojskowy. Ci ludzie wypełniali identyczne zadania, członkowie poszczególnych zespołów mogli się więc wymieniać, a członkowie ZOZ FBI należeli do najlepszych w świecie. W oddziale więc był

pewnie ktoś z nich, może nawet ktoś, kogo znał osobiście? Warto byłoby znaleźć kogoś takiego, ale na razie chyba to jednak za trudne.

W tej chwili najważniejszy wydawał się fakt, że ów międzynarodowy zespół antyterrorystyczny stanowił potencjalne zagrożenie. Co by się stało, gdyby dotarli do Melbourne?

Z pewnością w niczym by nie pomogło, zwłaszcza jeśli wśród członków zespołu znajdował się człowiek z FBI. Piętnaście lat przepracował w Biurze, nie miał więc złudzeń co do mężczyzn i kobiet w zespole: umieli szybko kojarzyć i zaglądali w każdy kąt. Tak więc jego strategia uświadamiania światu istnienia zagrożenia ze strony terrorystów, mająca wepchnąć mu w ręce robotę w Melbourne, mogła zaowocować w sposób niepożądany. Niech to cholera. Ale z drugiej strony, niepożądane skutki mogą trafić się w każdej sytuacji. To dlatego znalazł się w zespole, jego zadaniem było rozwiązywanie tego rodzaju problemów. Robił więc to, co umiał robić — w tej chwili zbierał dane. Musiał dowiedzieć się jeszcze paru rzeczy. Fatalne było jednak to, że musi lecieć do Australii i to już, praktycznie zaraz, albo niczego więcej się nie dowie. No i dobrze. Zje dziś kolację z szefem, powie mu, czego się dowiedział, może ten Rosjanin dowie się czegoś jeszcze. Niezłe się do tej pory spisywał, bez żadnych wątpliwości. Facet z fajką.

Henriksen nie potrafił przestać się dziwić, jak takie drobiazgi potrafią naprowadzić na trop. Po prostu trzeba trzymać głowę nad wodą i rozglądać się.

— Interleuken zupełnie sobie nie radzi — powiedział John Killgore, odwracając wzrok od monitora. Ekran mikroskopu elektronowego był czysty. Łańcuchy Sziwy mnożyły się radośnie, pochłaniając zdrową tkankę.

— I co z tego? — spytała doktor Archer.

— To że mamy z głowy jedyną kurację, która naprawdę mnie niepokoiła. Za to wspaniały nowy środek, ale Sziwa śmieje się z niego. Ten nasz wirus to cholerny mały sukinsyn, Barb.

— Co z naszymi obiektami?

— Właśnie je sobie obejrzałem. Pete się kończy, reszta idzie w jego ślady. Sziwa zżera ich żywem. W każdym wypadku mamy poważne krwotoki wewnętrzne, nic nie powstrzyma też degeneracji tkanek. Próbowałem wszystkiego, dosłownie wszystkiego. Te biedne sukinsyny nie miałyby lepiej u Hopkinsa, na Harvardzie, w klinice Mayo, a i tak w końcu umrą. Oczywiście, znajdą się i tacy, których system immunologiczny zwalczy chorobę, ale będzie ich doprawdy niewiele.

— Jak niewiele? — spytała Archer.

— Zapewne jeden na tysiąc, być może jeden na dziesięć tysięcy. Nawet płucna wersja choroby nie zabija w stu procentach — przypomniał jej. Była to prawdopodobnie najbardziej śmiertelna wersja choroby we wszechświecie, pozwalająca na przetrwanie jednemu człowiekowi na dziesięć tysięcy. Wiedziała, że system immunologiczny niektórych ludzi zabija wszystko jak leci. Ci ludzie dożywali setki i lepiej, i nie miało to nic wspólnego z paleniem lub nie paleniem, pić alkoholu od rana i wszystkimi podobnymi bzdurami publikowanymi w gazetach jako sekret wiecznego życia. Sekret bowiem tkwił w genach. Jedni mają lepsze geny, inni gorsze. To proste.

— Cóż, tym chyba nie potrzebujemy się martwić?

— Na świecie żyje teraz od pięciu do sześciu miliardów ludzi. Dziesięć do dziewiętej potęgi. Zmniejsz tę potęgę o pięć cyfr. Ocaleje dziesięć do, powiedzmy, piątej. Nadal daje to kilkaset tysięcy ludzi nie mających powodu, żeby nas kochać.

— Rozproszonych po całym świecie — zauważyła Barbara. — Niezorganizowanych, potrzebujących do przetrwania przywództwa i wiedzy naukowej. Jak się w ogóle skontaktują? W

Nowym Jorku ocaleje ich osiemdziesięciu. I co z chorobami zakaźnymi, nieuniknionymi w przypadku tylu trupów? Przed nimi nie obroni najlepszy system immunologiczny na świecie.

— Jasne — zgodził się z uśmiechem Killgore. — Można powiedzieć, że poprawiamy rasę, prawda?

Doktor Archer doceniła zawarty w tych słowach humor.

— Masz rację, John. A więc szczepionka B jest gotowa?

— Owszem. Zaszczepiłem się nią przed paroma godzinami. Przygotowałaś się do zastrzyku?

— Co z A?

— W lodówce. Gotowa do masowej produkcji. Mamy zdolności produkcyjne do tysiąca litrów tygodniowo. Wystarczy dla wszystkich. Wczoraj zrobiłem obliczenia ze Steve'em Bergiem.

— Czy ktoś inny...?

— Nie ma mowy. Nawet Merck nie jest w stanie działać tak szybko, a gdyby nawet był, przecież musieliby użyć naszej technologii, prawda?

Na tym właśnie polegało piękno sprawy. Gdyby plan rozprzestrzenienia Sziwy z jakiegoś powodu nie przyniósł oczekiwanych rezultatów, ludzie z całego świata otrzymać mieli szczepionkę serii A, którą, najzupełniej przypadkowo, stworzyły Antigen Laboratories, wchodząca w skład Horizon Corporation, w ramach projektu pomocy dla krajów Trzeciego Świata, ojczyzny gorączek krwotocznych. Łut szczęścia, ale historia medycyny notuje takie przypadki. Zarówno John Killgore, jak i Steve Berg publikowali prace o tego rodzaju chorobach, co przyczyniło im całkiem sporej sławy ze względu na to, przez co całkiem niedawno przeszła Ameryka. Świat medyczny był więc doskonale poinformowany o pracach prowadzonych w Horizon i nie powinna zdumieć go informacja, że oto w produkcji znajdowała się już odpowiednia szczepionka. Gdyby ktoś zechciał przetestować ją we własnym laboratorium, znalazłby w płynie przeciwciała, jak trzeba. Tyle że były to złe przeciwciała — szczepionka z żywym wirusem miała okazać się śmiertelna. Czas od wstrzyknięcia szczepionki do wystąpienia objawów choroby obliczono na cztery do sześć tygodni. Przetrwali mieli jedynie ci z najwyższego krańca puli genowej, setka na milion, może nieco mniej. Ebola-Sziwa była groźna, naprawdę groźna, pracowano nad nią trzy lata, a Killgore i tak nie mógł się nadziwić jak łatwo poszło. Cóż, postępy w nauce. Manipulacja genami była czymś względnie nowym, tempa pracy nie udawało się przewidzieć. Smutne tylko to, że ktoś, gdzieś, w jakimś laboratorium badał

zupełnie nową ścieżkę, problem ludzkiej długowieczności, i być może miał w tej dziedzinie znaczące sukcesy. Cóż, obróci się to na lepsze. Ci, co przetrwają, będą dłużej cieszyć się nowym światem, narodzonym po przejściu Sziwy.

Postęp w nauce nie miał się zresztą skończyć. Na liście wybranych do szczepionki B byli naukowcy. Niektórzy z nich zapewne zbuntują się przeciw temu, co nastąpiło, gdy dowiedzą się, jak nastąpiło, ale co się stało, to się nie odstanie i jako naukowcy z pewnością wkrótce wrócą do pracy.

Niektórym w Projekcie nie podobało się wciągnięcie na listę naukowców. Ci najradykalniejsi twierdzili nawet, że nie powinno się ratować lekarzy, bo lekarze tylko przeszkadzają naturze w pełnieniu jej dzieła. Killgore prychnął. Świetnie, doskonale, niech tylko kobiety tych durni zaczną rodzić w polu podczas orki i w lesie podczas polowania, a wkrótce po ideologach nie pozostanie śladu. On sam pragnął cieszyć się nieskałaną naturą i badać ją, ale w butach i kurtce, bo po co marznąć, kiedy można nie marznąć? Chciał zostać człowiekiem uczonym, a nie powracać do etapu nagiej małpy. Zastanawiał się wielokrotnie, jak może to wyglądać. Konieczny będzie, oczywiście, podział pracy. Rolnicy zbierający plony i pasący bydło konieczne do wyżywienia społeczności... Albo myśliwi polujący na bizona, których mięso jest zdrowsze, bo zawiera mniej cholesterolu. Bizony powinny szybko wrócić na prerie. Będą miały obfitość dziczyńskich zbóż, będą rosły tłuste i zdrowe, zwłaszcza że tak bezwzględnie wytępione drapieżniki na pewno rozmnożą się wolniej. Bydło domowe też zacznie się mnożyć, ale bizona, jako silniejsze i lepiej przystosowane do wolnego życia, w końcu je wyprą. Bardzo chciałby to zobaczyć, wielkie stada jak z historii Dzikiego Zachodu. Warto także będzie wybrać się do Afryki.

Podobne zachcianki oznaczały, że Projekt musi dysponować samolotami oraz pilotami.

Horizon miał już własną flotę odrzutowców *G-IV*, zdolnych dolecieć w praktycznie każdy zakątek świata. Potrzebne były również niewielkie zespoły personelu naziemnego utrzymujące w ruchu kilka lotnisk, na przykład w Zambii. Afryka, myślał Killgore, winna być dzika i wolna. Jego zdaniem miało to potrwać jakieś dziesięć lat. Łatwa sprawa, AIDS wybijał jej ludność w oszałamiającym tempie,

Sziwa tylko przyspieszy ten proces i na Czarnym Kontynencie nie pozostanie wkrótce ani jedna istota ludzka. Można będzie polecieć tam i obserwować naturę w całej jej chwale... A może nawet zastrzelić lwa na skórę do ozdobienia domu w Kansas?

Niektórzy uczestnicy Projektu narobili wrzasku słysząc te jego myśli, ale w końcu co znaczy jeden lew? Projekt ocali ich setki tysięcy, może nawet miliony, gotowe przebiegać afrykańską sawannę i polować w stadach. Jaki piękny będzie ten nowy świat... Pod warunkiem, że wyniszczy się pasożytniczy gatunek ludzki.

Rozległ się dźwięk brzęczyka. Spojrzał na panel kontrolny.

— M5, Ernie — powiedział. — Najwyraźniej zawał.

— I co masz zamiar zrobić? — spytała Barbara Archer.

— Upewnić się, czy rzeczywiście umarł. — Killgore wstał, pochylił się i wybrał kamerę mającą wyświetlać obraz na wielkim monitorze komputera. — Masz — powiedział jeszcze —

możesz popatrzeć.

W dwie minuty później pojawił się na monitorze. Pielęgniarski był już na miejscu, ale niewiele miał do roboty poza staniem i gapieniem się. Lekarz sprawdził puls chorego, potem oczy. Mimo otrzymania szczepionki B nosił maskę i rękawice, co wydawało się posunięciem co najmniej sensownym. Po oględzinach wyprostował się i wyłączył system podtrzymywania życia.

Pielęgniarski odłączył kroplówkę i przykrył ciało. Killgore wskazał drzwi i ciało wyjechało do krematorium, podczas gdy on sam pochylił się nad kilkoma jeszcze obiektami, a z jednym nawet porozmawiał, po czym znikł z ekranu.

— Tak jak myślałem — powiedział, pojawiając się w sali kontroli, już bez stroju ochronnego. — Ernie miał kiepskie serce i Sziwa zaatakował przede wszystkim je. Wendell będzie następny. M2. Wątroba oszalała, poważne krwawienie z górnej części przewodu pokarmowego.

— Co z grupą kontrolną?

— Mary, K4, jeszcze dwa dni i wystąpią jednoznaczne objawy.

— A więc system zarażania działa?

— Bez zarzutu. — Killgore nalał sobie kawy i usiadł. — Wszystko będzie dobrze, Barb, symulacje komputerowe wyglądają lepiej niż założone przez nas parametry. Sześć miesięcy od rozpoczęcia fazy wykonawczej i świat będzie zupełnie innym miejscem.

— Nadal martwi mnie te sześć miesięcy, John. Jeśli ktokolwiek domyśli się, kto do tego doprowadził, ich ostatnim świadomym aktem będzie zabicie nas.

— Dlatego jesteśmy uzbrojeni, Barb.



— Nazywają się „Tęcza” — powiedział, wyjawiając najważniejszą uzyskaną tego dnia informację.  
— Bazują w Anglii. Zebrani przez faceta z CIA nazwiskiem John Clark, najwyraźniej dowódcę oddziału.

— To ma sens — przyznał Henriksen. — Grupa międzynarodowa, tak?

— Moim zdaniem tak — oznajmił John Brightling.

— Owszem — potwierdził Dmitrij Popow, rozkoszując się sałatką cesarską. — Wszystko to ma sens. Oddział NATO, prawdopodobnie, bazujący w Hereford?

— Słusznie. — Henriksen uśmiechnął się. — A przy okazji, niezła robota, panie Popow.

Popow wzruszył ramionami.

— Doprawdy, to było bardzo proste. Powiniennem wpaść na to wcześniej. Teraz czas na pytanie: co chcecie, żebym z tym zrobił?

— Moim zdaniem powinniśmy zdobyć jak najwięcej informacji. — Henriksen zerknął na szefa. — O wiele więcej.

— Jak się pan do tego zabierze? — spytał Brightling.

— Poradzę sobie bez kłopotu — upewnił go Rosjanin. — Kiedy wiesz, gdzie szukać, praktycznie zwyciężyłeś w bitwie. Po prostu idziesz i szukasz. Przecież mam już jedno nazwisko, prawda?

— Chce się pan tym zająć?

— Oczywiście. — Jeśli mi zapłacicie, dodał w myślach. — Istnieje pewne niebezpieczeństwo, ale...

— Jakie niebezpieczeństwo?

— Pracowałem kiedyś w Anglii. Być może mają moje zdjęcie, pod innym nazwiskiem, oczywiście, ale nie uważam tego za prawdopodobne.

— Potrafi pan naśladować akcent? — zainteresował się Henriksen.

— Ależ naturalnie. — Popow uśmiechnął się szeroko. — Pan był w FBI?

— Tak.

— Więc wie pan, jak to się robi. Tydzień powinien mi wystarczyć.

— Dokumenty?

— Mam wiele zestawów, wszystkie ważne i wszystkie w porządku.

Miło jest pracować z zawodowcem, pomyślał Henriksen, głośno zaś powiedział:

— Cóż, lecę jutro rano, a nie zacząłem się jeszcze pakować. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu, po powrocie.

— Uważaj na skutki różnicy czasu — ostrzegł go Brightling. Bill Henriksen uśmiechnął się.

— A na to nie ma pan pigułki? — zażartował.

# Pozory

Popow poleciał porannym *Concorde*. Był to pierwszy jego lot tą maszyną, której wnętrze wydało mu się ciasnawe, choć przynajmniej na nogi pozostawiono odpowiednią ilość miejsca.

Zajął fotel 4-C. Tymczasem Bill Henriksen prosił stewardesę o kawę w pierwszej klasie *DC- 10*, kierującego się do Los Angeles.

William Henriksen, pomyślał Dmitrij Arkadijewicz Popow. ZOZ FBI, ekspert w dziedzinie zwalczania terroryzmu, prezes międzynarodowej firmy konsultingowej i agencji ochroniarskiej, w drodze do Australii, gdzie ma negocjować kontrakt na najbliższą olimpiadę...

Jak to pasuje do tego, co on sam robił dla Horizon Corporation Johna Brightlinga? Bo co on właściwie robił? Czemu miała służyć jego praca? Płacono mu doskonale, podczas kolacji nie poruszył nawet kwestii finansowych pewny, że dostanie, ile zażąda. A miał zażądać dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów tylko za tę operację, choć nie wiązała się ona z żadnymi praktycznie zagrożeniami. Ćwierć miliona dolców. Może więcej?

Jaki to plan, do którego pasują zarówno: specjalista w dziedzinie organizacji akcji terrorystycznych i specjalista w dziedzinie zwalczania terroryzmu? Dlaczego tak poruszyło ich dokonane przez niego odkrycie, że oto na scenie pojawiła się nowa organizacja antyterrorystyczna? Najwyraźniej uznali to za niezwykle ważne... tylko dlaczego? O co im, do diabła, chodzi? Popow potrząsnął głową. Cwany z ciebie facet, Dmitrij, a nie masz zielonego pojęcia, w co się wplątałeś.

Bał się niewiedzy bardziej niż czegokolwiek innego. Bał się? Owszem, w tej chwili się bał. KGB nie zachęcało pracowników do wyrażania zainteresowania ostatecznym celem ich działań, ale nawet w KGB wiedziano, że inteligentnym ludziom należy coś jednak powiedzieć i rozkazy przychodziły z jakimś wyjaśnieniem, a poza tym z góry wiedziano, że służy się interesom kraju. Niezależnie od tego, jakie informacje zbierał, w jakim kraju rekrutował

agentów, celem ostatecznym było zawsze bezpieczeństwo i siła państwa. Państwo padło w końcu, ale przecież nie z jego winy. KGB nigdy nie zawiódł państwa, to państwo zawiodło KGB.

Służył w najlepszej organizacji wywiadowczej świata i nadal był dumny ze swych umiejętności.

Teraz jednak nie wiedział, co robi. Miał zbierać informacje, co nie sprawiało mu szczególnych kłopotów, ale nie wiedział, dlaczego je zbiera. To, czego dowiedział się wczoraj wieczorem, podczas kolacji, ujawniło tylko istnienie kolejnej tajemnicy. Zupełnie jakby oglądał

jakiś hollywoodzki film o globalnym spisku albo czytał powieść szpiegowską, której intrygi nie potrafił rozwikłać. Weźmie pieniądze i wykona pracę, ale po raz pierwszy w życiu poczuł się niepewnie i nie było to miłe uczucie.

Samolot wystartował w stronę wschodzącego słońca, kierując się na londyńskie lotnisko Heathrow.

— Robisz postępy, Bill?

Tawney wygodnie rozparł się w fotelu.

— Niewielkie — odparł. — Hiszpanie zidentyfikowali dwóch terrorystów jako separatystów baskijskich, Francuzom wydaje się, że zidentyfikowali innego jako obywatela ich kraju i to mniej więcej wszystko. Przypuszczam, że o niektóre sprawy można byłoby spytać Carlosa, wątpię jednak, czy zgodziłby się współpracować, a w ogóle skąd wiadomo, że widział

kiedyś na oczy tych sukinsynów?

— Masz rację. — Clark usiadł. — Wiesz, moim zdaniem Ding ma rację. Jednego takiego incydentu można było się chyba spodziewać, ale trzy z rzędu to doprawdy sporo. Czy to możliwe, że ktoś zleca im akcje?

— Możliwe, ale kto mógłby to być i dlaczego miałby to robić?

— Spokojnie, po kolei. Zajmijmy się najpierw pytaniem „kto”? Kto dysponuje takimi możliwościami?

— Ktoś, kto miał dostęp do tych ludzi w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Oznacza to kogoś dobrze osadzonego w ruchu lub nawet kontrolującego go, wpływającego nań z zewnątrz. Człowiek z KGB lub innej komunistycznej agencji wywiadowczej. Sądząc jednak z różnorodności grup, raczej KGB. Wydaje się, że ktoś taki byłby im znany, miałby środki, by się z nimi skontaktować, a tym samym możliwości nadawania im akcji.

— Wszystkie trzy grupy wyznawały ideologię lewacką...

— Tym bardziej ten ktoś jest byłym, a może nawet obecnym pracownikiem KBG. Z

pewnością mu ufają. Więcej, dysponuje tym rodzajem autorytetu, który uznają i szanują. —

Tawney popił herbaty. — Co oznaczałoby z kolei pracownika wywiadu, prawdopodobnie starszego, z którym pracowali w dawnych dobrych czasach, załatwiającego im szkolenia i wsparcie w czasach byłego bloku wschodniego.

— Niemiec, Czech, Rosjanin?

— Rosjanin. — Tawney był najwyraźniej bardzo pewien swego. — Pamiętaj, KGB

pozwalalo pomagać sobie z zewnątrz tylko pod ścisłym nadzorem. Równości to tam nigdy nie było, John. Chodziło raczej o zadowolenie samych terrorystów, nic innego. „Elementy postępowe” i wszystkie te bzdury. Trenowano ich zazwyczaj pod Moskwą, a potem kwaterowano w kryjówkach

gdzie indziej, najczęściej we Wschodnich Niemczech. Kiedy u nich wszystko się zawaliło, zdobyliśmy interesujące materiały Stasi. Paru chłopaków z Century House przegląda je dla mnie teraz, ale zajmie to trochę czasu, bo materiałów tych nigdy nie skomputeryzowano, nigdy nawet właściwie nie skatalogowano. Pewnie mieli problemy finansowe.

— To może zwrócić się wprost do KGB? Cholera, przecież ja znam Gołowkę.

— Żartujesz. — Tawney nie miał o tym zielonego pojęcia. Przynajmniej do tej pory.

— Jak sądzisz, jakim cudem tak błyskawicznie znaleźliśmy się z Dingiem w Iranie jako Rosjanie? Myślisz, że CIA potrafi coś zorganizować w tym tempie? Pomarzyć dobra rzecz, Bill.

Nie, Gołowko to załatwił. Przed odlotem odwiedziliśmy go obaj w jego biurze w Moskwie.

— Jeśli rzeczywiście możesz, to chyba warto spróbować.

— Musiałbym dostać pozwolenie z Langley.

— Czy Siergiej zgodzi się na współpracę?

— Nie wiem — przyznał Clark. — Powiedziałbym, że w najlepszym przypadku szanse są pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Ale nim czegoś spróbujemy, muszę mieć bardzo dobre pojęcie, czego właściwie chcę. Metodą prób i błędów niczego tu nie zwojujemy.

— Mogę sprawdzić, czy mamy nazwisko jakiegoś oficera wywiadu, który z nimi współpracował. Problem tylko w tym, że nie będzie to na pewno prawdziwe nazwisko.

Clark skinął głową.

— Racja. Wiesz, powinniśmy bardziej się postarać i wziąć jednego z tych ludzi żywcem.

Kiepsko przesłuchuje się trupa.

— Jak na razie nie mieliśmy okazji.

Może i tak, pomyślał John Clark. Zresztą nawet gdyby wzięło się kogoś żywcem, skąd pewność, że wiedziałby cokolwiek użytecznego? Cóż, od czegoś trzeba przecież zacząć.

— W Bernie mieliśmy napad na bank. W Wiedniu próbę porwania. Z tego co powiedział

nam Ostermann, napastnicy szukali czegoś, co w rzeczywistości nie istnieje: prywatnych komputerowych haseł do tajnego międzynarodowego systemu informacji finansowych.

Akcja w Hiszpanii wyglądała, jak żywcem przeniesiona z lat siedemdziesiątych.

— Dobrze — zgodził się Clark. — Dwukrotnie chodziło o pieniądze. Ale terroryzm w obu przypadkach motywowany był ideologicznie, prawda?

— Prawda.

— Skąd zainteresowanie pieniędzmi? W pierwszym przypadku zgoda, może był to zwykły bandycki napad, drugi incydent sprawiał jednak wrażenie bardziej skomplikowanego, to znaczy jednocześnie skomplikowanego i głupiego, bo atakujący szukali czegoś, co nie istnieje.

Jako fanatycy mogli jednak nie wiedzieć, że niczego takiego nie ma. Bill, ktoś im powiedział, czego mają szukać. Sami nie wpadliby na taki pomysł, zgadza się?

— To przypuszczenie o dużym stopniu prawdopodobieństwa, zapewne nawet więcej niż dużym.

— No więc mieliśmy do czynienia z dwoma zamachami z pobudek ideologicznych, technicznie zorganizowanymi dość kompetentnie, zakładającymi sobie jednak nie istniejące cele.

Kombinacja mądrości operacyjnej i głupoty w poczynionych założeniach po prostu rzuca się w oczy.

— A co z Parkiem Światowym?

Clark wzruszył ramionami.

— Może Carlos wie coś, czego potrzebują? Może ma gdzieś ukryty skarb albo informację, albo numery kontaktowe, może nawet gotówkę. Nie sposób powiedzieć, prawda?

— Uważam za nieprawdopodobne, by zgodził się z nami współpracować.

— I słusznie — burknął Clark.

— Jedno mogę zrobić — porozmawiać z gośćmi z Piątki. Może ten nasz hipotetyczny Rosjanin pracował z PIRA? Pozwól mi się trochę porozglądać, John.

— Doskonale, Bill. Ja pogadam z Langley. — Clark wstał, wyszedł i skierował się do swego pokoju, nadal poszukując w myślach tego pomysłu, który umożliwiłby mu zrobienie czegoś użytecznego.

Zaczęło się kiepsko i Popow niemal dostał ataku śmiechu. Znalazł na parkingu wynajęty samochód i otworzył lewe drzwiczki zamiast prawych. Zdołał jednak przestawić sobie wszystko w głowie w ciągu kilku sekund, które zabrało mu włożenie bagaży do bagażnika i za kierownicę wsiadł prawidłowo. Otworzył atlas drogowy, który kupił na lotnisku i spod czwartego terminalu Heathrow skierował się na autostradę, która miała zaprowadzić go do Hereford.

— Więc jak to działa, Tim?

Noonan przesunął rękę, ale strzałka nadal wskazywała na Chaveza.

— Niech to, fajna zabawka — powiedział. — Śledzi pole elektromagnetyczne wytwarzane przez

ludzkie serce. Jedyny w swoim rodzaju sygnał na niskiej częstotliwości.

Zwierzęta go nie zwiodały, nawet goryle...

To, co trzymał w ręku, przypominało miotacz promieni z filmu science fiction z lat trzydziestych. Z przodu cienki przewód antenowy, pod nim pistoletowy uchwyt. Obracało się to na łożyskach beztarciowych, przyciągane przez odbierany sygnał. Noonan oddalił się od Chavez'a i Convingtona, kierując się ku ścianie. Sekretarka siedziała... tak, dokładnie tu. Urządzenie nakierowało się na nią i, choć się poruszał, utrzymywało kontakt przez ścianę.

— To jak cholerna różdżka — stwierdził Pete z oczywistym zdumieniem. — Jak znalezienie wody...

— Wiesz, rzeczywiście tak to wygląda. Cholera, nic dziwnego, że Armii tak podoba się ta zabaweczka. Zapomnij o zasadzce. Możesz znaleźć ludzi pod ziemią, za drzewami, w deszczu.

Jeśli gdzieś są, znajdziesz ich.

Chavez głęboko się nad tym zastanowił. Przypomniała mu się przede wszystkim operacja w Kolumbii, ileż lat temu to było? Zwiadowca w dżungli, rozglądający się wokół, szukający wszystkimi zmysłami ludzi, którzy mogliby zaatakować jego dziesięcioosobową drużynę. To małe urządzenie zastępowało wiedzę, którą opanował w 7. Dywizji Piechoty Lekkiej. Jako narzędzie defensywne mogło wysłać na emeryturę wszystkich nindzów. Jako narzędzie ofensywne mówiło ci, gdzie są źli faceci na długo przedtem, nim miałeś szansę zobaczyć ich albo usłyszeć, pozwalało zbliżyć się do nich...

— Do czego służy, to znaczy, co producent mówi o zastosowaniach?

— Poszukiwania i operacje ratunkowe: strażacy w płonących budynkach, ludzie przysypani lawinami, tego rodzaju rzeczy, Ding. Jako narzędzie przeciw intruzom ta zabawka może się okazać niezastąpiona. Od paru tygodni bawią się nią w Fort Bragg. Faceci z Delt'y zakochali się w tej laleczce. Nadal jest nieco przytrudna w użytku, nie podaje dystansu, ale wystarczy zmodyfikować antenę na większą czułość, połączyć dwa detektory z GPS i przeprowadzić triangulację. Najwyższego możliwego zasięgu jeszcze nie określono. Twierdzą, że to cudo namierza się na człowieka z pięciuset metrów.

— Niech to cholera — zdumiał się Covington. A instrument wyglądał przecież jak droga zabawka małego chłopca.

— Nada się dla nas? Nie potrafi odróżnić zakładnika od terrorysty — zauważył Chavez.

— Ding, nigdy nie możesz być pewien. Z całą pewnością powie ci przynajmniej, gdzie terroryści nie ma — zaprotestował Noonan. Bawił się tym instrumentem cały dzień, ucząc się, jak używać go efektywnie. Już od dawna nie czuł się jak dziecko, które dostało wymarzoną zabawkę, a teraz dostał coś tak nieoczekiwanego w swej wspaniałości, że doprawdy powinno trafić do niego wprost spod świątecznej choinki.

Pub stojący tuż obok jego motelu nazywał się „Pod Brązowym Rumakiem”. Od głównego wejścia do

bazy w Hereford dzieliło go zaledwie pół kilometra. Wyglądało na to, że jest dobrym miejscem, by zacząć poszukiwania, i doskonałym, by napić się piwa.

Popow zamówił Guinnessa. Popijał porter drobnymi łyżkami, dyskretnie rozglądając się po sali. Telewizor był włączony na transmisję meczu piłkarskiego — czy na żywo, czy z nagrania nie potrafił w tej chwili powiedzieć — między Manchester United i Rangersami z dalekiej Szkocji, co w tej chwili całkowicie zajmowało uwagę nie tylko klientów, lecz i barmana.

Rosjanin też przyglądał się meczowi, wsłuchując się uważnie w rozmowy. Uczono go cierpliwości, z doświadczenia zaś wiedział, że w wywiadzie cierpliwość zazwyczaj bywa nagradzana, zwłaszcza w kulturze takiej jak brytyjska, gdzie ludzie co wieczór przychodzą do ulubionego pubu porozmawiać z przyjaciółmi. Jemu zaś słuch dopisywał nadzwyczajnie.

Mniej więcej w chwili gdy zamawiał drugie piwo, mecz skończył się remisem jeden do jednego.

— Remis. Cholerny remis — zauważył z goryczą mężczyzna siedzący koło niego przy barze.

— Chciałeś sportu, to go masz, Tommy. Przynajmniej nasi sąsiedzi w bazie nigdy nie remisują, nie mówiąc już o przegrywaniu.

— Jak ci pasują Jankesi, Frank?

— Fajni goście, bardzo grzeczni. Dzisiaj w jednym domu reperowałem zlew. Żona była miła, naprawdę bardzo miła. Próbowwała dać mi napiwek. Dziwni ludzie, ci Amerykanie. Myślą, że za wszystko trzeba płacić. — Hydraulik dokończył swoje jasne i zamówił następne.

— Pan pracuje w bazie? — spytał Popow.

— Zgadza się. Od dwunastu lat, hydraulika, takie rzeczy.

— Dobrzy ludzie, ci z SAS, podobało mi się jak rozwalili gówniarzy z IRA. — Rosjanin mówił swym najlepszym robotniczym akcentem.

— Racja — przytaknął poważnie rozmówca.

— To co, w waszej bazie stacjonują teraz Amerykanie?

— Jasne, z dziesięciu, z rodzinami. — Wybuch śmiechu. — W zeszłym tygodniu jedna z żon omal by mnie zabiła. Samochodem. Jechała po złej stronie drogi. Trzeba na nich uważać, zwłaszcza kiedy siadają za kółko.

— Mogę chyba znać jednego z nich, Clarka — zaryzykował Popow.

— Tak? Jest ich szefem. Ma żonę, pielęgniarkę w miejscowym szpitalu. Nie poznałem go, ale mówią, że to poważny gość, pewnie dowodzi nimi wszystkimi. Można się ich przestraszyć, nie



chciałbym spotkać któregoś z nich w ciemnej uliczce. Jasne, są bardzo uprzejmi, ale wystarczy na nich spojrzeć, żeby wiedzieć. Bez przerwy biegają i w ogóle, dbają o kondycję, ćwiczą z bronią i są tak niebezpieczni jak jakieś cholerne tygrysy.

— To oni wykręcili ten cyrk w Hiszpanii, w zeszłym tygodniu?

— No wiesz pan, takich rzeczy to nam nie mówią, ale — hydraulik uśmiechnął się —

widziałem, jak dokładnie tego dnia z lotniska startuje *Hercules*, a potem, późnym wieczorem, wrócili do tego swojego klubu i Andy powiedział, że wyglądali na cholernie zadowolonych z siebie. Dobrzy chłopcy, tak załatwić tych sukinsynów.

— Jasne. Tylko najgorsza świnia zabija chore dziecko. Skurwysyny — warknął Popow.

— No właśnie. Szkoda, że nigdy ich naprawdę nie widziałem. Cieśla, z którym pracuję, George Wilton, był parę razy świadkiem, jak ćwiczyli strzelanie. Twierdzi, że to coś jak z filmu.

Czysta magia.

— Był pan żołnierzem?

— Dawno temu, Pułk Królowej, dosłużyłem się kaprala. Dzięki temu dostałem tę pracę.

— Popijając piwo mężczyzna wpatrywał się w telewizor, w którym na odmianę pokazywano krykiet, grę o zasadach najzupełniej dla Rosjanina niepojętych. — A pan?

— Myślałem o tym, ale w końcu dałem spokój.

— Nieźle życie, szczerze mówiąc, przynajmniej przez parę lat. — Hydraulik sięgnął po garść barowych orzeszków.

Popow dopił piwo i zapłacił. Wieczór okazał się bardzo, bardzo owocny. A więc żona Clarka jest pielęgniarką w miejscowym szpitalu? Trzeba będzie to sprawdzić.

— Tak, Patsy. Owszem — powiedział do żony Chavez, kilka godzin później czytając sobie spokojnie poranną gazetę. Informacje prasowe o Parku Światowym nadal znajdowały się na pierwszej stronie gazet, choć już w jej dolnej połowie. Chavez stwierdził z ulgą, że żaden dziennikarz nie połapał się jeszcze w istnieniu Tęczy. Wszyscy kupili historię o doskonale wyćwiczonej grupie do akcji specjalnych hiszpańskiej Guardia Civil.

— Ding, ja... No wiesz, ja...

— Tak, kochanie, wiem. Jesteś lekarzem, zawodowo ratujesz życie. Pamiętaj, ja też to robię i też zawodowo. Mieli tam mniej więcej trzydzieścioro dzieciaków. Jedno zamordowali.

Nie powiedziałem ci o tym, ale byłem mniej niż trzydzieści metrów od mordercy. Widziałem, jak umiera ta mała dziewczynka, Pats. Nigdy nie widziałem niczego tak strasznego i nic nie mogłem zrobić. — Jego głos był śmiertelnie poważny. Wiedział, że ta scena będzie mu się śniła jeszcze przez kilka tygodni.

— Tak? — Żona spojrzała mu w oczy. — Dlaczego?

— Nie było... To znaczy nie mogliśmy nic zrobić, w środku budynku reszta bandy celowała w dzieciaki, dopiero przyjechaliśmy, nie byliśmy gotowi dorwać sukinsynów, a oni chcieli pokazać wszystkim, jak poważnie to traktują... Chyba właśnie w ten sposób ludzie tacy jak oni okazują siłę charakteru. Zabili zakładnika, żebyśmy widzieli, jacy są twardzi. — Ding odłożył gazetę, rozważając treść swych słów. Jeśli służyłeś w Armii i skrzywdziłeś niewinnego, ludzie przeklinali cię jako mordercę i nie mogłeś liczyć na wybaczenie, okazywałeś się niegodny mundur. A ci terroryści rozkoszowali się najwyraźniej krzywdzeniem niewinnych. Co to, do cholery, za ludzie? Chavez przeczytał wszystkie książki Paula Bellowa, ale jakoś ich treść nie przemówiła mu do przekonania. Choć był inteligentnym człowiekiem, tej intelektualnej bariery nie potrafił przekroczyć. Cóż, być może jedyne co potrzebował wiedzieć o tych ludziach, to jak ich trafić? Z jego punktu widzenia był to jedyny stuprocentowo skuteczny argument.

— Co to za ludzie? — spytała Pat.

— Kochanie, doprawdy nie wiem. Doktor Bellow twierdzi, że tak mocno wierzą w idee, że godzą się na utratę człowieczeństwa, ale do mnie to po prostu nie dociera. Wiem, że nie potrafiłbym tak postąpić. Jasne, zabijałem ludzi, ale nigdy dla przyjemności i nigdy dla jakichś abstrakcyjnych celów. Musi być jakiś poważny powód, coś dobrego dla społeczeństwa, albo dlatego, że ktoś złamał prawo. Nie jest to ładne, nie jest przyjemne, ale przynajmniej jest ważne i dlatego to robimy. Twój ojciec jest taki sam.

— Ty naprawdę lubisz tatę — zauważyła lekarz medycyny Patsy Chavez.

— To dobry człowiek. Wiele dla mnie zrobił, mieliśmy kilka interesujących przygód w terenie. I jest mądry, ludzie z CIA nie wiedzą nawet jak mądry... Może z wyjątkiem Mary Pat.

Ona dużo rozumie, choć jest w niej coś z kowbojki.

— Jaka Mary?

— Mary Patricia Foley. W CIA dowodzi agentami terenowymi. Wspaniała dziewczyna, już kawałek po czterdziestce, naprawdę zna się na rzeczy. I jest dobrym szefem, wie, czego potrzeba nam, mróweczkom.

— Nadal jesteś w CIA, Ding?

— Formalnie rzecz biorąc, tak. Nie jestem pewien, jak działa droga służbowa w administracji, ale — uśmiechnął się — dopóki czeki przychodzą regularnie, nie mam zamiaru się tym martwić. A teraz

ty mi powiedz, co w szpitalu.

— Mama dobrze sobie radzi. Jest teraz przełożoną pielęgniarek w izbie przyjęć. Ja też tam będę pracować w przyszłym tygodniu.

— Odebrałaś wiele noworodków?

— W tym roku będzie już tylko jedno dziecko, Domingo. — Patsy poklepała się po brzuchu. — Niedługo musisz zgłosić się na kurs, zakładając, oczywiście, że chcesz asystować przy porodzie.

— Kochanie, będę asystował. Nie urodzisz mojego dziecka bez mojej pomocy.

— Bez taty się obyło. Myślę, że wówczas nie wpuszczano jeszcze mężczyzn na porodówkę. Wspólne przygotowanie do urodzenia dziecka nie było w modzie.

— A kto w takiej chwili chciałby czytać gazety? — Ding tylko pokręcił głową. — Cóż, czasy się zmieniają. Nie martw się, kochanie, będę przy porodzie, chyba że jakich cholerny terrorysta wywoła nas z miasta, ale niech lepiej na siebie uważa, bo moich chłopców wkurzy to jak cholera.

— Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. — Usiadła obok męża, a on, jak zawsze, pocałował ją w rękę.

— Chłopiec czy dziewczyna?

— Nie miałam jeszcze USG, pamiętaj. Jeśli będzie chłopiec...

— Zostanie szpiegiem, jak jego ojciec i dziadek. — Dingowi błysnęło oko. — Bardzo wcześnie zaczniemy go uczyć języków.

— A jeśli nie zechce zostać szpiegiem?

— Ależ zechce. Zobaczy, jakimi wspaniałymi ludźmi są jego przodkowie, i zapagnie ich naśladować. W naszej latynoamerykańskiej kulturze tkwi to głęboko. — Pocałował żonę z uśmiechem. — Syn z honorem wkracza na ścieżkę, którą kroczyli przedtem ojciec i dziad.

Nie powiedział jej jednak, że on na tę ścieżkę nie wkroczył. Ojciec zmarł, gdy jego syn był jeszcze zbyt młody, by czegokolwiek go nauczyć. I dobrze, Esteban Chavez był kierowcą samochodu dostawczego, a zdaniem Chaveza juniora była to wyjątkowo nudna praca.

— A co z Irlandczykami? Myślałam, że z nimi jest tak samo.

— Jasne! — Chavez zaśmiał się głośno. — Dlatego tylu ich siedzi w FBI.

— Pamiętasz Billa Henriksena? — spytał Dana Murraya Augustus Werner.

— Pracował dla ciebie w ZOZ, taki trochę zwariowany?

— Cóż, był obrońcą środowiska, może i pieścił się z drzewami, ale w Quantico pokazał, że zna się na robocie. Powiedział mi coś interesującego o Tęczy.

— Co? — Dyrektor FBI zeszywniał, usłyszawszy tę kodową nazwę.

— W Hiszpanii użyli śmigłowca Sił Powietrznych. Dziennikarze jeszcze się w tym nie połapali, ale pozostały nagrania wideo, które każdy może sobie obejrzeć. Bill uznał, że to nie najsprytniejsze posunięcie i muszę przyznać, że coś w tym jest.

— Może — zgodził się dyrektor FBI — ale ze względów praktycznych...

— Przecież wiem, Dan, że istnieją względy praktyczne, tylko że mamy tu do czynienia z prawdziwym problemem.

— No więc tak... Clark uważa, że może powinniśmy ujawnić istnienie Tęczy. Powiedział

mi, że ten pomysł pochodzi od jednego z jego ludzi. Powiedział, że jeśli chce się odstraszyć terrorystów, to najlepiej dać się rozejść informacji, że miastem rządzi teraz nowy szeryf.

— Interesujące — stwierdził Gus Werner. — Rozumiem w czym rzecz, zwłaszcza po trzech zakończonych powodzeniem operacjach. Cholera, gdybym był którymś z tych durni, dwa razy bym się zastanowił, nim ściągnąłbym sobie na łeb karzącą dłoń Boga. Ale oni nie myślą tak jak my, prawda?

— Nie do końca, ale odstraszenie to w końcu odstraszenie i pomysł Johna wydaje mi się interesujący. Możemy puścić przecieki na kilku poziomach, dać do zrozumienia, że powstała nowa międzynarodowa jednostka antyterrorystyczna. — Murray przerwał na chwilę. — Nie pokazać ich czarno na białym — dokończył — ale może czarno na szarym?

— Co powie Firma? — spytał Werner.

— Prawdopodobnie powie „nie” i to z wykrzyknikiem. Ale, jak powiedziałem, pomysł

Johna jest interesujący.

— Jest w tym sporo sensu, Dan. Jeśli świat się o wszystkim dowie, niektórzy ludzie pomyślą być może dwa razy, nim zaborą się do roboty, ale inni ludzie zaczną zadawać pytania, pojawią się dziennikarze i już wkrótce nasz oddział znajdzie się na pierwszej stronie „USA Today” jako ilustracja do materiału o tym, jak spieprzyli akcję, napisanego przez gryzipiórka, nie umiejącego nawet włożyć magazynka w pistolet.

— Mogą zabronić publikowania całej tej historii w Anglii — zauważył Murray. —

Przynajmniej nie trafi do lokalnej prasy.

— Świetnie. Więc trafią do „Washington Post”, a „Washington Post” nikt przecież nie czyta — prychnął ironicznie Werner. Doskonale wiedział, w jakie bagno ZOZ FBI wpadł przy okazji Waco i Ruby Ridge, w końcu odsłużył turę jako jego dowódca. Dziennikarze spaprali reportaże z obu akcji...

Jak zwykle, pomyślał, ale przecież po to mamy wolną prasę. — Ile osób wie o Tęczy?

— Około setki, sporo jak na tajną jednostkę. To znaczy, tajemnica pozostała na razie tajemnicą, ale...

— Jak wspomniał Bill Henriksen, każdy kto wie, czym różni się *Huey* od *Black Hawka*, nie ma już wątpliwości, że w tej robocie w Parku Światowym coś było nie tak. Niełatwo trzymać karty przy orderach, co?

— Ano, niełatwo, Gus. Coś jeszcze?

— Tak i też od Clarka: można by pomyśleć, że trzy ataki terrorystów od czasu powstania Tęczy to raczej sporo, prawda? Może ktoś reanimuje grupki terrorystyczne? Jeśli tak, to kto, i jeśli kto, to w jakim celu?

— Chryste, Dan, nasze europejskie dane wywiadowcze otrzymujemy przecież od nich, pamiętaj. Kim jest facet, który zajmuje się wywiadem dla Tęczy?

— Głównym analitykiem jest Bill Tawney. Facet z MI-6, bardzo dobry. Znam go sprzed paru lat, kiedy byłem attachè prawnym ambasady w Londynie. Bill zastanawia się właśnie, czy jakiś facet z byłego KGB nie podróżuje sobie przypadkiem po świecie budząc wampiry i zachęcając je, by possały trochę krwi.

Werner zastanawiał się nad odpowiedzią najwyżej pół sekundy.

— Jeśli tak, nie odniósł oszałamiającego sukcesu. Wszystkie trzy operacje nosiły pewne cechy zawodowej roboty, ale nie aż tak zawodowej, by miało to jakiegokolwiek znaczenie. Dan, przecież znasz zasady. Jeśli źli faceci pozostają w tym samym miejscu przez godzinę, spadamy na nich z góry i załatwiamy ich gdy tylko coś spieprzą. Zawodowi terroryści czy nie, ci ludzie nie są dobrze wyćwiczeni, nie dysponują naszymi środkami, więc prędzej czy później oddają nam inicjatywę. Musimy tylko wiedzieć, gdzie są. Kiedy się dowiadujemy, mamy wszystkie atuty w rękę.

— Jasne i sam paru załatwiłeś, Gus. Dlatego właśnie potrzebujemy lepszych informacji, by załatwić ich nim z własnego wyboru pojawią się na radarze.

— Jednej rzeczy zrobić nie mogę, nie mogę zrobić za Tęczę wywiadu. Założę się zresztą, że nie przysyłają nam wszystkiego, co mają.

— Nie mogą. Za dużo tego, żeby przysyłać w kółko nad Atlantykiem.

— Dobra, zgoda, trzy ataki to na oko sporo, nie będziemy jednak wiedzieli czy to przypadek, czy zaplanowana akcja, póki nie dowiemy się, kogo o to zapytać. Na przykład żywego terrorystę. Chłopcy Clarka nikogo jeszcze żywcem nie wzięli, jeśli się nie mylę?

— Nie — przytaknął Murray. — Nie ma tego w założeniach ich operacji.

— No więc powiedz im, że jeśli chcą wiadomości, po strzelaninie musi zostać ktoś z całą głową i ustami — powiedział Werner, doskonale zdając sobie sprawę, że nie jest to takie łatwe, nawet w

najbardziej sprzyjających okolicznościach. Podobnie jak łapanie żywych tygrysów jest znacznie niebezpieczniejsze od zabijania ich, cholernie trudno jest wziąć żywcem kogoś, kto ma w ręku broń maszynową i jest gotów jej użyć. Nawet strzelcy z ZOZ, uczeni obezwładniania przeciwników tak, by można było postawić ich przed sądem i po wyroku wysłać do Marion w stanie Illinois, niezbyt się sprawdzili, a przecież Tęcza składała się z żołnierzy, ślepych na co subtelniejsze aspekty prawa. Konwencja haska ustanowiła zasady prowadzenia wojny znacznie łagodniejsze od tych zapisanych w konstytucji Stanów Zjednoczonych. Nie wolno zabijać więźniów, ale nim staną się więźniami, trzeba wziąć ich żywcem, a na ten punkt programu w żadnej armii nie kładziono specjalnego nacisku.

— Czy nasz przyjaciel Clark potrzebuje jeszcze jakichś porad? — spytał Werner.

— Hej, nie zapomnij, że on gra po naszej stronie.

— Facet jest dobry, zgoda. Dan, do diabła, przecież spotkaliśmy się z nim, kiedy uruchamialiśmy Tęczę, pozwoliłem mu wziąć jednego z naszych najlepszych ludzi, Tima Noonana i jeszcze przyznaję, że robi dobrą robotę, a dokładniej, że trzy razy zrobił dobrą robotę.

Ale on nie jest jednym z nas, Dan. Nie myśli jak glina. Jeśli chce mieć lepsze informacje, musi zacząć myśleć jak glina. Powiedz mu to ode mnie, dobrze?

— Powiem, Gus — obiecał Murray. Przeszli do innych spraw.

— Więc co właściwie mamy zrobić? — spytał Stanley. — Strzałami wytrącać im pieprzoną broń z rąk? Coś takiego ogląda się wyłącznie w kinie, John.

— Weberowi udało się doskonale, pamiętasz?

— Pamiętam. Postąpił wbrew zasadom i nie możemy zachęcać do tego naszych ludzi — odparł Alistair.

— Daj spokój, Al. Skoro potrzebujemy lepszych informacji wywiadowczych, musimy któregoś z nich złapać żywcem, to chyba jasne.

— Jeśli będzie to możliwe, a to rzadko będzie możliwe, John. Cholernie rzadko.

— Jasne — zgodził się Tęcza Sześć. — Ale możemy przynajmniej skłonić chłopców, żeby rozważyli taką możliwość.

— Owszem, możemy, ale cholernie trudno jest podjąć taką decyzję w biegu.

— Potrzebujemy informacji, Al — nalegał Clark.

— Potrzebujemy, ale nie za cenę zranienia lub śmierci jednego z naszych ludzi.

— Wszystko w życiu jest swego rodzaju kompromisem — zauważył Tęcza Sześć. —

Chcesz znać jakieś fakty dotyczące tych ludzi?

— Jasne, ale...

— Nie, cholera, żadnego ale. Jeśli potrzebujemy informacji, to znajdziemy sposób na ich zdobycie.

— Nie jesteśmy gliniarzami, John. To sprzeczne z naszymi założeniami.

— Więc zmienimy założenia. Jeśli możliwe będzie wzięcie przeciwnika żywcem, spróbujemy. A jeśli będzie to niemożliwe, nikt nie przeszkodzi nam palnąć mu w łeb. Przypomnij sobie faceta, którego Homer załatwił strzałem w brzuch. Jego mogliśmy dostać żywcem, Al. Nie stanowił bezpośredniego zagrożenia. Jasne, zasługiwał na śmierć, stał na widoku z bronią w garści, a nasz trening nakazuje nam zabijać uzbrojonych przeciwników, no i, oczywiście, Johnston strzelił i trafił, obwieszczając to, co chciał obwieścić, ale równie łatwo mógł przecież trafić go w kolano i wówczas mielibyśmy z kim pogadać i może ten ktoś załamałby się, jak oni wszyscy się załamują, i może dowiedzielibyśmy się od niego tego, co, do diabła, chcemy wiedzieć. Nie mam racji?

— Masz rację, John — przyznał Stanley. Niełatwo było dyskutować z Clarkiem.

Przyszedł do Tęczy z opinią faceta mającego rozum w pięści, ale nic z tych rzeczy i Angol musiał przypominać sobie o tym na każdym kroku.

— Po prostu za mało wiemy, a ja nie lubię widzieć za mało o otoczeniu. Moim zdaniem Ding ma rację. Ktoś spuszcza te psy z łańcucha. Jeśli dowiemy się czegoś więcej, może uda się nam zlokalizować tego faceta. Miejscowe gliny skują go gdziekolwiek jest i jak pogadamy z nim sobie tak po przyjacielsku, to może na skutek tej rozmowy mniej będzie terrorystycznych akcji.

— Powód istnienia Tęczy mógł rzeczywiście wydawać się dziwaczny: wkraczanie w przypadku akcji, które, jeśli w ogóle się zdarzały, zdarzały się bardzo rzadko. Oddział straży pożarnej w mieście bez pożarów.

— Dobrze, John. Powinniśmy pogadać przede wszystkim z Pete'em i Domingo.

— Więc do jutra rana. — Clark wstał zza biurka. — A teraz może po kufelku?

— Dmitrij Arkadijewicz, nie widzieliśmy się od ładnych paru lat!

— Od czterech — potwierdził Popow. Dwaj mężczyźni rozmawiali w pubie, odległym o trzy przecznice od ambasady Rosji. Popow przyjechał do Londynu pociągiem w nadziei, że spotka któregoś z byłych kolegów i rzeczywiście, spotkał Iwana Pietrowicza Kirilienkę. Iwan Pietrowicz, o kilka lat od niego młodszy, był wschodzącą gwiazdą, utalentowanym oficerem operacyjnym, dosłużył się pełnego pułkownika w wieku trzydziestu ośmiu lat. Teraz pełnił

zapewne funkcję...

— Jesteś rezydentem w Londynie?

— Nie wolno mi o tym mówić, Dmitrij. — Kirilienko uśmiechnął się i skinął głową. W

kurczącej się z dnia na dzień agendzie rosyjskiego rządu zaszedł daleko. Niewątpliwie nadal zbierał informacje polityczne i inne, czy raczej dysponował sporym zespołem ludzi, robiących to za niego. Rosja bała się ekspansji NATO. Sojusz ten, tak poważnie zagrażający niegdyś Związkowi Radzieckiemu, zbliżał się teraz do jej granic i niektórzy moskiewscy politycy bali się, za co im zresztą płacono, że lada chwila nastąpi atak na ich ojczyznę. Zarówno Kirilienko, jak i Popow widzieli, że to oczywista bzdura, Kiriliencie jednak płacono, by upewnił się, że NATO nie zagraża Rosji, a on jako *rezident* sumiennie wypełniał swe obowiązki. — A ty co porabiasz?

— Nie wolno mi o tym mówić — padła oczywista odpowiedź. Mogła oznaczać wszystko, ale w kontekście ich poprzedniej pracy sygnalizowała, że Popow nadal w jakiś sposób uczestniczy w tej grze. Jakiego rodzaju jest graczem, Kirilienko nie wiedział, choć oczywiście pamiętał, że Dmitrij Arkadijewicz został zredukowany. Ta wiadomość mocno go zresztą zaskoczyła, w końcu cieszył się on doskonałą opinią jako agent terenowy. — Żyję teraz pomiędzy światami, Wania — ciągnął Popow. — Pracuję w prywatnej firmie, ale wypełniam także inne obowiązki — przyznał. Prawda w służbie kłamstwa okazywała się najczęściej bardzo skutecznym narzędziem.

— Nie pojawiłeś się tu przez przypadek.

— Nie. Miałem nadzieję spotkać kolegę. — Pub znajdował się zbyt blisko siedziby ambasady na Pałace Green w dzielnicy Kensington, by wykonywać w nim prawdziwą pracę, był

jednak wygodnym miejscem przypadkowych spotkań, a poza tym Kirilienko był pewien, że jego status rezydenta pozostawał nieznany i pojawianie się w miejscach takich jak to uznawał za część kamuflażu. Wszyscy przecież wiedzieli, że prawdziwy szpieg nie podejmowałby takiego ryzyka.

— Potrzebna mi pomoc.

— Jakiego rodzaju pomoc? — Kirilienko pociągnął łyk bittera.

— Chodzi o dane funkcjonariusza CIA, którego najprawdopodobniej znacie.

— Nazwisko?

— John Clark.

— Po co ci to?

— Moim zdaniem jest on obecnie dowódcą tajnej jednostki, której kwatera mieści się tu, w Anglii. Jestem gotów przekazać moje informacje o tym człowieku w zamian za to, czego dowiem się od was. Jestem zapewne w stanie dodać co nieco do jego dossier. Sądzę, że będzie to dla was interesujące.



— John Clark — powtórzył w zamyśleniu Kirilienko. — Zobaczę, co da się zrobić. Masz mój telefon?

Popow dyskretnie przesunął po barze kawałek papieru.

— To mój numer. Masz wizytówkę?

— Ależ oczywiście. — Jego rozmówca schował karteczkę, wyjął portfel i wręczył mu wizytówkę, na której napisane było I. P. KIRILIENKO, TRZECI SEKRETARZ, AMBASADA FEDERACJI ROSYJSKIEJ, LONDYN 0181-567-9008. Końcówka 9009 przeznaczona była dla faksu. Popow schował ją natychmiast.

— No, muszę już lecieć — powiedział. — Miło było mi cię spotkać, Dmitrij.

Rezydent odstawił szklankę i wyszedł z pubu.

— Masz zdjęcie? — spytał kolegę agent Piątki, kiedy szli w stronę wyjścia, jakieś czterdzieści sekund przed obiektem, który śledzili.

— Nie za bardzo nadaje się do National Portrait Gallery, ale... Problem z ukrytymi kamerami polegał na tym, że ich obiektywy były zbyt małe, by wykonać naprawdę dobre zdjęcie.

Zazwyczaj nadawało się ono jednak do celów identyfikacyjnych. Zrobił ich jedenaście, co, w połączeniu z możliwością obróbki komputerowej, powinno wystarczyć z nadatkiem. Wiedzieli, że Kirilienko uważa swą przykrywkę za najzupełniej wystarczającą, Rosjanin nie wiedział jednak

— i nie miał prawa wiedzieć — że Piątka, nazywana niegdyś MI-5, a teraz, znana oficjalnie jako Służba Bezpieczeństwa, dysponowała źródłem w ambasadzie Rosji. W Londynie — i nie tylko w Londynie — nadal toczyła się wielka gra, niezależnie od rządzącego światem Nowego Porządku.

Kirilienki wprawdzie nie złapano na niczym kompromitującym, lecz przecież był rezydentem i niczego kompromitującego nie należało się raczej spodziewać. Ludzi takich jak on śledzono jednak mimo wszystko tylko dlatego, iż wiedziano, kim byli i prędzej czy później coś zdobywało się na nich... lub od nich. Na przykład ten facet, z którym właśnie wypił piwo. Nie był bywalcem pubu, o tych wiedzieli już wszystko. Nie znali jego nazwiska, mieli tylko zdjęcia, które porównane zostaną ze zdjęciami z archiwum w nowej kwaterze głównej Piątki, Thames House, zbudowanej tuż nad rzeką, koło Lambeth Bridge.

Popow wyszedł z pubu, skręcił w lewo i minął Kensington Pałace, by złapać taksówkę na dworcu kolejowym. Gdyby tylko Kirilienko miał coś, czego dałoby się użyć. Powinien mieć, a wówczas dostanie w zamian naprawdę soczysty kawałek.



# Kuracja

Tego dnia zmarli trzej pijaczkowie, wszyscy na skutek wewnętrznych krwotoków w górnych partiach przewodu pokarmowego. Killgore zbadał ich osobiście. Dwóch zmarło w ciągu jednej godziny, trzeci pięć godzin później. Morfina pomogła im odejść w stanie błogiej nieświadomości. Pozostało pięciu z początkowej dziesiątki; żaden z nich nie miał doczekać przyszłego tygodnia. Śmiertelność Sziwy przekroczyła najśmielsze oczekiwania, zaś zaraźliwość wirusa okazała się zgodna z prognozami Maggie. System przenoszenia choroby zadziałał.

Udowodniła to Mary Bannister, Obiekt K4, która właśnie zgłosiła się do centrum diagnostycznego z oczywistymi objawami choroby. Do tej chwili Projekt jawił się jako nieprzerwane pasmo sukcesów. Rzeczywistość w pełni odpowiadała założeniom testu i prognozom z eksperymentów.

— Bardzo boli? — spytał skazaną na śmierć pacjentkę doktor Killgore.

— Bardzo. Bolą mnie mięśnie i stawy. Zupełnie jak przy grypie albo jeszcze bardziej.

— Cóż, masz nieco podwyższoną temperaturę. Wiesz może, gdzie się zaraziłaś? Pojawiła się nowa odmiana grypy, z Hongkongu, i wygląda na to, że ją właśnie złapałaś.

— Może w pracy... nim przeniosłam się do was? Nie pamiętam. Wyzdrowieję, prawda?

— Mimo Valium, które codziennie dostawała w jedzeniu, dziewczyna była wyraźnie zaniepokojona.

— Jasne. — Killgore uśmiechnął się pod chirurgiczną maską. — Ta odmiana grypy jest zagrożeniem wyłącznie dla dzieci i osób starszych, co przecież nie dotyczy ciebie.

— No... nie. — Pacjentka odpowiedziała mu uśmiechem. Lekarz był dobrej myśli, a to zawsze uspokajało pacjentów.

— Doskonale. Założymy kroplówkę, by nie dopuścić do odwodnienia. A tę odrobinę bólu z pewnością zwalczy kropla morfiny. Zgoda?

— To pan jest lekarzem.

— No właśnie. A teraz ramię nieruchomo proszę, może zabolec... już. I jak tam?

— Można wytrzymać.

— Świetnie. — Killgore włączył kilka przycisków na dozowniku kroplówki. Morfina błyskawicznie dotarła do krwioobiegu.

— Oooh, ooo... tak... — jęknęła z błogością dziewczyna. Sam Killgore nie znał tego uczucia, miał jednak wrażenie, że jest ono niemal seksualne; narkotyk obmywający i uspokajający ciało. Napięcie mięśni znikło w jednej chwili, widać było, jak ciało się odpręża.

Największa zmiana zaszła w ustach, zaciśniętych w jednej chwili, a w następnej rozchylonych niczym we śnie. Szkoda jej. K4 nie była piękna, ale mogła się podobać i, sądząc z tego, co widział na monitorach, potrafiła zaspokoić partnerów, choć może tylko w wyniku podawanych jej środków uspokajających. Dobra w łóżku czy nie, miała jednak umrzeć w ciągu pięciu do siedmiu dni, mimo najlepszej opieki lekarskiej, którą zamierzał ją otoczyć. Miała, między innymi, otrzymywać Interleuken-3a, wyprodukowany niedawno przez znakomity zespół

naukowców z SmithKline jako środek do stosowania w leczeniu raka; oferował on także pewne szansę w kuracjach infekcji wirusowych, co było wyjątkiem w świecie medycyny. W jakiś sposób wzmacniał on system odpornościowy organizmu poprzez mechanizm nie w pełni jeszcze zrozumiały. Należało przyjąć, że to on zostanie zastosowany w chwili, gdy Sziwa przejdzie w stadium epidemii; należało więc potwierdzić jego nieskuteczność. Nieskuteczny był w przypadku alkoholików, ale teraz trzeba było jeszcze przebadać go na pacjentach zdrowych, mężczyznach i kobietach, tak dla pewności. Przykre to, pomyślał Killgore, przecież ta dziewczyna jest nie tylko numerem, ma twarz, ma nazwisko. Ale... to samo przytrafi się milionom... nie, miliardom innych.

Z nimi będzie już łatwiej. Ich twarze obserwować będzie na ekranie telewizyjnym, a to, co pokazują w telewizji nie ma przecież nic wspólnego z rzeczywistością, prawda? Telewizja to tylko plamki na fosforyzującym ekranie.

Sam pomysł był wyjątkowo prosty. Szczur, świnia, pies, chłopiec... czy też, w tym przypadku, dziewczyna. Wszyscy mieli jednakowe prawo do życia. Wyczerpujące testy Sziwy przeprowadzono na małpach, wobec których okazał się on niemal stuprocentowo śmiertelny; Killgore obserwował wszystkie te testy, czuł ból niemalże inteligentnych obiektów równie rzeczywisty jak ból K4, choć w przypadku małp nie można było zastosować morfiny.

Nienawidził tego etapu badań, nienawidził zadawania bólu niewinnym stworzeniom, z którymi nie był w stanie rozmawiać, którym nic nie można było wytłumaczyć. W sensie ogólnym było to, oczywiście, wytłumaczalne — małpy ocalały miliony, być może miliardy żywych stworzeń przed zniszczeniem przez ludzi — ale dla niego i jego kolegów cierpienie zwierząt było czymś nieznośnym, bo przecież wszyscy oni rozumieli wszystkie stworzenia wielkie i małe, a zwłaszcza małe, niewinne, zdane na łaskę wielkiego dwunoga, dla którego nie znaczyły dosłownie nic. Nie znaczyły zapewne nic i dla K4, choć nigdy jej o to nie zapytał. Bo i po co zaciemniać obraz?

Jeszcze raz spojrzął na dziewczynę. Pod wpływem narkotyku straciła kontakt z rzeczywistością.

W odróżnieniu od małp nie cierpiała. Akt miłosierdzia, prawda?

— O jaką tajną operację chodzi? — spytał przez bezpieczną linię telefoniczną oficer dyżurny.

— Nie mam pojęcia, ale pamiętajcie, że to poważny człowiek. Pułkownik *Innostrannowo Uprawlenija*, jeśli pamiętacie, Czwarty Zarząd, Departament S.

— A tak, znam go. Spędzał sporo czasu w Fensterwalde i w Karlovych Varach.

Zredukowano go z wieloma innymi dobrymi ludźmi. Co porabia teraz?

— Nie wiem, ale oferuje nam informacje o tym Clarku w zamian za to, co mu dostarczymy. Wasiliju Borysowiczu, rekomenduję zawarcie układu.

— Clark? Znamy go. Spotkał się osobiście z Siergiejem Nikołajewiczem — powiedział

do rezydenta oficer dyżurny Centrali. — Starszy oficer terenowy, typ wojskowy, ale także wykładowca w Akademii CIA w Wirginii. Wiemy, że jest blisko z Mary Patricią Folejewą i jej mężem. Mówią również, że słucha go prezydent. Tak, sądzę, że bylibyśmy zainteresowani jego obecnym zajęciem.

Telefon, przez który rozmawiali, był rosyjską wersją amerykańskiego *STU-3*, skradzionego przez zespół pracujący dla Wydziału Technicznego Pierwszego Głównego Zarządu. Dokładnie skopiowany mikroprocesor kodował sygnały przychodzące i wychodzące w 128-bitowym systemie kodowania, którego klucz zmieniał się co godzinę, zmienny był także kod użytkownika, zapisany na używanej przez niego plastikowej karcie. System *STU* okazał się odporny na wszelkie próby złamania go, nawet przy pełnej znajomości składającego się nań sprzętu, Rosjanie założyli więc, że Amerykanie mają te same problemy. W końcu przecież przez stulecia Rosja dawała światu najlepszych matematyków, lecz nawet najlepsi z najlepszych nie byli w stanie opracować teoretycznego modelu złamania systemu kodującego.

Dzięki rewolucyjnemu zastosowaniu teorii kwantowej w systemie zabezpieczenia komunikacji, Ameryka dysponowała systemem szyfrującym tak skomplikowanym, że rozumiała go zaledwie garstka ludzi z Sekcji Łączności Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Lecz nie w tym przecież rzecz, by zrozumieć jego działanie. Prawdziwą pracę wykonywały najpotężniejsze na świecie superkomputery. Znajdowały się one w podziemiach wielkiego budynku kwatery głównej ABN, przypominających lochy starego zamku, których strop podtrzymywały nagie stalowe podpory; pomieszczenia te przygotowano specjalnie z myślą o komputerach.

Największym z nich był Super-Connector, wyprodukowany przez firmę Thinking Machines Inc z Cambridge w stanie Massachusetts. Zaprojektowana specjalnie dla potrzeb NASA maszyna przez sześć lat praktycznie nie była używana, ponieważ nikt nie umiał jej odpowiednio oprogramować, ale nadejście teorii kwantowej zmieniło także i to, i teraz potwór ten pracował

radośnie pełną parą, podczas gdy jego operatorzy skrobali się po głowach niepewni, czy znajdzie się ktoś gotów zaprojektować następną generację tego typu superkomputerów.

W Fort Meade obierano przeróżne sygnały z całego świata. Ich źródłem był także GCHQ, brytyjski ośrodek łączności rządowej w Cheltenham, siostrzana służba ABN w Europie.

Brytyjczycy wiedzieli, komu przypisane były poszczególne numery w ambasadzie Rosji w Londynie — nawet upadek ZSRR nie spowodował ich zmiany — a ta informacja pochodziła od rezydenta. Jakość dźwięku pozostawiała wiele do życzenia i nie pozwalała na identyfikację głosu

— rosyjska wersja *STU* gorzej od amerykańskiej przetwarzała sygnał na cyfrowy — ale po

dekryptażu słowa można było zrozumieć z łatwością. Odcyfrowany sygnał załadowano do kolejnego komputera, który z bardzo niewielkim marginesem błędu przełożył rozmowę z rosyjskiego na angielski. Ponieważ wyszła od londyńskiego rezydenta do Moskwy, przeskoczyła w kolejce na sam początek. Odkodowano ją, przetłumaczono i wydrukowano w niespełna godzinę. Następnie bez zwłoki przesłano ją do Cheltenham, a w Fort Meade skierowano do oficera komunikacyjnego, którego zadaniem było przekazać ją do wszystkich zainteresowanych.

W tym wypadku zainteresowanym był niewątpliwie dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej oraz, ponieważ dotyczyła jednego z agentów terenowych, także zastępca dyrektora do spraw operacyjnych. Pierwszy z nich był bardziej zajęty niż drugi, nie miało to jednak szczególnego znaczenia, ponieważ byli małżeństwem.

— Ed? — rozległ się w telefonie głos żony Eda Foleya.

— Tak, kochanie? — odparł Ed.

— Ktoś w Wielkiej Brytanii interesuje się Johnem Clarkiem.

Edowi opadła szczeka.

— Naprawdę? Kto?

— Szef londyńskiej rezydentury rozmawiał ze swym przełożonym w Moskwie.

Przechwyciliśmy ich rozmowę. Powinieneś mieć tę wiadomość na biurku.

— Dobra. — Ed Foley przerzucił spory plik papierów. — Tak, mam. Ciekawe —

powiedział do telefonu. — O informacje prosił Dmitrij Arkadijewicz Popow, były pułkownik w...

facet od terrorystów! A ja myślałem, że ich wszystkich zredukowano... aha, zredukowano, przynajmniej jego.

— Eddie, rosyjski specjalista od terroryzmu interesuje się Tęczą Sześć. Nie wydaje ci się to zastanawiające?

— A owszem, wydaje. Wysłać to Johnowi?

— Jasne — odparła natychmiast pani dyrektor do spraw operacyjnych.

— Wiemy coś o Popowie?

— Sprawdziłam w komputerze. Nic. Zakładam mu nowy plik. Może Angole coś mają.

— Mam zadzwonić w tej sprawie do Basila?

— Sprawdźmy najpierw, co się z tego wykluje. Ale wyślij zaraz faks do Johna.

— Jak tylko przygotuję wstępną notatkę — obiecała Mary Pat Foley.

— Pamiętaj o meczu. — W lidze hokeja Washington Capitals mieli coraz większą szansę na playoff. Tego wieczora grali decydujący mecz z Flyersami.

— Nie zapomniałem. Do zobaczenia, robaczku.

— Bill — czterdzieści minut później powiedział do słuchawki John. — Możesz przyjść do mnie?

— Już idę, John. — Bill pojawił się w drzwiach po niespełna dwóch minutach. — Co się dzieje?

— Zerknij na to, przyjacielu. — Clark podał mu kartkę z tłumaczeniem rozmowy.

— O, cholera — westchnął Anglik, czytając drugą stronę. — Popow, Dmitrij Arkadijewicz. Nic mi to nie mówi... aha, w Langley też go nie znają. Cóż, nikt nie zna ich wszystkich. Mam zadzwonić w tej sprawie do Century House?

— Sądzę, że i tak porównamy nasze akta z waszymi, ale telefon nie zaszkodzi. Okazuje się, że Ding mógł mieć rację. O ile chcesz się założyć, że to nasz facet? Kto jest twoim najlepszym przyjacielem w Służbie Bezpieczeństwa?

— Cyril Holt — odparł bez wahania Tawney. — Zastępca dyrektora. Znam go z Rugby.

Był o rok niżej. Niezwykły facet. — Nie musiał wyjaśniać Clarkowi, że więzi szkolne były wciąż bardzo istotnym czynnikiem kształtującym brytyjskie społeczeństwo.

— Chcesz go w to wciągnąć?

— No pewnie!

— Dobra, dzwoń do faceta. Jeśli mamy się ujawnić, chcę, żebyśmy to my podjęli tę decyzję, a nie cholerni Rosjanie.

— Więc znają twoje nazwisko?

— I nie tylko. Spotkałem się z przewodniczącym Gołowąką. To on w zeszłym roku pomógł mi i Dingowi dostać się do Teheranu. Prowadziłem z Ruskami kilka wspólnych operacji, Bill. Wiedzą o mnie wszystko, łącznie z rozmiarem fiuta.

Tawney nie zareagował. Nauczył się już jak obrazowo wysławiają się czasem Amerykanie. Momentami było to bardzo zabawne.

— Wiesz, John, nie powinniśmy przesadnie podniecać się tą informacją — powiedział tylko.

— Bill, spędziłeś w terenie tyle czasu co ja, a może i więcej. Jeśli coś ci tu nie śmierdzi, lepiej każ sobie przeczyścić zatoki. — Clark przerwał na chwilę. — Mamy tu kogoś — mówił

dalej — kto zna mnie z nazwiska i sugeruje Rosjanom, że może im powiedzieć, co robię teraz.

On musi wiedzieć, człowieku. Wybrał sobie na powiernika rezydenta w Londynie, nie w Caracas.

Facet od terroryzmu, facet, który zapewne zna nazwiska i numery telefonów, a my od chwili powstania mieliśmy trzy ataki terrorystów. Zgodziliśmy się, że to sporo jak na tak krótki czas, a teraz ten facet pojawił się w okolicy, węsząc wokół mnie. Bill, najwyższy czas, żeby się przesadnie podniecić.

— Masz rację, John. Zadzwoń do Cyrila. — Z tymi słowami Tawney wyszedł z pokoju.

— O, kurwa! — westchnął John Clark, gdy tylko został sam. Tak wyglądała sprawa z

„czarnymi” operacjami. Prędzej czy później jakiś palant włączy światło i najczęściej będzie to ktoś, z kim wcale nie chcesz siedzieć w jednym pokoju. Skąd, u diabła, wziął się przeciek w tej szczególnej sprawie? Opuścił wzrok na biurko, twarz mu stężała; ludzie, którzy go znali wiedzieli, że w tym momencie jest to człowiek bardzo niebezpieczny.

— Niech to szlag — powiedział siedzący za biurkiem w kwaterze głównej FBI dyrektor Murray.

— Słusznie, Dan. To najwłaściwsze podsumowanie sytuacji — zgodził się z nim Ed Foley, przemawiający z wysokości swego gabinetu na szóstym piętrze w Langley. — Skąd się wziął ten przeciek?

— A skąd ja mam, do cholery, wiedzieć? Masz o tym Popowie coś, czego nie wiem?

— Sprawdzę z wydziałami wywiadu i terroryzmu, i przekażę ci wszystko, co znajdziemy.

Co z Angolami?

— Jak znam Johna, już telefonuje do Piątki i Szóstki. Od wywiadu ma Billa Tawneya, a Bill to facet z górnej półki. Znasz go?

— Nazwisko owszem, ale nie mogę dopasować do niego twarzy. Co sądzi o nim Basil?

— Twierdzi, że to jeden z jego najlepszych analityków, i że był doskonałym agentem terenowym. Ten rozdział kariery skończył kilka lat temu. Podobno ma dobrego nosa.

— Jak poważne jest zagrożenie?

— Na razie nie umiem powiedzieć. Rosjanie dobrze znają Johna, z Tokio i Teheranu.

Gołowko poznał go osobiście, dzwonił do mnie specjalnie, żeby podziękować mu za robotę, którą



odstawili w Iranie z Chavezem. Wygląda na to, że dobrze im się razem pracowało, ale to w końcu biznes, nie osobistego, rozumiesz?

— Rozumiem, Don Corleone. No dobrze, czego ode mnie chcesz?

— Gdzieś jest przeciek. W tej chwili nie mam pojęcia gdzie. O Tęczy rozmawiali przy mnie wyłącznie ludzie, którzy mieli prawo znać tę nazwę. Podobno potrafią trzymać gębę na kłódkę.

— Pewnie — prychnął Murray. Taki przeciek mogli przecież puścić wyłącznie ludzie zaufani, ludzie, którzy przeszli przez sito badań prowadzonych przez agentów FBI. Tylko osoba zaufana i sprawdzona może naprawdę zdradzić swój kraj, a FBI na nieszczęście nie znalazła jeszcze sposobu na przeświecenie ludziom mózgu i serca. A jeśli przeciek był nieświadomy?

Nawet podczas przesłuchania człowiek nieostrożny nie byłby w stanie powiedzieć, co się stało.

Bezpieczeństwo i kontrwywiad to dwa największe problemy stojące przed agencjami wywiadowczymi całego świata. Dzięki Bogu, pomodlił się w sercu, za kryptografów ABN, zawsze najlepszych i najbardziej godnych zaufania ludzi w służbach kontrwywiadowczych Ameryki.

— Bill, nasz dwuosobowy zespół siedzi na Kiriliencie niemal bez przerwy. Właśnie sfotografowali go, kiedy w swym ulubionym pubie pił piwko z jakimś facetem — poinformował

kolegę z Szóstki Cyril Holt.

— To może być nasz człowiek — stwierdził Tawney.

— Całkiem prawdopodobne. Chcę zobaczyć, co przechwyciliście. Mam przyjechać?

— Przyjedź. Tak szybko jak się da.

— W porządku. Będę za dwie godziny. Mam jeszcze na biurku parę spraw.

— Doskonale.

Jedno było pocieszające: nie wątpili, że telefon jest bezpieczny, a to z dwóch powodów.

System *STU-4* można było złamać, ale tylko za pomocą techniki, którą dysponowali wyłącznie Amerykanie... a w każdym razie tak sądził. Co więcej, linie telefoniczne generowane były komputerowo. Ponieważ brytyjski system telefoniczny był w całości państwowy, komputery central mogły losowo przerzucać rozmowy na różne linie uniemożliwiając ich podsłuchanie, chyba żeby ktoś podłączył się do aparatów rozmówców. By temu zapobiec, technicy sprawdzali linię raz w miesiącu... A jeśli któryś z techników pracuje dla drugiej strony? — pomyślał

Tawney. Nie sposób zabezpieczyć się przed wszystkim i choć utrzymanie ciszy telefonicznej uniemożliwiłoby potencjalnym przeciwnikom zdobycie informacji, powodowałoby także zatrzymanie przepływu informacji w obrębie rządu i cała maszyna administracyjna zatrzymałaby się natychmiast z piskiem opon.

— No dobra, gadaj — powiedział Clark do Chaveza.

— Spokojnie, panie C, nie przewidziałem zwycięzcy kolejnej World Series. To przecież było całkiem oczywiste.

— Może i oczywiste, Domingo, ale w końcu ty powiedziałeś to pierwszy.

Chavez skinął głową.

— Problem w tym, co mamy, do cholery, zrobić. John, jeśli gość zna nazwisko albo już wie, albo z łatwością dowie się, gdzie stacjonujesz, a to już dotyczy nas. Jezu, potrzebny mu wyłącznie kumpel w firmie telefonicznej i już ma nas namierzonych. Pewnie ma też twoje zdjęcie i opis. Zdobędzie numer rejestracyjny i już może cię śledzić.

— Na tyle szczęścia nie możemy liczyć. Potrafię wykryć ogon i zawsze mam ze sobą telefon komórkowy. Bardzo bym chciał, żeby ktoś czegoś spróbował. Wziąłbyś paru chłopaków i dorwał frajera, z którym moglibyśmy później przeprowadzić przyjacielską rozmowę.

Chavez uśmiechnął się chłodno. John Clark wiedział, jak wyciągać z przesłuchiwanego informacje, choć jego techniki nie odpowiadały zasadom propagowanym w policyjnych podręcznikach.

— Pewnie, John — powiedział. — Ale na razie nie możemy zrobić nic. Musimy uważać i czekać, aż ktoś coś nam dostarczy.

— Nie podoba mi się to.

— Rozumiem cię, człowieku, ale świat, w którym żyjemy, nie jest doskonały. Co mówi Bill Tawney?

— Jeszcze dziś ma przyjechać do niego facet z Piątki.

— Pracują nad tym zawodowcy z Dover. Niech robią co do nich należy — stwierdził

Ding. Była to dobra rada — w rzeczywistości jedyna w tej sytuacji. Z drugiej strony wiedział, że Clark też o tym wie i wiedział, że John jest wściekły. Szef lubił załatwiać sprawy po swojemu, a nie czekać, aż ktoś je za niego załatwi. Jeśli miał jakąś słabość to właśnie tę. Potrafił być cierpliwy w robocie, ale nie umiał czekać, aż zdarzy się coś, na co nie ma wpływu. Cóż, nie ma ludzi doskonałych.

— Dobra, wiem. A jak tam twoi ludzie?

— Surfują na wysokiej fali, człowieku, a czekają na jeszcze większą. John, nigdy nie widziałem tak wspaniałego morale. Robota w Parku Światowym cholernie ich rozochociła. Moim zdaniem moglibyśmy podbić świat, gdyby tylko źli faceci odpowiednio się ustawili.

— Orzeł nieźle wygląda w klubie, nie?

— Jak cholera, panie C. Po tej robocie nikt nie ma koszmarów... chociaż, ta dziewczynka... Niemiło

było na to patrzeć, choć i tak umierała. Ale dorwaliśmy sukinsynów, a obywatel Carlos wciąż siedzi w pierdlu. Nie sądzę, by komuś jeszcze zachciało się ryzykować dla tego dupka.

— Francuzi poinformowali mnie, że on o tym wie.

— Doskonale. — Chavez wstał. — Muszę wracać. Informuj mnie na bieżąco, dobrze?

— Jasne, Domingo — obiecał Tęcza Sześć.

— No więc, co pan właściwie robi? — spytał hydraulik.

— Sprzedaję narzędzia hydrauliczne — odparł Popow. — Klucze i tak dalej, hurtowo, dystrybutorom i odbiorcom indywidualnym.

— Naprawdę? Ma pan coś dobrego?

— Klucze hydrauliczne Rigid. Ze Stanów. Najlepsze na świecie, sprzedajemy je z wieczną gwarancją. Jeśli któryś pęknie, wymieniamy go za darmo, nawet po dwudziestu latach.

Mam jeszcze trochę innego towaru, ale klucze Rigid są najlepsze.

— Tak? Słyszałem o nich, ale nigdy ich nie używałem.

— Mechanizm zaciskowy jest nieco stabilniejszych niż w angielskich kluczach Stillson, ale poza tym największa różnica jest w gwarancji. Bo wie pan, sprzedaję ten towar od... no, dobrych czternastu lat i na tysiące sprzedanych kluczy złamał się jeden.

— Tak? Bo ja złamałem klucz w zeszłym roku — przyznał hydraulik.

— A jest coś dziwnego w tej pracy w bazie?

— Tak naprawdę to nie. Hydraulik jest hydraulikiem. Niektóre urządzenia są dość stare...

na przykład chłodziarki do wody. Cholernie trudno dostać części, a oni nie mogą się zdecydować na kupienie nowych. Cholerni rządowi biurokraci. Tygodniowo na amunicję do cholernych karabinów maszynowych wydają chyba tysiące, ale żeby kupić chłodziarki do wody, którą ci faceci piją litrami? Mowy nie ma! — Hydraulik uśmieł się serdecznie i pociągnął łyk piwa.

— A jacy oni właściwie są?

— SAS? Fajni i piekielnie grzeczni. W ogóle nie sprawiają kłopotów, ani mnie, ani moim kumplom.

— A Amerykanie? — spytał Popow. — Nigdy tak naprawdę żadnego nie poznałem, ale słyszy się różne opowieści, jak to lubią robić rzeczy po swojemu...

— Nic o tym nie wiem. No, to znaczy, pojawili się w bazie zupełnie niedawno, ale tych paru z którymi pracowałem... są zupełnie jak nasi tylko... Mówiłem już panu, chcą dawać napiwki! Cholerni

Jankesi! Ale bardzo przyjacielscy. Większość z nich ma dzieci. Uczą się teraz, jak grać w prawdziwą piłkę nożną, a nie ten tam ich futbol, przynajmniej niektóre. A pan... co pan tutaj robi?

— Spotykam się z właścicielami sklepów, próbuję namówić ich, żeby sprzedawali moje narzędzia. No i z miejscową hurtownią.

— Lee and Dopkin? — Hydraulik tylko pokręcił głową. — Dwa stare pierniki, już się nie zmieniają. Przykro mi, ale lepiej chyba pójdzie panu z małymi sklepikami niż z nimi.

— A pana warsztat? Może panu uda mi się sprzedać moje narzędzia?

— Forsy nie mam za dużo... ale dobrze, przyjrę się im.

— To kiedy mogę przyjechać?

— Baza jest raczej dobrze zabezpieczona. Nie wiem, czy pozwolą mi wprowadzić pana do środka... no dobrze, wjedzie pan ze mną. Jutro po południu będzie w porządku?

— Oczywiście. Gdzie się spotkamy?

— Może być tutaj?

— Oczywiście — ucieszył się Popow. — Doskonale.

— No to świetnie. Zjemy sobie lunch i pojedziemy moim samochodem.

— Czekam w południe. Z narzędziami.

Cyril Holt przekroczył już pięćdziesiątkę. Wyraz zmęczenia na twarzy, doskonale skrojony, elegancki garnitur oraz drogi krawat — Clark zdążył się już zorientować, że ubrania w tym kraju są doskonałej jakości... za którą słono się płaci — sprawiały, że wyglądał jak typowy wyższy urzędnik państwowy.

— No więc — powiedział — zdaje się, że mamy problem?

— Czytał pan to, co przechwyciliśmy?

— Owszem. — Brytyjczyk skinął głową. — Wasi ludzie z ABN zrobili dobrą robotę. —

Nie musiał dodawać, że jego ludzie też się popisali, identyfikując linię używaną przez rezydenta.

— Niech mi pan opowie o Kirilience — poprosił Clark.

— Kompetentny facet. Ma pod sobą jedenastu agentów terenowych i pewnie paru okazjonalnych pomocników do odbierania przesyłek i tak dalej. Wszyscy jego ludzie są

„legalni”, to znaczy mają przykrywkę dyplomatyczną. Oczywiście, prowadzi też paru

„nielegalnych”. Znamy dwóch z nich, są biznesmenami robiącymi prawdziwe interesy jako

przykrywkę. Zbieramy na nich materiały już od jakiegoś czasu. W każdym razie Wania jest kompetentny i zdolny. Jego przykrywka to trzeci sekretarz ambasady; swoje obowiązki wypełnia jak prawdziwy dyplomata. Lubiany przez ludzi, którzy go dobrze znają. Bystry, dowcipny, fajnie pije się z nim piwo. Niech pan sobie wyobrazi, woli piwo od wódki. Chyba bardzo podoba mu się w Londynie. Żonaty, dwójka dzieci, o ile mogliśmy stwierdzić, żadnych kompromitujących nałogów. Żona nie pracuje, ale z jej strony nie stwierdziliśmy niczego szczególnego. Z tego co wiemy, normalna gospodyni domowa. Społeczność dyplomatyczna lubi ją także. — Holt wyjął

fotografię obydwójga. — No więc — ciągnął — dokładnie wczoraj nasz przyjaciel popijał piwo w swym ulubionym pubie. Kilka przecznic od ambasady w Kensington, w pobliżu pałacu, tę ambasadę mają od czasu carów, podobnie ma się sprawa z naszą ambasadą w Waszyngtonie. Oto zdjęcia faceta, z którym popijał.

Zebrani przyjrzeni się kolejnemu zdjęciu. Twarz, na co przede wszystkim zwrócili uwagę Clark i Tawney, była do obrzydzenia zwyczajna. Szatyn, piwne oczy, regularne rysy... widok równie niezwykły jak pojemnik na śmieci przy kuchennym wyjściu z ogródka. Na zdjęciu mężczyzna był w garniturze i krawacie. Wyraz twarzy obojętny; mógł dyskutować z rezydentem na temat piłki nożnej, pogody, kolejnego zaplanowanego morderstwa... wszystko było możliwe.

— Przepuszczam, że ma stałe miejsce? — zauważył Tawney.

— Nie. Zazwyczaj pije przy barze, a jeśli już siada przy stoliku, to nigdy dwa razy z rzędu przy tym samym. Myśleliśmy o założeniu podsłuchu — wyjaśnił Holt — ale technicznie jest to trudne, no i knajpiarz wiedziałby, oczywiście, że coś się dzieje. Bardzo wątpię, czy podsłuch przyniósłby jakieś pozytywne rezultaty. Aha, przy okazji, doskonale mówi po angielsku. Właściciel ma go za rodowitego Brytyjczyka z północy.

— Wie, że za nim chodzicie? — spytał Tawney, nim Clark zdążył zadać to pytanie.

Holt pokręcił głową.

— Trudno powiedzieć, ale uważamy, że nie. Zespoły zmieniają się często, a to są moi najlepsi ludzie. Chodzą do pubu regularnie, nawet jeśli faceta w nim nie ma, na wypadek, gdyby nasz klient miał tam kogoś kryjącego mu tyły. Rozmieszczenie budynków w okolicy jest takie, że łatwo tropić go za pomocą kamery. Widzieliśmy kilka możliwości przekazania materiałów „na mijankę”, ale wszyscy przecież wiecie, jak to naprawdę wygląda. Na zatłoczonym chodniku wszyscy od czasu do czasu wpadamy na innych ludzi, chociaż niczego im nie przekazujemy.

Dlatego uczymy tej techniki agentów terenowych. Kiedy na ulicy jest tłok, można celować w faceta z kilku kamer, a i tak niczego się nie zauważy.

Clark i Tawney skinęli głowami. Metoda przekazywania materiałów „na mijankę” istniała prawdopodobnie od początków szpiegostwa. Idziemy ulicą i mamy tylko udać, że się o kogoś przypadkowo ocieramy. Ktoś w tym momencie wręcza nam coś do ręki albo wrzuca do kieszeni.

Wystarczyło minimum praktyki, by niezauważenie przeprowadzić wymianę. Była to najprostsza

umiejętność agenta terenowego, czyli przekleństwo wszystkich kontrwywiadów świata. Jeśli Kirilienko przekazał coś temu Popowowi, mieli przynajmniej zdjęcie sukinsyna. Być może sukinsyna. Nikt nie mógł im przecież zagwarantować, że Kirilienko pił z „ich” facetem. Może był wystarczająco bystry, by w pubie pogadać z przypadkowym nieznanym, tylko po to, żeby zainteresować ludzi z Piątki i zmusić ich do sprawdzania kogoś przypadkowego. Sprawdzenie wymagało ludzi i czasu, a Służba Bezpieczeństwa ani jednego, ani drugiego nie miała w nadmiarze. Wywiad i kontrwywiad pozostawały najbardziej zagmatwaną grą w mieście, grą, podczas której nawet sami gracze nie wiedzieli często, kto wygrał.

— Dacie dodatkowych ludzi na Kirilienkę? — upewnił się Tawney.

Holt skinął głową.

— Owszem. Ale pamiętajcie, że to sprytny gość. Niczego nie gwarantuję.

— Zdaję sobie z tego sprawę — powiedział Clark. — Pracowałem w terenie i Drugi Główny Zarząd KGB nie zwinął mnie. Macie coś na tego Popowa?

Oficer Służby Bezpieczeństwa pokręcił głową.

— Tego nazwiska nie ma w aktach. Zakładam, że możemy go mieć pod innym. Być może kontaktował się z naszymi przyjaciółmi z PIRA; to całkiem możliwe, jeśli rzeczywiście jest specjalistą od terroryzmu. Mamy tam swoich informatorów. Zastanawiam się, czy warto pokazać im to zdjęcie. Ale trzeba zrobić to bardzo ostrożnie. Niektórzy z nich pracują na obie strony.

Pamiętajcie, że Irlandczycy prowadzą własne operacje kontrwywiadowcze.

— Nigdy nie pracowałem bezpośrednio przeciw nim. Dobrzy są? — zainteresował się John.

— Bardzo dobrzy. — Holt kątem oka zauważył skinienie głowy Billa Tawneya. — Pełni poświęcenia, doskonale zorganizowani, ale teraz organizacja jakby trochę im się rozpadała.

Najwyraźniej niektórzy z nich wcale nie chcą pokoju. Nasz dobry przyjaciel Geny Adams jest z zawodu właścicielem pubu; gdyby skończyły się zamieszki, a jego nie wybrano by na wysoki urząd publiczny, musiałby podjąć pracę zdecydowanie mniej prestiżową niż dotychczasowa.

Większość jednak uważa najwyraźniej, że pora zakończyć wojnę, ogłosić zwycięstwo i spróbować, co to takiego ten pokój. Do pewnego stopnia pomogło nam to w rekrutacji informatorów, ale w PIRA są ludzie dziś nastawieni znacznie bardziej wojowniczo niż dziesięć lat temu. I to nas niepokoi.

— Ten sam mechanizm co w dolinie Bekaa — przytaknął Clark. Są ludzie, którzy nie potrafią przestać zwalczać grzechu, nawet jeśli miałoby to oznaczać popełnienie grzechu; bo dla nich to przecież kosztą prowadzenia interesu, nie? — Po prostu nie potrafią odpuścić.

— I w tym właśnie problem. Nie muszę wam przecież mówić, że jeden z ulubionych celów PIRA stacjonuje w waszej bazie. SAS nie jest przez nich szczególnie kochany.

Także to nie było niczym nieoczekiwanym. Komandosi z Special Air Service systematycznie działali w terenie, wyłapując tych członków IRA, którym zdarzyło się popełnić dwa podstawowe błędy: nie dość, że złamali prawo, to jeszcze dali się na tym przyłapać. John Clark uważał prywatnie, że to błąd angażować żołnierzy w sytuacji, kiedy tak naprawdę potrzebna była policja, musiał jednak przyznać, że Tęcza wyznaczona została przeciw do pełnienia podobnych funkcji. Prawdziwy problem polegał na tym, że żołnierze SAS popełniali czyny dające się zakwalifikować jako morderstwo. Choć Anglia pod wieloma względami przypominała Amerykę, w wielu dziedzinach życia różniła się przecież od niej prawem i zasadami. Hereford było więc dobrze zabezpieczone, ponieważ pewnego dnia w bazie mogło pojawić się kilkunastu złych facetów uzbrojonych w Kałasznikowy i mających niezłe pojęcie co do pewnych spraw, a jego ludzie, podobnie jak wielu żołnierzy SAS, mieli rodziny, a terroryści przecież nie szanowali praw cywili... co więcej, podnieśli tę umiejętność do rangi sztuki.

W instytucji mieszczącej się na Łubiance decyzja podjęta została z niezwykłą szybkością.

Kurier był już w drodze. Kirilienkę zdumiała ta niezwykła sprawność. Kurier leciał Aerofłotem na Heathrow, wyposażony w torbę zawierającą przesyłki dyplomatyczne, nietykalną, pod warunkiem, że stale będzie ją miał przy sobie. W niektórych krajach torby kradziono ze względu na ich zawartość, najczęściej niekodowaną, kurierzy doskonale o tym wiedzieli i grali według bardzo ściśle ustalonych reguł: jeśli ja muszę iść do ubikacji, torba musi iść także. Dzięki paszportom dyplomatycznym gładko przechodzili kontrolę graniczną i celną, po czym udawali się do zawsze czekających na nich samochodów, obciążeni, jak zwykle, płóciennymi torbami pełnymi wartościowych tajemnic, śledzeni oczami ludzi, którzy za te tajemnice oddaliby dziewictwo córki.

Tak też zdarzyło się i tym razem. Kurier przyleciał popołudniowym rejsiem z moskiewskiego Szeremietiewo, bez problemu przeszedł kontrolę i wskoczył do samochodu prowadzonego przez przedstawiciela ambasady. Mimo korków odległość dzielącą ich od Kensington pokonali w czterdzieści minut. Dodatkową minutę zajęło kurierowi dotarcie do gabinetu Kirilienki. Duża koperta zapieczętowana została woskiem celem upewnienia się, że nikt po drodze nie pozna jej zawartości. Rezydent podziękował kurierowi za tę i jeszcze dwie przesyłki, po czym zabrał się do roboty. Było już tak późno, że musiał, niestety, pożegnać się z wieczorną pintą bittera. Niezbyt go to ucieszyło. Bardzo lubił atmosferę swego pubu. W

Moskwie nie istniało nic podobnego, podobnie jak w krajach, w których służył poprzednio.

A jednak trzymał w tej chwili w rękach kompletne dossier Johna T. Clarka, starszego terenowego oficera CIA. Dwadzieścia kartek zapisanych z pojedynczym odstępem plus trzy fotografie. Zapoznawał się z tymi materiałami bez pośpiechu. Imponujące. Zgodnie z zawartymi w nich danymi, podczas jedyne, jak do tej pory, spotkania z przewodniczącym Gołowko, ten Clark przyznał się do przemycenia z Rosji żony i córki poprzedniego szefa KGB, Gierasimowa...

przy wykorzystaniu okrętu podwodnego! A więc historia, którą poznał dzięki zachodnim gazetom, była jednak prawdziwa! Scenariusz niczym z Hollywood. Potem operował w Rumunii mniej więcej w tym samym czasie, w którym upadł Ceaucescu, a potem w porozumieniu z rezydenturą KGB w Tokio uratował japońskiego premiera, po czym, znów przy współpracy Rosjan, bezpośrednio przyczynił się do wyeliminowania Daryeiego. „Naszym zdaniem prezydent USA bardzo liczy się z jego opinią” — kończyła się analiza. No bo i powinien, pomyślał

Kirilienko. Sam Siergiej Nikołajewicz Gołowko własnoręcznie przyczynił się do powstania tej analizy. Niezwykle kompetentny oficer terenowy, człowiek niezależnie myślący, znany z przejmowania na własną rękę inicjatywy podczas prowadzonych przez siebie operacji, podobno nigdy nie popełnił poważniejszego błędu... wykładowca w Akademii CIA w Yorktown, w Wirginii, podobno osobiście szkolił Edwarda i Mary Patricję Foley, czyli — odpowiednio —

dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej i zastępcę dyrektora do spraw operacyjnych.

Prawdziwy zawodowiec. Wywarł wrażenie na samym Gołowce, a tylko bardzo niewielu Rosjanom udało się tego dokonać.

A więc ten człowiek był teraz gdzieś w Anglii, wykonując jakieś tajne zadanie, a jego macierzysta agencja chciała wiedzieć, co to za zadanie, ponieważ warto było napracować się, choćby ciężko, by nie stracić z oczu kogoś takiego. Rezydent wyjął z portfela kawałek papieru.

Zapisane na nim cyfry wyglądały jak numer telefonu komórkowego. W szufladach biurka miał

kilkanaście telefonów komórkowych, wszystkie sklonowane z istniejących aktywacji —

zatrudniało to jego specjalistów od łączności, ambasady nie kosztowało nic i gwarantowało bezpieczeństwo połączenia. Bardzo trudno byłoby podłączyć się do znanego numeru telefonu komórkowego, gdy jednak odjęto się z niego elektroniczne kody, sygnał połączenia był tylko jednym z wielu w mieście, w którym atmosfera dosłownie jarzyła się od połączeń.

Dmitrij Arkadijewicz miał podobny, sklonowany telefon. W każdym mieście świata istnieją ludzie klonujący telefony komórkowe i sprzedający je nielegalnie na ulicach. Londyn nie był pod tym względem żadnym wyjątkiem.

— Tak? — powiedział niewyraźny głos w słuchawce.

— Dmitrij, tu Wania.

— Tak?

— Mam towar, o który ci chodziło. Wymagam płatności według uzgodnionych warunków.

— Załatwione. Kiedy możemy dokonać wymiany?

To było łatwe. Kirilienko zaproponował czas, miejsce i metodę.

— Zgoda — powiedział Popow, przerywając połączenie. Rozmawiali zaledwie siedemdziesiąt sekund. Może Popowa wyrzucili z KGB, ale facet wiedział, co to dyscyplina łączności.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO



- 1 Secret Intelligence Service, wywiad brytyjski (przyp. tłum.).
- 2 Żargonowe określenie Departamentu Stanu USA (przyp. red.) 3 Królewska Kanadyjska Policja Konna (przyp. red.).
- 4 MI-6 — Secret Intelligence Service, SIS, brytyjski wywiad (przyp. aut.).
- 5 Direction Générale de la Sécurité Extérieure — francuska tajna służba wywiadowcza i kontrwywiadowcza (przyp. tłum.).
- 6 Zjawisko psychologiczne polegające na identyfikacji zakładników z poglądami terrorystów. Nazwa pochodzi od napadu na bank w Sztokholmie w 1973 roku (przyp. red.).
- 7 Najniższy tytuł naukowy, nadawany zwłaszcza przez uczelnie anglosaskie (przyp. tłum.).
- 8 Siedziba Królewskiej Akademii Wojskowej (przyp. tłum.).
- 9 Commander-in-Chief, Special Operations Command — Naczelny Dowódca Operacji Specjalnych; „snake” znaczy „wąż” (przyp. tłum.).
- 10 Search and Rescue — ewakuacja pilotów, zestrzelonych na terytorium nieprzyjaciela (przyp. tłum.).
- 11 Wyciek ropy z tankowca „Exxon Valdez”, który 24 marca 1989 roku wpadł na mieliznę u wybrzeży Alaski, w Przesmyku Księcia Williama, był największy w historii Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.).
- 12 Zabójca prezydenta Abrahama Lincolna (przyp. tłum.).
- 13 Negatywny, to znaczy taki, którego RNA musi zostać przetranskrybowany na mRNA przez endogenny enzym — polimerazę (przyp. tłum.).
- 14 Professional Golfers Association — zrzeszenie zawodowych graczy w golfa (przyp. tłum.).
- 15 Luddyzm — ruch sprzeciwiający się wszelkim zmianom w dziedzinie techniki. Nazwa pochodzi od nazwiska Neda Ludda, angielskiego robotnika, nawołującego pod koniec osiemnastego wieku do niszczenia maszyn włókienniczych (przyp. red.).
- 16 Chodzi o zamach terrorystyczny, dokonany w 1974 r. w izraelskiej miejscowości Ma’alot przez lewackich ekstremistów palestyńskich (przyp. tłum.).
- 17 0,568 litra (przyp. tłum.).

18 Przędzące łożysko (przyp. tłum.).

19 Odklejenie się łożyska (przyp. tłum.).

20 Rycerz kastylijski, pogromca Maurów, bohater wielu dzieł literatury hiszpańskiej (przyp. tłum.).

21 Fajka z korzenia wrzосу (przyp. tłum.).

22 Rachel Louise Carson (1907-1964), pisarka i działaczka ruchu ekologicznego. W wydanej w 1964 roku powieści „Cicha Wiosna” pokazała konsekwencje, jakie dla świata może mieć stosowanie pestycydów (przyp. red.).

23 Walter Alvarez — amerykański geolog, który sformułował hipotezę, że niezwykle duża zawartość irydu w skalach późnej kredy wskazuje na upadek wielkiego meteorytu, który doprowadził do wyginięcia dinozaurów (przyp. red.).